

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



KAROL SZAJNOCHA

JADWIGA I JAGIEŁŁO

1374–1413

OPOWIADANIE HISTORYCZNE
TOMY III–IV

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

JADWIGA I JAGIEŁŁO

1374–1413

Opowiadanie historyczne
przez
Karola Szajnochę

Tom III

XIII. JAGIEŁŁO

Zamysły panów krakowskich. Gniewosz z Dalewic. Litwa. Ślady porozumienia między nią a Krakowem. Położenie Jagiełły. Zjazd chrestny. Nowa wojna. Witold. Pojednanie z Jagiełłą. Posyłki panów polskich do Litwy. Ziemowit przeciw Jagielle. Ciągła wojna z Krzyżakami. Stanowcza zgoda z Witoldem. Sprzeczność losów Jagiełły i Witolda. Charakter Jagiełły. Poselstwo swadziebne do Krakowa. Zobowiązania się Jagiełły. Odprawa posłów do Węgier. Stan rzeczy w Węgrzech. Pomyślne przyjęcie poselstwa litewskiego. Powrót posłów do Krakowa. Usposobienie Jadwigi. Zjazd krakowski. Poselstwo z odpowiedzią Jagielle. Ponowienie zobowiązań Jagiełły. Nowy napad Krzyżaków. Inny przeciwnik, Wilhelm.

Szcześliwe dla możnowładców czasy spłynęły z młodzieńczą Andegawenką. Całe jej panowanie przedślubne miało służyć tylko za kopalnię zysków bogatych, jakimi panowie małopolscy chcieli sobie wynagrodzić poprzednie trudy i starania o Jadwigę. Działo się im z tego względu tak dobrze za obecnych rządów dziewiczych, iż niektórzy naprawdę już myśleli, jak by je do najdłuższego przeciągnąć czasu. W tej chęci odzywały się pojedyncze głosy magnackie za zupełnym zaniechaniem wyboru męża Jadwidze, za obejściem się wcale bez króla. Tylko przeciwne temu usposobienie szlachty drobniejszej, krzywdzonej samowolnością wielmożów i przeto króla pragnącej, stało w drodze bezkrólewiu dalszemu. Stąd wzajemne swary i niepokoje, w których powaga młodej królowej niknęła do ostatka. „Przebywa wprawdzie w Krakowie młodsza córka Ludwika – dochodzi nas bardzo szacowny głos z onych czasów – i miana jest za królowę, lecz ponieważ nie wydają jej ani za dawnego narzeczonego Wilhelma, ani za kogokolwiek innego, przeto źle się dzieje Koronie Polskiej bez króla, ile że magnaci i szlachta prześladują się wzajem, a wielu nie chce żadnego wcale króla, lecz sobie samym pragnie przywłaszczyć dobra i pożytki królestwa.”

Myślało tak atoli tylko jedno z kilku stronnictw ówczesnych. Mimo przeważną bowiem większość narodu, chylącą się, jak wiadomo, ku Litwie, przeróżne, acz mniej potężne zdania odzywały się w tłumie. Z tych obok wspomnionych tu przyjaciół wiecznego bezkrólewia najwięcej obchodzi nas stronnictwo posiadające nader silnego sprzymierzeńca, bo przychylność młodej królowej. Składało się ono z najbliższych osobie królewskiej dworzan i urzędników, mających na czele nie znanego nam dotąd, a tak głośnego później Gniewosza z Dalewic herbu Strzegomia. Pragniemy tym chętniej zabrać z nim bliższą znajomość, iż w panu Gniewoszu mamy jedną z charakterystyczniejszych postaci onego czasu.

Był to przed wszystkim szlachcic dostatni, w szczególności pan wsi Suchy koło Jangrotu, którą tymi czasy za 800 grzywien kupił od niego biskup krakowski Jan Radlica. Chciwy i sprzedajny jak prawie wszyscy bohaterowie tamtej epoki, przechodził on wszystkim brakiem rozumu i charakteru. Ta ułomność moralna wpoila weń przekonanie, iż nie masz pewniejszej drogi do szczęścia, tj. do pieniędzy, nad trzymanie się o s ó b, mających w swoim ręku szafunek dostatków ziemskich. Stąd gdy ogół panów małopolskich w nie mniej zyskolubnych zamysłach pracował nad obaleniem starej wielkopolszczyzny, nad otworzeniem sobie skarbnicy

szerokich obszarów ruskich, on dzierżył się klamki dworskiej, bawił najmilej w łaskodawczym pobliżu królów, teraz Jadwigi, później jej męża. Oddawszy się zaś prywatnej służbie osób, wypadło także służyć im środkami domowymi, dworactwem. To zrobiło Gniewosza nadmiar przebiegłym w wyszukiwaniu sposobów przypodobania się, nareszcie zausznikiem, potwarcą.

Bądź jak bądź, pozyskiwał on zawsze ufność u dworu i przez czas długi, lubo jeszcze nie teraz, piastował tamże urząd wprowadzający w najpoufniejszą z osobą królewską styczność, tj. podkomorostwo, czyli marszałkostwo nadworne. Taką też drogą zbliżył on się obecnie do królowej Jadwigi, a postrzegłszy jej skłonność ku dawnemu narzeczonemu jał się gorliwie poplecznictwa Wilhelma. Zaczem dalej od siebie patrzącym pozostawiając myśl o Litwie głosił Gniewosz użyteczność związków z księciem rakuskim, jednał mu zwolenników i zasłoniony współczuciem młodocianej królowej urósł w naczelnika stronnictwa.

Znachodzili się wreszcie tacy, acz w nader szczupłej liczbie, którzy jeszcze nie zrzekli się nadziei obaczenia na tronie polskim u boku Jadwigi Ziemowita Mazowieckiego. A nawet Władysławowi Opolczykowi, lubo już żonatemu i nie mogącemu przeto połączyć się z Jadwigą, nie brakowało życzliwców pojedynczych, doradzających oddać mu rządy królestwa. Te wszystkie głosy i rady, te swary różnych stronnictw zapełniły całą kilkumiesięczną przestrzeń czasu po koronacji Jadwigi, od października roku 1384 do stycznia 1385. Wszakże nad wszystkie zdania stronnice przeważała niezmiernie chęć poswatacia się z Litwą. Ona to przemogła dotychczas Ziemowita, ona przeparała koronację Jadwigi, ona też nie myślała teraz dopuścić, aby kto inny zerwał owoc jej usiłowań. Jakoż gdy w wspomnionym przeciągu kilku miesięcy oprócz szermierki ustnej nie widać żadnego rzetelnego kroku na korzyść Wilhelma, Ziemowita lub Opolczyka, pierwszy wypadek stanowczy, o jakim dowiaduje się cały naród, wyprowadza wielkiego księcia Litwy na widok. Jest tym wypadkiem uroczyste poselstwo Jagiełły, proszące o rękę Jadwigi, tajnym (jak mniemać można) z panami krakowskimi wywołane porozumieniem. Dla przypatrzenia się temu bliżej cofnijmy wzrok ku Litwie.

Opisując dawniej sprawy litewskie zostawiliśmy walecznego Kiejstuta na stosie pogrzebowym, jego syna Witolda zbiegiem z więzienia Jagiełłowego u Krzyżaków, mających do pomocy mu do zemsty nad Jagiełłą, Jagiełłę zaś zagrożonym zewsząd panem rozchwianej Litwy. Skutkiem niezupełnie wyświeconych okoliczności okazuje się nasz Olgierdowic odtąd coraz jawniejszym przyjacielem swoich przyjaciół małopolskich. Kiedy oni wszelkimi siłami walczą przeciw Ziemowitowi, on napadem na mazowieckie dzierżawy, zaborem grodów Podlasia, popiera silnie ich walkę. Uwięziona przed kilku laty relikwia świętokrzyska zostaje teraz wraz z pewną liczbą jeńców wrócona Małopolsce. Wiemy prócz tego, iż niektórzy z najmożniejszych panów krakowskich, jak np. młody wojewoda Spytko z Melsztyna, poczytywani za głównych sprawców usunięcia Ziemowita a sprowadzenia Jadwigi, otrzymują później od Jagiełły nadmiar kosztowne upominki „wdzięczności”, całe prowincje, której to nagrodzie nie odpowiadają poprzednio z ich strony żadne z n a n e , głośnie przysługi. Nasuwa się przeto myśl, iż powodu do tak hojnej i długopomnej wywdzięki należy szukać w ich terażniejszych stosunkach p o u f n e g o znośnienia się z Jagiełłą. Ważna zaś w tej mierze okoliczność, iż wojewoda Spytko przez swoich braci „z Tarnowa”, jeszcze od czasu Kazimierza Wielkiego zagnieżdżonych na Rusi, miał w tych rusko-litewskich stronach i starodawne konksje do posługi, i interes familijny do popierania, zgadza się dość znacząco z tą myślą.

Jakoż nie obrażali się bynajmniej w późniejszych latach panowie polscy, gdy książęta przyjaźni, owszem, sami książęta litewscy przypominali im w aktach publicznych, iż oni to, Polacy, „zaprosili Jagiełłę na królestwo”. Nie brak nawet skazówek do wyśledzenia osób, za pomocą których mogły zawiązać się te przyjazne stosunki. Toć jeden z głównych dostojników ówczesnego Kościoła polskiego, poznański biskup Dobrogost, jak później w jawny sposób odznaczył się gorliwą stronnictwością dla Jagiełły, tak już przed laty dwunastu, nosząc listy papieskie na dwór litewski, wchodził w poufne z nim styczności. Łatwo zatem dał się przez

podobnych dawnych znajomych i stronników zadzierzgnąć teraz węzeł porozumienia. Uwidoma się on zwłaszcza uderzającym sposobem w porze przyścia Jadwigi. Im pewniejszymi przybycia i koronacji królowy widzą się Małopolanie, tym widoczniej przedsiębiorze Jagiełło ze swojej strony przygotowania do swadziebnej po nią wyprawy. Główną dla niej przeszkodą był obecnie pobyt Witołda u Krzyżaków. Każde bowiem wydalenie się Jagiełły z granic litewskich narażało je na bezodporne owładnięcie przez Witołda z Zakonem. Co tym pewniejszą groziło zgubą, ile że nawet ciągła obecność Jagiełły w kraju zaledwie była w stanie ochronić go od toni ostatecznej. Pod tym względem porozumienie Jagiełły z panami krakowskimi płynęło z najsmutniejszej potrzeby.

Kiedy Jagiełło po upadku Kiejstuta zawierał z Krzyżakami ów nieszczęsny traktat na wyspie Dubissie, stanęło przyrzeczenie, iż w przeciągu lat czterech wielki książę litewski przyjmie niechybnie chrześcijaństwo. Tymczasem ani Krzyżacy nie mieli chęci utracić chrztem Jagiełły sposobności do coraz pewniejszego zawojowania „poganina”, ani też Jagiełło nie spieszył się wcale z aktem, po którym, jak nietrudno było przewidzieć, nie mogła Litwa spodziewać się pokoju od Krzyżaków, a który byłby osobie Jagiełły odjął główny urok i powab wróżący mu prędzej czy później nierównie świetniejszą nagrodę za przyjęcie chrześcijaństwa gdzie indziej. Przyszło więc tylko do osobliwszej sceny, okazującej nieszczerłość obojej strony. W kilka miesięcy po wspomnionym traktacie, w czasie gdy wśród domowych zawichrzeń w Polsce nie było jeszcze pewności utrzymania się stronnictwa Jadwigi, pod koniec maja roku 1383, panowie krzyżaccy, udając troskliwość o warunki niedawnego traktatu, zawezwali Jagiełłę na nowy zjazd na Dubissie dla dopełnienia chrztu.

Jagiełło okazał chęć uiszczenia się z obietnicy i w towarzystwie matki, braci i dworu książęcego wyruszył w drogę. Wielki mistrz krzyżacki Konrad Czolner nie chcąc wydać się mniej gorliwym zabrał z sobą słynnego marszałka Zakonu, Konrada Wallenroda, grono reszty najwyższych urzędników i co najpotrzebniejszym było do chrztu: dwóch biskupów, warmińskiego i pomezańskiego. I owo płyną Niemnem naprzeciw sobie oba dwory przeciwne, krzyżacki i litewski, w niemałej pono obawie, aby w rzeczy nie stało się, co jeden i drugi głosi istotnym życzeniem swoim. Im bliżej tedy wyspy, tym niechętniejsza podróż. Jagiełło przecież stanął u celu. Mniej ochoczy lub mniej skrupulatni w dotrzymaniu słowa Krzyżacy uwięźli o mil cztery, w Christmemlu. Lubo Niemen w tym miejscu ma być bardzo głęboki, lubo to było w maju, miało zabraknąć wody statkom krzyżackim. Nie było też koni w całej stajni krzyżackiej, aby dojechać brzegiem ku wyspie. Ograniczono się na zaproszenie Jagiełły do Christmemla. Ten atoli nie miał wcale intencji działać nad miarę obietnicy. Nie chcieli zatem ani Krzyżacy do Jagiełły, ani Jagiełło zbliżyć się do Krzyżaków. Cały zjazd spęłzył szczęśliwie na niczym. Powtórzyła się, jak widzimy, w nieco odmienny sposób dawna scena chrzestnego zjazdu w Wrocławiu.

Obie strony rozjechały się z wzajemnymi wymówkami. Ze wszystkiego jednak okazuje się, że Jagiełło bliższy był chęci chrztu niż Krzyżacy. Czując z tej przyczyny potrzebę tym liczniejszych pozorów uniewinnienia, zmyślili oni nawet pogłoskę, jakoby Jagiełło za radą matki Julianny uknuł był zamach na życie wielkiego mistrza. Do zarzutów z okoliczności obecnej przydano obwinienia daty dawniejszej. Krzyżacy wypominali Jagiełłę, że bez ich wiedzy śmiał wojować Mazowsze, gdy przecież dawny traktat na wyspie Dubissie wzbraniał mu wszelkiej wojny bez zezwolenia Zakonu. Jagiełło zaprzeczał ważności całemu traktatowi, ile że Krzyżacy przygarnięciem Witołda pierwsi go zniweczyli. Wszystkie skargi podobne przywiodły wreszcie do tego, co przynajmniej dla Krzyżaków właściwym było celem, tj. do wojny. W tym samym czasie kiedy w Wielkopolsce dogorywała wojna między Nałęczami a Grzymałczyki, z końcem lipca roku 1383, rozewrzała ona znowuż między Zakonem a Litwą. Witołd działał jako sprzymierzeniec krzyżacki. Wtargnęła do Litwy dwoma szlakami ogromna armia chrześcijańska, wiedzona przez samego wielkiego mistrza i najprzedniejszych

urzędników Zakonu, a posiłkowana osobnym oddziałem litewsko-żmudzkiem, złożonym z licznych zwolenników Witolda, pod wodzą tegoż walecznego Kiejstutowica.

Uderzywszy połączonymi siłami na Kiejstutową stolicę, Troki, opanowano ją z całym księstwem przyległym. Spod Trok posuwały zastępy zwycięskie pod samo Wilno, które spłonęło. Jagiełło uchylił się przed burzą. Witold, czyli właściwie Zakon, panował całej Litwie, odbierał wszędzie hołd i przysięgę wierności, kazał dostawiać sobie zakładników. Powiodło się wprawdzie Skirgielle, rodzonemu bratu Jagiełły, odzyskać wkrótce Troki, lecz to nie ocalało sprawy Olgierdowiców. Wypowiedziawszy bowiem śmiertelną Litwie wojnę, postanowili Krzyżacy nie składać broni, aż póki osadzeniem sprzymierzonego Witolda na Wielkim Księstwie nie dopną upadku Jagiełłowego. Aby ich do tym skorszej wzbudzić pomocy, umyślił ochrzcić się Witold. Bracia zakonni musieli chcąc nie chcąc przyzwolić na ceremonię, do której oni sami nigdy w istocie nie przynaglali książąt litewskich, a którą zwłaszcza w razie obecnym można było posądzić o pobudki światowe.

Przynajmniej całemu nieuroczysty, całemu pokątny sposób, jakim dopełniony został tak ważny akt, ośmiela do podejrzenia, iż obydwie strony nie przywiązywały wielkiej do niego ceny. Wracając według przyjętego wówczas zwyczaju wojny dla wypoczynku i dalszych przygotowań wojennych nazad do Prus, ochrzczono Witolda dnia 21 października roku 1383 w drodze, w Taplawie, z upokarzającą dorywcznością. Komtur Ragnicki i żona sołtysa taplawskiego posłużyli na przedce za rodziców. Dano nowochrześceniowi imię ojca chrzestnego Wigand. Za co syn Kiejstutowów w trzy miesiące później, w Królewcu dnia 30 stycznia 1384, uczynił Krzyżakom zapis wieńczący najdumniejsze zamysły Zakonu względem Litwy. Uznawał ten dokument bracią krzyżacką najwyższymi zwierzchnikami całej Litwy i Żmudzi. „Jedna, i to „najpiękniejsza” połowa Litwy wraz z całą Żmudzią przechodziła w bezpośrednie posiadanie Zakonu. Drugą odzierał Witold jako lenno Zakonu. W razie bezpotomnego zejścia Witolda przypadnie cała Litwa na własność Zakonowi. Nie daremnie więc pomagali Krzyżacy swemu pochrześceniowi.

Toż przynajmniej pomagali mu nieleniwie. Za ledwie nastąpiła wiosna roku 1384, ta wiosna, która już to na dzień św. Stanisława, już to na Zielone Świątki przyrzekała Polsce Jadwigę, wyruszyli „Niemcy” z Witoldem na zawojowanie ziemi litewskiej. Przed wszystkim szło Krzyżakom o uzyskanie tam raz na zawsze pewnego punktu oparcia, pewnej niezdobytej warowni, która by w wszelkich kolejach przyszłości ciężła jarzmem nad Litwą. Postanowiono w tym celu zbudować obyczajem krzyżackim w miejscu zburzonego przed laty Kowna nową olbrzymią twierdzę, nazwaną Marienwerder, czyli wyspa Najświętszej Panny. Taż budowa stała się głównym przedsięwzięciem obecnej wyprawy zbrojnej. Pod zasłoną ogromnej armii, krzyżowej, składającej się z braci zakonnych, wojsk krajowych i tysięcy rycerstwa zagranicznego, prowadzonych przez samegoż wielkiego mistrza Czolnera, nadpłynęły niezliczone łodzie z rzemieślnikami, żywnością i całym przyborem budowniczym.

Podczas gdy pojedyncze oddziały zbrojne ciągłymi utarczkami z nieprzyjaciółmi oczyszczały okolicę kowieńską, tłumy murarzy, kowali, kamieniarzów pracowały z największym pośpiechem nad nowym grodem. Sześćdziesiąt tysięcy ludzi, osmdziesiąt tysięcy koni było przez sześć tygodni w nieustannym około niego ruchu i trudzie. Nareszcie wzniósł się gród niebotyczny. „Za pomocą takich twierdz – zawołał uradowany mistrz wielki – niczym podbić Litwy!” Jakoż poprzestano tym razem na zbudowaniu sobie warowni. Poniesiona od Jagiełły porażka pod Wilkiszkami przyspieszyła powrót Niemców do domu. Witolda zaspokojono jako tako dokumentem solennym, wydanym w Marienwerder w oktawę Bożego Ciała, dnia 16 czerwca, a przyrzekającym mu rychłe przywrócenie ziemi ojczystej.

Nie mogło to zadowolić Witolda. O ile on nie całkiem szczerze lgnął do Zakonu, o tyle i Zakon raczej swą własną niż Witoldową popierał sprawę. Tak niepewna przyjaźń potrzebowała lada wstrząśnienia, aby do szczętu się rozchwiać. Przyszło to wstrząśnienie tymiż czasami od strony Polski. Miał tam wreszcie około Zielonych Świątek nastąpić niewątpliwy przyjazd

Jadwigi. Dopóki panowie krakowscy nie mogli według swego upodobania rozrządzać ręką Jadwigi, dopóty wszelkie porozumienie z Jagiełłą było przedwczesnym. Teraz jednakże zmieniła się postać rzeczy. Nieodzowność bliskiego przybycia Andegawenki pozwalała myśleć o jej ręce i tronie. Niepodobną zaś była wszelka myśl o tym, dopokąd Witołd nie zerwał związków z Zakonem. Na toż bowiem miał Jagiełło przesiedlać się do Polski, aby mu Krzyżacy z Kiejstutowicem rodzinną tymczasem wydarli Litwę?

Szło więc głównie o przejednanie Witołda. I „gęsto” też syłał Jagiełło poufnych doń orędowników z listownymi przyrzeczeniami. Zasługiwały one teraz na większą niż kiedykolwiek wiarę. Łatwy do zrozumienia interes samegoż Jagiełły w tych rokowaniach świadczył o szczerości intencji. Błyszcząca na dnie całej sprawy korona polska, przeznaczona z dala Jagielle, pozostawiała Wielkie Księstwo Litewskie niejako samo przez się synowi Kiejstutowemu. Gdy więc było czym dzielić się, nietrudna była zgoda. W tym samym miesiącu czerwcu, kiedy obaj Gedyminowice mogli Jadwigę mniemać już powitaną i ukoronowaną w Krakowie, dojrzało w samym zanadrzu krzyżackim tajne przymierze między Witołdem a Jagiełłą. Przyszły król polski przyrzekł swojemu stryjecznemu bratu cały udział ojcowski, księstwo trockie. Nowo wychrzczony brat ofiarował nie tylko odstąpienie Krzyżaków, lecz nadto umyślił przynieść Litwie w gościniec krwawą klęskę krzyżacką.

Zaczem oznajmił Witołd Niemcom w pierwszej połowie lipca, iż powziąwszy wiadomość o zamierzonym najściu Skirgiełły z Litwą na Prusy chce mu stawić czoło u granic. Pod tym pozorem zbliżył się cały orszak Witołdów, złożony z kilkuset spółwygnańczych Litwinów, między którymi zwłaszcza szwagier Witołdów Sudemunt, ku krzyżackiej warowni Jurbork. Zatrzymawszy się tam, zawezwano komtura miejscowego, Dytryka Kruste, na spieszną do Witołda naradę. Komtur wziął kilku braci i zeszedł z zamku. Ucieszyli się Krzyżacy udanym ostrzeżeniem Witołda, iż Skirgiełł i Jagiełło chcą uderzyć na nieprzygotowaną Ragnetę. „Wyślijcie czym prędzej wieść o tym do załogi tamecznej – ozwie się Witołd – a nazajutrz ja sam w pomoc przybędę.” Wdzięczni Prusacy zaprosili Witołda przy pożegnaniu na wieczerzę do zamku. „Wolę zapolować w pobliskim lesie – odpowie zaproszony – a z wami niech tam mój szwagier Sudemunt pobiesiaduje. I przyślijcie mi też kilku łowców z sieciami.”

Krzyżacy odeszli z Sudemuntem, odprowadzonym przez kilku bojarów zbrojnych. Alić na moście najwyższym rzuca się naraz Sudemunt z bojarami na Niemców. Dwaj towarzysze komtura i strażnik bramy padli natychmiast trupem. W oka mgnieniu skoczyła reszta Litwy w bramę otwartą i opanowała zamek. Komtur poszedł w kajdany. Wszelkie zapasy zostały splądrowane. W krótkim czasie nie było śladu Jurborka.

Ten sam los spotkał warownię Bajernburg. Najwięcej atoli zależało Litwie na opanowaniu świeżo zbudowanego Marienwerder. Co nierównie dłuższego czasu, nierównie gwałtowniejszych wymagało nateżeń. Wzięto się więc spólnymi siły do czynu. Do coraz liczniejszej drużyny Witołdowej przybyło wojsko Skirgiełły. Z nimi połączyły się rotty jedenastu innych książąt litewskich. Wielki książę Jagiełło uzbroidł wielką wyprawę. W ośm tygodni po ustąpieniu Witołda z Prus obiegnęła ogromna armia litewska wyspę Najświętszej Panny, bronioną znacznym oddziałem krzyżackim pod wodzą walecznego komtura, Henryka Klee.

Dla przeszkodzenia odsieczy krzyżackiej zatamowano zasiekami wszelką żeglugę na rzece Niemnie. Nadzwyczajnie wielka liczba rozmaitych machin wojennych, znajdujących się w wojsku litewskim, a kierowanych przez puszkarzy ruskich, „który to naród wielce tu biegłym okazał się w tej sztuce”, biła dniem i nocą w mury zamkowe. Przez blisko ośm tygodni trwały szturm i wycieczki wzajemne. Na próżno sam marszałek Zakonu, znany później Konrad Wallenrod, nadciągnął z posiłkami. Śmierć komtura Henryka i coraz smutniejszy stan rzeczy wewnątrz zamku odjęły wszelką nadzieję utrzymania się. Zapamiętały wreszcie szturm wojsk litewskich, trwający od świtu aż do południa, dokonał dzieła.

Zdobyto wszystkie główne przedmurza. Pozostała jeszcze w ostatniej baszcie garstka załogi złożyła broń. Stu pięćdziesięciu rycerzy zakonnych wraz z komturem i wielą rycerstwa

zagranicznego padło od miecza. Pięćdziesięciu pięciu braci krzyżackich, pięćkroć tyleż gości rycerskich, odpowiednia ilość pospólstwa wojennego dostały się w niewolę. Przez długi czas pracował Zakon bezskutecznie nad uwolnieniem swych jeńców. Od dawna żaden krok polityki krzyżackiej nie zakończył się tak smutną katastrofą, jak krwawo teraz opłukane chrzciny Witołda. „Płochy” Kiejstutowic poczytał za nic obłudną ceremonię taplawską, i był gotów przyjąć z równą łatwością gdziekolwiek indziej chrzest drugi. Wielki książę Jagiełło opanował wydartą sobie bramę litewską, uzyskał trzy mocne twierdze, przejednał brata nieprzyjawnego i zabezpieczony na jakiś czas od wrogów mógł pomyśleć o związkach zagranicznych, o młodzieńczej królowej polskiej.

Już ona właśnie od kilkunastu dni bawiła w nadwiślańskiej stolicy. Już spełniona tam koronacja pozwalała wielmożom krakowskim ofiarować w małżeństwo rękę młodej królowej. Teraz to – jak według upewnienia najświadomszych kronikarzy litewskich wnosić możemy – „syłali panowie krakowscy raz po raz do wielkiego księcia Jagiełły, przedstawiając mu, aby przyjął chrzest w obrządku Rzymu starego i poślubił sobie dożgonnie ich królowę Jadwigę, i został u nich królem w Krakowie na całą ziemię lacką”.

Teraz też nim Jagiełło wziął przewagę stanowczą, zależało wszystkim przeciwnikom słubów litewskich na jak najusilniejszym stawianiu mu przeszkód w drodze. W szczególności jeden z takich przeciwników, Ziemowit Mazowiecki, niezupełnie jeszcze próżen nadziei ręki królowej Jadwigi, a jako najbliższy sąsiad Jagiełły najlepiej o jego zamysłach uwiadomiony, zakrzętał się teraz około podniecenia mu nowej burzy.

Najstosowniejszym do tego środkiem była czynna spółka z Zakonem. Jakoż w pięć tygodni po koronacji Jadwigi, prawie jednocześnie z zdobyciem wyspy Najświętszej Panny, czyli Starego Kowna, przez Jagiełłę, dnia 23 listopada wszedł książę Ziemowit w nowy układ z wielkim mistrzem krzyżackim zapewniający księciu pożyczkę 3600 kóp groszy pragskich, a Zakonowi zastaw szerokiej przestrzeni ziem mazowieckich, tak zwanej krainy zawkrańskiej między rzekami Wkrą, Nidą, Orzycem a Lidynią. Celem tego układu wymienia dokument wyraźnie wojnę ciągnął z Jagiełłą, któremu Ziemowit z jednej strony pieniędzmi krzyżackimi mógł psować szyki w Polsce, a Krzyżacy tym skuteczniej dojeżdżać z drugiej, z ziemi zawkrańskiej, leżącej w pobliżu najmniej obronnych granic litewskich.

Nie wielce to atoli przeszkodziło Jagielle. Co do wojny, ta wprawdzie według życzeń Ziemowitowych nie przestała zagrażać Litwie. Bezpośrednio z nową wiosną roku 1385 zaczęły się nowe kroki nieprzyjacielskie. Przedłużając się z coraz większym wysileniem aż do jesieni, trwały one przez całą porę swadziebnych układów Jagiełły z Polakami. A lubo żadnym stanowczym nie uwieńczone skutkiem, sprawiły te walki niemałą Zakonowi i Litwie szkodę, zwłaszcza w jeńcach. Już pod koniec miesiąca kwietnia okazują się obiedwie strony znużone wojną. Dnia 21 i 24 kwietnia udzielają wielki mistrz Czolner i marszałek Wallenrod w celu układów o wzajemną wymianę jeńców dwutygodniowego zawieszenia broni Jagielle. W tydzień później, dnia 30 kwietnia, znajdują się Krzyżacy i wielki książę litewski dla skutecznego wykupu w zwykłym miejscu zjazdów litewskich, na znanej wyspie Dubissie.

Nie załatwiwszy jednakże sprawy, przestają obiedwie strony na wytknięciu sobie pory nowego zjazdu, zapowiedzianego w wilię Bożego Ciała, dnia 31 maja. I ten, jak się zdaje, do żadnego nie przywiódł rezultatu. Jeńcy, mianowicie krzyżacy, pozostali w niewoli. Wspominając Jagielle przez długie lata niechęć wrócenia im wolności, zarzucali mu Krzyżacy, nie wiemy li, czy potwarczo, że ich sprzedawał w dalsze strony Rusinom. Przedłużał się tedy ciągle stan wojny, a im jawniej występowało na widok, co Jagiełło przedsiębrał tymczasem w stronach Polski, tym groźniej rozplómiął się daremny przeciw temu opór krzyżacki. Gdy z jesienią roku bieżącego nadejdzie stanowcza chwila swadziebnych układów litewsko-polskich, obaczmy Jagiełłę pod śmiertelnym mieczem jednej z największych wypraw teutońskich. Teraz spojrzymy na rozpoczęte już kroki onej swadźby.

Jak pierwszą widoczniejszą wynikłość porozumienia między Polską a Litwą można było upatrzeć w przyjaznym powrocie Witolda z ziemi Krzyżaków, tak też dokonanej tymczasem ostatecznej ugodzie z nim należy tu wzmianka najpierwsza. Dopiero w porze dziewosłębim krakowskich otrzymuje Witold od stryjecznego brata Jagiełły księstwo grodzieńskie z Podlasiem. Ze względu na prawo Kiejstutowica do ojczyznośc księstwa trockiego, tj. do całej połowy Litwy, nie czyniło obecne nadanie zadość słusznym jego żądaniom. Poprzestał wszelako dawny przyjaciel Jagiełłów na podziale niedostatecznym, spodziewając się, że prawdopodobne ustąpienie wielkiego księcia do Polski poda sposobność do słusniejszego układu. W uczuciu swojej niezaprzeczonej wyższości umysłowej nad wszystkimi teraźniejszymi książętami litewskimi, wyższości tak świetnie w późniejszych latach na cały świat rozgłoszonej, cieszył się Witold niepłonną nawet nadzieją, iż ta sama fortuna, która mniej godnego Jagiełłę sadzała na tronie polskim, jemu przynajmniej wielkoksiążęcego nie odmówi zaszczytu.

Atoli fortuna a ludzkie wyobrażenia o słusności z dawien dawna różnymi krążyły tory. Ileż to walk, prób, nieszczęść musiał pierwej przebywać Witold, nim mu w końcu padła nagroda! Jagiełło, przeciwnie, bez walki i znoju kroczy od tryumfu do tryumfu, w coraz piękniejsze bogaty wieńce. Zachodzi w tej mierze osobliwszy pomiędzy obudwoma braćmi stryjcznymi stosunek, którego dobrze świadom był syn Kiejstutów. Nie możemy nie wpatrzeć się bliżej w tę osobliwą grę losów, złagodzoną jedynie okolicznością, iż jeśli Witold nie zasłużył na wiele z swoich nieszczęść, Jagiełło w znacznej części był godzien swojej fortuny. Owszem, obadwaj wnukowie Gedymina, jakkolwiek różni losem, ujmują przy bliższym poznaniu równą miarą najpiękniejszych darów natury, za ledwie spodziewaną w rodzie pogańskim. Mając z kolei uwidomić sobie bliżej obudwóch zwróćmy tu oko naprzód na syna Olgierdowego, gotującego posłów do Polski.

Od kolebki świeci mu gwiazda szczęścia, przychylają mu się życzliwie wszystkie serca. Lubo dopiero siódmy z synów Olgierda, bierze Jagiełło według życzeń ojcowskich pierwszeństwo przed resztą braci i nadzieję Wielkiego Księstwa. Wielka księżna Julianna utopiła w nim wszelką miłość swej piersi macierzyńskiej, drżającej o każdy krok ulubieńca. Pomni na to Krzyżacy jakże zręcznie przypochlebiają się księżnie, pieszcząc jej serce słówkami troskliwości o bezpieczeństwo „przesławnego syna Jagiełły”, zagrożonego niedawno owym „psem wściekłym”, Kiejstutem! Toć do późnej śmierci zachował kochanek matczyn wiele zabobonnych zwyczajów i wspomnień tego miękkiego wychowania macierzyńskiego.

Gdy ojciec Olgierd umarł, ów „wściekły pies” stryj Kiejstut mogąc z łatwością ować Wielkie Księstwo, owszem, niejako zniewolony do tego niebezpieczeństwem krzyżackim, korzy przed szczęśliwym swoją skroń siwą, bije mu czołem jako wielkiemu księciu. Taką samą miłością Ignie ku niemu młody syn Kiejstutów, Witold, pełen zaufania w równą przyjaźń i szlachetność Jagiełły. Kiedy ojciec Kiejstut ostrzega syna o spiskach Olgierdowica z Zakonem zamierzającym zgubę obudwóch, młody przyjaciel Jagiełłów nie chce temu dać wiary. Dopiero ujęte w opanowanej stolicy listy krzyżackie przekonywają go o nieszczęsnym zamachu. Za co ukarał go stary Kiejstut jedynie wydzieleniem mu nieco mniejszego księstwa, nie śmiać podnieść ręki na wolność lub życie ulubieńca całej rodziny.

W wynikłej zaś potem wojnie między Kiejstutem a wielkim księciem któż zwycięża? – szczęśliwy. Wspaniałomyślny Kiejstut ginie w więzieniu; ufający Jagiełło Witold tuła się na wygnaniu; Jagiełło znowuż w blasku fortuny. Chwilowe upokorzenie wynagradza mu się wkrótce zupełnym tryumfem nad przeciwnikiem. Zwycięzca Kiejstuta i Witolda odzyskuje snadnie berło nad całą Litwą, a pomyślny bieg okoliczności dorzuca mu ziemię po ziemi w darze. Śmierć króla Ludwika przysparza Litwie, bez dobycia oręża, zaprzędane przez starostów węgierskich grody wołyńskie; domowe zamieszki w Polsce pozwalają zająć Podlasie; acz miecz krzyżacki wisi nad głową, czemuż by jeszcze dalszych, wspanialszych darów nie miał spodziewać się ulubieniec ludzi i losów?

Uderza zaś szczęście Jagiełły tym osobliwszym urokiem, im skromniejszą była cała osobistość człowieka, któremu tyle słońca świeciło. W tym dwuświetle zupełnej prostoty, prawie prostaczości osoby, a nieprzebranej łaski przeznaczeń przedstawia syn Julianny jedno z najdziwniejszych, owszem, najpowabniejszych zjawisk historii. Bacniejszego atoli potrzeba oka, dłuższego przeciągu czasu, aby je należycie ocenić. Gdyż na pozór był to człowiek popolity, gnuśny, tępego pojęcia, zaniedbanej powierzchowności. Ulubieniec fortuny chadzał zwyczajnie w prostym szaraczkowym kożuchu. Lubo garderobę książęcą zdobiły coraz nowe szaty bogate, on ledwie w największe uroczystości przywdziewał szarą szubę aksamitną, bez żadnych zresztą ozdób.

Co do samej postaci, tej nie brakło siły i wdzięku. Na krzepkim ciele miernego wzrostu, odznaczającym się niepowszednią kształtnością, siedziała głowa mała, powzdłużna, o ściągłych rysach twarzy, zwłaszcza ku podbródkowi kończasto ściętej. Długa szyja, smagle jagody, wysoko z włosów obnażone czoło dodawały powzdłużności obliczu. Oświecały je niewielkie czarne oczy, niezmiernie niespokojne i ruchliwe. Z ust ocienionych długim, lecz cienkim wąsem wylatywały słowa szybkie, grubym rzucane głosem. Ta szorstkość głosu, porywczność mowy, niestałość wzroku znamionowały naturę żywą, która w innym położeniu mogła być snadnie sknąbnieć i zdziczeć. Wszelako przyświecające Jagielle zewsząd uśmiechy szczęścia i ludzi, długoletnie pieszczoty matki, która tak powszechnie wiadomy wpływ wywarła na charakter swojego syna, zleniwiły, ugłaskały wrodzoną rzutność i cierpkość.

Jakoż najwidoczniejszą cechą jego osobistości przedstawia się właściwa takim przedmiotom długiego rozpieszczenia miękkość, powolność, ociężałość umysłu. Jagiełło lubił do zbytku wczas, wylegał się do południa, trawił wiele czasu w gnuśnym spoczynku. Równie długie chwile więziły go u stołu uczt codziennych, wlokących się nieraz do sześćdziesiątej misy, ściągających mu zarzut zbytniego rozmiłowania w jedle. Ufny swojej szczęśliwej gwieździe, nie spieszył się wielki książę nawet w rzeczach najgorętszego życzenia, w drodze do zwycięstwa nad przeciwnikiem śmiertelnym. Co zaś na zewnątrz przybierało postać leniwej ociężałości, to w duszy objawiało się przeświadczonym o swoim sukcesie umiarkowaniem, wstrętnym wszelkiej przesadzie, przeciwnym stanowczemu zrywaniu z jakimkolwiek nieprzyjacielem. Zbyt skwapliwych żołnierzy upominał Jagiełło przysłowiem: „Na przód nie wyrrywaj się; z tyłu nie pozostawaj się.” Podobnie porywczy szermierze słowem otrzymywali przestroge: „Słowo wylata wróblem, powraca wołem.” Nawet przy ofiarach Bogu Najwyższemu nie zdało się Jagielle rzeczą rozumną żałować małego datku diabłowi.

Temuż szczęściu Jagiełłowemu, mianowicie nader czulej opiece matki, pieszczącej go przyzwyczajeniem do onych gnuśnych wygod, chroniącej go według tamtoczesnych wyobrażeń od wszelkich udręczeń edukacyjnych, należy przypisać dalszą właściwość naszego Olgierdowica, zbyt niedostateczne ukształcenie rozumu. Mimo łatwość o nauczycielów krzyżackich, mimo wzorów niepośledniej w tym względzie ogłady ojca Olgierda, stryja Kiejstuta, stryjecznego brata Witołda nie umiał syn Julianny ani pisać, ani czytać, nie mówił innym językiem jak tylko macierzystą ruszczyzną, znany był z swego „prostactwa”. Najprzykrzej raziła jego tępość umysłu tym, iż gdy Jagiełło w czymkolwiek popełnił raz pomyłkę, trudno było przywieść go do zrozumienia fałszu, acz nie nadrabiał uporem.

Ponieważ jednak ten brak rozwinięcia umysłowego nie pochodził z braku zdolności, przeto czuł go później bardzo dotkliwie terazniejszy pan Litwy i zostawał w ciągłej obawie, aby nie popaść z tej przyczyny w lekceważenie u ludzi. Zaczem opanowała go z czasem niezmierna drażliwość w tym przedmiocie. Pewnego razu w chęci schlebiana Jagielle użyli Krzyżacy w liście do niego wyrazów: „jak to wasza wielmożność w swojej wrodzonej mądrości sam łatwie pojmie”. Nieprzyjazny Zakonowi kanclerz Jagiełłów, odczytując mu list niemiecki, przełożył te wyrazy w sposób nieco szyderski. Ileż stąd gniewu spadło na Zakon! Ile przeproszących i uniewinniających się zapewnień wielkiego mistrza musiało koić urazę urojoną!

Drażliwość z powodu uraz mniemanych cóż nieodzownie wiodła za sobą, jeśli nie ciągle domniemywanie się onych? Stąd najnieodgodniejszym następstwem rozumowego przytępienia Jagiełły stała się nieograniczona podejrzliwość, upatrująca wszędzie zdradę przeciwko sobie. Zwłaszcza przyszłe jego małżonki, posadżane raz po raz o wiarołomstwo, cierpiały od tej wady. I władała ona tym zuchwałej jego umysłem, im powszechniejsza rzeczywiście demoralizacja epoki usprawiedliwiała ją w pewnej mierze, im staranniejsze samo wychowanie macierzyńskie przyzwyczaiło go używać w każdej chwili przeróżnych fortelów ostrożności w celu zapobieżenia zamachom na bezpieczeństwo, na życie.

Najpowszechniejszym z tych zamachów była wówczas trucizna. Wychowańcy XIX wieku, tak potępianego od wielu moralistów, cóż my wiemy o tej trucizniczej pladze stuleci średnich, stuleci mniemanego błogosławieństwa! Gdzie indziej możemy naczytać się o jej tysięcznych ofiarach z a g r a n i c ą . Tu dość będzie przypomnieć wypadki otrucia w samym gronie książęcym osób naszej powieści w kilkuletnim przeciągu czasu. „Zadawano” sobie tedy z niesłychaną lekkomyślnością. W roku 1392 zginął od trucizny jeden z najznakomitszych rodzonych braci Jagiełły. W roku 1394 zabiła ona drugiego. Prawdopodobnie w tym samym roku otruto dwóch synów Witołdowych. Około roku 1393 zamordowano trucizną księcia mazowieckiego, Henryka, brata Semka naszego. Mało co później zjadł ją „w czarnym pieprzu” nasz Zygmunt Luksemburczyk i tylko dzięki nadesłanemu od rakuskiego księcia Wilhelma lekarzowi, po najhazardowniejszej kuracji umknął śmierci. Lecz rodzony brat Wilhelmów, książę rakuski Albrecht, któremu wraz z Zygmuntem „zadano” w tym samym czarnym pieprzu, umarł w dni kilka. Tym samym zaś lekarstwem, które ocaliło Zygmunta, z przydatkiem smagania brzucha różgami uratował się podobnie od otrucia terażniejszy biskup krakowski Jan, sławny medyk, szczęśliwszy od kilku zmarłych spółtowarzyszów nieszczęścia.

Śród takiego pomorku nie dziw, że księżęta otoczeni mnogimi nieprzyjaciółmi, że dziedzi-ce wydzieranej sobie od tyłu spółzawodników wielkoksiążęcej korony Litwy, a między nimi zwłaszcza Jagiełło, mieli się na ostrożności. Przeróżne sposoby trucia zmuszały do szukania bezpieczeństwa w również rozlicznych, nieraz całkiem dziwnych środkach. Najwyklejszemu niebezpieczeństwu w kielichu biesiadniczym zapobiegał Jagiełło, jak jego ojciec Olgierd, jego stryj Kiejstut, jego stryjeczny Witołd, zupełną wstrzeźliwością od wszelkich trunków. Zapewne nierzadkie też podsuwanie trucizny w owocach zmierziło Jagiełła jabłka, mogące przed podaniem przechodzić wiele rąk ludzkich. Tylko słodkie gruszki zjadał nasz Olgierdowic z ukradka, spotkawszy szczególnie dobry owoc tego rodzaju nie przeznaczony dla siebie, a tym samym pewniejszy. Chroniąc się przysmaku albo naczynia zatrutego u stołu, zdziwiał on nieprzyjmowaniem półmisków ani nożów, nawet bielizny i sukien od kogokolwiek innego oprócz dworzan, którzy mieli sobie to powierzone.

W ogólności nie należało dozwalać zawsze przystępu lada komu. Konieczna zaś przeczność w wyborze osób wyradzała niejako drugą konieczność – zbyteczne poleganie na pewnych wybranych raz powiernikach. Szkodliwa też skłonność ku podszeptom oszczerców i zauszników, przyczyna tylu w życiu utrapień dla niego i dla innych, to druga wada rozumowej niedojrzałości syna Julianny. Obydwie, podejrzliwość i chęć podstępcom ucho, przy pomocy nieograniczonego samowładztwa wielkich książąt litewskich wystarczyłyby do zrobienia kogo innego tyranem. Tymczasem w życiu Jagiełły przeminęły one lekkim cieniem domowym, bez wpływu na losy rządzonych ludów. Większego wpływu nie dopuściło im zacne serce Jagiełły.

Obok ubóstwa rozumowego jakież za to bogactwo serca! Przyznawa mu to sędzia raczej przeciwny niż bezstronny, wchodzący w najdrobniejsze szczegóły jego życia. Wszystko, co tu opowiadamy o Jagiełle, płynie z tak wiarogodnych, bo zgoła oziębłych dla niego ust. Owóż uderza naprzód w rozpieszczonym miłośniku spoczynku sama potęga namiętności. Wszelkie nałogi gnuśnego wychowania, wszelkie wpojone nim zasady moralnej leniwości Jagiełły nie zdołały przeszkodzić temu, aby przy lada zdarzeniu nie zagrała w nim krew. Żądze zmysłowe

aż nadto żywo bodły go do lat późnych. W nagłym wzburzeniu gniewu gotów był księżę porwać własną ręką natręta i wtrącić go do turmy. „Ty do mnie z pergaminem, a ja do ciebie z dzidą!” – odpowiadał on swoim prędkim, grubym głosem Krzyżakom, gdy wreszcie nie stało mu cierpliwości. Z tej przyczyny powstrzymywano go od osobistego udziału w podobnych konferencjach, aby łatwo rozplomieniona iskra namiętności wbrew owym maksymom przyswojonego umiarkowania nie rzuciła pożogi w rozmowy spokojne.

A jakże namiętnie oddawał się Jagiełło głównej życia swego rozkoszy, polowaniu! Pierwszy łowca swojego czasu, utapiał on w nim wszystkie swoje myśli, chęci, nadzieje. Nie było pory roku lub życia, w której by mu ono zubożało. W przerwie zwykłych zabaw myśliwskich lubił wielki księżę przypatrywać się szczerwaniu byków. Pobłażliwy we wszystkim, nie przebaczał on żadnemu przewinieniu w rzeczach łowiectwa. „Myśliwiec od dzieciństwa”, pozostał on nim do zgrzybiałej starości. Jeszcze jako 75-letni starzec złamał Jagiełło nogę goniąc w Białowieskiej Puszczy niedźwiedzia. Kiedy inni upadali na siłach, on dniem i nocą, nie czując mrozów i niepogody, przedzierał się przez śniegi, bagna, zarośle, skory do obsypania złotem znużonych towarzyszy, byle dotrzymali mu kroku. Niemało też skarbów utonęło w ręku łowców i psiarzy. Poważne osoby, obce ponętom zabawy leśnej, sarkają nie bez zadróżki na szafowanie dochodów publicznych ludziom niegodnym.

Wszakże nie brakło i godniejszym. Gdyż serce księżęce nie ograniczało się bynajmniej na zamilowaniu myślistwa. Poznawszy jego żywość namiętną, poznajmy je z innej strony. Zewsząd ono godne współczucia i chwały, nie wzbranianej mu nawet „przez surowych przyganiaczy łowiectwa. W dziecinnej szczerocie swojej nie znał Jagiełło cienia obłudy, „nie umiał ukryć niczego”. Urazy doznane szły dziwnie prędko w niepamięć. Komu innemu zaś wyrządzoną zniewagą, gdy nadeszła chwila uznania winy, przebłagał księżę ze łzami w oczach, na klęczkach. Co do jego miłosierdzia, dobroci, rzadkiej ludzkości, żaden chwalcą nie mógłby przyznać mu więcej od onych osób poważnych, nie przebaczących mu wady najmniejszej. Przeciw koniecznemu zwyczajowi władców dziczy litewskiej, zniewolonych panować krwawym postrachem, wzdrygał się Jagiełło wszelkiego przelewu krwi. Jak mu łatwo było nagradzać, tak trudno karać. Stąd najwinniejsi nierzadko otrzymywali przebaczenie; zwyciężeni mogli być pewni łaski.

Troskliwość dla wdów, sierot, ubogich, których sprawy księżę zwyczajnie sam rozsądzał lub szczególnej prawości sędziom poruczał, bywa mu osobną pochwałą pamiętana. „Sprzed oblicza księżęcego – mniemał Jagiełło – nie powinien nikt odchodzić bez pociechy.” Choćby więc małym datkiem; choćby upominkiem w złotogłowie, w suknie lub soli żegnała zawsze łaska pańska poddanych. Wdowy, sieroty, biedni odnosili dwójnasób. Pragnąc wzajemnych oznak przychylności i czci przyjmował Jagiełło z upodobaniem podarki, acz najmniejsze, odpłacane nagrodą „dwakroć większej wartości”.

Przypadkową lub umyślną gościń u któregośkolwiek z panów możniejszych wywdzięczała darowizna sowita. Po każdym łowach zimowych rozsyłane bywały nie tylko panom, lecz i mniej zamożnym osobom solone upominki zwierzyny. Ponieważ zaś ośmieleni łaskawością poddani nieraz zbyt wielkich domagali się datków, przeto miewał Jagiełło zwyczaj dawać tylko połowę tego, o co proszono. Należy to do najpiękniejszych rysów jego dobroci. Służy bowiem za dowód, że ta chęć „pocieszania” ludzi nie płynęła ze ślepego pochopu do rozdawnictwa, lecz rzeczywistej, świadomej swego celu ludzkości.

I nie były to jedyne zalety serca Jagiełłowego. Nad pociechę codziennej dobrotliwości znało ono jeszcze wzruszenia wyższe, wspanialsze. Zaciągniętym obowiązkom dochowywał Jagiełło jak najsumienniejszemu wiary, a uczyniona Krzyżakom obietnica przyjęcia chrześcijaństwa w ciągu lat czterech zapewne niepoślednio wpłynęła na jego teraźniejsze zamysły. „Widok każdego szlachetnego czynu, czy to na wojnie, czy w domu rozgrzewał mu serce”, pobudzał

do radości i pochwał, otwierał rękę do nagród. Pod jego okiem najwaleczniejsi stawali się jeszcze waleczniejszymi, lada ciura skrętnym i mężnym. „Stąd prawie wszystkie wojny Jagiełły miały niezwykle powodzenie.”

Co owa leniwość książęca zawiniła, to jego pochop do ocenienia zasługi powetował. Zwłaszcza iż kto raz zacnym czynem zwrócił oczy na siebie, ten już na długie lata zaskarbił sobie łaskę książęcą. Tylko urazy szły w zapomnienie; przysługom nigdy nie wygasła wdzięczność. Jakoż ta pamięć serca zdobi je niewymownie poważnym wdziękiem. To dobrotliwe serce ujmuje jeszcze niezwykłą głębokością uczucia. Oddając się jakiemukolwiek przywiązaniu, oddawało się ono całe, na zawsze. Gdy losy późniejsze zniewoliły Jagiełłę spędzić drugą połowę życia z dala od Litwy, w stronach piękniejszych, wszelkie zalety i powaby tych nowych stron nie zdołały oziębic mu serca do ubogiej, rodzinnej Litwy. Pieśń słowika litewskiego, droga mu z wspomnień młodzieńczych, podsluchiwana w starości pod obcym niebem, była ostatnią przyjemnością jego życia, powodem jego śmierci. Malowidło i budownictwo ruskie, przypominające Jagielle strony ojczyste, zdawało mu się zawsze piękniejszym nad wszystkie inne. Owszem, dla tej głęboko uczuciowej natury nie było całe wdzięku, gdzie nie było pociągu serca.

Stąd zupełna w niej obojętność dla wszelkich świecideł i próżnostek zewnętrznych, dla korzyści światowych. W wieku, kiedy wszyscy zbytkowali strojem błyszczącym, on chodził w prostym tołubie, nie cierpiał złota na sukni. Śród pokolenia chciwego i sprzedajnego on „nie miał zgoła serca dla wziętku”. Nawet korona późniejsza, o tyle wyższa nad wielk książęcą mitrę litewską, nie przekupiła go. „Pomny zawsze dawnego chudopacholstwa”, był Olgierdowic w każdej chwili gotów złożyć ją w cudze ręce i wrócić nazad do pierwotnej mierności. Tylko prośby nowych poddanych odwiodły go od tego. Gdy zaś jakiegokolwiek życzenie serca, choćby istne dziwactwo, padło sporem pomiędzy Jagiełłę a tę koronę, potrzeba było najusilniejszych starań, aby mu nie dopuścić otrząśnienia się z niej. „Już was prosiłem – odzywa on się natenczas do swoich nowych poddanych – abyście odebrali sobie waszą koronę i pozwolili mi wrócić do mojej Litwy dziedzicznej. Tylkoż tego i dzisiaj żądam od was!”

Taka przewaga skłonności wewnętrznej nad wszelkimi innymi względy tłumaczy wreszcie pewną mniej zrozumiałą okoliczność. Ten uczuciowy, ten dobrotliwy Jagiełło – jak ów surowy sędzia jego oznajmia – nie kochał „żadnej” z swoich przyszłych małżonek. Jest to wiadomość niezupełnie dokładna. Gdyż wspomnianą tu ofiarę z korony chciał Jagiełło uczynić właśnie dla zapewnienia sobie ręki jednej z małżonek swoich, namiętnie ukochanej. Lecz gdyby nawet prawdą, byłoby to w istocie rzeczą niezrozumiałą? Czy, owszem, nie wypadaloby zgodzić się na to, że im samowładniejszym był głos uczucia, tym mniej łatwo przestawało serce na poniewolnym, niejako narzuconym sobie przedmiocie przywiązania, jakim zazwyczaj darzą małżeństwa dyplomatyczne? Skore do całkowitego oddania się, pragnęło ono oddać się z własnej woli, według własnego wyboru. Poniewolność mogła oziębic dla anioła.

Już samo z siebie wynika, iż tak niezwykła uczuciowość usposabiała do wzruszeń religijnych. Mniejsza w porównaniu obfitość i uprawa rozumu nadawała tym więcej siły temu usposobieniu. Toż nie znaleźć pobożniejszego książęcia nad Jagiełłę. W całym jego życiu późniejszym ujrzym go codziennie w modłach gorących, często w pielgrzymkach pobożnych, nawet śród bitwy na klęczkach. Wtedy wojenne jego czyny spleją się nierozłącznie z zasługami religijnymi, sława zwycięzcy przygaśnie od sławy apostoła. W obecnym jednakże stanie pogaństwa wszelka religijność Jagiełły ograniczała się na praktykę pewnych obrzędów gusłarskich, pewnych od matki Rusinki przejętych zabobonów. Teraz uwaga książęca czuwała głównie nad tym, aby przy rannym wstawaniu z łoża nie stąpić pierwaj lewą niż prawą nogą, bo to wróży dzień nieszczęśliwy. Przy goleniu brody wtykał książę włosy ucięte pomiędzy palce i polewał je wodą. Przed wyjściem należało obrócić się trzykroć w koło i trzykrotnie złamaną słomę rzucić poza się.

Jeśli te uroki nie przynosiły pożytku w chwili obecnej, tym ci bardziej mogły one szkodzić czystszielczemu światłu wiary późniejszej. A był Jagiełło dziwnie chciwym światła i sławy. Ubogi w rozum, podejrzliwy, lecz pełen serca, głęboko religijny, pałał on przy tym żądzą zasłynienia przed światem, mianowicie przed tym światem polerowanego Zachodu, który jego prostaczość malowała mu tym pełniejszym dziwów i blasku. Przy jego obojętności dla wszelkich skarbów i błyskotek zewnętrznych, przy łatwej do zaspokojenia namiętności myśliwskiej, wreszcie przy właściwych tak bujnym sercom zachciwach wyobraźni stała się ta żądza chwały światowej może najżywszym bodźcem życzeń i życia.

Dla niej gotów był Jagiełło uczuć zazdrość na widok chwały stryja Kiejstuta i wejść w zabójczy przeciw niemu spisek z Krzyżactwem. Dla niej w życiu powszednim nadstawiał on zbyt chętnie ucha chwalcom i pochlebiaczom. Dla niej każdemu z gości zagranicznych uśmiechało się nader łaskawe i okazałe przyjęcie: Dla niej nie wahał się Jagiełło później ścigać na siebie nawet żale i wyrzekania swoich dawnych poddanych, zmuszanych przezeń do zbytńskiego asymilowania się ludom zachodnim. Nie dość naturalna proporcja między miernością rozumu a żądzą sławy spaczyła poniekąd całą postać Jagiełły, wpłynęła nawet niepomysłnie na jego serce, które na widok niemożności dorównania prawdziwie wielkim duszom mogło na chwilę spowszednieć, zmaleć. Toż gorące pragnienie chwały światowej przyczyniło się wreszcie do skierowania Jagiełły ku tym zamysłom zagranicznym, które spowodowały bliższe tu rozpatrzenie się w jego obrazie.

Nasz prostoduszny a czci żądny Jagiełło powziął myśl zostać królem sąsiedniego państwa polskiego, małżonkiem młodocianej królowej polskiej, najpiękniejszej królowy swojego czasu. Garnęła się ta fortuna prawie sama ku niemu, a ofiarowany za nią okup, rozbrat z pogaństwem, świecił raczej pozorem niżli istotą rzeczy. Jakkolwiek bowiem wielki był dar, który uczynić mógł Polsce Jagiełło swym pochrześnictwem, umniejszała go przecież o wiele okoliczność, iż prędzej czy później, bądź to dla nacisku Krzyżaków, bądź z innych przyczyn musiał Jagiełło przynieść go komuś. Cała przeto wartość ofiary jego polegała dla Polski w tym, iż Jagiełło nie gdzie indziej, tylko w Krakowie, nie inny, tylko „polski” ślubował przyjąć obrządek.

Reszta pożytków z ochrzczenia i powołania syna Olgierdowego na tron Jadwigi wynagradzała się Polakom równą miarą korzyści, jakie wzajem Jagiełło odnieść miał od Polaków. Za uwolnienie od napadów litewskich dawali Polacy pomoc przeciw Krzyżakom. Nadzieję szerokich nadań ziemskich w bezludnych krainach ruskich, uśmiechającą się możnowładzcom koronnym, odpłacał Jagiełło zaszczyt osiągnięcia jednej z nieostatnich w Europie koron królewskich, w porównaniu z którą pogańska godność wielkiego księcia Litwy zdawała się chudopacholstwem. Ograniczała się tedy przewyżka korzyści polskich na chwałę apostołstwa – chwałę, którą w obecnym stanie Litwy lada kto, lada chwila, jak prześcigły już owoc, zerwać mógł pierwiej niż Polska. W takim zaś składzie rzeczy nastęrczająca się Jagiełło fortuna polska może liczyć przed wszystkim do owych darów niebios, jakie od dzieciństwa płyną pieszczonemu ulubieńcowi losów.

Jakoż nie zaniedbał on korzystać ze swego szczęścia. W kilka miesięcy po przejednaniu Witolda, zapewne mało co przed wydzieleniem mu księstwa grodzieńskiego i coraz groźniejszą na widokręgu burzą krzyżacką, pierwszych dni roku 1385 wyprawił Jagiełło świetną drużynę posłów i dziewosłębów do Polski.

Przewodził poselstwu rodzony brat Jagiełłów, Skirgiełło, książe na Połocku i Trokach. Był on już (jak o tym list krzyżacki do matki Jagiełłowej nadmienia) chrześcijaninem w obrządku wschodnim, a wszystkie sprawy dotychczasowe przedstawiają go najglówniejszą po Jagiełło osobą Litwy. Syn teje samej matki, w łaskach u brata Jagiełły, towarzyszy Skirgiełło od dawna wszystkim krokom wielkiego księcia, służąc mu za doradcę i współuczestnika w onych tajnych zмовach z Krzyżakami przeciwko Kiejstutowi, w scenie poddania się i uwięzienia Kiejstuta, w dalszych zjazdach z krzyżackimi Niemcami na Dubissie i przy każdej in-

nej okoliczności. Toteż gdy upadek Kiejstuta opróżnił księstwo trockie, drugą stolicę Litwy, odziera ją przeciw Witoldowi Skirgiełło, a nawet powrót Witoldów nie wyzuwa go z niej. Rozżalony Witold przestaje na Podlasiu i Grodzie, a jego Troki ojczyste pozostają nadal w ręku Skirgiełły, spółuczestnika fortuny Jagiełłowej.

Z tymże „wałnym, przedniejszym i najwyższym” – jak go Jagiełło nazywa – posłem dzielili trudy legacji dziewosłębiej przyrodni wielkiego księcia brat, Borys, drugi książę litewski „stryjec” Jagiełłów, Olgimunt, wreszcie wielkorządca wileński, Hanko. O pierwszym z nich opowiadają zwyczajnie, iż opuściwszy przed dwudziestu laty rodzinę i ojczyznę błąkał się przez ten czas po obczyźnie teutońskiej, po zamkach krzyżackich i dworach książąt niemieckich, gdzie przyjął chrześcijaństwo zachodnie i ogładę światową, a za szczęśliwym powrotem do ojczyzny sprawował teraz obowiązek obeznanego z cudzoziemczyzną swata i dyplomaty. Wielkorządcę Hanka, onego „mieszczanina rygańskiego”, który niedawno dopomógł Jagielle do pokonania Kiejstuta, a odtąd pełnił u niego rolę jednego z najzaufanych doradców, znamy podobnie biegłym w ówczesnych sprawach dyplomatycznych, mianowicie częstym pośrednikiem w rokowaniach z Zakonem.

Składało się więc nasze poselstwo swadziebne z ludzi nader znamienitych i ogładzonych, z chrześcijan, z czoła senatu litewskiego. Trzech głównych posłów otaczał odpowiedni orszak bojarów i dworzan wielkoksiążęcych. Zwyczajem wieku szły z nimi „bogate dary” dla oblubienicy koronnej, niepoślednie upominki dla panów rad koronnych. Jeszcze kosztowniejsze obietnice korzyści, jakie odnieść miała Polska z ofiarowanej przez posłów ręki wielkiego księcia Jagiełły, dodawały otuchy dziewosłębom. Zresztą nie pierwsi oni orędowni między Litwą a Polską. Jak panowie krakowscy do Jagiełły, tak i Jagiełło do Krakowa niejednokrotnie poprzednio wyprawiał zwiady. Stąd wiedziano dokładnie w Litwie, jak stoją sprawy Polski i jej królowej. Nie tylko sam kontrakt ślubu Jadwigi z księciem rakuskim, lecz nawet najdrobniejsze szczegóły tegoż układu, mogące przeszkadzać ślubom z Jagiełłą, nietajne były posłom i zleceniom wielkoksiążęcym. A niosąc wszelkie środki ułatwienia swej propozycji, niosąc znaczne zyski Polsce, a podarki Jadwidze mogły swaty litewskie śmiało stawać w Krakowie.

Stały one tam w połowie stycznia r. 1385. Za przybyciem na zamek wyznaczono im so lenne posłuchanie. Zgromadzili się w niezwykłej liczbie najprzedniejsi urzędnicy koronni tak duchowni jak świeccy, ów biskup krakowski Jan Radlica, stary „pan krakowski” Dobiesław, młody wojewoda Spytek, wielkorządca Sędziwoj, z całą resztą poblizszych kasztelanów i grodozierców. Zasiadła na tronie sama Jadwiga. Jużci wiadomy jej był przedmiot poselstwa. Pomimo to nie wzbudzało ono zbyt wiele w niej postrachu. Czternastoletnia królowa polska okazuje się w całym życiu późniejszym pełną uczucia swojej godności królewskiej. Zresztą przychylna towarzyszowi swego dzieciństwa, miała się ona za nierozzerwanie połączoną z nim oblubienicę, za jawną wobec Kościoła małżonkę Rakuszana Wilhelma, z którym tak uroczyste poślubiono ją w siedmiu leciech w Haimburgu.

Stąd terazniejsze swaty litewskie, jakkolwiek trudne do uniknienia, nie mogły w rozumieniu Jadwigi spodziewać się wcale skutku pożądanego, a tym samym stać się w istocie groźnymi „małżonką” Wilhelmovej. Względy dla możnego księcia pogańskiej Litwy nakazywały dać posłuchanie jego odezwie, lecz spełnienie żądań posłów litewskich należało do niepodobieństw. I był nawet nietrudny sposób odwrócić od siebie starania Jagiełłowe. Zapewne w porozumieniu z przychylnym Wilhelmovi stronnictwem dworskim postanowiła Jadwiga użyć teraz sposobu tego w bliskiej odpowiedzi dziewosłębom litewskim.

Właściwe onym czasom zamiłowanie w ceremoniach podnosiło rzeczywistą powagę chwili. Wprowadzono posłów litewskich. Zamiast powszechnego w zachodniej Europie przyklęknięcia przed osobą królewską powitali oni piękną dziewczę na tronie wschodniej czołobitni zwyczajem. Naprzód odbyło się uroczyste złożenie i przyjęcie świętych darów książę

cych, złożonych w znacznej części z bizanckich zapewne ozdób i kosztowności. Potem wystąpił rodzony brat Jagiełłów, wódz poselstwa, Skirgiełło, i wobec całej rady królewskiej przemówił w te słowa do Jadwigi:

„Już to wielu cesarzów, królów i książąt chrześcijańskich starało się i pragnęło zawrzeć sojusz dozgonnego pokrewieństwa z wielkim książęciem Litwy, Jagiełłą Olgierdowicem. Wszakże dopiero osobie waszego królewskiego majestatu zachował Bóg wszechmogący osiągnięcie tego zamiaru. Przeto ze względu na tak zbawienne zrządzenie tajnych wyroków Bożych racz Wasza Miłość Królewska przyjąć pomienionego wielkiego księcia Litwy za małżonka swojego. Co gdy pożądanym uwieńczone zostanie skutkiem, urośnie stąd obficie chwała Boża, korzyść duszna, cześć ludzka i potęga królewska. Wielki książę Jagiełło wraz z wszystkimi braćmi swoimi, jeszcze potąd nie ochrzczonymi, tudzież z wszystką szlachtą i ziemianami swych krajów od najwyższego do najmniejszego chce, pragnie i życzy sobie przyjąć wiarę katolicką w św. Kościele rzymskim. Nad którym to dziełem, jak powiedziano, pracowało wielu cesarzów i książąt przeróżnych, lecz nie mogło po dziś dzień zdążyć do celu. Aż dopiero Waszej Królewskiej Miłości zachował Bóg wszechmogący tę sławę. Zaczem w tym większą jawność i pewność swoich oświadczyń przyrzeka tenże wielki książę Jagiełło użyć wszystkich swoich skarbów ku odzyskaniu uszczerbków państw obojga, tak Polski jako i Litwy, jeśli Wasza Królewska Miłość oddasz mu swoją rękę. Podobnie przyrzeka tenże wielki książę Jagiełło wypłacić sumę dwakroć stu tysięcy florenów, umówioną tytułem zakładu między najjaśniejszą królową węgierską, matką Waszego Królewskiego Majestatu z jednej, a książęciem rakuskim z drugiej strony. Przyrzeka też i obowiązuje się wielki książę Jagiełło odzyskać własnym kosztem i trudem wszelkie straty i uszczerbki Korony Polskiej, przez kogokolwiek oderwane i zagarnięte. Dalej przyrzeka wielki książę uwolnić wszystkich chrześcijan, w szczególności ludzi obojej płci, uprowadzonych obyczajem wojennym z ziemi polskiej, tak iżby każdy i każda z nich mógł i mogła dokądkolwiek powrócić z Litwy. Na koniec przyrzeka tenże wielki książę Jagiełło wcielić swoje litewskie i ruskie ziemie na wieczne czasy do Korony Państwa Polskiego.”

Rozradowały się serca rady koronnej słysząc te obietnice. Przyszła kolej na odpowiedź królowej. Jadwiga odpowiedziała, iż będąc zaślubioną z księciem rakuskim, winna dochować mu wiary. Zresztą gdyby nawet chciała wysłuchać życzeń wielkiego księcia Jagiełły, zachodzi trudność ze strony matki. Królowa Elżbieta obowiązana jest dawnymi paktami do związku z domem rakuskim. Sprzeniewierzenie się im przez Jadwigę naraziłoby matkę na wiarołomstwo. Od niej więc zależy ostateczne rozstrzygnięcie tej sprawy. Do niej też odseła Jadwiga posłów litewskich. Matka – domawiała w duchu oblubienica Wilhelma – nie może przystać na żądania litewskie, tak sprzeczne z całym dotychczasowym biegiem wypadków, z dawnymi życzeniami i widokami zmarłego ojca Ludwika, z wiadomą wreszcie skłonnością córki.

Posłowie litewscy zgodzili się na dalszą podróż do Węgier po odpowiedź z ust samejże matki królowej. Jakieś nieprzewidziane przeszkody, zapewne grożąca Litwie wojna krzyżacka, nie dozwoliły wprawdzie głównemu posłowi, księciu Skirgiełle, udać się osobiście nad Dunaj, lecz dokładny list wierzytelny uppełnomocnił ku temu w imieniu Skirgiełłowym dwóch innych dziewosłębów, to jest księcia Borysa i starostę Hanka, czyli Hanulę. Dla tym skutecznego poparcia starań litewskich przydała rada krakowska osobnych ze swojej strony wysłańców, mających zapewnić królowę węgierską o przychylności narodu dla zbawiennych Polsce życzeń Jagiełły. Byli tymi pomocnikami polskimi Włodek z Ogrodzieńca, podczaszy krakowski, Mikołaj z Ossolina, kasztelan zawichostski, i Krystyn z Ostrowa, starosta, czyli dzierzawca kazimierski. Wzmocnione tak poselstwo litewsko-polskie wybrało się wrychle na dwór węgierski, aby tam sprzymierzonymi siłami nad wspólnym pracować dziełem.

W Węgrzech znaleźli posłowie nader przyjazny stan rzeczy. Zdarzyło się nam wspomnieć już kilkakrotnie, iż królowa Elżbieta nie wielce rada była swoim zięciom niemieckim. Spo-

dziewane dawniejszymi czasy dopełnienie ślubów z jednym z obu natrętów alemańskich, tj. Wilhelmem Rakuszanem, poszło w odwłokę. Posłużyła przeciw niemu wymówka, że Polacy domagają się wybrać Jadwidze małżonka po własnej myśli. Nie chcąc pozbawiać Jadwigę, a tym samym jej przyszłego męża widoków tronu polskiego dopuścił dom rakuski dwuletniej przerwy w traktatach ślubnych. Zawsze atoli krzepiła go nadzieja, że po koronacji Jadwigi dostąpi Wilhelm z łatwością jej ręki i korony. Tymczasem przemyśliwała królowa Elżbieta nad pozbyciem się zięcia *d r u g i e g o*, Zygmunta Luksemburczyka.

Lubo jeszcze na rok przed Wilhelmem zaręczony z terazniejszą młodą królową węgierską Marią, nie uchodził Zygmunt w Węgrzech za króla i równie jak Wilhelm nie osiągnął jeszcze małżeństwa zupełnego. Co więcej, zarzucając mu dziką płochość, którą młodzian obrażał ciągle matkę Elżbietę i dostojników węgierskich, a z której nawet dojrzsze nie wyleczyły go lata, zmuszono Zygmunta opuścić nareszcie Węgry i przyszlą żonę, powrócić do swego margrabstwa brandenburskiego. Tym sposobem stała się królowa Elżbieta niejako wolną od zobowiązań względem zięciów obudwóch, panią losów obudwóch córek. Zwłaszcza też nad Marią w Węgrzech zawładnęła teraz przeważnie ręka wdowy Ludwika.

Dopomagał jej w tym samorządztwie niewieścim, bardzo niemiłym pewnej wyjątkowej części narodu, przechylającej się swoim zdaniem na stronę związków z zięciami dotychczasowymi, z dworami niemieckimi, pierwszy z dostojników węgierskich, palatyn, czyli wielki hrabia koronny, Mikołaj Gara, przewodnik stronnictwa przeciwnego, dążącego do związków antyteutońskich. Dzięki ścisłemu w tej mierze porozumieniu z królową Elżbietą posiadał teraz tenże palatyn Mikołaj główną władzę w królestwie. Elżbieta okazywała się tak dalece powolną jego radom, iż rozniosły się pogłoski, jakoby matka Jadwigi kochała się w palatynie. Bądź jak bądź, zgodność obojga w niechęci ku narodowości zięciów królewskich groziła obudwom zięciom coraz większym niebezpieczeństwem. Nie przestając na wydaleniu Zygmunta z Węgier postanowiła matka Elżbieta oddać oblubienicę Zygmuntową w rzeczywiste małżeństwo komu innemu. Droga do przeciwnych teutonizmowi związków wiodła znad Dunaju zawsze ku południowym Włochom lub Francji. Z teje obojej strony miała teraz Elżbiecie, wielkiemu hrabiemu Mikołajowi i całemu antyteutońskiemu stronnictwu przybyć pomoc przeciwko Zygmunтови.

Wyprawilo się z woli królowej Elżbiety podwójne poselstwo do Francji i Neapolu. Pierwsze z niezwyčajnym przepychem w 150 koni występując starało się u dworu francuskiego o związek małżeński między młodocianą królową Marią a bratem francuskiego króla Karola, Ludwikiem hrabią Walezkim, później książęciem Orleańskim. Był to ten sam królewic, któremu zmarły ojciec Jadwigi jeszcze przed laty dwunastu przeznaczył w małżeństwo najstarszą z córek, zmarłą królowę Katarzynę. Ale ponieważ ten oblubieniec francuski, jak wszyscy oblubienicy onego czasu, pomimo *d a w n e* negocjacje weselne był teraz dopiero czternastoletnim wyrostkiem, więc należało znaleźć tymczasowo dla młodocianych małżonków i dla korony węgierskiej doświadczniejszego sprzymierzeńca i opiekuna.

Takim zdał się bratanek nieboszczyka króla Ludwika, a tym samym i królewskiego domu Francji, Andegawęńczyk Karol Mały, książę Durazzo, niegdyś wychowany na dworze Ludwikowym, teraz za jego przyzwoleniem i pomocą pan królestwa neapolitańskiego. Do niego więc udało się *d r u g i e* poselstwo węgierskie, wzywając go do wynagrodzenia dzieciom Ludwikowym dobrodziejstw ojca przez zasłonięcie ich od nieprzyjaciół wewnętrznych i zewnętrznych, jakimi mogli być naprzód czescy Luksemburczyki, mszczący się wygnania Zygmunutowego, a następnie Zygmunтови stronnicy w samychże Węgrzech. Wszystko, co żyło, dawało głośne świadectwo, iż sama królowa Elżbieta utorowała Karolowi Małemu w ten sposób drogę do Węgier. Sprawa *p i e r w s z e g o* poselstwa po oblubienca z Francji wymagająca dłuższego czasu, (bo najpierw przedugodnej odpowiedzi z Paryża, a potem powtórnego poselstwa z Węgier dla istotnego już sprowadzenia królewica Ludwika nad Dunaj musiała z tej przyczyny zacząć się wcześniej, może już w zimie z roku 1384 na rok 1385. Po-

wrócili posłowie węgierscy z Paryża w towarzystwie wzajemnego poselstwa francuskiego, sprawowanego przez biskupa Mailleretskiego i pana Jean la Personne, który po zupełnym ułożeniu rzeczy „zasłubił oblubienicę w imieniu nowożeńca i był z nią według zwyczaju połączony obrzędem pokładzin ślubnych”.

Drugie poselstwo, do Neapolu po Karola, odbyło się nieco później. W pierwszej połowie roku 1385 były obadwa już zagajone. Obadwa rokowały zarówno pomyślny skutek. Jak królewic francuski, Ludwik, tak i pan Neapolu, Karol, okazał się gotowym do podróży w strony węgierskie. Po narzeczonego francuskiego wyruszyło powtórne poselstwo węgierskie, przeznaczone do sprowadzenia go w przeciągu kilkunastu tygodni. Nim obaj goście znad Sekwany i z Neapolu w jednym i tymże samym miesiącu wrześniu roku 1385 mieli opuścić Francję i Włochy, aby się udać nad Dunaj, oczekiwano ich tam z gorącą niecierpliwością. Dopiero bowiem przybycie obudwóch potomków francusko-królewskiej krwi obiecywało dokonać dzieła, nad którym obecnie pracowano tak silnie, tj. uwolnienia się od jednego z zięciów teutońskich, od Zygmunta Luksemburczyka.

W takim stanie rzeczy przybyło poselstwo litewsko-polskie, żądające ostatecznego uchylecia zięcia drugiego. Nie można było z pomyślniejszym występować żądaniem. Witano je wszędzie z otwartymi ramionami. Jeśli królowa Elżbieta z prywatnych, osobistych pobudek nie sprzyjała zięciom niemieckim, tedy całemu stronnictwu narodowemu, które teraz rej wiodło w Węgrzech, chodziło z publicznych powodów o to, iżby także w Polsce nie teutoński panował król. W tej mierze istniało między Polakami a znaczną częścią Węgrów już teraz owo spółczucie zdań, które kilkadziesiąt latami później syłało tak spółzałośne listy od prałatów, panów i szlachty węgierskiej do prałatów, panów i szlachty polskiej. Sami Małopolanie nie mogli goręcej pragnąć Jagiełły, jak mu sprzyjali Węgrzy. Teraźniejszy wszechwładzca Węgier, miły Elżbiecie palatyn Gara, popierał sprawę litewską. Pozostały owszem świadectwa, iż on to głównie zniewolił królowę do oświadczenia się za Jagiełłą.

Za Wilhelmem, za osobistą skłonnością Jadwigi nader słabe mówiły względy. Przychylność serca młodocianego zdawała się łatwą do poskromienia. Paktów rakuskich bronił chyba Szlązak Opolczyk, dawny spółświadek i spółporęczyciel ślubów haimburskich. Utrzymując ciągle ich prawomocność miał on tymi czasy nieprzyjazne zajście z przeciwnikiem Wilhelma, ulubionym Elżbiecie palatynem, dotyczące (jak się zdaje) zagrożonych ślubów Jadwigi. Doszło jednakże o tym jedynie tyle do wiadomości, iż w zimie z roku 1384 na 1385 stanęła między palatynem Mikołajem a księciem Władysławem Opolskim pisemna po jakimś ważnym sporze ugoda, zapewniająca królowej Elżbiecie spokojną odtąd uległość obudwóch przeciwników. Zawarta w tym akcie wzmianka o przyzwoleniu i zgodności „królowej polskiej Jadwigi” naprowadza na myśl, iż uciszona w ten sposób waśń obchodziła w pewnym względzie sprawę Jadwigi.

Bądź jak bądź, życzliwe chęci Opolczyka nie polepszyły widoków rakuskich. W nadmienionym tu dokumencie ugody zapiera się on w ogólności wszelkich przyjaznych stosunków z „nieprzyjaciółmi i przeciwnikami królowej”, a w niedalekim czasie, mimo ciągłych konszaktów z domem książąt rakuskich, obaczym go coraz przychylniejszym Jagielle. Nie było więc nikogo, co by skutecznie ujął się za Wilhelmem. Poselstwo litewsko-polskie znalazło otwarte wszędzie wrota i serca.

Nie przeszkodziło to przecież długim traktatom. „Chłopski rozum” onego czasu byłby sobie za największą poczytał krzywdę, gdyby mu odjęto sposobność do rozwlekłych nad czymkolwiek narad, zastanowień, wątpliwości, targów i wielce zwodnych upewnień. „Mnogie więc dni” upłynęły, nim ostateczna nastąpiła odpowiedź. W tym przeciągu czasu mogli nasi litewscy i krakowscy posłowie napowtarzać się do woli swoje ofiary i oświadczenia. Mianowicie ponowiła się w stolicy węgierskiej, Budzie, uroczysta scena posłuchania wobec starszej królowej, uświetniona mową głównego teraz posła, księcia Borysa, w której usłyszano znowuż z podziwem, jak to wielu cesarzów, królów i książąt pracowało nad chrztem Jagiełły, a dopiero domowi andegaweńskiemu dane zostało szczęście odnieść palmę tego dzieła zbawienia.

Odezwały się znane już obietnice przyjęcia religii katolickiej, użycia skarbów książęcych do odzyskania uszczerbków Korony Polskiej, zwrotu zastrzeżonych układem rakuskim dwadzieścia tysięcy florenów, uwolnienia jeńców chrześcijańskich, wieczystej unii Litwy z Koroną. Wypływające stąd korzyści zanadto były w oczy, aby się nimi nie miała rozradować matka Jadwigi. Wypadało jednakże okazać obojętność, nawet trudność w przyjęciu. Jeśli Jagiełło pragnął jak najkorzystniej sprzedać swoje pogaństwo, toć wymagała przystojność ówczesna po Elżbiecie podrożyć się nawzajem. Właściwa ofiara kupna, osobiste chęci Jadwigi, nie szły na wagę. Przytoczono jedynie obowiązującą moc pergaminów, ponawiane tylokrotnie umowy i ceremonie.

Z dnia do dnia przeciągała się sprawa. Obyczaj czasu zniewalał do zakończenia jej pośrednictwem. Stanęli jako rozjemcy między matką królewską a dziewczętami litewskimi towarzyszący im panowie posłowie polscy. Nie dla swego domu, nie dla Jadwigi (było zdanie panów krakowskich Włodka z Ogrodzieńca, kasztelana Mikołaja Ossolińskiego i starosty Krystyna), lecz dla Polski powinna królowa przyjąć oświadczenie Jagiełły. Polska poczytuje sobie związek z Litwą za wielką korzyść. Nawrócenie pogaństwa litewskiego przyniesie całemu chrześcijaństwu pożytek. Względ na to rozbroił wątpliwości królowej. W ostateczną odpowiedź poselstwu swadziebnemu oznajmiła Elżbieta, iż „zgadza się na wszystko, cokolwiek służy ku pożytkowi religii i królestwa polskiego. Niech więc młoda królowa Jadwiga i panowie polscy postąpią sobie w tej mierze, jak tego wymaga dobro Rzeczypospolitej chrześcijańskiej i polskiej.”

Królowa Elżbieta zrobiła więcej. Powracającym z jej odpowiedzią posłom litewskim zostali przydani dwaj posłowie węgierscy, mający udać się aż do Litwy, aby tam własnonownie ułożyć sprawę z Jagiełłą. Wybrano ku temu księdza Szczepana, proboszcza czanadzkiego, i Władysława de Kaza, kasztelana z Potoku. Ci wraz z posłami polskimi i litewskimi wybrali się w drogę równie daleką jak ta, którą tymiż samymi czasy drugie poselstwo węgierskie dla drugiej córki królewskiej sprowadzało małżonka z dalekiej Francji.

W powrocie z Węgier do Litwy czekała całą potrojoną teraz ambasadę główna stacja w Krakowie. Odpowiedź królowej złożyła (przynajmniej na pozór) ostateczne rozstrzygnięcie rzeczy w ręce Jadwigi i Polaków. Oni to więc mieli nadać stanowczy obrót układom. W Krakowie miało paść słowo wyroku rozstrzygające los pogańskiego istnienia Litwy i tyloletnich starań rakuskich o jedną z koron andegawęńskich.

Od czasu burzliwych obrad przed zjehaniem Jadwigi nie było w Krakowie pomiędzy szlachtą ziemi krakowskiej tak żywego ruchu jak teraz, po przybyciu posłów węgierskich. Przyniesiona przez nich wiadomość, iż królowa zdaje rozstrzygnięcie na szlachtę, okazała potrzebę zgromadzenia liczniejszej części narodu. Sami bowiem najwyżsi dostojnicy krakowscy czuli się niedostatecznymi do wyrzeczenia ostatniego głosu w tak ważnej sprawie. Obwołano więc zjazd sejmowy w Krakowie. Przez co jednak zwyciężające teraz stronnictwo małopolsko-litewskie, doprowadziwszy rzeczy do tego kresu, nie myślało bynajmniej podawać je na nowo w niebezpieczeństwo walki obradnej. Miał tedy zjazd krakowski składać się, ile możliwości, z samych przyjaciół. Stało się, jak o to postarano się. Z odleglejszych okolic, z obojętnych dla Jagiełły, a przyjaźniejszych komu innemu stron wielkopolskich przybyło nader niewiele ziemian. Ledwie słaby odgłos przeciwnych zdań przybłąkał się na zjazd krakowski. Pod tym względem mogli panowie krakowscy bezpiecznie wszczynać obrady. Inna atoli niepokoiła jeszcze obawa. Toć królowa Elżbieta zdała sprawę na wolę narodu i na wolę Jadwigi. Potrzeba było przyzwolenia młodocianej królowej.

Jadwiga zaczęła rok piętnasty. Jakkolwiek sercom wieku onego dozwalało wcześniej płonąć uczuciem, nie możemy przecież przypuścić, iżby przedkilkuletnia znajomość z również nieletnim Wilhelmem, przerwana śmiercią ojca Ludwika, gdy oboje po jedenaście liczyli lat, pozostawiła głębokie wrażenie w sercu dziecinnym. Od śmierci króla Ludwika, jak temu dowodem nieponowienie ślubów małżeńskich z dojściem do lat dwunastu, ustały wszelkie

związki pomiędzy dziećmi. Przez cały rok pobytu Jadwigi w Polsce, gdy ona już samowładną była królową, nie słyhać o Wilhelmie w Krakowie. Przechowane wspomnienia dawnych stosunków mile zapewne bawiły pamięć dziewczę, niejedno zapewne wywoływały westchnienie, mogły za o s o b i s t y m zjawieniem się Wilhelma namiętną rozbudzić miłość, lecz nie były w stanie uzbroić Jadwigę bezwarunkowym oporem przeciw Jagielle.

Głównymi jego nieprzyjaciółmi w sercu młodzieńczej królowej polskiej, głównymi sprzymierzeńcami Wilhelma mogły teraz być nie tyle miłość istotna, ile raczej myśl obowiązku ślubnego zaprzysiężonego uroczyscie w Haimburgu, ile wstręt ku narzucającemu się księżęciu litewskiemu, poganinowi oszpeconemu tysiącnymi rysami potwarzy i uprzedzenia. Owóż przeciwko tym niebezpiecznym, lecz nie dość jeszcze stanowczym podporom skłonności ku księciu rakuskiemu wypadło teraz dostojnikom koronnym stanąć do walki prośbą i przedstawieniem. Przewodniczyła walce nader groźna dla Wilhelma potęga, rada i powaga duchowieństwa całego. Biskupowie polscy byli oczywiście najgorliwszymi popieraczami nawrócenia Litwy na wiarę rzymską, a tym samym i ofiarowanych przez Jagiełłę ślubów małżeńskich. Wsparała ich w tym razie niepoślednio sama bogobojność Jadwigi.

„Już wtedy pobożna i sławie świątobliwości przychylna”, ceniła ona sobie wysoce zasługę nawrócenia Litwy pogańskiej. W też strunę młodej duszy uderzyli przyjaciele Jagiełły, zwłaszcza duchowni, przed wszystkim arcybiskup gnieźnieński. Rozpromieniono przed Jadwigą chwałę pozyskania Chrystusowi ostatnich pogan w chrześcijańskiej połowie świata. Do upomnień duchownych, do prośb panów koronnych wszystkich jeszcze lud małopolski, ów lud, dla którego ona tak tkliwe miała serce, a któremu ręka Jagiełły wróżyła koniec zagonów i łupieży litewskich, łączył swoje błagania. Przewinę sprzeniewierzenia się Wilhelmu, osłabianą przeciwnym tłumaczeniem panów duchownych, łagodziła do reszty obojętność matki w tej mierze.

Godzi się, owszem, mniemać, że przy tak jawnym przechyleniu się królowej Elżbiety na stronę przeciwników Wilhelmych nie obeszło się bez wyraźnych rad macierzyńskich na rzecz Jagiełły. Któż wie, azali samo Wilhelmove niepospieszanie do Krakowa przez czas tak długi nie wpłynęło na usposobienie Jadwigi? Te wszystkie względy przemawiały potężnie za stroną przeciwną, za księżciem pogańskim. Dawne przywiązanie, wyobrażenie o dawnym obowiązku zachwiały się. Dziewica królewska była gotowa ustąpić wszechstronnym wymaganiom narodu.

Pod tak pomyślną wróżbą rozpoczął się i odprawił terazniejszy zjazd sejmowy w Krakowie. Z czego jednakże nie wynika, iżby odprawił się szybko. Właściwa epoka rozwekła się myśli nie pozwoliła i w niniejszym wypadku wydziedziczyć się z swego przywileju wielosłowności. Lubo cała sprawa była właściwie już rozstrzygniętą, lubo tylko mało zgromadziło się przeciwników, w długie przecieży dni przeciągnęły się znowuż obrady. Jedni sprzeciwiali się z próżnej chętki mędrkowania na obie strony, drudzy z szczerą skłonnością ku d a w n e m u rodowi królów, inni wreszcie, i to zapewne w największej liczbie, dla tym korzystniejszego na koniec sprzedania swojej kreski przyzwalającej. Dochodzą nas wielorakie upewnienia, iż „chęć wziętku”, „łakomstwo”, sprzedajność, działały potężnie w sprawie wyboru Jagiełły.

Zaczem już to pozornie, już w dobrej wierze mnożąc wątpliwości i słowa, odzywały się głosy za dawnym rodem Piastów, w szczególności za Ziemowitem lub Opolczykiem. Najbliżsi Jadwidze urzędnicy przemawiali za Wilhelmem Rakuszanem i zawartymi już śluby. Tak ci, jako i tamci wyrzekali przeciwko niepoczesnemu odstrychaniu się od związków z którymkolwiek księżciem narodowym albo innym postronnym. Czyż nie ma już nikogo godniejszego korony polskiej nad Jagiełłę, barbarzyńcę, łupieżcę krain polskich? Nawet przyjaciele sojuszu z Litwą stawili mu zawady. „Wiadoma rzecz – było ich zdaniem – że Jagiełło miałkiego jest rozumu, że prostak, niepodobny na króla. Godniejszym odeń korony – Witold, syn walecznego Kiejstuta. Temu raczej oddać Jadwigę i berło.”

Bezwarunkowi popieracze Jagiełły odpowiadali przeciwnie. Z Piastów niewielka korzyść. Opolczyk sprzeniewierzył się narodowi, przeszedł w hołdownictwo koronie czeskiej. Ziemiowit w porównaniu z Jagiełłą Olgierdowicem – ubogi, nie zapomoże niczym królestwa. Wilhelm daleko ma swoje księstwa; gdyby nawet zyczył sobie dać pomoc, posiłki rakuskie nadeszłyby za późno. Co do miążkości rozumu Jagiełłowego, ta w istocie znaną jest wszystkim. Wszakże przywara podobna mówi raczej za nim niż przeciw niemu. Właśnie dla niewielkiej bystrości umysłu będzie Jagiełło dogodniejszym królem niż Witołd, przyzwoli z łatwością na spodziewane po nim rozszerzenie swobód szlacheckich, które miało być większym niż przed jedenastą laty w Koszycach.

Jakoż uznano powszechnie słuszność tej ziemiańskiej uwagi. Niewielka zaciętość przeciwnych zdań ułatwiła powszechne porozumienie. Urok wziętku, podarków dokonał reszty. Cały sejm przystał na Jagiełłę Olgierdowica. Powszechna zgoda pociągnęła za sobą młodą królowę. Wola matki, głos duchowieństwa, pociecha z kroczi zbawionych dusz, głośna po całym świecie cześć z apostołstwa osłodziły przykrość sprzeniewierzenia się dawnym związkom, zawarcia ślubów z nieznanym poganinem. Jadwiga, acz nie bez żalu, acz za lada wstrząśnieniem gotowa ulec dawnemu pociągowi, zezwoliła na oddanie ręki Jagielle.

Gwiazda szczęścia Jagiełłowego zabłysnęła jasno jak nigdy. Równie jak rodzona matka Julianna, jak sędziwy stryj Kiejstut, jak pełen szlachetnego zaufania przyjaciel Witołd, Ignęły doń i nad Wisłą, i nad Dunajem wszystkie serca i chęci. Królowa Elżbieta łomala dla niego najsolenniejsze układy i przysięgi; hardy naród przyozdabiał go starożytną koroną; młoda, piętnastoletnia królowa oddawała mu swoją rękę, najpiękniejszą rękę swojego czasu. A był to tylko prostak, miążkiej głowy, podeszłych lat.

Ci sami posłowie polscy, którzy dziewosłębom litewskim towarzyszyli do Węgier, panowie podczaszy krakowski Włodko, kasztelan zawichostski Mikołaj Ossoliński i starosta kaźmierski Krystyn otrzymali zlecenie towarzyszyć im dalej, do Litwy. Całe połączone litewsko-węgiersko-polskie poselstwo poniosło Jagielle przyzwalającą odpowiedź królowej matki Elżbiety, królowej polskiej Jadwigi i narodu.

Było to już w połowie r. 1385, z końcem lipca albo w pierwszych dniach sierpnia. Bawił wielki książę litewski podówczas za Wilnem, w mieście Krewie. Tam wszystkie trzy grona poselskie złożyły mu jednomyślną wiadomość szczęścia. Wymagała teraz dalsza formalność, aby Jagiełło ponowił osobiście też warunki zaślubin, jakie swatowie litewscy oznajmili Węgom i Polakom w jego imieniu. Stało się według wymagań okoliczności. Wielki książę powtórzył własnoustnie wszystkie przyrzeczenia swych posłów. Osobiste oświadczenie książęce zostało nadto ułożone na piśmie, w dokładnym dokumencie wyłuszczającym cały bieg rzeczy.

Zagaja dokument uwiadomieniem, w jaki sposób posłowie węgierscy i polscy zdali przed Jagiełłą sprawę z czynności posłów litewskich w Krakowie. Za czym idzie wzmianka o wyprawieniu swatów książęcych do królowej Elżbiety w Węgrzech i następuje w całości mowa miana tam przez książęcia Borysa, a zawierająca wszystkie oświadczenia i obietnice Jagiełły. W końcu uznawa Jagiełło te oświadczenia za swoje własne i w obecności braci Skirgiełły, Korybuta, Witołda i Lingwena, tudzież w reszty nieobecnych imieniu zatwierdza je pieczęciami swoimi i braterskimi. Dany jest dokument w Krewie, w wilią Wniebowzięcia Najświętszej Panny, dnia 14 sierpnia 1385.

Nim dalsze kroki nastąpić mogły, musiała ta ratyfikacja książęca przedłożoną być królowej Elżbiecie i Polakom. Dopiero po takim upewnieniu się miał Jagiełło otrzymać zaproszenie na tron. Z tymże odjechali posłowie węgiersko-polscy. Tymczasem przed weselną wyprawą Jagiełły do Krakowa wyprawili się Krzyżacy z ogromem wojsk przeciw Jagielle do Litwy.

Po wiosennych zatargach tegorocznych zaniosło się na wielką burzę z strony Zakonu. Wiadome Krzyżakom bez wątpienia swaty krakowskie podzegały oczywiście do tym gwałtowniejszej zawziętości. Zgromadziła się w Prusiech pod lato niezwykła liczba gościnnego ze wszystkich krajów rycerstwa. Ku podniesieniu zapału chwycono się nowego podówczas

środku, biesiady honorowej. Zapewne za sprawą terazniejszego marszałka Zakonu, Konrada Wallenroda, któremu niekiedy przypisują wymysł tej fantastycznej zachęty, a który tymi czasami coraz głośniejszym wrogiem Litwy słynąć zaczyna, odbyła się przed wyprawą litewską solenna „uczta czestna”, dająca zwyczajnie dwunastu najświetniejszym rycerzom miejsce u swego stołu. Terazniejsze umieszczenie przy nim niezwyklej liczby piętnastu biesiadników świadczy o niezmiernym napływie gości rycerskich.

Z tymiż przybyszami zagranicznymi, z rycerstwem zakonnym i z potężnym wojskiem krajowym, uderzył wielki mistrz Konrad Czolner w kilka lub kilkanaście dni po owym pobycie posłów swadziebnych w Krewie na granice litewskie. Broniący przystępu Skirgieł został ze stratą odparty. Po raz tysięczny rozwinęły się sztandary św. Jerzego, Najświętszej Panny i Zakonu o czarnym orle i krzyżu nad brzegami Niemna i Wilii, przodkując rozsypanym po całej Litwie zagonom zbrojnym. Skierowane właśnie ku zamożniejszym posiadłościom książęcy około Krewa, ogarnęły one najpiękniejsze powiaty kraju, mianowicie miednicki i oszmiański. Pod Miednikami odprawiono nowy festyn wojenny, uświetniony obrzędem pasowania nowych rycerzy.

Nie zajmując się zresztą zdobywaniem warownych grodów dopuszczali się Krzyżowcy głównie łupieży. Zagarnięta przy tym została tak nadzwyczajna obfitość bydła, iż pojedyncze woły i owce straciły wszelką cenę na targach pruskich. Po trzecztygodniowym pustoszeniu zabrano się do powrotu. Wtedy nadeszła wiadomość, że Jagiełło z Witoldem i Skirgiełłą obsadzili znacznymi siłami wszystkie brody graniczne. Nie ustraszyło to przecież Krzyżaków. Znana bowiem dezorganizacja moralna całego ludu zapewniała im w każdym razie tajnych pomiędzy Litwinami sprzymierzeńców i ostrzegaczy. Obecnie wyświadczyli im tę przysługę dwaj bracia Surwiłłowie, dawni poufnicy Zakonu. Za ich pomocą przeprowadził mistrz wielki jedną połowę wojska bez żadnego szwanku przez rzekę Niemen. Druga połowa zdobyła sobie zbrojną ręką przeprawę.

Poniesione przy tym szkody krzyżackie nie mogły w porównanie iść z klęskąadaną Litwie. Była to klęska zajadłej zemsty za dostrzeżony w Jagiełłę zamysł otrząśnienia się z pęt zakonnych. I nie dość było zemście poprzestać na tym ciosie jedynym. Gotowe do drugiego uderzenia narzędzie znaleźli Krzyżacy tuż po obecnej wyprawie w osobie jednego z przyrodnich braci Jagiełłowych, Andrzeja Olgierdowica, byłego księcia połockiego. Wygnany przed siedmiu laty z Połocka, wrócił on następnie mimo woli Jagiełły, jak się zdaje, nazad do swego księstwa, a teraz z obawy nowych nieprzyjacielskich kroków Jagiełły i Skirgiełła uciekł się do ścisłego przymierza z Krzyżakami Inflanckimi. Podobnie jak Witold przed niedawnym czasem swoją trocką ojcowiznę, tak Andrzej zapisał teraz Zakonowi całe „Królestwo Połockie”, biorąc je odeń nazad jako lenno krzyżackie z zapewnieniem wzajemnej pomocy Zakonu przeciwko wszelkim nieprzyjaciołom Andrzejewym.

Uzyskiwali przez to Krzyżacy gotową w każdym razie pomoc Andrzeja przeciw Jagielle. Wisiało tedy ciągle z tej strony niebezpieczeństwo nad Litwą, mianowicie nad jej terazniejszą sprawą swadźby krakowskiej. Musiał Jagiełło spieszyć z osiągnięciem korony polskiej, jeśli nie chciał stracić przedtem litewską. Wtem widząc się już prawie u celu, mając przyzwolenie matki Elżbiety, zjednawszy sobie chęci Jadwigi i narodu, spotkał się wielki książę litewski nagle z nową przeszkodą, niebezpieczniejszą od samej grozy krzyżactwa. Stało mu w drodze osobiste przybycie Wilhelma do Krakowa i rozbudzona tym miłość Jadwigi.

XIV. WILHELM

Wznowienie umów rakuskich w Budzie. Przyrzeczenie pokładzin w Krakowie. Zmiana w usposobieniu Jadwigi. Wyprawa swadziebna po obiedwie córki Ludwika. Początkowa pomyślność Zygmunta w Węgrzech. Nagłe zmuszenie do ucieczki. Przybycie Wilhelma do Krakowa. Charakter Wilhelma „Wytwornego”. Obraz wytworności rycerskiej XIV stulecia. Nowocześniejsza ceremonialność i pretensjonalność w stroju, przysmakach stołu, wygodach. Rażąca przy tym prostaczość wyobrażeń. Schadzki Wilhelma i Jadwigi u franciszkanów. Średniowieczna gościnność klasztorów. Nadużycia w tej mierze. Festyny XIV wieku. Muzyka. Płasy. Towarzystwo. Zalotnictwo. Piększydła. Mody. Rozmowa i zwyczaje kochanków. Przyzwoitość średniowieczna. Naiwność. Niemoralność. Ogólny rzut oka na zgromadzenie balowe. Zamiar dopełnienia przyrzeczonych pokładzin. Zgoda Jadwigi z Ziemowitem. Przeciwnie konszaktów panów z Władysławem Opolskim. Poselstwo po Jagiełłę. Tajemne wprowadzenie Wilhelma na zamek. Wygnanie go stamtąd. Ostateczna umowa posłów z Jagiełłą w Wołkowysku. Próba udania się Jadwigi do Wilhelma. Zamknięcie bram. Rozłączenie Jadwigi z Wilhelmem. Zmuszenie Wilhelma do ucieczki z Krakowa. Równy los obudwóch wypraw swadziebnych. Naciągnięcie Jagiełły.

Starania Jagiełły o rękę spodziewanej małżonki Wilhelmowej nie mogły utaić się w stronach rakuskich. Mimo dwuletnią zwłokę w ostatecznym urzeczywistnieniu ślubów haimburskich nie zaniechali książęta rakuscy myśleć o połączeniu Wilhelma z młodocianą królową polską. Utratę oczekiwanego dawniej berła węgierskiego wynagradzała znacznie nadzieja posiedzenia Polski. Mając zawsze jeszcze dobijać się o co dla syna postanowił ojciec Wilhelma nie zaniedbywać sprawy. Wobec nowego niebezpieczeństwa ze strony księcia litewskiego, „dzikiego barbarzyńcy i poganina”, godziło się użyć ostatnich środków. Stosunki z królową Elżbietą nie stały jeszcze na stopie jawnego nieprzyjacielstwa. Charakter królowej usposabiał ją nawzajem do łudzenia wszystkich przeciwników najzwodniejszymi pozorami przyjaźni. Nic tedy dziwnego, że w kilka tygodni po układach posłów litewskich w Budzie nastąpiło tam złudne odnowienie dawnych układów z domem rakuskim.

Książę Leopold pospieszył w lipcu, tj. bezpośrednio po oddaleniu się dziewosłębów Jagiełłowych, do stolicy węgierskiej. Był tam również książę Władysław Opolczyk. Ten ostatni, jako bratanek królewskiej rodziny Węgier przypuszczany zwyczajnie do spółuczestnictwa w wszystkich jej sprawach domowych, należał do współporęczycieli małżeństwa Wilhelmowego. W szczególności podpisał on jako taki przed pięć laty umowę zawartą między rodzicami poślubieńców w Zwoleniu, a przyrzekającą wydać Jadwigę „natychmiast po dojściu do lat dwunastu księżęciu Wilhelmowi ku małżeńskiemu z sobą pożyciu”.

Teutońskie sympatie Opolczyka pobudzały go do wspierania dawnych praw a terazniejszych wymagań książąt rakuskich. Upomniano matkę-królowę względem dotrzymania przyrzeczeń ślubnych, które już od lat dwóch powinny były wejść w wykonanie. Gwałtownie przynaglona Elżbieta nie mogła poradzić sobie inaczej, jak pozornie zezwalając na wszystko. Postanowiono więc skojarzyć ostatecznie parę haimburską. Miało to stać się prędko, w przeciągu dwóch, trzech tygodni w Krakowie. Chodziło w tym głównie o uprzedzenie Jagiełły,

którego spółzawodnictwo zmuszało do pośpiechu. Książę Opolczyk został wyznaczony pełnomocnikiem do urzeczywistnienia pokładzin. Matka-królowa przyobiecwała nie czynić żadnych przeszkód. Ku tym większej pewności dano sobie nawzajem pisemne utwierdzenie nowej umowy. Dokument Elżbiety z dnia 27 lipca opiewał:

„My, Elżbieta i Maria, z łaski Bożej królowe Węgier itd., tudzież kardynał Dymitr, biskup pięciukościelski Walentyn, Władysław książę opolski i Mikołaj Gara palatyn, przyrzekamy, co następuje. Jak niegdyś najjaśniejszy pan Ludwik zawarł za życia swego związek małżeński między Jadwigą córką i siostrą naszą a Wilhelmem księciem rakuskim według dawnych umów pisemnych, które ciągle mają mieć wagę nie naruszoną, tak i my zgodnie z daną na to przysięgą obowiązujemy się przywieść małżeństwo przerwane do skutku i połączyć parę wspomnianą łożem małżeńskim, a to najdalej od dnia dzisiejszego do święta Wniebowzięcia Najświętszej Panny w przyszłym miesiącu sierpniu bez żadnej zwłoki podstępnej. Nic też przeciwko małżeństwu temu nie przedsięwzięmiem ani damy się skłonić lub zniewolić do czegokolwiek, co by pomienionemu związkowi mogło przeszkodzić. Z tejsze przyczyny my, obiedwie królowe, dajemy tobie, książę Władysławie Opolski, zupełną moc i władzę, iżbyś to zamierzone małżeństwo przywiódł w spełnienie i przyrzeczoną córkę i siostrę naszą Jadwigę oddał księżęciu Wilhelmowi w stadło i uściski małżeńskie, zapewniając im sposobność połączenia się i małżeńskiego z sobą pożycia bez żadnej pod jakimkolwiek pozorem zwłoki. Dań w Budzie, w piątek po św. Jakubie, r. P. 1385.”

We dwa dni później, dnia 29 lipca, przyrzekł nawzajem książę Leopold, iż skoro zawarta właśnie umowa względem konsumacji małżeństwa przyjdzie do skutku, on natychmiast złoży zawarowane dawnymi dokumentami wiano 200 000 florenów. Nadto dołącza się zapewnienie, jako po śmierci księcia Leopolda syn jego Wilhelm będzie miał toż samo prawo do wszystkich księstw i posiadłości ojczystych, jakie służy całej reszcie rodzeństwa.

Przybyły tym sposobem przywiązania oblubieńców nowe pergaminy, nowe tytuły prawne. Walka panów małopolskich o Jagiełłę i Litwę utknęła u samej mety o nowe niebezpieczeństwo. Za dwa tygodnie miała Polska z Jadwigą przejść w ręce Rakuszan Wilhelma. Litwa bez Polski chyliła się do nóg Krzyżakom. Zakon niemiecki srogą nad oboim krajem brał górę. Szło tylko o jak najprędze wyprawienie się Wilhelma do Krakowa.

Wołało go tam więcej niż własny jedynie pociąg. Ośmielała go przychylność i pomoc onej drużyny dworskiej, która popierała osobistą sprawę Jadwigi i Wilhelma, a na której czele widziano pana Gniewosza z Dalewic. Wzywały go przed wszystkim życzenia samej oblubienicy. Im bliżej zagrażała potrzeba oddania ręki Jagielle, tym głośniejsze one musiały wydobywać się na jaw. Zresztą nie potrzeba było gorących uczuć serca. Same okoliczności wiązały Jadwigę z Wilhelmem. Szlachetny umysł bogobojnej dziewczycy ulegał posłusznie każdakrotnemu odcieniu obowiązku. Drogie córce postanowienie ojca zmarłego i nawyknięcie dziecięctwa skłoniły ją najpierw ku oblubieńcowi haimburskiemu. Gdy po zjawieniu się posłów litewskich matka zaleciła swadźbę litewską, a biskupowie polscy przedstawili wielkość i świętobliwość oddania ręki Jagielle, Jadwiga zgodziła się z wolą matki i Boga. Teraz doszła ją wiadomość o świeżym w Budzie wznowieniu układów z księciem rakuskim.

To według jej niewinnego widzenia rzeczy unieważniało nadzieję zrobioną swatom litewskim. Pierwotny plan ojcowski odzyskiwał moc obowiązującą. Większy powab związku z miłym młodzianem rycerskim niż z „barbarzyńcą” litewskim wpajał sercu tym głębiej świętość słowa pierwszego. Jadwiga postanowiła spełnić je jak najprędzej. Nie mamy żadnego powodu mniemać, iż w tak dziecinnym wieku Jadwigi, przy długim nadto niewidzeniu Wilhelma zamysł ten był skutkiem namiętności. Wszystkie owszem względy, mianowicie surowe pojęcie obowiązków cechujące Jadwigę w całym życiu późniejszym, zniewalają do wniosku, iż usilna chęć połączenia się z dawnym przyjacielem i oblubieńcem płynęła teraz jedynie z natchnienia powinności.

Skoro zaś jakakolwiek chęć ozwie się w sercu królewskim, nie braknie jej nigdy pomocników i wykonawców. Znalazła takich Jadwiga w owym stronnictwie dworskim, co to pod przewodnictwem Gniewosza z Dalewic czekało tylko rozkazów do działania. Młodzią królowa (tak przynajmniej powszechny opiewał głos) wyprawiła poselstwo po Wilhelma. Czy to za wiedzą, czy prawdopodobniej bez wiedzy najwyższych urzędników koronnych udał się Gniewosz z orszakami panów przydwornych do stolicy rakuskiej dla sprowadzenia oblubieńca do Polski. Stało się to w samą porę oznaczonego w Budzie dopełnienia małżeństwa, około połowy sierpnia roku 1385.

W stolicy rakuskiej ani rodzinie książęcej, ani ludowi nie znane były szczegółowo sprawy krakowskie. Stąd poselstwo Gniewosza zdało się zaprosinami całego narodu. Poruczając się jego pieczy wybrał się młodzieńczy narzeczony z wszystkimi swymi skarbami, z nader licznym i świetnym dworem po rękę Jadwigi, po koronę do Polski. O tymże samym czasie podjął podobną drogę do Węgier dla zdobycia wzbranianej sobie siostry Jadwigi, Marii, młody margrabia Zygmunt. Po niedawnym pobycie w Polsce obchodzi on nas tak blisko – losy Zygmunta i Wilhelma są w tej chwili tak podobne do siebie – że opowiemy tu razem wyprawę weselną obudwóch książąt niemieckich po obiedwie córki Ludwika.

Zostawiliśmy Zygmunta niedawno zmuszonym do ustąpienia z Węgier. Tymczasem miał z Neapolu nadciągnąć spodziewany rządcą królestwa, Karol, a z Francji nowy narzeczony królowej Marii, hrabia Walezki Ludwik. Atoli Zygmunt nie stracił jeszcze nadziei. Poszwankowawszy tak smutnie przed dwoma laty w Polsce, trudno mu było dać się równie sromotnie odsądzić teraz od korony i narzeczonej węgierskiej. Zakrzętnął się tedy starannie za granicą około znalezienia środków pomocy. Pozostało mu jeszcze ojczyste margrabstwo brandenburskie. Starszy brat Waclaw, król rzymski i czeski, mógł wielorako wesprzeć go swoim wpływem. Nie obeszło się wreszcie bez niejakich jeszcze stronników dynastii niemieckiej i teutonizmu w Węgrzech, z którymi ciągle utrzymywano porozumienie.

Przy takiej zachęcie i protekcji umyślił Zygmunt posiadać zbrojną ręką małżonkę i koronę. Potrzeba było do tego zgromadzić czym prędzej jaką taką siłę orężną, a to wymagało pieniędzy. Przeco w tym samym czasie, kiedy posłowie królowej-matki Elżbiety wyprawiali się po raz drugi do Francji w celu ostatecznego już sprowadzenia królewica Walezjusza do Węgier, Zygmunt zastawił część swojej marchii brandenburskiej własnym bratankom, Jodokowi i Prokopowi morawskim, opierając się na przyzwoleniu i innych oznakach życzliwości brata Waclawa, który wkrótce zakupił odeń resztę margrabstwa. Otrzymane za to pieniądze posłużyły do zgromadzenia dość znacznej liczby wałęsającego się wszędy rycerstwa i żołdactwa.

Miał Zygmunt zebrać w ten sposób około 10 000 koni. Z tą siłą zbrojną należało niezwłocznie, jeszcze przed zjechaniem oczekiwanego rywala francuskiego, wtargnąć do Węgier i opanować królowę. Jakoż już w kilka tygodni po zastawieniu marchii, w ostatnich dniach sierpnia, gdy weselne poselstwo węgierskie bawiło właśnie od niedawna w Paryżu, uderzył Zygmunt z wojskiem ku Węgom. I owóz dwoma różnymi drogami ciągną z początkiem września dwaj teutońscy pretendenci do ręki i tronu dwóch sióstr koronnych – Wilhelm pod przewodnictwem polskiej drużyny Gniewoszowej po rękę młodszej siostry nad Wisłę, Zygmunt zaś na czele kilkutysięcznej zgrai żołnierskiej po rękę starszej nad Dunaj. Wspomnimy naprzód o skutku wyprawy Zygmuntovej.

Stara królowa Elżbieta znajdowała się podówczas z młodą królową Marią w jednym z północno-zachodnich zamków królewskich, „niedalekim od granic niemieckich”, czyli morawskich. Ta pomyślna dla Zygmunta okoliczność dozwoliła mu otoczyć obiedwie królowe niespodzianie swymi wojskami. Zażądał margrabia wydania sobie przyrzeczonej małżonki gwoli dopełnienia małżeństwa. Na odpowiedź odmowną obegnano zniemacka zamek królewski, który zrazu zawarł się rotom najeżdżczym. Rozpoczęte oblężenie groziło matce i córce szturmami i niewolą, a nagłość napadu i przemagająca siła nieprzyjaciela odejmowała nadzieję spiesznej odsieczy. W takim położeniu nie pozostawało jak ulec konieczności. Bezskrupulat-

ność matki-królowej przyzwalała tym łatwiej na ustąpienie chwilowe, choćby najboleśniej, ile że u niej każda chwila następna mogła zniweczyć dzieło i obietnice poprzedniej. Pomimo żądanej konsumpcji małżeństwa tuszyła sobie Elżbieta pozbyć się wkrótce Zygmunta.

Powtórzyła się więc z niejaką odmianą taż sama scena, jaka przed kilku dopiero tygodniami, pod koniec lipca, odegrana została z księżciem rakuskim Leopoldem względem Wilhelma. Jak wtedy zapewne także tylko podobnegoż przymusu skutkiem przychyliła się królowa do dokumentnego zaprzysiężenia konsumpcji małżeństwa Jadwigi z Wilhelmem, a w istocie Jagielle oddawała Jadwigę, tak teraz postanowiono ulec gwałtowi Zygmuntemu, nie zrzekając się dalszych nadziei swadźby francuskiej. Zaczem „wydała królowa córkę margrabi Zygmunтови, który natychmiast poślubił ją i dopełnił małżeństwa”. Zbrojna wyprawa weselna powiodła się, ale tylko częściowo. Niedługo bowiem cieszył się Zygmunt swoim małżeństwem. Już w kilka dalszych tygodni przyszło znowuż uciekać z Węgier. Zaciągnięte niedawno wojsko margrabskie zapewne niezwłocznie po zwyczaju rozpięrzchło się. Królowa Maria ogólnym potwierdzeniem swobód krajowych wzmocniła się na tronie. Za sprawą matki-królowej otoczyły teraz Zygmunta też same niebezpieczeństwa, jakie Elżbieta bez wahania zgromadziła w kilka miesięcy później nad głową tegoż samego Karola księcia Durazzo, którego obecnie wyglądano niecierpliwie z Neapolu. Było to niebezpieczeństwo śmierci, skrytobójstwa. „Przerażony widokiem groźących mu zewsząd sideł, porzucił Zygmunt małżonkę i uciekł w trwodze z królestwa.” Tak wielka była trwoga, iż nieborak „piechotą” wrócił do Niemiec.

Gdy to działo się w Węgrzech, Wilhelm spieszył do Polski. Smutna katastrofa Luksemburczyka nie odjęła odwagi Rakuszanowi. Był to zaprawdę czas dziwnej przedsiębiorczości, zuchwałych i niepoczesnych przygód, awanturnicznych romansów. A gdy zawód bohaterów i bohaterek tamtowiekowych rozpoczynał się nader wcześniej, w latach prawie chłopięcych, więc niejednokrotnie młodzieńczy syn domu gonił przygodę w jednej, niestary zaś jeszcze ojciec szukał jej w stronie drugiej.

Coś podobnego zdarzyło się teraz w rodzinie Wilhelmowej. Trzydziestusiedmioletni ojciec, książę Leopold, burzliwiec, jakich mało, dał się tymi czasy usidlać wdziękowi jakiejś szwajcarskiej miłośnicy i ku podziwowi całego dworu zbiegał raz po raz w ustronia dolin szwajcarskich; piętnastoletni syn szedł za głosem miłych zaprosin z Krakowa. Później usłyszym wzmiankę o smutnym końcu romansu ojcowskiego; teraz spojrzymy po krakowskiej drodze syna, Wilhelma.

Ciągnął tam okazały tabor za młodym księciem. Towarzyszył dwór liczny; prowadzono wielkie skarby, kosztowności, przybory dworskie; przewodniczył orszak poselstwa polskiego. Gdy panowie krakowscy najgoręcej myśleli o Jagielle, przybyła do Krakowa niespodzianie cała swadziebna wyprawa z Rakuz. Niemile to zdziwiło radę koronną. Pierwszy z urzędników koronnych, stary Dobiesław z Kurozwęk, kasztelan krakowski, a tym samym stróż, czyli raczej w właściwym teraz znaczeniu „pan” zamku krakowskiego, tj. siedziby i osoby królewskiej, nie pozwolił przybyłemu dworowi niemieckiemu stanąć na zamku. Stanął Wilhelm gopodą w mieście, zapewne w jednym z licznych tamże dworców szlacheckich.

Mimo tę początkową przeciwność nie do cała niepomyślnie szły rzeczy. W średnich wiekach wszelkie początki były jeszcze trudniejsze niż za dni naszych. Toć niedawno rodzony ojciec Wilhelmowego szwagra Zygmunta, sławny król czeski i cesarz Karol IV, zjehawszy po śmierci ojcowskiej do własnej stolicy Pragi nie miał gdzie wysiąść. „Zastaliśmy królestwo spustoszone – pisze on, sam w swym pamiętniku – wszystkie dobra i zamki królewskie pozostawiane, tak że nie było gdzie spocząć, chyba w domach mieszczkańskich, gdzie też przebywaliśmy do czasu, jak każdy inny mieszczanin.”

Przestawał więc i Wilhelm na swojej gospodzie miejskiej. Zwłaszcza gdy oprócz życzliwości królowej pokrzepiała go tam przychylność i pomoc „wielu” ze szlachty polskiej, jednomyślnych pod tym względem z Gniewoszem. Otoczony gronem stronników, ufny sercu

Jadwigi, mógł Wilhelm mniemać słusznie, że go nie minie korona polska. Jakoż nie tylko w Rakuziech panowało to zdanie. Nawet w Polsce odzywały się głosy, iż sami Polacy sprowadzili Wilhelma na królestwo. Zaczem przynajmniej tyle musiano teraz pozwolić powszechnie gościowi rakuskiemu, iż w oczekiwaniu sposobności do osiągnięcia zamiaru mógł bez przeszkody bawić „długo” w Krakowie i że mógł widywać się z Jadwigą.

Jak młodociana królowa polska, tak i my zapoznajmy się teraz bliżej z Wilhelmem. Opuściliśmy go niegdyś ośmioletnim pacholęciem w Haimburgu. Obecnie ma on z Jadwigą lat około 15. Wczesna wieloletność onych stuleci i osobisty charakter młodego księcia czyniły go starszym nad wiek. Nadawane mu zwykle przydomki malują go nader statecznym i poważnym. Nazywano go „Ambitnym”, „Ceremonialnym”, „Dworskim”, „Wytwornym”. Takimże przedstawia się nam Wilhelm w swoich postępках, zwłaszcza w wieku późniejszym. „Miłośnik spokoju” i porządku jak nasz Władysław Opolczyk, nie lubi i nie prowadzi on wojny, chyba raz jedyny przez całe kilkunastoletnie panowanie w Rakuziech, i to tylko przeciwko coraz tłumniejszym bandom zbójckim na pograniczu. Nawet słowa swarliwe, mowy oszczerze, zwłaszcza przeciw księżom i kobietom miotane, były mu tak omierzone, iż nikt nie śmiał obrażać nimi uszu książęcych.

Stąd jeśli w Wilhelmie obudziła się jaka namiętność, zdążyła ona do celu drogą środków spokojnych, ceremonialnych. A książę „Ambitny” nie był wolen od przystępów pożądlivosti. Najbardziej nagabywała go chęć władzy i panowania. Ona to, pobudzając Wilhelma do ciągłych nieporozumień z młodszym rodzeństwem, nie chcącym ulegać jego zwierzchnictwu, najbardziej osławiła go w dziejach. Taż sama ambicja przewodniczyła mu także w dwukrotnych zabiegach ślubnych. Zgodnie z rodzicielską intencją jego związków z Jadwigą myślał on dłużej o jej posagowej koronie niż o jej sercu. Nawet po śmierci Jadwigi czynił on zachody około urzeczywistnienia swoich mniemanych praw do Polski. Podobnież w swoim związku powtórnym, z jedną z królewien włoskich, miał on głównie poślubione z nią pretensje do różnych koron na celu. Zagrożony nimi margrabia Zygmunt, późniejszy król węgierski, żył z tej przyczyny w ciągłej z nim nieprzyjaźni.

Nie był więc Wilhelm tak „wytwornym” w swoich samolubnych zachceniach, jak w środkach do osiągnięcia onych. Pragnął on widocznie zastosować się postępkami swoimi do moralnych wymagań czasu, owszem, urzeczywistnić w sobie wzór ówczesnej moralności rycerskiej, lecz sama gminność epoki nie dozwalała wznieść się charakterowi. Pod tym względem mniemamy widzieć w Wilhelmie ciekawy odbłask czasu i zdaje się nam, że będziemy mogli poznać bliżej Wilhelma, jeśli obeznamy się bliżej z rycerską czasą tego oświata.

Pierwotny kwiat rycerstwa srodze nadwiadł już w świecie. Tysięczne okoliczności, których obszerniej rozwijać tu nie możemy, odjęły mu wszelką siłę żywotną, aby nią inne pojawy życia ukrzepić. Dostrzegały tego wszystkie jaśniejsze umysły wieku i traciły przeto serce do dawnego ideału szwalerii. Opuszczona w ten sposób od głów światlejszych, popadała ona w ręce prostactwa, które nie umiać obejść się z nią inaczej jak tylko spacząc ją w karykaturę, coraz powszechniejszą przygotowywały jej klęskę. O ile zaś wykształcenie umysłowe przebywało częściej u dworów niż pod strzechą, częściej w rodzinach książęcych niż w sferach niższych, o tyle same dwory obojętnieją nasamprzód dla pierwotnej sławy rycerstwa, sami książęta dają swoją osobą przykład wcale odmiennego kierunku pretensyj, nowego kroju manier, innego kształtu życia.

Dawne zamiłowanie w duchowieństwie i dziełach pobożności, dawny pociąg do wypraw i przygód heroicznych, dawny urok chwały w uściech poetów, okupowanej nieograniczoną dla nich hojnością, ustąpiły u książąt skłonności do oszczędnego administratorstwa, spółczuciu dla przemyślnego mieszczaństwa, zmysłowi porządkowania dotychczasowej anarchii stosunków towarzyskich, okrzesywania dotychczasowej rubasznosci zwyczajów. Nie dojrzała jeszcze ta zmiana tak stanowczo, iżby zabrakło już zgoła widoku dawniejszej rycerskości. Owszem, tylko kwiat pokolenia nowego, tylko postępowe (jak by dziś powiedziano) umysły

hołdowały nadmienionym tu pochopom nowoczesnym, a ogół książęcego i nieksiążęcego rycerstwa żył dawnym trybem. Lecz coraz większa liczba monarchów, jak tegocześni królowie Filip Piękny francuski, ojciec naszej Jadwigi Ludwik, cesarz Karol IV Luksemburczyk i mnodzy inni – świadczą o niezaprzeczonem przechyleniu się wyobrażeń w stronę odmienną.

Jak każda zmiana stosunków i obyczajów nie obejdzie się bez żalu za przeszłością, bez głosów niechęci ku nowemu trybowi rzeczy, tak też przygaśnięciu blasku szwalerii towarzyszy głośny chór skarg i wyrzekań przeciwko smutnemu przeobrażeniu czasów. Duchowieństwo uważało się na brak jałmużn pobożnych, rycerze i śpiewacy rycerscy skarżyli się na uschnięcie płynącego im niegdyś źródła rozrzutności książęcej. Nawet książęta, lubo od nich wyszedł pierwszy przykład i popęd zmiany, utyskiwali czasem na upadek rycerskiego animuszu u szlachty, kierowanej w tym względzie duchem dworów książęcych. Według westchnienia księży: „płomyczek miłości i pobożności przygasał nowszymi czasy coraz ciemniej na dnie serc ludzkich”. Według skargi królewskiego założyciela orderu „gwiazdy” we Francji: „poczęło rycerstwo od niejakiego czasu zaniedbywać oręża, honoru i sławy rycerskiej, oddając się gnuśności i troskom mniej przyzwoitym”. Według żalosalnej pieśni poetów, mianowicie znanego nam poety rakuskiego Suchenwirta, opiewacza, a może i towarzysza pobytu i przygód Wilhelmowych w Krakowie: „coraz mniej chwały, coraz więcej sromu na świecie! Honor zginął, skromność śmiertelnie chora, zdrada w licznych chodzą orszaku, prawdzie język skaleczał, wierność nogę złamała, stałości serce pęka, sprawiedliwość za drzwi wypchnięta, hojność na obie ręce chromieje, zacni rycerze muszą czekać za progiem, a pochlebcy, zausznicy, nadskakiwacze mają w każdej chwili przystęp u dworu, zagartują dary książęce. Co więcej, nawet pasowani rycerze sprzeniewierzają się cnocie, gonią za zyskiem, trudnią się lichwą, walczą o pierwszeństwo z Żydami, hańbiąc zakon rycerski, bo żaden rycerz prawdziwy nie powinien brać lichwy”.

Osobliwie poeci, owi tłumnie po dworach zagnieżdżeni śpiewacy, deklamatorowie, heroldzi rymujący, najbliżej dotknięci zmianą czasów, a tym samym najwymowniejsi poświadczyciele wypadku, nie mogli przeboleć skazy obyczajów rycerskich. Uważając się na nią tym słuszniej, iż szwaleria pierwotna miała wiele wdzięków i zalet, a dobroczynne skutki zwyczajów nowoczesnych nie dały się uczuć jeszcze, napełniali oni stosy odgrzebywanych dziś pergaminów swoimi panegirykami przeszłości, swoimi skargami na moralny upadek czasów obecnych, na bliski koniec wszelkiego dobra na świecie.

Dusze poetyczne uskarżały się, a świat i obyczaje szły swoim nowym torem. I gasły tedy niepowrotnie zalety dawne, a brała coraz bardziej górę owa wytworność, dworskość, ceremonialność, od których właśnie nasz Wilhelm otrzymał przydomek odznaczający, a z którymi niestety wiązały się także niektóre mniej zaletne skłonności. I były te nowoczesne cnoty i wady dość widocznie już rozwinięte, aby nam dostarczyć wielu szczegółów i rysów do obrazu dokładniejszego. Zbierając je z różnych wzmianek społecznych możemy utworzyć sobie bliższy wizerunek takiego wytwornego i nowoczesnego, jakim one przydomki dają nam prawo wyobrażać sobie Wilhelma.

Książęcy wytwornis z czasów Jadwigi otaczał się dworem ubranym całkowicie w barwę pana swojego. Pstroczna stroju i barw, niegdyś powszechnie panująca, uchodziła za niepołączoną staroświeteczną, którą u dworów wykwintniejszych zaczęto zmieniać w jednostajność nowoczesnych mundurów, zwanych szanownym wówczas mianem „liberii”, noszonych chętnie przez najznakomitszych dostojników. Miłośnik spokoju i skromności, wzbraniał książę wytworny ulubionych niegdyś pojedynków rycerskich, nawet na placu bitwy z nieprzyjacielem, nazywając je „raczej błazeństwem niż odwagą, nie mającym żadnego rozsądnego celu i skutku”. Pod wpływem tegoż rozsądku obojętniał on dla pochwalnej pieśni poetów, trubadurów wędrownych, którzy jedynie temu zawdzięczali niegdyś tak wyłaną wszędzie gościnność, iż z obowiązku płacili za nią rymem pochlebnym, nadzwyczajnie pożądanym próżności owoczesnej. Widząc, jak wielu książąt i panów dawnej daty marnotrawiło majątki,

popadało w ubóstwo skutkiem zbyt hojnego okupowania pochlebstw pieśniarzy, upatrzył nasz ksiązę równaż w tym nierozsądnosc i straciwszy upodobanie w poezji rycerskiej smakował w tańszym rzemieśle trefnisiów, błaznów nadwornych, kuglarzy i innych wyprawiaczy widowisk rozśmieszających.

Mianowicie na dworze ksiąząt rakuskich miała ta zmiana smaku objawić się najwidoczniej, a u przyjaciela Wilhelmowego, Luksemburczyka Zygmunta, podobnież n o w y c h zwyczajów naśladowcy, nie miał nikt tak wielkiego znaczenia jak jego błazen nadworny, nadesłany mu aż z Hiszpanii, czczony i poważany przez cały kraj. Nie chciał przecież ksiązę „dworski” sprostaczeć swoim zamiłowaniem w trefnisiach, przestawać na lada towarzystwie, popolitować się w obcowaniu z gawiedzią. Owszem, podczas gdy rycerz s t a r o ś w i e c k i pofalił się bez skrupułu z swoją służbą, zasiadał nieraz w kuchni z czeladzią przy ognisku i gwarzył z nią dobrodusznie – gdy nawet w rozmowie z cesarzem rzymskim odzywano się do niego z staroświecką prostotą „łaskawy panie! „kochany panie!” i jakby równemu sobie proponowano zakład, iż twierdzenie jego jest mylne – nasz wytwornis ksiązęcy przyozdabiał się odsądzonym mu później tytułem „majestatu”, i po zwyczaju zachodnim kazał klękać przed sobą. Wobec uczonych szczyił on się rodowodem dalekim, sięgającym czasów i bohaterów trojańskich. Udając się w towarzystwo osób niższego rzędu miał sobie za obowiązek dać długo czekać na siebie, a zjawiwszy się wreszcie występował poprzedzony łoskotem trąb i kottłów.

Za przykładem podobnej pretensjonalności ksiązęcej hardział lada pan możniejszy względem nieco mniej zamożnego i wyzwany przezeń na pojedynek nie stawał twierdząc, iż przeciwnik nie jest mu równy. Jakoż sam ksiązę zachęcał do takiej wytworności, zarzucając w mowie potocznej dawne rubaszne t y , a przemawiając natomiast do wszystkich niby grzecniejszym o n albo w y .

Będąc zaś ugrzecznionym dla drugich, mając tak wysokie wyobrażenie o sobie samym, dbał wytwornis ówczesny nawet nie-ksiązęcego stanu nader troskliwie o swą osobę. Z tego powodu dogadzał on jej zaledwie spodziewanymi dziś wymysłami stroju, wygod, przysmaków. Pod względem toalety rycerskiej obchodził najwięcej kolor szkarłatny, wzbraniany zazdrośnie każdemu nie powołanemu, mniej zamożnemu. Po szkarłacie cenil nasz strojnis najwyżej pióra pawie i strusie. Ozdoba szyszaków rycerskich, były one w niewymownej podówczas cenie. We Francji otrzymywali kupcy wędrowni od łotrzyków rycerskich listy bezpieczeństwa dla wszystkich prowadzonych z sobą towarów z wyjątkiem strusich i pawich piór jako zanadto ponętnego łupu, aby którykolwiek rycerz mógł się go wyrzec. Niemieckie rycerstwo nie znało nawet w niebie nic wspanialszego nad piękne pióropusze pawie lub strusie, a modląc się za duszę świeżo poległego ojca Wilhelmowego, ksiązęcia Leopolda, prosi kronikarz: „O! Boże miłosierdzia! Racz przyjąć niewinną krew ksiązęcą za jego grzechy i uwieńcz go w wieczności złotym szyszakiem o błyszczącym pióropuszu z rajskich i anielskich piór pawich!”

Rycerski ślub na upieczonym pawiu zaprzysiężony uchodził za ślub najświętszy. Noszono takie pióropusze w sposób najrozmaitszy. U margrabi Zygmunta widzieliśmy w Poznaniu pióropusz o trzech piątrach, coraz szerzej ku górze roztoczonych. Władysław Opolczyk występując w paradzie miał na hełmie naprzód materialny pokrowiec wiejący dwoma długimi, wstęgowymi końcami, a powyżej ogromny grzebień z rozpiętej na kształt łuku kitajki, pomalowanej wizerunkami herbów, a otoczonej półkolisto dziewięcią pojedynczymi piórami. Nasz Wilhelm wjechał do Krakowa zapewne w swoim znanym dotychczas hełmie o również długim z tyłu pokrowcu, uwieńczonym złotą koroną, z której spinał się w górę wysoki wachlarz z piór pawich.

Oprócz wyszczególnionych tu form pióropuszków służyły hełmom najdziwaczniejsze przyozdobienia z płótna, drzewa, lepu itd., sterczące nad szyszakiem w kształcie wysokich rogów, skrzydeł, zwierząt, figurek ludzkich. Skład podobnych strojów hełmowych, znajdujący się w

niejednej garderobie rycerskiej, przedstawiał menażerią najosobliwszych rarożków i dziwo-
lązków, tym piękniejszych dla oka wytwornisów rycerskich, im bardziej barwistych, poły-
snych i brzęczących. Pod szyszakiem otulał rycerz skronie „pątlikiem”, czyli mycką, spod
której w komnacie bawialnej odsłaniała się starannie utrzymana fryzura głowy i brody. Sta-
nowiła ona nadzwyczajnie ważną część toalety rycerskiej. Nie przestając na pospolitej ozdo-
bie sztucznie utrefionych kędziorów, nie przestając na jednym kolorze włosów, chciał modniś
owoczesny mieć coraz inne suknie i włosy.

Nastała więc moda przyprawiania sobie fałszywych loków i bród, zmienianych według
stopnia uroczyści, dziś płowych, jutro brunatnych, kiedy indziej czarnych lub rusych.
Reszta stroju rycerskiego, owe pasy srebrzyste, owe pod rynsztunek wdziewane „jaki, zupa-
niki, kaftany”, znane pod tymiż nazwami w Polsce i za granicą, owe wierzchnie płaszcze,
„czamlety, wapenroki”, podbite futrem i niepodbite „szuby”, podobnie polskiemu, jako też
zagranicznemu ubiorowi i językowi właściwe, a zwyczajnie krzyczącej barwy, pstrokate, z
dwóch różnokolorowych połów złożone, odpowiadały swoją dziwacnością i kosztownością
takiemuż przyozdobieniu głowy.

Suknie podrysztunkowe, bogato perłami i złotem przetykane, podbijano grubo jedwa-
biem, wełną, kłakami, aby przywdziana na nie zbroja nie gniotła. Szła za tym konieczna obci-
słość stroju, pożądana w toalecie rycerskiej nie tylko dla rynsztunku, lecz także gwoli pięknej
figury. Dla niej niektórzy modnisie ściskali się sznurówkami, które im wszelką możność wol-
nego ruchu i odetchnięcia odejmowały i zapewne były przyczyną, iż w czasie walki turniej-
owej niejeden rycerz przed odniesieniem rany d o s t a w a ł m d ł o ś c i . Owszem, najpretensjo-
nalniejsi kawalerowie wypychali sobie kłęby bawełną, bielili się, różowali sobie lica i czoło,
czernili brwi, zakrzywiali do długonosych ciżmów palce u nóg, a cały strój był tak dalece
haftkami i sprzązkami ściągnięty, że gdy jeden z drugim chciał się mocować, zaczepiony
wołał trwożliwie: „Daj pokój! Sprzączka mi pęknie!”

Nie tyle to przecież kłopotalo rycerza, ile niebezpieczne w takiej cieśni rozprucie się
odzieży, czego „dobre wychowanie” ówczesne, udzielane rycerzom w edukacyjnych pie-
śniach minstrelów, nakazywało starannie wystrzegać się, „gdyż rozpór daleko gorszy niż
dziura”. Jakoż pomny często powtarzanych przepisów tego rodzaju „miał wytwornis zawsze
pod ręką, co mu było potrzebnym do poprawienia fryzury”, używał rozmaitych żelazek do
zapiekania włosów, znał osobne narzędzie do czyszczenia i ogładzania paznokci. Tylko
uprzedzenie dzisiejsze mniema, że rycerstwo ówczesne bez ustanku dźwigało zbroję. W rze-
czywistości zdarzały się wypadki, iż dwaj rycerze podróżni, zdecydowawszy się do pojedyń-
ku, gotowi byli zaniechać sporu, ponieważ nie mieli z sobą całej zbrojowni rynsztunkowej, a
prosta rozprawa orężem na nie ubezpieczone żelazem ciało zdawała się odwadze rycerskiej
zbyt ryzykowną. Mniemany miłośnik hartu, rycerz średnich stuleci, nie wzdragał się nawet
parasolu.

Przeciwnie! Żaden z dzisiejszych wojowników i kawalerów nie może być większym nie-
przyjacielem niewygód, jak ogół rycerstwa w średnich wiekach. Długi wczas, „miękkie
łóże”, jedwabne materace, pościel ogrzewana umyślnym ku temu przyrządem należały do
wymagań codziennych. Nawet najwykwintniejszego komfortu wychowancie nie śmiałyby uty-
skiwać żałośniej na niewygody podróżowania po odludnych drogach krajów ubogich, jak np.
średniowieczne rycerstwo francuskie biadało na wojenny pobyt w ubogiej Szkocji. „Dotych-
czas nie wiedzieliśmy – skarżą się owi bohaterowie turniejów – co to głodno i niewygodno.
Teraz zaś sprawdziła się na nas dawna pogróżka naszych panów ojców i matek: Doznasz ty
jeszcze, co to sypiać twardo i obchodzić się bez wygódek!”

A cóż dopiero powiemy o ówczesnym dogadzaniu ciału jadłem i trunkiem! Słyszeliśmy
już o niezmiernej konsumpcji cukierków i konfitur. Wojsko, które nie miało do picia nic in-
nego jak tylko wodę, biadało i w Prusiech, i we Francji na udręczenia nadludzkie. Dowódcy
wozili za sobą delikatne „pasztety”. Lada rycerzowi zachciewało się pieczonych skowronków

i jaskółek, które w istocie szły z swoich stref napowietrznych na stoły pańskie. Z pospolitego jądła kurcząt, które w niezmiernej wszędzie spożywano ilości, jedzono skrzydełka tylko i udka. Wołowiną brzydziło się rycerstwo jako strawą zbyt podłą. Najwymyślniejsi łakotnisie kazali potrawy do swego stołu gotować przy płomieniu z świec i pochodni woskowych lub jak jeden z szląskich bratanków naszego Ziemowita Mazowieckiego, Ludwik książę lignicki, przy ogniu z orzechów włoskich, „które bardzo miłą wonią zaprawiają warzywo”.

Nie brakło więc, jak widzimy, na dobrych chęciach epikureizmu czasom rycerskim. Co przecież jakby dziś nie dowodziło wcale ognuśnienia rodu ludzkiego i tryumfu materializmu, jak wówczas towarzyszyło nader młodzieńczemu stanowi społeczeństwa, tak nie miało nawet podstawy w podobnym-że udelikatnieniu umysłu. Wytworny smak podniebienia nie łączył się bynajmniej z wykształconym smakiem moralnym. Owi „dworscy” miłośnicy ceremonialności i manier nowocześniejszych kochali się jeszcze bardziej w jaskrawej czerwieni stroju, w brzęku dzwonek u sukien, pasów i siodeł, w wrzawie puzan i kotłów, w żartach hanswursztów. Samochwalstwo przechodziło u nich wszelką miarę zarozumienia. „Zanoszę codziennie modły dziękczynne do Pana Boga i św. Andrzeja, że nikomu nie dał więcej rozumu nade mnie!” – powtarza się u każdego prawie trubadura prowensalskiego.

Jeśli rycerz okazywał się szczodrym dla duchowieństwa, tedy odzywał się on też za to do nieba słowami francuskiego kawalera Lahire: „Racz, Boże, uczynić dziś dla Lahira, co Lahire uczyniłby dla ciebie, gdyby on był Bogiem, a ty Lahirem.” Cesarze i królowie przy winie folgowali tak rubasznemu prostactwu, iż niekiedy spółbiesiadnicy duchowni musieli ich upominać, aby nie obrażali nim Pana Boga. Przy grze w kostki pomiędzy pierwszymi monarchami owego czasu wszczynana się nieraz kłótnia, zakończona gniewnym wyrzuceniem banku za okno. Rzadko historia któregośkolwiek z królów ówczesnych obejdzie się bez sceny, przedstawiającej go policzkującym kogoś.

Co więcej! Cóż sami rycerze jako kochankowie chodzili z rozkazu swojej damy po całych dniach z jednym okiem zamkniętym, jako małżonkowie bili swe żony. Płakała na to mianowicie szerokowładna księżna, małżonka hrabiego flandryjskiego, pana dzisiejszych krajów belgijskich i holenderskich. W oznakę zaś osobliwszej przyjaźni podczas noclegu rycerza w zamku pani dostojnej, otoczonej nadobnym fraucymerem, zdarzały się w „wytwornej” Europie rycerskiej dowody gościnności przypominające gościnność i obyczaje nadbrzeżów Nilu.

Potrzebaż jeszcze nadmienić, że tak usposobiony paladyn, gdy mu małżeńskie przyszły zamysły, nie świecił przykładem bezinteresowności, nie zamykał oka na posag. Należałoby domyślać się tego po wszystkim, cośmy słyszeli dotąd o onym czasie i jego wytwornościach. Wszakże wyraźne nadto głosy ówczesne odejmują ostatni cień wątpliwości w tej mierze. Słowo i pojęcie „profit” brzmiało w pieśniach trubadurów, tym najwierniejszym zwierciadle sercowych spraw owej epoki, tak często jak słowo „miłość”. Ustawy francuskie użalały się publicznie na tę „interesowność prywatną”. W Niemczech zachęcały one, przeciwnie, do szukania zysków w małżeństwie, uprawniały rycerską cześć dla pieniędzy. Mimo wszelką bowiem skrupulatność w przestrzeganiu różnicy stanów, mimo głośną mianowicie kondemnatę małżeństw między szlachtą a mieszczaństwem, odbierających nawet szlachectwo rycerzowi, który z miłości mieszczańską poślubił córkę, uśmiechało się prawo niemieckie zupełną bezkarnością w tym razie, jeżeli rycerz żenił się „dla posagu, biorąc przynajmniej 4000 złotych”.

Bogatym wdowom szlacheckiego urodzenia, choćby już starym i szpetnym, nie zbywało nigdy na mężach pomiędzy młodymi rycerzami, którzy potem długo na próżno oczekiwali, „aby baba umarła”. Owszem, nawet przed zaślubieniem pozwalała przyzwoitość średniowieczna najwytworniejszym rycerzom brać pieniądze od swoich dam zamożnych, co loika rycerska osobnym nawet w pieśniach trubadurów uświęcała przepisem. Niejedna z ówczesnych schadzki miłosnych przed udaniem się kochanka na wyprawę rycerską ku czci damy kończyła się słowami pożegnania, wyrzeczonymi w podobnym razie przez ulubienicę sław-

nego rycerza francuskiego Saintré, znanego także w Litwie pod sztandarem krzyżackim: „A co do wydatków tej podróży, abys w przyzwoitym wystąpił stroju, oto masz 6000 talarów. Nie trać ich niepotrzebnie.”

„Masz tak bogate suknie – mawiały damy do pięknego młodziana rycerskiego – chodzisz w szubie atlasowej, w żupaniku jedwabnym, w pończochach haftowanych [...] Skądże to? Czyż chciałbyś wmówić w nas, że nie masz wcale damy albo (co by najgorsza było) że się nie kochasz w niej!” Wielu z najsłynniejszych wytwornisiów ówczesnych nie mogłoby dzisiaj w żadnym ucziwym znaleźć się towarzystwie. Nie dziw tedy, że ów znany ruch palców naśladowujący liczenie pieniędzy, którym rycerze niezrozumiałych sobie języków wyprasali się w bitwie od śmierci, miał dla romantycznego rycerstwa średnich wieków jeszcze zrozumialsze niż dziś znaczenie.

Takim tedy bywał zagraniczny modniś lat onych, w których nasz „Ceremonialny”, „Dworski”, „Ambitny”, a niestety i nie mniej „interesowny” później Wilhelm zawitał do stolicy krakowskiej. Co w przywiedzionych tu rysach raziłoby oczy dzisiejsze, co i wówczas pojawiało się jedynie za granicą, a nie ma bynajmniej zastosowania do skromniejszych obyczajów rycerstwa staropolskiego, to łagodniało, niknęło zupełnie wzrokowi ówczesnemu zarówno nad Renem, jak nad Wisłą. Piętnastoletniemu oku przyjaciółki i towarzyszki dzieciństwa mogły podobać się nawet rysy wątpliwsze, a nie omieszkały w tym nadobniejszym świetle przedstawić się znamiona zalecające, mianowicie tak ponętne młodocianemu wiekowi wdzięki „dworskości”, wyniosłości ambitnej.

Reszty pomyślnego wrażenia dopełniała piękna powierzchowność piętnastoletniego księcia, przystojność jego zachowania się. Jednym i drugim zyskiwał on sobie wszystkie serca społeczne. W ustach niemieckich słyneła jego wysmukła, kształtna budowa ciała, jego „nadobna fizjonomia”. Głosy polskie chwaliły przed wszystkim jego „cnotliwe obyczaje”.

Nie uniknęła też młodociana królowa polska uroku ujmującej osobistości swojego przyjaciela. Myśl, że ten miły przyjaciel był z woli ojca zmarłego już dawno jej poślubionym w obliczu Boga małżonkiem, pozwalała młodemu pociągowi serca wzmacniać się w jawną, w głośną namiętność. Częstsze widywanie się kochanków podnieciło płomień tej osobliwszej miłości. Radzi byśmy i uobecnić sobie chwile ich terażniejszego zbliżenia się do siebie.

Nie wpuszczono Wilhelma, jak wiemy, w progi przybytku Jadwigi, w bramy zamkowe. Nie można było przeszkodzić również samowolnie Jadwidze, aby ona z bram zamkowych nie zbliżyła się do Wilhelma. A młodociana królowa polska, pełna stanowczości we wszystkich krokach życia, powziawszy raz myśl o słuszności swoich związków z księciem rakuskim miała sobie za obowiązek jak najczęstsze widywanie się z nim. Chodziło tylko o to, gdzie by tak słodkiemu obowiązkowi można folgować swobodnie.

Najstosowniejszym miejscem okazał się jeden z pobliskich zamkowi klasztorów miejskich. Powodowano się w tej mierze powszechnym wyobrażeniem wieku. Od czasów swego nastania były wszystkie klasztory przybytkami ludzkości i gościnności. Doznawali jej zarówno ubodzy i bogaci, pielgrzymi i podróżnicy, ludzie szukający przytułku i ludzie szukający wygody. Z początku samoż duchowieństwo zachęcało do korzystania z progów kościelnych; później, gdy gościnność klasztorna stała się powszechnym, srodze nadużywanym, a przeto wielce uciążliwym dla gospodarzy zwyczajem, na próżno było skarżyć się na nią. Kto tylko żył, chory i zdrowy, podróżny i miejscowy, mężczyźni, niewiasty, panny, wszystko cisnęło się do klasztoru po wypoczynek lub zabawę, dla spotkania się z znajomymi i usłyszenia nowin.

Poświęcony charakter miejsca barwił natręctwo pozorem pobożności, a liczne święta i obchody klasztorne, znane przysmaki kuchni i spiżarni opackiej podawały sposobność i zachętę. Wzmagał się tedy coraz bardziej notłok gościnny, któremu gospodarze albo już nie mogli, albo czasem nie chcieli stawić zapory. Panująca bowiem tymi laty szyzma kościelna rozpręgała znacznie karność zakonną, a powszechna wesołość czasu, wespół z głośnym po świecie

przykładem płochego życia samejże stolicy awiniońskiej, jednoczyła gości i gospodarzów obopólną chęcią uciechy. Jakoż osobiwie w czasach naszej powieści ogarnął spokojne mury klasztorne prawdziwy szal zabawy. Dawniej i później rzadsze o tym zdarzają się pogłoski; lecz właśnie w porze pobytu Wilhelmowego w Krakowie, w wschodnich właśnie stronach Europy katolickiej, rozewrzał terażniejszy narów światowości klasztornej do najwyższego stopnia nadużyć.

Dowiadujemy się o nim ze skarg i opisów samychże opatów tamtoczesnych, walczących na próżno przeciw prądowi. „Dawali sobie mężczyźni z kobietami – opowiada jeden z takich przełożonych zakonnych – istne schadzki do płasów i krotofil w klasztorze.” Troskliwy o swoją trzodę opat widząc roje „strojnych i utrefionych” kobiet cisnące się „tłumnie, procesjonalnie” do furty zatrzymywał je w swoim mieszkaniu opackim przed furta, przypijał rad nie-rad do gości nieproszonych, zabawiał ich różnymi wybiegami, aby tylko zgraja swawolna nie wtargnęła poza klauzurę. Pomimo to znachodziła ona drogę do wnętrza klasztornych, napełniała sobą wszystkie cele, krużganki, refektarze, stroiła płasy „nieprzyzwoite”, wiodąc młodszą bracię zakonną na pokuszenie i w grzech. Staruszkowie i ludzie pobożniejsi, wyparci z ostatnich zakątków samotności, skarżyli się z bólem serca, iż nie mają gdzie wychylić spokojnie swojej „regularnej” szklaneczki piwa. Przyganiaczom tego zesromocenia progów zakonnych, opatom, którzy stawili opór zepsuciu, łajano w klasztorze i poza klasztorem nazwą „dusz niespokojnych, nowatorów, rozsiewaczy niezgody, kalających swe własne gniazdo...”

W porze tak zwolnialego rygoru wypadło naszym oblubieńcom krakowskim szukać gościnności klasztornej. Stały otworem dwa również niedalekie klasztory w mieście, ojców franciszkanów po jednej stronie ulicy Grodzkiej, ojców dominikanów po drugiej. Wybór jednego z nich poruszał sprawę dawnego spółzawodnictwa pomiędzy obudwoma domami zakonnymi. Od lat stukilkudziesięciu równie czynni i zasłużeni, tymże samym trudom na jednym i tym samym polu oddani, nie mogli oni uniknąć niewinnych z sobą sporów, uwydlatniających różne usposobienia obu zgromadzeń. O ile dominikanie odznaczałi się ścisłością, surowością pojęć i wymagań moralnych, o tyle franciszkanie nadrabiali łagodnością, pobłażliwością, folgowaniem skłonnościom ludzkim.

Stało się też, że tamci, przeciwnicy Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny, sędziowie inkwizycji św., mieli głównie rygorystów za sobą; ci zaś, najgorliwsi obrońcy Niepokalanego Poczęcia, najpożądańsi szafarze sakramentów, owładnęli serca całego ogółu ludzkości tamtoczesnej, zwłaszcza żeńskiej. Nie było spowiedzi nad spowiedź franciszkańską, pogrzebu nad pogrzeb u franciszkanów, nabożeństwa nad obrazowe, widowiskowe nabożeństwo u braci mniejszych. Owszem, ubodzy twierdzili, że dopiero od nastania tych mnichów żebrzących rozszerzyła się ubóstwu droga do nieba. Ponieważ bowiem żebrzący franciszkan przyjmował datek najmniejszy, przeto i ubożuchny człowiek mógł wkupić się nim do nieba, gdy przeciwnie u innych zakonników, posiadających ziemie i włości, mogli zasługiwać się tylko wielcy panowie.

Lgnęli tedy wszyscy do braci mniejszych, ośmielonych tym do coraz żywszego zapaśnictwa z resztą zakonów. Właśnie tymi czasy powtarzano żartobliwą powiastkę o niedawnym sporze franciszkanów krakowskich z sąsiednimi dominikanami. Chodziło o to, kto będzie miał prawo dzwonić wcześniej na mszę poranną. Obadwa klasztory domagały się tego dla siebie. Kazimierz Wielki, przed którym nareszcie stanęli spółzawodnicy, zawyrokował, iż ten będzie wcześniej odprawiał jutrznię, kto wcześniej wstanie. Jakoby też podobną sprzecznością powodowani, dali dominikanie w swoim sieradzkim kościele obwołać królem przeciwnika niegdyś Wilhelmowego, Ziemowita, a franciszkanie krakowscy otworzyli furkę klasztorną schadzkom Wilhelma z Jadwigą.

I ciągną tedy do klasztoru od strony miasta młody książe rakuski, od zamku młoda królowa. Piętnastoletniego oblubieńca otacza orszak niemiecki i grono przyjaznych panów pol-

skich; piętnastoletnią oblubienicę prowadzi wesoły dwór niewieści. Jak każdemu pochodowi książąt ówczesnych, tak i Wilhelmowi i Jadwidze w drodze do franciszkanów przygrywiają orszaki fletnistów i trębaczy. Towarzyszącej obojgu drużynie paniąt uśmiecha się w klasztorze chwila najmilszej z zabaw ówczesnych, płąsu – kochankom chwila rozmowy, utwierdzenia się w słowie, może porozumienia się względem kroków na przyszłość. Żadnemu zebraniu nie obojęć się wówczas bez grona mieszczan możniejszych i pań miejskich.

Wkrótce całe towarzystwo dworskie i miejskie zapełnia kurytarze i refektarz u franciszkanów. Każda sala zdobiła się na przyjęcie dostojnych gości w różnobarwne kobierce i opony. Lada uroczystość nakazywała gościom występować w nowym, błyszczącym stroju, dodającym świetności widokowi. Wszystkie odwidziny zaczynały się od przywitania chlebem i solą, konfektami i winem. Widzieliśmy powyżej, jak opat z bólem serca witał swoich gości sklenicą wina lub piwa. Do takich też sklenic, do smacznych przekąsek zabierało się naprzód towarzystwo wytworne, wstąpiwszy do refektarza. Przy czym, gdy goście w ten sposób witają się u stołu, gdy przed otwarciem płasów krążą wstępne puchary, pobrzmiwają pierwsze dźwięki muzyki, gdy ochocza drużyna dworska przysiadła się do przysmaków na cynowych lub srebrnych misach, niech nam wolno będzie zauczestniczyć poniekąd w jej zabawie, zastanawiając się nad znacznie odmiennym wówczas trybem bawienia się pucharem, tańcem, śpiewem, rozmową.

Zaczynając od kubków powitalnych, należy wspomnieć, że równie męskie, jak żeńskie pokolenia ówczesne smakowały o wiele powszechniej w trunkach niż dzisiaj. Przyprawiano przeróżne rodzaje piw, miodów, win krajowych, sprowadzano z zagranicy najprzedniejsze wina francuskie, reńskie, włoskie, małwazją. Nadsyłanym przez Krzyżaków dla królowych polskich „wybornym winem” nie brzydzyły się usta najpiękniejszej damy koronnej. Nie sprzeciwiając się bynajmniej zwyczajnemu wówczas u kobiet pijaniu wina, byle takowe nie wyrodziło się w zbytek, załączali najprzezorniejsi wykwintnisie jedynie radę, aby je pijać z wodą, „gdyż nie masz większego niebezpieczeństwa dla reputacji damskiej, jak nieskromne użycie trunku”. Mężczyźni poczytywali podobne fałszowanie daru Bożego za występki przeciw naturze i pili czyste wino z rana, na śniadanie, na obiad, przy wieczerzy, do łóżka. Nawet przy śpiącym rycerzu stał zwykle pełny kufel, z którego on za każdym przebudzeniem popijał.

Do wina pożywano różne przysmaki, jak np. ciastka, pasztety, znane już wówczas „torty”, konfitury, cukierki, figi, melony itd. Złoto, które ówczesnym bogaczom świecić musiało na stroju, na sprzęcie na pościeli, świeciło im nawet na pieczywach i konfektach, pokrytych grubą pozłotą, rachowaną z osobna w księdze wydatków. Zwyczajnie jadały z tej samej misy po dwie osoby, mężczyzna i kobieta. Pomiedzy kochankami było to miłym przywilejem stosunku. Zazdrościcy miewali szczególnie baczne oko na ludzi, którzy z ich żoną lub narzeczoną z jednego jedli talerza. Wesoły cel zebrania, takiż w powszechności humor całej epoki, dodawał bodźca biesiadzie. Należało do obowiązków rycerza: „wesołym być”, a kobiety ówczesne pozwalały sobie nieskończenie więcej niż dziś śmiałości. Osobne przepisy trubadurów radziły im nie śmiać się nazbyt głośno, nie krzyczeć.

A musiano podnosić głos, gdyż każdej zabawie wtórzyła huczna muzyka. Muzyka zaś owych czasów to nie szmer arf eolskich! Wyteżywszy należycie siły orkiestry, można było na wojnie przestraszyć nią nieprzyjaciół. Znano też daleko więcej narzędzi muzycznych, niżby dzisiejsi mistrzowie przypuszczali. Opisy pamiętniejszych koncertów tamtoczesnych wyliczają po 28 instrumentów, które razem według upewnienia słuchaczy wydawały melodią, „jakiej nigdy jeszcze ani widziano, ani słyszano”. W stolicy słynącej z zamiłowania w muzyce, w obecności dworu, którego królowa i każda księżna miewały swoich osobnych gędców, lutnistów, a którego król wyprawiał niekiedy posłów, będących zarazem, i fletnistami – nie ustępowała muzyka polska zapewne żadnej orkiestrze zagranicznej.

Przy hucznej zaś „kapeli”, przy piętnastoletnim wieku głównej pary zebrania, przy średniowiecznej gotowości do piasów – refektarz franciszkański sam przez się zamieniał się w „tanecznicę”, czyli w salę do tańcu. Toć nie w innym celu zgromadzono się właśnie u franciszkanów. Nie innym też sposobem, a prawie tylko piasem umiała wynurzać się ochota tamtoczesna. Jak z obowiązku należało wesołym być, tak jedynie temu dworowi przyznawano sławę „cnót wszelkich”, który obfitował w wszelkie przybory balowe, tj. „świecił okazałością strojów, brzmiał rozgłosem trąb, skrzypców, pieśni, piszczałek”. Przeco nie zaniebując tych „cnót” dworskich, tańczono natychmiast po obiedzie, tańczono natychmiast po wieczerzy, nie pojmowano lepszego uraczenia gościa miłego jak czym prędzej biorąc go w taniec. W którąkolwiek stronę tamtoczesnego świata zwrócimy uwagę, którąkolwiek kartę ówczesnych pamiętników otworzymy, zewsząd dochodzi nas odgłos piasów.

Tysiące innych rysów obyczajowych zaginęły nie zapisane, a ten szal taneczny wszędzie jednostajnie uderza. Piasają Włochy na dworze rozkosznej Joanny Neapolitańskiej, wdowy po uduszonym mężu Andrzeju. Piasa wesoła Francja za przykładem równejże rozkosznicy Izabeli i króla Karola VI, któremu nawet swawola balowa przyniosła recydywę dawnego obłąkania. Piasa Bruksela w powitanie cesarza Zygmunta, otoczonego w tańcu 145-cią parami krążącymi. Piasa każde miasto niemieckie, jak Magdeburg gdzie pożar sali balowej przyprawił arcybiskupa miejscowego, przesławnego tancerza, o śmierć w płomieniach – jak Innsbruck, gdzie zelzenie zacnej córki mieszczkańskiej wywołało wielki rozruch pomiędzy gośćmi i przywiódło w podejrzenie kilku książąt dostojnych. Piasa Buda węgierska na przyjęcie swoich gości turniejowych, Wrocław na przyjęcie księcia rakuskiego Albrechta, Toruń na przyjęcie ochotników krzyżackich, Lwów na przyjęcie posła królów francuskiego i angielskiego.

Osobliwież Kraków przypominał sobie niemało festynów piasających. Opowiadano sobie dziwy o trzechtygodniowych godach weselnych, wyprawionych tam przez Kazimierza Wielkiego wnuczce pomorskiej. Nie wyszły jeszcze z pamięci osławione krotofile nieboszczki babki Jadwigi. Godziłoż się i Wilhelma ugościć tańcem. A taniec ówczesny to nie dzisiejsze nieme, spokojne wirowanie. Łączył on się powszechnie z pieśnią. Za słowem „taniec” szła w ówczesnym języku nieodzowna końcówka „spiew”. I usznurowany wytwornisz, i błyszcząca od świecideł tancerka przyspiewywali sobie nawzajem, „gdy na nich kolej przyszła”. Czasem łączono głosy w jeden powszechny chór. I starano się o coraz większą sztuczność tych wokalnych popisów. Ludzie pobożni gorszyli się, iż „spiew łomanymi głosami, przez semitony i diapenty, jakim niegdyś tylko doskonali mistrzowie chwalili Boga w kościele, teraz z ust lada światowców brzmi w godowej sali przy tańcu”.

Gdy tak głośna szumi zabawa, przypatrzmy się bliżej tancerzom i tancerkom. Pierwsi, opięci, wymuskani, z uwitymi w rurkę kędziory albo w warkoczu ubranym w wstążki kręcą się w krótkich jedwabnych „jakach” o szerokich rękawach, a długich, nieraz aż po ziemię sięgających wypustach. Spodnia część toalety składa się z wysokich, różnobarwnych pończoch, przypinanych wstążkami do wyższego odzienia pod żupanikiem, a zastępujących inną część garderoby dzisiejszej. Poniżej błyszczą ciasne kolorowe buciki o długich, w górę zaگیętych nosach. Na szyi świeci złocisty łańcuch, w stanie pas srebrny, u pasa krótki kord, a wszędzie u kołnierzków, bucików, w pasie, brzęczą dzwoneczki. Niezmiernie ściśnięci w swoim wąskim, kusym, wszędzie w długie spiczaste końce wybiegającym stroju wyglądają oni nieporównanie sztywniej od dam.

W ogólności, skąpy zapas rozumowego wykształcenia u mężczyzn z ich rycerską czcią dla płci pięknej, z czego kobiety nie omieszkały korzystać, nadawał tym ostatnim nie tylko idealną, lecz owszem całę praktyczną, towarzyską przewagę. A nierównie śmielsze niż dziś, nierównie swobodniejsze od swoich wykrygowanych tancerzy, przenosiły one ich jeszcze o wiele lepszym smakiem. Jeśli zdarza się słyszeć, iż dzisiejszy strój męski jest daleko mniej malowniczym od dawniejszego, tedy strój damski był wówczas jeszcze gustowniejszy niż

męski. A ponieważ toaleta kobiet dzisiejszych nie wielce oddaliła się od dawniejszej, więc i główny charakter stroju panien i pań pływających obecnie u franciszkanów zbliża się poniekąd do widoku dzisiejszej elegancji balowej.

Podobne dzisiejszemu strojowi ubranie głowy; złoty wieniec lub uplot z spływających dookoła wstążek na skroni; w tył zarzucona zasłona, bogaty kanak albo perły na szyi; długa atłasowa, złotem i perłami świecąca suknia, często z ogonem, zwykle z kosztownym pasem srebrzystym; złociste trzewiki, podobneż rękawiczki, złotem haftowana chusteczka w rękę, a pierścienie na palcach – oto najogólniejsze rysy nadzwyczajnie rozmaitej i zmiennej toalety wytwornis średniowiecznych. W czym moda na niekorzyść różniła się od dzisiejszej, to przypisać szkodliwemu wpływowi czasu. Szpecił on ją zbytnią ciężkością, przesadą, pretensjonalnością. Oprócz grubego atłasu lub złotogłowu, oprócz pereł i klejnotów na sukni, wartujących niekiedy kilka, kilkanaście tysięcy czerwonych złotych, ciężył dostojnej damie cały rynsztunek drogokruszcowych czółek, naszyjników, kolców, manel i rzeźbionego pąsu, czyli „obrzęczą”, ważył gruby haft złoty na koszuli, pończosze, obuwiu, rękawicze i chustce.

Mimo tego wszystkiego musiała dama stąpać na pół w powietrzu, w niezmiernie ciasnym trzewiku, tylko palcami i piętą dotykającym ziemi. Jak bowiem od ręki wymagano koniecznie długich palców, tak noga piękna powinna była tak kabłąkowato skurczoną być, „aby się czyżyk pod wypukłą stopą mógł schować”. A biada licom, które nie płonęły szkarłatem! Wiek zamilowania w czerwieni szat nie miał spólcucia dla bladych jagód. Tylko ludzie z gminu, ubodzy miewają na ówczesnych obrazkach wzrost karłów i blade, zielonawe, brunatne twarze; pełne zaś policzki świętych i możnych kwitną cerą rumianą. Bogate panie, którym natura odmówiła rumieńców, nie zważały na wszelką srogość przepisów duchownych przeciwko zbytkom strójnictwa, lecz tysiącnymi rodzajami maści, proszków, piększydeł dręczyły swoje oblicza. Czcieli wieków średnich, wyobrażających sobie matrony tamtoczesne bez przerwy przy patriarchalnej kądzieli, z różańcem w rękę, niemało zdziwiłoby zapewne, gdyby nagle stanęły przed nimi całe góry spotrzebowanych wówczas słoików różu, blanszu, perfum, pomady. Nieraz u jednej elegantki stało na toalecie „po 300 słoików, puszek, pudełek, starannie owiązanych”.

Znajdowały się w nich różne maście, proszki do zębów, farby do włosów, którym w różnych porach różne nadawano kolory; były tam preparaty do bielenia się i kraszenia, przyrządzone z białek, szafranu, bobu, mleka od klaczy, spirytusów, żywego srebra itp. Tu miejsce przypomnieć sobie np. ową rozmarynową larendogrę, którą babka Jadwigi krzepiła tak długo swoją starość. Nieumiarkowane używanie zbyt silnych kosmetyków wykruszało nader często zęby pięknościom. A musiano zapewne bardzo rzadko miarkować się, jeśli te wszystkie sekrety gotowalni mogły przejść do wiadomości świeckich i duchownych natrętów, którzy je naszym podali wiekom, a którzy bez wątpienia dostrzegli zaledwie małej cząstki tajemnic toaletowych.

Tyle ich przecież widziano, iż całe poematy bywały spisywane w tym jedynie przedmiocie. Jeden z takich utworów opiewa rozmowę Pana Boga z mnichami o różowaniu się kobiet. Pan Bóg pozwala dwudziestopięcioletnim pięknościom „malować się” jeszcze przez dalszych lat dwadzieścia. Od mnichów spodziewa się poeta większych względów dla ułomności ludzkiej, tj. żąda pozwolenia krasideł na lat przynajmniej trzydzieści. Lecz mnichy dopuszczają tylko lat dziesięć. Św. Piotr występuje jako pośrednik i uzyskiwa piętnaście. Było to jednakże tylko marzeniem zalotnych trubadurów. Rzeczywiste przykazania kościelne, jak o tym nadmieniono, potępiały nader surowo każde nadużycie toaletowe.

Nadaremnie przecież pracowano nad poskromieniem namiętnej próżności niewiast. I na próżno też chcielibyśmy ku obronie naszych pływających pań krakowskich natrącać, że wiele z przytoczonych tu szczegółów i zbytków elegancji służyło jedynie zagranicznym strojnisiom. Już w wieku Jadwigi zaczynała panować moda, a pod jej wpływem zniewalającym żaden z narowów stroju i upiększania się nie spowszedniał w j e d n y m kraju bez zakwitnięcia na

nowo w drugim. Płynęła ta nadobna niewola zwyczajnie z tej samej do nas strony co dziś, tj. z zagranicy, z Zachodu, najpowszechniej ze stron „frankskich”.

Krzewiła się moda wprawdzie nieskończenie leniwiej niż za dni naszych, była przeto mniej zmienną, udzielała się mniej licznemu tłumowi, lecz po dworach książęcych, po zamkach możnowładczych, po najwykwintniejszych domach mieszczańskich, po zgromadzeniach młodego duchowieństwa mistrzowało jej berło ledwie nie surowiej niż dziś. Ułamki rachunków dworu królowej Jadwigi, wspominające niejednokrotnie o jakach „frankskich” nowego kroju, o takichże żupanikach, o strzemionach nowego kształtu; miejskie wilkierze przeciwko zbytkom; ustawy synodalne, cenzurujące bezustannie pstrocizną barw, potworną szerokość rękawów, zbyt długie dzioby u trzewików duchownych; wreszcie tysiące innostronnych wzmianek społecznych dają niewątpliwe o tym świadectwo.

Najgorliwsze zaś zwolenniczki mody, płęć biała, ówczesne panie krakowskie, w powszechności wszystkie mieszkanki słowiańskich stron Europy, nie tylko umiały godnie współzawodniczyć z elegantkami zagranicznymi, lecz owszem same dla nich szczęśliwe w dziedzinie stroju czyniły innowacje. Królowa ze krwi Piastów, prawnuczka Kazimierza Wielkiego poślubiona królowi angielskiemu, miała w Anglii zamiast niewygodnych haftek i spinek wprowadzić pierwsze szpilki. Kuzynki znanego nam pana Bartosza z Wiszemburga dawały sobie robić suknie w Wrocławiu. Krawcy, a osobliwie krawczychy zbijały jak dziś majątki szlarkami i haftami. Zdarzało się już i wówczas, że z a k o n n i c y niejednego ubogiego klasztoru poczytywali się za szczęśliwych, jeśli w dniu świąteczne mieli za co nakruszyć sobie bułki do ciepłej wody, a haftarki francuskie stało na wykupowanie z niewoli sławnych rycerzy, którzy znowuż w swojej pysze rycerskiej umyślnie jak najwyższy wyznaczali za siebie okup.

Za toż jak wytwornie wyglądały ustrojone ich ręką damy, zwłaszcza damy obecnego zebrań u franciszkanów! Równie bowiem biegłe w sztuce strojenia się jak ich rywalki zagraniczne – dzięki prostocie swego plemienia mniej od nich pochopne do przesady, a tym samym bardziej nadobne – zawdzięczały one szczodrej matce naturze niezwykłą urodę. Niejedna z ich spółzimek i spółczesniczek zmusiła nawet duchownych kronikarzy, do oddania pisemnego hołdu swym wdziękom. Doszła nas w ten sposób wiadomość o rzadkiej piękności starszej księżny Mazowsza, Ziemowitowej, tudzież kilku księżniczek mazowieckich, a osobliwie najpiękniejszej z nich Offki, poślubionej księżęciu cieszyńskiemu, „ozdoby swojego wieku”.

I nie były one piękne tylko dla kronikarzy i potomności. Ulegała ich wdziękowi cała społeczność męska. Przypominamy sobie bardzo liczne przykłady niezwykłego przywiązania małżonków i kochanków. Bratanek Jadwigi, ów Biały Kujawczyk Władysław, z żalu po stracie żony porzucił swoje księstwo gniewkowskie i ojczyznę i na całe życie stał się tułaczem po świecie. Małżonek owej pięknej księżny Mazowsza, ojciec naszego Ziemowita, ze zbytku zazdrosnej miłości uniósł się do morderczego względem żony szaleństwa. Jednemu z wojewodów krakowskich, odradzającemu nierozważne starcie się z wrogiem, zarzucano na placu bitwy, iż żal pięknej umiłowanej żony czyni go tchórzem. Jeden z Toporczyków Tęczyńskich, nieco późniejszy kasztelan wojnicki Andrzej, podał się w podejrzenie, iż z miłości dla żony, córki znanego nam podskarbiego Dymitra, przyspieszył bardzo szkodliwy odwrót z kraju nieprzyjacielskiego.

Ale gdzież uroda i przywiązanie nad wdzięki i uczucia Jadwigi! Była ona w istocie pierwszą piękną onych czasów. Miały ją za taką strony rodzinne i zagranica. We Włoszech, gdzie nawet nie znano jej właściwego imienia nazywając ją po imieniu ojcowskim, opowiadali sobie ludzie, jako „wszystkie strony świata pełne są chwały piękności królowej polskiej Ludwigi”. Udawano się nawet z cudzych krajów do Polski, aby tylko obaczyć piękną Jadwigę, „co dwór królewski w Krakowie nabawiało tłumy ciekawych odwiedzaków”.

Nie potrzeba więc było korony, aby również nadobny Wilhelm przejął się gorącym dla królowej polskiej uczuciem. Kochali się też oboje znaną wszystkim społecznym, pamiętną

po wszystkie potomne czasy miłością. Pobożni ludzie mieli nawet to przekonanie, iż jedynie dlatego dotknął Bóg tak boleśnie ich serca, „ponieważ swojej ziemskiej miłości dali nazbyt wiele władzy nad sobą”.

Jakże wdzięcznie powzielibyśmy teraz każdy nowy szczegół do historii ich znajomości, ich obecnej zabawy u franciszkanów! Oto ustały właśnie płąsy. Przyjazne pary oddają się rozmowie. Rozmowa Wilhelma z Jadwigą obcymi toczy się słowy. Niezrozumiałość języka pozwala czasem śmieiej wynurzyć się uczuciu. Atoli na próżno szukamy wszędzie sposobu dosłyszeć treści rozmowy, dostrzec bliższych rysów tej chwili. Tylko późniejsze cierpienia ich miłości są wiadome dokładniej, a poprzednia jej radość, poprzednie koleje ich stosunku zagięły bez śladu.

Przypatrzmyż się natomiast innym kochankom, przypatrzmy się ogólnemu obrazowi miłości onych czasów. A wieki średnie, zwłaszcza zaś terażniejsze ich lata, te lata wesela, płasów i nieograniczonej ufności w łaskę Bożą jak Magdalena „wiele kochały”. Miłość przestała być tylko uczuciem, przeszła w powszechnie zachowywany obyczaj. Każda panna musiała mieć kochanka, każda mężatka wielbiciela. Nie mieć go, znaczyło podawać się w wzgardę u ludzi. Niezgorszeni tym małżonkowie udzielali żonom wyraźnego w tej mierze pozwolenia. „Póki mój mąż nie będzie mnie prosił o to i nie każe mi przyjąć cię za amanta, nie znajdziesz u mnie posłuchu” – mawiała najsurowsza moralistka do miłosnego natręta.

Stosownie do powszechnego zamiłowania w obrzędach i ceremoniach towarzyszył i przyjęciu zdeklarowanego kochanka pewien znak uroczysty, czasem przeżegnany pobożnie pierścioneczek, czasem pocałunek i uścisk, niekiedy wzajemny ślub na Ewanielii. W średnio-wiecznym też duchu symbolów, lubiącym każdy stosunek znamionować natychmiast godłem zewnętrznym, otrzymywał kochanek naówczas pewien upominek z stroju kochanki, jej szarfę, wstążkę, chustkę lub rękawiczkę, do przypięcia sobie na hełmie i noszenia przed całym światem. Nazywało się to przywdziewać „liberię” swojej kochanki. Nieobdarzeni wzajemnością rycerze błagali wraz z nieszczęśliwym trubadurem Wilhelmem de St. Didier: „Bogdaj jednej nitki z twej rękawiczki, jednego włoska z twej szuby!”

Szczęśliwy zaś kochanek obdzierał w właściwym znaczeniu tego słowa toaletę swej damy, potrzebując coraz nową „liberię”. Gdy bowiem podczas turnieju staczanego wobec kochanek panowie rycerze porzucali sobie lub porozszarpywali wzajemnie te upominki, obowiązkiem kochanek było przesłać swoim czcicielom natychmiast nową część stroju w miejsce rozdartej. Co kilkokrotnie w ciągu jednej gonitwy powtarzając się, przywodziło damy na koniec do zupełnego ogołocenia. Jeden z ówczesnych romansów maluje nam prawdziwie oplakany stan, w jakim cała piękna publiczność znajdowała się niekiedy po turnieju. „Wieńce i wstążki na głowie były podarte, włosy w nieładzie, suknie bez rękawów, bo wszystko, i szlarki, i szarfy, i mantyle, i rękawy, i kapeluszyki” – poszły na plac gonitwy.

Odplącał to rycerz głośnym po wszystkich stronach wychwalaniem piękności swojej pani, wielce łechtającym jej próżność, a nawet nie wstrętnym małżonkowi. Mniej skorym wielbicielom rozkazywały damy wyraźnie iść głośić po świecie ich wdzięki i swoją miłość, owszem, jak tego mianowicie jedna z terażniejszych dam francuskich konieczne wymagała, „publikować wszystkie szczegóły jej romansu, wszystkie jej listy, nawet wszystkie doznane od niej pieszczoty”.

Musiał tedy rycerz chcąc nie chcąc wyruszać w świat. Żegnała go przy rozstaniu pobożna „benedykcyj” kochanki, nowa od niej „liberia”, a czasem i brzęcząca sakwa z pieniędzmi. Najzarliwsi wybierali się w drogę z ślubowanym plastrem na oku albo z przymrużoną na cześć kochanki powieką lub, jak ów wzmiankowany już rycerz polski, bawiący tymi czasy na królewskim dworze we Francji, z łańcuchem złotym na ręce i na nodze. Które to wszystkie umartwienia trwały zwykle tak długo, aż póki jakiś ku czci damy dokonany czyn bohaterski nie uwolnił od ślubu. Na wszelki wypadek zaczynał rozkochany kawaler swój romans od dłuższej lub krótszej próby, a dopiero posłuszne jej przebycie pozwalało spodziewać się nagrody.

Wtedy, wróciwszy do ulubionej z wyprawy, przeżegnawszy się z zdumieniem nad jej niczym nie umniejszoną pięknnością doznawał rycerz z czasem tak poufałych względów przyjaźni, o jakich dzisiejsza przyzwoitość nie pozwala marzyć kochankom. W tej mierze obyczaje rycerstwa nie mogą być sądzone według poezji współczesnika powieści naszej, Petrarci. Platonizm poety włoskiego zdaje się być tylko jednym z n a d o b n y c h uniesień tego szalu romantycznego, który w głowach powszednich, w ogólnym obrazie życia tak dziwotworne wzbudzał zjawiska.

Nie mogąc zaś malować sobie tego ogółu życia według pojedynczych umysłów wyższych, do których w pierwszym rzędzie należy sama bohaterka naszego opowiadania, a które mimo przeciwnego usposobienia otaczającej je epoki i ludzkości są w każdym wieku piękne i światłe – przychodzi o powszedniej przyzwoitości tamtoczesnego towarzystwa, mianowicie onych przyjaciółek rycerskich, najniepochlebniejsze powziąć wyobrażenia. Od lat dziecięctwa były one dzięki samejże edukacji obeznane ze wszystkim, co dziś do późna nie skala myśli i oka zacnej kobiety.

Przypuszcza nas do tego sekretu książka edukacyjna, napisana około roku 1371 przez ojca dla kilku córek. Jak wszystkie dawne pisma tego rodzaju, składa się ona po największej części z powiastek mających przykładami wpajać moralność, obrzydzać grzech. Jakoż dla zachęcenia wychowanek do cnót panińskich następują z kolei historie wszystkich grzeszników Starego i Nowego Zakonu, zaczawszy od córek Lota aż do rozpustników społecznych. Przykłady ich występków są tak głęboko z samegoż dna zgorzenia zaczerpnięte, opisy grzechu tak zaraźliwie szczegółowe i dotykające, iż żadna z z e p s u t y c h kobiet dzisiejszych nie zdołałaby bez zarumienienia odczytać tych rad ojcowskich.

Lecz co najgorsza w edukacji średniowiecznej, to przykłady ówczesnej moralności. Oto np. opowiada ojciec ku zbudowaniu córek: Pewien rycerz, po raz trzeci już wdowiec, pragnął dowiedzieć się o losie swoich małżonek na tamtym świecie. Idzie zatem do jednego świętobliwego pustelnika, który po długich prośbach i modłach objawia mu, że dwie poszły do piekła, a tylko jedna jest w niebie. Jakież tedy grzechy stały się zgubą tamtych? jaka cnota zbawiła tę? Tamte „rózowały się i lubiły stroje wykwiłtne”. Ta popełniła wprawdzie „dziesięć lub ze dwanaście razy” grzech, którego tu bliżej opisywać nie mogę, „i różnym innym mało znaczącym folgowała pokusom”, lecz ponieważ wyświadczyła się na łożu śmierci, przeto skończyło się na kilku leciech czyśćca. „Bo – zamyka ojciec morałem – jeśli inne nie zajdą okoliczności (z którymi powiastka obeznawa panińki szczegółowo, a które tu podobnież zamilczeć musimy), dostaje się dusza za takie p o m n i e j s z e grzechy tylko na siedmioletnią pokutę w ogień czyśćcowy.”

Czymże były złe wychowane kobiety owego czasu, jeśli przedmioty troskliwej edukacji miały tak dzikimi pojęciami głowę nabita, tak szpetnymi obrazami imaginację, skalana! Przewrotny zaś umysł, skażona wyobraźnia wynurzały się na zewnątrz nader rubasznym trybem znalezienia się w towarzystwie. Rozmowa kochanków rycerskich odślaniała swobodnie, co znarowione serce pożałowało wbrew godziwości. Nawet niewinne poruszenia uczucia wyrażały się w dziwny dzisiejszemu smakowi sposób.

Nieograniczona cześć dla pieniędzy, jak teraz tak i wówczas zapewniających szacunek ludzki i wzajemność kochanki, redukowała w rozmowie wszelkie przyjemności i smutki życia na pewną kwotę pieniężną, nadawała wywnętrzaniom się sentymentów dziwnie poziomą formułę rachunkową. „Wasze słowa życziwe – odzywa się do papieża mówca cesarski – przejęły cesarza większą radością, niż gdybyście mu byli dali 100 000 grzywien srebrnych!” „Wolałbym być stracić 100 000 franków niż zgubić tyle ludzi” – lamentuje po przegranej bitwie naczelnik wojska rozgromionego. „Rozkoszy, jaką sprawia widok bujnego lotu sokołów, nie dałbym za 1000 małych florenów!” – woła namiętny miłośnik łowów. Dziękując za co, mawiał wyższy do niższego: „Pięć tysięcy dzięków mości rycerzu!” – niższy przeciwnie do wyższego: „Sto tysięcy dzięków, najmiłościwszy królu!”

A jak usta pospolitowały się lichwiarskim taksowaniem uczucia, tak pospolitowała się również ręka i noga ruchem prostaczym. „Ścisnąć za rękę – mówi wykwinny trubadur w rymowych przepisach elegancji – jest to grzeczność, którą dama winna jest w s z y s t k i m ; trącać się nogą pod stołem godzi się tylko kochankom.” Jakoż ta „wojna nogami” była rzeczywiście jednym z najulubieńszych dowcipów miłości średniowiecznej. Opisując posiedzenie dwojga kochanków przy obiedzie opowiada pewien wytworny romansopisarz wieku Jagiełły: „Owóż gdy tak przypijali do siebie, on do niej, a ona wzajem do niego, zaczęły oczy coraz ognistsze miotać pociski, coraz silniej ku sobie pociągały się serca, zaczem i nogi, długim zasłonię obrusem, nuż powoli przybliżać się do siebie, nuż stykać się jedna z drugą, nuż wreszcie stapać jedna po drugiej.”

Śmielsze damy rzucały się pierwszemu lepszemu rycerzowi na szyję. „Pani hrabina de Montfort – opowiada kronikarz społeczny – wyszła naprzeciwko rycerzom i ucałowała naprzód dowódcę, a potem każdego z towarzyszków, raz i drugi, i trzeci, jako dziarska dama i pani.” Podobnież pan dostojny, wychodząc na spotkanie nadjeżdżających dam, całował w usta panią, córki, panny fraucymeru, „wszystkie, jedne po drugiej”. Cały sposób obchodzenia się z kobietami nacechowany był rubasnością bez granic. Na pokojach królewskich, w rozmowie pospolitej szlachty z królową i królem Francji panował tak swobodny ton konwersacji, uchodziły tak prostacze zaloty, pozwalał sobie lada rycerz żartów z królową, od jakich dziś zarumieniłyby się każdy przedpokój.

W jednej z najwykwintniejszych powieści owego czasu, malującej niektóre sceny u dworu francuskiego za dni Jadwigi, przypisanej poważnemu stryjowi królewskiemu, prosi rycerz monarchę o zrobienie pewnej uprzejmości królowej. Król przyrzeka ze śmiechem, a krotofilny rycerz zbliża się do niej, mówiąc: „Podziękuj mi, pani, bardzo pięknie.” – „Za cóż mam ci podziękować, Saintré? – spyta królowa widząc, że król i rycerz się śmieją. – „Podziękuj mi, pani, wprzód, a potem powiem.” – „Nie! – odrzekła królowa – nie podziękuję, bo zażartowałbyś ze mnie! Muszę pierwej usłyszeć, o co chodzi.” – A gdy rycerz się wzbraniał, uchwyciła go królowa za rękaw i zawołała: „Teraz nie puszcę cię, dopóki mi nie powiesz!” – „Księżno, księżno, ratuj mnie! – odezwał się rycerz do stojącej opodal damy, swojej kochanki. – Patrz, królowa chce mię z m o c o w a ć !”

I opowiedział żartowniś nareszcie głośno swój sekret. Co zaś za dowcip wyszedł wtedy z ust wesołego rycerza na pokojach królewskich ku zadowoleniu dworu całego, jakie przy tym inne i przymówki żartobliwe rozweselały konwersację, nie powtórzyć żadnej księżce dzisiejszej.

Z takiej „wytworności” dworów królewskich można powziąć wyobrażenie o zabawach zamków rycerskich. Miał tedy zdeklarowany wielbiciel damy rycerskiej prawo spodziewać się poufałego przyjęcia po swoim powrocie z wyprawy na cześć kochanki. Jakoż zgadzały się na to powszechnie wyobrażenia honorowe onego wieku, iż „po niejakiem czasie żadna uczciwa kobieta nie może wymówić się od wdzięczności dla rycerza swojego”. A ponieważ obyczaj żądał, aby każda miała rycerza, więc powszechna też wdzięczność rozgościła się po zamkach i komnatach rycerskich. „Sława walecznych rycerzy – tłumaczą sobie swe własne szczęście kochankowie ówczesni – kołatała tak długo do serc dziewiczych, aż wszystkie na koniec złagodniały i rozwarły się.”

W tym zaś zwolnieniu serc i zwyczajów „o jakże mylą się ci – skarży się jeden dokładny znawca wieków szwalerii – którzy sądzą, iż miłość w czasach rycerskich była podobną do urojeń, jakie sobie o niej tworzą przyganiacze czasów dzisiejszych [...] Jakkolwiek zepsute mogą być czasy nasze, obyczaje onych wieków heroicznym były nieskończenie szpetniejsze”. D r u g i wtórzy tej skardze twierdzeniem, „iż za czasów szwalerii powszechna rozwiązłość panowała w stosunkach płci obojej [...] Naruszanie ślubów małżeńskich należało do niezaprzeczonych przywilejów piękności i waleczności.” T r z e c i zapewnia owszem po kilkakroć, „iż nigdy jeszcze nie widziano tak wielkiego zepsucia obyczajów jak za czasów rycerstwa, nigdy rozpusta nie była powszechniejszą...” Stąd to ów dziwny pośpiech rodziców w wydawaniu córek czym prędzej za mąż.

A przecież i w onych latach świecą niektóre przykłady dziwnej piękności uczuć. One to wydały nieśmiertelną miłość Petrarcki. One to patrzyły na idealny romans króla angielskiego Edwarda z hrabiną Salisbury, uwieczniony opisem przytaczanej tu często kroniki i ustanowionym przez kochanka orderem, który po dziś dzień jest pierwszą honorową odznaką Anglii. Im to winni jesteśmy wzniosłą duszę Jadwigi.

Bo nie wygasnąć nigdy w piersiach ludzkości, w pojedynczych duszach wybranych Bożej iskrze piękności. Jakkolwiek czasy swawolą i rubasznieją, one zawsze tym samym światłem świecą. Owszem, im ciemniejsze tło ogólnego widoku, tym jaśniejsze gwiazdy szczególne. I toż właśnie bywa zwyczajnie powodem mylnych sądów o różnych wiekach. Uderzeni światłością tych zjawisk pojedynczych nie możemy przypuścić powszechnej ciemni ogółu. Tymczasem obrazowi historycznemu zależy właśnie przed wszystkim na ogóle. Gdyż piękność dusz pojedynczych jako nieśmiertelny przywilej natury ludzkiej, jako dzieło Boże zawsze też sama, niezawisła od wpływu dziejów; a tylko ogół jako zmienne tworzywo czasów, dopiero długą pracą pokoleń dorabiające się światła i krasę, tylko powolną i często przerywaną pracą okrzyszującą się z śnieci, stanowi najwłaściwszy przedmiot dziejopisarstwa.

Najmilszym zaś jego zadaniem: dostrzegać w różnokształtności epok i obyczajów, że ta praca dziejów nie jest do cała płonna, że nie coraz mniej, lecz coraz więcej światła, wdzięku i czci na świecie. Dlatego tak szerokimi obrazami rubasznosci ówczesnej wypadało otoczyć ledwie nacięniowany zarys nieśmiertelnie pięknej osobistości Jadwigi. Dlatego z tak szerokiego świata przyszło nagromadzić szczegóły obyczajowe w opisie charakteru Wilhelma i terazniejszej uczt u franciszkanów.

Już ona wnet u końca. Rozrywki franciszkańskie nie wykraczały poza granicę bardzo przyzwoitego umiarkowania. Niebawem wróci cisza w mury klasztorne, a owi staruszkowie zakonni, uskarżający się w obecnym zgiefku na brak zakątka, gdzie by swą „regularną szklanczkę” spokojnie wychylić mogli, zasiądą znów w refektarzu. Gdybyśmy zaś przed rozejściem się gości chcieli jeszcze spojrzeć po napelnionej nimi sali klasztornej, dziwnie różnobarwny przedstawiłby się nam widok.

Taż sama swoboda do nieładu zbliżona, która do późna panowała na dworze polskim, a której ukróceniem zamierzonym margrabia Zygmunt tymiż czasy obudził niechęć powszechną, ożywiała wesołe zebranie u franciszkanów. Dzięki towarzyskości i swobodnej jeszcze etykietce ówczesnej mieli w niej równy udział ziemianie i mieszczanie, przy wszelkich uroczystościach dworskich jednostajnie obecni. Oprócz krajowców nie brakło nigdy gościny przybyszów zza granicy, gdzie bardzo wielka liczba rycerstwa ówczesnego okazuje się w pamiętnikach niemieckich i francuskich wielce świadomą okolic i miast polskich. Dalecy od narzucania biesiadzie groźnego widoku zbroi żelaznej, świecą oni miękkim pstrokatym strojem, odpowiednim toalecie niewieściej. Niektórzy panowie polscy odznaczają się białymi chustkami na szyi, zawiązanymi w szeroki z boku węzeł, ni to pamiątką dawnego mnichostwa Kaźmierza Odnowiciela.

Panny poznałeś po „przetowłosym” ubraniu głowy i srebrnych albo złotych wieńcach. Podobnie jak kawalerowie, tak i one brzęczały gęstymi dzwoneczkami u stroju. Owszem, niektóre matki przyczepiały im z umysłu jak najwięcej grzechotek u pasa, u rękawów i rąbków sukni, aby nie uciszone niczym brzękadła, ostrzegające o każdym kroku córki, chroniły ją od smutnych skutków niejednej z ówczesnych uczt za granicą.

Mężatki mają na głowie sute, wysokie, zwyczajnie bardzo kosztowne czepce i w tył odchyloną zasłonę. Wszystkie wonieją mocnymi pachnidłami, którymi nawet pościel zaprawiano codziennie. Tu ówdzie połyska zwierciadelko, podawane z ręki do ręki. Niektóre z dam przechodzą się po sali, trzymając się za ręce, co pomiędzy równymi zapobiegało wielce nie miłemu przodkowaniu jednej przed drugą. Natenczas przed wzrokiem przechadzających mijają – tu jakiś zagraniczny rycerz „zielony” oznajmujący barwą swojego stroju, iż zaciągnął się do cechu rycerzy „błędnych” – ówdzie jakiś „kurtezan”, czyli niedawno z długiego pobytu

przy dworze papieskim przybyły prałat – gdzie indziej jakiś stary rycerz, siedzący z zakrzyżowanymi nogami w szanowny dla wszystkich znak, iż odbył pielgrzymkę do Ziemi Św.

Nareszcie uderzała jeszcze mnogość piesków o świecących obrózkach, które wraz z wielą innych zwierzątek, jak np. koty morskie, a nawet jeże, były ulubionym towarzystwem ówczesnych pań i panów, nie zapomnianych na żadnym starym obrazie uczy dworskiej. Jadwiga otrzymywała w darze „potulne psięta” z srebrną obwódka na szyi, a Wilhelm wychował sobie lwiątko, które pod koniec życia z niezmiernym przywiązaniem Ignęło do pana.

Wtem zaczęło znowu krążyć wino z cukierkami i konfektami. Zapowiadało to chwilę rozejścia się. Zabrzmiały trąby przed odchodzącą Jadwigą i Wilhelmem towarzysząc królowej aż na zamek, a księciu aż do mieszkania w mieście. Długo atoli trwało, nim całe towarzystwo opuściło progi klasztorne. Wymagał bowiem obyczaj średniowieczny robić nadzwyczajnie wiele ceremonii przy każdym kroku. Gdzie zachodził pozór niezupełnej równości stanu, tam najmniejszy cień przodkowania stawał się krzywdą; pomiędzy równymi zaś należało do oznak „dobrego tonu” nie przyjmować od razu żadnej ofiarowanej sobie grzeczności, wzbraniać się „dłużej niż kwadrans” wcześniejszego od towarzyszków przestąpienia progu przy wyjściu, wymawiać się również uporczywie od wzięcia honorowej strony w pochodzie. Niekiedy dopiero kilkokrotny rozkaz królewski kładł koniec zbytnim ceregielom rycerzów i zniewalał ich rozejść się wreszcie do dom.

Po jednym zebraniu u franciszkanów następowało drugie. Wesołe zabawy klasztorne powtarzały się. Oneż to dopiero, o ile sobie wytłumaczyć umiemy bieg wypadków, natchnęły dawne przywiązanie Jadwigi potęgą rzeczywistej miłości. W dziecinnie żywej duszy, ogrzanej słońcem zmysłowości ówczesnej, a rozdrażnionej przeciwną koleją zdarzeń, rozbudzona raz skłonność dojrzała rychło w namietność. Zgasł wszelki wzgląd na Jagiełłę, a utwierdziła się myśl dopełnienia miłej sercu ugody matczynej z ojcem kochanka.

Lubo oznaczony w Budzie termin pokładzin Jadwigi i Wilhelma w dzień Wniebowzięcia Najświętszej Panny przeminął bezskutecznie, nie traciły przeto waloru ani warunki powtórzonej wówczas umowy, ani uroczyste śluby haimburskie, ani dawne życzenia ojca, tak silnie teraz przypominające się oblubienicy i córce. Mimo oporu panów koronnych i wykluczenia Wilhelma z zamku była jeszcze przy pomocy stronnictwa przychylnego nadzieja, iż postanowione dotrzymanie wiary oblubieńcowi odniesie ostatecznie zwycięstwo. Należało tylko jakimkolwiek sposobem przyjąć Wilhelma na zamku.

Jakoby dla ułatwienia sobie tego zamysłu, dla umniejszenia liczby nieprzyjaciół pojednała się Jadwiga w tym czasie z dawnym rywalem i przeciwnikiem. Był nim Piast mazowiecki Semko, pragnący niegdyś pozbawić ją albo tronu, albo kochanka. Aż dotąd nie przyszło do zakończenia dawnej z nim sprawy. Pozostawały wciąż jeszcze w jego ręku opanowane przed dwoma laty Kujawy i niektóre inne zamki królewskie. Teraz obmyślano ugodę czyniącą zadość obojej stronie. Ziemowit zwracał Jadwidze wszystkie dawne zdobycze, a królowa zobowiązała się wypłacić mu za to 40 000 kop groszy pragskich okupu.

Ponieważ zaś nie znalazło się zaraz tyle w skarbie pieniędzy, więc zatrzymał Semko Kujawy w zakładzie na czas tak długi, aż póki nie nastąpi wypłata. Resztę opanowanych zamków i posiadłości koronnych zwróci książę natychmiast i zniweczy nadto ugodę zawartą niegdyś z uszczerbkiem korony królewskiej z szlachtą ziemi łęczyckiej. Za co królowa podjęła się wypłacić jeszcze długi zaciągnięte przez Ziemowita u Żydowinów krakowskich. Zarazem ubezpiecza się wzajemnie wolność jeńcom obój ej strony, zapewnia się przebaczenie królewskie wszystkim duchownym i świeckim panom, którzy dotąd trzymali z Ziemowitem, z wyjątkiem zdrajcy Małochy, i staje obietnica solenna nie czynienia sobie odtąd żadnej przekory. Zawarty został ten układ w Krakowie, w wigilię św. Łucji, czyli dnia 12 grudnia roku Pańskiego 1385. Na zachowanym dotąd dokumencie pojednania nie podpisał się żaden z dygnitarzy koronnych.

W ten sposób wyjaśnił się nieprzyjazny stosunek między Jadwigą a Ziemowitem. Zawarcie ugody pomiędzy nimi w tej właśnie chwili, kiedy rada koronna spór żyła o Wilhelma z swoją królową, stawia Ziemowita oczywiście po stronie Jadwigi przeciwko radzie. I nazbyt zrozumiałą zdaje się rzeczą, iż młodzińczy książę Mazowsza pałał niechęcią ku senatorom krakowskim, którzy mimo wszelkich starań i nadziei odcięli go od tronu. Mając zrzec się Jadwigi, pragnął on przynajmniej utrudnić im ofiarowanie jej temu, z kim oni połączyć ją zamierzali. Stąd pojednanie z Jadwigą przechylało go zarazem na stronę jej kochanka Wilhelma.

Którym to zwrotem okoliczności wracał Ziemowit jedynie do pierwotnej roli książąt mazowieckich w swadźbie rakuskiej, tj. roli przyjaznego Rakuszanom poręczyciela traktatów ślubnych, jaką mianowicie przed mniej niż pięć laty pełnił w Węgrzech ojciec młodego księcia, stary książę Ziemowit. Jakoż zbliżył się teraz nasz młody Semko w istocie do najgorliwszych przyjaciół Wilhelmowych, bo do Krzyżaków. O ile ci życzyli sobie dojścia ślubów rakuskich, nie potrzeba tłumaczyć. Rodzina Wilhelma liczyła się do przednich dobrodziejów Zakonu. „Dowodem tego – pisze mistrz wielki do Rzymu – sztandar rakuski, wiszący na zamku w Marienburgu.” Nie było dla nich męża Jadwidze, nie było miłszego dla nich króla w Krakowie nad Rakuszana Wilhelma. Przeciwnie Jagiełło mężem Jadwigi, wielki książę litewski na tronie Piastów, Polska podwojona połączeniem się z Litwą – cóż za złowrogi dla wielkich mistrzów widok!

Zaczem jak później ubiegano się gwałtownie o podtrzymanie sprawy Wilhelma, tak i teraz podawano jej rękę, łączono się ze wszystkimi, którzy tym samym tchnęli życzeniem. Widząc w ich rzędzie Ziemowita, potrzebującego zawsze pieniędzy, pożyczili mu Krzyżacy do dawnych długów na Wiznę i ziemię zawkrzyńską nowy przyczynek 1000 kóp szerokich groszy pragskich. Cokolwiek zresztą spowodowało tę pożyczkę, zawsze bliskoczesne pojednanie Jadwigi z Ziemowitem, a porozumienie się Ziemowita z Zakonem wskazują na zamiar utworzenia szerokiej ligi, przychylniej wprowadzeniu księcia rakuskiego na zamek krakowski, w progi małżeńskie.

Wszakże i przeciwnicy nie spoczywali. Układy panów rad koronnych z Jagiełłą szły dalej. Jednocześnie z przybyciem Wilhelma do Krakowa wrócili wyprawieni do Jagiełły posłowie, wioząc odeń owo dokumentne zeznanie, jako wszystko, co pierwsi wysłańcy litewscy oświadczyli naprzód w Krakowie, a potem w Budzie, jest rzeczywiście wolą Jagiełły. Po którym to pisemnym zatwierdzeniu ustnych punktów ugodnych wymagała dyplomacja krakowska wyprawic ostatecznie za Bug poselstwo, które by się ułożyło z Jagiełłą względem sposobu i czasu jego przybycia do Krakowa.

Uzyskali wielmoże krakowscy bardzo ważną pomoc ku temu krokowi ostatecznemu. Jak wiadomo, mianowany został w Budzie, w umowie między ojcem Wilhelma Leopoldem a królową matką Elżbietą, egzekutorem pokładzin oblubieńczych w Krakowie opolski książę Władysław. Tymczasem wyznaczony pokładzinom termin minął bez skutku, a egzekutor opuścił trudną sprawę, której miał bronić. Owszem, nasz „miłośnik spokoju”, nasz zmienny w swoich losach „Naderspan”, niechętny sporowi z najmożniejszą częścią narodu, utwierdzony w tej niechęci obawą, aby terażniejszym popieraniem Wilhelma nie pobudził narodu do tym prędszego odebrania mu kiedyś różnych ziem polskich, na koniec ujęty zapewne obietnicami i widokami korzyści związków z księciem litewskim – przeszedł stanowczo na stronę dziewosłębów litewskich, nieprzyjaciół Wilhelma.

Widać to z całej nowej składu postronnych okoliczności. Naprzód wbrew wszelkim pobudkom do obopólnej niegdyś przyjaźni wszczynają się odtąd nieprzyjazny stosunek między książęciem a Krzyżakami, którzy niebawem wiążą się przeciw niemu z jego nieprzyjaciółmi. A mimo swego miłośnictwa pokoju miał Opolczyk wszędzie wrogów bez liku. Wiodła go bowiem pokusa w nader częste starania o jakieś zyski wątpliwe, nabytki podejrzone, które w końcu ściągają nań rój adwersarzy. I tak, otrzymawszy bezprawnym rozrządzeniem króla Ludwika część Kujaw, ziemię dobrzyńską i inne posiadłości, ujrzał się książę teraz stąd i zo-

wąd zagrożonym w tych niesłusznych dzierżawach. Z jednej bowiem strony panowie małopolscy umawiali się z Jagiełłą względem odzyskania wszystkich uszczerbków Korony, co Opolczyka zmuszało szukać przyjaznego porozumienia z panami i księciem litewskim. Z drugiej strony widząc chwiejne usposobienie Naderspana znachodzą sobie Krzyżacy innego do Opolczykowych ziem pretendenta, mianowicie książąt pomorskich Warcisława i Bogusława, którzy jako bratankowie poprzedniego księcia dobrzyńskiego Kaźmierza, urodzonego z siostry Kazimierza Wielkiego, głoszą się właściwymi dziedzicami ziemi dobrzyńskiej.

W czym popierając obudwóch Pomorczyków, zawiera wielki mistrz krzyżacki tymiż czasy wyraźny z nimi traktat „przeciwko temu, który nieprawnie mianuje się księciem dobrzyńskim”. Ponieważ jednak niebezpieczeństwo polsko-litewskie groziło bezpośrednio, przeto zniósł Opolczyk spokojnie groźbę Krzyżaków, a uznał się przyjacielem Jagiełły. Gdy panowie krakowscy wyprawiali teraz ostatnich posłów swoich do Litwy – znowuż, jak przed trzema miesiącami Włodka z Ogrodzieńca, poprzednio cześnika krakowskiego, a obecnie starostę lubelskiego; Mikołaja, kasztelana zawichostskiego, i Krystyna, starostę kazimierskiego, z przydatkiem podstolego krakowskiego Piotra Szafranca – ten sam „książę pokoju”, który pod koniec lipca podjął się w Budzie egzekutorstwa pokładzin oblubieńców krakowskich, wydał teraz, w połowie grudnia lub wcześniej, listy wierzytelne do traktowania z Jagiełłą. I wyruszyli tedy wysłańcy małopolscy z glejtami i dokumentami panów i Opolczyka ku Litwie po Jagiełłę, a pozostałe w Krakowie strony przeciwne, Jadwiga i jej rada królewska, nowymi wsparci sprzymierzeńcami, spieszyli użyć ostatnich chwil do walki.

Była to walka cicha, ale usilna. Rada koronna czuwała, aby Wilhelm niespodzianym sposobem nie stał się panem Jadwigi i zamku krakowskiego. Dworskie grono poufników Jadwigi starało się ułatwić jej wykonanie zamysłu, który miał uwieńczyć nadzieje Wilhelmore. Panom koronnym, strzegącym skarbu Jagiełłę, przodkowa! sędziwy starzec, „pan krakowski”, Dobiesław, z nowym sojusznikiem z Opola. Poufnikom królowej przewodniczył podstępny Gniewosz z Dalewic i sprzyjał książę Semko, obecny pod tę porę w Krakowie. Stojąca pomiędzy nimi Jadwiga, uniesiona namiętnością, zgadzała się bezwzględnie na wszystkie środki, podsuwane jej zamysłowi usłużnymi radami powierników i moralną niewybrednością epoki.

Postanowiono wprowadzić Wilhelma potajemnie na zamek, do komnat młodocianej królowej. Kilkudniowy tam pobyt, dopełniający owego „pożycia małżeńskiego”, o które niedawno jako o ostatnie uświęcenie ślubów haimburskich układano się w Budzie, niweczył wszelkie widoki Jagiełłowe. Rzeczywista małżonka Wilhelma nie mogła oddawać ręki komu innemu. Los Jagiełły, los dwóch narodów wisiał na promieniu szczęśliwej lub nieszczęśliwej gwiazdy, która miała świecić tajnej schadzce miłosnej.

Nigdy zapewne czysto ludzkie uczucia dwojga dzieciennych serc nie współdziałały w poważnej pracy tak niezmiernie rozległych dziejów. I nigdy też wzajemnie dzieje tak wielkiej treści nie zbliżyły się bardziej kształtem swoich wypadków do poetycznych zmyśleń fantazji. Wpatrując się w sceny ówczesnych zdarzeń krakowskich, mniemamy widzieć przed sobą jeden z owych czarodziejów romansów, w których tak lubowały pokolenia ówczesne. Jakby w wyobraźni poety wznosi się tam zamek królewski na wysokiej skale nad rzeką. W zamku mieszka samotna królowna dziwnej piękności. U stóp góry zamkowej tęskni młodzian książęcy, posiadający jej serce. Lecz nad ręką królowny trzyma straż grono surowych starców, przeznaczających ją obcemu pogańskiemu księżciu...

Wtem – ciągnie dalej historia – poufnicy Jadwigi wiodą Wilhelma potajemnie na zamek, do pokojów dziewiczych. Pod opieką swojego głównego stronnika Gniewosza z Dalewic dostaje się książę szczęśliwie w bramy zamkowe, do pałacu królewskiego, do samych komnat „małżonki”. Lubo głęboka tajemnica osłania schadzkę, dzieje się przecież wszystko z powagą formalnego obrzędu weselnego. Towarzyszy oblubieńcowi liczna drużyna dworzan i panów wtajemniczonych, potrzebnych na przyszłość świadków wypadku. Nie jednego też,

lecz kilku następnych po sobie dni wymagała solennie przestrzegana ceremonialność aktu. Starannie tajony nowożeniec miał przez czas dłuższy ukrywać się w murach zamkowych. Dopiero jutrzejszego wieczora gotowali się goście weselni oddać królowę Wilhelmoi.

Przy niejakiach środkach ostrożności sądzono się już blisko kresu, gdy nagle wszczyła się rozruch na zamku. Czuwająca nad królową rada koronna dość wcześniej postrzegła zdradę. Najzuchwalsi z przeciwników Wilhelma rzucili się z traskiem ku komnatom królowej, aby przeszkodzić obrzędowi. Przekroczony przez księcia zakaz wstępu na zamek upoważnił zapamiętałców do targnięcia się na jego własną osobę. Każda chwila ociągania się groziła niebezpieczeństwem, niewola. Sama Jadwiga upomniała do czym prędszej ucieczki. Piętnastoletni oblubieniec musiał ustąpić. Ocalił go tenże sam sposób, jakim przed kilką laty panie i panny fraucymeru starej królowej Elżbiety podczas rzezi węgierskiej ratowały ściganych na zamek Węgrów. W koszu, na linach, spuszczone młodzieńca przez okno, za mur zamkowy. Więcej nad tę „sromotną ucieczkę” nie chcieli tym razem gwałtownicy obrzędu zamierzonego. Królowa pozostała na zamku, a Wilhelm wrócił upokorzony do swego gościnnego przybytku w mieście.

Na niczym więc spełzył zamysł sprowadzenia księcia niemieckiego na Wawel. Pożądane tam „zamieszkanie” nie przyszło wcale do skutku. Ale nie przeszkodziło to ludziom snuć sobie najopaczniejsze powiastki o tym zdarzeniu. Niełatwo im było przypuścić, iżby się mogło nie stać, co się stać miało. Powtarzano więc zagranicą, zwłaszcza gdzie los Wilhelma budził współczucie, w Wiedniu u kronikarzy rakuskich, w Prusiech u pisarzy krzyżackich, że książę przez wiele dni władał samowolnie na zamku. Przypominając sobie ceremonialne pokładziny dzieci w Haimburgu i słysząc o podobnym zamiarze w Krakowie, wikłali opowiadające różne miejsca i czasy, krzywdząc rzeczywistość niewinną.

Nie brakło przecież głosów, które już wówczas, i to nawet wcześniej od rozsiewaczy wieści fałszywych, dawały świadectwo prawdzie. Pochodzą one od osób najbliższych wypadkowi miejscem i czasem, bo w części tuż pod bokiem Krakowa jeszcze za życia Jadwigi przemawiających. Zresztą jako ludzie poważni i bezstronni mają ci świadkowie społeczni niezapreczenie pierwsze, acz nie dość znane dzisiaj zdanie w tej sprawie.

Owóz jedną z swoich częstych igraszek kazał los wyrokować w ten sposób o fortunie krakowskiej schadzki miłosnej – poważnemu radcy magistratu wiedeńskiego i jeszcze poważniejszemu opatowi klasztoru żegańskiego na Szląsku. Obaj donoszą zgodnie, że piętnastoletni oblubieniec przed dojściem obrzędu weselnego musiał uciekać z zamku. I proza świadectw poważnych, i zmyśleń romantycznych poezja walczą zarówno o udział w historii dziecinnych oblubieńców krakowskich.

Polacy ówczesni utrzymywali jednostajnie niezamieszkanie Wilhelma w grodzie królewskim. Z podwojoną przecież bacnością czuwano odtąd nad bramą. Im większej zaś pilności wymagał obowiązek tej straży, tym niecierpliwiej spoglądali panowie w stronę litewską, za wyprawionymi tamże posłami. Stanąwszy już w ziemi pogańskiej zastali oni Jagiełłę nie z dala od granic polskich, w Wołkowysku przy trakcie łąckim. W zamku poza miasteczkiem, którego szczątki do niedawna jeszcze istniały, nastąpiło przedłożenie księciu pogańskiemu ostatecznych zaprosin polskich. Przyznawały one sobie większą jednomyślność życzeń narodu, niż pono było w istocie.

Wobec bliskiej intronizacji Ziemowita w Sieradzu przez tak niezmierną liczbę narodu; wobec pewnej garstki przyjaciół otaczających nawet Wilhelma, trudno było przypuścić, iż wszystka Polska wzywa Jagiełłę. Atoli zwyciężające stronnictwo zwycięża zawsze w imię całości. W prawdziwie też zwycięskiej pysze brzmiało oświadczenie pisemne, którym stojący teraz przed Jagiełłą pełnomocnicy polscy, według ich własnych słów „zapewnili mu, dali, darowali i odkazali” swoją królową piętnastoletnią. Po akcie koszyckim jest to najważniejszy dokument naszej powieści. Posłuchajmy go przeto w całości, jak on dnia 12 stycznia roku Pańskiego 1386 odczytany został na zamku wołkowyskim, zadzierzgając unię Korony z Litwą.

„My, Włodko, starosta lubelski, Piotr Szafraniec, podstoli krakowski, Mikołaj, kasztelan zawichostski, i Krystyn, dzierzawca kazimierski, podajemy do wiadomości. Jako w piątek przed oktawą Trzech Króli (12 stycznia) roku Pańskiego 1386 przybyliśmy do niezwyciężonego księcia Jagiełły, z łaski Bożej najwyższego księcia Litwy, dziedzica Rusi, w poselstwie od szlachty i panów polskich tak wyższych, jako też niższych i od wszystkiej zgoła społeczności Królestwa Polskiego z listami wierzytelnymi najjaśniejszego księcia Władysława, tymże samym przejrzeniem Bożym dziedzica ziemi opolskiej, tudzież wspomnionych magnatów królestwa przereczonego. Mocą których to listów i w imieniu tychże panów ułożyliśmy warunkowo z pomienionym wielkim księciem Jagiełłą i postanowiliśmy ostatecznie, iż go obieramy i bierzem sobie za pana i za króla królestwa tegoż, to jest Polski, i zapewniamy mu, dajemy, darowujemy i odkazujemy najprzezacniejszą Jadwigę, urodzoną królową polską, do połączenia z nim ślubami prawowitego małżeństwa. Któremu to postanowieniu naszemu i ugodzie mniejszej przyrzekamy i ślubujemy według poselstwa zleconego nam od wszystkich ziemian Korony Polskiej nienaruszalną moc, władzę i zachowanie. Okrom czego umówiliśmy jeszcze, uchwalili i postanowili z tymże najwyższym księciem Jagiełłą, w imieniu przereczonych ziemian, powszechny zjazd w Lublinie w dzień oczyszczenia Najświętszej Panny (2 lutego), blisko nadejść mający. Na który to zjazd tenże książę Jagiełło będzie mógł przybyć spokojnie i bezpiecznie, wraz z swymi braćmi i ziemianami jakiegokolwiek stanu. I będzie mu też wolno rozesłać w tym czasie z wszelkim bezpieczeństwem swoje poselstwa, czyli posłów swoich, po wszystkich pograniczach Królestwa Polskiego ku swobodnemu załatwieniu spraw swoich. A my, wyż spomnieni szlachta, przyrzekamy pod czcią i dobrą sławą naszą, w imieniu wszystkich ziemian Królestwa Polskiego najwyższemu księciu Jagiełłę, jako też wszystkim jego braciom i ludziom znajdującym się na zjeździe wyż umówionym oraz też posłom jego bądź to przed zjazdem w Lublinie przejeżdżającym przez ziemię polską, bądź to stale przebywającym w niej wszelkie bezpieczeństwo i wolność wszelką, działać i sprawować, co im będzie potrzeba. W świadectwo zaś i jawność tego kazaliśmy listowi niniejszemu przywiesić pieczęcie nasze. Działo się i wydano w Wołkowysku roku i dnia, jak powyżej.”

Za dwie przeto niedziele miał głośny w całym ówczesnym świecie książę pogan litewskich stanąć jako elekt korony Piastów w granicach małopolskich. Tylko dwa tygodnie wolności pozostawały jeszcze „danej, darowanej i odkazanej” Jadwidze. Biedne dziecko w koronie nie znało tej dzikiej formuły dokumentu, lecz sama otaczająca je rzeczywistość, samo gwałtowne rozłączenie z oblubieńcem, z „małżonkiem”, dość już boleśnie dojmowało, aby wspaniała i dumna córka najślawniejszego z królów ówczesnych nie miała uczuć całej goryczy położenia swojego. Jakoż, nie mogąc znieść jej, uderza Jadwiga ni to ptak usidlany, jeszcze raz skrzydłami o złotą klatkę swojej doli królewskiej, chce jeszcze raz połączyć się z „małżonkiem”.

Od czasu ucieczki Wilhelma z zamku ustały wszelkie jawne styczności pomiędzy młodą parą. Cała ich miłość zawisła obecnie na tajnych posyłkach między zamkiem a przybytkiem księcia w mieście. Coraz głośniejsze wieści o nadciągającym Jagielle rozdmuchiwały skrytą iskrę tego znoszenia się w coraz namiętniejsze zamysły. Wiadomość o przybyciu pogańskiego księcia do Lublina przywiodła ją do wybuchu. Postanowiono bądź co bądź – widzieć się. Ponieważ Wilhelmowi przystęp do zamku był niepodobnym, przeto nie wahała się Jadwiga zstąpić z swego zamku do niego. Miało to głośno oznajmić światu, iż zawarte w dziecięctwie zaślubiny znajdują zupełne potwierdzenie w skłonności lat dojrzałych. Miała się oznajmić przez to nienaruszona ważność małżeństwa *p i e r w s z e g o*, również stanowczo uświęcona tym krokiem, jak owym przeszkodzonym „zamieszkaniem” księcia w grodzie królewskim.

Oddaliwszy się zaś w tej myśli do oblubieńca nie godziło się Jadwidze wracać na zamek inaczej, jak tylko wraz z Wilhelmem. Co gdy w obecnym składzie rzeczy nie mogło prawdopodobnie wróżyć sobie ziszczenia, gdy Jadwidze z Wilhelmem nie ścielił się łatwy powrót do zamku, nie pozostawało mniemanym małżonkom nic innego, jak połączywszy się raz nie

rozłączać się więcej, choćby nawet przyszło ujechać razem z Krakowa. Nie inaczej też tłumaczono sobie wówczas zamysł młodocianej królowej. Jadwiga wybierała się do Wilhelma, aby z nim uciec. Wybierała się oczywiście w skrytości, o mniej strzeżonej porze, drogą ustronną. Jak bowiem los Jadwigi zależał obecnie od tego kroku, tak można się było obawiać, że i strona przeciwna, panowie dostojnicy koronni, również nim zagrożeni, raczej najsroźszej dopuszczą się ostateczności, niż przyzwolą na płoche zniweczenie wieloletnich zamiarów i trudów swoich.

Zaniósł się tedy na ostatnią próbę owej cichej, lecz krwawej walki między poważną radą koronną a piętnastoletnim dzieckiem w koronie. Uderzająca przy tym stanowczość tegoż dziecka wzbudzała mniejszy wówczas podziw niż dziś. Nadmieniono już kilkakrotnie o wcześniejszym dojrzewaniu serc i namiętności, o nieskończonej większej śmiałości niewiast ówczesnych. Objawiała się ona we wszystkim, w trybie towarzyskości, w codziennych zwyczajach życia, w nierzadkiej gotowości do pochwylenia oręża. Najwykwintniejsza dama podawała mężczyźnie rękę do uściśnięcia, usta do pocałunku powitalnego; każda musiała chcąc nie chcąc dosiadywać rumaka, jedyne go środka podróży, a zapewne nie sama tylko hrabina de Montfort, jedna z współczesnych Jadwidze bohaterek rycerskich, przyodziana w zbroję żelazną, harująca na koniu, „miała odwagę bohatera, serce lwie, a w ręku miecz zardzewiały, którym dziwnie dokazywała”.

Owszem, najwaleczniejsze spośród nich „nie przestawały już na zwykłych bachmatach damskich, potrzeba im było wierzchowców nieunoszonych. Lada niewiastka miewała kord u pasa”, a Bretania ówczesna, brzmiała poszczękiem wojny dwóch dam, przypominała wiek amazonek. Córka takiego czasu, Jadwiga, nie odrodziła się od pokolenia swojego. Śmiała (jak to obaczymy) na czele wojska, w rozmowie z wrogim hersztem Krzyżactwa, przed dostojnikiem nie dość usłużnym, nawet wobec spowiednika swojego, przynosiła ona tym większą śmiałość do podjęcia ostatniej próby, mającej połączyć ją z oblubieńcem, ocalić od związku z „barbarzyńcą”.

Bez trąb zapewne i bez fletni tym razem opuściła Jadwiga komnaty pałacu królewskiego, zmierzając w małym gronie powiernych ku bramom zamku. Progi pałacowe, strzeżone zwyczajnie przez osobnych odźwiernych, nie stawiały oporu. Taką samą łatwość wróżyła sobie młodociana królowa w bramie zamkowej. Należało minąć najprzód przestrzeń między pałacem a podwójnym murem całego grodu, a potem przebyć bramę w tym murze. Aby nie obudzić uwagi, obrano drogę furta pomniejszą, zwyczajną stroną podobnych ujść potajemnych.

Była to furta południowa, przy starożytnej baszcie Lubranka, stanowiącej niegdyś południowo-wschodni narożnik zamku. Wzdłuż jednej ze ścian baszty zniżały się schody kamienne, opatrzone także samą poręczą, a wiodące ku furcie w dole. W nieco spokojniejszych czasach stała ona zwykle otworem. Teraz jednakże czuwała nad furta zbrojna toporem straż i wisiały przy niej ogromne kłódki onego czasu.

Zdziwiona nimi Jadwiga wstąpiła już na schody i kazała sobie otworzyć. Straż odparła: „Nie wolno.” – „Kto zabronił?” – „Panowie.” – „I mnież zabronią, królowej?! Podajcie topór!” – Tak dalece nie sięgał zakaz: podano. Piętnastoletnia ręka najpiękniejszego onych lat dziecka pochwyliła żywo ciężkie narzędzie, wymierzając je przeciw kłodom. Kilka śmiałych uderzeń, a najkosztowniejszy skarb zamku królewskiego nad Wisłą, skarb całej świetnej przyszłości kraju stracony był Koronie.

Zachował go wierny podskarbi koronny. W chwili najwyższego niebezpieczeństwa zbliżył się Dymitr z Goraja, jeden z terażniejszych popleczników Jagiełły. Stary sługa dziada i ojca królowej, mianowicie od króla Ludwika łaskami i podskarbstwem powtórnym odznaczony, ozwał on się błagalnym głosem do wnuki i córki swoich panów, iżby odstąpiła zamysłu.

Usilną prośbę starca poparły dalsze uwagi, wymowniejsze w takim razie od rzewnych błagań. Przedstawiały one Jadwidze bezskuteczność jej czynu. Zuchwałość ze strony Jadwigi groziła tym większą zuchwałością strony przeciwnej. Przy dojściu spraw publicznych

do katastrofy obecnej przestała już królowa być panią własnej woli. Jak tylu innych królów onego czasu, była Jadwiga więznie w swym własnym zamku.

Tak srodze zemściło się na rodzinie andegaweńskiej podobnież gwałtowne wymożenie onego układu koszyckiego. Jedenaście lat temu królewski ojciec Jadwigi dla zapewnienia córce korony polskiej uwięził w tenże sam sposób przeciwnych Wielkopolan w murach koszyckich. Dziś córka Jadwiga nosiła koronę polską, lecz za koszycką niewolę Wielkopolan samiż przyjaciele królewskiej rodziny andegaweńskiej, możni panowie małopolscy, w znacznej części ciż sami, którzy podówczas w Koszycach dopomagali gwałtowi króla Ludwika, narzucili stokroć boleńszą niewolę jego dziecku, przynieśli je w ofierze szczęściu swojemu.

Po schodach kamiennych obok baszty narożnej, jedynej dziś pamiątki tego wypadku, odprowadził Dymitr królowę nazad ku pałacowi. Nie widziała ona już nigdy więcej Wilhelma. Położenie książęcia rakuskiego stawało się odtąd coraz niebezpieczniejsze. Dopuściwszy się tak krwawej samowolności względem własnej królowej, nie myśleli panowie krakowscy oszczędzać bynajmniej przybysza niemiłego. Szczupła garstka zwolenników książących nie dawała dostatecznej podpory. Wypadało wracać spieszenie do Rakuz albo narażać się na ciągły topór nad sobą.

Nie mogąc zdecydować się do odjazdu natychmiestnego, złudził Wilhelm nieprzyjaciół pozorem oddalenia się. Opuścił dotychczasowe mieszkanie w mieście i przebrany za kupca ukrył się w jednej z odleglejszych ustroni miasta. Niektórzy utrzymywali, iż książę wyjechał w cale z Polski; inni, że wyjechał, lecz wrócił i przesiadywa potajemnie bądź to w łobzowskim zameczku pod Czarną Wsią, bądź też w Krakowie, w domu Morsztynów, przy rogu dzisiejszych ulic Sławkowskiej i Szczepańskiej. Z rozkazu panów krakowskich poszukiwano go ściśle w obudwóch pomienionych przytułkach, a w dworcu Morsztynowym miał młodzian książący jedynie tym ujść odkrycia, iż skoczył w komin i utaił się tam na belce.

Ponieważ zaś to uporczywe przechowywanie się żadnego nadal przynieść nie mogło skutku, a obawa uwięzienia Wilhelma tym boleńniej dręczyła Jadwigę nieszczęśliwą, więc doszła go od niej samej przestroga, aby uchodził czym prędzej, gdyż każda chwila może go zgubić. Coraz bliższe kroki Jagiełły, ciągnącego już z Sędomierza ku Krakowowi, zamieniały tę smutną radę w konieczność. Podczas gdy Jagiełło jedną bramą odbywał wjazd do stolicy krakowskiej, Wilhelm drugą opuszczał ją na zawsze. W niedzielę 4 marca roku 1386, stanął książę z powrotem w Wiedniu. Za rzeczywistą stratę kochanki i tronu posagowego pozostała mu tam jedynie mylna pogłoska, iż był koronowany w Krakowie i panował jakiś czas w Polsce.

Równie więc niepomysłnie zakończyła się swadziebna wyprawa obudwóch oblubieńców niemieckich po obiedwie córki Ludwika. Zygmunt po wojennym zdobyciu sobie starszej siostry, pani południa podtatrzańskiego, musiał wracać „piechotą” do Presburga. Wytworny Wilhelm po ucztach i płasach z młodszą, panią północy nadtatrzańskiej, wrócił w ubogim przebraniu do swego księstwa. Wszystkie sprowadzone przezeń skarby i kosztowności pozostały w lichych ręku człowieka, któremu książę poruczył swoje losy. Zakupił Gniewosz z Dalewic później rozliczne za nie włości, które jednakże jako niecny nabytek niedługo utrzymały się w jego rodzinie.

A podobnie jak ta pieniądze spuścizna Rakuszana nie przyniosła nikomu błogostawieństwa, tak i po wszelkich dalszych wspomnieniach Wilhelma w Polsce tylko gorycz wschozła. Pamięć dawnego oblubieńca stała się dla Jadwigi źródłem wielorakich udręczeń. Chciwa tronu polskiego ambicja „Ambitnego” książęcia, nawet dłuższym przeciągiem lat nie uspiona, a szczęśliwym później obrotem spraw spółtowarzysza Zygmunta, szczęśliwym przezeń odzyskaniem małżonki i korony węgierskiej tym żywiej podniecona, przemyśliwała z cicha o ciężkim upokorzeniu Polski. Dawne zaś miejsca Wilhelmowego ukrywania się w Krakowie, mianowicie ów Morsztynowski budynek na rogu Sławkowskiej i Szczepańskiej ulicy, przybrały w uścich ludzkich cale obelżywe z czasem znaczenie, równając je przybytkom rozpusty i zepsucia.

Wszelka cześć i wszelka chwała ust ludzkich brzmiała odtąd onemu szczęśliwemu „prostakowi”, którego obecne zbliżanie się ku stolicy uświetniło ją kilkotygodniowym szeregiem wielkich narodowych obrzędów – szeregiem następujących po sobie witań, chrztów, zaślubin i koronacji nowego króla Polski Władysława II.

XV. WŁADYSŁAW II

Potrzeba przyzwolenia Jadwigi na zamęście z Jagiełłą. Przedstawienia duchowe w tej mierze. Ustawy kanoniczne względem zrękówin dzieci. Wszelkstronne nalegania. Poselstwo Zawiszy Oleśnickiego. Weselny pochód Jagiełły. Odprawa Zawiszy. Jagiełło w klasztorze Świętokrzyskim. Zakładnicy litewscy. Wjazd do Krakowa. Chrzest Jagiełły. Z greckiego li obrządku, czy z pogaństwa? Unieważnienie ślubów z Wilhelmem. Niechęć Wilhelma ku Jadwidze. Ślub z Jagiełłą. Dokument swobód. Coraz wyższe usamowładnienie szlachty. Koronacja Władysława II. Gody weselne. Trzy sakramenty. Hojna wdzięczność, króla względem panów i książąt. Inne zaślubiny książęce. Podróż do Wielkopolski. Niesforne tam przyjęcie. Spór o stacją w dobrach duchownych. Nabożeństwo wielkanocne. Sądy. Wygnanie i ułaskawienie Bartosza z Wiszemburga. Spokój powszechny. Zabiegi Krzyżaków i Wilhelma przeciw małżeństwu Jagiełłowemu. Wyprawa krzyżacka z Andrzejem Polockim. Szczęśliwy odpór za pomocą Polaków. Przymierze Jagiełły z królową Elżbietą. Sprawa małżeństwa przed trybunałem papieskim. Upadek nadziei Wilhelma.

Pamiętny w dziejach Krakowa miesiąc nastął z lutym roku 1386. Jakoby porę osobliwych wypadków poprzedzały go nadzwyczajne zjawiska przyrody. Pod sam koniec stycznia uderzył z północy okropny wiatr, jakiego zdziwione kroniki nie przypominały sobie od wieków. Bijąc za ustępującym nad Dunaj oblubieńcem rakuskim zdawał on się przeciwnikom ślubów litewskich istnym zwiastunem pogańskiego księcia północnej Litwy. Z tym wszystkim pomimo przerażającą grozę jego coraz bliższego przybycia wypadało oswoić się z myślą o nim.

Musiła mianowicie uczynić to biedna królowa. Silono się tymczasem ułatwić jej ten przymus. Obowiązek starań podobnych należał osobliwie do duchowieństwa. Jak panowie świeccy dokonali swej powinności broniąc Wilhelmu pobytu w zamku, a Jadwidze przystępu do Wilhelma, tak na panach duchownych spoczął teraz trud ukojenia żalów biednej królowej, skłonienia jej do przyjęcia z własnej, nieprzymuszonej woli ofiarowanych ślubów litewskich, bez czego nie było ostatecznie możliwości związku z Jagiełłą. Jakoż ubolewając później nad jego osadzeniem i małżeństwem w Krakowie, donoszą nam spółcześni przyjaciele Wilhelmu wyraźnie, że „to wszystko zrobił arcybiskup gnieźnieński z resztą biskupów i prałatów”. Zrobił zaś nie czym innym, jak właśnie moralnym uspokojeniem, przejednaniem Jadwigi, stanowiącym obecnie główne zadanie chwili.

Cierpienia Jadwigi były dwojakie. Bolała ją strata kochanka i dojmował jej skrupuł, że odaniem ręki Jagielle dopuści się występku przeciw dawniejszym ślubom małżeńskim. Religijność wychowania Jadwigi, napawanej od lat dziecięcych dziedziczną w rodzie andegawęńskim bogobożnością, nie dozwala wątpić w gorycz tego ostatniego cierpienia. Owszem, uwzględniając ascetyczne usposobienie późniejszych lat Jadwigi i porównyując z nim krótki przeciąg istotnej znajomości z Wilhelmem, dziecinny wiek kochanki, samo nawet jej dalsze znalezienie się wobec Jagiełły, można przyjąć za pewne, że katusze moralne były niebezpieczniejsze niż uczuciowe.

Przeciw temuż niepokojowi sumienia obróciły się najwymowniejsze przedstawienia praelatów polskich. Zagojenie rany sercowej poruczono młodości i czasowi, a co było środków duchownych i rozumowych, wszystkie skierowano ku przekonaniu umysłu dziecinnego, że nie masz grzechu zapomnieć o Wilhelmie. I niezbyt trudna praca padła w tej mierze duchownym radzcom królowej. Oprócz skłonności serca nie wiązał Jadwigi żaden prawny węzeł z Wilhelmem. Wbrew twierdzeniom zwolenników rakuskich, wbrew wszelkim głosom przeciwnym, utrzymującym niekiedy do dziś dnia niezupełną prawość ślubów litewskich, dowodziły i dowodzą tego najwyraźniejsze orzeczenia ustaw kościelnych.

Mając ukoić bogobojną obawę dawnej narzeczonej Wilhelma nie mogli biskupowie polscy nie oświecić nimi jej wątpliwości, nie uśmierzyć Jadwigi przytoczeniem dosłownej treści przepisów kanonicznych. I owo wraz z cierpiącą Jadwigą, otoczoną gronem dostojników kościelnych, wykładających jej powszechnie znane wówczas postanowienia stolicy rzymskiej w podobnie spornych wypadkach, usłyszeć nam także odgłos tych kanonicznych dowodów przeciwko Wilhelmowi.

Wynikłe z przedwczesnych ślubów zatargi zdarzały się tak często, iż osobny rozdział ustaw kościelnych, tak zwany drugi tytuł IV księgi dekretów papieża Grzegorza IX (1227–1241), traktował o „ślubach między małoletnimi”. Otóż powiedziano tam naprzód, iż zaręczanie dzieci dozwolone jest jedynie w celu spokoju publicznego, dla dobra państw poważniejszych. Pełnoletność małżeńska rozpoczyna się między rokiem 12 a 14. Przed tą porą, mianowicie po roku 7, wolno jest zaręczać dzieci w celu wspomnianym, wolno nawet zaślubiać je tak zwanymi „zaślubinami natychmiastnymi, *sponsalia de praesenti*”, lecz i wówczas wszelkie ceremonie i zapewnienia nie mają żadnej wagi, jeśli po dojściu pełnoletności nie nastąpi swobodne przyzwolenie oblubieńców i rzeczywiste „zamieszkanie” małżeńskie. Nawet owe pokładziny siedmioletnich małżonków, choćby z równą solennością, jak w Haimburgu między Jadwigą a Wilhelmem spełnione, choćby owszem wielokrotnie przed rokiem dwunastym ponawiane, są tylko prózną igraszką. Taka małżonka przed rokiem dwunastym, według wyraźnych słów papieskich, „nie weszła swoimi wczesnymi ślubami w stan małżeński, lecz tylko w stan zaręczenia”. Nie mając właściwie prawa nazywać się „małżonką”, miała ona zupełną wolność wejść po roku dwunastym w rzeczywiste małżeństwo, z kimkolwiek zechce.

Jedynym węzłem, który mógł opierać się rozerwaniu ślubów nieletnich, było „zamieszkanie” około lat 14; jedynym warunkiem potrzebnym do zawarcia rzeczywistych ślubów małżeńskich później – przyzwolenie narzeczonej dawniejszej. Pierwszemu, „zamieszkaniu” niedopełnionemu jeszcze do dnia 29 lipca roku 1385, w którym to dniu ojciec Wilhelków otrzymał w Budzie przyrzeczenie matki Jadwigi, iż takowe w miesiącu przyszłym do skutku przyjdzie – przeszkodziła i w tym miesiącu, i nadal aż do ucieczki Wilhelma z Krakowa przemoc panów koronnych. Nad drugim, nad uzyskaniem przyzwolenia Jadwigi na małżeństwo z Jagiełłą, pracowały właśnie przedstawienia panów duchownych.

Główna tedy zawada przyzwoleniu pożądanemu, obawa grzechu, dawała usunąć się w ten sposób bez trudności. Gasła ona do reszty, gdy myśl pobożna zastanowiła się nad religijną zasługą związku z Jagiełłą, zasługą nawrócenia całej Litwy pogańskiej! Wspaniały widok tego wielkiego dzieła, o które dobijało się na próżno tyle pokoleń, tyle wojen i ofiar, a które teraz jednym słowem Jadwigi spokojnie szło w spełnienie, wielce duszę dziecięcą zaprzyjaźniał ze słowem przyzwolenia. Jeśli kiedykolwiek przychodziło zrzec się uczuć najdroższych, nie świeciła nigdy jaśniejsza za to nagroda.

Pozostawała przecież skłonność młodego serca. Ten niebezpieczny wróg Jagiełły mógł przeszkadzać tym bardziej, ile że dworscy przyjaciele Wilhelma nie omieszkali zalecać jej ciągle wierność dla Rakuszan, brzydzić oszczerstwami Jagiełłę. Według ich opisu był to istny potwór duszą i ciałem, szpetny, stary, dziki, zabójca własnego stryja i dobroczyńcy,

Kiejstuta. Wspomnienia nadobności Wilhelmowej powiększały dwójnasób odrazę do „barbarzyńcy”. Podwojony miłością wstręt musiał niezwyčajnymi śmierzonymi być środkami.

Otoczyły też Jadwigę nader gorliwe usiłowania, próby, namowy. Zjeżdżało umyślnie do stolicy krakowskiej coraz więcej panów i szlachty, aby zanieść głos za Jagiełłą i krajem. Nawet niedawni adwersarze litewscy, książęcy bracia z Mazowsza, Janusz i Semko, porwani powszechnym prądem umysłów, powszechną chciwością spodziewanych, a zapewne i przyrzeczonych nagród, poszli za przykładem zmiennego Opolczyka, podali rękę Jagielle. W szczególności młodszy, Ziemowit, przed dwoma laty wojenny nieprzyjaciel Korony i znacznej części narodu, pojednawszy się tymi czasy z królową, wznowił wierną odtąd zgodę z całym narodem. Tak on, tak jego starszy „mądry” brat Janusz, jako też zgromadzeni w Krakowie panowie szlachta połączyli swoje nalegania z przedstawieniami biskupów.

Gdy duchowieństwo upominało Jadwigę w imieniu religii, panowie świeccy błagali ją uwzględnić dobro kraju. Wszystkie znane nam korzyści związku z Litwą, spływające swym blaskiem w znacznej mierze na samą Koronę i osobę młodej królowej, odzywały się wymownie w prośbach narodu. Nie zaniechano przypomnieć także sławę światową, jaką apostołka i uskromicielka dzikich Litwinów zasłużyła po wszystkich ziemiach Zachodu. Co zaś do osobistej dzikości i szpetności Jagiełły, ta jest tylko wymysłem nieprzyjaciół. Wielki książę litewski nie odraża ani kształtem ciała, ani wiekiem, ani obyczajami. Śmierć Kiejstuta nie ciąży mu bynajmniej na sumieniu. Można w tym względzie zasięgnąć wiadomości od bliższych świadków, którzy dokładniej uniewinnią Jagiełłę. Toć za jawnego mordercę nie chciałaby matka-królowa Elżbieta wydać swą córkę koronną, a jak od blisko roku brzmi o tym głośno po wszystkich krajach ościennych, sprzyja ona Jagielle.

Jakoż przypomnienie tych życzeń macierzyńskich niemało zapewne poparło prośby narodu. Sprzeciwienie się matce zatrważało widokiem nieporozumień z własną rodziną, może narażenia jej przez to na tym groźniejsze skądinąd niebezpieczeństwa. Obecne bowiem położenie starszej królowej węgierskiej Elżbiety i młodszej Marii do ostatniego chyliło się upadku, wymagającego bardziej niż kiedykolwiek podpory sprzymierzeńców potężnych. Tymiz właśnie czasy przybył do Węgier ów z Neapolu przeciwko młodemu margrabi Zygmuntowi wezwany bratanek króla Ludwika, Karol Mały, książę Durazzo, lecz przybył nie w chęci obrony obudwóch pań królewskich, a raczej w celu przywłaszczenia sobie samemu ich berła.

Dnia ostatniego grudnia roku 1386, w samej porze pobytu i uczt Wilhelmowych w Krakowie, odbyła się w Budzie koronacja Karola na króla węgierskiego, przestały królować matka i siostra Jadwigi. Nie mogąc jednak przyjąć na zawsze tego losu, szukały obie tylko stosownej chwili do odwetu wrogiemu bratankowi, tylko pomocy przyjaznych a możnych sojuszników. Dotychczasowe porozumienia i bliskie odtąd zaczepne i odporne przymierze Elżbiety z Jagiełłą świadczą, iż życzliwe przyjęcie go przez Jadwigę było już i w porze obecnej pożądanym dla rodziny wypadkiem. A jak życzliwość ta wynagradzała się wdzięcznością z a g r a n i c y pokrewnej, tak niewysłuchaniem powszechnych błagań Polski ostrzyła Jadwiga przeciw sobie również powszechną, bolesną, ciągłą niechęć narodu w d o m u , niechęć tym sroższą, ile że nie wracającą wcale Wilhelma, straconego na zawsze.

Przeciwnie, spełnieniem próśb wszechstronnych ocalała sobie młodzieńcza królowa jedyną pozostałą jej miłość – wdzięczną, codzienną, z każdego oka uśmiechającą się miłość narodu. Zasługa religijna, sława u świata, interes rodziny, przywiązanie kraju, piętnaście lat królowej – ileż wrogów krótkiemu stosunkowi z Wilhelmem!... Gdybyż jeszcze było prawdą, co mówią, że Jagiełło nie tak straszny i dziki!... Piętnastoletnia królowa powzięła krok, który do niczego nie zobowiązywał, a mógł wielką przynieść pociechę. Przywołała jednego z najpoważniejszych dworzan, Zawiszę z Oleśnicy, i zleciła mu wyjechać naprzeciwko Jagielle. Pod pozorem powitania go od Jadwigi miał on przypatrzeć się osobie wielkoksiążęcej i oznajmić, co widział. Przed wszystkim upomniany został poseł surowo, aby nie przyjmował żadnych podarków od Litwina i spieszył z odpowiedzią.

Pomyślne wieści przybywały litewskiemu księciu z Zawiszą. Jakby dla pozostawienia czasu namysłowi i uspokojeniu Jadwigi ciągnął on z wolna i leniwo ku swojej przyszłej stolicy. Ciągnął zaś nader dwornie, w orszaku wielu książąt pokrewnych, wśród taboru nadzwyczaj licznych wozów z skarbami, służbą i najrozmaitszym przyborem dworskim. Jechało z Jagiełłą około dziesięciu książąt litewskich, częścią rodzonych braci, częścią bratanków, bądź w ruskim ochrzczonej już obrządku, bądź – jak sam Jagiełło – nie ochrzczonej jeszcze pogan. Znajdowali się w tym orszaku wspinałym naprzód Skirgiełło i Borys chrześcijanie, znani nam już z poprzedniego poselstwa o Jadwigę, rodzeni bracia Jagiełły, jakimi byli także dalsi trzej towarzysze pochodu swadziebnego, nie wychrzczeni jeszcze książe Korygiełł, Świdrygiełł i (jak się zdaje) Wigund. Waleczny Witold Kiejstutowic pomimo dwukrotnego już chrztu, łańckiego u Krzyżaków w Taplawie i ruskiego cokolwiek później, gotów jeszcze ochrzcić się po raz trzeci w Krakowie, przewodniczył bratankom Jerzemu, Janowi Juriewiczowi księciu bełskiemu, Michałowi księżęciu na Zaslawiu i Fiedorowi księciu łuckiemu, greckim chrześcijanom.

Jak daleko pamięć historii sięga, nie przypomina się drugi przykład tak tłumnego, tak wspaniałego pochodu weselnego. Nie było też miary podziwowi ludu małopolskiego dla tej ślubnej wyprawy książąt litewskich, ciągnącej dziś przyjaźnie przez te same pola i sioła, które przed laty dziesięcią płonęły pożogą napadu litewskiego. Pierwszym miastem polskim, w którym dwór litewski wypoczął przez dni kilka, był Lublin, miejsce owych dokumentem wołkowyskim na dzień Oczyszczenia Najświętszej Panny umówionych między Jagiełłą a szlachtą polską układów. Nie przyszły one do skutku, gdyż największa część panów bawiła pod tę porę w Krakowie, otaczając królowę swymi prośbami. Tylko najgorliwsi zwolennicy litewscy, mianowicie młody wojewoda krakowski Spytko z Melsztyna i stary podskarbi Dymitr z Goraja, przyspieszyli z powitaniem naprzeciw elektowi swojemu.

Stanąwszy z nimi w Sędomierzu uradziła Litwa zaprosić wielkiego mistrza Krzyżaków, Konrada Czolnera de Rotenstein, na ojca chrzestnego przy bliskiej uroczystości w Krakowie. Nie można było wymowniejszego zrobić wyboru. Na pozór powinien był radować Krzyżaków chrzest Jagiełły i Litwy, właściwy cel dawnych usiłowań Zakonu; w rzeczywistości jednakże miała ta ofiarowana Krzyżactwu róża bardzo bolesne kolce dla Niemców, gdyż wynikłe stąd połączenie się Polski z Litwą przeszywało Krzyżaków dreszczem złowrogich przeczuć. Padło to poselstwo zapraszające podskarbiemu z Goraja, biegłemu w sprawach poselskich, z których np. jedna wiodła go przed dwunastą laty do Kazimierza, książe dobrzyńskiego. Gdy pan podskarbi wyprawiał się do Malborge, spotkało Jagiełłę nawzajem również zupełnie szczerze poselstwo powitalne Jadwigi. Mniej atoli dotknięty nim niż Krzyżacy, przyjął elekt polski wysłańca krakowskiego jak najlaskawiej i pozwolił mu owszem udać się z sobą do łaźni. Po czym Zawisza z cale pochlebnią dla księcia odpowiedzią powrócił co prędzej do Krakowa, a dwór litewski ciągnął z wolna dalej swą podróż.

Garnęło się naprzeciw niemu coraz więcej panów z Krakowa. Już bowiem coraz mniejsza trzymała ich tam potrzeba. Opór królowej łagodniał z każdą chwilą. Przyniesiona przez Zawiszę wiadomość usunęła ostatnią (zda się) przeszkodę. Oznajmił poseł Jadwigi, iż wielki książę litewski jest mężczyzną miernego wzrostu, bardzo kształtnej budowy ciała, powzdłużnej, nadobnej twarzy, wesołego wejrzenia i poważnych, książęcych obyczajów. Uspokojona tym wyobraźnia dziecinna dozwoliła przemówić głośniejszemu rozwadze. Poświęcając ostatnie westchnienia kochanki obowiązkom królowej, ustąpiła Jadwiga wymaganiom religii, pożytkowi rodziny i błaganiom narodu. Czym uszczęśliwieni panowie rzucili się teraz gromadnie w powitanie ulubieńca swojego.

Jagiełło tymczasem spoczywał w bramach świątyni świętokrzyskiej. Niosąc swoje pogaństwo na ofiarę chrześcijańskiemu Bogu w Krakowie, nie godziło się pomijać w drodze z Sędomierza najstarszą siedzibę chrześcijaństwa w Polsce. Od najdawniejszych czasów aż potąd była ta leśna skalista góra przedmiotem powszechnej czci chrześcijan i pogan oko-

licznych, niejako cudownym kawałkiem Ziemi Świętej na ziemi polskiej. Sama też nazwa góry Łysiec lub Łysa Góra, mniej słusznie później z zjawisk miejscowych wywodzona, była tylko prostym odgłosem jerozolimskiej góry Kalwarii, oznaczającej także nic innego, jak tylko Górę Łysą, czyli nasz Łysiec. Zasłynąwszy jako klasztorna stolica chrześcijaństwa polskiego w tych właśnie czasach, kiedy rozbudzać się zaczął w Europie duch pielgrzymek do Ziemi Świętej, stosowała się ona zapewne i resztą pierwiastkowych urządzeń do miejscowości wzoru swojego, a przechowywany tu szczątek drzewa zbawienia służył źródłem błogosławieństwa krajowi.

Dawny łupieżca, niedawny oddawca, przyszedł wielbiciel gorący tej przesławnej relikwii, zbliżał się Jagiełło teraz z podziwem ku jej leśnemu przybytkowi. Najmożniejsi panowie polscy, pomiędzy którymi zapewne i brat zmarłego biskupa Zawiszy, a syn starego kasztelana krakowskiego Dobiesława, Krzesław z Kurozwęk kasztelan i sędzia ziemi sandeckiej, szczególnie dobrodziej świątyni świętokrzyskiej, obdarzonej odeń dwoma wsiami, Boiskami i Gojszczą, wprowadzili Jagiełłę w progi kościelne. Przyjmujący ich kapłan okazał z dala relikwię. Pobożni klejnotnicy Toporu, Leliwy, Róży, Śreniawy upadli pokornie na kolana. Pogański syn Olgierda sięgnął ręką po świętość, wołając z ruska: „*Szto to?*” Kapłan skarcił porywczosć poganina, a legenda dodaje, iż w tej chwili ręka uschła Jagielle.

Wróciło jednak zdrowie, gdy wielki książę na pamiątkę wypadku ofiarował klasztorowi bryłę złota do zrobienia z niej relikwiarza w kształcie ręki. Wielą też innymi jeszcze darami upamiętniły się te pobożne odwiedziny w drodze do tronu, jedna z głównych może pobudek późniejszej dewocji Jagiełłowej dla tego miejsca.

Oddalając się od małopolskiej Kalwarii ku coraz bliższej stolicy, musiano coraz bardziej na światowe względy mieć oko. Przed wszystkim innym chodziło wielkim układom między Polską a Litwą o zabezpieczenie się od wiarołomstwa. Polacy oddaniem Jadwigi i korony Jagielle dopełniali natychmiast swoich i warunków; lecz któż mógł ureczyć podejrziwość ówczesną, iż Jagiełło ze swojej strony dopełni również rzetelnie obowiązków względem Korony? Nawróci całą Litwę? Połączy ją z królestwem? Uwolni jeńców polskich, odzyszcze zabrane Polsce ziemie? Jedyłą rękojmnią, jaką Polacy otrzymać mogli w tej mierze, byli liczni a możni zakładnicy, zaręczający swoją osobą uiszczenie przyrzeczeń Jagiełłowych. Takimi więc zakładnikami musiał wielki książę litewski ubezpieczyć Polaków i takich zakładników przyjęli Polacy teraz w obliczu miasta Krakowa rzeczywiście od Litwy.

Zapisał się w ten sposób Koronie Polskiej, tj. Jadwidze i wymienionym poszczególnie panom duchownym i świeckim, długi szereg książąt litewskich i mazowieckich, mianowicie rodzony brat Jagiełłów Skirgiełło, stryjeczny Witold, łucki książę Fiedor, zaślawni Michał, bełski Jan, nawet obaj mazowieccy książęta, stanowczo już za pewną uśmiechającą się im korzyść zjednoczeni z Jagiełłą, Janusz książę na Czersku i nasz Ziemowit płocki. Każdy z tych poręczycieli przyrzekał osobnym pismem zostawać tak długo w zakładzie u Polaków, bawić w przeznaczonym sobie ku temu miejscu, nie oddalać się stamtąd chyba za wyraźnym pozwoleniem, wreszcie stawiać się z powrotem na każde zawołanie – dopóki zobowiązania Jagielle nie osiągną skutku całkowitego.

Ubezpieczona w ten sposób szlachta otoczyła ciągnącą drużynę litewską wzrastającym z każdą milą orszakiem. Pod murami Krakowa znikła w nim wszelka mnogość książąt i bojarów litewskich, a zdało się wcale, iż to sami panowie polscy wprowadzają Jagiełłę do Krakowa. Odbył się ten wiekopomny wjazd porą zimową, dnia 12 lutego, w poniedziałek. Odkąd Kraków Krakowem, nie pamiętano tak wielkiej, tak pełnej następstw uroczystości. Ale jak gdyby wszystko, co żyje, tak dalece zakrzętnięte było gwarnym wrażeniem chwili, iż mu zabrakło zgoła czasu i spokojności do jej opisu, nie pozostała nam żadna bliższa wzmianka o ceremoniach dnia tego.

Tylko jeden główniejszy rys przebił się przez mgłę wieków i staje nam na widoku. Oto panowie dostojnicy koronni wiodą swego elekta wśród wrzawy trąb i odgłosów ludu na zamek,

do pokojów królewskich, przed oblicze przejednanej Jadwigi. Młodociana piękność w koronie, otoczona licznym gronem panien i niewiast, przyjmuje pokłon Jagiełły. Obecność książąt polskich, Władysława Naderspana, jako też mazowieckich zakładników Jagiełłowych, Janusza i Ziemowita, towarzyszących razem Jadwidze, i także obecność książęcych towarzyszków Jagiełły podnosi wspaniałość sceny. Zapisane w kronikach zdumienie wielkiego księcia Litwy nad niezrównanymi wdziękami oblubienicy koronnej jak miłym było jemu samemu, tak nie mogło nie przemówić za nim w oczach Jadwigi.

Aby ją tym więcej rozweselić, nastąpiła nazajutrz nowa ceremonia, złożenie oblubieńczych darów litewskich. Książęta litewscy Witold, Świdrygiełł i Borys ofiarowali Jadwidze w imieniu jej przyszłego małżonka drogocenne upominki w złocie, srebrze, drogich kamieniach i tkaninach krajów dalekich. Gdy zaś piętnastoletnia monarchini bawiła wzrok kosztownymi darami litewskimi, poważni prałaci polscy roztoczyli przed Jagiełłą skarby duchowne, prawdy religii, którą Jagiełło wkrótce miał przyjąć. Ułożono, iż chrzest książęcy odbędzie się już we czwartek, dnia 15 lutego. Ten krótki przeciąg czasu powinien był wystarczyć przygotowaniu Olgierdowica do obrzędu, na który wszystkie ludy ościenne z tak dawnym czekali upragnieniem. Zaczem, jak niedawno widzieliśmy Jadwigę otoczoną radnym kołem duchownych, przekonywających ją o próżności dziecięcych ślubów z Wilhelmem, tak niniejsza chwila wielkich obrzędów narodowych przedstawia nam Jagiełłę w gronie prałatów polskich dopełniających na nim dzieła katechezy łacińskiej. Ważność tej czynności zniewala poświęcić jej nieco bliższą uwagę.

Dokumentem krewskim z roku zeszłego przyrzekł Jagiełło Polakom, iż wraz z nim ochrzczą się w Krakowie wszyscy inni książęta Litwy, którzy jeszcze chrztu nie przyjęli. Byli już tedy niektórzy bracia i bratankowie Jagiełły od dawniejszego czasu chrześcijanami. Znamy takimi mianowicie rodzonych braci Skirgiełłę, Borysa, stryjecznego brata Witolda, bratanków Koriatowiczów Teodora i Aleksandra. Z wyjątkiem jedyne Witolda, a może i Borysa, pochrześników Zakonu niemieckiego, byli to wprawdzie sami chrześcijanie greccy, czyli (według ówczesnych wyobrażeń Zachodu) „chrześcijanie nieprawdziwi”, potrzebujący chrztu powtórnego, lecz nawet w oczach ówczesnych – już niepoganie.

Oprócz tych „stryjców” chrześcijańskich miał Jagiełło nadto matkę chrześcijankę, napominaną przez Krzyżaków do starań około nawrócenia synów, i rzeczywistą nawrócicielkę „szmatyckiego” syna Skirgiełły. Mogło więc urosć pytanie, azali i przyszły król Polski nie był już podobnymże chrześcijaninem, a przygotowującą teraz ceremonią krakowską nie chciał jedynie powtórzyć, czyli, „treściwiej mówiąc, dopełnić chrztu dawnego”. A ponieważ rozstrzygnięcie tej wątpliwości powiększało lub umniejszało uroczystość ceremonii obecnej, uroczystszej jeśli na istnym poganinie podjętej, mniej uroczyste, jeśli na dawnym już wyznawcy Chrystusowym powtórzonej, przeto zależy niemało na wiadomości, jakim rzeczywistocie charakterem odznaczał się terazniejszy obrzęd krakowski.

Chrzest Jagiełły jaśniał oczom pokolenia tamtoczesnego wszelkim blaskiem nowości. Żadna kropla wody święconej nie tknęła się jeszcze Jagiełły. Lubo matka wyznawała Boga chrześcijańskiego, wielki ojciec Olgierd pozostał do śmierci poganinem. Młodszych, mniej znakomitych synów pozwalał on matce oswajać z chrześcijaństwem, lecz ulubiony Jagiełło, przeznaczony do tronu, miał w duchu przodków zachować jak najdłużej wiarę ojczystą, która jeśli wielu wrogów wzbudzała Litwie, tedy oraz wiele wagi nadawała jej w świecie ówczesnym i mogła kiedyś (zdaniem polityki pogańskiej) stać się wielce korzystnym do sprzedania towarem. Zresztą, jeśli chrzest zmywa grzechy, toć według mniemania wszystkich nowo nawracających się pogan tym pomyślniejszą dla duszy było rzeczą, im później, im bliżej śmierci dał się kto ochrzcić.

Przeco strzegł się nasz Olgierdowic jak najpilniej kropidła i chrzcielnicy i znany był wszystkim jako prawy poganin. Mimo mniemanej niższości chrześcijaństwa greckiego odróżniano je zawsze, jakieś dopiero wspomnieli, od pogaństwa i sami Krzyżacy okazywali

radość niezmierną, gdy matce Jagiełłowej Juliannie powiodło się bogdaj chrztem bizantyńskim ochrzcić syna Skirgiełłę. Względem Jagiełły zaś proszą oni matkę dopiero, aby go „podobnież” nawróciła, czynią kroki u niego samego, aby łańskie przyjął chrześcijaństwo. Nie uległszy do roku 1382 ani naukom macierzyńskim, ani usiłowaniom krzyżackim, zobowiązał był się nasz Olgierdowic Zakonowi w tym roku na zjeździe niemeńskiej wyspy Dubisy ochrzcić się w ciągu lat czterech, lecz nie spieszył bynajmniej z spełnieniem obietnicy.

Takież samo pogańskie przyrzeczenie ofiarował on pisemnie polskiemu i węgierskiemu poselstwu w Krewie, a wyraźny w dokumencie dodatek, iż Jagiełło przyjmie chrześcijaństwo polskie wraz z tymi tylko braćmi, „którzy jeszcze chrztu nie przyjęli” – dodatek poczytujący przyjęcie chrześcijaństwa przez ochrzczonych już braci za rzecz zbyteczną – stawia go najjawniej w rzędzie takich, którzy nigdy jeszcze żadnego chrztu nie przyjęli, w rzędzie pogan.

Toż gdy w obecnym roku 1386, a zatem istotnie w ciągu onych lat czterech, nadeszła chwila nawrócenia wielkiego księcia w Krakowie, nikt z bliższych i dalszych współczesników nie widział w Jagielle co innego, jak tylko prawego poganina. Czy to najstarszy z krajowych opowiadaczy tego wypadku, czy niemiecki spisywacz odleglejszych czasu swego pogłosek, dominikan z Lubeki Korner, czy wreszcie najwiarogodniejszy z świadków, bo tuż pod bokiem Krakowa zamieszkały, zaledwie w lat kilka po zdarzeniu piszący, a bezwzględny w swojej prawdomówności i obowiązkiem kościelnym obeznany z różnicą chrztu żegański opat Ludolf – każdy zwie pochrześnika Polaków stanowczo – poganinem.

Nie inaczej świadczą nawet Krzyżacy i wiedeńscy pisarze, mający z tego względu rozstrzygające tu zdanie. Gdyż jako przyjaciele Wilhelma, a nieprzyjaciele litewskich ślubów Jadwigi pragnęli oni umniejszyć czymkolwiek wielkość osiągniętego tymiż ślubami dzieła, upośledzić zasługę nawrócenia Jagiełłowego. Stąd nie było pożądaną dla nich pogłoski, choćby całe wątpliwej, nad wieść, że Jagiełło już przed ceremonią krakowską był chrześcijaninem, iż przeto obrzęd krakowski mniejszej jest wagi. A przecież jeden, drugi, trzeci i czwarty współczesny latopisiec rakuski, a przecież tak współczesny pisarz dziejów krzyżackich, jako też sami Krzyżacy uznawają go jednogłośnie poganinem.

Krzyżacy nie mogą później wstrzymać się od uwagi, iż chrzest Jagiełły, jako jedynie dla posięcia korony polskiej podjęty, „nie ma właściwie gruntu i podstawy chrześcijańskiej”, lecz nie śmia bynajmniej przypisywać tej „bezgruntowości” dawnemu bizantyństwu Jagiełły. Sam też wreszcie Jagiełło mówi o sobie, iż „pogańskich” wyrzekł się błędów, a najznakomitsze głosy onego czasu, papież Urban VI, stryjeczny brat Witold, własni poddani Jagiełłowi, najprzedniejsze bojary litewskie, pomiędzy którymi kilku Rusinów, niezmiennie z nim i za nim powtarzają: „poganin”. Słowem, żaden cień powątpiewania w pierwotność chrztu Jagiełły nie ćmiły wzrokiem społecznym blasku obecnej ceremonii krakowskiej.

Zaczem stało się zadość losowi. W 27 lat po szyderyczym śmiechu synów Gedyminowych z zaprosin cesarskich na niemieckie chrzciny w Wrocławiu, we czwartek dnia 15 lutego, wprowadził polski orszak duchowny pięciu wnuków Gedyminowych z pałacu królów polskich na zamku krakowskim ku pobliskiej tamże katedrze. Oprócz wielkiego księcia Litwy przystępowali do chrztu polskiego trzej rodzeni bracia Jagiełły: Wigund, Korygieł i Świdrygieł, tudzież stryjeczny Witold, już to (jeśli wieści nie mylą) po raz trzeci poddający się temu aktowi uroczystemu. Reszta obecnych w Krakowie książąt litewskich, mianowicie owi w zakład Polakom oddani Skirgieł, Fiedor Łucki, Jan Bełski, Michał Zasławski i inni, jako już raz w obrzędzie greckim ochrzczeni, „nie dali duchowieństwu polskiemu nakłonić się do powtórzenia, czyli raczej dopełnienia obrzędu”.

Przewodniczyli ceremonii arcybiskup gnieźnieński Bodzanta i biskup krakowski Jan. Każdemu z pochrześników książęcych towarzyszyli przybrani rodzice chrzestni. Wielkiemu księciu Jagielle odmówił tej przysługi proszony o nią mistrz wielki Czolner. Przybyły z Mal-

borga podskarbi koronny Dymitr przyniósł suchą odeń odpowiedź, iż zbytnia odległość drogi nie dozwalała mu opuszczać na tak długi czas państw zakonnych. Kto inny więc zastąpił królowi obowiązek ojca chrzestnego.

Matką chrzestną stanęła jedna z pierwszych ma tron ówczesnej Polski, pani wojewodzina sędomska Jadwiga, niegdyś małżonka bogacza Oty z Pilczy, matka sławnej następnie jędnaczki Elżbiety. Ona to wraz z swoim kumem, gdy orszak chrzestny zatrzymał się u drzwi świątyni, a obrzędujący kapłani zapytali pochrześnika: „Jak tobie dzieją?” – i gdy po wprowadzeniu książąt pogańskich w progi kościelne nastąpiły tam dalsze ceremonie i modły, i zapytania – odpowiadała i „przyrzekała” za przyszłego króla polskiego.

Jagielle nadano imię Władysław, Wigundowi Aleksander, Korygielle Kazimierz, Świdrygielle Bolesław, Witoldowi podobnie Aleksander. Wraz z swoim wielkim księżciem mnoży także panowie litewscy i dworzanie księżęcy przyjęli „wiarę łacińską”, czyli – jak u Rusinów z aluzją do Krzyżaków mawiano: „wiarę niemiecką”.

Późniejsza pobożność nowego „Władysława” przeświadcza nas dostatecznie, iż spełniony teraz akt religijny szczerze przejął mu duszę. Nie mniej ważną była uroczystość obecna również pobożnej chrześcijance Jadwidze. Zwłaszcza gdy dokonanie obrzędu chrzestnego zapowiadało jej wnet inną ceremonię – ślub bliski. Przeznaczono ku temu trzecią dobę po chrzcie, niedzielę 18 lutego. Jeden z poprzednich dni uspokoił Jadwigę ostatecznie względem postępuku Jagielly z stryjem Kiejstutem. Sam Kiejstutów syn, Witold, miał upewnić królowę, iż Jagiełło nie winien jest śmierci stryja w więzieniu.

Po czym zostawał jeszcze obrzęd rozwiązania dawnych ślubów z Wilhelmem. Mimo rzeczywistej ich nieważności potrzebny był ku temu osobny obchód kościelny. Uwiadamiają o tym szczegółowe przepisy duchowne, traktujące o zrywaniu ślubów dziecięcych innym małżeństwem w wieku dojrzałszym. Przypuszczały one ośm różnych powodów unieważnienia zaślubin małoletnich. Ostatni z tych wypadków zachodził, „gdy ktoś ślubował wiarę przed dojściem do lat czternastu, a osiągnąwszy ten wiek żądał rozwiązania ślubów przedwczesnych i zezwolenia na zawarcie małżeństwa rzeczywistego z kim innym”. W takim razie choćby druga strona sprzeciwiała się zerwaniu związku, byle Kościół miejscowy uznał istotność żądania jednej, musiało nastąpić rozwiązanie.

Takiż właśnie wypadek zdarzył się teraz na zamku królewskim w Krakowie. Jadwiga ślubowała w 7 latach. Bez „zamieszkania” około lat 14 nie miały te śluby żadnej wagi. Panowie krakowscy oparli się przemocą „zamieszkaniu” Wilhelmemu na zamku. Po wygnaniu Wilhelma skłoniły Jadwigę przytoczone powyżej względy do zezwolenia na małżeństwo z Jagiełłą. Zezwolenie to było samo przez się owym „ósmym” wypadkiem, potrzebującym tylko uznania i potwierdzenia Kościoła miejscowego, bez dalekiej dyspensy z Rzymu.

Nastąpiło więc miejscowe uświęcenie kościelne. „Śluby Jadwigi z Wilhelmem, zawarte w latach dziecięcych, zostały obecnie po dojściu do wieku dojrzałości publicznie w katedrze krakowskiej unieważnione i odwołane.”

Po tej ceremonii zbyteczne już były wszelkie dalsze kroki do uprawnienia małżeństwa Jagiełłowego. Niepotrzebna była dyspensa Stolicy Apostolskiej i żadnej też ani żądano, ani wydano. Wszystko stało się jedynie przyzwoleniem Jadwigi, łaską Jadwigi. To przyzwolenie odjęło całemu wypadkowi barwę przemocy, uniewinniło naród z zarzutu, iż życzeń swoich dopiął występkiem przeciwko prawu. W świetle tego przyzwolenia cały postępek narodu z byłą oblubienicą Wilhelma przedstawia się owocem smutnej, ale bezwinniej konieczności.

A że przyzwolenie to było ze strony Jadwigi istotnie dobrowolnym, chętnie ofiarowanym, możemy najlepiej powziąć z wrażenia, jakie ono sprawiło na Wilhelmie. Gdyby Jadwiga do ostatniej chwili opierała się była związkom z Jagiełłą, gdyby uległa była jedynie przymusowi, nie mógłby on być żadnego do niej mieć żalu. Wilhelm przeciwnie uczuł się boleśnie dotkniętym przez Jadwigę. Jako kochanka zawiniła ona tak dalece kochankowi dawnemu, iż Wilhelm nie wzdygał się lżyć ją za to w latach następnych.

Przy dobrowolnym zaś zezwoleniu, przy uczuciu uwieńczenia nim życzeń rodziny, widoków religijnych i wielkich zamiarów narodowych dalekim od prawdy wyobrażenie, jakoby nadejście wiekopomnej niedzieli ślubnej mieczem boleści przeszło piętnastoletnią oblubienicę litewską. Błoga narodowi ofiara Jadwigi nie traci bynajmniej na tym, iż była przyniesiona sercem pogodnym. Dzień ślubu Jagiellowego, dzień pomyślności dla Polski, nie był dniem rozpoczy Jadwidze.

Władysław umiał czuć szczęście chwili, która go wreszcie u stóp ołtarza postawiła z Jadwigą. Obrączka ślubna, którą wtedy dawnego łupieżcę Polski połączyli kapłani z dziedziczką korony Piastów, z piękną córką najdostojniejszego z wszystkich w ówczesnym świecie rodów królewskich, nie zesłała mu z palca po koniec życia. „Pomiędzy wszystkimi znikomymi skarbami tego świata – są to własne wyrazy Władysława – była mu ona najkosztowniejszym klejnotem.” A jak we wszystkim, tak i długoletnością wieku szczęśliwy nosił on ją blisko pół wieku.

Tenże sam dzień dał i Polakom materialną rękojmię spodziewanej za Władysława fortuny. Już w kilka godzin po ślubie, w niedzielę 18 lutego r. 1386 ogłosił „nowy pan i opiekun Korony Polskiej”, niebawem ukoronowany król Polski, „w odwdzięczenie całemu narodowi szlacheckiemu doznanej życzliwości” treściwy list swobody, zamykający w sobie główne zasady przyszłych rządów królewskich. Mniej znany od swoich poprzedników i następców, wyświeca ten dokument weselny z uderzającą jawnością zamierzony i osiągnięty przez szlachtę cel polityczny, cel zupełnej jedynowładzy w narodzie.

Pod tym względem jest ten dokument nie potwierdzeniem, lecz nader ważnym, wielce na korzyść szlachty zmodyfikowanym uzupełnieniem przywileju koszyckiego, a zawiera punkta następujące. Najprzód: wszystkie zaszczyty i godności ziemskie będą nadawane jedynie szlachcie osiadłej w ziemi, gdzie właśnie zdarzy się wakans, i to nadawane jedynie za poradą szlachty sąsiedniej. Po wtóre: wszystkie zamki, czyli grody koronne, czy to wielkie, czy małe, nie mają odtąd puszczać być w zarząd albo dzierżawę cudzoziemcom, lecz szlachcie polskiej, „urodzonej w królestwie”. Tym samym i wszelkie starostwa, tak grodowe jak niegrodowe, może jedynie także „urodzona” posiadać szlachta. Po trzecie: obowiązek służby wojennej będzie szlachcie wynagradzany w ten sposób, iż po wyprawie zagranicznej zwróci król szlachcie wszystkie poniesione w niej szkody, jako też okup z niewoli; w wojnie zaś w granicach królestwa tylko okup i szkody znaczne, a jeńcy nieprzyjacielscy przypadną w oboim razie królowi. Po czwarte: oprócz służby wojennej należą się królowi od każdego kmiecia szlacheckiego i duchownego 2 grosze z łąnu. Po piąte: urzędnicy królewscy zwani „oprawce”, sędziowie spraw kryminalnych, zwłaszcza kradzieży, mają odtąd (jako przyczyna niemałego uszczerbku sądownictwu pańskiemu) stać na zawsze. Wreszcie, nie będzie król żądał zwrotu pieniędzy zaliczonych szlachcie na rachunek wyprawy zagranicznej, jeśli takowa nie przyjdzie do skutku w przeciągu roku.

Oto nowe swobody, jakie oprócz zapewnionego już w Krewie połączenia Litwy z Koroną okupiła sobie szlachta ręką swojej młodocianej królowej. Kilkunastomiesięczne rządy Jadwigi, kilkunastomiesięczne stłumienie w sobie onej wielkopolskiej niechęci przeciwko rządóm niewieścim, odplacone już raz przywilejem koszyckim, niosło teraz szlachcie drugie żniwo złotej wolności. Aby sobie tym lepiej uwidomić, o ile ten plon powtórny zyskowniejszym był dla szlachty od pierwszego, porównajmy główne punkta obudwóch dokumentów, koszyckiego i krakowskiego.

Po pierwsze. Przed laty jedenastą obowiązał się król w Koszycach nadawać godności ziemskie tylko „krajowcom”, wyrzekając się tym jedynie udostajniania świeżych przybyszów cudzoziemskich, bez wiązania się różnicą między szlachcicem a możnym, przemyślnym mieszczaninem, jak np. Wierzynek, a tym mniej bez ograniczania wyboru swego radą szlachty sąsiedniej. Teraz w Krakowie mógł król wybierać jedynie spośród szlachty, za radą szlachty. Po wtóre. Według ugody koszyckiej tylko 23 głównych sądowych grodów królestwa

winien był król nadawać rodowitym Polakom, całą resztę mniejszych zamków pozwalało mu wyraźne orzeczenie nadawać „nawet przybyszom lub komukolwiek innemu”. Teraźniejszym dokumentem krakowskim orzeczono wyraźnie, iż „wszystkie grody i zamki, w ogólności i poszczególne, wielkie i małe”, może król oddawać w dzierżenie „tylko szlachcie”. Podobnie i urzędowi starościńskiemu dość było w Koszycach na „pochodzeniu polskim”, w Krakowie zaś stał on się przystępnym „tylko szlachcie”. Po trzecie. Przywilej koszycki obowiązywał szlachtę do służby wojennej wewnątrz granic bez żadnego wynagrodzenia, a tylko w wyprawach zagranicznych zwracał król szkody i okup. Przywilejem krakowskim kazała szlachta płacić sobie za szkody służby wojennej tak w domu, jak za granicą. Po czwarte. W Koszycach przyjęto milczeniem sądownictwo sędziów królewskich, zwanych „oprawce”; w Krakowie uwolniono się wyraźnie i od tegoż ostatku sądownictwa królewskiego nad gminem. Nareszcie: w Koszycach trwała jeszcze szlachta w obowiązku naprawiania podupadających zamków królewskich, jednej z głównych podstaw ówczesnej władzy królewskiej; zupełne o tym milczenie teraz w Krakowie wzięło władzę królewską jednym nowym uszczerbkiem, spotężalo szlachtę jednym nowym warunkiem „złotej wolności”.

Czegóż potrzeba jej było więcej! Zaledwie cośkolwiek uświetniało późniejszą Rzeczpospolitą wnuków, czego by nie miała już teraz szlachecka Rzeczpospolita dziadów. Była wolność od danin. Była bliska samowładza nad ludem. Była wyłączność piastowania urzędów. Było prawo kierowania rządu gromadną poradą szlachty. Była pełnomocność dysponowania koroną, którą w Wołkowysku onym dokumentem elekcyjnym ofiarowano samemu Jagielle bez wzmianki o jego potomkach i następcach. Były już nawet początki sejmów poselskich, pojawiające się np. na onym małopolskim zjeździe w Wiślicy, gdzie według doniesienia świadków społecznych zgromadzili się „posłowie wszystkich ziem polskich”.

Pozostało królowi jeszcze tylko sądownictwo nad szlachtą, dowództwo rycerskich pocztów szlacheckich, prawo wojny i pokoju z mocarstwami zagranicznymi, a osobliwie właścicielstwo znacznych posiadłości koronnych. Już i po te ostatnie zabytki władzy królewskiej tryumfującą sięgając myślą doszło możnowładztwo małopolskie, zwłaszcza fortunnym obrotem zdarzeń ostatnich, nierównie dalej w swojej starodawnej walce z koroną, niż się tego można było niegdyś spodziewać. Starodawne wyrzeczenie o ulubieńcu Małej Polski Kazimierzu Sprawiedliwym, iż „skruszył pęta służebnictwa, zdjął jarzmo daniowości, rozwiązał obowiązki, zniósł ciężary, nie tak ulżył, jak raczej wcale uchylił brzemię” – o ileż świetniej, o ile zupełnie uiszcilo się teraz za Ludwika i Władysława Jagiełły! Koronowani odtąd w Małopolsce królowie jakże niepodobni swoją bezwładnością do dawnych gnieźnieńskich Bolesławów, niepodobni nawet do niedawnych Łokietka i Kazimierza, owszem, do samego jeszcze Ludwika!

I byliby wielmoże małopolscy, jak to niektórym zdawało się naprawdę, mogli już obejść się wcale bez króla i koronacji, gdyby nie wiszące nad karkiem niebezpieczeństwo Krzyżaków i teutonizmu, gdyby nie postrach łupieskiego pogaństwa Litwy i nie ponętny widok bujnych, bezludnych, nieużytych w ręku litewskim obszarów Wołynia, Podola i Ukrainy! Roztaczający się przed ówczesnym pokoleniem obraz obiecanej ziemi tych zysków i zwycięstw przyszłych zapewniał tak świetną i długotrwałą pomyślność – pomyślność ta narzucała się z tak nieuniknioną prawie koniecznością, iż za wielkość osiągniętych tym zysków godziło się zaiste ukoronować szczęśliwego „prostaka” litewskiego. Ze względu zaś na ową konieczność historyczną godzi się dzisiaj przebaczyć pokoleniu tamtoczesnemu, iż nie zdołało dostrzec tych zarodków skażenia, jakie miały wylać się później z zbytku jego fortuny.

Przygotowano więc koronację Władysławowi. Odbyła się ona nie pierwiej, jak we dwa tygodnie po ślubie, w niedzielę 4 marca. W braku starożytnej korony Bolesławów, spoczywającej w Węgrzech, tudzież w niemożności użycia ku temu korony żeńskiej, którą uwieńczyła Jadwigę, posłużyła obrzędowi teraźniejszemu korona nowa, świeżo u złotników krakowskich ukuta, w złoto i klejnoty bogata. Tłumy ludu, szlachty, duchowieństwa i książąt, radosne

okrzyki wśród pochodu z pałacu do katedry, wspaniałe uroczystości w kościele podzielała koronacja Władysławowa z każdą inną ceremonią tego rodzaju.

Co ją szczególnie wyróżniało od innych, to było uroczyste ze strony Jagiełły „ślubowanie, zaręczenie i dotknięciem się relikwii św. zaprzysiężenie” iż dopełni wszelkich warunków paktu krewskiego, mianowicie ochrzci niezwłocznie całą pogańską Litwę w obrządek rzymski. Co ją zaś upiękniło nad inne, to była obecność przypatrującej się obrzędowi Jadwigi, starannie zapisana w kronice. W tej właśnie chwili, kiedy arcybiskup Bodzanta w jej oczach wkładał Władysławowi Wtóremu koronę polską na głowę, wjeżdżał Wilhelm z powrotem w bramy wiedeńskie.

Nazajutrz według starożytnego zwyczaju nastąpiły obrzędy miejskie, solenny objazd rynku, posiedzenie na tronie przed ratuszem krakowskim, hołd i przysięga mieszczan, a w końcu łaskawe udarowanie miasta przywilejem swobody, wynagradzającym mu przedkilkuletnie niewpuszczenie przeciwnika Jadwigi, Semka, a uwalniającym mieszczan na przyszłość od wszelkich podatków pod bezkrólewie, „w którym to czasie mieszczanie krakowscy dość z siebie czynią, gdy bronią stolicy najezdnikom”.

Dopiero trzeciego dnia po koronacji zaczęły się na zamku krakowskim gody weselne. Zaraz po mszy zasiedli oboje królestwo, polscy i litewscy książęta, panowie i panie, prałaci i rycerstwo dokoła stołów biesiady. Zwyczajem staropolskim nie było tam wymuszenia ani sztywnego ceremoniału. Zwyczaj czasu zgromadzał niezmierną ilość gości. Przy niejednym bankiecie królewskim zasiadało po 500 panien. Odpowiednio tłumowi gości dobra była uczta jedynie wtedy, gdy „długo trwała”. W opiętych barwistymi kobiercami komnatkach wznosiły się mnogie stoły, nakryte kilkoma obrusami, zdejmowanymi po różnych daniach. Na stołach świeciły to szczerozłote, to pozłacane, to srebrne misy, czary, puchary, rozmaite naczynia kryształowe i jaspisowe, złote i srebrne sztucce, kosztowne doniczki z kwieciem i ziołmi od niebezpieczeństwa trucizny.

U wszystkich stołów krzątały się roje dworzan królewskich, jakich np. u dworu dziada Jadwigi, Kazimierza Wielkiego, służyło do pół tysiąca. Zagajano ucztę ceremonią powszechnego umywania rąk. Każde nowe danie wnosili stolnicy pod przewodnictwem trębaczy. Następował z kolei nieskończony szereg mis i półmisków. Przy mniej uroczystych ucztach liczone u stołów Jagiełłowych po sześćdziesiąt i kilka dań. Widziano tam wszelkiego rodzaju potrawy, przysmaki i napoje; zwierzyny i kurczęta, ryby i ptaszki, „pirogi”, pasztety, torty, pozłacane konfekty i owoce; wina, miodów i piwa co niemiara.

W przestankach ucztę przyśpiewywali śpiewacy i odgrywały się różne krotofile stołowe. Wchodziły np. z śpiewem dziwnie poprzystrajane maski, płaśała grupa tancerzy i tancerek, wjeżdżali na koniu kuglarze i linoskoczki, występowało niekiedy dwóch walczących z sobą rycerzy. Ale najwłaściwsza weselnym godom zabawa szła dopiero po uczcie. Rozpoczynały się natenczas owe śpiewne tańce i płaśy. Tańcom w komnatkach wtórzyły na przemian rycerskie płaśy na koniach, szumne turnieje i gonitwy na dziedzińcu zamkowym. Przez „wiele dni” obchodzono w ten sposób wesele króla Władysława w Krakowie. W jednej z tych chwil godowych „czterej panowie polscy oddali swoją dziewiczą królowę w ręce oblubieńcowi litewskiemu”.

Z ręką Jadwigi, koroną i chrześcijaństwem osiągnął Władysław jedynym w dziejach przykładem trzy sakramenty od razu: chrzest, małżeństwo i pomazanie królewskie – „osiągnął (mówi zdziwiony jego szczęściem kronikarz polski) trzy wielkie dary, jakie żadnemu jeszcze z śmiertelnych nie padły r a z e m”. Chcąc odwdzińczyć losowi tak rzadką hojność, należało być nawzajem niezmiernie obfitym w łaski dla ludzi. I rzeczywiście, nie mieli Polacy królów hojniejszych nad Jagiełłę i Jagiełłowych potomków. Ich szczodrośliwość, ich rozrzutność, wpłynęła nawet na stan Korony, mianowicie na upadek rozszafowanych dochodów i dóbr koronnych.

Owszem, sam charakter narodu miał z tego względu doznać odmiany. Rozłakomiony nagłą hojnością królów, rozwinął on w sobie niezwykle dawniej zyskolubność i chciwość. „Szlachta polska – skarży się społeczeństwo ostatnich lat Jagiełły – aż potąd nie znająca chciwości, dopiero za Władysława Litwina w żądze urósłszy, zaczęła odtąd nieumiarkowanymi wymaganiami rozszarpywać Królestwo Polskie, aż wreszcie przyszło do tego, iż wydarto królowi wszelkie dostatki, wszelkie publiczne i prywatne dochody.” Owóż dziwić się dobrotliwej przyczynie tak smutnych skutków, można by się uwieść mniemaniem, jakoby wszelka rozrzutność Jagiellońska była jedynie winną losowi wzajemnością za zbytek szczęścia, jakim on obsypywał teraźniejszego praojca rodu, dawnego ulubieńca swojego.

Toż zaledwie Władysław osiadł na tronie, jęło płynąć źródło datków i łask. Aż za granicą rozniosła się sława hojności nowego króla. Tej to głównie szczodrocie przypisywano tam powszechnie wybór Jagiełły. „Dla wziętku dali Polacy Jadwigę poganinowi” – mawiano u Krzyżaków. „Prawo Jagiełły do korony polskiej polega na prawie przekupstwa i pieniędzy” – słyhać było podówczas w Wiedniu. Sam Jagiełło mógł wymawiać później Polakom: „Zrobiłem was panami, a wy spory ze mną toczycie!” „A co za dziwnie przeróżne dary – śpiewa społeczny poeta rakuski o Wilhelmie – sypały się pomiędzy panów krakowskich, obdarzanych złotem, srebrem, kosztownymi rzędami, końmi, mnóstwem drogocennych szat i materij.” „Za rabowane niegdyś w Polsce żupany sprawiał król potem raz po raz nowe Polakom” – chwalili Jagiełłę społeczni wierszopisowicze polscy.

Młodemu wojewodzie krakowskiemu, Leliwici Spytkowi z Melsztyna, darował Władysław w ten sposób nader bogatą część stroju własnego, niezmiernie kosztowne sandały orientalne, ozdobione przepysznie złotem, perłami i kamieniami drogimi. Podobnie i inni magnaci nie mniej bogate odnieśli myto. Zresztą wydany niedawno przedkoronacyjny dokument swobód szlacheckich, dla tym większej prawomocności niebawem (dnia 29 sierpnia w Korczynie) na nowo spisany i potwierdzony, ubogacał, uzamożniał k a ż d e g o pojedynczego szlachcica.

A gdy wielmoże tak skwapliwie maczali rękę w złotą kąpiel panowania nowego, nie zapali pogody i księżęta. Godziło się to w szczególności obecnym teraz w Krakowie Władysławowi Opolczykowi i Semkowi z Mazowsza. Tamtemu miał Władysław odpłacić zaniechanie strony Wilhelma i owo dane posłom wołkowyskim pełnomocnictwo, temu oddanie się w zakład Polakom za Jagiełłę. Jakoż obudwom padła świetna nagroda, bo najbliższe spokrewnienie z domem królewskim. Władysławowi Opolczykowi, mającemu po stracie synów tylko jedną córkę Jadwigę, ofiarował król rodzony brata Wigunda zięciem. Mazowszanowi Semkowi, dwudziestoletniemu pod ten czas młodzieńcowi, za nieosiągniętą królową polską Jadwigę swatał król swoją siostrę rodzoną, Aleksandrę.

Obaj księżęta przyjęli dar królewski. W kilkanaście tygodni po koronacji Władysława zaręczona została córka Opolczyka Jadwiga z królewskim bratem Wigundem-Aleksandrem, ochrzczonym teraz w Krakowie, później księciem kiernowskim. Zapewne około tegoż samego czasu Ziemowit Mazowiecki poślubił siostrę królewską, Aleksandrę, niezmiernie kochającą później męża swojego.

Wesele króla Władysława z Jadwigą dało hasło szeregowi coraz nowych godów weselnych. Odbyły się niebawem czwarte zaślubiny pokrewne, między raciborskim księciem Januszem a synowicą królewską, córką królewskiego brata Korybuta, Heleną. Piątą pamiętną parą ślubną tych dni stanęli u ołtarza młody wojewoda krakowski Spytko, możny pan na Melsztynie, i jego oblubienica węgierska, Elżbieta, córka węgierskiego magnata, Wejdafi-Emeryka, teraźniejszego z ramienia Węgrów starosty Rusi Czerwonej.

Gdy więc stronom krakowskim tak radośnie święciły się uroczystości, smutno było pomyśleć, iż strony wielkopolskie, one stołeczne ziemie dawnego państwa Piastów, nie tylko nie podzielały wesela Małopolski, lecz owszem chmurzyły się ciągłą zamieszką. Od wojny domowej Grzymalitów z Nałęczami nie było tam spokoju prawdziwego. Teraźniejszy obrót rzeczy publicznych, intronizacja Litwina, niewielce radowały stronników Ziemowitowych. We

wszystkich sprawach kraju od przybycia Jadwigi ogół szlachty wielkopolskiej skąpe brał uczestnictwo. Żaden z licznych układów o Jagiełłę nie przedstawia nam udziału Wielkopolan.

Chyba niektórzy najmożniejsi panowie wielkopolscy, zwłaszcza duchowni, towarzyszyli obecnym aktom i biesiadom krakowskim; tłumna „bracia” chodackowa tych stron miała dość gwaru i swaru w domu. Dawna walka Grzymały z Nałęczą płonęła jeszcze niejedną iskrą w popiele. Pozajeżdżane przez obie strony dobra kościelne nie wracały dotąd w ręce duchowne. Postępki znanego nam Nałęczą, pana Bartosza z Wiszemburga, tchnęły ciągle wrogim Jadwidze i jej mężowi duchem, wymagającym groźnego poskromienia. W grudniowym traktacie Ziemowita z Jadwigą zostało wyrzeczone, iż sam Ziemowit dopomoże królowej do opanowania niektórych miejsc warownych, mianowicie monasteru w Mogilnie, opierających się do tej chwili w imieniu Ziemowita.

Poprzednia zapamiętałość Bartosza w popieraniu sprawy Ziemowitowej, posuwająca się niekiedy, jak np. przy oblężeniu Kalisza, do lekceważenia łagodniejszych rozkazów samegoż księcia, może naprowadzić na myśl, iż to Bartosz nadstawiał rogów w Mogilnie. Sporzyło prócz tego wielu innych jeszcze wichrzycieli wielkopolskich z Koroną, szkodząc tym nie tyle samej Koronie i możliwym urzędnikom królewskim, ile raczej posądzonym o sprzyjanie dworowi panom i spokojowi całej prowincji. Zgorszeni ustawiczną od nich trwogą prałaci i panowie niektórzy zanieśli gorącą prośbę do obojga królestwa, aby dla położenia końca zamieszkom pospieszyli osobiście do Wielkopolski. Ku tym łatwiejszemu przy tarcu burzycieli radzono otoczyć się poważną siłą zbrojną. Władysław i Jadwiga uczynili zadość wezwaniu. Już w kilkanaście dni po koronacji nowego króla, w drugiej połowie marca, udali się oboje do Wielkopolski. Dostateczna siła orężna, złożona z krakowskiego i sędmierskiego rycerstwa, ciągnęła z dworem królewskim.

Niechętna żeńskiemu i świeżo wychrzczonemu królowi Wielkopolska ponuro przyjęła swoich gości. Zamiast czci i uciechy powitania spotkała ich u samego wstępu ciężka obraza. Zatrzymał się dwór królewski najpierwej w Gnieźnie. Według starodawnego zwyczaju zażądał król dostarczenia dworowi z pobliskich wsi kościoła gnieźnieńskiego wszelkich potrzeb, czyli tak zwanej „stacji”. Nierada gościom kapituła powołała się sucho na przywilej koszycki, znoszący stacje królewskie. Król usłuchał podszeptu panów świeckich i kazał pozajmować dobytek wsi nieposłusznych. Pograbiono woły i krowy kmieciom duchownym i przygnano „ciężę” do Gniezna.

Za byłem nadciągnęły poturbowane zaborem gromady włościan, pełne lamentu i wyrzekań. Tłumy ludu, niewiast, dzieci, obiegły dwór królewski, domagając się z płaczem oddania bydła. Nadto proboszcz gnieźnieński Mikołaj Strosberg, człek nieuczciwy a gwałtowny, niedawno z więzienia „za kradzież i przeniwierstwo” wypuszczony, uczuł się natchniętym do wyrządzenia sprawiedliwości krzywdzie kościelnej. Rzucił tedy kłótnię na miejsce publicznego bezprawia, Gniezno, i zawiesiwszy tym wszelkie nabożeństwo przed samą Wielkanocą ustąpił z miasta.

Powszechnie przerażenie ogarnęło zmysły. Przestraszona Jadwiga wymogła na królu Władysławie, iż czym prędzej wydano grabież, czym zniesiona została kłótnia. Gdy i to jeszcze nie uśmierzyło pobożnej niespokojności królowej, pocieszano ją uwagą, że naprawiona już krzywda, wrócone bydło ubogim. „Któż im powróci łyzy!” – przejęła szlachetna wnuka Wielkiego „króla kmiotków”. Dwór królewski wyruszył ponuro do Poznania.

Wypadło obchodzić tu Wielkanoc. Prawdopodobnie zatrzymano się nawet do Wniebowstąpienia Pańskiego. Były to pierwsze święta chrześcijańskie, jakie odprawiał nowochrześcienie Jagiełło. Ciekawy nowych obrzędów, poświęcał on im wszelką uwagę i pobożność, nie mogąc atoli wyłamać się od razu od dawnych nałogów i wyobrażeń pogańskich. Baczny wzrok ludzi, podchwytujący każde mniej zwykłe słowo i poruszenie królewskie, niejedną w tej mierze postrzegał osobliwość. I tak np. do późnych czasów przechowało się u mieszczan poznańskich wspomnienie szczególniejszego nabożeństwa królewskiego w święto Wniebowstąpienia.

Jak wszędzie, tak i w Poznaniu, jak każde święto, tak i uroczystość pomienioną obchodziła pobożność ówczesna sposobem głośniejszym, zmysłowszym, widowiskowym. Wizerunek Chrystusa w niebo wstępującego podnoszony był na sznurze ku sklepieniom kościoła. Szatan w postaci smoka spadał ze szczytu sklepień na ziemię. Zdziwiony tym Jagiełło zapytał naprzód o znaczenie obrazu podnoszonego. „To Bóg wstępuje w niebo” – odpowiedziano. „Postawcież mu świeczkę” – rzekł król. Gdy potem szatan runął o ziemię, król toż samo wznowił pytanie. „To diabeł strącony z nieba” – była odpowiedź. „Postawcież mu dwa ogarki.” A gdy chciano wiedzieć przyczynę, nowochrzczeniec odparł ruskim przysłowiem: „Służ Bogu, a diabła nie gniewaj.” W czasie przedłuższego pobytu w Poznaniu powiodło się załatwić kilka spraw ważnych. Dokonano tego głównie trybem sądowym. Odbywały się w Poznaniu takie sądy królewskie już to na zamku, już w klasztorze dominikańskim lub na ratuszu, nawet na ulicy albo na placu przed zamkiem. Jednając tam strony sporne, karząc występców, naprawiając niesprawiedliwe wyroki dawne zagodził król przed wszystkim wielką waśń Nałęczów z Grzymalitami.

Według morala królewskiego przy nabożeństwie Wniebowstąpienia postawiono świeczkę obojej stronie. Najczynniejszymi przewodzcami Grzymalitów i Nałęczów znamy kasztelana poznańskiego Domarata i pana Bartosza z Wiszemburga. Gwoli wiernym dworowi Grzymalitom pozostał zniechęcony Domarat przy kasztelaństwie poznańskim. Niezadowolonych Nałęczów pocieszono dwojako, naprzód nieprzywróceniem Domarata do wielkorządztwa, następnie zaś udostojnieniem Wiszemburczyka.

Kosztowało to jednakże niemało trudu i czasu. Rozliczne przeciwko Bartoszowi żałoby zniewalały do zawezwania go przed trybunał królewski. Hardy Nałęcz nie chciał stanąć przed królem. Musiano tedy wydać wyrok przeciwko niemu, skazujący go na wywołanie z kraju i utratę Odolanowa. Atali takie wyroki nie bywały nieodwołalne. Owszem, nawet po wyroku banicji upoważniał statut wiślicki najmożniejszych dygnitarzów koronnych, jak np. biskupa lub wojewodę krakowskiego, do udzielenia banitom przytułku i bezpieczeństwa w swoich ziemiach przez dwa miesiące, w którym to czasie mieli winowajcy starać się o odzyskanie łaski królewskiej.

Bartosz Wiszemburczyk, czyli Więcborczyk, udał się w chwilową gościnę do Wrocławia. Skąd niebawem odwołany przez króla, odzyskał on nie tylko łaskę pańską, lecz otrzymał nawet województwo poznańskie. Nowy urząd zamienił Bartosza w gorliwego stronnika rządów obecnych, a z dawnym poplecznikiem Ziemowitowym przyłgnęła do nich cała reszta Nałęczów. Potomkowie nowego wojewody poznańskiego słynęli odtąd jako cnotliwi miłośnicy Korony. Pod koniec XV stulecia przeszło „imię” wiszemburskie, czyli więcborskie, posagiem w dom Zebrzydowskich. Potomkowie ostatniej Wiszemburczanki Zebrzydowskiej, nie mniej butni jak niegdyś ich praszczur po kądzieli, pisali się długo „Zebrzydowscy de Wianczborg albo Więcborg”.

Zgodę Grzymały z Nałęczą uwieńczyła restytucja kościelnych dóbr, pozajeżdżanych przez różnych gwałtowników w czasie wojny domowej, a teraz wróconych duchowieństwu. Powiodło się królowi przywrócić podobnie do porządku resztę rokoszan, którzy jeszcze broili po Wielkopolsce. Za pomocą przywiedzionych z sobą rot małopolskich poburzono im wszystkie warownie, co ubezpieczyło spokój publiczny. „Padł taki postrach na wichrzycieli – opowiada naoczny świadek owej epoki – iż nikt nie śmiał pisnąć przeciwko sąsiadowi.” Po szesnastu latach zamieszki, zamieszki nie ustającej od śmierci Kazimierza Wielkiego, pokazało się znowuż, iż Polska ma króla w domu.

Ale coraz szersza sfera działania otwierała się obecnie temuż królowi. Podczas gdy Władysław uśmierzał Wielkopolskę, w małopolskim Korczynie zbierał się zjazd, mający całą społeczność narodową zapoznać z nowym królem. Po sejmie należało rozpocząć jak najprędzej dzieło przyrzeczonego ochrzczenia Litwy. Pożegnali tedy królestwo uspokojoną Wielką Polskę i już pod koniec lipca stanęli nazad w Krakowie.

W kilka tygodni później odbył się ów wielki sejm korczyński, na którym Władysław jako ukoronowany już król potwierdził „całej społeczności prałatów, wielmożów, rycerstwa, władyków i szlachty Królestwa Polskiego” przedkoronacyjną kartę wolności, wydaną przez nie intronizowanego jeszcze „pana i opiekuna Korony Polskiej” pod samą wielkoksiążęcą pieczęcią Litwy. Z następującą teraz wyprawą apostolską do tegoż kraju należało zaczekać aż do zimy.

Zniewalała ku temu samaż przyroda, utrudniająca w lecie, a osobliwie w jesieni wszelki przystęp do Litwy. Tylko w zimie spadały na nią główne gromy Krzyżactwa. Tylko po umoszczonych lodem moczarach nawiedzały ją roje owych z upragnieniem wyglądanych „gości zimowych”, kupców hanzeatyckich. Tylko w tejsze porze zimowej mógł być wielki książę litewski zanieść „krzyż łacki” do swej ojczyzny, otworzyć drogę przyrzeczonemu odzyskaniu uszczerbków ruskich, rozslonić widok na cały Wschód.

Tymczasem roztlewała pod tronem Władysławowym skrzętnie podkładana iskra pożogi, która według zamysłów nieprzyjaciół miała ogarnąć go dokoła i pochłonać. Rozniecali ją ci wrogowie Władysława i Polski, którym sprzymierzenie się Litwy z Koroną uwiślo kamieniem młyńskim u szyi, „panowie pruscy”, Krzyżacy. Postępując zwyczajnym trybem swoim, starali się oni raczej cudzym niż własnym wysileniem, starali się j a k n a j t a n i e j zgubić Jagiełłę.

Poruszone tedy zostały wszystkie państwa ościenne przeciw Jagielle. Nie mogąc występować otwarcie przeciw ochrzczeniu jego w Krakowie, przybrano pozór bronienia zgwałconych tam praw Wilhelmowych. Sam Wilhelm podawał obłudnym Niemcom zakonnym maskę do ręki. Zaraz po przybyciu do Wiednia rozesłał młody książę rakuski gońców z listami „do wszystkich królów chrześcijańskich”, mianowicie ochmistrza swojego Konrada Czirnaw, z oznajmieniem wyrządzonej sobie w Krakowie krzywdy, z żądaniem sprawiedliwości przeciw Jagielle. Korzystając z odezwy Wilhelmowej, zrobili z niej Krzyżacy sztandar swojej własnej sprawy z Jagiełłą.

W ślad za posłami rakuskimi pospieszyły na wszystkie strony, „do papieża, do książąt Rzeszy Niemieckiej listy i poselstwa krzyżackie”, mające głosić przewinę Jagiełły względem Wilhelma, przedstawiać obłudność i „bezgruntowność” chrztu krakowskiego, „malować wielkie stąd niebezpieczeństwo dla chrześcijaństwa, wreszcie upraszać o pomoc walce, jaką Krzyżacy w imieniu Wilhelma i chrześcijaństwa zamierzeli stoczyć z Jagiełłą. Owszem, nim jeszcze Wilhelm rozesłał swoją protestację do dworów zagranicznych, gdy Jagiełło dopiero zapraszał Krzyżaków na chrzciny do Krakowa, okazał się mistrz wielki tak żywo dotknięty zniewagą Wilhelmową i obrazą chrześcijaństwa, iż nie tylko nie przyjął zaprosin sędmierskich, lecz owszem zakrzętnął się gwałtownie około najechania i zawichrzenia Litwy pod niebytność Jagiełły, w samej porze chrztu książęcego.

A szukając i tym razem cudzej przed wszystkim ręki do dzieła, połączył się Zakon z dwoma książętami zagranicznymi, dwoma litewskimi nieprzyjaciółmi Jagiełły. Byli to przyrodny brat królewski Andrzej Wingolt, dawniej książę połocki, i – jeden z obcych nam dotąd książąt Rusi Zadnieprskiej – jeden z starożytnych Rurykowiców, Światosław Iwanowicz, książę na Smoleńsku. Andrzeja znamy już od kilku miesięcy sprzymierzeńcem, owszem, zdeklarowanym hołdownikiem Krzyżaków, w szczególności kawalerów inflanckich, za których wsparciem mniemał on teraz nie tylko odzyskać utracone księstwo połockie, lecz owaćdnać w cale rządy wielkoksiążęce i opanować większą część Litwy. Światosław pragnał także udziału w spodziewanym rozszarpaniu ojczyzny Gedymina, mianowicie niektórych grodów, należących niegdyś, jak np. Mścisław, do księstwa smoleńskiego.

Najsilniej jęła się spółdziałania inflancka gałąź Krzyżactwa, najbliższa rękojemczyni losu wasala swego Andrzeja, a prowadząca w pole całą Łotwę sąsiednią. Poczównym tedy ramieniem, poczównym szturmem przygotowali się nieprzyjaciele uderzyć w Litwę. Poprzedził wojnę list wielkiego mistrza Czolnera do króla Władysława, nazywający go pogańskim jeszcze mianem „Jagiełło” jako chrześcijanina nieprawdziwego, o ile że „przy chrzcie swoim nie

uwolnił pies zajadły (tak błogosławią mu Niemcy) jeńców krzyżackich, 60 panów zakonnych i wielu innych chrześcijan, jak się godziło nowochrześciance”. Po czym, gdy Jagiełło właśnie nadstawiał głowę święconej wodzie nad Wisłą, sprzymierzeni wrogowie zapalili mu z daleka światło do chrztu – „sześćdziesięciomilową” łunę najechanej ze wszech stron Litwy.

Ale już to szczęście Jagiełły, już to świeże zjednoczenie się Litwy z Polską dziwnie opaczonym skutkiem upokorzyło w końcu zamysły wrogów. A opaczność ta dotknęła tym boleśniej, że początek wyprawy wcale inne wzbudził nadzieje. Zbyt miękka wprawdzie zima, dająca czuć się zwłaszcza w bardziej południowych stronach pogranicza pruskiego, powstrzymała pruskich Krzyżaków od wspólnego napadu na kraj pogański. Lecz kawalerowie inflancy, Andrzej z przychylnymi Połoczanami, jego druh Światosław z wojskami smoleńskimi, rozpuszcili śmiało zagony. W krótkim czasie opanowali Niemcy twierdzą Łukomlą. Rychło później poddał się Połock. Obadwa miasta przeszły jako lenno krzyżackie w posiadanie Andrzeja.

Mniej szczęśliwie wiodło się Światosławowi. Oblegana przezeń Orsza oparła się wszelkim szturmom. Na próżno Rurykowic niesłychanymi srożał okrucieństwami, mordował i palił ludzi żywcem w świątyniach, dopuszczał się męczarni, „jakich ani Antioch syryjski – wzdryga się kronika ruska – ani Julian Odszczepieniec nie zadawali chrześcijanom”. Nie mogąc przecieżyć wziąć Orszy, wrócił Światosław do swojego Smoleńska, zgromadził znaczniejsze siły i mało co przed Wielkanocą, około połowy kwietnia, w czasie pobytu króla Władysława w Poznaniu, nadciągnął z dwoma synami Hlebem i Jurią, z bratankiem Iwanem Wasilewiczem, z ogromnymi machinami szturmowymi pod Mścisław. Mieszczanie wzbronili otworzyć bramy okrutnikowi, przez co rozpoczęło się oblężenie.

Już dziesięć dni szturmowano do miasta, aż oto dnia jedenastego postrzegli Mścisławianie z wieżyc chorągwie wojsk odsiecznych, prowadzonych od strony Polski przez braci Jagiełłowych pod naczelnictwem Skirgiełły. Gdy Światosław niedawno skupiał w domu nowe posiłki, Olgierdowic Skirgiełło, związany zakładnictwem za brata w stolicy polskiej, brał właśnie od panów polskich uwolnienie z zakładu, aby z stryjecznym bratem Witoldem i ochotniczym rycerstwem polskim udać się „do czasu dla ważnych spraw do Litwy”. Gdy Światosław już w drugi tydzień ścisnął oblężeniem Mścisławian, stanął Skirgiełło z trzema litewsko-polskimi pułkami w pobliżu miasta. Zwabieni na wieże i blanki Mścisławianie widzieli z radością pod pierwszą chorągwią pułk Skirgiełły Olgierdowica, pod drugą Korybuta Olgierdowica, pod trzecią Szymona-Lyngwena Olgierdowica, a pospołu z nimi roty Witolda.

Srogi Rurykowic musiał przyjąć walkę z odsieczą. W samą niedzielę przewodnią, dnia 29 kwietnia, w szerokim polu nad rzeczką, w obliczu przypatrujących się z dala mieszczan stoczono bitwę. Wiekopomne zwycięstwo padło braciom Jagiełły. Wszyscy czterej Rurykowice pierzchnęli z wojskiem. W pogoni większa część wojska i wodzów padła trupem. Samego Światosława, szanownego kronikom ruskim jako syna, wnuka i prawnuka wielkich książąt kijowskich, jakiś rycerz polski dognał spoczywającego w dąbrowie i przebódl kopią. Obok niego zginął bratanek Światosławów, książę Iwan Wasilewicz. Synowie Światosława, książę Hleb i Juryj, popadli ranni w niewolę.

Hleb pozostał jeńcem w ręku Witolda, a Jurię wyleczył biegły w sztuce lekarskiej Skirgiełł i ruszył z nim pod Smoleńsk. Rozrządzając dowolnie ziemią smoleńską wzięli zwycięzcy Olgierdowice bogaty okup od miasta, a na księstwie smoleńskim, hołdownym odtąd Litwie, osadzono Światosławicza Jurię, ożenionego z synowicą Olgierdowiców. Po czym obróciły się wojska litewsko-polskie przeciw niespokojnemu Andrzejowi w Połocku. Zdany teraz na swoje własne siły, doznał wicherzyciel mało co pomyślniejszego losu od Światosława. Zabito mu syna w bitwie, odebrano mu Połock z Łukomlą, wzięto ogołoczonego w niewolę, uprowadzono do Polski i wtrącono tam do więzienia w Chęcinach, gdzie tę „zgałę powszechną” przez całe trzy lata kajdany gniołły. Pierwsza wyprawa wojenna, w której Polacy podali rękę Litwie, najświetniejszym uwieńczyła się skutkiem. Spodziewane z tej strony zachwianie unii z Polską, poparcie sprawy Wilhelma i Zakonu, najzupełniej zawiodło.

Nie Krzyżakom to przecież zrażać się niepowodzeniem. Omyloną nadzieję wschodnią zastąpił wkrótce projekt zachodni. W miejsce jednego Andrzeja podszczuł Zakon niebawem dwóch nowych przeciw Polsce Andrzejów, Wacisława i Bogusława, książąt pomorskich. Jak Andrzejowi Połock, tak książętom pomorskim stała się bodźcem przeciw Jagielle ziemia dobrzyńska. Obecnie w posiadaniu Opolczyka, zdrajczego przyjaciela Jagielle, należała ona poprzednio do pomorskiego księcia Kazimierza, po którym (według zdania Wacisława i Bogusława) powinni ją byli posiadać nie Opolczyk, lecz oni.

Ujęci tedy widokiem ziemi dobrzyńskiej weszli obaj Pomorzycy w ścisłe z Zakonem przymierze przeciw Jagielle, protektorowi Opolczyka, „pokrzywdzicielowi zacnego księcia Wilhelma, pozbawionego przezeń nie tylko prawej małżonki, lecz oraz posagowej korony polskiej”. Wyraźnym celem przymierza postawiono naprawę krzywdy Wilhelma, tj. rozerwanie małżeństwa Władysława z Jadwigą, a unii Polski z Litwą, środkiem zaś czym prędszą wojnę z „księciem litewskim, który zwie się królem polskim”.

Któremu to celowi nie żałując teraz nawet pieniędzy, pożyczają Krzyżacy niezamożnym książętom pomorskim 10 000 grzywien na uzbrojenie się przeciw Polsce. Podobnie i terazniejszemu przyjacielowi Jagielle, mazowieckiemu księciu Semkowi, zawsze potrzebującemu gotówki, czynią Krzyżacy zadość nową pożyczką, nie chcąc znieprzyjaźnić sobie księcia albo spodziewając się przeciągnąć go znowuż na swoją stronę. Do dawnych sum na Wiznę i Zawkrze bierze on na nowo 1000 grzywien, które nie mogły zwrócone być inaczej, jak tylko razem z całkowitą sumą długu na ziemiach pomienionych.

Atoli wszystko było na próżno. Ziemowit nie odstąpił Jagielle, a przymierze Krzyżaków z Pomorzycami uprzedził nowy król polski daleko potężniejszym przymierzem. Już w trzy miesiące po koronacji, w wilią Zielonych Świąt, dnia 9 czerwca 1386, niedługo po nagłym w Węgrzech upadku i zgonie włoskiego uzurpatora korony Ludwikowej, Karola Durazzo z Neapolu, stanął w Budzie między dawną królową węgierską Elżbietą, na nowo panią Węgier, a Władysławem Jagiełłą ścisły traktat zaczepny i odporny. Zaledwie okazało się, jak skrzętnie Krzyżacy już to nad Dźwiną i Dnieprem, już to nad Odrą, w Niemczech i w stolicy papieskiej poduszczą nieprzyjaciół Jagielle, jak łatwo litewski zięć Elżbiety może ujrzeć się zagrożonym na tronie polskim, okazała się także ciągła, stała, systematyczna jedność sprawy Elżbiety i Polski Jagiełłowej.

Poczytując nieprzyjaciół Jagielle, tj. zwłaszcza Krzyżaków z całą rzeszą książąt niemieckich, za swoich własnych wrogów, przyrzeka mu Elżbieta natychmiastową pomoc przeciwko wszystkim, nawet przeciwko poniewolnemu małżonkowi starszej córki Marii węgierskiej, Niemcowi Zygmunтови, i przeciwko samejże Marii, gdyby ona znalazła się spowodowaną do wojny z Władysławem Jagiełłą. Równoważyły się tedy związki dyplomatyczne. A nie mniej pomyślnie stała sprawa Jagielle w głównym miejscu starań i zabiegów krzyżackich, w Rzymie, przed trybunałem papieskim. Wystosowano tam urzędowe zaskarżenie nieprawości małżeństwa Jagiełłowego. Wszczęły się długie i uporczywe rozprawy, w których jak z jednej strony mącili wodę Krzyżacy, tak z drugiej nie brakło także odpornych głosów polskich.

Wypadało przed wszystkim samemuż Jagielle wyprawić do Rzymu posła, który by papieża Urbana oświecił o właściwym stanie rzeczy. Jakoż istotnie wysłał król polski w tym celu do stolicy papieskiej kanonika Mikołaja Trąbkę, czyli Trąbę, późniejszego arcybiskupa gnieźnieńskiego. Lecz poseł polski nie dostał się do Rzymu. Uznał on za rzecz potrzebną wstąpić w drodze do Wiednia, na dwór księcia Wilhelma. W rozmowie z byłym oblubieńcem Jadwigi podjął się Mikołaj przynieść mu z Rzymu także samo rozwiązanie zaręczyn małoletnich, jakiego w Krakowie samoż duchowieństwo polskie udzielić mogło Jadwidze.

Rozgniewało to Rakuszana, przeciwnego wszelkiemu rozwiązaniu, ponieważ takowe rozwiązywało i zarazem wszelkie jego pretensje do Polski, podtrzymywane przez sprzymierzeńców, a nie opuszczone nigdy przez samegoż Wilhelma. Stąd częścią dla ukarania posła za propozycję

niewczesną, częścią dla niedopuszczenia go przed obecność papieską kazał dumny książę uwięzić Mikołaja. Przyszły arcybiskup gnieźnieński przesiedział cztery lata za kratą rakuską.

W taki sposób utraciła sprawa Władysława głównego w Rzymie obrońcę. Mimo to popierały ją tam różne podrzędne usta i pióra. Krążyło mianowicie jakieś uszczypliwe pismo przeciwko Zakonowi, wielce pomocne Jagielle, ułożone (jak mówiono) przez biskupa z Dorpatu. Krzyżowało ono tak dalece zamysły sprzymierzeńców rakuskich, iż panowie pruscy pociągnęli biskupa do odpowiedzi. Zagadniony prałat zaparł się pisma i musiał nawet dworowi apostolskiemu przesłać to zaprzeczenie.

Choćby zresztą żadni przeciwnicy nie psuli sprawy Wilhelma w Rzymie, sprzeciwiały mu się tam różne nader ważne okoliczności. Wspomniano już kilkokrotnie o związkach ojca Wilhelmu, Leopolda, z antypapieżem awiniońskim, Klemensem. W oczach rzymskiego papieża Urbana, uznawanego przez całą wschodnią Europę, było to przewiną nieprzebaczoną. Przeciwnie, matka Jadwigi, królowa Elżbieta, tak gorliwa przyjaciółka Jagielle, zasłużona papieżowi Urbanowi onym bogatym darem tiary, który papieżom tylokrotnie wygodę czynił w potrzebie, liczyła się do najmiłszych Rzymowi córek w Chrystusie. Syn jurgielnika Klemensowego, a natręt królowej Elżbiecie mógł w Rzymie najsurowszej obawiać się sprawiedliwości.

Prócz tego padło Wilhelmowi w tym czasie nowe, ciężkie nieszczęście. W cztery miesiące po ucieczce młodego księcia z Krakowa, dnia 9 lipca 1386, bezpośrednio po wzmiankowanym dawniej romansie z oną miłośnicą szwajcarską zginął Wilhelmów ojciec, Leopold, z kwiatem rycerstwa niemieckiego w morderczej bitwie z Szwajcarami pod Sempach. Ta głośna w świecie ówczesnym klęska, przypisywana powszechnie karze niebios za konszaktę Leopolda z antypapieżem Klemensem, zatrudniła uwagę Wilhelmu nowymi troskami i sporami. Nastąpiły nieporozumienia z powodu opieki stryjów nad potomstwem Leopoldowym, z przyczyny nowego teraz podziału ziemi rakuskiej pomiędzy Wilhelma i jego trzech braci młodszych. Nie zaniedbano wprawdzie do szczytu procesu w Rzymie, kołatał tam opiekun Wilhelmów Albrecht wraz z wielkim mistrzem krzyżackim, lecz cała sprawa mroczyła się coraz niepomyślniejszym dla Wilhelma aspektem.

Zmiarkował to sam narzeczony haimburski i stracił wcale odwagę dopuszczać rzeczy do niebezpiecznej ostateczności. Przeto gdy papież Urban powołał Wilhelma osobiście przed swój trybunał, gdy może od samej Jadwigi czekały go tam przeciwne oświadczenia, wołał książę – nie stanąć. Łatwiej było odziać się w dumną ceremonialność, przybrać pozór dobrowolnego zrzeczenia się Jadwigi (acz nie korony polskiej) niż narazić się na prawdopodobieństwo wyroku niepomyślnego, a może na zaparcie się przez samą oblubienicę. Wtedy to żal zaniechanego kochanka zapomniał się aż do obelżywych wyrazów przeciw dawnej kochance, która oddała rękę komu innemu. „Nie przystoi książętom rakuskim ubiegać się o – wiarołomną!” – rzekł książę „Ceremonialny” i myślał odtąd jedynie o swoich prawach do Polski.

Nieubieganie się zaś o Jadwigę zwichnęło do reszty cały proces rakuski. Po przydłuższym milczeniu, dnia 31 grudnia roku 1387, przesłał papież Urban VI do głównych swatów małżeństwa Jagiellowego, mianowicie do książąt Janusza i Ziemowita mazowieckich, do kasztelana krakowskiego Dobiesława i jego syna Krzesława kasztelana sędziemskiego, do wojewodów krakowskiego i kaliskiego, Spytka i Sędziwoja, tudzież do całej społeczności „baronów” polskich nadzwyczajnie łagodny list, wzywający do zgłoszenia się w Rzymie po sprawiedliwość, gwoli której potrzeba było tylko pokornej odezwy ze strony Władysława, aby uczynić zadość jego życzeniom.

Gdy ten list przybył nad Wisłę, miał już nowy król polski nader świetną odezwę do przesłania wzajem Rzymowi. Wyprawiając natenczas nowego posła do stolicy papieskiej podścielił Jagiełło swoim listem całą nawróconą już Litwę pod stopy apostolskie. Sprawa mniemanych ślubów haimburskich utonęła w zapomnieniu wieczyste. Zdziwiony tym świat zagra-

niczny nie mógł sobie wytłomaczyć rzeczy inaczej, jak przypuszczając dyspensę stolicy rzymskiej. Osobliwie w stronach rakuskich zapewniano, że Jagiełło tylko za szczególnym zezwoleniem papieża Urbana pojął Jadwigę.

Tymczasem zupełna prawność małżeństwa Jagiełłowego nie wymagała żadnej dyspensy i żadna też nie wyszła tym razem z kancelarii papieskiej. Przeco zamiast o tej rzeczy niebyłej mówić nam już o przedmiocie owej świetnej odezwy Władysława, o dokonanych przezeń w ciągu sprawy rzymskiej nawróceniu ojczyzny, o bliskim temuż odzyskaniu Rusi Czerwonej – o coraz szerszym rozwarciu Polsce stron Wschodu.

XVI. CHRZEST LITWY

Ważność wyprawy apostolskiej. Krajobraz Litwy. Młodzieńczość ziemi i stosunków społecznych. Pasterstwo. Ogrodnictwo. *Numa* litewska. Szczupła ludność. Pogaństwo. Niewola. Rysy orientalne w życiu towarzyskim i religijnym. Hierarchia społeczna. Książęta. Urzędnicy. Bojar. „Kozactwo”. Żona bojarska. Pijaństwo. Biesiadnictwo pogańskie. Uczty pobożne. Cześć zmarłych. Posepność życia. Ubóstwo. Przybycie Jagiełły. Widok Wilna. Przygotowania apostolskie. Bałwochwalstwo i manicheizm. Edykta apostolskie. Swobody chrześcijańskie. Środki przymusowe. Fundacje. Katechizacja. Chrzest. Dalsze czynności apostolskie. Podróż Jagiełły po kraju. Powrót do Polski. Poselstwo do Rzymu. Listy papieskie. Następstwa społeczne. Początkowa zamieszka wyobrażeń. Jednoczesna zmiana w Rusi Czerwonej.

Ostatni artykuł dokumentu krewskiego warował Polakom „połączenie litewskich i ruskich ziem z Koroną”. Zbliżająca się teraz wyprawa apostolska miała jednocześnie ochrzcić Litwę i dopełnić tego warunku. A był to warunek niezmiernej rozciągłości. „Litewskie i ruskie ziemie”, od Morza Żmudzkiego aż do Czarnego, Litwa właściwa, Wołyń, Podole, Ukraina Kijowska – to cały nowy świat dla Polski andegaweńskiej!

Wszystkie te ziemie otwierały się obecnie już to szerzej, już cieśniej wpływowi, zwierzchnictwu, bezpośredniemu władaniu Polski. Niektóre z krain ruskich bywały z dawien dawna przez dłuższy lub krótszy czas w związku z Polską. Częste atoli odrywanie onych przez sąsiadów przemocnych, terażniejsze dzierżenie Wołynia i Podola przez Litwę, a Rusi Czerwonej przez Węgrów nadawały oczekiwaniem w tej chwili odzyskaniu onych za pośrednictwem Jagiełły cenę nowego wcale nabytku. Ponieważ zaś inny warunek ugody krewskiej obowiązywał syna Olgierdowego do przywrócenia Polsce dawnych uszczerbków i strat Korony, więc mogła powstać wątpliwość, azali niektóre wracające teraz do Polski ziemie ruskie, mianowicie Wołyń z Podolem, wracają do niej na mocy jednego lub drugiego warunku, tj. mają wejść w związek z Polską ściślejszy albo mniej ściśły, dozwolić Polakom zupełnej władzy zwierzchników i posiadaczów lub tylko półwładzy sprzymierzeńców.

Na wszelki wypadek gotów był Jagiełło „połączyć” swoją Litwę i Ruś z Koroną, a co dziś jedynie wątplym zdawać się mogło związkiem, temu czas dalszy mógł dostatecznie przydać spoju i dojrzałości. Jakoż też sama podróż królewska, która ochrzciła Litwę, rozwarła także Polakom „złotą bramę” Wołynia i Podola i utwierdziła jednoczesne odzyskanie Rusi Czerwonej, dokonane przez drugi dwór podróży, przez zdążający w też samą stronę wschodnią dwór królowej Jadwigi. Opiszemy naprzód chrzest Litwy.

Kiedy światowe pożytki tej obojej wyprawy wschodniej jeszcze świeżo woniały pokoleń, przyrównywano ją do wielkich wypraw morskich, odkrywających światu nie znane potąd lądy i skarby. „Otworzył król portugalski swoimi wędrownymi żaglami indyjskie i afrykańskie strefy południa – mówi polski spółczesnik lat Kolumbowych – Jagiellonowie odsłaniają nam coraz dalsze ziemie i ludy, rozpostarte ku biegunowi północy i ku wschodowi słońca.”

Z niezwykłą też okazałością wybrał się król Władysław w pierwszą drogę tych odkryć Jagiellońskich. Przed wszystkim wyszło świetne poselstwo do Krzyżaków, złożone z wielu książąt pod przewodnictwem Konrada Oleśnickiego, a wzywające mistrza Konrada Czolnera do wiecznej „zgody i unii, za pomocą której mógłby Jagiełło tym snadniej ochrzcić Litwę”. Po czym o pierwszych mrozach październikowych wyruszył nowy król Polski z niezmiernie licznym dworem na wschód.

Omijając Ruś Czerwoną obrano trakt wołyński na Lublin, Włodzimierz ku Łuckowi. Towarzyszył Jagielle tamtędy nader tłumny orszak duchowieństwa, książąt, wojewodów i kasztelanów polskich. Ciągnęli za nim osobnymi tabory arcybiskup gnieźnieński Bodzanta z obfitym gronem kapłanów, pomiędzy którymi liczone najwięcej franciszkanów, tych z dawien dawna apostołów litewskich. Jechali obaj książęta mazowieccy Janusz i Semko, ów poseł do Krzyżaków, Konrad książę na Oleśnicy, reszta nie wyprawionych poprzednio książąt litewskich, jak prawdopodobnie Korygieł-Kazimierz książę mściśławski z Aleksandrem-Wigundem księciem kiernowskim, wojewodowie poznański i sandomierski, nasz dawny znajomy, a ułaskawiony już Bartosz z Więcborga i Leliwita Jaśko z Tarnowa, wreszcie kasztelanowie z Siądca, z Lublina i z Radomia, tj. Krystyn z Kozichłków, Piotr Kmita i Klemens, z podkomorzym krakowskim Spytkiem z Tarnowa, z cześnikiem i podczaszym krakowskimi Włodkiem z Ogrodzieńca i Tomkiem Wągleszyńskim. Przestrzegał porządku całej wyprawy kasztelan wiślicki Mikołaj Toporzycy z Ossolina, terazniejszy „marszałek dworu królewskiego”.

Ze schyłkiem października stanęły cugi podrózne w Łucku wołyńskim. Urządzenie okolicznych spraw ruskich, podjęte w największej części na korzyść Polaków, zatrzymało tam króla przynajmniej do połowy listopada. Zdarzy się o tych pożytecznych Koronie i koronnym synom czynnościach usłyszeć więcej następnie, przy opisie odzyskania Rusi Czerwonej. Teraz prowadzić nam króla z „łackim krzyżem” dalej ku północy, nad Niemen.

Im głębiej zaś w strony Litwy pogańskiej, tym nowszy, tym osobliwszy obraz ziemi i ludu zdziwiał polskich towarzyszy Jagiełły. Wjeżdżano w ostatni zakątek, w ostatnią leśną kryjówkę pogaństwa w Europie, równie odmienną od reszty krajów europejskich, jak wiara i obyczaj mieszkańców od obyczajów reszty narodów europejskich.

Owszem, nie tylko powierzchnią ziemi i ludem, lecz nawet niebem swoim różniła się ówczesna Litwa od Polski. Świeciło z niego niskie słońce północy, przybierające coraz bardziej niestały i złudny charakter słońca stref biegunowych. Przez dziesięć miesięcy nieustającej zimy usuwało się ono znad ziemi, dając jej zanurzać się w ciemnościach i drętwieć mrozem śmiertelnym. „Przez dwa miesiące lata – opowiada naocześnie z ówczesną Litwą obeznany kapłan dziejopis – pałało słońce ciągle na widokregu, łącząc prawie bezpośrednio brzask wieczorny z świtem poranku i dopiekając upałem całodziennym. Mrozy zimowe kaleczyły ludzi nader częstym odmrażaniem członków, zamrażały niebaczących na śmierć, mieniały barwę zwierza leśnego, zwłaszcza zajęcy, całe białych przez zimę, zdziwiała obozujących przy ognisku podróźnych widokiem kotłów, w których jedna połowa wody wrzała ukropem, podczas gdy połowa przeciwna była jeszcze wciąż bryłą lodu.”

Za to skwar letni nie dozwalał przez cztery godziny południowe żadnej w polu roboty, odbywanej przeto w największej części z rana i widnymi wówczas nocami. Mimo czego jednakże nie dochodziło zboże w zbyt krótkim ciepłe słonecznym do należytej dojrzałości i musiało następnie dosuszać się przy ogniu. Nadzwyczajnie też rzadko szarzał na widokregu spleść ziemi zoranej, a prawie wszystek kraj jeżył się dzikim borem, płynął falami jezior, rozpościęrał się stepem piaszczystym.

A puszcze i jeziora litewskie to nie lasy i błota polskie! W borach litewskich drogocenna ówczesnemu handlowi wiewiórka, przeskakując z drzewa na drzewo, odbywała kilkudziesięciomilowe podróże, nie dotknąwszy się ziemi. Zaraz za progiem wielkiej odludni Podlasia czerniała ogromna Puszcza Białowieska, słynniejsza teraz niż wówczas, kiedy nie mniej roz-

ległe bory mściławskie, borysowskie, rudnickie od Wilna ku Niemnowi zacieśniały kraj tyłż innymi w różnych stronach Puszciami Białowieskimi. Poprzecinane wewnątrz szerokimi łąkami i jeziorami, zagęszczone wszelkimi rodzajami krzewów i drzew, pełne błakających się w ich cieniu gromad zwierza dzikiego, przedstawiały te niezmiernie przestwory leśne jakoby wcale osobne państwa roślin i zwierząt, także same za Jagiełły, jak w pierwszych dniach stworzenia. Wobec ogromu ich przestrzeni niknął wszystkim mieszkający pomiędzy nimi ród ludzki, gasła ludziom wszelka możność pasowania się z przemocą tak pustynnej natury. Siekiera ludzka i ludzka trąbka myśliwska, jakkolwiek daleko w głąb puszczy zaniesione, brzmiały właściwie tylko po wąskim jej pobrzeżu, igrały tylko u krawędzi tych oceanów leśnych, w których nie zbadane po dziś dzień wnętrza przenikała chyba jedna fantazja ludzka, napelniając je bajecznymi widziadłami i dziwami.

Owszem, bezmiar tutejszych obszarów leśnych owładał do tyła samą fantazję ludzką, iż nie mogąc wyzwolić się spod przemocnych wrażeń ciągłego ich widoku musiała ona nawet w swoim świecie wewnętrznym, w dowolnych zmyśleniach swojej twórczości roić głównie obrazy jakichś zaklętych lasów i stworzeń leśnych. Do niezmiernej mnogości rzeczywistych po całym kraju borów przydawała imaginacja powieści o jakichś czarodziejskich lasach użwarskich, w których broiły złośliwe nimfy nazwiskiem Łauny, a które dziwotworną olbrzymiością i bezgranicznością swojej natury leśnej łączyły z drugą właściwością krain litewskich, z jeziorzystością ziemi.

Czymże zaś wszelkie widziadła jezior i bagien urojonych w porównaniu z ich pierwowzorem w rzeczywistości! „Jeziora litewskie – słyszymy od zdziwionego ich wielkością cudzoziemca – to istne morza!” Obfitość rozlicznych dokoła wód dała powód tradycji, jakoby cała południowa część Litwy była dawniejszymi czasami morzem, Morzem Czarnym, sięgającym niegdyś aż po błota Prypeci, a dopiero później przez jakiegoś mocarza spuszczone w łoża dzisiejsze.

W niektórych porach roku wracały nazad te dawne czasy morskie i znowuż po całych przestrzeniach kraju rozpościerało się lśniące zwierciadło fal, urosłe z wylewów wiosennych i stopionych w podleciu śniegów. Po opadnięciu powodzi pozostawały rzeki o mętnej, ciemnej barwie wód morskich, płynące z cichą powagą morza. Toż samo morze przypominał gęsto po Litwie rozsiały step piaszczysty, niedawno oschłe dno fal, codzienny świadek młodzieńczości suszy litewskiej, jednego z najświeższych łądów świata.

Na tak pierwiastkowej ziemi mieszkał lud również młody. Toż i węzeł pomiędzy taką ziemią a takim ludem był podobnie wąty i niedojrzały. Najdoskonalsza spójnia między człowiekiem a ziemią, praca rolnicza, zaledwie tu oznaki życia dawała. Dziki grunt Litwy stawał jej zbyt uciążliwą przeszkodę, a naród nie czuł chęci przełomywania trudności. Stąd nader mała część kraju szła pod uprawę rolniczą, uprawę niezmiernie nieudolną, przestającą na ulubionym pługu drewnianym, owszem, przesądnie przeciwną wszelkiemu narzędziu żelaznemu.

Biorąc na uwagę ten brak żelaza, podobnyż brak młynów zastępywanych zwykle żarnami, wreszcie potrzebę dosuszania przy ogniu płonów nieżrzałych, można pojąć ubóstwo całego rolniczego gospodarstwa Litwy pogańskiej, nie wystarczającego bynajmniej do wyżywienia ludności, jakkolwiek rzadkiej. Żyła ona tedy po największej części czym innym, żyła głównie chowem bydła, rybami, zwierzyną, grzybem. Jak młodzieńczą była ziemia litewska, tak też młodzieńczym trybem początkujących narodów, przedpatriarchalnym rzemiosłem myślistwa, rybołówstwa, pasterstwa spędzało dnie żywota zamieszkujące ją plemię.

Na szczęście roiła się niesłychana mnogość zwierza w lasach litewskich; najkosztowniejszą zwierzynę ubijano jedynie gwoli futrom, odrzucając smaczne mięsiwo; rogi żubrów służyły za powszednie naczynie stołowe, a przed każdą wyprawą wojenną odbywała się zwykle wielka wyprawa myśliwska, zaopatrująca przyszłe wojsko niezliczoną ilością beczek zwierziny solonej i wędzonej. Rybołówstwo, korzystając z niezmiernej rybności niektórych rzek, jak np. Prypeci, karmiło przez cały rok rybami suszonymi. Ale nad wszystko zajmowano się

przy obfitej paszy chowem bydła rogatego i koni. Stadniny książęce, jedna z głównych gałęzi zamożności książęcej, dostarczały samemu Witołdowi po 10 000 wierzchowców. Lada kmięć utrzymywał po 60 sztuk rogacizny, nie licząc w to kóz i owiec.

Wszechstronnie rozwinięte pasterstwo żywiło różnorodnym nabiałem, w który wchodziły także sztucznie przyprawiane sery bawole, a nawet mleko kobyłe. Nie mniej kwitnęło, dalej, pszczelnictwo, starodawna chwała stron nadniemeńskich. Bujna grzęskich krain roślinność, jakieś szczególnie słodkie zioła, ogromne gaje lipowe około Kowna, wydawały miód przewyborny, sławny lipiec kowieński, nadzwyczajnie obficie po całej Litwie pijany.

Do których to wszystkich dorywczych gałęzi gospodarstwa przydać jeszcze należy nader ważne w Litwie ogrodnictwo. Im szczuplejszą była uprawa polna, tym staranniej pielęgnowano jarzynę ogrodową. Gdy nieraz i czarnego, żarnowego chleba, jaki sami królowie Jagiellońscy radzi jadali, nie stało Litwie ubogiej, zastępowała go duża rzepa pieczona. Najdostojniejsze z późniejszych rodzin litewskich przypominały sobie bez sromu, jak ich przodkowie niegdyś w znak przyjaźni obsyłali się rzepą. Po ogrodach też rosła zapewne największa część tego lnu, jaki Litwa uprawiała rokrocznie. Wilgotna natura gruntu i zupełny brak sukna, zbyt sztucznego i kosztownego w oczach Litwy towaru, czyniły len i konopie głównym ziemiopłodem litewskim, głównym przedmiotem pracy i przemysłowości domowej.

Kto zaś nawykł do uprawy ogrodu, temu i ogródek, i kwiaty stawały się równie łatwą do zaspokojenia, jak i przyjemną potrzebą. Z tej to przyczyny uderzało w Litwie dziwne poniekąd u tak prostaczego ludu zamiłowanie kwiatów, objawiające się w troskliwym hodowaniu onych przy domu, w przystrajaniu nimi każdej uroczystości domowej, w częstej o nich pamięci w pieśni.

Osobliwie piękna dolina kowieńska, woniejąca kwieciami szerokich gajów lipowych, usłana kobiercem białych i barwnych róż, miała być prawdziwym rajem kwiatów, rozumie się – w krótkim przeciągu dwumiesięcznego lata.

Z tymże przywiązaniem do kwiecia łączyło się ściśle obeznanie z resztą roślin, z ziołami, z ich cudowną niekiedy mocą, główna umiejętność licznych lekarek i czarowników litewskich, zwanych przeto najczęściej znawcami ziół, „zieleninami”. Wszelka jednakże obfitość kwiatów wokoło zagrody nie zdołała udoskonalić budowy domu. Najzamożniejsza chata litewska, czyli tak zwana numa, niepodobna wcale do zwykłej zagrody gospodarskiej, była tylko dorywczą budą pasterską, skleconym naprędce szałasem plemienia koczownego.

Wyobraźmy sobie rodzinę koczującą, rozłożoną w polu przy noclegowym w dużej jamie ognisku, z całym zapasem żywności pod senną głową, z spoczywającym dokoła dobytkiem koni i bydła i pokryjmy to przypadkowe legowisko jednym wspólnym dachem na czterech ścianach bez okien, a będziemy mieli przed sobą numę litewską, mieszczącą zarazem na przestrzeni dziesięciu sążni i mieszkanie ludzkie, i stajnię, i oborę, i spichrz. I takież właśnie drewniany namiot wędrowny, taki „kurzeń” obozowy poczytywano do późnych czasów za najwłaściwsze Litwie domostwo, bardziej narodowe niż późniejsze dwory i dworce.

Wygodna bowiem siedziba przywiązuje do miejsca, a Litwa pogańska była w każdej chwili gotową zwinąć namioty i szukać nowej ojczyzny. Toć niedawnymi czasy, w ostatnich latach Kiejstuta, zrywała się cała Litwa do tłumnego wyjścia z swojej ziemi ucisku, byle gdziekolwiek spokojniejsze znaleźć siedziby. Za lat kilka od terażniejszej wyprawy Jagiełłowej do Litwy okropny głód tak srodze dojmie krajowi, że wszyscy, zamożni i ubodzy, postanowią szukać ulgi w powszechnej wędrowce narodowej. Tenże zamysł powtórzył się jeszcze później, kiedy skutkiem niechęci ludu ku zbyt gorliwym zabiegom apostołów chrześcijańskich ówczesny wielki książę litewski, syn Kiejstutów, lękał się ujrzeć naraz całe państwo wypróżnione od mieszkańców, koronę bez poddanych, wychodzących w dalekie strony...

A jak niedojrzała spójnia wiązała ziemię z ludem, tak również nierozwiniętym, pierwiastkowym był pod każdym innym względem stan społeczności tutejszej. Najprzód nie rozrosła się jeszcze Litwa w zwykłą innym krajom rojność mieszkańców. Rozgłos imienia litewskiego

był znacznie większym niż liczba głów litewskich. Krom podległych Litwie ziem całkowicie ruskich stanowili Rusini znaczną jeszcze część zaludnienia samejże Litwy, a stołeczne jej miasto, Wilno, było tylko w jednej połowie miastem litewskim, w drugiej zaś cudzoziemczym. Wszelka ilość pogaństwa, jaką król Władysław ochrzcił w całym ciągu panowania swojego, nie przenosiła trzydziestu tysięcy dusz.

Tak dziecięco drobny naród, umiający przecież czym innym wetować swoją szczupłość, odznaczał się następnie nader niedojrzałym składem społecznym. Cała społeczna budowa Litwy pogańskiej spoczywała na dwóch węglach, na dwóch pojęciach: pan i sługa, rozkaz i posłuszeństwo. Naszafowawszy się do sytu wyrazem „Litwa p o g a ń s k a”, mamy teraz sposobność przypomnieć znaczenie tego wyrazu.

Pogaństwo to niewola. Litwa pogańska to rzesza niewolników. Od najwyższego z panów do najniższego z poddanych, od pobliża tronu do najustronniejszych zakątków rodzinnych, krzyżował się nieprzerwany łańcuch niewolnictwa. Pan, czyli bojar litewski, był niewolnikiem księżęcym, nie mającym żadnej własności, nie mogącym bez zezwolenia księżęcego sprzedać kawałek gruntu, pozostawić dzieciom majątek, wydać córkę za mąż, czym wszystkim rozporządzała wola księżęca.

Żona była niewolnicą swojego męża, który ją sobie kupował, który nie mając czym zapłacić winę sądową płacił ją sprzedanymi w niewolę żoną i dziećmi. Dzieci były własnością ojca, samowładnego pana ich życia i wolności, potrzebującego wprawdzie aprobaty księżęcej do oddania córki w zamęcie, lecz upoważnionego sprzedać ją kiedykolwiek w niewolę albo starodawnym zwyczajem pogańskim zabić ją w latach dzieciennych. Poddany był niewolnikiem nie tylko swojego, lecz owszem każdego pana, obowiązany patrzeć w milczeniu, jak pierwszy lepszy przejeżdżający bojar przywłaszczał sobie jego dobytek, wszystek sprzęt jego chaty.

Oprócz którego to warunkowego niewolnictwa roił się jeszcze w każdym domu, w całym kraju tłum bezwarunkowych, prawdziwych niewolników, przewyższający zapewne liczbę tak zwanych „wolnych”. Żyli oni w tym stanie już to skutkiem niewoli wojennej, już to za wyrokiem sądowym, już małżeństwem z niewolnicą lub niewolnikiem, albo wreszcie urodzeniem z rodziców niewolniczych i samowolnym niekiedy oddaniem się na własność. Te różne przyczyny niewoli rozplądzały coraz liczniejszą ćmę „ludzi własnych”, pomnażaną jeszcze nierzadkim skazywaniem na niewolę za podatek nie zapłacony, za długi nie uiszczony, albo też dobrowolnym zaprzędawaniem się z głodu – ćmę stanowiącą artykuł bardzo skrzętnego w tych stronach handlu.

Jak w starożytnym pogaństwie, im większą była liczba niewolników domowych, tym wyżej ceniono zamożność gospodarza. Niewolnik dawany bywał posagiem córce; niewolnik otaczał pana zgryzą służebników na wojnie, przyzwyczajając go do późniejszego tłumy ciurów w obozie; niewolnik płał na stosie z panem umarłym. Duch niewolniczy przenikał całą społeczność i sprawiał, że nawet niezawiśli od innych ludzie przyjmowali chętnie rolę służalców, zauszników. On to rzucał wreszcie wszystkich pospołu na kolana przed cieniem władzy najwyższej, przed lada znakiem, przed czapką wielkich książąt litewskich.

A ci książęta pogańscy to nie dla chrześcijańskich wyobrażeń przedmiot do osądzenia i czci. Łagodni i hojni za granicą, pomiędzy chrześcijanami, polerowni rycerze wobec rycerstwa europejskiego, bywali oni orientalnymi despotami w własnej ojczyźnie. Posłowie wielkich miast hołdowniczych, jak np. Nowogrodu i Pskowa, nie śmieli się zbliżyć do nich inaczej, jak padając na twarz i całując ziemię przed stołem, za którym ucztował wielki książę. Jedynym zresztą sterem ich rządów była groza. Służyły im ku temu rozliczne środki przymusu i postrachu, mnogie rodzaje więzień, kaźni i tortur, ten najpospolitszy sposób przekonywania w sądownictwie pogańskim.

Najszlachetniejszemu z wielkich książąt litewskich towarzyszył w przejażdżce po kraju napięty zawsze łuk, z którego rozkaz księżęcy za lada przewinienie zabijał ludzi. Tenże sam

książę w przystępie sroższego gniewu kazał zaszywać winowajców w skóry niedźwiedzie i rzucać ich dzikim zwierzom na rozszarpanie. Gdy zaś wyrok książęcy skazał kogo za cokolwiek na śmierć, biada miłosiernemu, który się ulitował mniej winnego grzesznika, który uchronił rzezimieszka od szubienicy. Osobny rozdział ustaw litewskich przeznaczał mu też samą karę śmiertelną, której uniknął złodziej.

Wtedy czy to starodawne ustawy, czy wola książęca wydały wyrok, sam potępieniec musiał wykonać na sobie, co losem padło. „Gniewa się książę!” – podszeptał ktoś winowajcy ociągającemu się z własnoręcznym zadaniem sobie śmierci, a przestraszony potępieniec czym prędzej zarzucał sobie stryczek na szyję. Duchowni chrześcijańscy, nie obeznani z obyczajem pogańskim, odwracali się ze zgrozą od tych najszlachetniejszych z książąt litewskich, zapisując o nich zdanie: „To kat krwiożerczy!”

O ile Orient z dawien dawna przedstawiał najwięcej przykładów niewoli i przywiązanych do niej zwyczajów, o tyle i pogaństwo litewskie jaskrawiej tu owdzie barwą Orientu. Jakoż pominawszy samą nawet niewolę wschodnią, nietrudno dostrzec w nim jeszcze innych znamion i rysów orientalnych. Uderzają one mianowicie w głównych zasadach wiary przedchrześcijańskich Litwinów. Wielec to zapewne wieków minęło, odkąd przodkowie Litwy dzisiejszej osiadając w ziemi pruskiej, łotewskiej i nad Niemnem, w tych trzech różnych siedzibach jednego i tegoż samego plemienia, przynieść mogli z Orientu starożytną cześć słońca, ciał niebieskich i ognia. Świeci ona przecież nader jasno w religijnych wyobrażeniach starej Łotwy, Prusów i Litwy.

Najdawniejsze w tym względzie wiadomości donoszą nam wyraźnie, iż pogaństwo litewskie ubóstwiała słońce, księżyc i gwiazdy. Nieco później okazało się powszechnie, iż ze wszystkich bóstw światła najwyżej czczonym był Perkun, bóg błyskawicy i grzmotu. Jednocześnie uwidomiły się nazwiska różnych innych bóstw jasności niebieskiej, jak Auszwe, Sotwaros, Okopirmos i Szwałstix, już to tyłuż odrębnym, lecz pokrewnym Perkunowi bóstwom właściwe, już to może jedynie do tyłuż różnych postaci tegoż samego Perkuna należące.

Obok tych bóstw światłości przewodniczyły jeszcze całemu rojowi litewskich bogiń i bożków kilka nieco odmiennych istot niebieskich, Potrimpos albo Atrimpos, wodne bóstwo urodzajności, Poklus, bóstwo zniszczenia, i Kurko albo Zieminikas, bóg płodów ziemskich. W panującej całemu pogaństwu stolicy bałwochwalstwa starych Prusaków i Litwinów, w dawno już przez Krzyżaków zburzonym Romowe, w cieniu przesławnego tamże dęba świętego stał ołtarz wielki, na którym wznosił się trójposąg Perkuna, Potrimpa i Poklusa. Otóż bliższe wpatrzenie się w mitologię litewską naprowadziło na myśl, iż ta trójca litewsko-pruska, złożona z głównego boga światła Perkuna, z bóstwa urodzaju Potrimpos i bóstwa zagłady Poklus, mogła powstać z odblasku staroindyjskiej trójcy Mitry, Ormuzda i Arymana. Na wszelki wypadek nie brak coraz nowych pozorów powinowactwa między orientalną czcią ognia słonecznego, między Orientem w ogólności a naszą Litwą pogańską.

Jak w Oriencie, tak podobnie i w Litwie pałały każdemu bóstwu w każdej świątyni, nawet w zakątku domowym, ulubione ofiary ognia, najskuteczniejszego środka oczyszczania ludzi żywych i zmarłych, palonych przeto na stosie pogrzebowym, i płonął w różnych ustroniach kraju, w osobnych świątyniach wieżycowych, na szczycie wzgórz wieczysty ogień święty, tak zwany Znicz, starannie żywiony przez kapłanów. Jak w Oriencie, tak podobnie i w Litwie liczono czas na noc, rok na księżyc, a tydzień zaczynało się od piątku. Jak w Oriencie, tak i u Litwy spoczywała budowa rodziny na wielożeństwie. Wszystkie najdawniejsze wiadomości o Litwie zamieszczone w każdym domu możniejszym orientalny harem kilku małżonek, z których jedna miewała pospolicie starszeństwo.

Do późna potomkowie pogańskiej Litwy tęsknili za „chwalebny obyczajem mnogości żon, który to czyni, iż każda z małżonek goręcej miłuje męża i że ojczyźnie przyrasta gęściej obrońców”. Gdy zaś mąż, jak wspomniano, kupował żonę, gdy handel ludźmi w codziennym był używaniu,

widziano jeszcze w XV wieku tłumnie w tych stronach targi niewolnic, bazyry orientalne, gdzie każdy ochotnik swobodnie wybierał sobie i za pewną kwotę nabywał towar małżeński.

Tak po orientalnemu zaopatrujący się bojar litewski z natury małowówny jak ludzie Wschodu albo przemawiający narzeczem zakorzenionym głęboko w glebie Orientu, rozumiał też najlepiej orientalny język p o d a r k ó w . W Litwie czy to do króla, czy do sędziego, czy do bojara nie znalazłeś przystępu bez jakiegokolwiek dani, tak zwanej „poczty”. Znakomici zaś posłowie zagraniczni na dworze Jagiellonów otrzymywali od króla szkarłatną wschodnim zwyczajem szatę, w której prowadzono ich przed majestat. Za wstąpieniem w podróży pod strzechę uboższej gościnności jak nad Jordanem umywano ci nogi.

Osobliwie z najbliższymi Litwie wyobrazicielami Orientu, z Orda tatarską, mieli jej synowie niemało wspólnych rysów. I też zapewne krymsko-mongolską drogą dostało się Litwie najwięcej tych znamion orientalnych. Wraz z nimi wsiąkała litewszczyzna w siebie mnogie inne żywioły obce, a owi praojcowie panującego później nad Niemnem ładu społeczeńskiego, owi mgłą bajeczności odziani, lecz niebajeczni w istocie Herulowie zamorscy, z wcale przeciwnej południowi strony przybyli. Wielu też mniemanym rysom Orientu w mitologii i urzędzeniach litewskich da się z łatwością nierównie bliższe wykazać powinowactwo i same owe dziwacznie poprzekęcane nazwy bóstw nadniemeńskich, owe Perkunasy i Mildy starolitewskie, nawet ów w cieniu dęba w Romowie czczony trójposąg nie prawdopodobniejsze z tymiż samymi Herulami od północnych nadpłynęły wybrzeży, nie snadniejsze ze źródła takich samych na północy nazw i pojęć mitycznych, takich samych za morzem północnym Fairgunśów, Mild, Romowów, trójposągów itp. zagnieździły się w Litewszczyźnie?

Ale od przybycia Herulów z ich mitologią zamorską niemało już wieków minęło. W tym czasie pierwotne rysy herulskie uległy wpływowi innych najeźdźczych ludów od wschodu, a pomiędzy tymi dalszymi zalewami obczyzny któryż głębiej naruszył i wypaczył zawiązki ówczesnych społeczeństw wschodniej Europy, któryż więcej śladów trwania swego zostawił nad późny, ale przemocny wylew dziczy mongolskiej za Dżengis-chana! On to całą szeroką Słowiańszczyznę zadnieprską na tak długie czasy mnogimi znamionami Orientu napiętnował; on to całą Ruś południową tak stanowczym dla niej na przyszłość obyczajem i duchem kozaczyzny znarowił; on też cisnącej się ku tym południowym granicom Litwie niemało swoich orientalnych znamion udzielił. Pierwiastkowość społeczeństwa dozwoliła tym nowym rysom mieszać się swobodnie z różnorodną pstrocizną dawniejszych czasów, a przeciąg półtora wieku między najściem barbarzyńców mongolskich a terażniejszą Litwą Jagiełły i Witołda wystarczył do nadania wielu uderzającym w niej cechom orientalnym pozorów odległej starożytności.

Zwłaszcza więc w sprawach wojennych umoderowało się pogaństwo litewskie przeważnie na krój wschodni, tatarski. Podczas gdy książęta pogańscy niekiedy lustrem rycerstwa zachodniego świecili, w podwładnych im tłumach wojennych widziano przez długie lata ze zgrozą istnych Ordyńców. Wywrócony włosom do góry kozuch, łuk i kołczan z zatrutymi strzałami, mleko kobyle jako zwykły napój w bukłaku, wojenny sposób przeprawiania się przez rzeki za pomocą uchwyconych w ręce ogonów końskich trąciły nader złudnym podobieństwem do wojowników Dżengischanowych. Chrześcijanie, którzy własnymi oczami patrzyli na pogaństwo litewskie, donoszą nam wyraźnie, iż Litwa tamtoczesna żyła „trybem tatarskim”.

Orientalna też wyobraźnia ożywiała plemię litewskie. Skutkiem jej skłonności do omamiania się wszędzie widokiem dziwów, cudów, zjawisk nadprzyrodzonych przedstawiał się cały świat otaczający przybytkiem, narzędziem, objawem sił nadziemskich, bóstw niebieskich, godnych podobnie ubóstwienia i czci. Stąd obok czci światła niebieskich, w ogólności czci nieba, czczono też całą ziemię z wszystkimi rysami jej oblicza, właściwymi naturze tutejszych stron. Były więc święte wzgórza, święte bory i gaje, święte jeziora i rzeki, święte stworzenia. Pomiedzy tymi osobliwie węże, jaszczurki i wszelkie płazy, tak dziwnie liczne w kraju

wilgotnym, tak bezpośrednio z samymi wnętrzami ziemi zbratane, a tym przydatniejsze do nabożeństwa, im mniej przydatne, mniej pospolitowane w życiu powszednim, miewały w każdym domu, w kącie na sianie pod przypieckiem, cześć, świątynię i codzienną ofiarę z mleka.

Częścią też wyobraźnia orientalna, która to wszystko ubóstwiała, częścią przyrodzona duchowi niewolniczemu chęć tulenia się pod opiekę jak największej liczby panów i opiekunów, roiły w każdym przedmiocie lub zdarzeniu przyrody, w każdym wypadku życia pewne panujące im bóstwo, zaludniały niebo, ziemię, świat cały, żywot cały nieprzejrzany tłumem bożków, bogiń, półbogów, duchów opiekuńczych, złych i dobrych istot nadludzkich. Oprócz wymienionych powyżej najwyższych bóstw litewskich słynęli jeszcze Pergrubis bóstwo wiosny, Milda miłości, Wirszajtos gospodarstwa, Krumine zbóż, Szejbrato myślistwa, Wajzgantis lnu, Ragutis napojów, Austeja pszczelnictwa, Kimis sadów, Puskajtis lasów, Lazdona orzechów, Kremara trzód, Ratajnica stadniny, Bentis podróży i tak dalej bez zmiany.

Każda chata stała pod opieką osobnego bóstwa Numejas; każda możniejsza rodzina czciła swoje poszczególne bóstwo rodzinne; każdy krok życia podlegał błogosławieństwu lub gniewowi odrębnego bóstwa czynności rozpoczętej. Rozścielając na zimę mech w chacie samotnej, wywracając pierwszą skibę pługiem drewnianym, wyjmując z pieca pierwszy bochenek chleba godziło się przynieść ofiarę bóstwom mchu, ziemi rolniczej, placków. A cóż za namiętna ciekawość dowiedzenia się, azali te ofiary dobrze lub źle przyjęto, jaki wszelkiemu przedsięwzięciu los padnie, co w ogólności przyszłość okaże! Każdy chciał ją przeniknąć. Wojenna drużyna ciągnąca przeciw nieprzyjacielowi; gospodarz oczekujący żniwa; chory, złożony długim cierpieniem; pasterz któremu złodzieje uprowadzili trzodę; dziewczyna, której się miód snił – wszystko ubiegało się o poradę wróżebną.

Jakoż znajdzie się zawsze, czego potrzeba ludziom. Tłumowi bóstw litewskich i ciżbie dopytywaczy przyszłości służyła odpowiednia obfitość kapłanów i doradców. Wszystek świat pogański pełen był wróżbitów i guślarzy. „W każdym domu pogańskim – mówi świadek bałwochwalstwa między Odrą a Elbą – roi się ćma wieszczków, ofiarników i czarodziejów w poważnym stroju mniszym.” Ostatnia ojczyzna pogaństwa w Europie, Litwa, żywiła ich więcej niż którykolwiek z krajów przedchrześcijańskich. Nie masz liczby kapłaństwu litewskiemu. Pod przewodnictwem jednego arcykapłana Kriwe-Kriwejto, wiodącego atoli nader zubożały już żywot, obrzędowały różne stopnie kapłanów: kriwowie, tj. kapłani i rozjemcy sądowi, wejdaloci kapłani drugiego rzędu, wirszajtos ofiarnicy, sygenoci rodzaj mnichów pogańskich, tylusoni i lingusoni, pełniący służbę kapłańską przy pogrzebach, burtinikasy, bardy litewskie itd.

Szczera wiara w wszechmoc bogów ojczystych powszechnie już szwankowała; słyszeliśmy dawniej o kapłanach odstępcach, zaprzędanych nieprzyjaciółom; lecz codziennemu nałogowi ofiar i wróżb dogadzała jeszcze ochoczo zgraja służalców duchownych, znachorów, sejtonów, łabdarisów. Owej drużynie wojennej kazał wieszczek wypruć wnętrzności z pierwszego jeńca chrześcijańskiego, przy czym mniej lub więcej krwawe onych wysnuwanie się z ciała zapowiadało pomyślny lub niepomyślny skutek wyprawy. Dla oświecenia gospodarza o losie żniwa wzywał ofiarnik węża domowego na stół do misy, a wysłuchanie lub niewysłuchanie zaklęcia stanowiło o pomyślności zbioru. Chcąc zbadać koniec choroby, wywoływał wejdalota w świątyni przy ogniu ofiarnym cień chorego, który gdy się okazał licem, znaczyło zdrowie, plecami śmierć. Śladu złodzieja szukał wróżbita w czarze nalanej piwem, w której pieniążek ofiarny swoim w tę lub ową stronę spłynieniem wskazywał kierunek ucieczki łotrzykowej. Dziewczynie radził znachor pilnować wieńca, bo miód – psuje niewinność. Przekonawszy się o tym ze swoją szkodą, umiała nieboga sama wróżyć na starość. Dawnej orientalnej zabobonności kobiet litewskich przypisują powszechnie późniejszą mnogość palonych w Litwie czarownic.

Można by wreszcie mniemać się w puszczy wschodniej, przypatrując się głównym zjawiskom społecznego istnienia Litwy, głównemu trybowi życia jej naczelników pogańskich. Należy poznać ich w pośrodku reszty składowych części społeczności litewskiej. Naród, którego skronie ścisła płomienna korona orientalnej samowładzy książęcej, a stopy więzły w szeroko rozpostartej niewoli, nie mógł rozwinąć się, rozczłonkować się w wielką różnorodność stanów i zawodów społecznych. Po odliczeniu kapłanów i kupców cudzoziemskich zostają cztery główne warstwy narodu: książęta, bojarowie, poddani i niewolnicy.

Pierwsza z tych warstw była w istocie osobnym stanem, liczącym niemało głów. Zwyczajne wyrażenie „wielki książę litewski” nie oznacza bynajmniej bezpośredniego pana i władzę całej rzeszy litewskiej. Jako bezpośredni pan władał on w swoim stołecznym mieście Wilnie i w połączonej z nim części kraju, późniejszym województwie wileńskim, do czego niekiedy liczyła się także Żmudź. Resztę ziem litewskich i ruskich dzierżyła prawem dziedzictwa gromada potomków Gedyminowych, kilkudziesięciu książąt pokrewnych. W braku stosownej ilości współczesnych śladów piśmiennych któż rozróżni dokładnie tę mleczną drogę książąt, książątek i książątetek, drobniejących z czasem w miernotę zwykłych domów szlacheckich!

Jedynie na wąskiej przestrzeni kilku pergaminów dokumentowych, okrytych podpisami panujących teraz synów i wnuków dawnego szeregu książąt z krwi Gedymina, jak Olgierd, Kiejstut, Lubart, Koriat, Narymunt, Jawnuta itd., świecą obok wielkiego księcia Jagiełły, pana księstwa wileńskiego i Żmudzi, następujący w różnych stronach książęta. W właściwej Litwie Jagiełłów brat Skirgiełło włada Trokami, drugi brat Aleksander Wigund księstwem kiernowskim. Na Podlasiu Witołd kniaziuje w Brześciu i Grodnie, na Polesiu Wasil w Pińsku, Jerzy w Słucku, Fiedor zaś w Ratnie. Białej Rusi Jerzy kniazem Smoleńska, Kazimierz Korygiełł kniazem Mścisławia. Na Wołyniu panuje Fiedor Lubartowicz w Włodzimierzu i Łucku, Michał Jawnutowicz w Zaslawiu, Szymon w Stepaniu, Fiedor Daniłowicz w Ostrogu. Na Podolu i Ukrainie: Dymitr Korybut Olgierdowicz w Nowogrodzie Siewierskim, drugi Olgierdowicz Włodzimierz w Kijowie, Aleksander i Teodor Koriatowice w Braclawiu, Smotryczu i Kamieńcu. Na Rusi Czerwonej Jerzy Narymuntowicz w Bełzie...

Każdy z nich, nieograniczony samowładzca w obrębie swego księstwa, miał uznawać feudalne zwierzchnictwo wielkiego księcia, lecz starał się wedle możliwości nie ulegać mu wcale, za co wielki książę usiłował wyrugować go wzajem z księstwa. Stąd ustawiczna zmiana tytułów i posiadłości. Dopóki zaś nie przyszło zmienić miejsce, żył każdy z książąt w swym księstwie po największej części z własnych dóbr ziemskich. Niekiedy większa połowa ziemi, jak np. na Żmudzi, należała bezpośrednią własnością księciu. Tam utrzymywał on za pomocą własnych poddanych i niewolników ogromne stada koni, prowadził gospodarstwo rolnicze, chował bydło, pędził na wielką stopę myślistwo i rybołówstwo, handlował owocami swojego przemysłu.

Reszta posiadaczy pomniejszych kawałków ziemi, mniej lub więcej zamożni bojarowie, ograniczeni samowolą książęcą w swoim prawie własności, w dysponowaniu majątkiem, w rozporządzaniu losem rodziny, obowiązani nadto do bezwarunkowej służby wojennej, do różnorodnych danin, nawet do robocizny na rozkaz księcia, tworzyli właściwie tylko nieco możniejszą klasę poddaństwa książęcego. Sam książę sprzyjał raczej swoim rzeczywistym, bezpośrednim poddanym niż bojarom. Nie mając bowiem w jego oczach uroku szlachectwa europejskiego, godności nie znanej wcale bojarstwu, niepokoiło go czasem toż bojarstwo fortuną pojedynczych magnatów, bliskich pokusie nieposłuszeństwa.

Z własnego tedy poddaństwa wolał książę wybierać sobie doradców i powierników. Jeżeli któremu z nich uśmiechnęło się szczęście, tedy za łaską pańską, jak ów oblubieniec Jagiełłów Wojdyłło, postępował on z piekarczyka na dworzanina, starostę, wielkorządcę, a w końcu zenił się nawet z siostrą książęcą. Gdy po którym z przednich bojarów kraju pozostawała córka z wielkim posagiem w dobrach, tedy wydawał ją książę najchętniej za prostego koniucha, byle chłop odważny, a wierny.

Taż sama klasa ludu dostarczała najwięcej urzędników książęcych. Bywali głównymi urzędnikami: namiestnik, tyle mniej więcej co wojewoda polski; *cywun*, tyle w powszechności co kasztelan albo starosta, i *dziecki*, wielki woźny książęcy, mający obowiązek dostawiać winowajców przed właściwe siedliska sprawiedliwości, która nad ludem spoczywała w ręku pana, nad bojarami w ręku namiestników i cywunów książęcych, a niekiedy zapewne także w zgromadzeniu gminnym pod gołym niebem, nazwanym kopa.

Zresztą urzędowali jeszcze w imieniu księcia liczni poborcy podatkowi, poborcy ceł kupieckich, włodarze gospodarscy itp. A urzędowanie wszystkich odpowiadało grozie pana, któremu służbę pełnili. Pan srożał, urzędnik zdzierał. Już sama drapieżność tych służebników książęcych, przedmiot głośnych do późna skarg, usprawiedliwiałaby poprzednią wzmiankę o Oriencie i puszczy. Ale nie w tym to drapiestwie urzędniczym główna pobudka do porównania. Uwidomi się ona jeszcze bardziej w obrazie niższych warstw społeczności litewskiej.

Przeciwny jej kraniec, niewolnicy i lud poddany, słuchał rozkazów p a n a . Wszelkim trybem ich życia była wola ich pana. W braku szeroko rozwiniętego rolnictwa, które by więziło poddanych w jednym głównym zawodzie pracy, zależało jedynie od woli pańskiej, czy oni służyli mu w lesie albo przy stadzie, w, oborze albo na rzece z siecią, przy uprawie ulubionego na Litwie lnu, z wrzecionem przy kądzieli lub też jako zbrojni „smerdowie” z łukiem i dzidą w ręku na wojnie. Toż do kierującej tym wszystkim woli pańskiej, do pana litewskiego, do pośredniczących między książęciem a poddaństwem bojarów Litwy pogańskiej przejdźmy teraz w opisie jej stanów i urządzeń społecznych. Niewolnik księcia swoją niemocą dysponowania majątkiem, swoją zawisłością w postanawianiu losu dzieci, swoim obowiązkiem służby wojennej i robocizny, skupiał on przecież w sobie wszystek cień jakiegokolwiek wolności w Litwie. Nawet wolny gdzie indziej „kmięć” liczył się tu w czambuł bojarstwa, które nie znając szlachectwa europejskiego obejmowało zarazem magnata i prostaka, byle nie poddanego cudzego.

Tyleż swobody i tyle życia w społeczeństwie litewskim, ile w bojarze. Do czego on jest pochopnym, to samemu księciu wskazywało główną drogę czynności. Jak on żyje, tak cała Litwa żyje. A nie wiemyż, czym żyła Litwa pogańska? Łupieżą – ciągłą, okoliczną, na wszystkie strony grasującą łupieżą. Toć nie dla czego innego, a jedynie dla ochrony się od tej plagi zapragnęła Małopolska przyswoić sobie Jagiełłę, dała mu swoją królowę, wiedzie go teraz z krzyżem do Litwy. Stuletnia wojna. Krzyżactwem żywiła nie ustającym podpałem ten ogień wieczny. Trwała ta wojna tak długo, ponieważ walczyła z nieukróconą dziczą łupieską: dzicz łupieska nie mogła wzajem złagodnieć, ponieważ wojna krzyżacka wrzała wciąż burzą nad nią. Zaczem rok w rok łupieskie zagony w ziemię krzyżackie, mazowieckie i małopolskie, do Halicza, Krymu i Moskwy.

Ile zaś razy słyszymy o tych napadach rozbójniczych, zawsze to nasz bojar wybiera się w główną sprawę swojego życia, i w tłumie swojej konnej czeladzi, kupą z tysiącem innych bojarów, pod wodzą tego lub owego księcia, uderza za granicę po łup po chleb, po pieniądze za okup, po lepszą odzież, po wszystko. Nie zatrudniony gospodarstwem rolniczym, nie zajęty sprawami publicznymi, próżen zabiegów i roztargnień oświaty towarzyskiej, nie ma bojar co robić w domu – rusza więc w pole łupieskie. Nastął rok głodny, a bojar nie ma żywić czym rodziny – podobnie rusza w pole. Zapowiedział książę wojnę z księciem sąsiednim, a bojara doszedł rozkaz służby wojennej – znowuż więc w pole. Rozniosła się wieść o wielkiej wyprawie wojennej w księstwie ościennym, a bojar poczuł ochotę zasłynąć po śmierci w pieśni pogrzebnej – jeszczeż w pole na łup!

Chcącemu nie brakło nigdy sposobności do czynu. Każdy rok znaczył się bojarowi pewną wyprawą, pewnym żniwem łupieskim. Jednym słowem – jak o tym znawcy starodawnej Litwy nader zrozumiale nam prawią, acz nawykłym do innego widoku rzeczy trudno nam zrozumieć całą rozciągłość tego krótkiego doniesienia – „aż do przyjęcia chrztu nie umiała Litwa orać, lecz żyła samym rozbojem”. Tylkoż ta powszechność łupieskiego życia narodu tłum-

czy niektóre jego rysy, niezrozumiałe skądinąd. Nie zadziwi np. niezmierna ilość zbrojnego ludu w każdej wyprawie wojennej lub łupieskiej, niezgodna na pozór z istotną szczupłością całego ludu, a łatwa do pojęcia, gdy zważym, iż to wszystek naród, iż to każdy bojar z całym tłumem swojej czeladzi, oczekując od dawna hasła na koń, pospieszał w pochód.

Obudzony ciągłymi najazdami postrach narodów okolicznych umianował Litwę przydomkiem „*Chorobra Litwa!* Dzika Litwa!” Przejście zaś tego zbójckiego trybu życia z czasem w obyczaj rozmiłowało w nim naród, otoczyło go blaskiem rycerskości i chwały. Nie znał nic zaszczytniejszego Litwin *chorobry*, jak zasłużyć sobie na pochwalny przy pogrzebie śpiew tyłusonów i lingusonów, sławiący jego bohaterstwo za życia. Wprawdzie rozporządzenia papieskie w swojej prostocie ewangelicznej zarzucały tym bardom pogrzebowym, iż chwałą nieboszczykom kradzieże i rozboje, niegodziwości, złodziejstwa i tym podobne zbrodnie i grzechy”, lecz Litwie pogańskiej jeszcze przez mnogie lata pachnęły te starodawne „niegodziwości”.

Jakoż nic nie sprawdza dowodniej smutnego stanu bojarstwa przed chrześcijaństwem, jak długie jeszcze trwania tej drapieżności pierwotnej po przyjętym już chrzcie. Za syna Jagiełłowego otrzymała Litwa pierwszy statut sądowy, wymierzony prawie wyłącznie przeciwko jednemu przewinieniu, karanemu tu zwykle śmiercią. I jakiż to występek wymagał tak głębokiego wykorzenia z obyczajów niedawnego pogaństwa? Oto właśnie owa bohaterska cnota tyłusonów i lingusonów, grasująca zarówno pomiędzy ludem, jak i bojarstwem. W niektórych wypadkach można było dwa razy oczyścić się przysięgą; trzecie oskarżenie wiodło nieodzownie na szubienicę. A ponieważ dla wielości przewinień trudno było pamiętać, który z bojarów ile razy ulegał już żałobie, przeto musiano utrzymywać osobne księgi zbójckie, tak zwane „czarne księgi”, kreskujące każdemu bojarowi liczbę oskarżeń.

Ale cóż pomogła ścisłość sprawiedliwości, kiedy sami sędziowie dopuszczali się grzechu! Sędzia łupieżył w majątku obudwóch prawujących się stron, naznaczał umyślnie jak najwyższą karę pieniężną, aby tym większą od niej brać dziesięcinę, a chrobry bojar łotrzykował śmiało do trzeciej kreski. Nazywano to „żyć z kozactwa”, biorąc ten wyraz pospołu z tyła innymi zwyczajami od mistrzów zbójckości, Tatarów.

Nazwa „Kozactwo”, „Kozak” oznaczała pierwotnie jedną z pięciu hord Tatarstwa między Czarnomorzem a Wołgą, i to właśnie horde najniesformiejszą, najgodniejszą pochwalnej pieśni tyłusonów i lingusonów. Tyle wytkniętych powyżej cech powinowactwa pogaństwa litewskiego z Ordą, coraz bliższe z nią związki, wreszcie dawne osiedlanie się Tatarów pomiędzy Litwą, przywiodły łotrzykujących nowochrześciców litewskich do przybrania zwyczajów i miana walecznej ordy „kozackiej”. Kozaczył więc nasz bojar długo jeszcze po chrzcie przyjęciu, kozaczył tym zawzięciej za dni pogaństwa i lubo nie mnogi liczbą, rzucał postrach na sąsiednie narody, gdyż rzadki gość w własnym domu ubogim, łupieżył bez ustanku na cudzej grzędzie.

Tymczasem w domu gospodarzyła mu żona. Jeżeli miał ich kilka, wiodła rej jedna, starsza. Gdy mąż za zarobkiem cwałował po cudzych stronach, ona zastępowała go nad czeladzią, przy jakim takim gospodarstwie w rodzinie. Gdy mąż wrócił wypocząć w domu, aby niebawem w nową ruszyć wyprawę, nie zdjęła go ochota zakrzętać się gospodarstwem. I w obecności męża ciężyło ono głównie na żonie. Ona doglądała wciąż bydła, żywiła męża pieczoną rzepą swego ogrodu, częstowała go „czarnym mlekiem” albo miodem swojej przyprawy, odziewała go w płótno swego wyrobu i farbiarstwa.

Tym początkowa zastępczyni i sługa męża zamieniła się na koniec w właściwą panią domu. Niewolnica w pełnym znaczeniu słowa, kupowana przez męża od rodziców albo na targu, z przymusu sługi pracująca około domu, doszła żona litewska drogą skrzętnego służebnictwa do większej niż gdziekolwiek indziej wolności i samowładzy. W Polsce obyczaj oświeceńszy, oszczędzając niewieście znaczną część cięższej pracy domowej, nie dając jej w razie potrzeby trudzić się przed trybunały, utrzymywał ją tym samym w zupełnej bezwładności, w ciągłej

potrzebie opieki. W Litwie sługa mężowska, własność swojego pana, jak kupiona, tak też wzajem sprzedana z dziećmi za niego, jeśli nie miał czym zapłacić karę sądową, używała żona wszelkiej swobody.

Prawie całkiem z męska ubrana, do najtłumniejszych zborów męskich przyzwyczajona, nie wzdragała się Litwinka żadnego obowiązku męskiego, a będąc jedynaczką dziedziczką starościńską dzierżyła nawet pograniczne zamki warowne. W takim razie, wolna od wszelkiego hamulca, rozpasywała się można pani litewska niekiedy w zupełną nieobyczajność. Na wzór wielożeństwa męskiego, pozwalały sobie najzuchwalsze poganki dość często kilku mężów. Wraz z owym kozactwem małżonków przetrwała i samowładność żon litewskich w czasy pochrześcijańskie. Owszem, kiedy mężowie od dawna zapomnieli już o kozactwie, małżonki rządziły się wciąż jeszcze po staremu. Jak niegdyś Litwini swoim zbójctwem pogańskim, tak później Litwinki złym przykładem swoich obyczajów niechrześcijańskich niepokoily wiele małżonków polskich.

Czymże jednak bawił się bojar pogański będąc jakiś czas w domu? Ucztował z kuflem w ręku. W tym jednym słowie skupia się cała druga połowa pogańskiego życia bojarstwa. Jedna połowa zbierała łupy, druga trwonila je w pijaństwie. Tak właśnie rozliczają sumę pogańskiego żywota Litwy dokładniej .obeznani z nią społecznicy Jagiellończyków. „Aż do południa – prawi jeden z nich – lud litewski jest trzeźwy; dalszą część dnia trawi na biesiadach i przy pucharach.” „Panowie litewscy – oznajmia drugi – biesiadują od południa aż do północy, pchając i lejąc w siebie bez przestanku i miary.”

Mowa tu o obyczajach nieco już okrzyszanych. Za czasów pogaństwa, gdy podjazd łupieski stanowił główną sprawę bojarstwa, trzeźwym jego porankiem były wyprawy w cudze granice; spoczynek w domu pijanym popołudniem. A mając „czarne mleko” kobyle, czyli upajający *kumus* tatarski, mając wyborne miody, mając różne rodzaje piwa nie znało pijaństwo pogańskie niedostatku napojów. Przyprawiał je zaś stary Litwin przysmakiem pewnych wyobrażeń pogańskich, przypominającym niemało tatarszczyznę. Jak plemiennik Dżengischanów spólnie spełnioną czarę poczytywał za najściślejszy węzeł przyjaźni, tak i bojar pogański potrzebując towarzyszków do uraczenia się, a przeto rad gościom jak najliczniejszym, bratał się z nimi obowiązkowym przypitkiem, za który należało „niezawodną” wywzajemnić się ręką.

Zaczem w ścisłej zgodzie braterskiej zasiadłszy z gośćmi o południu za stołem przypijał gospodarz do każdego z osobna, zachęcając do picia prośbami, naleganiem, a nawet obietnicą podarków. Jakoż odpowiadał każdy, jak mógł, a „najwaleczniejsi” otrzymywali rzeczywiście rozmaite podarki. Wyrzucenie z siebie wypitych czar witano jako szczęśliwą możliwość dolania nowych. I matrony pogańskie z dziewicami uczestniczyły w biesiedzie. Trwała ona aż do północy, zwyczajnej pory ułożenia się gości pod stołem. Nazajutrz też sama uroczystość. Po tak namiętnym pijaństwie poznają niemieccy dziejopisarze swoich pobratymców w litewsko-pruskim pogaństwie.

Gdy to pogaństwo połączyło się z Polska, zaleciały Polaków z Litwy pierwsze dymy tej pogańskiej „niegodziwości”. Gdyż jak wszystkie starowieczne narowy, tak i opilstwo nie zgąsło za pierwszym pokropieniem wodą święconą. Obecnie za Jagiełły upajała się Litwa „kumusem” i miodem; za wnuków Jagiełłowych, kiedy Polacy nie obeznali się jeszcze nawzajem z różnymi pokusami swych pochrześników litewskich, stał się kraj nadniemeński najwczesniejszą ojczyzną gorzelń, tego już w wieku XVI „powszechnego siół litewskich przemysłu”.

Dostąpiło zaś biesiadnictwo pogańskie tym większej powagi i wziętości, iż przedarłszy się nawet w dziedzinę nabożeństwa, jak rzeka od barwy gruntu, po którym płynie, zafarbowało się pewną barwą religijności. Wszystkie obrzędy, wszystkie święta pogańskie obchodziły się wielkimi biesiadami. Kto więcej dał jeść i pić, ten bywał pobożniejszym. Dlatego to postrzegano, że tylko ci, którzy posiadali najwięcej środków do wyprawiania uczt, tj. bogacze, okazywali się najbardziej rozmiłowanymi w obrzędach bałwochwalstwa, lud zaś ubogi, nie mający co jeść i pić na cześć swoich bogów, nie dbał o nich.

Wszakże i najuboższy miewał chwilę nieco mniej doskwierającego niedostatku. Była to chwila zbiorów jesiennych, kiedy jaki taki wydatek roli, owoce ogrodu i pasieki, młody przyrost obory zachęcały do uczty kilkudniowej. Natenczas co tylko żyje, bogactwo i ubóstwo, świętowało, biesiadowało. Wzmiankowana powyżej skłonność do ofiar i obrzędów guślarzskich przeplatała ucztę aktami nabożeństwa. Nawet umarłych zapraszano do stołów. Życie i śmierć, zmysłowość ludzka i cześć bogów nadziemskich, wszystko mieszało się w jednym powszechnym szale biesiadnym. Rozniósł on najgłośniejszą sławę bałwochwalstwa Prusaków i Litwinów. Nie obejść się nam bez bliższego o tym wspomnienia.

Oprócz powszednich ofiar, oprócz niektórych świąt poszczególnych, jak np. święto pastery Sekmine, święto kozła itp., liczą pogaństwu litewskiemu sześć do siedmiu głównych, powszechnych świąt. Wszystkie, jak powiedziano, łączyły się z biesiadami. Niektóre odprawiano z mniejszą, inne z większą okazałością. Polegając w większej lub mniejszej obfitości jadła i trunków zależała solenność święta głównie od pory, w którą przypadała ta albo owa uroczystość. W głodny przednówek mieli bogowie tylko od zamożnych chwałę biesiadną, cześć mniej tłumną i głośniejszą; główne święta odbywały się w dostatniejszej jesieni.

Do uroczystości ostatnich należał Nowy Rok, obchodzony paleniem roku dawnego w postaci starej kłody, a powitaniem nowego w obrazie małej łątki drewnianej. Później, w „gołębim” miesiącu kwietniu, następowała uroczystość bóstwa wiosennego Pergrubis, tak zwane „spotykanie wiosny”, przy czym po modlitwie wurszajta o urodzaj, po wielu różnych bogom ofiarach, odbywała się w każdej okolicy wielka uczta składkowa, spoina kilku osadom. Około św. Jana, w czasie znanym całemu pogańskiemu światu Sobótek, odprawiało pogaństwo litewskie podobnie „święto Rosy”, paląc ogień po wzgórzach, śpiewając i płasząc dokoła stosów. Z końcem września, po szczęśliwie zebranych plonach jesiennych, rozpoczynał się kilkutygodniowy szereg tłumnych uroczystości, poświęconych z kolei bóstwu Ziemiennikowi, ceniom zmarłych, bogowi Perkunowi, wreszcie bóstwu Inu Wajżgantowi.

Ponieważ teraz prawie bez przerwy szły po sobie „wielkie święto” Ziemiennikowe między wrześniem a październikiem, nieco późniejsze święto zaduszne Chauturej, czyli Dziady, dalej, listopadowe „długie święto” Perkuna, czyli ligi, w trzy dni po ligach lenne święto Wajżgantanta, przeto zdawał się cudzoziemcom ten cały przeciąg godowy jedyną uroczystością jesienną, pozbiorową, obchodzoną rozmaitym sposobem, a przed wszystkim, różnymi „pogańskimi biesiadami, czyli k w a s a m i”. Wtedy to rade było ciało swemu ucztolubnemu pogaństwu. Wtedy, według słów narzekania nad zmarłym, dziwiono się, gdy ktoś umarł, „mając jeść tyle i pić tyle”. Wtedy osobliwie sprawdzała się niepoehlebna przypowieść, dochodząca nas z ust najdawniejszych apostołów prusko-litewskiego pogaństwa: „Prusaków bogiem brzuch!”

Co powyższa wzmianka o uctwowaniu domowym przedstawiła nam w małej próbie, w szczupłym gronie znajomych, w obrębie czterech ścian, to teraz przez kilka tygodni powtarzało się na wielką stopę, w tłumie całego ludu, pod otwartym sklepieniem niebios, po szerokich przestrzeniach lasów. Nieraz, chcąc nie chcąc, zbytkowano z potrzeby. Gdy bowiem pod zimę zabrakło paszy dla bydła, musiał każdy gospodarz rzezać zbyteczną przewyżkę swojej obory, która inaczej mogła wyzdechać z głodu. Tak i pozór nabożeństwa, i przygody czasowe dopisywały biesiadom. Zaczem bądź to w „wielkie”, bądź w „długie” święto zbierał się lud sąsiedni w wielkie gromady, niekiedy pod strzechą szop przestronnych, nierzadko także w lasach. Każdy z gości prowadził z sobą pieczywo, napoje, drób, bydłeta domowe. Kadzie piwa i miodu, kupy gęsi, kur, cieląt i jagniąt, stopy chlebów i placków piętrzyły się dokoła stołów.

W zagajenie uroczystości kładziono przed kapłanem kilka bydła ofierynych, a ten odprawiał modły nad nimi i zabijał je laską. Za jego przykładem rzucała się cała rzesza na drób i bydło i podobnie bez krwi przelewu zabijała je kijami. Po czym piekły się i gotowały ofiary, lud śpiewał tymczasem i stroił płasy, a w końcu zasiadali wszyscy do uczty, odnawiającej się

przez dni kilka. Najsolenniejsze bywały uczty zaduszne, tak zwane Chauturej, czyli Dziady. Te obchodzono niezmiennie w lasach, na szerokich tamże cmentarzach, czyli okopiskach pogańskich. Każda bowiem osada miała w mroku leśnym swój cmentarz, złożony z tylu mogił i nadmogilnych ognisk do palenia ciał zmarłych, ile było rodzin w osadzie.

W ten sposób pomiędzy osadami żyjących rozpościerały się w głębi lasów osobne krainy zmarłych. I owóz w takich borach cmentarnych zgromadzała się w święto Dziadów ludność całej przyległej okolicy. Przybywały znowuż obfite zapasy ofiar, żywności, przyodziewku dla zmarłych. Rozpoczynała się uroczystość wypoczynkiem i wielką ucztą składkową. Po kilku dniach ciągłego biesiadowania przystępowano do wspólnej obiaty Perkunowi i do tak zwanego „karmienia zmarłych”.

Każda osada udawała się na swój cmentarz, każda rodzina do swej mogiły. Tam w zimne ognisko wlewano krwi ofiernej, na plecionych z łubu siedzeniach stawiano misy z jadem, zawieszano na gałęziach wkoło mogiły nową odzież dla zmarłych. W nocy zwierż leśny, ptactwo drapieżne albo też chrześcijańscy rębacze drzew masztowych wypróżniali misy, zdejmowali odzienie. Cóż za radość nazajutrz, gdy pogaństwo za powrotem znalazło strawę zjedzoną, odzież znikłą z gałęzi! A gdy zmarli nie pogardzili przekąską, godziło się i żyjącym powtórzyć ucztę. Nowe tedy gody, nowe biesiady! Najłagodniejsi, owszem, wcale stronni sędziowie swoich przodków pogańskich muszą przyznać, że „dawni Litwini prowadzili rozrzućne życie, trwonili na biesiady ofierne pracę całego roku”.

Osobliwie te zaduszne bankiety pustoszyły fortunę. W ogólności cześć zmarłych stanowiła znaczną część wydatków i zachodów w życiu pogaństwa litewskiego. Zejście każdego człowieka rzucało za sobą cień długich ceremonij żałobnych. Wdowie nakazywał obyczaj przez dni 30 płakać na grobie męża, mężowi przez dni 8 na grobie żony. Prócz tego w trzeci, szósty i dziewiąty dzień po spaleniu lub zagrzebaniu ciała ponawiano obchód pogrzebny, połączony z tłumem gości i ucztą. W dzień czterdziesty odbywały się uroczystości szczególniejszego widoku. Kilkadziesiąt osób godowało przez godzin kilka, zachowując najsurowsze milczenie. Nie godziło się przy tej niemej biesiadzie ani wymówić słowa, ani brzęknąć naczyniem, ani dać szczeknąć psu. Każde bowiem przerwanie ciszy grobowej odstraszało cień nieboszczyka, a dla niego to głównie miała zastawiona być uczta.

Podobnaż cisza panowała we wszystkich przybytkach bogów litewskich, dokoła wszystkich świątyń. Według najprawdopodobniejszego wykładu, nazwisko głównej stolicy bałwochwalstwa Prusaków i Litwinów, Romowe, nie znaczyło właśnie nic innego, jak „miejsce ciszy wieczystej”. Każdej nadto uroczystości pogańskiej, z wyjątkiem jednego święta Rosy, towarzyszyły również tajemnicze obrzędy na cześć zmarłych.

To nadawało całemu nabożeństwu, całemu życiu Litwy pewną barwę posępną. Najweselejszej uczcie pogańskiej przypatrywali się zmarli. Śmierć i życie podawały sobie rękę przyjaźną. Jak w szarym brzasku wschodu światło miesza się jeszcze z ciemnością, dzień z nocą, jak w ogólności każdy pierwiastkowy stopień wszelkiego życia w naturze zawiera w sobie właściwie dwa różne, lecz jeszcze zawikłane z sobą stopnie, które dopiero z czasem dojrzeją i wyosobnia się, tak w pierwiastkowym stanie społeczeńskiego bytu pogaństwa jakoby nie wyróżniło się jeszcze należycie istnienie od nieistnienia, życie od śmierci, społeczeństwo żyjące od społeczeństwa zmarłych. Stąd co pewnemu wyższemu stopniowi jestestwa i oświaty bywa powodem trwogi wewnętrznej – obecność trupa, pobliże śmierci, to w Litwie bałwochwalczej nie budziło żadnego wstrętu. Starodawne pogaństwo – mówi jeden z bliższych znawców społeczności litewskiej – nie miało żadnej obawy śmierci.

Zaiste nie obawiało się śmierci, bo życie nie miało dla niego żadnej wartości. Jedyne jego przyjemność, kilkakrotna uciecha obżarstwa po długim głodzie, nad którą nawet zmarłym nie miano nic bardziej błogiego do życzenia w niebiosach, skąpo ostatecznie przymnażała mu ceny. Zwłaszcza gdy jak na niebie litewskim dwa miesiące słońca letniego okupywały się

dziesięciomiesięczną zimą, tak na ziemi litewskiej kilka biesiad zbytku przepłacali ludzie nieskończenie dłuższym przeciągiem niedostatku.

Ze względu na ten ostatni była Litwa pogańska prawdziwym krajem ubóstwa. W księżęcej sferze narodu świeciły pozory bogactwa i przepychu, ogół ludności żył w nędzy. Pustynna natura ziemi, rządy niewoli, prostactwo i marnotrawne usposobienie narodu utrzymywały go w stanie pierwiastkowej nagości. Wszelkie jego wyobrażenia o bogactwie (świadkiem brzuchate bóstwo bogactw, Pilwite) skupiały się w pojęciu możności najedzenia się i napicia. Toż szydzono długo z dawnego ubóstwa Litwy podaniem, iż początkowi jej zwierzchnicy nie mieli do wzięcia od niej innego haraczu nad łub i łyka, godne owej rzepy pieczonej, którą syłali sobie darem magnaci.

Przy łykach zaś i rzepie nie pytaj o srebro i o złoto. Nawet żelazo liczyło się do kosztowności nie znanych. Nie widział go drewniany pług litewski, nie widziały go koła maży skrzypiącej, nie widziały ani kopyta, ani „miękkie” wędzidła końskie, owszem, nie znały go czasem nawet ręce łupieskich wojowników litewskich, uzbrojone niekiedy w same pałki i kije, jakimi (według niezupełnie bajecznego podania) zawojowano pod te właśnie czasy Zawichost. Takiemu ubóstwu cóż bliższego nad głód? Srożał on dość zwyczajnie pomiędzy ludem litewskim, zniewalał go do zaprzędawania się w wieczną niewolę, zmuszał do uciekania się pod skrzydła drapieżnego sępa Krzyżactwa, bogatego zawsze w zapasy zboża. „Błogo ci, bracie! – śpiewano nad umarłym – żeś przeniósł się do kraju, gdzie nie będzie panował Niemiec nad tobą!” A przecież, gdy głód przycisnął, zaludniały się pograniczne ziemie krzyżackie licznymi osadami wychodźców z Litwy.

Przy takim nacisku jarzma ziemskiego, przy tak wielu plagach, a tak niewielu wdziękach żywota czegóż by Litwin pogański miał obawiać się śmierci? Jakoż nie tylko nie lękano się jej, lecz owszem przyspieszano ją sobie i innym. Według starodawnego zakonu pogaństwa, ktokolwiek w ofiarę bogom chciał się żywcem spalić na stosie, ten miłego niebu dopełniał czynu. W duchu tej obojętności o życie topili nieraz rodzice nowo narodzony płód żeński, tym mniej usposobiony do pasowania się z życiem, im bezbronnejszy płcią swoją. Toż samo spotykało dzieci chorowite, kaleki, zbyteczny ciężar społeczeństwa, nie mogocego w stanie zdrowym podołać życiu.

Nie inny los czekał starców zgrzybiałych, matki schorzałe, którym własni synowie skracali życie, ponieważ „nędza ludzka przykrą jest bogom”, a dnie bezwładnej starości tylko przymnażają nędzy powszechnej. Gdy brat lub krewny zapadł w ciężką chorobę, a zapytany o radę kapłan odpowiedział rodzinie, że wróżba przy ognisku ofiernym zapowiada mu długie cierpienie, natenczas doduszano chorego albo palono go na stosie. Niewolnik poczytywał sobie za los powszedni spłonąć tam razem ze swoim panem. Winowajca zarzucał sobie bez żalu stryczek śmiertelny. „Najłagodniejszy”, „najdobrotliwszy” z narodów ziemi przyswoił sobie obyczaje dziczy zwierzęcej.

Życie ludzkie, jeszcze w późniejszych czasach „po wszystkich wsiach i wioskach marnotrawione szubienicą” w tych stronach, pozbyło wszelkiej ceny w pogaństwie. Smutek wisiał nad całym krajem pogańskim... Gdyby dawnym czasom pogaństwa, czasom mniemanego patriarchalizmu świeciła w istocie tak sielankowa niewinność i szczęśliwość, jak o tym niektórzy marzą i prawią, na cóż by im chrześcijaństwa?...

A w obecnej chwili nadciągania Jagiełły przedstawiała Litwa widok tym posepniejszy, ile że pora zimowa okryła ją powszechnym całunem zaumarcia. W zamieci śnieżnej, po zamrożonych bagniskach nie wiodła żadna droga krajem bezludnym. Kierowano się wtedy jedynie gwiazdami, jak na morzu. Nader rzadko spotykałeś w drodze osadę ludzką; zaledwie dokoła księżęcych tu ówdzie stolic tuliły się drewniane budynki miastka lichego.

Głównym widokiem były lasy i lasy, święte i pospolite, pełne zwierza cennego, rysiów, łosiów, żubrów i koni dzikich. Pobliza gajów świętych odznaczały się rojami ułaskawionego ptactwa leśnego, które bezpieczne tam od ręki ludzkiej, znęcone strawą ofiar cmentarnych

śmiele okrażało przechodnia. Gdzieniedzie kryły się w mroku leśnym pogasłe ogniska cmentarzysk pogańskich rozpodzielone według ilości rodzin, istne osady zmarłych. Bardzo wiele osad żyjących nosiło cechę religijną, służąc za ulubione siedlisko czci tego albo owego bóstwa. Nie z dala od stolicy leżała wieś Gudelki, nazwana tak od nimf rzecznych; w innej okolicy inna, poświęcona Perkunowi; w trzeciej trzecia, własność Poklusa albo Kurka. Niekiedy na wzgórzach rozpościerały się pola święte. Po całym kraju wznosiły się mogiły starożytne. Dopiero z „krzyżem łąckim” miało mu przybyć nowe, weselsze życie.

Lud spoczywał właśnie po uroczystościach jesiennych – ostatnich uroczystościach pogańskich. Przejazd dworu apostolskiego nie wywoływał w nim żadnej niechęci. Owszem, wystawność i okazałość, z jaką każda podobna wyprawa apostolska występowała zwyczajnie w kraju pogańskim, budziły ciekawość i dziecienny podziw w jego mieszkańcach, pociągały ku sobie ludność ubogą. Dlatego jednomyślnie z apostołem Słowian Pomorskich, św. Ottonem, starał się każdy rozkrzewiacz Ewangelii przybyć pomiędzy pogan, „bogaty w pieniądź złoty i srebrny, w postawy sukna i złotogłowia, w kosztowności wszelkiego rodzaju, nawet w zapasy zboża, wiezione za nim czasami na wozach pięćdziesięciu.”

Temuż przypisać należy niezwykłą okazałość, która uświetniała terazniejszą podróż Jagiełły w ziemię litewską. Jakiśmy widzieli przy wyjeździe, otaczała go wspaniała rzesza biskupów, książąt litewskich, mazowieckich i szląskich – wojewodów i kasztelanów polskich. Mnogie sanie ładowne wiozły za dworem obfitość towarów polskich, mianowicie sukien wełnianych, tego powszedniego wówczas dostatku ziemi polskiej. Symbol odzyskanej chrztem niewinności, a przeto zwyczajny niegdyś podarek nowochrześciców, bywały białe szaty wełniane wielką pomocą przy każdej próbie nawracania pogaństwa w Europie. Szły one więc i za Jagiełłą w znacznej ilości. Jakoż skłoniwszy ku sobie całą Litwę płócienną, przyczynił się ten podarek sakramentalny niemało do rozstrzygnięcia losów bałwochwalstwa litewskiego w myśl dawnej przepowiedni krajowej.

Gdyż oprócz wielu innych wpływów przeciwnych podkopywała jeszcze pogaństwo Litwy wróżba o niechybnym wkrótce upadku znicza. Przed wielą laty, w czasie budowania głównej świątyni pogańskiej w Wilnie, udał się jej książęcy założyciel do najślawniejszej wyroczni na Żmudzi z zapytaniem, jak długo będzie stała świątynia. Wyrocznia odpowiedziała: Jak długo pogaństwa w Litwie. A w domiar otrzymał książę od wyroczni dar pewnej liczby cegieł o znakach mistycznych z tym poleceniem, aby co roku wmurowywano po jednej cegle w ścianę świątyni. Przez lat sto dwadzieścia i jeden działo się zadość zleceniu. Na obecny rok 1387 pozostała cegła ostatnia, a znakiem jej był krzyż podwójny. Zaczem wypadło jedynie okazać się Jagiełłę z swoim chrześcijańskim orszakiem w Wilnie, a znikąd nie groził opór dziełu zbawienia.

Początek roku 1387 sprowadził całą wyprawę apostolską do Wilna. Widok stolicy litewskiej odpowiadał poniekąd składowi całego państwa. Jak w państwie litewskim uderzała przed wszystkim różnica między polerownym i bogatym dworem książęcym a resztą ubogiego i dzikiego narodu, tak i stołeczny gród Litwy – osiadły na południowym wybrzeżu Wilii między tą rzeką a wpadającą tu do niej z prawa rzeczułką Wilną – składał się z dwóch wcale różnych połowic. Jedną połową było Wilno małe, ale warowne i zamożnie zabudowane, przez pogan zaludnione, Wilno książęce; drugą miasto rozległe, ale lichej budowy, po największej części przez cudzoziemców zamieszkane, Wilno chrześcijańskie.

Tamto, książęce, w samo kolano Willi i Wilny wsunione, tworzyło jedną wielką warownię, złożoną z dwóch różnych zamków, Wyższego na Turzej Górze i Niższego, czyli Krzywego, u jej podnóża, a oblaną dokoła obudwoma rzekami i połączonym z nimi przekopem. Tu znajdowały się mieszkania książęce i gmachy dworskie, wielki posąg Perkuna, wieża, z której kapłani pogańscy przemawiali do ludu, wreszcie na tak zwanej „świętej łące” Szwintaroga naczelną świątynią pogańską, gdzie płonął wieczysty ogień Znicz, główna świętość narodu. Po tejże zamkowej stronie, wzdłuż Willi, zieleniał ku zachodowi od zamku święty gaj na Łu-

kiszkach, wznosiła się ku wschodowi na Antokolu inna świątynia pogańska, leżały porozrzucane chaty pogańskie, jeszcze w dwieście lat później podobne tu do dawnej numy sielskiej.

W kierunku południowym, w górę od nadrzecznej połowy miasta, na nierównie szerszej przestrzeni rozlegało się raczej kilka wiosek niż jedno wielkie miasto, kupiły się gromady ubogich, drewnianych domków, bez śladu ulic, przedmieść lub murów miejskich; kwitnęły pomiędzy nimi przestronne łąki, pola, ogrody. Była to chrześcijańska połowa Wilna, zaludniona przez cudzoziemców, w szczególności Niemców i Ruś, pomiędzy którymi liczyło się także wielu niechrześcijan, bądź to Tatarów, bądź Żydów. Według różnicy wyznania dzieliło się to chrześcijańskie miasto znowuż w dwie odrębne dzielnice, ruską i łaćwińską, czyli niemiecką.

Dzielnica ruska zajmowała wschodnią stronę, wzdłuż Wilny, naprzeciw Antokolu, na trakcie do Połocka i Moskwy, a miała dla swoich mieszkańców cerkiew i jeden monaster ruski. W zachodniej dzielnicy łaćwińskiej, równoległej Łukiszkom, na drodze ku zachodniej połowie świata wznosiły się dwie świątynie łaćwińskie, kościół Św. Mikołaja i klasztor franciszkański. Z dwóch innych świątyń, z domu zakonu kaznodziejskiego i z kościoła Św. Krzyża, tuż ku pogańskiemu miastu zbliżonych, i może z tegoż właśnie powodu zburzonych za Olgierda, sterczały jeno zwaliska. Ze względu na niemiecką narodowość większej części tutejszych wyznawców obrządku łaćwińskiego zwano cały obrządek rzymski pospolicie wiarą niemiecką.

W pośrodku tych różnoplemiennych zagród i domostw chrześcijańskiego Wilna rozpościerał się wielki dworzec kupiecki, niejako trzeci zamek wileński. Zastępując miastu sukienice krakowskie, składał się on z mnóstwa kramów handlowych na dość obszernym placu, otoczonym dokoła warownym ostrokołem. Koncentrował się tu wszystek handel litewski, prowadzony prawie wyłącznie przez Niemców z Rzeszy, zwłaszcza z Wrocławia, z Inflant i Prus, a podający tu towary znad Odry i Bałtyku krainom Rusi wschodniej i południowej, jako też nawzajem drogocenna kupię stron południa i wschodu okolicom północnym i zachodnim. Stykały się w ten sposób na placu „domu kramnego” w Wilnie wyroby i płody najodleglejszych krajów, utrzymując dość żywy w tej stronie ruch handlowy. Ponieważ książęta niepoślednie z niego ciągnęli zyski, więc należało zachęcać napływ cudzoziemczyzny kupieckiej.

W ogólności jak w Polsce, tak jeszcze bardziej w Litwie bywał cudzoziemiec bardzo pożądanym gościem dla książąt. Wobec nieudolnej Litwy pogańskiej, w której pobratymcach łotewskich widziano do późna „półdzikich ludzi”, każdy przybysz niemiecki, a nawet ruski i polski celował przemysłem i zręcznością, odgrywał rolę cywilizatora. Znaczna przeto część spraw publicznych działała się w Litwie Jagiellowej przez cudzoziemców. Niemieccy zbiegowie z Prus wychowywali Gedyminowiców, Rusini słynęli w wojsku litewskim jako najbłęjsi mistrzowie artylerii ówczesnej, rygański przychodzień Hanko rządził Wilnem, był niejako ministrem przy dworze wielkksiążęcym.

Potrzeba podobnych pomocników nakazywała książętom litewskim zwabiać wszelką cudzoziemczyznę, pozwalać jej własną religię, nawet budować dla niej kościoły chrześcijańskie. Dzięki takiemu zbiegowi okoliczności przyrosła Wilnu pogańskiemu cała druga połowa chrześcijańska i stało się, że gdy obecnie Jagiełło wjechał z swoim orszakiem apostolskim na „dolny zamek”, tylko „jedna połowa Wilna” była do odrodzenia chrztem świętym.

Przystąpiono tedy do aktu nawrócenia, którym ostatni ponocny kaganek bałwochwalstwa w Europie zgasł w powszechnym blasku jednego wielkiego słońca. Przed wszystkim obchodzi nas wiadomość, jakim też duchem, szczerą li wiarą, czy tylko pobudką polityki ożywiony był przy tym akcie główny apostoł Litwy, Jagiełło. Wszystkie rysy zwyczajów, charakteru i czynów syna Olgierdowego odpowiadają na to wiadomym już poniekąd upewnieniem o jego zupełnej w tym wypadku szczerości.

Jagiłło wierzył głęboko w Boga chrześcijańskiego. Szcątek Krzyża Pańskiego w polskim klasztorze na Łysej Górze służył mu za przedmiot najkorniejszego po wszystkie dni uwielbienia. Przed ważniejszymi wypadkami swoich rządów późniejszych zwykł on być pielgrzy-

mować pieszo na górę, gdzie się przechowywała ta świętość chrześcijańska. W chwili ważenia się losów w szturmie bitwy z nieprzyjacielem widziano go zwyczajnie na kolanach przed krucyfiksem chrześcijańskim. W każdej podróży towarzyszył mu ołtarz chrześcijański, owszem, wszystek nieraz materiał drewniany do złożenia naprędce całkowitej świątyni. Od duchowieństwa chrześcijańskiego znosił król cierpliwie najboleśniejże zarzuty.

Podobnież niezliczone inne szczegóły żywota codziennego, częste posty, spowiedzi, wielkotygodniowe obrzędy itp. okazują Jagiełłę całą duszą wierzącym. Jakoż jedynie tą głęboką, niewinną wiarą okupywał on owo szczęście i błogosławieństwo niebios, które mu tak jasno świeciło, wynagradzał on tysiące przywar swoich. Prostack, porywczy, zazdrosny, nie zważający na nic w obudzonym raz gniewie lub podejrzeniu, dawał on jak dziecko łatwowieerne powodować się lada podszeptem, lecz oraz jak mąż wielki kładł całą duszę w to, co uznał za dobre i zbawienne. Z całą też gorliwością głębokiej wiary jał się teraz Jagiełło nawrócenia ojczyzny swojej.

Miano użyć ku temu wszelkich środków namowy, zachęty i zniewolenia. Odbył się wielki zjazd naradczy pod koniec postu. Oprócz przybyłych z Jagiełłą prałatów polskich, książąt litewskich i polskich, mnogich urzędników koronnych znajdowali się na nim jeszcze reszta książąt litewskich, mianowicie dawniej do Litwy wyprawieni Skirgieł książę na Trokach, Witołd książę grodzieński, Korybut nowogrodzki, tudzież zawezwani do Wilna najprzedniejsi bojarowie litewscy. Po długich obradach stanęły bardzo ważne uchwały, których skutkiem terażniejsze apostołstwo Jagiełły wezbrało szeroko poza granicę nawrócenia samychże pogan.

Objęto, owszem, terażniejszą pracą apostołską wszystek dawniejszy zasiew chrześcijaństwa na Litwie w obrządku ruskim, czyli raczej w pewnej jego odrośli, odrośli dzikiej, poczytywanej przez chrześcijan zachodnich za nader szpetne kacerstwo, bliskie zupełnemu pogaństwu, a tym samym wymagające nowego chrztu. Był to tak zwany manicheizm, herezja orientalna przyjmująca dwojaką, tj. złą i dobrą naturę bóstwa, a z dawien dawna rozszerzona po wschodnio-południowych stronach Europy. Zagnieździwszy się mianowicie w Bośni i w ziemiach Rusi wschodniej wniknęło to kacerstwo z Rusinami wcześniej w Litwę pogańską.

„Tacy sektarze manichejscy – dowiadujemy się od wielce wiarogodnego świadka onych czasów, biskupa kameraceńskiego Piotra – przemieszkując od wielu lat pomiędzy pogany litewskimi nie tylko większej niż w własnym kraju doznawali swobody, lecz nadto w mnogich domach panów litewskich mieli naśladowców swej wiary; skąd poszło, że mało w Litwie było kościołów szczepu wschodniego, które by nie były zarażone ich błędami. Owszem, Ignąc gęsto do tego chrześcijaństwa, utworzyli bojarowie litewscy jakoby nową sektę, nazwaną manicheizmem litewskim. Następnie ci błędni chrześcijanie przystosowywali swoje chrześcijaństwo coraz bardziej do poganizmu, tak iż trudno powiedzieć, czy pogaństwo litewskie pomieszało się z chrześcijaństwem, czy też chrześcijaństwo spłynęło się z pogaństwem. Ciemnota duchownych, ich oddzielenie się z Kościołem swoim od społeczeństwa, upadek władzy zwierzchniej na Rusi, dopieroż prostactwo obyczajów do tyła zeszpeciły i przyćmiły tę sektę chrześcijaństwa wschodniego, że niektórzy poczytywali jej wyznawców raczej za pogan niż za chrześcijan. Bywali pomiędzy tą Litwą kacerską księża ruscy – prawi zawsze tenże sam świadek spółczesny – których żaden biskup nie święcił na kapłaństwo, ale oni sami jakby prawem dziedzictwa, synowie po ojcach, następowali po sobie na tę godność. Zbiegali też nieraz czerńce z Rusi do Litwy, którzy pozeniwszy się z córkami tamtych kapłanów przyjmowali obrządek manichejski i pełnili służbę Bożą w kościołach. Lud wiejski, mieszkający w pobliżu takich kościołów, odwiedzał je czasami; największa zaś część trzymała się starego pogaństwa; inni jednej i drugiej wierze służyli”.

Otóż wobec tak potwornego chrześcijaństwa nie mogło apostołstwo łacińsko-polskie pozostać obojętnym. Postanowili apostołowie krakowscy uważać owo kacerskie chrześcijaństwo za żadne i wyznawców jego nowym oczyszczać chrztem. Zachowano jednak ścisłą granicę w

używaniu tego chrztu powtórnego. Lubo trudno było nieraz oznaczyć, azali który z chrześcijan ruskich wyznawał wiarę swoją w czystym obrządku wschodnim albo też w wyznaniu manichejskim, a tym samym był li tylko szymatykiem lub wcale wątpliwym chrześcijaninem, kacerzem, na pół poganem, ograniczono przecież wznawianie chrztu do samych rodowitych Litwinów.

Rusini w państwie litewskim mieli pozostać przy swoim greckim albo kacerskim chrześcijaństwie, a względem Litwy sformułowano w imieniu Jagiełły rozkaz przyjęcia chrześcijaństwa w następujący sposób: „Postanowiliśmy [...] wszystkich rodowitych Litwinów płci obojej, wszelkiego stanu, powołania lub stopnia, w państwach naszych litewskich i ruskich zamieszkałych, skłonić i pociągnąć do wiary katolickiej i posłuszeństwa św. rzymskiemu Kościołowi [...] bez względu na to, do jakiegokolwiek wyznania poprzednio by należeli.”

Zresztą nie obejmowało to postanowienie całości jeszcze Litwy pogańskiej. Dotyczyło ono, jak się Jagiełło w innym miejscu wyraża, jedynie tych Litwinów, którzy zostawali pod bezpośrednim panowaniem Jagiełły i Skirgiełły, w księstwach wileńskim i trockim. Poza obrębem tych dwu głównych roisk pogaństwa osiedleni Litwini, poddani innym książąt litewskich, niewątpliwie nader nieliczni, zawisłymi byli swoją wiarą od rozkazu swych panów bezpośrednich. A toć prawie cała Żmudź jeszcze, samo serce pogaństwa, podlegała od lat czterech rządowi Zakonu niemieckiego, który nie troszczył się o jej wiarę. Tę resztę niedochrzczonych czekało w bliższej lub dalszej przyszłości osobne wezwanie do chrześcijaństwa. Które aby tym łatwiej przyszło kiedyś do skutku, silono się nadać jak największą zupełność dziełu terażniejszemu.

Z różnych w tym celu środków pomocnych działały zapewne najpomyślniej środki zachęcające, nagrody za chrzest przyjęty. Były one rzeczywiście nader ponętne. Gdy chrześcijanie pierwszych wieków zwyczajnie męczeństwem przeplacali swoje odrodzenie w Chrystusie, Litwa pogańska, mianowicie bojarstwo litewskie otrzymywało za nie najcenniejsze swobody, pierwszą podstawę bytu obywatelskiego. Ułożony został w imieniu Jagiełły krótki, lecz nadzwyczajnie ważny dokument, zapewniający Litwinom „ochrzczonym albo chcącym się ochrzcić” swobody następujące.

Naprzód, przyznawa im książę zupełną własność majątku, upoważniając ich do rozporządzenia nim według woli, „jak szlachta Korony Polskiej”. Po wtóre, uzyskują oni spieszność sprawiedliwości sądową, wymierzaną jak w Polsce przez jednego sędziego i jednego „oprawcę”, czyli wykonawcę wyroków, w każdym kasztelaństwie, czyli powiecie. Dalej, mogą oni według upodobania wydawać za mąż swoje córki, synowice i krewne; żona po śmierci męża pozostanie przy majątku męzowskim; w razie powtórnym zaś ślubów spada majątek na dzieci albo rodzinę. Po czwarte, uwalnia książę bojarów od robocizny, z wyjątkiem powołania całej Litwy do budowy zamków książęcych. Po piąte, służba wojenna własnym kosztem i obowiązek „pogoni” nieprzyjaciela mają trwać w dawnej mocy. Po szóste, kto by odstąpił obrządku łacińskiego, traci te prawa.

Spisano akt niniejszy w sam Popielec, dnia 20 lutego roku 1387. Przywiesili doń pieczęci wszyscy książęta obecni, litewscy, polscy i szlascy, tudzież towarzyszący Jagielle urzędnicy koronni, a pomiędzy tymi i nasz Bartosz z Odolanowa, czyli Więcborga, nowy wojewoda poznański.

Nie była to więc karta swobód dla całego narodu, lecz zapewnienie nagród dla chrześcijan. Wzorem udzielonych im praw są wyraźnie nazwane „swobody polskie”, aczkolwiek jeszcze nader niezupełnie osiągnięte przez świeżą szlachtę litewską. Rozumie się samo przez się, iż te wszystkie wolności płynęły jedynie Litwie możniejszej, bojarstwu litewskiemu. Lud poddańczy, niewolnicy, nic nie uzyskali listem niniejszym. Jedyne ich zachętę do chrześcijaństwa stanowiły przygotowane dla nich białe szaty wełniane. Gdy te się zdarły, miała sama religia łagodzić ich niedolę.

Równie stanowcze były środki przymusu. W dwa dni po onym przywileju popielcowym, dnia 22 lutego, stanął drugi dokument apostolski, obmyślający sposoby przełamania oporu i uchronienia posłusznych od przyszłego sprzeniewierstwa Rzymowi. Na mocy książęcego wszechwładztwa nad całym ludem powiedziano w nim głośno, iż ktokolwiek sprzeciwi się rozkazowi przyjęcia nowej wiary, będzie do niej „zmuszonym” – zmuszonym „karami cielesnymi”. Tym karom nie kładło sądownictwo litewskie żadnej granicy. Owszem, zwyczajne w takim razie użycie tortur zbliżało karę cielesną bezpośrednio do kary śmierci. Jakoż zgodnie z tą uchwałą książęcą opowiadają kroniki ruskie, że dwóch bojarów litewskich, już dawniej ochrzczonych w owo chrześcijaństwo kacerskie, a nie chcących teraz poddać się chrztu łacińskiemu skazał Jagiełło na taką karę, na męki, w których obaj pomarli.

Tym snadniej dały zastosować się środki zaradcze. Ograniczały się one na wzbronienie nowo ochrzczonej Litwie małżeństw z kacerską lub szymatycką Rusią, mogących skazać prawowierność wyznania łacińskiego. Gdyby jednak przeciwko rozkazowi przyszło do skutku małżeństwo między Litwinem a Rusinką albo Rusinem a Litewką, natenczas ruski mąż i małżonka ruska ulegną temuż samemu przymusowi chrztu łacińskiego, pod tymże samym rygiem „kary cielesnej”. „Jeżeli bowiem – prawi dokument apostolski – w pierwotnych czasach za dopuszczeniem Bożym źli mieli możność przymuszać dobrych ku złemu, tym bardziej teraz z wyroków Boskich dobrzy mogą i powinni skłaniać i wzywać złych do dobrego.”

Przywiedzone tu własne słowa onego czasu przedstawiają całą obecną misję łacińską w Litwie jako przywrócenie jedynie stanu dawnego. Wraz z Rusią apostołował tamże z dawien dawna obrządek rzymski. Przemogły atoli usiłowania wschodnie, przytłumiając zasiew łaciński. Teraz obróciła się kolej wypadków i wraca tryumf i chwała dawnej zasłudze. Do tej zaś zmartwychwstającej zasługi któż pilniejszą nad bracie zakonu św. Franciszka przyłożył rękę! Oni to od wielu pokoleń krzewili wiarę łacińską w Litwie, oni kładli tu życie za nią, oni też, nie kto inny, godni są miana, jakie im rzeczywiście teraz dawano: „apostołowie Litwy”. Z tego względu całe obecne dzieło nawrócenia Litwy pogańskiej, całe obecne wznowienie krzyża rzymskiego w Litwie było zarazem tryumfem franciszkanów.

Z ich też grona otrzymała stolica litewska obecnie pierwszego z swoich pasterzy łacińskich. Kilka dniami przed jednym i drugim dokumentem powyższym solenna karta fundacyjna z dnia 17 lutego uorganizowała Kościół litewski. Założone zostało biskupstwo łacińskie w Wilnie z siedmiu kościołami parafialnymi, w Miednikach, w Mejszagole, Wilkomierzu, Niemenczynie, Krewie, Hajnowie i w Obolczy ku stronom Białej Rusi. Wszystkie wzięły hojne uposażenie w dobrach książęcych. Mianowicie biskupstwo i kapituła wileńska, złożona z czterech prałatów i ośmiu prebend, otrzymały (oprócz dochodów bogatego probostwa Kłodawy w Polsce) zamek książęcy Turogno w Litwie, cztery wsie tuż pod Wilnem, dalej, Bakszty, Wojdyłów, czyli niegdyś powiat Dubrowno, liczne sioła w powiatach drohickim, brzeskim, dubieńskim, różne daniny pieniężne, wreszcie gmach mieszkalny w zamku wileńskim i całą jedną część miasta Wilna wraz z wszystkimi domami i mieszkańcami.

Rządy nowego Kościoła litewskiego i stolicę biskupią objął franciszkanin Andrzej Wasilo, tytularny biskup Seretu w ziemi mołdawskiej, niegdyś spowiednik królowej węgierskiej Elżbiety, Polak z domu Jastrzębców. Nowa katedra wileńska miała starodawnym zwyczajem chrześcijańskim stanąć na miejscu głównej świątyni pogańskiej, w obecnym razie na posadzce świątyni Perkunowej z ołtarzem Znicza na zamku.

Zaczem przygotowawszy wszystko, co chciano postawić na zwaliskach przeszłości, przyłożono topór do jej pnia spróchniałego. Zwołano wszelkie pogaństwo okoliczne do Wilna i przedstawiono mu potrzebę zrzeczenia się dawnych baśni. Zdumiona Litwa wzdrygnęła się na to żądanie, mieniąc je niewdzięcznością i grzechem względem przodków. Niepoślednią też pobudką niechęci była obawa zemsty bogów pogańskich. Należało tedy przekonać publicznie o ich nieudolności. Gwoli temu rzucili się chrześcijanie do obalania świętości bałwochwalczych. Zalany został Znicz święty i pogaszone ognie wieczyste. Padły pod siekierą święte

dęby na zamku i w gaju na Łukiszkach. Powybijano święte węże, jaszczurki, zarówno nieświadome przyczyn dawniejszej czci, jak terażniejszej zagłady.

Przypatrując się tej ruinie pogaństwo zawodziło wielkim płaczem żalobnym. Ale tylkoż tyle oporu, tylko jęki i łzy spotkał przed sobą rozkaz książe. „Zresztą, nie śmiał nikt ani pisać” – mówi bratanek naocznych świadków zdarzenia. A gdy taka wola książe padła, gdy obaczono, iż bóstwa pogańskie dają się bezkarnie gasić, ścinać, zabijać, ochłoneła z trwogi zgraja pogańska i oświadczyło plemię „płochę a lekkomyślnę”, iż chce się ochrzcić.

Nastąpiła zatem katechizacja. Sam król pobożny pomagał w tym względnie polskim nauczycielom duchownym. Najwięcej dziwiła pogan nauka o jednym Bogu. „Tak wielu bogów – mniemano – okazało się bezwładnymi, a jeden miałby większą mieć władzę?” Nie było atoli pory do rozumowań. Wkrótce uznano uczniów dojrzałymi do chrztu i zaczęto chrzczyć ich z osobna. Każdy nowochrzestnieniec dostał białą szatę wełnianą. Schludny, bogaty w oczach Litwina strój uszczęśliwił nędzę pogańską. W oka mgnieniu rozniosła się po kraju wiadomość o darze chrzestnym. Każdy pragnął go mieć, pragnął ochrzcić się.

Zbiegały się zewsząd tłumy pogaństwa. Szczupła w stosunku garstka duchownych polskich nie mogła podołać ochotnikom. Nie godziło się przecież nie korzystać z powszechnego natchnienia. W takim położeniu chwyтали się polscy apostołowie środka, nie znanego dotychczas w chrześcijaństwie. Zbierano pogaństwo w osobne gromady męskie i żeńskie i chrzczono je ryczałtem przez pokropienie wodą święconą. Każda gromada męska lub żeńska otrzymywała jedno i toż samo imię świętego albo świętej. Wychodziły w ten sposób spod kropidła całe tłumy litewskich Stanulów, Janulisów i Piotrulisów albo Katrin i Jadziul.

Możniejszych chrzczono ciągle z osobna. I ci biegli w zawody po nową wiarę. Żupany chrzestne podbiły serca bogaczy i ubogich, panów i niewolników. W powszechnym ubieganiu się o nie któż nas upewnić może, iż się nie działo w Litwie, co przy podobnym nawracaniu bałwochwalstwa zdarzało się nieraz gdzie indziej, mianowicie w Galii i Germanii pogańskiej. Niejeden pohaniec dawał tam chrzczyć się po kilka razy, byle otrzymać kilka żupanów.

Oto np. syn Karola Wielkiego, cesarz Ludwik, nawraca dzikich Normanów. Jednego dnia zbiegło się tylu pogan na dwór cesarski, że nie można było nastarczyć nowych sukien. Darzono więc nowochrzestnienców lada jako odzieżą. To ubodło ich do żywego. Wystąpił jeden spośród nich, jakiś przedniejszy bojar normandzki, i wskazał z zgorszeniem na przywdziany sobie strój przeszarżały. „Już ze dwadzieścia razy – rzecze do księży – nadstawiałem kark pod chrzcielnicę, a zawsze nowiuteńkie dawaliście mi suknie; dziś, patrzcie, co za wór na mnie! Niech w nim pastuch chodzi, nie rycerz! Gdyby nie wstyd wracać nago do domu, odrzekłbym się i waszej sukni, i chrztu waszego!”

Czasem gdy zmienną ludność pogańską ogarnęła chęć nowej wiary, zdarzały się za granicą wypadki, iż poganie od przejezdnych apostołów napierali się chrztu, a ci lękając się podać im sposobność do grzechu onych Normanów albo z obawy ubliżenia prawom biskupa miejscowego musieli odmawiać im sakramentu.

Tym samym więc cichym i łagodnym sposobem, jakim niegdyś przed pięć laty zgasł ostatni wybuch pogaństwa za Kiejstuta, zajaśniało obecnie światelko nowej prawdy. Po ochrzczeniu swojej pogańskiej „połowy Wilna”, nie naruszając wolności wyznania drugiej, przeważnie ruskiej połowy wybrał się Jagiełło około marca w podróż po kraju. Towarzyszyło mu w niej duchowieństwo łacińskie, a w każdym miejscu pobytu powtarzały się też same sceny apostołstwa co w Wilnie. Pobożny król nie tylko kazaniem do ludu pomagał kapłanom polskim, lecz owszem jako prawdziwy zesłannik Boży sam chrztu udzielał, a nawet książe-
tom i panom polskim toż samo czynić kazał.

Wszędzie burzono świątynie bałwochwalcze, stawiano krzyże i kaplice łacińskie, ogłasza-
no rozporządzenia na rzecz duchowieństwa nowego. Pozostały z mało co późniejszego czasu dwa edykta Jagiełły podobnej treści, wydane w języku ruskim do cywonów, czyli starostów książe-
cych. Przytaczamy je w starożytnym przekładzie polskim. „Władzisław, Bożej miłości

król polski i litewski, ruski i innych ziem pan. Objawiamy tym listem wszystkim cywonom, kto na nie poźrzy albo będzie cził. Daliśmy księdzu biskupowi po wszystkiej ziemi litewskiej, gdzie się jemu polubi, postawić cyrkiew. Aby każdy cywon był jego posłuszen, jako mnie samemu. Co on rozkaże, to jemu uczynicie, a dawajcie jemu cześć. A kolko jego ludzi przydanych pod którym cywonem są, sami nie obydzcie (nie krzywdzcie), a w obidę drugiemu nie dawajcie, a którzy będą jego ludzie w niektołej krzywdzie, to jemu sprawcie. Na toż daliśmy swój list pod naszą pieczęcią na wszystko prawo, cośmy ku świętym kościołom przyłączyli. Wszelki cywon da temu poradzenie, jako w tym liście napisano. Co byśmy to naleźli udziałano. Aby się nam nigdy o to nie żalowali. A który cywon tego nie uczyni, a będą potem nań skarżyć, będzie karan bez miłości. A to się stało w Lidzie...”

Trwał ten objazd apostołski kilka miesięcy. Oprócz starań duchownych upamiętniły go także inne postanowienia rządowe. Dnia 22 marca w Mereczu przyrzekł król mieszczanom wileńskim nadać miastu przywilej prawa magdeburskiego, zostawiając je tymczasem pod starostą książęcym. Dnia 28 kwietnia, „na łowach skonsterskich”, otrzymał Jagiełłow brat, Skirgiełło, w przydatek dotychczasowych posiadłości Trok itd. mnogie inne ziemie i zamki, mianowicie Swisłocz, Bobrujsk, Rzeczyce, Połtesk i jedenaście dalszych grodów z całym księstwem połockim.

I nie ograniczyła się na tym fortuna księcia trockiego. Wierny pomocnik bratu w wszystkich dotychczasowych sprawach z Kiejstutem i Krzyżakami, w zabiegach o Jadwigę, w walkach z nieprzyjaciółmi, zasługiwał Skirgiełło jeszcze większą nagrodę. Jakoż padła mu ona w tej porze. Mając przebywać zwykle w Koronie, nie mógł Jagiełło pozostawić Litwę bez pewnego zwierzchnictwa najwyższego. Starodawny zwyczaj wymagał takowemu zwierzchnictwu nazwy „wielkksiążęcej”. Owóż wielkim księciem litewskim, zwierzchnikiem nad resztą książąt litewskich, pełnomocnym zastępcą swoim mianował teraz król Władysław Skirgiełłę, zachowując sobie tytuł księżę „Najwyższy”. Skutkiem tego złożyli naprzód niektoży panowie litewscy hołd uległości Skirgiełle, a dnia 18 czerwca w Lidzie dopełnił on tegoż samego obowiązku względem Jagiełły i Korony, tych „Najwyższych” zwierzchników Litwy.

Ze Skirgiełłą też jako z wielkim księciem litewskim i z królem Władysławem Jagiełłą zawiera w pierwszych dniach lipca na polu Kurceńskim mistrz kawalerów inflanckich, niedawny nieprzyjaciel i sprzymierzeniec nieprzyjaciół Jagiełły, zawieszenie broni na rok. Miał Jagiełło zwidzić jeszcze Połock i Witebsk i uśmierzyć tlejące tam od dawnych lat niechęci. Pewniejsze atoli ślady przedstawiają go powracającym nagle do Polski. Pod koniec lipca roku 1387 znajdował się król w Krakowie i pełnił tam akty zwierzchnictwa najwyższego. Znacznie więc wcześniej niż zwykle przypuszczają, zapewne już z końcem czerwca, stanął dwór podróżny z powrotem w Wilnie.

Pozostały tam jeszcze niektóre ważne sprawy do załatwienia. Nie obeszło się przed wszystkim bez dalszych starań o wkorzenie wiary łacińskiej. Wzniosły się dwa nowe kościoły rzymskie, jeden Św. Marcina w zamku wileńskim, drugi Św. Jana w mieście. Tak nowej katedrze litewskiej, jako też reszcie kościołów nadesłała królowa Jadwiga obfity zapas kielichów, obrazów, mszałów, ornatów i tym podobnych przyborów. O tymże czasie odbyły się uroczystości weselne młodego księcia Mazowsza, Ziemowita, i siostry Jagiełłowej, Aleksandry. Nareszcie ozwał się w tej porze godny pamięci głos, który w latach następnych nader huczne sprawić miał echo. Było tym głosem słówko „Pomorza dziedzic i pan”, wtrącone pomiędzy inne tytuły króla Władysława Jagiełły, a przypominające sprawę z Krzyżakami o ten klejnot posiadłości zakonnych. Nie widome jeszcze w intytlacjach królewskich z czasów przed obecną wyprawą apostołską, pojawia się ono znie-nacka w tej podróży duchownej już to z końcem roku zeszłego w Łucku, już to osobliwie w chrzestnych dokumentach wileńskich. Polacy ujrzeli w nim pożądane świadectwo, iż król Władysław zamyśla w istocie dopełnić zaprzysiężonego odzyskania dawnych uszczerbków Korony. Dla Krzyżaków zaś w samym ognistym komecie, który tymi czasy siał postrach z nieba na ludy, nie pałała tak straszna przepowiednia, jak w tym słówku złowrogim.

Zarazem z tą niepomysłną dla teutonizmu wróżbą rozbiegła się po całym dalekim świecie wiadomość o chrzcie pogaństwa litewskiego. Bądź to już teraz, bądź dopiero po wspomnianym niegdyś liście papieża Urbana VI do książąt i panów polskich w przedmiocie małżeństwa Jagiełłowego z Jadwigą wyprawione zostało poselstwo królewskie do Watykanu, niosące należną sprawę z apostolskich czynności w Litwie. Złożył ją u stóp papieża Urbana poznański biskup Dobrogost Nałęcz z Nowego Dworu, szczęśliwszy tym razem w swojej podróży rzymskiej niżli przed laty kilku, kiedy jadącego po arcybiskupstwo do stolicy papieskiej zatrzymano w Treviso na żądanie króla Ludwika. Po podobnym uwięzieniu Mikołaja Trąby w ziemi rakuskiej był to pierwszy poseł Jagiełły, który stanął przed obliczem papieskim.

Przywiezione przezeń wieści litewskie przejęły niezmierną radością serce ojca św. Oprócz nawrócenia ostatniej społeczności pogańskiej w Europie jaśniała w nich nadzieja coraz większego wpływu Rzymu na Wschodzie, coraz bliższej unii chrześcijaństwa wschodniego z Rzymem. Czysta przez się sprawa małżeństwa Jagiełłowego zajaśniała teraz w zupełnej niewinności. W niedługim przeciągu od dnia 31 grudnia 1387, tj. od daty onego listu Urbanowego do panów polskich, po marzec i kwiecień r. 1388 zatarły się ostatnie ślady zaskarżeń krzyżackich przeciwko prawności ślubów krakowskich. Dnia 11 marca i 17 kwietnia tego 1388 roku wyszły dwa nowe pisma papieskie, zawiązujące najprzyjaźniejszą zgodę między dworem rzymskim a królem polskim.

Przyniósł je „najprzewielebniejszy kardynał Bonawentura, z przezacnego rodu Peraga, Paduańczyk” – słynny stąd za granicą, mianowicie w kronikach swojego rodzinnego miasta we Włoszech, jako główny (zdaniem Paduańczyków) współuczestnik Jagiełłów w dziele nawrócenia pogan litewskich. Pierwsze z tych pism papieskich zatwierdziło fundacją biskupstwa wileńskiego, mianując biskupa Dobrogosta egzekutorem bulli confirmacyjnej. Drugie zwiastowało łaskę i błogosławieństwo ojca św. „najukochańszemu synowi Władysławowi”, któremu papież jedynie dlatego nie wcześniej nadesłał to powitanie, ponieważ ze strony króla nie stanęło wcześniej uroczyste poselstwo w Rzymie.

Zresztą płynie list papieski najpochlebniejszymi wyrazami przyjaźni. Nie umiejąc pisać i czytać, nie rozumiejąc nadto języka łacińskiego, z jakąż przyjemnością przysłuchiwał się pobożny syn Olgierdów odczytywaniu i przekładowi słodkich pochwał ojca św.: „Pomiędzy wszystkimi królami ziemi pierwsze tobie miejsce w uczuciach przychylności św. Kościoła rzymskiego, matki naszej! Witaj, najukochańszy synu, słuگو wierny, który za uczynki twoje osiągnąłeś godną nagrodę, gdyż koronę majestatu ziemskiego i zapewne niebieską kiedyś koronę. Ciesz się, synu, że mając zginąć z całym narodem jak skarb ukryty zostałeś znaleziony! Ciesz się w głębi twej duszy, iż tak wielka sława krąży po świecie o dziele twoim i że tak ukochany i miły spoczywasz w blasku chwały na łonie matki – Kościoła!”

Gdy ojciec św. cieszy się w ten sposób zasługą Jagiełłową, gdy Jagiełło niebawem opuścił w całe Wilno i Litwę, aby wrócić spieszenie do Polski, rzućmy okiem na Litwę po odejździe królewskim. Wszystko, ziemię, język, życie społeczne, wiarę, zmienił w niej kilkumiesięczny pobyt Jagiełły z Polakami. Ziemia, zacieniona dotychczas mrokiem tysięcznych gajów świętych, teraz wyrąbanych i wytrzebionych, zaczęła wyjaśniać się coraz przestronniejszymi polanami, przeistaczającymi się w żyzne role. Po tych polach, na zrębie gajów świętych, z ust liczego duchowieństwa polskiego brzmiał coraz głośniejszy i szerzej język polski, bliski zwycięzca zagnieżdżonej tu od dawniejszego czasu ruszczyzny.

Przemawiający teraz z polską bojar litewski, dumny z otrzymanych świeżo przywilejów katolickich, mniemał zbliżać się tym coraz bardziej do swego odtąd wzoru, do wolnej szlachty polskiej. Pozostawała wprawdzie niezmierną jeszcze różnicą między szlachectwem polskim, odstrychniętym swoją szlachetnością od gminu, dysponującym wolnie swoją koroną, swobodnym od wszelkiej powinności danniczej, a bojarstwem litewskim, zmieszonym i ciągle mieszanym z czernią, uległym swoim książętom jako panom dziedzicznym, zwią

zanym ciągle powinnością danin i służebności. Łatwe atoli uzyskanie wolności rozporządzenia majątkiem, zawierania związków rodzinnych, tudzież swobody od robocizny, ośmielały do również dumnych nadziei na przyszłość.

Najmniej łatwo dojrzewiała zmiana duchowa, odrodzenie się w wierze. Od poganina do chrześcijanina prawdziwego wiodła daleko dłuższa droga niż od bojara do szlachcica polskiego. Doznała Litwa w tej mierze losu wszystkich nowo nawróconych narodów. Wszędzie młodzieńcze chrześcijaństwo musiało walczyć z starymi zabobony. Najpowszechniej rodziła się stąd dziwotworna mieszanina obudwóch sprzecznych żywiołów. Tylko celniejsze umysły Ignęły całkowicie do nowej wiary lub stały surowo przy dawnym obyczaj; ogół służył najchętniej obudwóm bogom. Nie dowierzając zarówno jednemu i drugiemu, lękając się obudwóch, poczytywały tłumy za rzecz najbezpieczniejszą kierować się rozumem onego króla nowo ochrzczonych Węgrów, który mawiał o sobie, iż jest dość bogatym, aby nieść ofiary bożkom pogańskim i Bogu chrześcijańskiemu – lub też iść za przykładem owych Słowian Arkońskich, którzy wróciwszy do bałwochwalstwa postawili św. Wita na pogańskim ołtarzu swoim i uderzali mu czołem.

Toć i owe dwie świeczki, którymi Jagiełło w Poznaniu uczcić chciał zarazem Boga i czarta, a które do późna jako obyczaj bałwochwalczy wyrzucano chrześcijaństwu wschodniemu, nie skądinąd początek wzięły. Jakoż w ogólności sam król Jagiełło, lubo tak pobożny i szczerzy w swojej wierze, dawał przykład poniewolnej zamieszki pojęć. Z najgorliwszą praktyką nabożeństwa katolickiego łączyły się w nim (jakeśmy to słyszeli) jakieś gusła niechrześcijańskie, jakieś okręcanie się trzykroć w koło przed każdym wyjściem, jakieś rzucanie słomy i spluwanie za sobą, jakieś mięcie w palcach i opłukiwanie świeżo zgolonych włosów itp.

O ileż szpetniejszych narowów dopuszczał się w tej mierze pozostawiony sobie samemu gmin! Osobliwie niewiasty wracały chętnie do tych pogańskich zabobonów, żywiły żal za przeszłością. Właściwi nauczyciele zaniechanej wiary, kapłani pogańscy, musieli po największej części przyjąć chrześcijaństwo. O ostatnim arcykapłanie Lizdejku, wygnanym z owej świątyni Perkunowej w dolnym zamku wileńskim, opowiadano sobie, iż schronił się do Kiernowa i tam w dzikiej, leśnej odludni pędził żywot kryjomy.

W takim podupadnięciu ducha bałwochwalczego same tylko kobiety litewskie śmiały żałować dawnych bogów, niecić ostatnią iskrę przywiązania do wiary ojców. „Kto nam teraz ześle deszcz – narzekały niepokieszone – kto nam ześle pogodę, gdy w nowej wierze nie ma osobnych bóstw, które by się troszczyły o to wyłącznie.” Ulubione zdanie pogaństwa: „Więcej może wielu bogów niżli bóg jeden!”, znachodziło żalony wszędzie odgłos. Krażyły z cicha wieści, iż popioły zalanych ogniów świętych ciągle jeszcze są ciepłe.

Dalej jednakże nie ważyły posunąć się smutki po dawnej wierze. Groza niewoli i omdłałość samegoż bałwochwalstwa przytłumiały wszelką chętkę oporu. Skończyło się na owym zamęcie wyobrażeń, na dziwacznej zamieszce obrzędów nabożeństwa. Gdy kapłani chrześcijańscy ochrztili raz dzieci nowo nawróconego pogaństwa, rodzice zanurzali je znowuż w święte niegdyś rzeki pogańskie, jakoby w drugi, pogański chrzest. Po spowiedzi chrześcijańskiej sprawiano bałwochwalczą biesiadę z ofiarami starodawnego pogaństwa, „dla zatopienia grzechów”. Cmentarze chrześcijańskie stały pustką, a zmarłych swoich grzebała każda rodzina najchętniej w mroku leśnym, wśród mogił przodków. Matkę Boską chrześcijańską powinowacono z rodzicielką Perkuna, Perkunią albo Perkunatele, tworząc sobie jakieś nabożeństwa do „Najświętszej Panny Perkunateli”.

Im trudniej zaś nowa wiara krzewiła się i rozwijała w umysłach, tym troskliwiej należało ją pielęgnować. Władysław Jagiełło poświęcał jej przez cały czas panowania swojego niezmordowaną pieczołowitość. Jak w opisanym tu akcie ochrzczania kraju, tak i w ciągu dalszego apostołstwa nad Litwą dopomagał on bądź to opieką i hojnością, bądź osobistym trudem wszelkim usiłowaniom duchownych. Ile razy zdarzyło mu się bawić w Wilnie, tylekroć żaden obrzęd kościelny, żadna procesja łacińska nie obeszły się bez obecności królewskiej.

„Widzieliśmy na własne oczy – piszą do Rzymu komisarze papiescy zadając fałsz doniesieniom Krzyżaków o zupełnym prawie nieistnieniu chrześcijaństwa rzymskiego w Litwie – jak po ulicach stolicy Wilna przeciągała procesja duchowieństwa łacińskiego, za którym z przykładną pokorą i pobożnością postępował król Władysław, a za nim liczny orszak ludu prawowiernego.”

Ledwie też obecnie w roku 1387 jakieś ważne sprawy rządowe powołały króla do stolicy polskiej nad Wisłę, już w kilkanaście tygodni później wraca on znowuż w te strony wschodnie, mianowicie najsamprzód na Ruś Czerwoną, gdzie tymi czasy równie ważna jak na Litwie odbywała się zmiana. Towarzysząc Jagielle w tej nowej litewsko-ruskiej wycieczce obeznajmy się teraz z wypadkami na Rusi.

XVII. RUŚ CZERWONA

Zamieszki w Węgrzech. Wzniesienie się i upadek Karola Małego. Zamach Horwatów. Uwięzienie matki i siostry Jadwigi. Osłabienie rządów węgierskich na Rusi. Węgierski starosta Emeryk. Wyprawa Jadwigi na Ruś. Widok kraju. Dawne bogactwo a terazniejsze pustynie po Tatarach. Szlaki tatarskie. Potrzeba związku z państwem możniejszym. Błoga pamięć Kazimierza Wielkiego. Władysław Opolczyk. Przybycie Polaków. Lwów za czasów Jadwigi. Rozmaitość narodów i języków. Niemcy i Ormianie. Konfirmacja swobód Kazimierzowskich. Spokojne wcielenie kraju do Polski. Przybycie króla. Rozwarcie się widoku ku Multanom, Podolu, Wołyniowi. Żyzność a pustyńność tych ziem. Uroczystość hołdu wołoskiego we Lwowie. Nowe urządzenia polskie. Nadania ziem panom polskim. Napływ mieszkańca z Polski. Udzielenie Bełza Ziemowitowi Mazowieckiemu. Dymitr z Goraja uzamożniony darami w ziemi chełmskiej. Spytko z Melsztyna udzielny panem na Rusi i Podolu. Wzrost możnowładztwa polskiego w ziemiach ruskich. Wcielenie Wołynia. Zwierzchnictwo nad Mołdawią i Wołoszczyzną. Równy udział krajowców ruskich w łaskach królewskich. Powszechna pomyślność związku Rusi z Koroną.

Jedyny w swoim rodzaju widok przedstawia ówczesna historia Polski! Szczęśliwe osiągnięcie zamierzonej unii Korony z Litwą wydawało teraz jeden złoty owoc po drugim. Trudno zapewne spotkać się z jakimkolwiek ustępem dziejów, w którym by pewien wielki plan narodowy uwieńczony został tak nieprzerwaną koleją długich, pomyślnych następstw. Ambitna szlachta małopolska postanawia przyswoić sobie Jagiełłę z Litwą, aby rozszerzyć tym chrześcijaństwo, ułatwić sobie odzyskanie dawnych uszczerbków Korony, uwielmożyć swe domy nabytkami w pustkowiach Rusi litewskiej. Opatrzność dozwala ziścić się zamiarowi małopolskiemu i oto cały szereg następnych lat, całe stulecie następne snuje tylko pasmo wynikających stąd pomyślności. Pogańska Litwa przyjmuje chrześcijaństwo; dawne straty królestwa, ziemie ruskie, Kujawy i Dobrzyń Opolczyka, Pomorze wracają do Korony; panowie polscy ścielą sobie na obszarach rusko-litewskich fortunne gniazda swoich wielkich rodów późniejszych; przemocny niegdyś Zakon pada do stóp Polski i Litwy; królewscy Jagiellonowie rozpościerają purpurę swojego panowania po szerokich dokoła Polski krajach... Zaprawdę, wiedzieli dobrze panowie małopolscy, dlaczego zawarli bramę zamkową przed Jadwigą, gdy się połączyć chciała z Wilhelmem.

W rok po tym uwięzieniu na zamku miała Jadwiga wcale innym świetle zajaśnieć narodowi. Bo też był to rok wielkich zmian, srogich doświadczeń. Przydał on tylko szesnastą wiosnę życiu Jadwigi, lecz ta jedna wiosna zamieściła w sobie próby i cierpienia przemnogich lat. Pod ich mroźnym powiewem opadły kwiaty młodości, uleciała wesołość i chęć zabaw światowych, rozwinął się pociąg do skruchy i ascetyzmu, otoczyła młodocianą Jadwigę powaga mądrej, bogobojnej niewiasty.

Owe umartwienia miłosne, przymus zrzeczenia się Wilhelma, niewola oddania ręki Jagiełłę były dopiero połową ciosów, które w tym roku zraniły serce Jadwigi. Jeszcze sroższą, bo trwalszą i niczym nie wynagrodzoną boleścią dotknęły ją nieszczęścia familijne. Jej matka

i siostra spadły nagle z wysokości tronu pod topór kata. Jeszcze w pierwszej połowie czerwca roku 1386 zawarła matka Elżbieta z Jagiełłą przymierze przeciwko wszystkim nieprzyjaciołom, a już w kilka tygodni później, z końcem miesiąca lipca, były obie królowe węgierskie, Elżbieta i Maria, z dala od stolicy swojej, w więzieniu, z którego tylko jedna z nich uniosła wreszcie życie. Upadek matki Jadwigi tym bardziej uderza uwagę ludzką, iż oprócz widowiska gwałtownej zmiany fortuny objawia się w nim jeszcze palec karzącego zrządzenia Opatrzności.

Mieliśmy sposobność uwydatnić dwuznaczność charakteru Elżbiety. Podzęgała królowę ciągła chęć kierowania wypadków po swojemu, zespolona z zupełną bezskrupulatnością w wyborze środków. W razie potrzeby nie było żadnego fałszu, nie było żadnego gwałtu, którego by powszechna niemoralność i lekkomyślność czasu nie pozwoliła użyć do celu. Główną treścią czynności Elżbiety po śmierci króla Ludwika stało się przeistoczenie jego wyboru zięciów.

Jak na Ludwika, tak i na jego małżonkę działało w tej mierze rozszczepienie Węgier na dwa wielkie stronnictwa narodowe. Król Ludwik, znany nam ze swojej przychylności dla Niemców, zgodny w tym z sympatią całych Węgier północnych, przeznaczył obudwom córkom mężów niemieckich. Królowa Elżbieta, Bośniaczka, natchniona przeciwnym usposobieniem południowej, słowiańskiej połowy państwa, gorszyła się Niemcami, kłoniąc się raczej ku Włochom, Francji, ku jakimkolwiek innemu narodowi. Stąd dla Jadwigi przyjęła matka z radością oświadczyny Jagiełły, dla Marii zaś zostało przeciwko Zygmunтови wyprawione jedno poselstwo do Francji po królewica Ludwika, drugie do Włoch po jego spółplemiennika, księcia Karola Małego z Neapolu, aby tymczasem trzymał wagę margrabi Zygmunтови, potężnemu pomocą brata, rzymskiego króla Wacława.

Wtem zgłaszają się obaj zięciowie niemieccy ze swoim dawnym prawem. Wilhelmów ojciec, Leopold, w kilka tygodni po zalotach Jagiełły, pod koniec lipca 1385, przypomina Elżbiecie w Budzie dziecinne śluby haimburskie. W kilka dalszych tygodni, w wrześniu lub październiku, wpada zbrojno do Węgier Zygmunt, zdobywa w onym zamku granicznym obie królowe i dopełnia małżeństwo z Marią. Wszelako ani rakuskie, ani Zygmuntowe zabiegi nie kłopotą łatwej w środkach Elżbiety. Księciu rakuskiemu Leopoldowi wydaje ona wśród ciągłej pertraktacji z Jagiełłą zapewnienie pokładzin syna w Krakowie, zakończonych smutnym powrotem Wilhelmowym do Wiednia. Zygmunt uwalnia się wprawdzie swoim gwałtem od rywala francuskiego, lecz w oczach matki Elżbiety nie jest on przeto miłszym i rzeczywistym małżonkiem córki, a rychłe w istocie nadciągnięcie Karola Małego z Neapolu zmusza go do ucieczki z Węgier „piechotą”.

Poślubia więc Jadwigę wielki książę litewski; względem Marii zaś zostaje rzecz w zawieszeniu. Co do Wilhelma, niechęć Polaków ku niemu, uzyskana wkrótce przychylnością papieża dla Jagiełły, wreszcie klęska i śmierć ojca Wilhelmowego pod Sempach uwolniły starszą królowę od wszelkich zgoła przykrych następstw jej dwuznacznego postąpienia z domem rakuskim. Nie tak łatwo uszło zamierzone usunięcie Zygmunta. Po jego spiesznym odwróceniu stanął i rozgospodarzył się w Węgrzech Karol Mały Durazzo. Widok powszechnego nieładu w państwie, życzenia południowo-słowiańskiego stronnictwa pod przewodem kroackiego rodu Horwatów, własna ambicja Karola, wreszcie bliskie pokrewieństwo z domem króla Ludwika, a nawet z starodawną dynastią węgierską Arpadów, skłoniły go do przywdziania sobie samemu korony św. Szczepana.

W ostatni dzień roku 1385 ogłosił się Karol królem węgierskim. Mniemany obrońca Elżbiety stał się szkodliwszym od głównego nieprzyjaciela. Ale i na to nie zabrakło środków Elżbiecie. Jak przed półroczem ojcu Wilhelma w Budzie, tak teraz królowi Karolowi uśmiechała się z ust królowej pozorna uległość i przychylność. Żyli oboje z sobą w tej przyjaźni przez cały styczeń. Był to ów styczeń miłości Wilhelmowej w Krakowie. Karol Mały i obie dwie detronizowane królowe węgierskie mieszkali razem w zamku królewskim w Budzie.

Na początku lutego przybył tam w odwiedziny do królowej Mikołaj Gara, dawny palatyn, doradzca i ulubieniec Elżbiety. W czasie jego pobytu, dnia 7 lutego, pięcia dniami przed wjechaniem Jagiełły do Krakowa, przesłała Elżbieta prośbę Karolowi Małemu, aby ją raczył odwiedzić, gdyż ma ważne dla niego wiadomości. Karol udał się do pokojów królowej i zabawił tam w rozmowie aż do wieczora. O zmroku daje królowa znak, na który z przyległej komnaty występują Mikołaj Gara i Błażej Forgacz, cześnik dworu królowej. Ten ostatni, niezmiernie silny i śmiały chłop, rzuca się na Karola Małego i razi go sztyletem. Król dobywa oręża i brniąc się odważnie rani nawzajem napastnika. „Tnij dobrze, Forgacz! Dostaniesz Gyμες i Gacz!” – miała zachęcać go królowa.

Jakoż w istocie nie stało wkrótce sił Karolowi. Zaledwie tyle wywalczył, iż okryty ranami mógł zawlec się do swoich komnat. Przestraszona straż włoska zamiast stawać w obronie pana pierzchnęła z zamku. Sprzysiężeni przyjaciele królowej pospieszyli do mieszkania Karola, wywlekli go stamtąd do więzienia w Wyszogrodzie i okrzyknęli znowuż rządu Marii i matki. W kilkanaście dni później, między zaślubieniem a koronacją Jagiełły w Krakowie, umarł Karol w więzieniu bądź to z ran Forgaczowych, bądź z zadanej nadto trucizny. Ponieważ od dawna ciążyła na nim klątwa papieska, przeto leżały zwłoki jego przez lat kilka nie pogrzebione.

Potrafiła tedy królowa Elżbieta uwolnić się od Zygmunta i od Karola. Lecz zbyt daleko posunięta bezskrupulatność w sposobie pozbycia się bratanka neapolitańskiego sama wyostrzyła na się miecz kary. Z wyjątkiem osobistej przyjaźni Mikołaja Gary ujrzała teraz królowa Elżbieta wszystkie stronnictwa węgierskie przeciw sobie. I południe, i północ najeżyły ku niej swe groty. Z północy, wolen od przeciwnika Karola, zagrażał znowuż niestrudzony w swoim natręctwie Zygmunt, wsparty pomocą brata Waclawa i pewnej części Węgiei, a nawet stojący już obozem pod Jawornem. Na południu stronnicy zabitego Karola, przemożni Horwatowie, rozjuszeni przeciw Elżbiecie, z której własnego zlecenia sprowadzili Neapolitańczyka do Węgiei, mieli sobie za obowiązek pomścić na niej śmierć elekta swojego.

Nad to wszystko zaślepiała królowę Elżbietę i jej doradźcę Garę jakaś szczególniejsza lekomyślność, rozzuchwalona bezkarnością grzechów dotychczasowych. Chcąc uniknąć spodziewanej z północy napaści Zygmuntovej postanowiła matka Jadwigi uchylić się w południowosłowiańskie ziemie królestwa, i to bez najmniejszych środków ostrożności przeciwko rozjątrzonemu tam stronnictwu Karolowemu. Jak gdyby żadna iskierka niechęci nie tlała dla niej w południowych stronach węgierskich, wyruszyła królowa pod koniec lipca 1386 z nader szczupłym orszakiem dworskim pod przewodnictwem samegoż Mikołaja Gary w odwiedziny do jego zamku Gorian, leżącego właśnie w obrębie najzjadliwszych wrogów, Horwatów. Gdy Jadwiga z Jagiełłą w pięć miesięcy po ślubie wypoczywała w Krakowie z świeżej podróży wielkopolskiej, jej matka i siostra w towarzystwie Gary, Forgacza i kilkunastu dworzan dojeżdżały do zamku Gorian.

Tam w polu pod kroackim miasteczkiem Diakowar napadł je zbrojny oddział Kroatów, zczajony przez Janusza Horwata, bana Kroacji. W jednej chwili część orszaku królewskiego poległa pod ciosami zasadzki, reszta oddała się w niewolę albo pierzchnęła w popłochu. Pozostało tylko niewielu najwierniejszych dworaków, pomiędzy którymi Forgacz i Gara z dwoma synami. Pozostali jedynie na to, aby zginąć w oczach królowej. Forgacz utknął z koniem i popadł w ręce Kroatów, którzy natychmiast ścięli go przed powozem. Gara zaś zskoczył z konia i stanąwszy na stopniach powozu królewskiego bronił go siłą olbrzyma od napastników. Na próżno kilkanaście łuków wzięło go z dala na cel. Dopiero jakiś nikkzemnik, podlaższy pomiędzy koła powozu, chwycił go z tyłu za nogę i obalił na ziemię. Leżącemu odcięto głowę i wrzucono ją z strumieniem krwi do powozu.

Potem przysłała kolej na obiedwie królowe. Wywleczone z kolasy, musiały obie udać się przed oblicze bana Horwata, mściciela Karolowego. Przeczując swój los rzuciła mu się do nóg Elżbieta, prosząc jedynie o życie Marii. „Dwoje było nas winnych! – błagała nieszczęśli-

wa zalewając się łzami – ja i Gara. On już nie żyje! Oto i moja głowa! Ale zlituj się nad niewinną!” – Ban kazał obie królowe uwięzić naprzód w swym zamku Krupa, a następnie w nadadriatyckim Nowym Grodzie, chcąc je uwięzić z czasem w niewolę do Neapolu.

Było bowiem zamiarem stronnictwa kroackiego wynagrodzić śmierć Karolową wyniesieniem na tron węgierski jego syna Władysława. Atoli bawiąca ciągle w Neapolu wdowa Karola nie miała chęci stracić podobnie syna małoletniego, jak utraciła męża. Nie przybywał tedy do Węgier elekt słowiański, przez co rozchwiały się pierwotny zamysł rokoszan południowych.

Tymczasem z przeciwnej strony wcisnął się dawny natręt północny, margrabia Zygmunt. Wolny od Karola, uwolniony od uwięzionej Elżbiety, poparty powagą brata Waclawa i jaką taką pomocą swoich stronników, znalazł on się niespodzianie panem okoliczności. Jakoż wyganiany tylokrotnie z Polski i Węgier, zdołał Zygmunt teraz, lubo tylko z tytułem „pana i opiekuna Węgier”, zakorzenić się w swoim królestwie posagowym. Pierwszym jego w obecnej chwili zadaniem miało być oczywiście uwolnienie królowych. Nie posiadając jednakże ani zdolności, ani środków ku temu nie sprostał Zygmunt obowiązkowi, a znana mu niechęć Elżbiety, jako też podobno i małżonki Marii nie bodła go zbyt niecierpliwym życzeniem ujrzeć starą królową znowuż wolną i czynną.

Nierównie bardziej żał mu było „ogromnych skarbów i sum”, które pod Diakowar dostały się z powozu królewskiego w ręce najeźdźców, a o których wszystkie dotyczące dokumenty Zygmuntove wspominają nader żałośnie. Przemyślał tedy nowy „opiekun” Węgier skuteczniej o przywieźieniu do skutku swej koronacji niż o uwolnieniu teści i żony. Gdy zaś nikt biednym niewolnicom nie umiał albo nie chciał przynieść pomocy, przeciągały się ich cierpienia w coraz dłuższe tygodnie i miesiące. Minęła już cała jesień, nadeszła zima z roku 1386 na 1387, a obiedwie królowe nie odzyskały jeszcze wolności. Zygmuntowi brakowało już tylko kilku tygodni do koronacji, a matka i siostra Jadwigi były bliższe śmierci niż uwolnienia. Owszem, któż mógł upewnić, czy one jeszcze żyją, czy nie zginęły w więzieniu, albo którą z nich (jak się to później okazać miało w istocie) spotkał ten los?

Takie wieści nadbiegały z Węgier do Polski, gdy Jagiełło wybierał się w swoją apostolską podróż do Litwy. Nie potrzeba tłumaczyć, ile z nich goryczy sączyło się w serce Jadwigi. Początek tego roku pozbawił ją oblubieńca; koniec roku pozbawił ją matki i siostry. Ale chciały już, zdaje się, nieba, aby każda boleść Jadwigi płynęła miodem dla kraju, który ją sobie obrał królową. Nieszczęścia jej rodziny, zamieszki, w Węgrzech ułatwiały Polsce odzyskanie drogocennego odłamku jej Korony, odzyskanie Rusi halickiej.

Bezsilność rozkołatanego państwa Arpadów podawała broń w rękę, a narzucanie się Węgrom Zygmunta, równie niemiłego większej połowie narodu i Elżbiecie, jak i mającej sąsiedować z nim Polsce, upiększało w tej chwili zabór każdej ziemi węgierskiej raczej pozorem wyrwania jej z rąk przywłaszczyiciela niż krzywdzącej Węgrów grabieży. Na koniec jeśli już losy właściwej pani Węgier, królowej Marii, miały podane być w wątpliwość, toć nie kto inny, lecz siostra Marii, córka króla Ludwika, polska królowa Jadwiga, była rzeczywistą dziedziczką Węgier. Toż skoro się kiedyś ukaże, że Maria żyć przestała, nie omieszka jej siostra przybrać tytuł „dziedziczki królestwa węgierskiego”, szanowany przez samychże hołdowników węgierskich.

Do Rusi Czerwonej miała Jadwiga teraz prawo jako królowa polska, jako spadkobierczyni ojca Ludwika, jako nieprzyjaciółka nieprzyjaciela jej rodziny, Zygmunta, wreszcie jako małżonka wielkiego księcia Litwy, dobijającego się także o panowanie nad Rusią. Dodajmyż uroczystą przysięgę odzyskania wszelkich w ogólności uszczerbków Korony Polskiej, złożoną w Krewie i w Krakowie przez Władysława Jagiełłę; przypomnijmy nadto warunek przywrócenia Polsce Rusi Czerwonej, połączony z wyborem Jadwigi na owym zjeździe elekcyjnym w Sieradzu. Dziwić się tylko można, iż tyle różnych praw i podniet nie podało Rusi Czerwonej już dawniej, mianowicie między latami 1384 a 1386, w ręce Ludwikowej córki

Jadwigi, w posiadanie Korony Polskiej. Teraz wszystkie prawa, wszystkie obowiązki, wszystkie okoliczności czasowe zlały się razem w tak szczęsną konstelacją, iż przyszło jedynie sięgnąć ręką po Ruś, aby zerwać ten złoty owoc.

Krom tego nastęczała się jeszcze zachęta ze strony Rusi. Od lat ośmiu, jak król Ludwik zagarnął Ruś halicką, dzierżyli ster jej rządów j e n e r a l n i starostowie, czyli wielcy wojewodowie węgierscy. Pod nimi w pojedynczych zamkach władali podrzędni starości, czyli pomniejsi wojewodowie, która to ostatnia nazwa nie dorównywała na Rusi nazwie i godności wojewodzińskiej w Polsce, oznaczając tylko pośledniejszego starostę, czyli burgrabię polskiego. Tacy to pomniejsi starostowie z Horodła, Krzemieńca, Oleska itd. sprzedali po śmierci Ludwika poruczone swej pieczy zamki litewskiemu księżęciu Lubartowi. Co do generalnych starostów Rusi, tymi znamy naprzód Jana Kapolię, a następnie, aż do obecnej chwili, Emeryka Bubeka, niegdyś po Opolczyku wielkiego hrabię, czyli palatyna Węgier.

Ten ostatni sprzyjał stanowczo Jadwidze i Polakom. Gorliwy stronnik rodziny andegaweńskiej, wtajemniczany przez królowę Elżbietę w najskrytsze plany dworskie, jak np. ów mordczy spiszek przeciwko Karolowi Małemu, był Emeryk tym samym wraz z Elżbietą przeciwnikiem Zygmunta, a w obecnej ruinie obudwóch pań węgierskich przeniósł wszelką sympatię swoją na ich siostrę i córkę, królową polską, Jadwigę. Stąd przy coraz większej przewadze Zygmunta w Węgrzech usunięcie teraz Rusi Czerwonej jego rękami, a poddanie onej Jadwidze zdawało się raczej zasługą niżli przewiną względem rodziny andegaweńskiej.

A ta publiczna zasługa rymowała tak zgodnie z widokami prywaty! Córka Emerykowa, Elżbieta, była poślubioną wojewodzie krakowskiemu, Spytkowi, bratu sędmierskiego wojewody Jaśka z Tarnowa. Niechże królowa polska, Jadwiga, obejmując Ruś Czerwoną z ręki Emerykowskich nada wielkorządztwo w niej rodowi zięcia, Spytka, a ustąpienie Emeryka z wspaniałego generalstwa ruskiego będzie tylko ustąpieniem własnej rodzinie, własnej córce. Było zaś takie przekazanie wielkorządztwa Rusi Czerwonej tym prawdopodobniejszym, ile że Leliwici z Melsztyna i Tarnowa, krewniacy ostatniego wielkorządcy ruskiego z czasów polskich, Ottona z Pilczy, jeszcze od lat Kazimierzowych właściciele różnych dóbr w Rusi, mieli się słusznie za najbliższych dostojestwu generalnemu. Zdarzał się więc jeszcze ze strony samychże Węgrów na Rusi pewien interes prywatny, który przychylił Polsce gałąź z owym złotym owocem.

I nie brakło też ręki królewskiej, która sięgnęłaby po niego. Taż sama dłoń, która przed rokiem uchwyciła za topór, aby sobie rozbić drogę do męża mniemanego, wydała teraz rozkaz do wyprawy zbrojnej na Ruś. Bądź to dlatego, iż nie chciano brać Rusi Czerwonej w posiadłość pod przewodnictwem Jagiełły, tj. jakoby imieniem i prawem Litwy, lecz pod naczelnictwem Jadwigi, tj. przez Polskę i dla Polski; bądź też może z powodu nagłych doniesień z Węgier, nakazujących spieszyć z zajęciem Rusi przed powrotem Jagiełły z Litwy, podjęto niniejszą wyprawę ruską bez pomocy i obecności króla. Nastąpiło to w tych samych tygodniach młodego roku 1387, kiedy król Władysław w Wilnie chrzczył Litwę.

Zebrał się równie świetny zastęp rycerstwa i panów dworskich, jak niedawno w drogę apostolską do Litwy. Co tylko ambitniejszych dostojników słynęło w Małopolsce, wszystko wyruszyło na Ruś Czerwoną. Otoczyli Jadwigę w ten sposób obaj Poraici, czyli Różyce: stary kasztelan krakowski Dobiesław z synem Krzesławem z Kurozwęk, kasztelanem sędmierskim; obaj Leliwici: Spytko z Melsztyna, wojewoda krakowski, z bratem Jaśkiem Tarnowskim, wojewodą sędmierskim; Toporczykowie: Sędziwoj z Szubina, wojewoda kaliski, i Drogosz z Chrobrza, sędzia krakowski; wreszcie przeszłoroczny obrońca Wilhelmów, Gniewosz z Dalewic, i Krystyn z Ostrowa, marszałek dworu królowej.

Najczynniej krzątał się w tej porze wojewoda sędmierski Jaśko z Tarnowa. Już przed kilku tygodniami udał on się był z królem i jego drużyną apostolską w strony Rusi wołyńskiej i około Wszystkich Świętych świadkował tam w mieście Łucku. Gdy Władysław Jagiełło pojął dalej ku Litwie, on wrócił nazad do Małopolski, aby teraz towarzyszyć Jadwidze. Jesz-

cze w pierwszych tygodniach grudnia roku 1386 bawiła królowa w Krakowie, owszem, jeszcze w pierwszych dniach lutego w roku następnym nie wiadomo w okolicach Krakowa, czy Jadwiga podejmie wyprawę ruską, a już w cztery tygodnie później wydawała ona rozkazy w stolicy ruskiej.

Tak spieszny skutek przedsięwzięcia świadczy o niezwyklej rażności, z jaką je wykonano. Gdyby nawet z większym przyszło było walczyć oporem, byłaby rączość taka podołała zadaniu. Młodociana dowódczyni wyprawy nie zdawała się bynajmniej wodzem nieodpowiednim. Znamy już z wydarzeń przeszłorocznych stanowczość jej charakteru, śmiałość jej ręki dziecinnej, nie wzdragającej się nawet topora w razie potrzeby. Obyczaje onego wieku, któremu wkrótce zajaśnieć miała bohaterska dziewica z Orleanu, nie przytłumiały, lecz podniecały owszem iskrę wojenności niewieściej. Mogła tymiż właśnie czasy waleczna hrabina de Montfort bronić Anglikom zbrojną ręką swojej Bretanii; mogła małżonka angielskiego króla Edwarda III przewodzić rycerstwu angielskiemu we Francji, a księżna brabancka wojować osobiście z księciem geldryjskim, czemużby i młodej królowej polskiej nie godziło się podnieść sztandaru prawa swego do Rusi!

Nie potrzeba też ubarwiać całej wyprawy kolorytem zmyślenia, aby ją ujrzyć otoczoną wszelkimi pozory rycerskości. Ten sam czas, który z pewnych względów poznaliśmy daleko skłonniejszym do miękkości i wygod, niż pospolitym jest zdaniem, musiał w innych wypadkach z braku przemysłu i dostarczanych nim środków wygodności dzisiejszej hartować swoje plemię, a sam niedostatek gościńców należytych sadzał najpobożniejszą niewiastę w każdej podróży na koń. W spisie wydatków na potrzeby Jadwigi, przechowanym przypadkowo do naszych dni, zdarzają się nierzadkie wzmianki o aksamitnych, taśmowych i tym podobnych ozdobach siodła i rzędów końskich królowej. Tamże widzimy ją nieraz w kilkumilowych podróżach konnych.

Jeśli więc zawierucha pory zimowej, w którą właśnie podjęto wyprawę ruską, nie kazała szukać schronienia w jednej z ówczesnych „kolebek” albo „pałub” na saniach, tedy przewodniczyła Jadwiga rycerstwu polskiemu i panom dworskim na koniu, w bogatym stroju zimowym, w podbitym sobolami kapeluszu, w sobolowych rękawiczkach, wpośród konnego grona dostojników koronnych, obfitego w nader różnobarwne postacie i charaktery. Uderzał pomiędzy nimi osobliwie ów sędziwy „pan krakowski”, Dobiesław, ów młodzieńczy wojewoda krakowski, Spytko, któremu w podobnych podróżach przymawiano, iż tęskni za młodą żoną, ów powiernik Wilhelmów, Gniewosz, zamyślony, jakby najkorzystniej użyć pozostałych przy nim skarbów rakuskich, owi sędmieryscy dygnitarze, Jaśko i Krzesław, pogląający na dalekie krainy ruskie jako na widowieństwo swojego niebawem wielkorządnictwa, ów wesoły marszałek dworu, Krystyn z Ostrowa, pełen żartobliwych a rozumnych przypowieści, na koniec ów mądry wojewoda kaliski, Sędziwoj z Szubina, któremu prawdopodobnie niniejsza wyprawa zimowa przyczyniła się do gośccia w latach późniejszych.

Wiedząc, ile pomyślności spływa na nich z Jadwigą, wyprzedzali się wszyscy w okazywaniu jej dziwnego posłuszeństwa, w pełnieniu każdego jej rozkazu, czyniąc ją rzeczywiście panią i wodzem całej wyprawy. A gdy dostojnicy koronni słuchali Jadwigi „jakby męża jakiego”, gdy Węgrzy w Rusi Czerwonej gotowi byli ustąpić dobrowolnie córce swego „wielkiego” króla Ludwika, sam kraj ruski nie smucił się także z przybycia królowej polskiej. Nieszczęśliwemu krajowi, nawykłemu do kolejnych napadów Litwy, Tatarów i Wołoszy, przyjście Jadwigi było przyjściem zbawienia.

Polscy towarzysze Jadwigi pojowali to lepiej od nas. Byli to bowiem dawni znajomi Rusi Czerwonej. Toć nie więcej nad 15 do 16 lat temu, jak Ruś Czerwona wyszła z związku z Koroną Polską. Przedtem dwakroć tak długi przeciąg czasu, przeciąg mądrych rządów Kazimierza Wielkiego, obeznał Ruś z Polską, Polaków z Rusią. A obraz krain ruskich tym trwałe każdemu malował się w pamięci, im bardziej one różniły się od wszystkich ziem, jakie dotąd widziała powieść nasza. Ani wodnista Wielkopolska, ani leśny kraj Mazowsza i Małopolski,

ani zimna, mroczna, uboga Litwa nie miały podobieństwa do Rusi. Tu od źródeł Dniestru i Bohu rozpościerały się nieprzejrane okiem obszary urodzaju, płynęła ziemia (po dawnej przypowieści) mlekiem i miodem, a jedna wisząca nad nią chmura zamieniała ją w stan pustyni.

Tą chmurą – poblizę Ordy. Nie domyślając się, czym było pogaństwo litewskie przed Jagiełłą, nie domyślamy się również, czym dla krain ruskich było Tatarstwo XIII i XIV stulecia. Nie dość nawet powiedzieć, iż kraj po nim leżał pustynią. Należałoby jeszcze opisać, czym niegdyś był ten kraj, nim go spustoszyło Tatarstwo. Mielibyśmy wiele ciekawych wieści do przypomnienia w tym względzie.

Nim niedola tatarska spadła na ziemie ruskie, należały one do najbogatszych stron Europy. Kiedy zachodnie jej państwa brodziły jeszcze w zamięcie, barbarzyństwie i ubóstwie, międzyrzecze Dniestru i Dniepru jaśniało wszelkim bogactwem i przepychem, jakie tylko znał świat tamtoczesny. Szczęśliwą temu przyczyną było sąsiedztwo Grecji i Orientu czarnomorskiego. Gdy okcydentalna połowa starożytnego świata, powszechnego niegdyś państwa rzymskiego, upadła pod nawałem dziczy germańskiej, wszelka oświata, wszelki dostatek i przemysł starożytności skupiły się w cesarstwie greckim; gdy nie znano jeszcze drogi morskiej do Indii Wschodnich, wszelka komunikacja ze Wschodem odbywała się u brzegów Morza Czarnego. Z Orientu nadciągały tam karawany perskie, indyjskie, chińskie; z Zachodu przybywało kupiectwo greckie, weneckie, genueńskie powstawały porty i osady handlowe, słynęły ogromne targowiska, gromadzące wszystkie narody świata.

Od tego to napływu „gości”, tj. gości kupieckich, równie tłumnego nad Euksynem za czasów wyprawy Argonautów, jak i wypraw krzyżowych, urosła nazwa *Euxinos*, Morze Gościnne. Mianowicie północne jego wybrzeża, owo międzyrzecze Borystenu i Tyry, zaświeciło promieniami tego ruchu. Zakorzeniły się w tamtych stronach po dzień dzisiejszy mnogie wspomnienia starożytności klasycznej. Świadectwem i zabytkiem tego nieśmiertelne opisy podróży Herodotowych, podania o miejscach tułactwa Owidowego, nazwy różnych „wałów Trajana”, osobliwie zaś ślady starodawnych osad greckich, posuwające się niewątpliwie aż po nasze Pokucie, aż po tameczną Kolonię, czyli Koloneję. Widoczniejsze niegdyś gruzy pomników starożytnych między Dnieprem a Bohem dały powód szczególniejszemu niegdyś mniemaniu, iż owa Troja klasyczna, przedmiot tak uporczywego dobijania się Greków, leżała właściwie na Ukrainie.

Ale mniejsza o Troję. Przywiedzione tu okoliczności historyczne dozwoliły innym miastom tych stron wzmóc się w nierównie większą od trojańskiej zamożność. Cóż za wspaniałym przed Tatarami miastem był ów Kijów o złotych bramach, o czterechset kościołach, ośmiu placach targowych, a niezliczonym mnóstwie mieszkańców, którego skarbami Bolesław Chrobry „ozłocił” całą Polskę, a które swoimi rozkoszami uwięziło i rozpaśało Śmiałego. Ileż złota, srebra, klejnotów złożył w darze Halicz Leszkowi Białemu krakowskiemu! W zawody z Kijowem i Haliczem szły mnogie inne miasta, po których później albo tylko próżne pozostały imiona, albo wcale bezimienne zwaliska.

Nawet w czasach późniejszych pod ubogimi „strzechami” podupadłego i zburzonego Kijowa świeciły kosztowności, jakie gdzie indziej chyba w pańskich spotykałeś pałacach; „jedwabie były tam częstsze niżli len w Wilnie, a pieprz niżli sól w Polsce”. Przed podbiciem Carogrodu przez Turków, przed napadami Tatarów należały te strony ruskie (jak powiedziano) do najbogatszych okolic Europy.

Otóż w tak zamożnych niegdyś ziemiach ścieliła się teraz „pustynia po Tatarach”. Bezludność tej pustyni rosła w miarę zbliżania się ku stałym koczowiskom Ordy za Donem, umniejszała się w miarę bliższego położenia krain ku zachodowi. Zupełna w południowej Ukrainie, mniejsza w średnim Podolu, ustępowała ona w Rusi halickiej niejakim początkom zaludnienia. Zawsze jednakże był to kraj w porównaniu z Zachodem pusty, a jak wina tego ciążyła na Tatarstwie, tak też głównym w oczach Europy zachodniej odznaczeniem krain czerwonoru-

skich było sąsiedztwo z pogaństwem, z „sarraceństwem” mongolskim. „Lwów mawiano jeszcze w początkach XVI stulecia miasto przesławne, w pobliżu Tatar.”

Jakoż zaledwie minawszy San postrzegałeś smutne ślady tego pobliża. Rzadkie wsie, szczupła ludność, gęste pustkowia uderzały oko w głębi kraju i dokoła stolicy. Jasyr tatarski, handel ludźmi, wykradanie chłopców i dziewcząt, aby je sprzedać Tatarom, stawało się z każdą nową milą ku wschodowi rzeczą coraz bardziej znaną, boleśniej doświadczaną. Mianowicie o kradzież dzieci obwiniano długo pobratymców tatarskich, osiadłych w stolicy ruskiej. Każdy z dawniejszych dokumentów dla Rusi i o Rusi przypomina jej podobneź niebezpieczeństwa i klęski od sąsiedniej Litwy pogańskiej. Od czasu do czasu ponawiały się wielkie zagony tatarskie, tym boleśniesz dla ziemi halickiej, ile że uderzały w nią częściej i tłumniej niż w którąkolwiek z innych ziem ruskich.

Rozlewali się bowiem Tatarzy w swoich wycieczkach łupieskich zwyczajnie trzema drogami, czyli szlakami, które wybiegając wspólnie od Czarnomorza, płynęły następnie przez trzy różne krainy, jeden Ukrainą i Wołyniem, drugi środkiem Podola, trzeci pograniczem wołoskim, a w końcu zatrzymywały się i jednoczyły znowuż w Rusi halickiej. Stąd gdy każdą z owych trzech krain poszczególnych pruła tylko jedna cząstkowa bruzda całej nawały, w Ruś Czerwoną, mianowicie w jej serce stołeczne, Lwów, biły pospołu wszystkie trzy prądy; godził z północy, od Sokala i Żółkwi, szlak ukraińsko-wołyński, czyli czarny; ze wschodu, od Trembowli i Złoczowa, podolski czyli kuczmański; z południa, od Buczacza i Halicza, wołoski. Zmierzając trzema różnymi stronami w jeden cel wspólny, niosąc mu zewsząd trwogę śmierci i spustoszenia groziły te trzy szlaki tatarskie stołecznemu miastu Rusi Czerwonej jakby trzy w ustawicznym locie wyprężone ku niemu strzały pogańskie.

Służąc zaś za zwyczajną metę najściom tatarskim, dzieliła stolica lwowska całą Ruś Czerwoną na dwie wręcz odmienne pod tym względem połowy, połowę wschodnią, wystawioną na te łupieskie pożogi pogan, i zachodnią, ku Przemyślowi, wolniejszą od nich. Co tylko ludności i uprawy polnej było na Rusi, wszystko zgarnęło się w stronę zachodnią, bezpieczniejszą. Z tej strony wyglądał kraj zamożniej, ciągnął się ludny gościniec handlowy, świeciły miasta bogatsze, Przemyśl, Jarosław.

Przeciwnie, strona wschodnia była prawie całkiem zapuszczona odłogiem. Tam jeżyły się tylko gdzieniegdzie zamki warowne, przytułek garstki okolicznych mieszkańców w czasie burzy tatarskiej. Tam w podobnychże celach schronienia zaczynała się kraina dalekich lochów, pieczar i chodników podziemnych, właściwe piętno okolic poblizszych Ordzie. Przeznaczone na schowki zboża, bydła, ludności, ciągnęły się te lochy, te jaskinie, te chody podziemne na ćwierćmilową nieraz odległość pod każdym prawie zamkiem, w sąsiedztwie każdej wsi.

Na ich powierzchni, deptanej od roku do roku kopytami koni tatarskich, nie złościły się nigdzie szerokie niwy. Główny pożytek z ziemi przynosiły tym przestronniejsze pastwiska. Słyneły osobliwie pasze złoczowskie i pomorzańskie. Na Pokuciu pasły się stada wołów, które od niezmiernie dawnych już lat pędzono na jarmarki wrocławskie. Nad Dniestrem, w okolicach Buczacza, bujały stada koni, głośnie później pod nazwą stad buczackich. Zresztą po nieprzejrzanym pustkowiu krzewiła się owa roślina farbierska i gnieździł się w niej ów rojny niegdyś owad czerwcowy, prawdopodobnie źródło nazwy Rusi Czerwonej, smutna własność ziemi pustynnej.

Dalszym następstwem nieszczęśliwego położenia Rusi Czerwonej, tego położenia, które nawet najprzemysłniejszych książąt owej epoki, jak np. byłego księcia Rusi Władysława Opolczyka, zniewalało do zrzekania się niewdzięcznej władzy nad nią, okazuje się trudność utrzymania kraju w całości. Jak prawie wszystkie wieki poprzednie, tak i chwila obecna widziała „chwiejne państwo Rusi Czerwonej” rozdarte pomiędzy kilku władców. Największa część kraju, bo cała strona zachodnia z miastem Przemyślem, tudzież stołeczne miasto Lwów i wschodnia okolica Halicza zostawały pod panowaniem węgierskim. Resztą połowy wschod-

niej dzielili się z Węgrami książęta litewscy i Wołochowie. Ziemię bełską z zamkami Lubaczowem i Buskiem trzymał z poręki króla Ludwika stryjeczny brat Jagiełłów, Jerzy Narymuntowicz. O Pokucie z Śniatynem i Kołomyją dobijali się gospodarowie wołoscy. Prócz tego posiadał jeszcze na Rusi rozliczne dobra były książę ruski, Opolczyk.

Takie rozdrobnienie ziemi trapiło Ruś Czerwoną tysiącem niedogodności. Im mniejszy był okręg każdego panującego, tym chciwiej wyczerpywał on wszystkie jego dochody. Im więcej drobnych książąt władało ziemią, tym częściej nękała ją plaga wojen książęcych. Z mnogością księstw osobnych łączyła się szkodliwa mnogość praw, granic, cel, różnorodnych przegród komunikacji i handlu.

Bolała więc Ruś Czerwona na swoje rozszarpanie. A niedola ta gnębiła właśnie kraj, któremu niebo udzieliło hojnie wszelkich darów przyrody. Miał on wszystko, czego potrzeba ludziom. Toć to widok żyznej gleby halickiej miał królowi Ludwikowi nasunąć myśl wcielenia jej do Węgier. Nim zaś opustoszała z i e m i a odpowiednie nieść mogła plony, nie umiano nadziwić się rybności wód tutejszych. „Na Rusi gdzie woda, tam i ryby” opiewała stara przypowieść. „Zbyteczne tam zarybianie, sama rosa niebieska napelnia stawy.” Również wysoce wazono sobie niepoślednią obfitość pszczoł, czerwców, lnu i konopi. Wzdłuż całego pogórza, od Sambora po Kołomyję, tryskały źródła solne, po których wyrób cała Litwa pogańska zjeżdżała się do Bełza, głównego dla niej składu soli halickiej. Brakowało tylko opieki i starania rządów silniejszych, a pustkowia czerwonoruskie mogły zamienić się w kraj pomyślności.

Pod tym względem panowanie Kazimierza Wielkiego pozostawiło na Rusi nader przyjazną pamięć. Początkowe niesnaski i uprzedzenia ustąpiły wkrótce najlepszemu porozumieniu. Ten sam starosta przemyski, Detko, który w pierwszej chwili zajęcia Rusi przez Kazimierza doprowadził nań Ordę tatarską, aby za jej pomocą otrząść zwierzchnictwo polskie, pojednał się niebawem z królem polskim i jako wielkorządcza Kazimierza Wielkiego dopomagał sam jego rządowi. „Poduszczenia szatańskie – pisze on do Torunian w lat kilka po zagarnięciu Rusi przez Kazimierza – wznieciły niezgodę pomiędzy nami a jegomością królem polskim; lecz za natchnieniem ducha Bożego odprzysięgliśmy się kusiciela dusz ludzkich i wróciła znowuż zgoda i jedność.”

W tej zgodzie z ludem rodzimym pracował król Kazimierz bez przerwy nad podniesieniem kraju. Niepodobny w tym do Ludwika, który z wyjątkiem roku poddania Rusi Węgrom nie zagościł nigdy w tych stronach, bawił król Kazimierz raz po raz w ziemi halickiej. Nie było też zawodu, w którym by nie pozostały dotychczas ślady opatrnej ręki Kazimierzowej. Stołeczne miasto Lwów zawdzięcza mu najznakomitszą część swej ludności, sprowadzoną przez niego natychmiast po wcieleniu Halicza do Korony. Od niego podobnie otrzymał Lwów główną podstawę swobody i zamożności, zapewnioną mu przywilejem prawa i samorządu magdeburskiego, wyposażeniem miasta okręgiem ziemskim. Ku obronie miasta i kraju wznosiły się staraniem i kosztem Kazimierza liczne grody warowne, mianowicie dwa zamki lwowskie, zamki w Przemyślu, Sanoku, Lubaczowie, Trembowli, Haliczu, Tustaniu, Włodzimierzu.

Rolnictwo krajowe rozkwitało za Kazimierza dość bujnie, aby zatrudnić coraz większą liczbę powstających powszedy młynów, nie zapomnianych w żadnym prawie dokumencie Kazimierzowskim dla Rusi. Ku zachęceniu przemysłu około warzelni solnych udzielał król najpracowitszym w tej gałęzi krajowcom, jak np. niejakiemu Waškowi Teptuchowi z Tyśmienicy, prawdziwie królewskich nagród w ziemiach i źródłach solnych. Kupiectwu zagranicznemu, zwłaszcza kupcom toruńskim, którym ów początkowy rokosz Detków w spółce z Tatarstwem odjął chęć handlowania z Rusią Czerwoną, a których Detko następnie po zgodzie z Kazimierzem najuprzejmiej zapraszał znowuż do Lwowa, otwierały się dawno zapomniane drogi handlowe. Najznakomitsze przywileje kupieckie, jak np. owo „źródło pomyślności miejskiej”, skład towarów we Lwowie, przypisane później łasce następców Kazimierzowych, miała stolica ruska już za „szczęśliwej pamięci króla Kazimierza”.

A te wszystkie urządzenia stosowały się nie do pewnych z góry powziętych uprzedzeń, lecz do rzeczywistych, miejscowych potrzeb i życzeń kraju. Dla coraz liczniej nadpływających tu katolików łacińskich starał się Kazimierz o biskupstwo rzymskie we Lwowie, co jednakże ani mieszkańców, ani obrządku krajowego nie wprawiało w niepokój. Gdyż ta sama swoboda co obrządkowi rzymskiemu służyła wszystkim innym wyznaniom. Owszem, za Kazimierzowych to właśnie czasów wzmógł się obrządek ruski w nie znaną mu potąd chwałę. Jeśli udowodnić się nie da, co później bezkutecznie twierdzono, jakoby Kazimierz Wielki założyć miał łacińskie arcybiskupstwo w Haliczu, tedy w tym pewniejszym okazuje się światło, że dawna grecka episkopia w Haliczu została za staraniem Kazimierzowym podniesiona do godności arcybiskupstwa, czyli metropolii krajowej.

Za jego też czasów i rządów stanęła jedna z najokazalszych później świątyń ruskich we Lwowie, cerkiew Św. Jura na górze. A ten sam budowniczy, któremu ona winna początek, wymurował także kościół ormiański dla świeżo tu przez Kazimierza założonej episkopii ormiańskiej. Wszystkich mieszkańców jakiegokolwiek narodowości i wiary zachowały rządy Kazimierzowskie „nienaruszenie przy ich obyczaju i prawie”, pozwalając im rządzić i sądzić się według ustaw, jakie sobie sami obiorą. Wszyscy błogosławili panowanie mądrego króla i, jak to rychło czynem sprawdzić się miało, pragnęli pozostać na zawsze w związku z Koroną.

Jakoż błoga pamięć tych rządów stała za najsilniejszy oręż obecnej wyprawie Jadwigi w imię Polski. Zwłaszcza że niepolscy następcy Kazimierza na Rusi zmienili tam wiele na gorsze. Władysław Opolczyk był może dobrym administratorem, lecz ograniczony na samą Ruś Czerwoną znalazł się w zwyczajnym położeniu gospodarza nazbyt zniszczonej posiadłości, bez środków podźwignięcia ruiny. Dlatego zamiast nakładów musiał on, owszem, sam coraz bardziej powiększać ciężary kraju, a w końcu widząc wszystko daremnym, nie czując żadnego przywiązania do kraju, rzekł się państwa uciążliwego.

Nowe po nim rządy węgierskie upamiętniły się jedynie fundacjami na rzecz Kościoła łacińskiego. Założone zostało arcybiskupstwo halickie z trojgiem biskupstw, z których atoli tylko arcybiskupstwo miało obecnie stałego już pasterza, niespokojnego Bernarda, podczas gdy stolice biskupie w Chełmie i Włodzimierzu podlegały jeszcze Litwie pogańskiej, a biskupstwo przemyskie dopiero tymiż czasy urastało w dotację.

Zresztą dbali rządcy węgierscy jeszcze mniej od Opolczyka o Ruś. Jednych musiał sam Ludwik usunąć od źle sprawowanych urzędów; drudzy sprzedali swoje starostwa Litwie; każdy dorzucał do ciężarów Opolczykowych. Który z terażniejszych książąt krajowych pragnął przeciwko Jadwidze i Polakom zaskarbić sobie wierność mieszkańców, ten głaskał ich przyrzeczeniem, iż nie będzie ustanawiał nad nimi żadnego starosty węgierskiego. W takim składzie rzeczy nie znała Ruś serdeczniejszego życzenia, jak powrócić do stanu za Kazimierza. A ponieważ przybycie Jadwigi wróżyło spełnienie tej nadziei, przeto z otwartymi ramionami wyglądała jej ziemia ruska.

Obok tylu przyjaznych okoliczności sprzeciwiała się Polakom tylko jedna, nic nie znacząca przeszkoda. Wychodziła ona od byłego księcia Rusi, Opolczyka, posiadającego jeszcze znaczne tam „wsie i miasta”. Tuż przed wyruszeniem Polaków ku Sanowi wydał Opolczyk w Częstochowie listowne upomnienie do swoich ruskich „ludzi i miast”, aby trwały w wierności zwierzchnictwu węgierskiemu. „A jeśliby pani Jadwiga (prawi „Ruski”) chciała ich do swego posłuszeństwa namawiać, tedy mają oni ożywać się do którego z tych panów, jako do króla czeskiego, do margrabi myszeńskiego, do księcia hajdelberskiego, do księcia Ludwika albo księcia Konrada (szląskich), i co im każą czynić, to mają czynić jako za wolą naszą; a my im mamy wrócić nakład, co na drogę dla tego nałożą.”

Odsyłka do tak dalekich „panów” nie mogła szkodzić wielce Polakom. W ogólności cała odezwa Opolczyka była raczej pozornym niż rzeczywistym oporem. Przemysłny dyplomata z Opola chciał się na każdy wypadek ubezpieczyć. Posiadając wsie i miasta na Rusi, mając podobnie od dawna posiadłości w ziemi węgierskiej, uznawał się „Ruski” z jednych i drugich

wasalem Korony Węgierskiej, mianowicie przemagającego tam obecnie Zygmunta, którego względy Opolczyk zawsze wysoce sobie ważył. Skore zaś przychylenie się do zajęcia Rusi Czerwonej przez Jadwigę naraziłoby go było na nieprzyjaźń, może na zemstę Zygmunta. Dlatego postanowił „miłośnik spokoju” uczynić krok jakikolwiek, który by uniewinnił go w Węgrzech poniekąd.

Z drugiej wszelako strony obchodziła go także łaska Jagiełły i Jadwigi. Toć niedaremno sprzeniewierzył on się dla nich Rakuszanowi Wilhelmowi, popierał ostateczne zaprosiny Jagiełły na tron Polski, poswatał się z nim przez zamęcie swojej córki z Jagiełłowym bratem Wigundem. Właśnie tymiż czasy, przed i po mniejszej wyprawie ruskiej, toczyły się ciągle w tym przedmiocie układy i zapisy. Gdyby nie one, gdyby nie dobre porozumienie z Jagiełłą, mógłby Opolczyk poszwankować w swoich polskich księstwach kujawskim i dobrzyńskim, których jako uszczerbków Korony tak gorliwie domagała się szlachta. Należało tedy owemu pozorowi oporu nadać jak najmniejszą w rzeczy skuteczność. Goły manifest w bardzo mięk- kich wyrazach zdał się najdogodniejszym wybiegiem. Nie zatamował on na chwilę pochodu Jadwigi i Polaków.

Po uścielonej fortuną drodze pomknęła się wyprawa polska jednym pędem pod samo serce kraju. Załogi węgierskie i szlaskie albo dobrowolnie oręż składały, albo pierwszemu ustępo- wały natarciu; krajowcy radzi byli Jadwidze; królowa polska witała Ruś swobodami. Stało się to zwłaszcza u wstępu na ziemię ruską, w Jarosławiu, gdzie wnuka Kazimierza Wielkiego ogłosiła przywilej „potwierdzający i pomnażający swobody ziemi przemyskiej”.

Poczem już w trzy tygodnie od daty onego manifestu Opolczyka stanął dwór polski w po- bliżu Lwowa. Przypadło to właśnie w porę najważniejszej tam uroczystości obywatelskiej, tj. osadzenia głównych urzędów miejskich. Dnia 22 lutego w obecności starosty, duchowieństwa i całej gminy, po solennym nabożeństwie i zamknięciu bram miejskich, wśród zwołanego dzwonem zgromadzenia wszystkiej ludności wybierani bywali od czasów przedjagiełłowych corocznymi burmistrzowie, czyli najwyżsi rządcy miasta, i wójt, czyli sędzia najwyższy.

Tegorocznych obrad miejskich nie zaniepokoiło nadsyłanie wyprawy polskiej. Mało co przed pierwszą o niej pogłoską radzili rajcowie lwowscy bezpiecznie nad poskromieniem szulerstwa w mieście. Obecnie, słysząc o bliskiej królowej polskiej, nie czekali mieszkańcy stolicy i bojarowie sąsiedni, aż goście krakowscy podstąpią pod samo miasto. Gdy Jadwiga bawiła jeszcze w Gródku, o trzy mile od Lwowa, powitano ją prośbą o list bezpieczeństwa dla deputacji bojarów i mieszczan lwowskich, mającej ułożyć się z Polakami względem otworze- nia im miasta.

Młoda królowa polska przyzwoliła chętnie na życzenie mieszczan i ziemian ruskich. Dnia 1 marca w piątek otrzymali bojarowie i mieszczanie rzeczywiście dwa glejty w Gródku, jeden w imieniu królowej, drugi ze strony towarzyszących jej panów koronnych. Obadwa zapew- niały ziemianom i rajcom lwowskim łaskę Jadwigi i zupełne bezpieczeństwo osób i mienia. Wskutek tego już w jednym z dni najbliższych, przed wtorkiem, otwarły się bramy miasta i wjechała królowa polska z Polakami do Lwowa.

W tymże samym czasie król Jagiełło chrzczył stolicę swojej Litwy pogańskiej. Daty owego glejtu Jadwigi z Gródka i dokumentu apostolskiego Jagiełły w Wilnie tylko sześciami różnią się dniami. Na te zajścia wileńskie i lwowskie z jakimże zadowoleniem spoglądała trzecia, głów- na stolica, królewski Kraków! Jeszcze przed rokiem stał on samotny, ograniczony na swoją własną jednostkę. Teraz dzięki onym samowolnym postępkom panów krakowskich z Wil- helmem i Jadwigą przybyły mu dwie nowe, mniejsze stolice, połączone z nim węzłem naj- bliższej zawisłości. Teraz, po onych głośnych wypadkach w zamku krakowskim, rozległa się cisza spoczynku ponad Krakowem, a wypadki przeniosły się do tych stolic podrzędnych, do Wilna i do Lwowa. A mógł ich widok tym większy dla Krakowa mieć powab, im bardziej i Lwów, i Wilno odstrychały się od niego widokiem swoim.

Zaiste, cóż za odmienna postać tych trojga miast ówczesnych! Znamy już stolicę nadwiślańską, rozrastającą się tymiż czasy coraz zamożniej i budowniej. Tam u stóp zamku królewskiego na górze wznosiły się właściwie trzy miasta obok siebie, trzy osobne rozrosłe pnia jednego, Kraków, Kleparz, Kazimierz. Nad Wilią, u podnóża warowni książęcej na górze międzyrzecznej, rozpościerało się szerokie koczowisko kilku ubogich przysiółków. Stolica Rusi Czerwonej była cała jedną ścisłą, murowaną warownią, jedną różnojęzyczną twierdzą kupiecką. Położenie na rozstajnym trakcie między Bałtykiem a Czarnomorzem, między Krakowem a Wołoszczyzną i Krymem wabiło i przywiązywało niezliczonych gości handlowych, a bliskość Tatarów zmuszała do obronności.

Dorabiając się tedy swojej późniejszej chwały „przedmurza chrześcijaństwa” opięło się miasto wcześniej od innych murem i fosą, obwarowało się dwoma zamkami, jednym na górze ponad miastem, drugim u spodu w obrębie murów; pozostawiło sobie tylko dwie bramy, halicką ku wschodowi i „tatarską”, czyli „pogańską”, od zachodu. Jak Lwów w tym ciasnym obwodzie murowym osiedlił się pierwotnie w swej kotlinie pod górą, tak dopóki Tatarów i pogaństwa w pobliżu, dopóty też nie rozłyły mu się nigdy boki omurowane. Przestrzeń poza murami pozostawiała szerokie pole późniejszemu przyrostowi stolicy, lecz wewnątrz murów też sama z dawien dawna co dzisiaj ludność, też ulice, ten rynek czworoboczny, nawet też same poniekąd domy, najczęściej warowne, murowane.

Cały prawie pół milowy okręg zamiejski leżał pustkowiec; dokoła murów, z wyjątkiem kilku kościołów, jak np. kościółka Najświętszej Panny wzniesionego przez Niemców Kazimierzowych tuż za bramą tatarską, tuliły się tylko gromadki ubogich chat, bez żalu opuszczanych i niszczonej w razie napadu nieprzyjaciół; wszystko, co żyło, garnęło się do środka, pomiędzy mury. Stąd przy zwykłej podówczas tłumności zaludnienia miejskiego panował tam ścisk niezmierny, wiodący do walki o każdą stopę gruntu. Najdawniejszą też z znanych nam uchwał miejskich okazuje się rozstrzygnięcie sporu sąsiadów wadzących się o fabrykę wspólną pomiędzy sobą muru.

Wszak nie tylko z za miasta, owszem z za granic całego kraju cisnął się liczny mieszkaniec, liczny „gość” w bramy miejskie. Czy to z Niemiec albo z ziemi tatarskiej, czy to z krain ormiańskich albo z żydowskiej po wszystkim świecie rozsypki, zewsząd napływała do Lwowa ludność kupiecka i rzemieślnicza. Jeden z najcenniejszych przywilejów miejskich, starodawny skład handlowy przywilej, zniewalał każdego przejeżdżającego kupca zabawić dni kilkanaście we Lwowie i wystawiać towary swoje na sprzedaż. Dla niełatwego zrozumienia się różnojęzycznych przybyszów musiało miasto zaprowadzić osobny urząd tłumaczy. Dla poskromienia nieumiarkowanych pretensji cudzoziemców, roszcujących sobie prawo do równych z obywatelstwem miejscowym swobód, nakazywały ustawy miejskie, aby, kto chce używać prawa miejskiego, nabył stałą posiadłość w mieście.

Obywatele i nieobywatele, wszyscy w najrozmaitszy kupczyli sposób. W środku rynku na kształt sukiennic zagranicznych wznosił się wielki bazar kupiecki, złożony z różnorodnych sklepów i kramów, „bogaty” i „ubogich”, ruchomych i nieruchomych, skarbców sprzedaży hurtowej i schowków drobiazgowej. Tam zbywały się osobliwie owe towary wschodnie, tak potrzebne i cenne w życiu ówczesnym, główne źródło zamożności tutejszej, jedwabie i adamaszki, kobierce i złotogłowy, korzenie i kadzidła, zresztą bawełna, ryby morskie, bydło wołoskie, za które nawzajem podawano Orientowi z Zachodu sukna, płótna, bursztyn, żelazna i broń.

Od dnia do dnia wrzał w tym handlowym, murowym sercu stolicy ruskiej tak ogłuszający gwar i tartas, że ludzie spokojni, posiadacze darowanych im w rynku kamienic okazałych, mieniali je chętnie za inne mniej wspaniałe gdzie indziej, byle uniknąć „wrzawy kupieckiej”. A w tym zgiełku targowym, w ogólności wpośród całej ludności miejskiej, w wszystkich zakątkach miasta cóż za różnaitość narodów, języków, strojów, zwyczajów!

Jedną połąć miasta zajmowali Niemcy, drugą Rusini, trzecią Tatarzy, inną Ormianie, ostatnią Żydzi, Szkoci, Serbowie itp. Kilka głównych narodów, jak mianowicie Niemcy, Ormianie, Żydzi, mieli osobne prawa, zwierzchności, język, miejsca obrzędów religijnych. Gdybyś był spytał, kto właściwie jest panem miasta, byłby się każdy naród przyznał do tego. Najbliżsi gospodarze domu, krajowcy ruscy, zgoła niknęli w tej mieszaninie. Czytamy przecież o „prawach i zwyczajach ruskich” we Lwowie, a dzwon ruski u Św. Jura nad miastem, sławny swoim ogromem i wiekiem, trzymał prym w chórze różnorakiego nabożeństwa stolicy ruskiej.

Niezbędni w tych wschodnich stronach Tatarzy żyli tu z kupiectwa i rzemiosł. Jako kupcy pośredniczyli oni w handlu największą częścią owych towarów orientalnych, które od nich miały nawet zwykłą nazwę „towar tatarski”; ubożsi rzemieślnicy parali się najpospoliciej garbarstwem, wyprawą i barwierstwem skór rozmaitych. Jedni i drudzy mieli swoje mieszkania w zachodniej stronie miasta, w pobliżu bramy krakowskiej, zwanej od nich „tatarską” albo „pogańską”, tamci w obrębie muru, ci w ubogich chatkach za murem, na gruncie książęcego zamku niższego. Najdawniejsze przywileje książęce liczą Tatarów do pięciu głównych narodów miasta, nie wzbraniając im osobnej świątyni muzułmańskiej, która miała stać przy łacińskim kościele Dominikanów.

Nie mniej przychylnymi bywali książęta lwowskiej osadzie Żydów, zagnieżdżonej w przeciwnym rogu miasta. Kiedy w tych właśnie czasach urządzano gminę żydowską w Łucku, zapewniał jej przywilej Witoldów też same prawa, „jakie mają Żydzi w Lembergu”. Niegłośni w ówczesnym handlu zwykłymi towarami, trudnili się oni pospolicie najzyskowniejszym handlem pieniędzmi, lichwą, poborem ceł i podatków, tj. zwyczajnie dzierżawą jednych i drugich.

Nierównie wyżej od wymienionych narodów stali w mieszczaństwie tutejszym Niemcy. Niemiec średnich stuleci to wędrowiec i kupiec z urodzenia. „Jeśli prawda, że gdzie handel, tam i bogactwa – mówi zażyły w średniowiecznych Niemczech dyplomata zagraniczny tedy nie byłoby narodu bogatszego od Niemców, którzy prawie bezwyjątkowo zyskom i kupiectwu oddani, gonią zapamiętale po całym świecie szerokim i nie wracają do dom, chyba bogacze.” Ta żyłka włóczęgi kramarskiej rozpraszała Niemców od dawna po całym Wschodzie słowiańskim. Już w XIII wieku widać ślady niemieckiego osadnictwa w miastach ziem ruskich, w Włodzimierzu, w Łucku, we Lwowie.

W każdym z miast takich wniesiona przez Niemców ustawa magdeburska czyniła ich za zwyczaj panami miasta na koniec. Gdy bowiem Słowianin w ogólności do wiejskiego Ignął życia; gdy przeto „prawa i zwyczaje” czy to polskie, czy ruskie odpowiadały głównie stosunkom życia wiejskiego, Niemiec kochał i zamieszkiwał miasto, rad urządzał się w mieście, ułożył sobie osobne prawo miejskie, najwłaściwsze stosunkom życia miejskiego. W którymkolwiek tedy mieście słowiańskim, jak np. w naszej stolicy ruskiej, zetknęły się zwyczaje i prawa słowiańskie z niemieckimi, wszędzie większa stosowność magdeburgii w pożyciu miejskim przemagała nad całą resztą mniej stosownych praw i zwyczajów miejscowych.

W obecnej porze Lwowa nie rozstrzygnęło się jeszcze to zwycięstwo Teutonu. Obecnie ustawa magdeburska walczyła tu jeszcze z prawem i zwyczajem ruskim, ormiańskim, sara-ceńskim. Widoczna atoli stronniczość książąt dla organizacji na wzór niemiecki, jako rzeczywistość najodpowiedniejszej potrzebom i pomyślności miast, cechująca mianowicie Kazimierza Wielkiego, narzucała niejako mieszkańcom jedno powszechne prawo teutońskie. Musiano wprawdzie niejednokrotnie powtarzać nadanie magdeburgii; musiał wprawdzie Kazimierz dopuścić jeszcze w głównym jej nadaniu Lwowianom z roku 1356, iżby Ormianie, Ruś i Tatarzy, tj. zapewne większa połowa miasta, mogli „wzgardzić prawem teutońskim” i sądzić się według swoich własnych praw i zwyczajów; musiały wreszcie z tego powodu akta miejskie używać jeszcze długo nie tak języka niemieckiego, jak raczej wspólnej wszystkim łaciny; lecz zawsze urzędowe pierwszeństwo służyło Niemcom, za urzędową przewagą szła także coraz

wyraźniejsza przewaga w życiu powszednim, a kiedy dokumenty ówczesne pomiędzy ludnością miasta wymieniają zwykle z osobna „Ormian, Ruś i Tatarów”, o Niemcach nie masz tam żadnej osobnej wzmianki, ponieważ Niemcy, niemieckie prawa i urzędnicy, to w języku i rozumieniu urzędowym całe miasto ówczesne, cały *Lemberg*.

Jakoż nie zapomnieli Teutonowie korzystać z tego przywileju urzędowości i zasilali się ciągłym przyływem pobratymców, budowali sobie kościoły swoje, jak np. ów Najświętszej Panny za bramą saraceńską, stowarzyszyli się przy nim natychmiast w ścisłą konfraternię pobożną, ubiegali się u książąt ościennych na Wołyniu i Wołoszczyźnie o swobody handlowe, wiedli skrzętny handel w te strony, wprawiali w ruch liczne młyny dokoła Lwowa, szerepili winogrod mułtański w okolicy, pracowali wszechstronnie nad dobrem własnym i miasta. Ale jeśli im przyszło zająć bogactwem i wytwornością życia towarzyskiego, ugościć przejeżdżających przez miasto cudzoziemców dostojnych, natenczas rubaszni Niemcy musieli ustąpić innemu z narodów miejskich.

Byli nim przychodnie z ucywilizowanych krain Orientu, Ormianie lwowscy. Ci stanowili niezaprzeczenie najbogatszą, najpolerowniejszą klasę ludności. Przed zalaniem wybrzeży czarnomorskich przez Tatarów i Turków ciągnęła się między Krymem a Lwowem, jak tu powtórzyć wypada, złota droga handlowa, której główna kolej była w dzierżeniu Ormian. Uczeńsi i zamożniejsi od przekupniów tatarskich, wyżsi od Niemców znajomością i bezpośrednimi koneksjami z Orientem, nie dali oni na tym gościńcu wzdłuż Dniestru nikomu kroku przed sobą. Cały też szlak dnieszczański zakwitał bujnie osadami brunatnego ludu Armenii. W Krymie miał on wraz z kupiectwem greckim, genueńskim, weneckim wiele stacyj handlowych, które przy pływaniu z Azji przez Mongołów synowie praojczyzny ormiańskiej kierowali swoje wychodźstwo ku północy.

Po Krymie otwierała się Ormianom nad Dniestrem najznakomitsza przystań w Kamieńcu, gdzie ich ubezpieczały dawne przywileje książąt podolskich, dające im w szczególności pierwszeństwo przed Żydami, którym ormiański Kamieniec prawie zupełnie był zamknięty. Dalej nad Dniestrem, między Kamieńcem a Lwowem, usadowiła się znaczna ludność ormiańska na Pokuciu, zajęta głównie pasterstwem i zwykłym w tych stronach handlem bydła. We Lwowie zagarnęli Ormianie niebawem rej w społeczności. W wszystkich dokumentach najdawniejszych, w których obok Niemców wymieniane bywają poszczególne narody miasta, Ormianom pospolicie najpierwsze przysługują miejsce.

Gdy żaden z tych poszczególnych narodów nie wykazał dotąd osobnych dla siebie nadań, Ormianie posiadali wyłączne prawa i przywileje, uzyskane od Kazimierza Wielkiego, Ludwika, królowej Elżbiety i ich następców. Nim jeszcze którykolwiek z narodów miejskich dostąpił takiej zamożności i liczby, iżby mógł się poszczycić własnym biskupstwem, Ormianie mieli już od czasów Kazimierzowskich swoją episkopie we Lwowie, „najpierwszą z wszystkich biskupich stolic tutejszych”. Na bazarze wśród rynku, jeśli z wszystkich 38 lub 40 sklepów „bogaty” „katolicy” posiadali tylko 8, Rusini zaś 6, do Ormian należało ich po zwyczaj 22, a o dwa dalsze wiedli oni spór z „katolikami”.

Podobnie z wszystkich 24 kramów „ubogich” miesza „katolicy” i Rusini razem tylko po 5, Ormianie zaś po 19. W handlu czarnomorskim, ilekroć wozy kupców lwowskich ciągnęły przez komory celne w Czerniowcach albo Suczawie, zawsze bryki ormiańskie już to dla większej kosztowności, już większego ładunku swoich towarów płaciły o dwa grosze więcej myta od innych. Napiętrzone wszelką zwyczajną kupią tych stron, zaopatrując rozwożonymi przez siebie suknam całe Podole, wiozły te bryki jeszcze pewien mniej zwykły towar, bursztyń bałtycki, o który między Ormiaństwem lwowskim a Krzyżakami pruskimi ciągle trwały rachunki.

Czym wszystkim ubogaci i upolerowani, umieli oni świetniej i manierowniej niż reszta mieszczan lwowskich wystąpić w oczach świata, a kiedy sam król Polski odprawił swoich gości zagranicznych do Lwowa, aby sobie tam wypoczęli po trudach i niewczasach podróży

w ruskich pustkowiach około Sądowej Wiszni, Ormianie to, nie kto inny, przyjmują ich okazale w imieniu miasta. Jeszcze po kilkunastu latach przypominał sobie taki podróżnik cudzoziemczy, taki ambasador francuski, jak wspaniało ugościli go Ormianie w mieście „Lemburgu” i jak mu „sprawili płasy i traktament z damami”.

Teraz całemu miastu przyszło ugościć królową Jadwigę z Polakami. Obowiązek ten był z równą uciechą przyjmowany przez gości polskich, jak pełniony przez mieszczan. Za pożądane bowiem odzyskanie Rusi Czerwonej odzyskał Lwów obecnie dawne swobody Kazimierzowe. Wszystkie nowe cła i podatki, jakimi następcy Kazimierza Wielkiego, mianowicie Opolczyk i starostowie węgierscy, obarczyli stolicę i ziemię ruską, zostały uchylone. Wszelkie uszczerbki granic miejskich, dokonane w tymże samym czasie przez osadzanie książęcych ludzi, budowanie książęcych karczem, zaprowadzanie książęcych targów na gruncie miejskim zobowiązała się królowa do dawnego przywrócić stanu. Wszystkie dawne prawa i przywileje Kazimierzowskie i Ludwikowe, zwłaszcza starodawny przywilej składu handlowego z zakazem wymyślania nowych gościńców kupieckich dla ominięcia Lwowa, otrzymały nową moc i powagę.

Nikt w mieście ani za miastem nie miał najmniejszej doznać napaści. Każden z poszczególnych narodów miasta został upewniony z osobna w swobodach dotychczasowych. Dla większej zaś wiarygodności tego wszystkiego wydała Jadwiga zaraz po przybyciu do Lwowa kartę przywilejową, spisaną różnymi dniami w kilku różnych egzemplarzach dla kilku różnych narodów miejskich. Jedna, ułożona najwcześniej, tj. „w bliski dzień po niedzieli *Reminiscere*”, czyli w poniedziałek 4 marca, służyła później w każdej potrzebie urzędowej Ormianom lwowskim. Druga, datowana dniem później, we wtorek 5 marca, zabłąkała się z czasem przypadkowo w strony odległe. Trzecią, wydaną tegoż samego tygodnia w piątek, 8 marca, przechowują po dziś dzień pliki najrzadszych dokumentów magistratu lwowskiego.

Zresztą odbyło się wcielenie Rusi Czerwonej do Królestwa wcale spokojnie. Nie pozostała pamięć żadnego przy tym gwałtu. Były wielkorządcza węgierski, Emeryk, oddawszy ziemię ruską córce swego nieboszczyka króla Ludwika, ustąpił nazad do Węgier i jeszcze w tym samym roku piastował tam wysokie dostojęństwo. Tylko węgierski grodzierzca Halicza, niejaki Benedykt, nie chciał Polakom otworzyć zamku swojego. Musiano użyć przeciwko niemu środków wojennych. Tym przeciągnęło się ostateczne zajęcie Rusi Czerwonej aż do lata.

Wtedy podczas Ciągłej jeszcze bytności królowej Jadwigi w stolicy ruskiej lub niebawem po jej odejździe do Krakowa znaleźli się w stronach Rusi Czerwonej inni w niemałej liczbie goście książęcy, a nawet sam król Władysław. Stanąwszy (jakeśmy dawniej wspomnieli) niespodzianym w lipcu powrotem w swoim stołecznym zamku w Krakowie wybrał się Jagiełło niebawem, znowuż w strony rusko-litewskie i w połowie października, a prawdopodobnie już z końcem września bawił w różnych miasteczkach ziemi lwowskiej. Nieco wcześniej nadciągnęli tamże ku Haliczowi, z wołyńskich zapewne stron, różni „książęta bracia” litewscy, mianowicie Witold, Jerzy Bełski, Fiedor Ratneński, Wasil Piński, Fiedor Włodzimierski, Szymon Stepański i Jerzy Słucki.

Ci zajęli się przed wszystkim załatwieniem sprawy między Koroną Polską a opornym starostą w Haliczu, Benedyktem. Opasawszy zbrojną siłą jego stare grodzisko, zmuszono go do poddania się pod warunkiem, iżby król Jagiełło przyjął go w swoją łaskę. Książęta dali mu to zapewnienie, a Benedykt otworzył zamek ludziom królewskim. Prawdopodobnie poręka tych samych książąt za przyszłą wierność starosty Benedykta i kilka wsi w ziemi lwowskiej, bełskiej i żydaczewskiej, darowanych mu wkrótce przez króla, uspiły całą sprawę halicką.

Działo się to w przeciągu od września do października. W połowie tej pory nastąpił solenny we Lwowie akt, okazujący w najjaśniejszym świetle dalsze następstwa opanowania Rusi Czerwonej. Miało ono bowiem tym właśnie cenę największą, iż nie ograniczając się na samą Ruś ciągnęło za sobą coraz dalsze nabytki. Spod gór opanowanego Halicza ku nizinom Czar-

nego Morza otwierał się widok rozległych krain, zawisłych niejako od posiadania Halicza. Były to krainy włodziemskie, czyli wołyńskie, Podole, ziemia mułtańska, czyli wołoska. Pierwszą z nich, Wołyń, kojarzyły z dawnien dawna najściślejsze związki z Haliczem. Na Podole garnał się już Kazimierz Wielki z Rusi Czerwonej. O Mułtany musiał on walczyć natchmiast, walczyć krwawo, skoro tylko Ruś Czerwona ustaliła się w jego rękę.

Wszystkie trzy ziemie ciążyły swymi losami ku tym wyżynom czerwonoruskim, skąd płynęły ich rzeki, lecz żadna tak wyłącznie jak Podole. Obiedwie oboczne krainy, Wołyń i Mułtany, opierały się drugą stroną swych granic o inne możliwe państwa, Litwę i Węgry, z których działał na nie również skuteczny pociąg; szerokie między nimi Podole otwierało się całkowicie wpływowi samej Rusi Czerwonej. Stąd jeśli tamte szły tylko w pewnych swoich poblizszych strefach też samą koleją dziejów co Ruś Czerwona, Podole całe ulegało każdakrotnemu obrotowi jej losów, dzieliło jej dołę i niedole.

Wiedzieli o tym towarzysze wypraw ruskich Kazimierza Wielkiego i Jadwigi, panowie małopolscy, i cenili sobie ziemię halicką zarówno dla niej samej, jako też dla zespolonego z nią tym sposobem Podola. Owszem, w całym widoku przedczarnomorskich ziem, otwierającym się teraz ze szczytu wyżyn halickich, Podole właśnie było tym krajem błogosławieństwa, tą ziemią obiecaną, która najponętniej świeciła ich zwróconym ku wschodowi oczom i planom. Spójrzmy na nie bliżej, a znajdziemy to zrozumieliśmy.

W porównaniu z resztą litewskich i polskich ziem zdawało się Podole, czyli „Ruś Dolna”, istną krainą słońca. Słońce też uznano wkrótce najstosowniejszym jej herbem. W świetle zaś tego klejnotu celowało Podole nad wszystkimi sąsiednimi krajami bujnością i krasą swojej przyrody. Opowiadano sobie dziwy o przepychu roślinności podolskiej, o bujających tam chmurach pszczół, o płodności gleby tamecznej. W trawnym stepie Podola nie widziałeś rogów wołowi. Zatknięty w ziemię pręt, zapomniany na roli pług pokrywały się w trzech albo czterech dniach wysokim porostem trawy. Gdziekolwiek stąpiłeś nogą, wszędzie tryskały zdroje miodu pod stopą. Nie mogąc pomieścić się w starych pniach wydrążonych roiły się pszczoły w ziemi, w wybrzeżach rzek, w lada zakęcie. O wygodniejsze ku rojeniu siedliska staczały się zacięte walki pomiędzy rojami przeciwnymi, wytepiiała się wzajem zbytnia obfitość owadu.

Również obficie, 50-krotnie, 100-krotnie, wschodziło ziarno z ziemi. Zasiew 50 korcy pszenicy przynosił niekiedy 1500 kóp zbioru. Bez pognoju zdarzały się dwa żniwa z jednego zasiewu, pierwsze z zasiewu umyślnego, drugie z przypadkowego, rozsypania się ziarna przy pierwszym zbiorze. W okolicach niżej ku południowi leżących, wzdłuż wybrzeżów dnestrzańskich, krzewił się dziko winograd, dojrzewały bez uprawy szlachetne owoce ogrodowe, złocą się potąd chaty wieśniacze opłotem samorodnych brzoskwiń, morelów itd. Po wschodniej stronie kwitnęła „Ruś Dolna” również ubłogosławionym pograniczem, późniejszą Ukrainą. Tam Dniepr według przypowieści „płynął miodem i mlekiem”, tj. w stronach bardziej północnych przerywał krainę lasów i pszczół, niżej ku południowi krainę tłustych pastwisk i trzód.

I owóż tak piękna ziemia leżała z winy Tatarów stepem odludnym. O ile żyźniejszym od pobliskiej Rusi Czerwonej, o tyle było Podole oraz nieskończenie puściejszym od niej. Z dawnych czasów pamiętano tani znakomite miasta, Bakotę, Ładyżyn, Uszycę, Kamieniec itd. Wtedy sływał w tych wschodnich stronach Kijów, służyła licznym karawanom kupieckim za cel i ognisko handlowe Targowica, nazwana tak od właściwego przeznaczenia swojego. Cośmy wspomnieli powyżej o korzyściach handlu nad Czarnym Morzem, to ściąga się głównie do Rusi Dolnej i jej „Ukrainy”.

Lecz od czasów tatarskich nic z tego nie ocalało. Miasta spłonęły, ludność rozprószyła się albo poszła w niewolę, ziemia dzikim polem zarosła. „Wszędzie – mówi podróżujący wówczas tymi strony duchowny ruski – wszędzie gołe, nieobejrzane pustynie. Nigdzie ani wsi, ani ludzi. Dziki tylko zwierz patrzy z brzegu na samotnych podróżnych jako na osobliwsze w tej

krainie zjawisko.” „Od Moskwy aż do granic litewskich – wtórzy mu jeszcze nieco później drugi zagraniczny podróżnik – zdają się wszystkie okolice jedynym stepem smutnym, na którym widać tylko zwaliska siół i gdzieniegdzie chaty ubogie.”

Taka pustyńność czyniła Podole łatwym łupem dla każdego zaborcy. Dzięki temu rozpostarło się w nim ostatnimi laty bez trudności panowanie litewskie. Stryjeczni bracia Jagiełły, litewscy książęta Koriatowicze, zajęli osamotnione grody podolskie, Kamieniec, Braclaw, Smotrycz i inne; wybierali od nędznych resztek ludności tak zwaną „dań tatarską”; byli prawdziwymi książętami pustyni, równie łatwo opanowanej, jak i traconej. W niczym to atoli nie zmieniło losów Podola. Zdobywcy jego mieli głównym zadaniem nie zdobycie, lecz zaludnienie, lecz „osadnictwo na surowym korzeniu”. A ponieważ od ubogiej i szczupłej Litwy nie wróżyła żadna w tej mierze pomyślność, przeto wciąż jeszcze stało Podole otworem każdemu nowemu zaborowi, każdemu potężniejszemu przedsięwzięciu osadnictwa.

Zwłaszcza osadnictwu z ramienia władców sąsiedniej a tylorako z Podolem spokrewnionej Rusi Czerwonej otwierała się pomyślna przyszłość w pustkowiach niższego Dniestru. Teraźniejsze wcielenie Halicza do korony krakowskiej ściągało takim naturalnym sposobem na Podole Polaków. Ci mieli w każdym razie więcej od Litwy środków zaludnienia i ochronienia kraju przed Tatarami, a przeto jak piękność ziemi podolskiej nęciła ich myśl ku wybrzeżom Bohu i Dniepru, tak też i te pobrzeża rade witały teraźniejszych panów Rusi Czerwonej. Nigdy zabór nie był tak wielkim dobrodziejstwem dla ziem zabranych.

Wraz z Podolem, acz wcale innym sposobem, kłoniły się pod zwierzchnictwo Jagiełły także owe kraje oboczne, Wołyń z ziemią mołdawską. I te kraje obadwa, również słynne z żyzności gleby i bogactwa zwierzyny, doznawały plagi tatarskiej, nadwężającej ciągle ich byt. Przez Wołyń udeptywali sobie Tatarzy najzyskowniejszą drogę swych napadów, szlak czarny; ziemia mołdawska użalała się ciężko na swoją opustoszałość z powodu Tatar. Wszelako oparcie się Wołynia o Litwę, a ziemi mołdawskiej o Węgry pozwalało obudwom krajom dojrzeć w jakie takie ciała społeczne. Na Wołyniu panowali zwyczajnie ciż sami książęta co i w Rusi Czerwonej; ziemia mołdawska miała swoich osobnych książąt, tak zwanych „województw mołdawskich”. Niepomyślnie położenie obudwóch krajów o tyle szkodziło ich bytowi samodzielnemu, iż owe państwa możniejsze, w których one znachodziły niejaki plecy wobec Tatarów, przyznawały sobie za to zwierzchność nad nimi. Na Wołyniu już od czasów Kazimierzowskich wznosiła się władza książąt litewskich, nad Mołdawią ciążyła z dawna przewaga Węgier.

W obecnej chwili przyszło na Wołyniu do tego, iż wszystkiemu krajowi panowali różni bracia Jagiełły, pomiędzy którymi celują głównie Fiedor Lubartowicz, książę łucki i włodzi-mierski, z Jerzym, księciem na Belzie, i Fiedorem, księciem ostrogskim. W ziemi mołdawskiej po dawnym nieprzyjacielu i pogromcy Polaków za Kazimierza Wielkiego, Piotrze, po hołdowniku węgierskim, Łacku, po zaburzeniach domowych, w których jeden z stryjecznych Jagiełłę Koriatowiczów wstąpił na księstwo mołdawskie i zginął tamże, zawładnął na koniec wojewoda Piotr, mogący w obecnym zawichrzeniu Wągiel wybierać dowolnie między zwierzchnictwem węgierskim albo polskim. Niechby jednakże w ziemi czerwonoruskiej ustaliła się pewna gruntowniejsza potęga, a nie tylko Wołyń, lecz i Mułtany, tożsamością położenia po tej samej stronie Karpat zespolone z Rusią Czerwoną, pośrednią między nimi okolicą Pokucia, czyli – jak wówczas mawiano – „Mniejszej Wołoszczyzny”, raczej związane z Rusią niż rozgrodzone, gotowe były przenieść Polskę nad swoje Węgry i Litwę.

Teraźniejsze objęcie Halicza przez Polaków wywarło nieodzowny pociąg na oba kraje przyległe. I Wołyń, i Mołdawia weszły odtąd już to jako całe podwładna prowincja, już jako księstwo hołdowe w długoletni związek z Koroną Polską. Mianowicie wstąpienie Mołdawii w ten stosunek odbyło się w sposób uderzający i głośny. Zdarzył się z tego powodu ów akt solenny, o którym poprzednio nadmieniono, pierwszy głośniejszy hołd książąt, czyli gospodarów mołdawskich. Wraz z towarzyszącymi mu oznakami wpływu Polski na Wołyń, a wkrótce

i na Podole, wraz z bliskim po Mołdawii poddaniem się Polsce dalszych księstw Wołoszczyzny i Besarabii stała się ta uroczystość historyczna niejako uwieńczeniem całej wyprawy ruskiej. A pamiętny obraz tej sceny jaśniał tak odmiennymi od późniejszych czasów barwami!

Było to przed samym św. Michałem. Zebrała się we Lwowie niezwykajna liczba gości dostojnych. Obecność podróżującego pod te czasy po Rusi króla Jagiełły zdaje się niewątpliwą w tak ważnej chwili. Nie ma żadnych poszlak przeciwko zdaniu, że i królowa Jadwiga bawiła jeszcze w stolicy ruskiej. Towarzyszący Jagielle książę litewscy, mianowicie owi, którzy przed kilku tygodniami pod Haliczem ubłagali króla węgierskiemu staroście z Halicza Benedyktowi, Witold, Jerzy Belski, Fiedor Włodzimirski, książęta Ratneński, Piński, Słucki, Stepański – prawdopodobnie także nie ominęli widowiska złożenia hołdu pokrewnemu monarche Polski.

Nadciągnął w tym celu gospodarz mołdawski Piotr, otoczony czestnym poczem bojarów. Dokoła książąt świeckich zgromadziło się grono najwyższych kapłanów różnej ojczyzny i wiary. Łaciński arcybiskup z Halicza, swarliwy Bernard, mieszkał zwyczajnie w swoim domu we Lwowie. Znajdował się tu obecnie i grecki metropolita z Kijowa, Kiprian, uczony Serb, twórca pobożnych słowiańskich ksiąg. Był on właściwie metropolitą całej Rosji, lecz wygnany z Moskwy przez wielkiego księcia moskiewskiego Dymitra osiadł Kiprian w litewsko-polskim Kijowie, a teraz zjechał do Lwowa, aby w imieniu Jagiełłowym odebrać przysięgę od wojewody Piotra, wyznawcy chrześcijaństwa greckiego.

Zjawił się tu pod tę porę i biskup lubuski Jan, pan owej staropolskiej diecezji na Szląsku, która niegdyś wywierała zwierzchnictwo nad łańską ludnością całej Rusi Czerwonej. Niedawne ustanowienie osobnego arcybiskupstwa w Haliczu z trzema biskupstwami miejscowymi obaliło wprawdzie władzę pastorału szląskiego, lecz biskupi lubuscy nie mogli patrzeć na to bez protestacji. Dlatego posiadając jeszcze dobra na Rusi zagościł lubuski biskup Jan de Ketlitz do Lwowa i w chęci dopełnienia jakiegokolwiek czynności w dawnej prowincji swego biskupstwa założył tymiż właśnie dniami konfraternię Najświętszej Panny we Lwowie.

Nawet dam książęcych nie brakło obecnemu zgromadzeniu lwowskiemu. Gdyż jak wiele z dotychczasowych spraw polityki Jagiełłowej, tak i niniejsze przyjęcie wojewody Piotra pod opiekę Korony Polskiej łączyło się z osobistym poswataniem się króla polskiego z wojewodą. Za przykładem zaślubin Jagiełłowej siostry Aleksandry z Ziemowitem Mazowieckim, Jagiełłowego brata Andrzeja z Opolczykową córką Jadwigą, poślubił Piotr Mołdawski jedną z siostr lub synowie królewskich. Acz nie znamy z pewnością panny młodej, dość – już w cztery miesiące po terażniejszym zjeździe nazywa król wojewodę swoim „zięciem i przyjacielem”.

Zapewne jako taki przystąpił Piotr we Lwowie do aktu uległości, który w wystawionym nań dokumencie nazwano „poddaniem się i hołdem wierności królowi Władysławowi i królowej Jadwidze i ich następcom, tudzież całej Koronie Polskiej”. Nie masz tu nic o Wielkim Księstwie Litewskim. Odbyła się zaś ceremonia hołdu w formie przysięgi złożonej w wilię podniesienia św. Stanisława, dnia 26 września, „sposobem orientalnym”. Metropolita Kiprian trzymał przy niej „drzewo żywota”, a wojewoda ucałował je w jego rękę.

Dla tym większej pewności zaprzysięgli też samo zarazem najprzedniejsi „rajcy” książęcy i bojarowie mołdawscy. Po zaślubinach i hołdzie pożyczyl nowy „zięć i przyjaciel” królewski swojemu teściowi i przyjacielowi Jagiełłę 3000 rubli w czystym srebrze weneckim, które z obojej strony zaczęto liczyć w Łucku, a dokończono w Soczawie mając wrócić i odebrać je za trzy lata. Gdyby w tym czasie nie nastąpił zwrot długu, zobowiązał się Jagiełło wypuścić Piotrowi zamek halicki z przynależącymi włościami.

Halicz pozostał przy Jagielle, a ledwie o św. Michale nastąpiła pora myśliwska, opuścił król stolicę Rusi Czerwonej i podjął krótką wycieczkę ku Karpatom. Dnia 14 października przyjmowała go szlachta okolic naddniestrzańskich w „małowołoskim” Żydaczowie. W cztery dni później był Jagiełło z powrotem w pobliżu Lwowa, w królewskim miasteczku Gródku.

Mając już zapewne pożegnać króla, stanęli tam przed, nim wysłańcy różnych gmin, czyli narodów lwowskich, mianowicie ogólnej rady miejskiej i Ormian z prośbą o potwierdzenie niektórych przywilejów. Rada miejska przedłożyła w tym celu dwa dokumenty, z których jeden zawierał dawną Kazimierzowską, przez Władysława Opolczyka tylko odnowioną darrowizną 100 łanów frankońskich miastu, drugi – uzyskane od Jadwigi przed siedmiu miesiącami swobody i prawa miejskie. Otrzymali wówczas i Ormianie takież sam przywilej od królowej, ale do późniejszej pory odraczając zatwierdzenie onego zażądali teraz jedynie ponowienia przywilejów króla Ludwika i królowej Elżbiety, zapewniających im wszelkie swobody „wewnątrz i zewnątrz murów”. Król Władysław Jagiełło nie odmówił spełnienia próśb. Dnia 18 października, w sam dzień św. Łukasza, stało się zadość radzie; nazajutrz, 19 października, Ormianom.

Dopiero po tak wspólnym przez Jadwigę i Jagiełłę owładnięciu Rusi Czerwonej, po wszechstronnym uznaniu ich obojga za panów kraju widzimy je oboje z pewnością w dwóch różnych od Lwowa stronach. Jadwiga bawiła w początkach grudnia znowuż w Krakowie, Jagiełło zaś odjechał ku północnym ziemiom, do Litwy. Zatrzymawszy się około św. Katarzyny w stołecznym Wilnie, obrócił znowuż w krainy ruskie i z początkiem roku 1388 zbliżył się ku Łuckowi.

Rządy królewskie w Rusi Czerwonej poruczono według dawnego za Kazimierza zwyczaju i nowych przy objęciu Halicza nadziei wojewodzie sędomiernemu, panu Jaśkowi z Tarnowa, „zięciowi” byłego wielkorządcy węgierskiego Emeryka Bubeka. Był to pierwszy kłos tego żniwa, jakim szlachcie małopolskiej miało wynagrodzić się przywrócenie Rusi Czerwonej. Już to w halickiej, już w dalszych dziedzinach ruskich zaczęli panowie krakowscy używać odtąd z urzędami i bez urzędów bogate dary w ziemiach, podwajające ich dotychczasową wielmożność. Dary takie padając w różnych stronach i czasach pojedynczymi, lecz rzęsyistymi kroplami nie pozostawiły po sobie wielkiego gwaru w kronikach. Tymci większe znaczenie miały one w rzeczywistości i jak panowie małopolscy marzyli o nich z dawna, tak i nam teraz u celu tych świetnych marzeń nie zapomnieć o ich ziszczeniu.

Ponieważ jednak pamięć zdarzeń podobnych spływa do potomności jedynie na przypadkowo ocalonych pergaminach nadawczych, tylko w małej części odkrytych i poznanych, przeto i nasze dzisiejsze o nich wspomnienie musi pozostać daleko w tyle poza ówczesnym znaczeniem rzeczywistości, poprzestać na przykładach niektórych. I tak, mówiąc naprzód o samej Rusi halickiej znajdujemy tam pod onym „generalnym starostą całej Rusi”, Jaśkiem z Tarnowa, kilku innych urzędników Polaków, piastujących godność starostów podrzędnych albo zastępczych, a piastujących ją wcale nie darmo. Jednym z najpierwszych pomiędzy tymi mniejszymi starostami znamy pana Gniewosza z Dalewic, niegdyś stronnika Wilhelmowego. W siedm lat po gościnie Rakuszana w Krakowie spotykamy się z panem Gniewoszem Dalewickim na Rusi, w Wiśni przemyskiej, która może i jemu winna jest poniekąd swoją nazwę „Sądowej”. Dawny bowiem powiernik romantycznych dziejów miłości w zamku krakowskim siadywał tam obecnie na sądy pomiędzy Rusinami i wydawał przechowane dotąd wyroki, rozpoczynające od oznajmienia wszystkim „dobrym”: „*a se my pan Hniwosz starosta ruskoj zemli obwiszczajem*” itd., itd.

Jego przełożonemu, panu wojewodzie sędomiernemu „z Tarnowa”, przyniosła Ruś Czerwona jedną z największych fortun onego wieku. Posiadał tam Jaśko od tego czasu rozległe dobra ziemskie, wziął dziedzictwem Przeworsk z okręgiem, pisze się „panem na Jarosławiu”, liczącym niegdyś kilkadziesiąt wsi w swoim kluczu, rozrządza nareszcie Glinianami. Zamieniając wieś gliniańską w miasteczko, budując łacińskie kościoły i kaplice w Przeworsku, Studzianie i Rozborzy, ubolewając jedynie nad brakiem „prawdziwych”, tj. łacińskich, chrześcijan w dobrach czerwonoruskich, przyznaje sam „generalny starosta” Jaśko w swych dokumentach, iż do syta dał mu Pan Bóg dóbr ziemskich, po największej części na Rusi.

Nie ustępował mu w tej mierze młodszy brat Spytko, wojewoda krakowski. Temu przypadł w ziemi ruskiej cały obwód samborski. Nie było tam wprawdzie zbytku ludności, lecz skrzętne zabiegi nowego „pana i dziedzica ziemi samborskiej” miały zaradzić niedostatkowi. Zaczem nie z dala od starego Sambora, na gruncie wsi Pohonicz, wznosi się niebawem udarowane ponętymi swobodami miasteczko Nowy Sambor, w którego rządy wójcińskie już roku 1390 wkupuje się człek doświadczony, były wójt z Łańcuta, Henryk, biegły w sztuce zgromadzania mieszkańców. Aby do wsi pobliskich „tym większą zwabić ludność”, mienia pan Spytko swój monaster Sozań i rzeczkę tegoż imienia za przyległe miastu sioło Jaryłowice, w teutońską niebawem przeistoczone osadę.

Nadto otacza się pan wojewoda z Melsztyna gęstymi przybyszami z ziemi wołoskiej, miewa wołoskich zarządców, czyli z ruska „wojewodów”, u swego dworu i bawiąc często w swoim „państwie samborskim” z piękną i gorąco ukochaną małżonką, z „najukochańszym bratem” Jaśkiem, generalnym starostą z sąsiadami, jak np. pan Herbut z pobliskiego Fulsztyna, wygląda jeszcze świetniejszych losów w tych stronach wschodnich.

Trzeci z panów krakowskich, kasztelan lubelski Piotr Szczekocki, inaczej Kmita, znany nam z różnych spraw publicznych przed przybyciem Jadwigi, mianowicie z poselstw po nią do Węgier, otrzymał tymi czasy Dubiecko z przyległościami. Owego Jaśka Tęczyńskiego potomstwo, który na pamiętnym zjeździe sieradzkim jedynie wymową swoją ocalił Polsce Jadwigę, po największej części na Rusi rozrosło się i zasłynęło. Toporczykowi Zaklice, czyli Tarle ze Szczekarzewic, dostała się tam znamienita posiadłość, dawne miasteczko Stryj, z pozwoleniem nowej lokacji. Zamek Olesko z całym powiatem przeszedł nieco później w ręce panów „na Siennie”, poczytujących się w Olesku za władców osobnego poniekąd księstwa.

Obok których to nadań książęcych nie mierzyły panów krakowskich nawet pomniejsze na Rusi dary, a pan Jan Manzyk Dąbrowa, pierwszy z rzeczywistych później wojewodów polskich w Haliczu, przyjął nawet niezbyt zapewne hojne dochody wójtostwa w Tyśmienicy.

Wszakże nie tylko pan ów otrzymywały ziemie ruskie z za Wisły. Napływał im stamtąd mnogi też lud poddańczy, bezpośredni uprawiacz ziemi. Najliczniejsze tego rodzaju tłumy przybywały Rusi z Mazowsza, a stronami ruskimi, w których Mazurowie rozgnieździli się na j przestronniej, było dotychczasowe księstwo bełskie.

Bełz w nieco odmienny sposób uległ teraz wpływowi Polski. Stanowiąc z dawien dawna część Rusi Czerwonej, służyło księstwo bełskie również dawno za przedmiot sporu sąsiedom, Litwie, Krakowianom, Mazowszu. Przy dawniejszym zajęciu ziemi halickiej zaspokoił nim Kazimierz Wielki usuniętych z Rusi książąt Mazowsza, którzy niebawem stracili je do Litwy. Od ostatnich lat Kazimierza Wielkiego aż do obecnych czasów Władysława Jagiełły posiadali Bełz z Chełmem jako hołdownicy Korony Polskiej książęta litewscy Jerzy i Jan, syn i wnuk Narymunta Gedyminowica.

Obecnie, przy ostatecznym wcieleniu Rusi przez Jadwigę i Jagiełłę, nastąpiło zadośćuczynienie wszystkim pretensjom, a to przez nadanie Bełza młodemu księciu Mazowsza, Ziemowitowi. Wynagrodziwszy mu ręką siostry Aleksandry zniweczone nadzieje tronu polskiego, umyślił Jagiełło naprzód wydzielić mu w posagu ziemię radomską. Lecz opór panów polskich nie dopuścił oderwania jej od Korony. Usunął tedy król litewskich książąt z Bełza i nadał go swemu „zięciowi” mazowieckiemu posagiem księżniczki ze krwi litewskiej, zachowując sobie jako król Polski i dziedzic Rusi najwyższe nad nim zwierzchnictwo.

Tym sposobem według zasady Jagiełłowej „stała się świeczka” każdemu uroszczeniu. Terazniejsze nadanie Ziemowitowi Bełza z Lubaczowem, Buskiem, Grabowcem, Horodłem, Szewołoszem i Łopatynem zostało w późniejszych latach nowymi utwierdzone paktami. Wraz z książęciem mazowieckim rozsypał się po całej ziemi bełskiej tłum ubogiego szlachectwa mazowieckiego. Cała Ruś bełska zamazurzała. W którykolwiek pergamin ruski z onego czasu zagłędiesz, prawie w każdy z nich pomiędzy podpisanymi u spodu świadków wciśniętą się jakiś „Mazur”.

Z księstwem bełskim szła zwyczajnie pospołu ziemia chełmska. Podczas obecnego uprządkowania Rusi. Czerwonej połączyła się ona całkowicie z Królestwem Polskim. Nie poszczęściło się przy tym żadnemu z rodów małopolskich tak świetnie, jak rodowi pana podskarbiego koronnego Dymitra. Zamknięcie drogi Jadwidze do mniemanego małżonka z Rakuz zasługiwało teraz na równie wspaniały dank Jagiełły, jak usługi wszystkiej reszty owych panów z Tarnowa, Melsztyna, Kurozwęk itd. Dawna zaś zamożność pana na Goraju i Ładzie nie pozwalała szczęśliwemu rywalowi Wilhelmowemu zbyć go czymkolwiek.

Jakoż odniósł Dymitr teraz z łaski Jagiełły hojną nagrodę ziemską, która dłużej niż jakikolwiek z podobnych darów ówczesnych dziwiła uwagę ludzką. Dawniejszy datek Ludwików, lubelski zamek Goraj leżący tuż u granic ziemi chełmskiej, sąsiedował z pobliskim w niej miasteczkiem Szczebrzeszynem. Już były książę „Ruski”, Opolczyk, miał Dymitrowi nadać Szczebrzeszyn. Częste atoli zmiany panujących w tej stronie skaziły, jak się zdaje, donację Opolczykową. Dopiero Władysław Jagiełło ustalił ją teraz w domu Gorajskich.

Kilkunastą tygodniami po wspomnianym niedawno pobycie króla na Rusi otrzymał pan podskarbi, a nieco później (niezwykłej fortunności przykładem) oraz i marszałek koronny, potwierdzenie własności Szczebrzeszyna z przysporzeniem wcale nowego lustru darowi. Rzadkim w dziejach polskich przykładem poruczył król zamieszkała w sąsiedztwie szlachtę zwierzchnictwu nowego pana na Szczebrzeszynie. W roku następnym przyczyniła łaska królewska do dawniejszych darowizn trzecie w pobliżu miastko Turobin. Oprócz Turobina, Szczebrzeszyna, Goraja należało panu podskarbiemu jeszcze niedalekie miasteczko Kraśnik.

Te cztery miasteczka, do tego „przeszło półtora sta przyległych wsi” z zwierzchnictwem nad wszystką na tej przestrzeni osiadłą szlachtą tworzyły razem jakoby księstwo udzielne, uderzające jedynym u nas przykładem feudalnego urzędowania stosunków. Pan szczebrzeszyński wyprowadzał szlachtę okoliczną pod swoją chorągwią na wyprawę wojenną, sądził ją w swoim grodzie stołecznym, nadawał jej puste obszary w posiadanie hołdowe, zatwierdzał swoją zwierzchnością jej układy majątkowe itp.

Dzięki powszechnej wziętości obudwóch panów z Goraja, pana Dymitra i jego brata Iwonii albo Iwana, nie sprzeciwiała się szlachta miejscowa senioratowi szczebrzeszyńskiemu. Ziemia chełmska była ich gniazdem rodzinnym i miała niemało posług do zawdzięczenia ich przodkom. Toć jeszcze za króla Kazimierza Wielkiego ojciec Dymitrów i Iwanów, sędzia niegdyś chełmski Iwonia, zasłużył się całej krainie niebezpiecznym poselstwem do ziem tatarskich. Nie tylko więc żadnego oporu nie budziło dzisiejsze uwielmożenie jego rodziny, ale doszły owszem głosy przeciwne, iż po ustąpieniu Opolczyka z Rusi Czerwonej samaż szlachta okoliczna wstawiała się u króla, aby utwierdził pana Dymitra w wątpliwej donacji Szczebrzeszyna.

W spokoju tedy i w zgodzie kwitnęło „państwo szczebrzeszyńskie” uczestnicząc w tej ogólnej dokoła pomyślności, którą baczny niegdyś stróż furty w zamku krakowskim wespół z resztą panów koronnych dopomógł sprowadzić na cały kraj. „Wielką obronę wszyscy i sprawiedliwość od pana swego Dymitra z Goraju mieli, ucisku żadnego ani oni, ani okoliczni inni sąsiedzi, przylegli państwowym onym, nie znali... Pan Dymitr, rozdawszy wiele swych gruntów, na których wiele się rycerstwa zacnego osadziło, zwał się sprawiedliwie także de Boży Dar, bo udzielał hojnie daru Bożego” – a za jego córkami ginęła z miłości najwaleczniejsza młodzież dni onych.

Jak bowiem pan podskarbi koronny dopomagał ojczyźnie urósć w fortunę głównie za pomocą młodocianej królowej, za pomocą kądzieli, tak i jemu tylko kądzielą pobłogosławiły niebiosa. Wszystkie „państwa” Dymitrowe spadały na trzy córki, pomiędzy których zwłaszcza średnia Anna, poślubiona synowi onego wymownego Jaśka z Tęczyna, Andrzejowi Tęczyńskiemu, także kasztelanowi z Wojnicza, dziwną w swoim oblubieńcu wzbudzała miłość.

Tenże brak miecza w rodzie nie dał utrzymać się długo feudalnemu senioratowi szczebrzeszyńskiemu. Upadł on przez niewiastę, która Szczebrzeszyn przeniosła w dom Tarnowskich.

Po dziś dzień jednakże lubią miłośnicy starożytności zastanawiać się nad tym ciekawym śladem feudalizmu ówczesnej Polski. Dla społeczników nie był on bynajmniej tak uderzającą osobliwością, jak dla nas. Owszem, wielkie w ziemiach ruskich nadania, o których właśnie mówimy, same przez się wiodły do tego. Nie mogąc bowiem podobać inaczey zagospodarowaniu nadanych obszarów pustych, musieli magnaci obdarzeni wydzielać je dalej pomniejszymi posiadłościami szlachcie uboższej, która mimo wszelki wstręt do przyjmowania na siebie obowiązków uległości względem panów możniejszych była przecieź zniewolona wchodzić tym sposobem w stosunek lenny i pozostawała w nim rzeczywiście przez czas niejaki.

Następne lata narzuciły wprawdzie odmienną postać rzeczom, lecz za pana Dymitra feudalność szczebrzeszyńska zdawała się wcale rodzimą plantą ziem ruskich. Stwierdza się to osobliwie w jednym z tych dalszych krajów ruskich, które po obecnym zajęciu Rusi Czerwonej otwierają się, już to wpływowi, już bezpośrednio właścicielstwu Polaków, tj. w najbezpośredniej z Haliczem związanej ziemi podolskiej.

Podole ówczesne nie znało małych fortun. Tam podówczas co dar, to pół królestwa; co pan, to księżę na wielu grodach. Cóż w pustyni po nadaniu łanowym, po zagrodzie szlacheckiej! Z wyjątkiem kilku donacji pomniejszych, ograniczających się na pojedyncze wsie, a czynionych tylko w poblizszej i bezpieczniejszej części Podola między Smotryczem a Kamieńcem, tuż za murami miejskimi, nie znamy szczegółowych darowizn na Podolu. Ogółem kraju, tj. zamkami Kamieńcem, Smotryczem, Skalą, Bakotą, Braclawiem itd., opasanymi dookoła nieszerokim pobrzeżem nieco ludniejszej i uprawniejszej ziemi, władali po Tatarach z kolei trzej wspomnieni już księżęta Koriatowicze, synowcowie Władysława Jagiełły, Jerzy, Konstantyn, a w końcu Fiedor.

Jeszcze dalszą, jeszcze puściejszą Ruś podolską, czyli Ukrainę z Kijowem, trzymał rodzony brat Jagiełłów, Włodzimierz. Obaj ostatni księżęta, Fiedor podolski i Włodzimierz kijowski, złożyli w porze zajęcia Rusi Czerwonej hołd wierności królowi i Królestwu Polskiemu. W kilka lat później, około 1393, wybuchnęły zatargi wojenne pomiędzy Fiedorem podolskim i Witołdem litewskim. Powiodło się Witołdowi pojmać zwyciężonego Fiedora i opanować Podole. Król Jagiełło rozkazał mu uznać się niezwłocznie hołdownikiem Korony, lecz mimo posłuszeństwa Witołda nie chciał pozostawić go w posiadaniu całej ziemi zajętej. Wołał podzielić Podole w dwie połowy, a część zachodnią, około Kamieńca Podolskiego, ludniejszą i łatwiejszą do utrzymania, przeznaczył komuś bliższemu Rusi Czerwonej i Polsce.

Natenczas pokłonił się królowi o Podole ulubiony wojewoda krakowski Spytko, pan ziemi samborskiej, brat generalnego starosty Rusi Halickiej. Król Władysław nie umiał nigdy odmówić niczego ulubieńcom, a młodemu wojewodzie krakowskiemu przyznawano u dworu królewskiego największy udział w zasłudze wyniesienia Jagiełły na tron polski. Otrzymał tedy pan Spytko ziemię podolską.

Działy się darowizny podobne. różnym kształtem. Zwyczajnie urościł sobie ten lub ów pan możniejszy pretensję pewnej sumy pieniężnej, należącej mu się od króla bądź to za szkody wojenne, które król według paktów winien był wynagradzać, bądź to za koszta różnych poselstw w kraju lub za granicę, bądź za jakąkolwiek inną wysługę. Król uznawał sprawiedliwość żądania, lecz nie mając pieniędzy zabezpieczał, czyli „zapisywał”, sumę żadaną na pewnym zamku i majątku królewskim, który odtąd przechodził w posiadanie żądającego z warunkiem zwrócenia skarbowi posiadłości zastawnej, skoro należytość wypłaconą zostanie. Wypłata nie przychodziła zwykle do skutku, a dobra królewskie zamieniały się z przeciągiem czasu w dziedzictwo. Niekiedy do sumy uroszczonej dopłacił żądający pewną kwotę pieniężną i uzyskiwał nieproporcjonalnie szerokie włości. W każdym razie bywały takie zastawy raczej łaski królewskiej niż rzeczywistej należytości owocem.

Podobnym też sposobem, wskutek zaliczonego królowi grosza, miał i pan Spytko posiąść teraz Podole. Słychać, jakoby Witołd przeznaczoną Spytkowi część ziemi podolskiej sprzedał poprzednio stryjecznemu bratu Jagielle za 20 000 kóp groszy polskich, „w których ona następ-

nie zastawioną została wojewodzie”. Przeważniejsze atoli głosy twierdzą, iż król Władysław Jagiełło nadał Spytkowi Podole „wieczystym, acz lennym darem”, obowiązującym go oczywiście do uległości hołdowej i zwykłych usług królowi i Królestwu Polskiemu. Doznawała wprawdzie darowizna ta niemałego oporu ze strony samej królowej Jadwigi, tudzież panów rad koronnych i reszty szlachty patrzącej krzywym okiem na gwałtowny wzrost niektórych możnowładców, lecz życzliwość królewska potrafiła utrzymać ulubieńca przy darowiznie.

Młody wojewoda krakowski pozostał lennym panem Podola. Do niedawnego daru ziemi samborskiej przybyły teraz zamki i ziemie Kamieniec, Smotrycz, Skała, Czerwonogród i Bakota. W porównaniu z tymi „państwami” w Rusi Czerwonej i na Podolu czymże wydała się teraz dawna ojcowizna Spytkowa w ziemi krakowskiej, mały Melsztyn, zapomniane Charzewo, tylko chudopacholskim niegdyś oczom świetne i okazałe! Wybór Jadwigi, trudy około połączenia jej z Litwinem, a usunięcia Wilhelma, jako o tym tylokrotnie wzmiankę zrobić przychodzi, złotymi odplacały się plony. Wielmożność obecnych panów na Tarnowie, Przeworsku i Jarosławiu, na Goraju i Szczebrzeszynie na Melsztynie, Samborze, Kamieńcu itd. rosła dziwnie szybko w rozmiary, o jakich nie marzyli skromni ojcowie.

I nie koniec jeszcze fortunie pana Spytka. Prawie jednocześnie z darem Podola nadał mu król łaskawy kilka opanowanych na Szląsku zamków, mianowicie „Lubieniec, Strzelce i inne”. Tamże na Szląsku posiadał on i zastawiał książętom szląskim dalsze zamki, Oleśnicę i Gorzno. Przydane województwu krakowskiemu wielkorządztwo ziemi krakowskiej i starostwo wieluńskie, osadzone namiestnikami z grona dworzan melsztyńskich, przydawały coraz więcej znaczenia i dostatków. Pan tylu grodów i ziem dorównywał wielkością najświetniejszym książętom zagranicy.

Jakoż nie czym innym, a wielkim książęciem feudalnym okazywał się teraz nasz wojewoda krakowski w całym swoim pożyciu dworskim, w swoich związkach i widokach rodzinnych. Na urzędach jego dworu służyli mnogich włości panowie. Imiona wielu dostojników koronnych poszły w niepamięć, a melsztyńskiego dworu marszałek Bernat, melsztyński „wojewoda” Ścibor z Oglądowa, melsztyński cześnik Mikołaj, notariusz Prokop, dworzanie Szczepiecki, Frycz, Oderski, przetrwali do naszych czasów. Pełnych skarbców melsztyńskich doglądało aż dwóch urzędników, podskarbi Przeclaw i skarbnik Paweł Kościan z Sędziszowa, możny ziemianin.

A ileż matron i dziewic czuwało nad młodą i piękną panią z Melsztyna, ową ukochaną starościanką ruską Elżbietą! Ile wzroków służebnych strzegło trojga dzieciąt melsztyńskich, zwłaszcza dziecięcej panny z Melsztyna, Jadwigi, dziedziczki tylu skarbów! Zaledwie z pieluch wyrosła, zapewnia ją sobie ugodą ślubną panujący książę z krwi Piastów, Opolski Bernard na Falkobergu, czyli Niemodlinie, synowiec Opolczyka. Nie było czci i szczęścia, których by nie zaznał wojewoda krakowski. Ludzie dali mu miłość, ziemia dostatki, a niebo wyzuło się z gwiazd swoich, aby mu pozwolić naprzód księżycy z gwiazdą Leliwów jako herbu rodziny, później zaś słońca jako herbu jego ziemi podolskiej.

Lecz ta wszystka fortuna graniczyła o miedzę z Ordą. „Państwa” Spytkowe leżały właśnie na kuczmańskim i wołoskim szlaku tatarstwa. Dlatego myślał pan Spytko przed wszystkim o murowaniu olbrzymich grodów na Rusi, o krzyżowych wyprawach przeciw pogaństwu. W tym zbiegu błogich i wrogich losów okazało się, iż ze wszystkich skarbów melsztyńskich najwspanialszym była wzniosła dusza ich pana. Ujrzymy to nazbyt wcześnie dla Spytka.

Wtedy Podole innego dostało władzcę. Jak dalsze wschodnie strony podolskie, mianowicie zamki Braclaw, Winnica i Sokolec, należały wciąż do jednego z braci królewskich, mianowicie do stryjecznego Jagiełły księcia Witolda, tak i wykupioną natenczas od owdowiałej pani Spytkowej zachodnią część Podola objął drugi z braci Jagiełły, rodzony brat Świdrygiełł. Po niedługim czasie połączyły się obie połowy w rękę mądrego i walecznego Witolda. Zawsze jednak Władysław Jagiełło jako król Polski najwyższą nad nim zachował zwierzchność i zawsze Polacy naczelne dzierżyli tam urzędy.

Bądź to z ramienia królewskiego, bądź pod Witołdem władali na Podolu z kolei i jednocześnie – ów Piotr Szafraniec, podstoli krakowski, który zasłużył się Jagielle poselstwami do Litwy przed jego koronacją; ów Piotr Włodkiewicz z Charbinowic, syn Szafrancowego spółtowarzysza tych poselstw, Włodka; ów Rafał z Tarnowa, członek najwyżej w łaskach królewskich położonego rodu, starostujący w Braclawiu; ów potomek również poważnej rodziny panów z Tęczyna, podstoli krakowski Andrzej; wreszcie Piotr Karnaczian, dawniej kasztelan dobrzyński, pan Granowski i inni. Osobliwie syn przedkoronacyjnego ambasadora do Litwy Włodka, pan Piotr Włodkiewicz, posiadacz dóbr ziemskich w pobliżu Lwowa, naprzód „wojewoda”, potem generalny Rusi Czerwonej, zagnieździł się z całym domem na Rusi.

Każdemu z nich odpłacała się służba w tych stronach wschodnich niezwykle dobrym mieniem światowym. Z czym wszystkim nie godzi się przecieź mniemać, jakoby miłe Polakom urzędy ruskie były chlebem łaskawym, nagrodą bez ofiary i ciągłej pracy. Słuszna przypomnieć sobie, co o zaludnieniu Podola przez Polaków mówi jeden z najczcigodniejszych prałatów jagiellońskich. „Oprócz gleby tucznej – dowiadujemy się od niego nęcą jeszcze Polaków na Podole ciągle harce z Tatarstwem”. Stąd nie było fortuny ruskiej, która by nie oblała się krwią. A jeśli nasz wielki Spytka, jak o tym usłyszymy, dał wkrótce życie za nią, tedy niejeden z szczęśliwszych od niego magnatów polskich w Haliczu i na Podolu chodził do śmierci z takimi tatarskimi pręgami na całym ciele, jakie „swoim własnym okiem śmiertelnym” podziwiał główny kronikarz tamtych czasów na jednym z potomków owego na Rusi zagnieźdzonego Piotra Włodkowicza herbu Sulima.

Po strasznej klęsce rycerstwa na Podolu utaił się ranny Sulimczyk pomiędzy poległymi udając trupa. Tatarzyn zabrał się do zwlekania z niego odzieży, lecz nie mogąc dać rady butom i szarawarom, zaczął pruć je handżarem na żywym ciele. Nakrajawszy wzdłuż i w poprzek krwawych na skórze szwów wziął się pohaniec do ściągania sygnetu z palca. Gdy i to nie wiodło się dość łatwo, odciął palec. Włodkiewicz nie zdradził się żadnym drgnięciem i uszedłszy wreszcie z życiem z pobojuwiska długo jeszcze „panował” potem na Rusi.

Nieco przed poddaniem Podola Polsce w osobie Spytka z Melsztyna wzięła Korona podobnie przewagę na Wołyniu. Stało się to nawet z narażeniem króla Jagiełły na wielce niebezpieczne niechęci. O ile bowiem ludniejszą i budowniejszą od Podola była ziemia wołyńska, o tyle więcej pretendentów zmierzało do jej posięcia. Sięgał po nią osobliwie stryjeczny Jagiełłów, Witołd, upewniony w tym słowami samegoż króla, który według późniejszych skarg Witołdowych przyrzekł odstąpić mu najpiękniejszą schedę Wołynia. Był tym, jak wiadomo, zamek i powiat łucki, który aż do czasu opanowania Rusi Czerwonej przez Jadwigę zostawał wraz z Włodzimierzem pod rozkazami Fiedora Lubartowicza.

W porze terażniejszego owładnięcia Halicza przystąpił król do nowego urządzenia Wołynia. Naprzód nadwątloną została władza Lubartowicza przez ustalenie księcia Fiedora Daniłowicza na grodzie i powiecie ostrogskim, ku czemu przyrosły niebawem nowe obszerne posiadłości, Koszer, Zasław, Chłopotyn, nadane i przyjęte z wyraźnym warunkiem hołdu Koronie Polskiej. Następnie musiał Lubartowicz opuścić w całe Łuck i poprzestać na samym Włodzimierzu. W Łucku zaś osiadł z ramienia królewskiego nie Witołd, ale jeden z przednich panów krakowskich, brat nieboszczyka biskupa Zawiszy, syn starego kasztelana krakowskiego Dobiesława z Kurozwęk, Krzesław, kasztelan sędomierski.

Znamienite około sprawy Jagiełłowej zasługi brata i ojca wróżyły mu odpowiednią tymi czasy nagrodę, a obecność Krzesława w gronie panów koronnych towarzyszących Jadwidze w drodze na Ruś okazuje go przeznaczonym do udziału w obecnych darach ruskich. Jakoż ziściły się słuszne nadzieje. Brat głównego sprawcy paktu w Koszycach odzierżył jako starosta, czyli wielkorządca polski, główną dzielnicę Wołynia, tj. zamek i powiat łucki.

Starostwo wołyńskie stawilo Kurozwęckich na równi z resztą uwielmożonych teraz rodzin z Tarnowa, Melsztyna, Goraja itd., lecz pan Krzesław nie gonił za wielkością światową. Wszystko, co o nim wiemy, uposażenie parafii w rodzinnej wsi Chodowie, jałmużna dwóch

wsi klasztorowi Świętokrzyskiemu, owo niesłuchanie zbytkowne nabożeństwo pogrzebne po śmierci brata biskupa świadczy o duchu pomnym głównie wieczności. Nie wiele też doczesnego gwaru sprawiły starościńskie rządy pana Krzesława. Po niewiadomym dokładnie przeciągu lat ustąpił on z cicha również niegłośnemu następcy. Później zmieniały się jeszcze niejednokrotnie rządy Wołynia, lecz mimo wszelkich kolei, o których później zdarzy się bliższa wzmianka, nie umniejszała się ostatecznie coraz jawniejsza przewaga Korony w ziemiach wołyńskich.

Oprócz Podola i Wołynia przyniosła Ruś Czerwona królestwu jeszcze długoletnie hołdownictwo Mołdawii. Za przykładem „zięcia” Jagiełłowego Piotra i jego przysięgi wierności we Lwowie szedł prawie każdy z następnych wojewodów mułtańskich. W roku 1393 złożył podobnie przysięgę hołdowną Roman, w latach 1395, 1396 i 1400 Stefan, w latach 1402, 1404, 1413 Aleksander. Owszem, nawet dalszej Wołoszy gospodarowie wstępowali radzi w związek zawisłości lub przymierza z Koroną. Lata 1396, 1403, 1411 zapewniły Polsce uległość władców niższej Mołdawii, czyli tak zwanej krainy „Bożych rabów”, sług Bożych, zwyczajnego przydomku jej wojewodów, dziś Besarabii.

Tymiż samymi czasy ofiarował Polsce sojusz i pomoc w razie potrzeby gospodar Wołoszczyzny naddunajskiej Mircio, przyswojony królestwu wielorakimi traktaty, zaprzysięganymi osobiście przez tegoż księcia roku 1389 w Radomiu, 1390 w Lublinie, 1391 we Lwowie. Pomniejsze miasta polskie nawykały do uroczystości publicznych, jakich by się nie powstydzily stolice; gospodarowie wołoscy rozmijali się po drogach polskich, jeżdżając z gęsta do Radomia, Lwowa, Lublina, a synowie i wnukowie rycerstwa, które przed 50 laty ginęło za Kazimierza Wielkiego na Bukowinie, syn naszego posła do Krewa po Jagiełłę, Włodkowicz, nasz miłosny poufnik Wilhelma i starosta ruski, Gniewosz z Dalewic, rokowali bezpiecznie w głębi Wołoszczyzny z osławionymi z drapierstwa bojary wołoskimi, odbierali od nich hołdy w Soczawie.

I nie były to czece widowiska próżności, ceremonie bez rzeczywistych korzyści. Hołdy i sojusze wołoskie obracały się Polsce w bardzo jawny pożytek. Przez nie strony Śniatyna i Pokucia, ta „mniejsza niegdyś Wołosza”, sięgająca dawniej aż poza miasto Żydaczów, a ciągłymi wtedy najazdami Wołochów gnębiona i odrywana od Rusi, ustaliły się w związku z resztą ziemi halickiej. Gwoli przyjaźni królów udzielali książęta wołoscy miastom polskim, w szczególności kupiectwu lwowskiemu, cennych swobód handlowych.

Dopieroż teraz rozpostarł się najszerzej handel rusko-wołoski, pociągający ku sobie nawet kupców odleglejszego Krakowa, nie obojętnych bynajmniej względem naddniestrzańskiej drogi w strony wołoskie, ku słynnym tamże stanowiskom handlowym, jak Romanów targ, Jaski targ itp. Również nieobojętną pomocą służyły Polsce zbrojne posiłki wołoskie, towarzyszące Jagiełłę w niejednej wyprawie wojennej. Tak rozliczne korzyści uległości i przyjaźni książąt wołoskich, tak rozliczne kraje Wołoszy, Podola i Wołynia, do których z Rusi Czerwonej otworzyła się droga wpływowi i zwierzchnictwu polskiemu, uczyniły opowiedziane tu owładnięcie tego kraju jednym z najpiękniejszych rezultatów całej historycznej katastrofy ostatnich lat.

Owszem, rozkołysana raz fala szczęścia coraz szersze toczyła kręgi. Szczęśliwie obrona droga rozpościerania wpływu swojego ku Wschodowi prowadziła Polskę do coraz dalszych sojuszów. W roku zajęcia Rusi Czerwonej i hołdu mołdawskiego we Lwowie uzyskał Jagiełło przymierze sławnego władcy Moskwy, pogromcy Ordy nad Donem, wielkiego księcia Dymitra Dońskiego.

Podczas gdy właśnie nowy hołdownik mołdawski bratał się z Polakami, przybył do Mułtan siedmnastoletni młodzieniec zbiegły z niewoli tatarskiej. Był to syn wielkiego księcia moskiewskiego Dymitra, Wasyl, zabrany niegdyś w jasyr przez Ordę. Pierwsza niepomyślna próba ucieczki prostą drogą ku Moskwie zniewoliła go uciekać powtórnie stroną przeciwną, ku ziemiom podolskim i mułtańskim. Z Mołdawii udał on się wraz z wojewodą Piotrem na

Ruś do jednego z stołecznych miast Jagiełłowych. Ofiarowana mu tam gościna przeciągnęła się tak długo, że tymczasem sam ojciec, wielki książę moskiewski, usłyszał o pobycie syna na dworze polskim. Wyprawił tedy posłów ku Haliczowi, którzy by zawarli przymierze z królem Władysławem Jagiełłą i przyprowadzili księcia do ojczyzny.

Król polski przyjął sojusz wielkiego księcia Dymitra i odesłał mu syna pod strażą szlacheckiej drużyny polskiej, która towarzyszyła Wasylowi aż do stolicy moskiewskiej. Pierwsza to pono wędrownica polska w te strony. Bez zajęcia Rusi Czerwonej byłaby Polska prawdopodobnie ani tym przymierzem moskiewskim ani resztą opisanych tu związków nie mogła rozszerzyć imienia swego po Wschodzie. Łzy Jadwigi nad losem matki w ręku rozjuszonych powstańców, nad losem, który tak dalece ułatwił opanowanie Rusi Czerwonej, znowuż błogosławieństwo przyniosły Polsce.

Jakoż były to łzy jedyne, które zrosiły zajęcie Rusi przez Polskę. Patrzące na ten wypadek pokolenia ani podniosły jakikolwiek stąd głos niechęci, ani miały powód ku temu. Wszelkie bowiem łaski fortuny, wszelkie dobrodziejstwa nowego stanu społeczeńskiego płynęły w równej mierze nowym panom Rusi, Polakom, jak i rodzinnemu jej plemieniu, Rusinom. Jeśli opowiedzieliśmy szczegółowo nadania ziem i zaszczytów, uzyskane głównie przez panów polskich, tedy stało się to dlatego, iż powieść historyczna zajmuje się przed wszystkim nowymi zjawiskami swojego czasu, widokiem zmian czasowych, a nadania dóbr i urzędów ruskich Rusinom są same przez się zrozumiałą rzeczą na Rusi.

Nie brakło też podobnych darów w epoce, o której mowa obecnie. Mielibyśmy, owszem, niemało do przytoczenia w tej mierze. Czy to u steru głównych urzędów krajowych, czy na „państwie” rozległych posiadłości, wszędzie obok Polaków siedzą z woli królewskiej krajowcy ruscy. Nazwiska ówczesnych panów ruskich z Monasterzysk, z Bybla, z Buczacza nie mają dziś czestnej pamięci na swojej ziemi, lecz za czasów Jadwigi świeciło im toż samo słońce pomyślności co cnym panom z Tarnowa i Melsztyna.

Monasterscy ówczesni to przodkowie sławnej do późniejszych lat rodziny Jazłowieckich. Panowie Bybelscy, posiadacze nader szerokich włości, chlubili się fortuną i dostojnością księżęcą. Rusin Hryćko głośnego rodu Kierdejowiczów rządził Podolem; Lien, czyli Lienko Diak, z łaski Jagiełłowej pan na dobrach holińskich, starostował w powiecie żydaczowskim; a licznie rozrodzeni Buczaccy: Michał, Bartosz, Fiedor, Mużyło, bądź to jako starostowie powiatu kołomyjskiego, bądź jako posłowie królewscy na Wołoszczyznę wielorako w publiczne sprawy onych czasów wmieszani, zapelnili sobą gęstą kartę w kronikach.

Osobliwie zaś pruscy panowie Teptuchowicze, wraz z tamtymi dziś zapomniani, jak szeroką wówczas przestrzeń ziemi posiadli, tak jedynie polskim zawdzięczali ją czasom. Ojciec „Wąsko Teptuch z Tyśmienicy” otrzymał od króla Kazimierza solne źródła w Nowicy i Utropie za Kołomyją; synowi „Wąskowi Teptuchowiczowi”, obdarzonemu od Władysława Opolczyka Strzeliskami, Mikityńcami i Gwoźdźcem, potwierdza Władysław Jagiełło te dawniejsze nabytki i przydaje mu nadto prawdziwie królewskim darem Podborze, Suchodół, Staroduby, Kłuczów, Kamionę, Brzeżany itd., itd., razem około 30 wsi w powiatach halickim, śniatyńskim i kołomyjskim...

A nadając ziemie, nie odbierano krajowcom tego, co droższe jest od ziemi, obyczaju i wiary przodków. Obrządek miejscowy zachował dawną przewagę. Ustanowiona przez Kazimierza Wielkiego metropolia grecka w Haliczu trwała przynajmniej po koniec tego wieku. Władcy przemyscy utwierdzali się przy pomocy królewskiej w dawnych prawach i posiadłościach. Coraz większa liczba katolików łacińskich nadawała Kościołowi i duchowieństwu rzymskiemu z każdym dniem więcej praw i widoków na Rusi, obecny atoli stan młodej winnicy rzymskiej, stan nader wątyły i skromny, nie wzbudzał zazdrości i niepokoju w krajowcach.

Z założonych przez króla Ludwika katedr biskupich w Przemyślu, Włodzimierzu, Chełmie pod arcybiskupstwem w Haliczu żadna jeszcze w latach zajęcia Rusi Czerwonej przez Pola-

ków nie miała swej kapituły. Najzamożniejsze z tych biskupstw, przemyskie, tulące się przy dawnym parafialnym kościółku Św. Piotra, podczas gdy ruski biskup wciąż jeszcze obrzędowa! w głównym kościele katedralnym na zamku, otrzymało ją dopiero w r. 1390. Arcybiskupowie łacińscy jeszcze w trzy lata później uskarżali się na brak podobnegoż kolegium; wszystkie stolice łacińskie, z wyjątkiem przemyskiej, były pod względem dochodów „mało co warte”, a katedra chełmska czekała nowej z gruntu fundacji.

Łacińscy nieprzyjaciele Jagiełły, Krzyżacy, podnosili głośną przeciwko niemu skargę, iż „za panowania jego chrześcijaństwo (łacińskie) nader małe postępy czyni na Rusi. W każdej bowiem diecezji są dwaj różni biskupi, chrześcijański i ruski, tamten ubogi, ten bogaty i możny, a jeśli jedno nowo narodzone dziecko chrześcijańskie ochrzczone bywa chrztem, tedy przeszło sto otrzymuje chrzest ruski”. Nadzwyczajnie też gęste swary w łonie duchowieństwa łacińskiego na Rusi, mianowicie jednoczesne w tej porze niesnaski między dawnymi pastarzami Rusi Czerwonej w Lubuszu a całą archidiecezją rzymską w Haliczu, między arcybiskupem halickim a biskupem przemyskim o granice diecezjalne, między arcybiskupem a dominikanami we Lwowie, między proboszczem lwowskim a obudwoma zgromadzeniami dominikanów i franciszkanów, między tymże proboszczem a radą miejską, ubliżające powadze kapłanów rzymskich, nie podnosiły także ich władzy.

Stąd mimo usilnych życzeń duchowieństwa nowego, mimo ofiary dziesięciny snopowej, a przyzwolenia, iżby „dla tym skorszego napływu ludności katolickiej dziesięcinę opłacano w pieniądzach” mało jeszcze było włości duchownych i kościołów łacińskich nawet w najbliższych Małopolsce stronach przemyskich, a sam król Jagiełło, „patrzac (jeszcze w roku 1408) na wielkie ubóstwo (najbogatszej) katedry i kapituły przemyskiej z przyczyny opustoszenia jej wsi dziedzicznych”, zamiast powiększyć dotację umniejsza liczbę kanoników.

Pod takimi warunkami rozpoczęte rządy koronne nie miały cechy ciemięstwa. Nie pozabawiając Rusi niepodległości, odjętej szczupłemu krajowi samą cieśnią położenia pomiędzy przemożniejszymi sąsiadami, tyle one rządzącym, co rządzoną przynosiły korzyści. Nawet włączanie się Polaków w szerokie posiadłości na Rusi przedstawiało się podówczas w innym świetle niż dziś.

Wówczas wiedziano, że każdy obszar ziemi przechodzący w posiadanie nowego, a zwłaszcza możnego właściciela otrzymywał tym samym uprawę, opiekę sądową i obronę wojenną. Pod tym względem nie uwolnienia się od Polaków, lecz jak najtłumniejszego napływu jakichkolwiek „zaborców”, jakichkolwiek osadników i obrońców pragnęła Ruś ówczesna. Odległość czasu zmienia pojęcie ludzkie; o ile atoli taka potrzeba zaludnienia dawała czuć się powszechnie krainom ruskim, najlepiej uwydatnia się tym, iż obok rozległych nadań ziemskich krajowcom, obok nowych posiadłości Polaków stawało tam jeszcze miejsca dla tłumy i n n y c h osadników najrozmaitszej narodowości i wiary.

Taż sama różnorodność języków, strojów i obyczajów, jakąśmy widzieli w obrębie stolicy ruskiej, pstrzyła także ogół wiejskich mieszkańców Rusi XIV stulecia. Oprócz Rusinów i Mazurów widziałeś tam Niemców, Ormian, Węgrów, Wołochów, Serbów, Kroatów. Chcemyż poznać ich tu owdzie o s o b i ś c i e? Oto np. Ormianin Mardrus sprzedaje mieszczaninowi lwowskiemu wieś Małochę. Oto niedawny przybysz niemiecki, Herburt, ledwie założył Felsztyn, już posiada Dobromil, już jakiś drugi Herburtowiec trzyma Kniahinicze za Lwowem, trzeci Bełcz, czwarty Felsztyn w ziemi podolskiej.

W roku 1385 obdarza królowa Maria Węgrzyna Kis-Pallugię trzema wsiami w Przemyskiem: Jesmanicami, P l e s z e w i c a m i, Popowicami, a już w roku 1410 „szlachetny Fredro z Pleszowic” ma sobie nadane od Jagiełły dwie dalsze „wsie królewskie”, Fredrowce i Szurzę w okolicy Kamieńca Podolskiego. Z niezliczenie wielu w tutejszej stronie Wołochów jeden np. nabywa wieś Kuncendorf, czyli Poraz, w Sanockiem, drugi biskupowi przemyskiemu Maciejowi sprzedaje Bliznę. W Jarmolińcach osiada z łaski Jagiełłowej Kroata Chodko, a jedna z najznakomitszych rodzin wołyńskich wie dzie początek od protoplasta Serba.

Nie sprawiła tedy Polska cieśni na Rusi, nie zubożyła jej uzyskanymi przez panów krakowskich posiadłościami. Ustalony wtomiasz przez Polaków ład i porządek społeczny był najlepszym ze wszystkich, jakie nie wystarczająca sobie sama ziemia halicka otrzymać mogła od któregośkolwiek z możniejszych państw ościennych, od sąsiedniej np. Litwy, Ordy lub osławionych podówczas Węgrów. Czuła to wdzięcznie Ruś i daleka od chęci pozbycia się Polaków obawiała się, owszem, aby Polacy nie chcieli jej opuścić.

Upewnia nas o tym samo pokolenie ruskie onego czasu. Niebawem po zajęciu ziem ruskich przez Polaków rozeszła się wieść po kraju, jakoby kto inny miał tam zawładnąć. I cóż Ruś na to? Oto stolica ruska wyprawia do Polski orędowników z prośbą do tronu, aby Polacy pozostali na Rusi.

„Bo ziemie ruskie – odzywa się do nas drugi głos z owych lat, głos naczelnika staroruskiej hierarchii kraju – kwitnęły wówczas dostatkiem i obfitością wszech darów Bożych i kwitnęły sławą po świecie, jak i po dziś dzień.” Mówi to około roku 1406 ów przy hołdzie mołdawskim obecny we Lwowie metropolita Kiprian, obejmując swoimi słowy kilkudziesięcioletni przeciąg od czasów młodości Kazimierza Wielkiego aż do podeszłych lat Jagiellowych, tj. właśnie epokę ustalenia się rządów polskich w ziemi halickiej.

Polacy pozostali na Rusi. Owym posłom czerwonoruskim upraszającym o dalsze rządy polskie dał król Władysław w Lublinie nazajutrz po św. Michale r. 1388 zapewnienie pisemne, iż nie odstąpi nikomu Rusi Czerwonej, lecz pozostawi ją „sobie, małżonce swojej i dzieciom z niej spłodzonym, razem z Królestwem Polskim”. Do dziś dnia spoczywa ten dokument w aktach magistratu lwowskiego.

Mając zaś przychylność krajowców, przejednali sobie Polacy w końcu i tych, którzy najwięcej utracili na połączeniu się Rusi z Polską, tj. Węgrów. Gdy Jagiełło urządził sprawy halickie, siedziała znowu na tronie węgierskim uwolniona z rąk powstańców królowa Maria z swoim ukoronowanym, już małżonkiem, królem Zygmuntem. Zajęcie Rusi przez Polaków zniewalało Zygmunta do protestacji. Nawet między obudwoma siostrami Marią i Jadwigą miało przyjść z tego powodu do nieporozumień.

Wkrótce atoli nastąpiła zgoda wszechstronna. Jeszcze w roku 1388 zawarty został rozejm między Zygmuntem a Jagiełłą, odraczający ostateczne załatwienie sprawy ruskiej do dalszych czasów. Przyczynił się do tego (jak słyszeć) najwięcej ów poseł papieski, który pod tę porę nadniósł Jagiełłę błogosławieństwo za nawrócenie Litwy „i pogodził z sobą obiedwie siostry-królowe, córki króla Ludwika”.

Był przecież jeden człowiek, któremu początki rządów polskich na Rusi dały powód do gwałtownej niechęci i nieprzyjacielskich kroków przeciw Jagielle i Koronie. Jest to syn szlachetnego Kiejstuta, Witołd. Ze względu na ważność podjętych przezeń z tego powodu kroków i wynikłej z nich na koniec zmiany całego stanu rzeczy w Litwie i niektórych przyległych ziemiach ruskich należy rozpatrzyć się bliżej w teraźniejszych losach Witołda.

JADWIGA I JAGIEŁŁO

1374–1413

Opowiadanie historyczne
przez
Karola Szajnochę

Tom IV

XVIII. WITOŁD

Waśń Jagiełły z Witoldem. Wyższość dana Skirgielle. Okrucieństwa Skirgielły. O b r a z Witolda. Jego krewkość, energia, zamiłowanie w Polakach. Hojność, upośledzenie obecne i ambicja. Zamach na Wilno. Konszakt z Zakonem. Ucieczka do Prus. Majaki krzyżackie. Konrad Wallenrod. Jego dzikość w domu, obłudna pokora za granicą, plany wojenne. Wojna z Polską. Polacy na Podlasiu. Wyprawa krzyżacka na Wilno. Artyleria średniowieczna. Oblężenie Wyższego i Niższego Zamku. Bohaterska obrona Wilna przez Polaków. Odwrót i powtórna wyprawa krzyżacka. Wszechstronne posiłkowanie Litwy przez Polskę. Ciągłe zamachy Witolda. Poselstwo moskiewskie u niego. Tajne porozumienie Jagiełły z Witoldem. Pośrednikiem młody Ziemowitowic Henryk. Historia mazowieckiego księcia Henryka. Jego gościna u Witolda i poślubienie Kiejstutowny Ryngałły. Powrót Witolda do Litwy. Zgoda z Jagiełłą i Jadwigą w Ostrowiu. Witold wielkim księciem litewskim. Śmierć Henryka.

Złote żniwo wszechstronnych teraz nagród i darów Jagiełłowych samemu Witoldowi nie przyniosło pociechy. Wróciwszy przed trzema laty z przytułku u Krzyżaków otrzymał on, jak wiemy, księstwo grodzieńskie, a obowiązał się nie żądać swoich ojczystych Trok i nie wchodzić bez wiedzy Jagiełłowej w żadne stosunki z książętami zagranicznymi. Za to przyrzekł Jagiełło tymi czasy wydzielić mu dawną dziedzinę Lubartowa, ziemię wołyńską. Nie nastąpiło jednakże nic więcej nad przyrzeczenie. Pozwolono mu wprawdzie przebywać w Łucku, lecz zamek i powiat łucki przeszedł w ręce polskiego rządcy, Krzesława. Na próżno przypominał się Witold królowi częstymi poselstwami i listy. Dawny przyjaciel Jagiełło umyślił go trzymać ściśło na wodzy, a czując, iż mu się dzieje krzywda, podejrywał go swoim zwyczajem o zamiary odwetu.

Czuwano przeto bacznie nad każdym krokiem Witolda; nie dopuszczano mu wyprawiać żadnych poselstw poza granicę Litwy; gdy wysłańcy Witoldowi stanęli przed Jagiełłą, wtrącano ich do więzienia, aby wymusić na nich wyjawienie skrytych zamysłów pana. „Nawet dziecię moje, córeczkę moją skarży się Witold wzbraniano mi wydać, za kogo chciałem, lekając się, iżbym sobie przez to nie zjednał przyjaciół i sprzymierzeńców, ile że wielu książąt ościennych zgłaszało się o jej rękę. Jednym słowem, byłem jak niewolnik pod rozkazami Jagiełły, a brat jego Skirgieł, pan moich Trok ojczystych, nastawał mi na życie.”

Natracona tu wzmianka o córce mierzy do przyrzeczenia jej onemu zbiegłemu z Ordy synowi wielkiego księcia Moskwy, Wasilemu Dmitriewiczowi, o którym poprzednio słyszeliśmy słów kilka. Bawiąc niedawno w stronach wołyńskich zagościł on także na dwór Witoldów i zaręczył się tam z również młodocianą córką Witolda, Anastazją, czyli Zofią. Podał się Witold przez to w coraz większe podejrywienie, w coraz surowsze prześladowania. Jedne i drugie bolały tym dotkliwiej, im wznioślejszy był umysł, który je musiał znosić.

W synu wspaniałomyślnego Kiejstuta znamy już duszę szlachetną, pełną ufności i przywiązania, tak przeciwną uwierzeniu niegdyś w zdradę przyjaciela Jagiełły. Późniejsze lata rozślawiły go mistrzem w sztuce rządzenia, pierwszym władcą swojego czasu. Wobec skrętnego mrowia ludzkiego, o którym przychodzi mówić tu ciągle, a które tak olbrzymie

góry rezultatów umiało spiętrzyć skrzętnością swoją nawet wobec świątobliwej Jadwigi i cnotliwego Jagiełły pierwszy to wielki człowiek w naszej powieści, sobą samym mądry, twórczy, w późnoletnie następstwa płodny.

I owóz ten pomiędzy wszystkich wybrany miał zostawać „jak niewolnik pod rozkazami Jagiełły”, opływającego w cześć i przychylność ludzką, w wszelką wielkość światową bez żadnej innej zasługi nad swoje szczęście. Szczęśliwemu Jagielle oddał Witold niegdyś całą przyjaźń swojej młodości, a on go zdradził, ojca mu zgubił, do przytułku u Krzyżaków go zmusił. Szczęśliwemu Jagielle przebaczył Witold to wszystko i odstąpiwszy spółki z Krzyżactwem przyczynił się swoim powrotem do ułatwienia mu drogi na tron krakowski, a on obecnie, obsypując lada kogo darami, cofa mu zaprzysiężone już obietnice.

I nie tylko szczęściu Jagiełłowemu musiał Witold dozwolić góry nad sobą. Wypadło mu ulegać jeszcze zwierchnictwu ludzi niegodnych, „służyć” istnym wyrzutom społeczeństwa. Był takim mianowicie rodzony brat Jagiełłów, Skirgiełło, terazniejszy wielki książę litewski, posiadacz Trok Witołdowych. Uskarbiwszy sobie zaufanie podejrzliwego Jagiełły zastępował on go zwyczajnie w najważniejszych wypadkach, przewodził reszcie książąt, był drugim panem Litwy. Działo się to jednakże raczej samowolą braterską niż uzdolnieniem Skirgiełły. Moralna jego wartość dorównywała zupełnemu prawie zwierzęctwu. Wierny Jagielle, znośny Rusinom jako wyznawca wiary greckiej, był Skirgiełło zresztą prostakiem, pijanicą i okrutnikiem.

Rad, iż go za młodu nie przeznaczono do mitry wielkksiążęcej, dla której z obawy przypijanej często wielkim książętom trucizny należało wychowawcowi książęcemu nałomywać się wcześniej do takiejże wstrzeźliwości od wszelkich trunków gorących, jaką kroniki chwałą Olgierdowi, Kiejstutowi, Jagielle, Witołdowi i prawie wszystkim późniejszym Jagiellończykom, hołdował Skirgiełło do syta starolitewskiemu ubóstwianiu brzucha i gardła. Jagiełło cnotę trzeźwości wynagradzał sobie namiętym objadaniem się, gwoli któremu „spędzał on dnie i noce przy ucztach”; Skirgiełło prznosił uczyt p i j a n e. Przeciw otruciu służyła przyjęta raz na zawsze zasada, iż ktokolwiek z jednego pije z kim dzbana, sam najpierwszą wypijać musiał sklenicę. Ubezpieczony wychyloną do siebie próbką napoju, pozwalał książę lada komu usiąść za stołem i z ufnością szedł już kufel za kuflem.

W rozpasaniu wesołości godowej zapraszał Skirgiełło coraz więcej spółbiesiadników, aż dopóki nie przebrało się miary. Wtedy budziła się w Skirgielle wściekłość tygrysia. Dobywał miecza i rzucał się z nim na towarzyszków pijaństwa, a kto za trzeźwa bywał w największych łaskach, ten po pijanemu najsroźsze ponosił ciosy. Przespawszy się, naprawiał to wprawdzie wielki książę własnoręcznym opatrywaniem ran ulubieńców, ileż „z natury posiadał wielką biegłość w sztuce medycyny chirurgicznej”. Ponieważ jednak sztuka nie zawsze dopisywała, przeto „wielu śmiertelnych utraciło z jego ręki życie i całość członków”. Z tym wszystkim posiadał Skirgiełło pewną wziętość u Rusi. Ceniąc jego oporność „wierze niemieckiej”, a wytrwałość w „chrześcijańskiej”, bojąc się go, ulegała mu Ruś chętniej niż komukolwiek innemu, a czy państwo Olgierdów i Kiejstutów kwitnęło pod jego ręką, czy upadało, niewiele ją obchodziło.

Tym boleśniej czuł to nasz Witold. Litwa, którą on podnieść umiał do tak głośnej w świecie potęgi, nędzniała w ostatecznej zamieszce, a on sani podlegać musiał Skirgielle. Zniewolono go nawet do solennego w tej mierze przyrzeczenia i dokumentu. Ale nie zakłóć losów pieczęcią, nie spowić ducha w pergamin. Zrządzone losem przeciwstawienie Witołda obudwom braciom Olgierdowicom wywoływało konieczną i tak długą pomiędzy nimi walkę, dopóki jedna z przeciwnych stron nie przemogła stanowczo drugiej; osobiste zaś usposobienie Kiejstutowica nagliło do jak najprędszego wybuchu. Po wzmiance o przyszłej wielkości Witołdowej, przed bliskim tego widokiem w chwili późniejszej, miejsce tu dokładniejszemu obrazowi jego osoby i charakteru.

Sławny syn Kiejstuta i Biruty to litewski Łokietek. W obudwóch wielkość ducha przestała na drobnym ciełe. Niski, smukły, niezarusłego oblicza Witołd, gdy przywdział strój niewieści, mógł, jak wówczas przy ucieczce z więzienia w Krewię, ująć za niewiastę. Toteż jak całe plemię litewskie, jak ojciec Kiejstut, tak zwłaszcza Witołd niewieście tkliwe miał serce. Snadno wzburzone dawało się ono snadno przejednać. Dziecięco otwarte i przezroczyście, nie było ono w stanie zataić najmniejszego podejrzenia, najmniejszej niechęci ku komukolwiek. Niezmiernie żywe i czynne, umiało ono znieść wszystko oprócz zwłoki, oprócz czekania. Szczególniej gdy przyszło długo czekać widoku osób kochanych, uścisku żony i dzieci.

A jak ojciec Kiejstut, tak i syn Witołd łatwo gorzał miłością. Ojciec porwał kapłankę bogów Birutę; dziecięco-tkliwy Witołd, upodobawszy sobie żonę jednego z książąt ruskich, zabił mażę i ożenił się z wdową. W ówczesnym stanie obyczajów litewskich zdawało się to rzeczą powszednią, ledwie godną wspomnienia; przeco tylko o wszystkim uwiadomieni, wszystkiego pomni Krzyżacy zapisali ją w swoje księgi. *K r a j o w e* głosy ganiły Witołdowi surowo i wielokrotnie, iż gwoli swojej niecierpliwości miłosnej gotów był odbiec wojska w pół wojny, pospieszyć w objęcia małżonki i wielu różnych kochanek. Gdy śmierć rozłączyła go z przedmiotem ukochanym, „bolał Witołd gorzko, lecz krótko”.

Niezmiernie bowiem ruchliwemu uczuciu wtórzył podobnież czynny umysł, nie znający spoczynku nawet w żalu. A pierwiastkowa nieuprawność ludu i ziemi litewskiej otwierała w każdym zawodzie tak szerokie pole czynności! Co tym bardziej pobudzało do działania ruchliwy umysł Witołda, ile że z jednej i z drugiej strony Litwy, od zachodu polskiego, a osobliwie od północy krzyżackiej sąsiadowały z nią państwa nierównie wyższej oświaty i organizacji społecznej. Litewscy zaś Gedyminowice, jak to zwyczajnie daje się widzieć u ambitnych książąt plemion na poły barbarzyńskich, pragnęli gorąco dorównać wzorom sąsiednim. Już w pogańskim ojcu Kiejstucie uderzało nader staranne zastosowywanie się do najsubtelniejszych wymagań rycerstwa chrześcijańskiego. Przyjęty do społeczności chrześcijańskiej Witołd tym większą upatrywał w tym dumę.

Przydłuższy, kilkokrotny pobyt u Krzyżaków obeznał naszego Kiejstutowica ze wszystkimi szczegółami cywilizacji ówczesnej. Przyswoił on sobie tam na zawsze język niemiecki, obyczaje krzyżackie, nawet znajomość sławnej ekonomii i administracji krzyżackiej. Wrażenie zewnętrznej wyższości Niemców pruskich tak głęboko, owszem, utkwilo w nim, że mimo wszelkie spory i wojny z Krzyżakami czuł Witołd zawsze pewien przyjazny pociąg ku Zakonowi. Z teje samej przyczyny wyższego ukształcenia Polaków lubił ich i przenoślił Witołd „nad wszystkie inne narody”, osobliwie nad własną Litwę.

Przy zręcznie dobranych wykonawcach woli książęcej, przy mnogości ulepszeń do przedsięwzięcia nie traciła niezmierna skrzętność Witołda żadnej chwili bezowocnie dla kraju. „Ustawicznie na koniu”, wszędzie rozkazem i nadzorem swoim przytomny, był on zarazem wodzem, sędzią, naczelnikiem Kościoła, ekonomem i kupcem. Grasujące w ówczesnej Litwie łotrzykostwo, „kozactwo”, zmuszało go poświęcać główną uwagę obowiązkowi sędziego. Jakoż w niezmiernie pilności sądowniczej, w przyrównaniu Litwy do innych krajów europejskich jakim takim ubezpieczeniem własności i pożycia „szukał Witołd głównej zasługi, jedynej chwały u swoich i cudzoziemców”.

A dzikość plemienia „kozackiego” wymagała srogiej sprawiedliwości, dorażnej egzekucji. Toteż najczęstszym wyrokiem Witołda bywał stryczek, katem rozkaz powieszenia się własnoręcznie. Nieraz w wycieczce po kraju, dopadłszy złoczyńcę zniecka na gorącym uczynku, chwycił książę napięty u siodła łuk i zanim jeszcze usta orzekły wyrok, spełniła go już strzała książęca. Natenczas oczom z daleka przybyłych cudzoziemców nasz łagodny, nasz łatwo przejednany, dziecięco-tkliwy Witołd zdawał się wściekłym tyranem i o nim to słyhać było głosy pomiędzy nimi: „To krwiożerca!” Za toż cała owa rzesza „kozacka”, rzesza nie ukróconych niczym łotrzyków, słyhała w milczeniu praw i rozkazów książęcia, „nie śmiała spoj-

rzec na niego, nie śmiała pisać”, a Litwa, „rozkiełzana i bezwładna do jego czasów, stawała się krajem rządym, potężnym, sławnym, jak nigdy później”.

Jak zaś w tej surowej sprawiedliwości największą z swoich zasług, tak największą przyjemność swoją upatrywał Witołd w hojności i szczodrocie bez granic. Właściwa późniejszym Jagiellończykom namiętność rozdawnictwa brała najpierwszy wzór z podobnejże skłonności Witołdowej. Korzystali z niej swoi i cudzy, świeccy i księża, szczególnie Polacy. Nie było łaski ani darowizny ruchomej lub nieruchomej w ziemiach, monecie lub klejnotach, której by Witołd nie wyświadczał Polakom, a jeśli innych darów nie stało dla nich, to im przynajmniej konie do swoich folwarków brał na zimowle. „Musielibyśmy wiele a wiele kart zapelnąć – prawi kronikarz tamtoczesny – gdybyśmy wyliczyć chcieli wszystkie przykłady hojności wielkiego księcia.”

Niekiedy dziecięco swawolny umysł Witołda lubił stroić sobie igraszkę z ludzi zazdrosnych albo skąpszych, chcących pohamować jego rozrzutność. Pewnego razu przy rozstaniu się z jednym z swych ulubieńców polskich, Mikołajem Małdrzykiem herbu Poraj, wracającym z służby książęcej nazad do żony i dzieci w Polsce, a już sownie różnymi dary obładowanym, rozkazał wielki książę wyliczyć mu na pożegnanie 100 kóp groszy szerokich. Obecna temu wielka księżna zrobiła męża uważnym, iż wycieńcza skarbiec zbytnią hojnością. „Jeśli tak – rzecze Witołd – to przynieście mu jeszcze 100 kóp.” – Księżna oczywiście tym usilniejsze czyniła przedstawienia. – „Jeszcze 100 kóp” – przydał natenczas Witołd. Księżna i tym razem nie zaprzestała; książę i tym razem kazał przynieść 100 kóp. Powtórzyło się to jeszcze po trzykroć. Dopiero gdy uszczęśliwiony Małdrzyk miał 800 kóp w toboi, zaniechała księżna dalszych przedstawień i zaniechał swawolny Witołd dalszych doliczek.

Znaczna też część dochodów Wielkiego Księstwa upływała drogą podobnej rozrzutności, tej niezbędnej podówczas cnoty rycerskiej, zwłaszcza naszemu „Łokietkowi” tym potrzebniejszej, im namiętniej grała w nim chętka sławy u cudzoziemców, chętka dorównania we wszystkim obyczajowi i zbytкови zagranicznemu, ta słaba strona najznamienitszych Gedyminowiców, a w szczególności Jagiełły i Witołda. Której to słabości i cnotie umiał przemyślny syn Kiejstutów coraz nowych środków rozmaitymi dostarczać sposobami, mianowicie spółką w przedsiębiorstwach handlowych, zaopatrującą go zawsze mnóstwem kosztowności, szub, złotogłowów i tym podobnych darów i upominków.

Temuż samemu celowi służyło bardzo staranne administratorstwo ekonomiczne, któremu atoli niemowlęctwo ekonomii politycznej w całym świecie ówczesnym, osobliwie zaś w wyobrażeniach Rusi litewskiej podszeptywało dziwnego rodzaju operacje. I tak sam mądry Witołd miał używać fortelu następnego. Osadziwszy nowych tenentariuszów w dobrach książęcych nie wglądał on umyślnie przez jakiś czas w ich czynności, dozwalał im tak długo zdzierstw i łupieżenia w skarbie publicznym, aż póki wieloletnim zarządzeniem nie uzbierali wielkiej fortuny. Wtedy pod lada jakim pozorem wytaczał im książę proces, skazywał ich na konfiskatę uzbieranych dostatków i nowym rządcom poruczał dobra książęce. „Znaczyło to – tłumaczy nam kronika – dozwolić gąbkom wsiąkania, aby wyciskać nasiątkę.”

Używano tego sposobu i za granicą, mianowicie z Żydami. Co do Witołda, ten przynajmniej odbijał nie dla siebie, lecz w mniemany pożytek kraju. Dla siebie przestawał nasz drobny, niewieściej twarzy bohater na bardzo skromnym życiu, nie znającym kielicha i długich biesiad. Kiedy niekiedy wycieczka myśliwska w las i powszechnie ulubiona wówczas gra szachów to jego wszelkie rozrywki.

Obecnie miał syn Kiejstuta około czterdziestu lat, drugą u żoną Annę Światosławównę, księżniczkę smoleńską, kilkoro różnego wieku dzieci i szczupłe księstwo grodzieńskie. Ciągłe burze dotychczasowego żywota, wojny domowe w ostatnich latach ojca Kiejstuta, więzienie Jagiełowe, tułactwo u Krzyżaków, kilkoletnie potem oczekiwanie w Litwie nie dały jeszcze zajaśnieć Witołdowi w całym blasku jenuiszu. Tymci gwałtowniej parł go teraz duch niespokojny, gotów wszelkich chwycić się środków, aby tylko wyjść z cieśni i sromoty obecnej.

Najpospolitszym dla ambitnych książąt litewskich środkiem było w takim razie rzucenie się w ramiona Zakonu niemieckiego. Odkładając jednak do jak najpóźniejszego czasu tę ostateczność zawiązał Witold na teraz tylko dalekie z Zakonem porozumienie. Sam zaś umyślił spróbować wprzód, czy nie zdoła podstępem zasiąść na Wielkim Księstwie Litewskim, tj. przed wszystkim na stolicy wileńskiej i zamku wielkksiążęcym. W tym celu zagajono pokątny rozmowę z mieszczanami i ujęto kilku tajnych sprzymierzeńców na zamku.

Rozkazywał tam pod niebytność Skirgiełły, bawiącego w Połocku, drugi brat królewski, Korybut. Od tego otrzymał Kiejstutowic wolność wyprawienia pewnej rodzinnej uroczystości w zamku wileńskim. Pod jej pozorem miały wjechać tam ogromne wozy z zwierzyną i ukrytymi pod nią zbrojnymi. Ci za pomocą miejscowych przyjaciół opanowaliby zamek, podczas gdy po mieszczanach spodziewano się oddania miasta.

Wszakże twarda dla Witolda fortuna nie ziściła ani jednego, ani drugiego. Mieszczanie wileńscy byli z duszy radzi związkowi Litwy z Koroną i naśladowując przykład mieszkańców stolicy czerwonoruskiej, zatrwożonej tymiż właśnie czasami pogłoską o przejściu Rusi spod rządów polskich pod inne, i upraszających przeto króla polskiego o zatrzymanie ziemi ruskiej pod swoim berłem, nie przyjęli namowy Witoldowej, oświadczając się z wiernością dla „swego króla”, Jagiełły. Zarazem pewien przeniewierczy poufnik Krzyżaków, uwiadomionych o spisku, przestrzegł księcia Korybuta, który wczesnym uwięzieniem sprzysięgłych zniweczył zamach. Wyjawienie się projektu pogorszyło dołę Witolda. Nie pozostało nic innego, jak znowuż zapisać się całkowicie Krzyżakom.

Witoldowe księstwo brzesko-grodzieńskie stykało się z Prusami. Z tego pogranicza przesłał nasz Kiejstutowic oświadczenie nowego poddania się Zakonowi. Lecz poprzednia roku 1384 zdrada Witolda zepsuła Krzyżakom serce ku niemu. Wypadło teraz zabezpieczyć ich należycie od nawrotu podobnej zmiany. Nim więc zawarto nową ugodę, musiał Witold pierwiej oddać Krzyżakom w zakład niezmiernie wielką liczbę najbliższych krewnych, dwóch braci rodzonych, Zygmunta i Konrada, jednego synowca, jednego szwagra, tj. księcia Gleba Światosławowica z Smoleńska, bawiącego przy nim w jęctwie od czasów wojny przedkilkuletniej, książąt Iwana Olgimuntowica Olszańskiego i Jerzego niegdyś na Bełzie, dalej, przeszło stu najprzedniejszych bojarów brzesko-grodzieńskich, wreszcie siostrę Ryngałłę i żonę z kilkorgiem dzieci. Wszystkich porozsadzali Krzyżacy z osobna po różnych zamkach pruskich, mianowicie księżnę Witoldową z córką i siostrą Ryngałłą naprzód w Kremiten, następnie w Bartensteinie, dwóch maluczkich synów Witolda, Iwana i Jura, w Königsbergu, książąt Iwana Olgierdowica i Jerzego Bełskiego w zamku Morungen, Gleba w Malborku itd.

Dopiero po wzięciu tak wielkiego zastawu ponowił Zakon Witoldowi w Grodnie dawną obietnicę wywalczenia mu Litwy, odwzajemnioną przez Witolda podobnież dawnym przyrzeczeniem uznania się z niej hołdownikiem Zakonu. Wraz z Witoldem przystąpili do związku z Krzyżakami Żmudzini, najuporniejsi ze wszystkich wyznawców i obrońców pogaństwa. Zagrożeni w nim zarówno przez Jagiełłę, jak i Krzyżaków, znaleźli oni teraz sposobność zapewnienia sobie całych korzystnych warunków zgody z Zakonem i za obowiązek posiłkowania Witolda i Krzyżaków w wojnie z królem polskim i jego bratem Skirgiełłą uzyskali zupełną prawie niezawisłość wewnętrzną, w szczególności wolność od chrześcijaństwa. Do niektórych zamków Witoldowych przyjęte zostały załogi pruskie. W pierwszy początek uorganizowanej tak walki nastąpiła z wiosną r. 1390 znaczna wyprawa Krzyżaków i Witolda do Litwy, nie uwieńczona jednak żadną większą korzyścią. Główny, stanowczy cios miał uderzyć w Litwę dopiero w lecie przy pomocy zewsząd zaciąganych posiłków i napływającego rycerstwa ochotniczego.

Wszakże sama wojna nie wyczerpywała nigdy całej roli Krzyżaka. Nawet ostateczną knując zagładę ma on zawsze miód w ustach. „Od nas może Korona Polska pewną być miłości i pożytku” – pisze mistrz wielki Konrad Czolner w tym samym czasie, kiedy wszelkie jego zabiegi dążyły do obalenia króla polskiego. W obecnych zamysłach przeciw Jagielle zdawała

się obluda podobna tym potrzebniejszą, im bardziej zależało Krzyżactwu na uniknięciu jednoczesnej wojny z Polską i z Litwą, na powstrzymaniu Polaków od posiłkowania Litwy.

Mimo nienawiść Zakonu ku Władysławowi Jagielle, mimo ustawiczną wrzawę wojenną w Litwie trwał między Zakonem a Polską na pozór dawny „wieczysty” pokój Kazimierzowski. Już to własny interes panów pruskich, wymagający pierwiej uporania się z Litwą, już to upomnienia papieskie, zalecające tymi czasy raz po raz zgodę między Koroną a Zakonem, podpięrały chwiejną budowę tego przymierza. Dyplomacja krzyżacka umiała wyróżnić w Jagielle króla polskiego od wielkiego księcia Litwy. Zaczem walcząc z wielkim księciem, dobijając się wciąż całej Litwy jako przynależącej Zakonowi własności, nawet zbrojąc się z cicha do koniecznej niebawem wojny z Koroną głaskał mistrz wielki Polaków ustawicznymi układami o pokój dalszy, owszem, przyjmował ich pośrednictwo celem uśmierzenia wojny litewskiej.

Śród ciągłych szturmów nad Niemnem, śród coraz groźniejszych przygotowań do niechybnej wojny nad Wisłą odbywały się między Zakonem a Polakami wielokrotne, acz zawsze bezskuteczne na koniec zjazdy i rokowania, mianowicie w roku 1388 najprzód w lutym w Toruniu, a potem w kwietniu w Raciążu, w roku 1389 najprzód w Solcu nad Wisłą, potem w Neidemburgu, czyli Nidborzu. W obudwóch wspomnianych tu latach wyręczał wielkiego mistrza, częstą przeszkodzonego chorobą, bardzo czynny zastępca, najwyższy po nim urzędnik braci zakonnej, słynny Konrad Wallenrod. Przesunął on się nam już niejednokrotnie przed okiem w dawniejszych sprawach litewskich, zwłaszcza przy owym pamiętnym zjeździe na wyspie Dubissie, kiedy Jagiełło wnet po upadku Kiejstuta zapisał się Krzyżakom, ślubując przyjąć chrześcijaństwo w ciągu lat czterech. Zapowiedzieliśmy w nim podówczas jedno z najciekawszych zjawisk charakteru naszych mnicho-rycerzy. Teraz, w przedjutru nader ważnych wypadków pod sterem samegoż Wallenroda, pora dokładniejszym wizerunkiem usprawiedliwić to zdanie.

Konrad Wallenrod, Niemiec, od dzieciństwa wychowany w Zakonie, dawniej marszałek, obecnie wielki komtur Zakonu, człek jeszcze młody, miał już tylko cztery lata do życia. Za to im krótszy, tym gwałtowniejszy był jego zawód. Z natury otrzymał Konrad duszę namiętą, charakter dziki i nienawistny. „Szkaradnego oblicza” zewnątrz, wrzał on takąż złością i żółcią wewnątrz. Pijaństwo rozplomieniało go jeszcze srożej. Całe też Prusy „bały się niezmiernie” Wallenroda. Urzędnicy Zakonu, szlachta, książęta, wszystko, co żyło, „drżało na jego widok”.

Osobliwie księża znosili odeń krzyż Pański. Podobny tym do wielu gwałtowników onego czasu, którym wszechstronna przewaga duchowieństwa dawała pobudkę do tym głębszego wstępu, tym oporniejszej przeciwko niemu niechęci, prześladował Konrad, lubo sam mnich, bądź to słowem, bądź czynem wszystko, co tylko nosiło suknię kapłańską. „Gdyby ode mnie zależało – mawiał Wallenrod – zostawiłbym w każdym kraju tylko jednego popa, a i tego zamknąłbym w wieży wysokiej, aby nikogo nie bałamucił i nie mieszał się do niczego innego, jak tylko do swoich obowiązków kościelnych.”

Taka głęboka niechęć ku księżom w połączeniu z gwałtownością charakteru uczyniła go raczej przyjacielem żołnierstwa. Jakoż „ku wojnie kłoniły się wszystkie chęci jego żywota”. Słabym atoli posiłkowane rozumem, nie uzdolniały go one do roli szczęśliwego wodza w wojnie prawdziwej, do wojny o wielkich, stanowczych rezultatach. Starczyła jego zamiłowaniu wojennym sama pompa okazałych przygotowań, popisów, uczt i ceremonij wojskowych. Wrodzona namiętność i żądza zbytku, nie znająca granic żadnym zachceniom, podnosiła wydatki na podobne sceny wojenne, na przepych gościnnych biesiad rycerskich, na podarunki gościnne do prawdziwie bajecznych sum. Dopiero później miał Zakon uczuć, jak boleśnie mogła dojąć mu wojenność Wallenroda. Obecnie niczym jeszcze nie odsłoniwszy przed światem swojej niezdolności istotnej świecił wielki komtur pozorem wielkiej przedsiębiorczości rycerskiej, jednajęcej mu coraz więcej głosów w Zakonie.

Ale był Konrad takim jedynie wobec swoich, w murach zakonnych, na czele rycerstwa krzyżowego. Poza klasztorem i obozem, w stosunkach dyplomatycznych, w obliczu książąt i królów, osobliwie w trudnym i niebezpiecznym znajdując się położeniu w miejsce rycerza wstępował mnich. Wtedy pokrywał go kaptur pokory, niewinności, prostaczej szczeroty i dobroci. Większa część rysów podobnych, którą przytoczyliśmy niegdyś w ogólnym opisie charakteru braci krzyżackiej, wzięta jest właśnie z obrazu Konrada Wallenroda.

Wczesne wychowanie w Zakonie służyło mu za powód do przybierania pozoru zupełnej nieznajomości rzeczy światowych, nie pozwalającej mu np. podejmować się zażądanego pośrednictwa w sporze pomiędzy dwoma możliwymi przeciwnikami, przy którym wypadłoby oświadczyć się stanowczo za jedną lub drugą stroną. „Gdyż doprawdy – wymawia się Konrad – jesteśmy zbyt nieuczeni do tego i daleko naszemu rozumowi do spraw, które tak wysoce stają.” A maskując się wygórowaną skromnością umiał Wallenrod, ów gwałtownik, ów postrach całych Prus, przywdziewać także maskę potulnej łęklivosti. W dawnym sporze z arcybiskupem rygańskim pograbili mu Krzyżacy posiadłości, porozpędzali kmieci, powięzili kanoników, o co arcybiskup zaniósł skargę do rzymskiego króla Wacława. Wacław zażądał usprawiedliwienia się od Konrada. Konrad milczał. Wacław ponowił wezwanie, grożąc surowymi krokami. Konrad musiał jaką taką przesłać odpowiedź. „Czemużeś pierwej nie odpowiedział?” – zapytał król. „Nie odpowiedziałem – pisze Wallenrod – bo doprawdy ogarnął mnie taki strach i wstyd taki, że nie śmiałem pisać o tym do waszej wielmożności.”

Zresztą pewnym jest Konrad zawsze sprawiedliwości swojej przed każdym trybunałem. Dzięki bowiem dawnemu zwyczajowi Zakonu znachodzą się w archiwie krzyżackim pergaminy na wszystko, a za pomocą tych dokumentów ofiaruje się Wallenrod „dowieść” natychmiast prawa swojego, jeśli nie przed ludźmi prostego rozumu i sumienia, tedy przynajmniej przed takimi, „którzy bieglą są w prawie”. Tak czystą np. sprawę ma Konrad, według swojego mniemania, obecnie z Litwą. Potrzeba tylko zjazdu stron spornych, pośrednictwa Polaków, aby zawiesić oręż. Na owym zjeździe w Neidemburgu okazuje się wielki komtur Wallenrod skłonny do zgody, byle stało się zadość prawom Zakonu. Jakim prawom? – pytają pełnomocnicy polscy. „Prawom do całej Litwy” – odpowiada Wallenrod. „Toć mamy dowody na to w donacyjnym dokumencie Mendoga, w bullach papieżów Innocentego IV i Aleksandra IV, niemniej w przywileju cesarza Fryderyka II, obdarzającym nas Żmudzią, Litwą i wszystkim krajem dokoła.”

Gdy przeciwnicy pod takim warunkiem nie chcieli przyjąć zgody obwiniając Zakon o intencje zaborcze, powtarzał Konrad swoje własne słowa do jednego z rycerzy pomorskich, który naprzód zaciągnął się w służbę Zakonu, a potem zerwał umowę i różne Krzyżakom czynił zarzuty. „Doprawdy – odpisał mu wielki komtur Wallenrod – wina, jaką nam zadajecie, podobną jest winie, jaką wilk zadawał osłowi. Bo gdy wilk nie umiał żadnej innej winy zadać osłowi, tedy zadał mu winę, że gryzie trawę przy drodze!” Ale z kimkolwiek Zakon sporzy, z Polską chce on spokoju. „Korona Polska – powtarza Konrad Wallenrod w r. 1391 za Konradem Czolnerem w r. 1389 – może od nas pewną być miłości i pożytku.” Miłości i pożytku – byle teraz nie pomagała Litwie i nie podnosiła pierwej oręża wojny, nim Zakon Litwy dokona, po czym nietrudno przysłoby uporać się z Koroną.

Ku temu celowi uśmierzenia Polski do czasu nie było trudu żadnego, którego by nie jął się chętnie Wallenrod. Oprócz majaków dyplomatycznych, oprócz ciągłych zjazdów i układów z Polakami o pokój dalszy pracują nad tym mnogie poufne listy Konrada, rozsyłane po różnych stronach Polski do osób przeróżnych stanów. Bardzo pilny korespondent wszystkich dam panujących, związany stosunkami liścikowymi z Adelaidą księżną pomorską, z królową angielską, z królową duńską, udaje się on przed wszystkim do pobożnej królowej polskiej Jadwigi. „O, gdyby żył jeszcze najukochańszy ojciec Waszej Miłości, a nasz pan najlaskawszy, król Ludwik śp. – opiewa miodowy list Konradów – król Ludwik, monarcha sprawiedliwy, monarcha słuszności, obrońca Zakonu w każdej sprawie, o jaką tylko zgłosiliśmy się do nie-

go! Przeco też we dnie i w nocy modlimy się nieustannie za jego duszę, jako zasłużył na to i jak nasza przyrodzona miłość ku niemu wymaga po nas. Gdyby on żył, nie stałaby się nam krzywda, zaiste!” – „Lecz teraz – ciągnie Wallenrod dalej – teraz tylko w Tobie, Łaskawa Pani, która przecież jesteś dziedziczką i panią Korony Polskiej, spoczęła wszelka nadzieja nasza.”

Po Jadwidze otrzymuje od Konrada podobneż prośby o pomoc w utrzymaniu pokoju mazowiecki książę „Siemaszko”, czyli Ziemowit. Ciągły zaś brak pieniędzy w skarbcu książęcym, a ciągła gotowość do pożyczki w kancelarii krzyżackiej pozwalają Wallenrodowi ująć sobie Ziemowita nową zaliczką 1500 grzywien. – „Chciej tylko powiedzieć, najukochańszy ze wszystkich przyjacielu! – pisze Konrad Wallenrod następnie w tym samym celu ukołysania Polaków do znanego nam wojewody kaliskiego Toporczyka Sędziwoja z Szubina, wielkiej powagi urzędnika Korony Polskiej – czym ci mam odpłacić przysługę, o której mowa, a chyba kazałby mi Bóg zejść nagłą śmiercią ze świata, żebym ci nie wywdzięczył twojej dla nas wierności i przyjaźni.”

Nawet z owym zdziercą Zakonu, Bartoszem Wiszemburczykiem, terażniejszym wojewodą poznańskim, który przed dziesięciu laty wymusił na Zakonie 20 000 grzywien okupu za drużynę pojmanych przez siebie „gości krzyżackich”, a który tymi czasy wymawiał Krzyżakom chęć zerwania związku między Polską a Litwą – nie waha się Wallenrod gwoili zachowania spokoju wejść w listowe stosunki takiegoż „najukochańszego” przyjacielstwa. Zarazem jednak nie omieszkali Krzyżacy zbroić się na wypadek najgorszy. Od chrztu Jagiełły aż do obecnej chwili zaciągano ustawicznie książąt i szlachtę sąsiednich ziem niemieckich w wojenną służbę Zakonu, jedynie „przeciw Polsce”. W latach 1386 i 1388 zawarli z Krzyżactwem 10-letnią umowę tego rodzaju książęta pomorscy Warcisław, Bogusław i Swantebor.

Osobliwym przykładem chciwej przezorności krzyżackiej znajdował się osobny ustęp w wszystkich podobnych układach, opisujący szczegółowo, co czynić, gdy król polski Jagiełło lub który z jego braci popadnie w niewolę żołądowników. Przyniekali oni w takim razie wydać jeńców swoich za odpowiedni okup w ręce Krzyżaków. Głowa Jagiełły miała kosztować wtedy 500 grzywien, głowa każdego z braci królewskich 100.

Pomiędzy resztą wojennych sojuszników krzyżackich z onego czasu celują bracia Czamborowie, Szlązacy – Wisław, Henryk i Jan, obowiązani dostawić przeciw Polsce 100 kopij. Dzierżyli oni w Polsce zamek kruszwicki, zastawiony im w pewnej sumie pieniędzy przez mazowieckiego księcia Semka, czasowego pana zajętej niegdyś ziemi kujawskiej. Jeden to z tych Czamborów, Wisław, pożyczany w Polsce za Szlązaka albo Morawca, uwiózł mało co później z zamku pileckiego bogatą Toporczanek Elżbietę, córkę sędmierskiego niegdyś wojewody Ottona. Przy pomocy tych żołądowników, jako też innych środków zwyczajnych tuszyli Krzyżacy stawić zarazem czoło Polsce i Litwie, a zaczynając na teraz od tej ostatniej, przygotowywali z Witołdem i Żmudzinami walną nad Niemen wyprawę w lecie.

Wszakże i Polacy nie próżnowali. Owszem, pojmując bardzo jasno, iż przyszła teraz pora użyć takiejże samej usilności ku zbrojnemu podtrzymaniu związku Litwy z Koroną, jakiej niedawno użyto w celu dyplomatycznego pozyskania Jagiełły i Litwy Jadwidze i królestwu, rozwinęła Polska teraz godną podziwienia czynność i wytrwałość w obronie braterskiego narodu. Odnosząc mnogie korzyści z przyłączonych ziem litewskich i ruskich niosła ona też chętnie krew swoją za nie.

Zaledwie doszły do Krakowa wieści o spółce Witołda z Krzyżakami, rzucili się Polacy natychmiast do ubieżenia zamków Podlasia Witołdowego, zanim usadowią się w nich znaczniejsze siły krzyżackie. W miesiącu lutym, „w porze leż zimowych, nie wojny” mówi kronikarz – pospieszył Jagiełło z uzbieranym naprędce wojskiem ku podlaskim zamkom nad Bug. Mimo złą porę, mimo opustoszałość tamecznych stron, niezdolnych wyżywić niespodziewanej mnogości ludzi i koni, wzięto szczęśliwie Brześć. Mimo rozejścia się potem większej części tłumów wojennych za poniewolnym zezwoleniem królewskim nie ustawał dobór rycerstwa koronnego w dalszej wyprawie.

Mając tylko 130 kopij rycerskich i około 800 żołnierza pod chorągwią nadworną ruszyli Polacy pod drugą twierdzą, Kamieniec Mały, którą również szybko zdobyto. Trzecią i główną twierdzą, Grodno, wypadło odbijać podwójnym siłom litewsko-krzyżackiej załogi wewnątrz i litewsko-krzyżackiego wojska z Witołdem po drugiej stronie Niemna. Jakoż przez kilka tygodni trwały najzaciętsze zapasy. Na szczęście nadciągnęły znaczne posiłki ruskie, przyprowadzone przez braci królewskich Skirgiełłę, Włodzimierza księcia kijowskiego i Korybuta nowogrodzkiego. O ciężkim głodzie w obozie, po wysileniu wszelkiej odwagi i fortelności opanowano na koniec Grodno. Wojsko krzyżackie z Witołdem ustąpiło. Całe Witołdowe księstwo podlaskie z wymienionymi tu grody i Surazem dostało się w moc Polakom. Polscy starostowie osiedli na straży w zamkach zdobytych, Hinczko z Rożkowic w Brześciu, Zyndram Maszkowski w Kamieńcu.

Wyprawilo się też liczne rycerstwo polskie ku pomocy obrońcom Litwy, mianowicie na załogę w głównie zagrożonej stolicy, Wilnie. Oprócz braci królewskich Skirgiełły i Korygiełły przewodził tam starosta polski Mikołaj z Moskorzowa, podkanclerzy koronny. Od upomniejszej obrony Litwy chcieli Krzyżacy wstrzymać Polskę nowymi układami pokoju. Polacy odpowiedzieli, iż wejdą chętnie w układy, lecz dopiero w jesieni, w połowie października. Znaczyło to odraczać pokój do pory, w której wojna zwyczajnie kończyła się sama przez się. Zaczem tak Krzyżacy, jak Polska z Litwą zdawali się na los wojny, w szczególności na los litewskiej wyprawy w lecie.

Za jedną podjęli Krzyżacy dwie. W r. 1390 i 1391 ugodziły raz po raz dwie wyprawy krzyżowe w Litwę, liczące się do najgwałtowniejszych szturmów Krzyżactwa. Obudwom zwierzchniczył Konrad Wallenrod, w r. 1390 jako zastępca chorego mistrza Czolnera, w r. 1391 jako obrany już mistrz wielki. Obiedwie miały jawną świadomość, iż albo teraz, albo już nigdy więcej nie opanować Litwy Krzyżakom. Wzbudzona tym gwałtowność zamachu i odporu, czynny w nich udział tak uderzających charakterów, jak ten obłudno-pyszny Wallenrod, jak nasz poniewolnie w tę walkę bratobójczą wciągnięty Witołd, jak nasz oblubieniec losów Jagiełło, rozjaśniający i ożywiający wszystko swoją szczęśliwą obecnością, wreszcie niespodziewany w końcu obrót wypadków otaczają tę chwilę dziejów nader zajmującym urokiem.

Rozsiewane po świecie skargi krzyżackie na fałszywość chrztu Jagiełłowego i krzywdę księcia Wilhelma wydały teraz owoc sowity. Nadciągnęła Zakonowi ze wszystkich krajów europejskich liczniejsza i świetniejsza niż kiedykolwiek pomoc rycerska. Z Niemiec prowadził ją zwyczajny tłum grafiów i szlachty rozbójniczej, z Francji przesławny rycerz Boucicaud, z Anglii Henryk Derby książę Lankastru, za lat dziewięć monarcha Anglii. Przybywające z nimi rycerstwo pałało uniesieniem religijnym przeciwko Litwie „pogańskiej”, zemstą przeciwko „krwawemu tyranowi” Jagielle, spólczuciem dla pognębionego przezeń Wilhelma. Całe niebo szlachtetnego natchnienia płonęło w ofierze zręcznej obłudzie krzyżackiej, jaskrawo ubarwionemu kłamstwu.

Całego potrzeba było lata, nim wszystkie poczty rycerskie ponadciągały z zagranicy do Prus. Dopiero około połowy sierpnia zdołano pomyśleć o pochodzie ku Litwie. Wraz z „gośćmi” i pruskim wojskiem Krzyżaków dążyło tam również wojsko krzyżactwa inflanckiego pod swoim mistrzem osobnym, zmierzał i Witołd z swoją Żmudzią i Litwą. Wielki mistrz Czolner, dogorywający w Malborku, i terażniejszy rządzca Zakonu, Wallenrod, musieli pozostać w Prusiech. Naczelny kierunek wyprawy poruczony został marszałkowi Zakonu, Engelhardowi Rabę. Pod jego przewodnictwem podzieliły się wszystkie siły wojenne w trzy wielkie armie, „gościnnie”-pruską, inflancką i Witołdową. W ostatnim tygodniu stanęła cała wyprawa nad granicą niemeńską około Kowna, gdzie należało przeprowić się przez rzekę, aby już to wodą, już ładem zdążyć ku stolicy litewskiej.

Właściwy zamiar wyprawy, osadzenie Witołda na tronie wielkoksiążęcym, wytknął ostatnim celem wojny – zdobycie Wilna. Gwoli temu towarzyszyła wojskom krzyżowym niezwykle obfita ilość rynsztunku oblężniczego, godna dokładniejszej tu wzmianki. W wiekach

średnich używane do oblegania przybory i zapasy wojenne bywały ogromniejsze na pozór od dzisiejszych. Im mniej ugodna władała nimi sztuka, tym więcej, tym rozliczniejszych potrzeba jej było środków, tym gwałtowniejszych wysiłeni.

Jakoż każde oblężenie, zazwyczaj tak długie a często bezskuteczne, wymagało budowania ogromnych machin, jak np. tarany, kusze wałowe, tak zwane „osły”, „niedźwiadki”, „żółwie”, „kozy”, ruchome wieże drewniane itp. Taranów, czyli potężnych drzew powszechnie dębów, ostro okutych z przodu, wiszących równolegle na łańcuchu wśród wysokiego rusztowania, kołysanych połączonymi siłami kilkudziesięciu ludzi używano do rozwalania murów. Mniejsze narzędzia tego rodzaju, jakoby świdy murowe, wybijały albo wierciły dziury. Kusze wałowe, gmachy drewniane kolosalnej budowy, zwyczajnie domów wysokości dosięgające, za pomocą grubych sznurów włosiennych korbami naciągane, miotały albo pojedyncze bryły kamienne przeciwko murom, albo gęstwę drobniejszych kamieni, spadającą gradem na ludzi.

Często składały się pociski kusz wałowych z przedmiotów palnych, z ogromnych strzał ognistych, z wapna wrzącego, z płonących beczek smoły. Dla zatrucia powietrza w twierdzy ciskano tam konie zdechłe, stare ścierwa bydłce i tym podobne zgnilizny i nieczystości. Zdarzało się też niekiedy, iż schwytawszy szpiega z twierdzy w obozie oblężniczym nabijano nim kuszę i wrzucano go nazad trupem. Przez cały ciąg oblężenia stało po kilka, nierzadko po kilkanaście takich kusz, takich „domów” dokoła miasta.

Jeszcze większym ogromem zdziwiały „wieże ruchome”. Z drzewa, o kilku piątrach, na kołach, zawierały one w swej dolnej części jeden lub dwa tarany, w wyższych zaś częściach załogę kilkuset zbrojnych, najczęściej strzelców. Podczas szturm zbliżano je ku murom tłuczonym u dołu taranami, gdy tymczasem osada wyższych piątr, górujących ponad blankami twierdzy, chmurą grotów spędzała z nich obrońców, ułatwiając reszcie szturmującym wdarć się na mury za pomocą drabin i haków. W innym razie podsuwali się szturmujący ku murom pod zasłoną tak zwanych żółwiów, czyli dachów szturmowych.

A te wszystkie maszyny z drzewa nie wyczerpywały jeszcze bynajmniej całego zapasu przyborów oblężniczych. Była to dopiero jedna, staroświecka onych połowa. Czasy zamierzonych właśnie szturmów do Wilna przymnożyły sztuce oblężniczej całą drugą, nowoczesną połowę z żelaza albo spizu – coraz powszechniejszą strzelbę prochową. Zanim jeszcze nie udoskonalona, aby zastąpić całkowicie dawne kusze wałowe, zanadto już użyteczna, aby się obejść bez niej, współpracowała ta nowa, żelazno-spiżowa broń pospołu z owymi drewnianymi wieżami i taranami nad podwójnie teraz groźnym dziełem zniszczenia.

Znano ją w dwóch rozmaitych rodzajach jako broń ręczną, czyli „puszki”, i ciężką, czyli „działa”. Obadwa rodzaje uchodziły właściwie za mniejsze i większe „działa”, tym jedynie różne od siebie, iż puszki leżały przed żołnierzem na widłach, czyli hakach, skąd też nazwa hakownic i półhaków, i mogły być ręką przytrzymywane; działa zaś spoczywały na ziemi albo bywały nawet do pewnej części zakopywane w ziemię. Stąd wieziono puszki z działami osobno za wojskiem oblężniczym. Liczba tej ręcznej broni palnej była nader szczupłą w stosunku do ogółu rot pieszych, a przystępując do zdobywania miasta ustawiano najwięcej 300 do 400 puszek i kilka dział wkoło murów.

Za toż wynagradzano sobie nadzwyczajnym ogromem armat zakopywanych, mierzących neraz do dziewięciu sążni długości. „Gdy taki potwór zagrzmiał – opowiada kronikarz – sły-szałeś go w dzień na mil (francuskich) pięć, w nocy na dziesięć.” Z obudwóch rodzajów broni ognistej strzelano kamieniami, tylko że u dział były to prawdziwe kamienie kamienne, u puszek zaś (jak ten sam kronikarz wyraża się) „kamienie z żelaza” albo ołowiu. Dawne bowiem nawyknięcia do strzelania samymi kamieniami nie umiało nowym kulom żelaznym nadać innej nazwy, jak podobnie „kamienie”. Taką dwuznaczność odróżniała terminologię ówczesną od dzisiejszej w innych jeszcze wypadkach. I tak np. znając już wyraz „artyleria”, mawiano: „każdy z żołnierzy miał dostatek artylerii przy sobie”, chcąc przez to powiedzieć

„miał dość pocisków różnego kształtu”; zamiast powiedzieć zaś „dwie beczki strzał, wapna, gruzów, kamieni itp.” wyrażano się „dwie beczki artylerii”.

Owszem, nie tylko co do wyrazów, lecz nawet pod względem pojęć nastęcza „artyleria” ówczesna osobliwsze zagadki. I tak np. niezrozumiałym dziś sposobem zdawało się Rusinom tamtoczesnym, jakoby zaniki drewniane zdołały snadniej oprzeć się działom niż murowane. Z powodu tej mniemanej wyższości grodów drewnianych nad kamiennymi burzyli oni w opanowanych przez siebie miastach, jak np. w Włodzimierzu Wołyńskim po śmierci Kazimierza Wielkiego, bez żalu zamek ciosowy, zostawiając tylko drewniany; a gdy w czasie oblężenia wypadło strzelać z dział do zamku drewnianego lub kamiennego, doradcy rusczy przedstawiali przewodnikowi wojsk oblężniczych: „Nuż nie dasz rady zamkowi drewnianemu; wolisz strzelać do kamiennego!” Jeszcze też w wieku XVI pisało o zamku w Starodubie, iż był dość mocny, „zwłaszcza że z drzewa dębowego w izbice zrąbiony i przetoż mu kule mało co szkodziły”.

Niełatwo przecież o gałąź czynności ludzkiej, w której by dbano wówczas usilniej o otrąśnienie się z zdań fałszywych, z przesądów, jak właśnie w nowej sztuce puszkarskiej. Zwłaszcza Krzyżacy słynęli z szybkich postępów w niej. Kraje zakonne nie doczekały się nigdy akademii, a miały wcześniej wielką wzorową ludwisarnię. Nie chcąc wyzuć się z korzyści dawnego oręża kuszowego utrzymywał Zakon osobnych zarazem mistrzów puszkarstwa i kusznictwa. Jedno i drugie, osobliwie zaś kusznictwo, zniewolone prowadzić na wojnę niezmiernie liczny materiał do budowania owych „domów” i wież, obarczało każdy pochód wojenny potrzebą transportowania nieskończonej ilości przyborów oblężniczych.

Jakoż i w obecnej wyprawie ciągnęły tysiące wozów z machinami, puszkami, działami, „beczkami artylerii”, żywnością itd. Bezdrożność Litwy pustynnej zmuszała szukać przed wszystkim gościńców wodnych, trzymać się rzek. Zwyczajnie płynęły wyprawy krzyżackie tysiącami łodzi i łódek najprzód Niemnem, potem Wilią aż pod stolicę litewską. W takim razie pierwszym staraniem Litwy bywało przegrodzić nieprzyjacielowi drogę niemeńską. Zamknięcie tego walnego gościńca stanowiło niejednokrotnie o losie całej wojny.

Takiegoż środka chciał użyć teraz wielki książę Skirgiełło. Stał się tedy z znacznym wojskiem krajowym u granic nadniemeńskich około Kowna, zamyślając wzbronić Niemcom przeprawy. Ostrzeżeni jednak Krzyżacy zniweczyli zamiar książęcy. Główny naczelnik zakonny, marszałek Engelhard, obszedł lądem Skirgiełłę i wpadłszy nań zniecka rozbił go w szczęt. „Litwa i Ruś Skirgiełłowa – opowiada kronikarz ruski – nie mogła znieść mnogich puszek krzyżackich i pierzchnęła.” Kilku książąt rusko-litewskich, kilkudziesięciu bojarów, kilkaset koni popadło w ręce zwycięzców. Skirgiełło cofnął się z ostatkiem ku stolicy. Uradowani szczęśliwym początkiem nieprzyjaciele pomknęli na łodziach pod samo Wilno.

Dnia 4 września rozpoczęło się oblężenie. Przyszło oblegać właściwie tylko zamki wileńskie. Samo bowiem miasto zniknęło. Ubogie lepianki wileńskie zostały po większej części zniszczone, a ludność miejska z wszystkim mieniem, ze składami kupieckimi, z dobytkiem schroniła się do zamków. Było ich teraz trzy. W północnej stronie miasta, w rozramienieniu Wilii i Wilny wznosiły się dwa starodawne zamki, tj. „wyższy”, mniejszy, murowany, na górze, i „dolny”, przestronniejszy, drewniany, tuż poniżej. Na jednym zaś z placów miejskich założono naprędce trzeci grodek.

Tę nową warownię objął wielki książę Skirgiełło. W największym zamku „dolnym”, tak zwanym Krzywym Grodzie, głównym przytułku ludności i bogactw miejskich, przewodził rodzony brat królewski, Kaźmierz-Korygiełł. „Wyższego” zamku, najwarowniejszego ze wszystkich, ostatniej nadziei oblężonych, bronili pod swoim starostą litewskim, podkanclerzem koronnym Mikołajem z Moskorzowa, Polacy. Znajdowali się oni zresztą i w Krzywym Grodzie, pełniąc wszędzie obowiązek najumiejętniejszych doradców w niebezpieczeństwie.

Otoczyły stolicę trzy wojska nieprzyjacielskie, rozłożone w trzech osobnych obozach. Każde z nich miało jedną z warowni miejskich na celu. Od zachodu, naprzeciw grodka miej-

skiego, usadowił się marszałek Engelhard z Krzyżactwem pruskim i „gośćmi”, pomiędzy którymi ceniono osobliwie przywiedzionych przez hrabię Derby przesławnych łuczników z Anglii. Od wschodu, ku zamkowi wyższemu, okopali się Krzyżacy inflancy pod swoim mistrzem. W pośrodku, ku południowi, w obliczu Krzywego Grodu stanął Witołd z przychylną sobie Litwą i Rusią. Nadto owładnięto jeszcze północną granicę miasta, mianowicie północne piece obudwóch zamków, rzekę Wilię, przegradzając ją mostem, który wzbraniał wszelkiego dowozu oblężonym. Opóźniona już pora pobudzała do tym szybszego działania. Pierwszą uwagę zwrócono ku Krzywemu Grodowi, tej głównej matni ludności, siły zbrojnej i dostatków litewskich, „Mieściła się w nim atoli – jak głos społeczny opiewa – tak wielka liczba zbrojnych, iż niepodobna było opanować go mocą.” Ucieczono się więc do podstępu i zdrady. Powiodło się Litwinom Witołdowym porozumieć się skrycie z niektórymi Litwinami Krzywego Grodu. Skutkiem tego gdy w szósty dzień oblężenia uderzono powszechnym szturmem na dolny zamek, wybuchło tam kilka naraz pożarów. Ogień wewnątrz, szturm zewnątrz, strawione płomieniem bramy dokonały zamachu.

W zgiełku uciekających z pożogi Krzywogrodzan, a wdzierających się do zamku nieprzyjaciół nastąpiła okropna rzeź. Przeszło tysiąc rycerstwa litewskiego poległo prawie bezbronię, po większej części za bramą. Przeszło dwa razy tyle dostało się w niewolę. Zapasy i dostatki spłonęły. Czoło Wilna upadło. Pozostało tylko posiąść jeszcze przyległy zamek wyższy, broniony przez Polaków, a trzecia warownia miejska miała sama się poddać.

Przeciwko temuż polskiemu zamkowi wyższemu skierowały się teraz wszystkie usiłowania nieprzyjacielskie. Witołd osadził wzgórza pobliskie i „zakopał” tam swoje działa. Łucznicy angielscy wymierzali ku blankom tysiące strzał nieochybnych. Z rycerstwem angielskim szli w zawody Francuzi, zagrzani przekonaniem, iż walczą z poganami. Niemcy inflancy i pruscy dźwignęli ogromne kusze i tarany przeciwko murom. Z tych kusz, z strasznych w Litwie puszek krzyżackich, z łuków angielskich, z dział Witołdowych biła w zamek nieustanna burza pocisków. W niedługim czasie rozwalono nimi pierwszy, zewnętrzny mur. Wojska oblężnicze podsunęły się na lot strzały. Z tak bliskiej odległości mogły owe żelazne i kamienne „kamienie” gruchotać tym skuteczniej mur drugi, ostatnią osłonę oblężonych. Okazywały się w nim niektóre już wyłomy. Załoga jednakże nie poddawała się.

Dowódzca zamku, podkanclerzy koronny Moskorzowski, nie tracił wcale nadziei. Jednego z nim ducha Polacy postanowili do ostatniej bronić się tarczy. Naprzód odsunięto od wszelkich posług wojennych znajdującą się w zamku garstkę Litwy i Rusi, zdolną ulec pokusie zdrady. Potem z niesłychanym pośpiechem i trudem naprawiano każdą nową szczerbę lub dziurę w murze, zatykając ją ziemią, gruzami, nawet gnojem. Gdy nie stało czasu do zatkania jej zwykłym sposobem, każdy z Polaków własną piersią zapełniał lukę. Gdy jeden zginął, drugi w jego miejsce wstępował. „Tymi dwoma środkami – mówi kronikarz – szybkim łątaniem wyłomów i niezwłocznym wstępowaniem w stopy poległych, wydobywali Polacy ciągłym szturmom nieprzyjacielskim.”

Owszem, sroga potrzeba wymyślała osobliwsze środki obrony, cale nieprawdopodobne wyobrażeniom dzisiejszym, lecz nader rzeczywiste i użyteczne podówczas. Dla osłabienia siły pocisków kamiennych rozwieszano przed murem duże skóry bydlęce, których „miękkie objęcia” poczytywane bywały za wielce użyteczny fortel przeciwko „artylerii” ówczesnej. Potrafiwszy zaś ubezpieczyć się poniekąd przeciwko gładom kuszowym umiano znieść tym łatwiej próżne postrachy.

W kilka dni po zburzeniu Krzywego Grodu jęli nieprzyjaciele naigrawać Polakom jakąś na wysokim drzewcu zatknietą głową litewską. Była to głowa brata Jagiełłowego, Kaźmierza Korygiełły, niedawno dowódcy Krzywogrodu. Zabity w zgiełku szturmowym, został on dopiero dnia piątego rozeznany pomiędzy trupami litewskimi i musiał teraz głową swoją służyć za pośmiewisko dla nieprzyjaciół, za straszdyło przeciw załodze polskiej. Barbarzyńskie

igrzysko z brata króla polskiego jeszcze bardziej rozjątrzało Polaków. Nie myślano o poddaniu się. Mijał tydzień jeden, drugi i trzeci, a wszystkie szturmowe oblężnicze chybiały.

Tymczasem nie obeszło się bez jakiejś takiej pomocy z zewnątrz. Wielki książę Skirgiełło z swoimi Rusinami wypadał dniem i nocą z trzeciej warowni miejskiej i szczęśliwymi podjazdami trapił Krzyżaków. Trwająca z tej strony walka rozdzielała siły nieprzyjacielskie i niejedną zadawała im klęskę. Czy to od polskiej, czy ruskiej kuli działowej poległ tuż przy Witołdzie jego brat rodzony, Towciwiłł. Rozsrożony niepowodzeniem Witołd kazał jakiegoś jeńca Skirgiełłowego, księżęcia Narymunta, obwiesić za nogi na bliskim wiązcie. Po całej przestrzeni dawnego miasta leżały trupy nie pogrzebione, obfita niebawem pastwa zgłodniałych psów litewskich. Takież los śmiertelny czekał załogę zamku wyższego, gdyby, go wziął nieprzyjaciel. „Byliby Polacy uciekali bez łbów” – upewnia nas z upodobaniem współczesny kapłan krzyżacki.

Czego wcale nie pragnąc znosili obrońcy spokojnie „błyskawice bombard krzyżackich”, pociski machin. Już czwarty mijał tydzień, a ów na wpół zburzony zamek wyższy dotrzymywał czoła nieprzyjaciołom. Nie pomogła im coraz gorętsza żółć obelg i warcholów, miotanych z obozów podzamkowych przeciw bohaterkiej załodze. W miarę mdlejących rąk wzmagały się szermierki językowe. Osobliwie Francuzi dojeżdżali Polakom zarzutami, iż pomagają poganom. Polacy odpowiadali, że Polska i Litwa są ludami chrześcijańskimi, a w dowód tego ofiarują pojedynek rycerski, próbę Bożą. Francuzi przyjęli wyzwanie, czterech Francuzów przeciwko czterem Polakom. Ale nie tu nad Wilią, lecz nad Mołdawą, w czeskiej stolicy, Pradze, za kilka miesięcy od dziś umówiono miejsce i porę walki.

Na wileńskim bowiem pobojowisku już kończyły się boje. Z piątym tygodniem oblężenia, z bliską połową października nadeszła jesień, utrudniająca do reszty pracę wojenną. Nie stało też „artylerii”, zabrakło szczególnie prochu i mogło zabraknąć wnet żywności. Ani wygodne usposobienie rycerstwa tamtoczesnego, ani stan kraju, który chciano wojować, nie dozwalały dalszych wysiłków. Nie tracąc tedy czasu zwinęły wojska nieprzyjacielskie jeden obóz po drugim i ustąpiły bez przeszkody do Prus. Na przyszły rok miano wrócić pod Wilno.

Gdy hufce krzyżackie stanęły w Prusiech, wielki mistrz Czolner już nie żył. Osierocone naczelnictwo Zakonu przyznano jednogłośnie Konradowi Wallenrodowi, najprzód jako namiestnikowi Zakonu, później, od marca r. 1391, jako wielkiemu mistrzowi teutońskiemu. Nowy władca Zakonu, właściwy sprawca głównych wypadków dotychczasowych, pierwowzór dwulicowości krzyżackiej, jął się skrętnie dokonania zamierzonej ruiny Litwy, zawsze pod pozorem wywalczenia jej Witołdowi, zawsze podwójną bronią układów pokojowych i wojny.

Niepomyślna wróżba świeżej wyprawy wileńskiej gasła wobec dziwnej uporczywości krzyżackiej. Zaczem obłudniej niż kiedykolwiek nadstawiał Zakon w osobie Wallenroda jedną rękę do zgody z głównymi obrońcami ziemi litewskiej, z Polakami, a drugą ostrzył nóż przeciw Litwie i Polsce. Natychmiast po ogłoszeniu Konrada wielkim mistrzem, w kwietniu roku 1391, wszczęły się układy o pokój z Koroną Polską, przeciągane aż do połowy lipca, a jednocześnie czyniono wielkie przygotowania wojenne. Wznowione zostały poprzednie umowy Zakonu z pomorskimi i szląskimi żołdownikami „przeciwko Polsce”, rozesłano po wszystkich krajach szumniejsze niż kiedykolwiek zaprosiny do wyprawy krzyżowej w ziemie „pogańskie”, użyto mianowicie ponęty stołu honorowego, który w roku niniejszym odbyć się miał z niesłychaną dotychczas wspaniałością.

Jak w roku przeszłym, zbiegły się zewsząd niezliczone tłumy rycerskie. Pod tysiącem rozmaitych proporców nadszła Niemcy z margrafem Fryderykiem myszeńskim, z grafami Schwarzburg, Gleichen i Plauen, Francuzi pod swoim sławnym bohaterem Boucicaut, Anglicy i Szkoci pod wodzą swoich Duglasów. Stał znowu Witołd z wierną sobie Litwą i Żmudzią. Przybył mistrz inflancki z swoim rycerstwem. Zebrało się pospół do 70 000 zbrojnych, ogromna

w owych czasach potęga. Około połowy lata wyruszono pod naczelnictwem samegoż wielkiego mistrza, Wallenroda, ku Litwie, pod Wilno, dla osadzenia tam wielkim księciem Witolda.

Zgodnie z Wallenrodowym zamiłowaniem w pompie wojennej odbywał się pochód krzyżacki z niezwykłą okazałością. U granic ziemi litewskiej, pod Kownem, zastawiono w dzień św. Idziego, 1 września, przyrzeczony stół honorowy, „jakiego Zakon nigdy dotychczas z tak wielkim nie zastawił przepychem”. Na zielonej wyspie wśród rzeki, pod kosztownym namiotem, przy odgłosie gromkich puzan i trąb zasiadło dokoła stołu sławy według wyboru sędziów czterech najsłynniejszych paladynów rycerskich – jako piąty sam mistrz Konrad Wallenrod.

Pierwsze krzesło w tym promienistym gronie przyznano skromnemu rycerzowi z Rakuz, Konradowi von Reichartsdorff, „który łąd e m pielgrzymował do Ziemi Św. i prócz tego odważył się wstąpić z kilką innymi rycerzami w głąb pewnej pieczary górskiej, skąd tylko on sam powrócił”. Obfitość złota i srebra na stole, widok nadzwyczajnie bogatych darów w klejnotach i gotówce zachwycał oczy szczęśliwych biesiadników. Drogo przepłacani heroldowie wygłaszali różnymi językami znamienite czyny wybranych. Jak Zakon Zakonem, nie widział świat ani przedtem, ani potem tak świetnej uroczystości. Szacowano ją na pół miliona grzywien wydatków z kasy krzyżackiej. Osadzony w Litwie hołdownik Witold miał z lichwą nagrodzić je Zakonowi.

Zaczem huczno, szumno w głąb Litwy! Ale jeśli już w przeszłym roku nie wiodło się do końca orężowi Krzyżaków, tedy rok obecny jeszcze większe stawiał trudności. Od czasu przeszlorocznej wyprawy zaszły w Litwie ważne wypadki. Okazała się przy tym nieoceniona dobroczynność sojuszu Litwy z Polską. Uboga Litwa potrzebowała pomocy zarówno w pokoju, jak i w wojnie, owszem, jeszcze bardziej po wojnie niż w ciągu walki. Wojenne łupieżę i zamieszki roku zeszłego wyczerpały ostatek sił krajowych. Porozszarpywane składy żywności, niepoobsiewane spłachcie nędznej roli litewskiej, porozganiane różnymi stronami gromady ludu ściągnęły teraz zwyczajną klęskę litewską, głód, głód okropny.

Dojął on do tego stopnia wszystkim warstwom ludności, że po raz któryś ogarnęła je myśl rozpacz, myśl tłumnego wychodźstwa z Litwy. Ubodzy i majątni, bojarowie i gmin, dziś pospołu chleba łaknący, chcieli jednym wielkim taborem ustąpić z swojej ziemi niedoli. Osadzone po zamkach strażę opuszczały z głodu najwarowniejsze stanowiska. Powszechnie wydalenie czekało dziś, jutro całą Litwę. Nazajutrz po takiej ostateczności można było spodziewać się objęcia opróżnionej ziemi przez Niemców pruskich, zaludnienia jej skorymi przybyszami z Zachodu. Zagnieżdzenie się teutonizmu po tamtej stronie Bugu zachmurzało ostatnią resztkę jasnego nieba nad Polską. Po części więc dla siebie, częścią dla Litwy, a w całym znaczeniu po bratersku przyspieszyła Korona z pomocą chwilowemu niebezpieczeństwu ludu bratniego.

Zaraz po zeszlorocznym ustąpieniu Krzyżaków z Litwy przybył tam król Jagiełło z zapasami broni, przyodziewku, żywności. Długie rzędy podwód wiozły ogołoconym zamkom rynsztunek, obnażonej załodze sukno polskie, głodnym tłumom obfitość zboża, prosa, słoniny, mięsów polskich. Trwał ten dowóz przez cały ciąg odstępstwa Witoldowego. Spodziewając się dalszych szturmów krzyżackich myślano o różnostronnych środkach zaradczych. U północno-zachodnich granic polskich powiodło się oderwać Zakonowi możnego sprzymierzeńca, uzyskać ważnego przeciw Niemcom spółnika. Ów pomorski książę Warcisław, z którym Krzyżacy od roku 1386 kilkokrotnie odnawiali umowy wojenne przeciw Polsce, porzucił teraz sprawę krzyżacką i wraz z braćmi Barnimem i Bogusławem uznał się pod koniec roku 1390 hołdownikiem Korony Polskiej, gotowym do wojny z Krzyżakami.

W Litwie ustanowił król Jagiełło nową, odpowiedniejszą czasowi władzę. Polski starosta w Wilnie, waleczny Moskorzowski, złożył przyciężki dla siebie urząd w ręce królewskie. Żaden z Polaków nie chciał go w nim zastąpić, tłumacząc się zbytnią trudnością obowiązku. Główna uciążliwość pochodziła od wielkiego księcia Skirgiełły, niedołęgi, opilca, mającego

wprawdzie niejaki zachowanie u Rusi, lecz tym niemilszego Litwie właściwej. Dopóki jego rządów wielkoksiążęcych, dopóty (uznano to powszechnie) niełatwo o pokój w Litwie. Usunął więc król Jagiełło Skirgiełłę i wyznaczywszy mu Ruś południową, księstwo kijowskie, osadził na Wielkim Księstwie Litewskim drugiego z swoich braci rodzonych, Wigunda Aleksandra, zięcia Opolczykowego.

Nowy rządzca Litwy wcale innych był obyczajów. Najzdolniejszy z wszystkich braci królewskich, wraz z Jagiełłą łacińskim w Krakowie ochrzczony chrztem, zaniechał on od tego czasu wszelkich śladów dawnego prostactwa litewskiego i w stroju, mowie, ruchach, obejściu i całym pożyciu swoim zdał się „starodawnym Polakiem i szlachcicem”. Pod jego sterem podjął się starostwa, czyli (jak też na Litwie mówiono) „województwa”, wileńskiego Małopolanin Jaśko z Oleśnicy, herbu i zawołania Dębno.

Nastąpiło to w samo przedjutrze świeżej wyprawy krzyżackiej. Odważny Jaśko nie wahał się użyć najgwałtowniejszych środków obrony. Słabość sił odpornych pozostawiała jedynym sposobem ratowania się – zupełne zniszczenie kraju przed Krzyżakami. W wykonaniu tej ostateczności zniszczono w całej okolicy Trok i Wilna pozostałe z roku przeszłego szczątki siedlisk ludzkich, uwięziono resztki zapasów, spalono wszelką paszę dla koni. Świetna, szumna wyprawa Wallenroda miała skończyć głodem i nędzą.

Aż nadto prędko spostrzegli się na tym Krzyżacy. Zaledwie pod Troki przyciągnięto, okazało się, iż pustynia czeka biesiadników wspaniałej uczyty kowieńskiej. Pierwszym tego skutkiem musiała armia krzyżowa rozdrobnić się w kilka oddziałów, zajętych małymi wycieczkami po okolicach mniej spustoszonych. Wielki mistrz Konrad z „gośćmi” skierował się w jedną stronę, Inflantczykowie w drugą.

Zamiast zdobywania stolicy trudzono się obleganiem grodków ubocznych, których opowanie nie przynosiło pożytku, a z których każdy zawierał bogdaj garstkę załogi polskiej. Podstąpiono wprawdzie pod Wilno, lecz postrzegłszy i tam też samą ruinę i perzynę, trąciwszy nadto o jakieś z dala przez Jaśka Oleśnickiego pourządzane zasieki i ostrokoły, ówczesnym wyrazem „kobylenie i szranki”, ujrzano się w smutnej konieczności odwrotu. Przed czasem, bo już w drugiej połowie września, stanęła armia krzyżacka z upokorzeniem nazad u granic pruskich.

Aby czymkolwiek przecież okracić nędzę pysznej wyprawy, jakimkolwiek blichtrzem pomocy zaspokoić Witołda, zbudowano trzy nie istniejące dziś zameczki drewniane nad Niemnem w pobliżu Kowna i Grodna, Ritterswerder, Neugarden i Metenburg, z których czy to jeden, czy wszystkie oddano wygnańcowi w dzierżenie. „Z tych zameczków – prawi dzisiejszy dziej opis Niemców pruskich – mógł Witołd o własnych siłach podbijać sobie Litwę.” Znaczyło to wymagać odeń dzieła, któremu nie sprostały dwuletnie wysilenia Zakonu, poparte liczniejszym niż kiedykolwiek udziałem ludów zachodnich. Tak dalece zmieniły się widoki zawojowania Litwy, odkąd Polska stanęła przy niej na straży.

Nie mógł nie zastanowić się nad tym nasz Kiejstutowic, jeszcze niepomyślniejszym teraz niż dawniej zgnębiony losem. Zdradziecka spółka z Zakonem pozbawiła go księstw brzeskiego i grodzieńskiego, ścisnęła go potrzebą ofiarowania Krzyżakom w zakład własną żonę, dzieci, braci, bojarów, trzymany dotąd pod nadzorem w różnych zamkach zakonnych, a nie wynagrodziła go żadną odpowiednią korzyścią. Jakoż stracił Witołd wszelką od tego czasu wiarę i nadzieję w skuteczność swoich związków z Niemcami.

Ale nie synowi to Kiejstuta tracić otuchę w cieśni. Zaiste „on sam” najdzielniejszą sobie pomocą. Wkrótce po niezdarnej wyprawie Wallenrodowej postanowił Witołd na własną rękę rozpocząć bój o fortunę ojczystą, przed wszystkim o utracone księstwa brzesko-grodzieńskie. Z wierną sobie Litwą i Żmudzią, z garstką rot posiłkowych, których na mocy obopólnych przysiąg i dokumentów nie mogli odmówić mu Krzyżacy, podjął książę nagłą wyprawę zimową w strony litewskie. W ostatnich dniach listopada opanowano Merecz, w kilka dni później, 6 grudnia, stolicę dawnego księstwa Witołdowego, Grodno.

Zdobyta przed dwoma laty z najwyższym wyteżeniem sił przez Polaków, popadła ona teraz po najzaciętszym oporze w ręce Witołda. Broniła Grodna załoga litewsko-ruska przy pomocy kilkudziesięciu czy ledwie kilkunastu Polaków. Gdy nieprzyjaciel w końcu zapalił twierdzę, umyślili Litwini i Rusini poddać się, Polacy bronić się dalej. W sporze o to rzuciła się Litwa z Rusią na Polaków, już tylko ośmnastu, i zamknawszy ich w wieży poddała Grodno Krzyżakom i Witołdowi. Teraz za omylone nadzieje Witołdowe, za niepowodzenia wypraw krzyżowych spadła zemsta na jeńców polskich. Trzech uprowadzono żywcem do Prus; piętnastu natychmiast ścięli Krzyżacy. Zdaniem rycerzy Najświętszej Panny, należała się ta chłosta ludowi niewdzięcznemu, który mimo tylokrotnie zapewnianą mu miłość i pomoc krzyżacką nie dopuszczał Krzyżakom zagarnięcia całej Litwy i Rusi, przyznanej im najprawomocniejszymi dokumentami cesarzów i papieży.

Niespodziewana odwilż, powstrzymująca zwycięskie postępy oręża Witołdowego, ochroniła resztę załóg polskich w Podlasiu od dalszych dowodów „miłości i pomocy” Zakonu. Samo opanowane przecież Grodno dźwignęło już cokolwiek sprawę Witołda. Poparły ją niebawem inne jeszcze wypadki. Już od pierwszych tygodni tegoż roku siedziała córka jego Zofia, czyli Sońka, inaczej Anastazja, na wielkksiążęcej stolicy w Moskwie. Ów młody książę moskiewski Wasil, któremu przed czterą laty wypadło na Mołdawię i Ruś wołyńską wracać z niewoli tatarskiej do ojczyzny, został w tym czasie po śmierci ojca Dymitra wielkim księciem Moskwy. Dawniejsza gościna u Witołda, może zawarte już wówczas zaręczyny, skłoniły go teraz do rzeczywistego poślubienia młodocianej prawnuki Gedymina.

Wrychle po wychodźstwie Witołda z całą rodziną do ziemi pruskiej nadpłynęło od niego Morzem Bałtyckim poselstwo z Moskwy, prosząc o córkę dla wielkiego księcia Wasila Dymitriewicza. Witołd wyprawił Sońkę w towarzystwie bratanka Iwana, księcia holszańskiego, tudzież wielu bojarów wraz z poselstwem swadziebnym przez morze i Nowogród do Moskwy, gdzie ona w kilka tygodni później posiadała rękę i tron oblubieńca. Tak ścisły związek z wielkim księciem moskiewskim kazał wschodnim ziemiom litewskim obawiać się w każdej chwili nieprzyjacielskich kroków Moskwy na rzecz Witołda.

A w miarę przybywających mu sprzymierzeńców ubywało mu przeciwników. W kilka tygodni po wzięciu Grodna umarł nowy wielki książę litewski, Wigund-Aleksander, którego godność niedawna była ostatnim celem życzeń Witołda. Powszechna pogłoska mieniła Wigunda otrutym, a dopełnienie tej zbrodni przypisywano stronnikom Witołdowym. Owszem, zachodziła obawa, aby i wszystkim następcom Wigunda, tj. najbliższym plemiennikom krwi Jagiełłowej, nie zdarzyła się za sprawą Witołda też sama z kolei śmierć. Do tylu różnych niedogodności pobytu Witołda u Krzyżaków, do obawy ciągłych jego napadów, do widoków nieustannej z jego poduszczenia zamieszki w kraju przyszło podejrzliwemu królowi lękać się jeszcze o życie braci.

Takiemu stanowi rzeczy należało pragnąć końca czym prędzej. Zarówna trudność zbrojnego przełomania Jagiełły przez Witołda, jako i ukrócenia Witołda przez Jagiełłę wskazywała jedynym sposobem wyjścia z tej cieśni – zgodę. Młodzieńcza płochość czasu nie znała żadnej przewiny lub urazy, która by się nie dała przejednać i przebaczyć. Jeśli szlachcicowi tamtoczesnemu, jak nam ze statutu wiadomo, można było dwukrotnie przekonany być o rozbój gościńcowy, a nie stracić prawa do zaszczytów i łask publicznych, toć i w sprawach z Witołdem godziło się zapomnieć dwukrotną zdradę połączenia się z Krzyżakami, zapomnieć podejrzenie o śmierć Wigunda. Wrodzona dobrotliwość Jagiełły, skora osobliwie do puszczenia w niepamięć wszelkich przykrości osobistych, podawała w każdej chwili rękę do pojednania. Czas łatwego powszedy rozgrzeszenia, czas odpustów, czas łaski przyspieszał zgodę.

W niewiele tygodni po śmierci Wigunda nastąpiło przyjazne porozumienie między wrogą bracią stryjecną. Ze względu na Krzyżaków przeciwnych wszelkiej zgodzie między Jagiełłą a Witołdem musiało ono zawiązać się potajemnie. Obeszło się przecież bez zbyt wymyślnych fortelów ostrożności. Owszem, własna Krzyżaków obłudność, ich ustawiczne konszakt i

posyłki pod pozorem, układów o rozejm z Polską ułatwiły dworowi polskiemu zbliżenie się do Witolda. Broń podstępny, którą Zakon wojował zwykle, obróciła się przeciw niemu samemu. W takim razie, jak często bywa, najpodstępniejszy pada najłatwiej ofiarą podstępności.

W początkach roku 1392 stanął przed krzyżackim komturem zamków Christborg i Balga młody prałat polski, mający zlecenie układać się z Krzyżakami o pokój. Osoba posła wzbudzała wszelkie uszanowanie. Był to książę mazowiecki Henryk, najmłodszy brat książąt Janusza i Ziemowita, od dwóch lat nominowany biskup płocki i rzeczywisty rządca biskupstwa. Ojcowska niegdyś wola przeznaczyła go do stanu duchownego, a pełne przygód, lubo niedługo życie przedstawia w nim osobliwsze igrzysko losów.

Jeszcze w żywocie matka zaciążyła nad nim dłoń przeznaczenia. Matka jego, druga małżonka starego księcia Mazowsza, Ziemowita, urodzona księżniczka szląska na Munsterbergu, czyli Ziębicach, słynęła z rzadkiej piękności. Stary książę Ziemowit był dumny i zazdrosny. Podszepty ludzkie, przez własną siostrę księżną, panującą księżną cieszyńską, doniesione Ziemowitowi, posądziły młodą i piękną panią Mazowsza o niewierność. Było to dość dla księcia. Nie ułagodziły go najświętsze upewnienia niewinności z ust panien pokojowych, na próżno torturami badanych. W jednej chwili stanął wyrok śmierci dla żony i jej mniemanego współwinowajcy.

Ten ostatni popadł w ręce pogoni księżęcej w Prusiech i najpierw końmi rozdarty, został następnie zawieszony na szubienicy. Księżna znalazła się wówczas brzemienną i miała jedynie tyle czasu zostawionego sobie do życia, aby powić syna w więzieniu w Rawie i zginąć z rozkazu męża. Nowo narodzoną dziecinę, naszego Henryka, przedmiot obrzydzenia dla ojca, poruczono piersiom ubogiej szlachcianki wiejskiej w pobliżu Rawy. Trzeciego roku jacyś trzej zbrojni ludzie najechali nocą zagrodę i uwięzili z sobą pacholę.

Przeszło ono w ten sposób pod opiekę swojej starszej siostry przyrodniej, zamężnej księżny szczecińskiej. Wypielegnowane jej litośnym staraniem, dorosło biedne dziecko chłopięcych na dworze szczecińskim lat. Wtedy ujrzał je przypadkowo stary książę Ziemowit, a stanawszy po raz pierwszy przed surowym obliczem ojca okazał się młody Henryk żywym jego obrazem. To skruszyło srogą duszę księcia. Uznał za późno niewinność żony, zbrodnię swojej łatwowości. Nie pozostał już inny sposób wynagrodzenia onej, jak wrócić serce synowi. Pokochał go też książę najgorętszą odtąd miłością, a chcąc jakkolwiek ofiarę przynieść Bogu za swoją winę, umyślił poświęcić syna niebiosom.

Młody książę otrzymał przeznaczenie duchowne. Przywdziane mu zaraz sukienkę mniszę, przyuczono go pisma, zaprawiano w łacinie. Nie mając jeszcze lat 10 posiadał Henryk probostwo płockie. Niebawem obmyślił mu ojciec drugie, intratniejsze, łączyckie. Gdy arcybiskup gnieźnieński przeciw prośbom ojcowskim nadał je niejakiemu Pełce z Grabowa, rozgniewany książę jednym wojskiem najechał włości kościoła łączyckiego, a drugim obległ arcybiskupi Łowicz. Książętko zostało proboszczem łączyckim. W nieco dojrzałych latach, po przyjęciu święceń duchownych, patrzyło mu lada opróżnione biskupstwo.

Tak pomyślnie postępy poświęconego Bogu synaczka wielce radowały starego księcia, może przynosiły ulgę sumieniu. Lecz młodzieńcowi książęcemu nie sprawiały one wcale pociechy. Poniewolną ofiarę swojego duchowieństwa poczytywał on za ciężkie brzemię, do którego nie czuł się powołanym. Ponieważ jednak wyrósł w sukience duchownej, przeto i po zgonie ojcowskim nie wzięwszy żadnego dziedzictwa w ziemiach nosił ją dalej. Dla polepszenia losu postarali się bracia Janusz i Ziemowit o zaopatrzenie Henryka biskupstwem płockim, które właśnie zawakowało. Upomniona w tej mierze kapituła płocka uczyniła zadość prośbom książęcym i widząc Henryka subdiakonem wyświęconym obrała go biskupem. Papież Bonifacy IX bez żadnej trudności potwierdził wybór.

Stało się to na wiosnę roku 1391, między pierwszym a drugim obleżeniem Wilna za Wallenroda. Obrany i potwierdzony Henryk siadł na stolicy biskupiej, lecz potrzebując jeszcze

konsekracji nie spieszył z dopełnieniem tej ceremonii. Już rok upływał, a nowy biskup płocki, rzeczywisty zarządcza dochodów swego biskupstwa, używający powszechnie tytułu biskupiego, nie był jeszcze konsekrowany.

W tej to porze zapotrzebował król Jagiełło tajnego orędownika u Witołda. Jednym z najzręczniejszych nastęrczył się młody biskup Ziemowitowic. Jego duchowna piśmienność, jego niemieckie wychowanie w Szczecinie uzdolniały go nad innych do poselstwa w ziemi krzyżackiej, a wiek młodzieńczy (książę mógł liczyć najwięcej lat dwadzieścia) niczemu wówczas nie wadził. Wyprawił się tedy Henryk w początkach roku 1392 pod pozorem układów o dalszy pokój z Zakonem w swoją tajną misją do Prus i, jakżeśmy powiedzieli, stanął najpierw u komtura z Christborga w Baldze. Ten za nastrojeniem księżęcia ujrzał rzeczą stosowną wysłać go uprzednio do Witołda. I owoż snadniej, niż się można było spodziewać, stanął poseł polski w progach Kiejstutowica, gdy ten syt był związków z Zakonem.

Witołd przemieszkiwał w niedawnym zamku Ritterswerder, tj. Wyspa Rycerska, nad Niemnem w pobliżu Kowna. Nie mogąc znieść rozłączenia z małżonką, trzymaną dotąd przez Krzyżaków w zakładzie, z dala od męża, wyjednał on sobie tymi czasy u Wallenroda, iż mu nadesłano księżnę do Ritterswerder. Przybyła tam z nią młoda siostra Witołdowa, Ryngała. Drugą siostrę, Annę-Danutę, znamy od dawna małżonką księcia mazowieckiego Janusza, bratową posła naszego. Stąd wstąpił nasz Henryk od razu jako swojak w rodzinne kółko wygnańczego zamku nad Niemnem.

Wstąpił zaś jako gość pożądany z nader pomyślnymi wieściami. Po krótkim bowiem przygotowaniu okazał młody biskup starannie ukryte listy i dokumenty Jagiełły, zapewniające Witołdowi pod warunkiem odstąpienia Zakonu i powrotu do Litwy całą ojcowizną litewską i rządy wielkksiążęce. Witołd niczego więcej nie pragnął. Zaraz też stanęła zgoda zupełna. Uroczystość św. Jana w przedleciu oznaczono terminem powrotu Witołdowego. Aż po tę porę należało jak najściślej zachować tajemnicę. Poselstwo biskupa powiodło się nader szczęśliwie.

Słuszną stąd radość posła powiększało nader serdeczne przyjęcie w rodzinie Witołdowej, nawet ze strony Ryngały. Młoda księżniczka litewska wpadła Henrykowi głęboko w oko i serce. Ówczesne układy dyplomatyczne, zwłaszcza polsko-litewskie, np. między Jagiełłą a Ziemowitem, Opolczykiem, wojewodą mołdawskim Piotrem itp., kończyły się zwykle jakimś zaślubinami. Ani Piast mazowiecki, ani Gedyminówna trocka nie mieli wstrętu do poślubienia się wzajem, a Witołd, znany z niewielkiej czci dla stanu duchownego, zapewne nie omieszkiał dodać zachęty.

Zaczem bez dalszej zwłoki nastąpiło uwieńczenie zgody między Jagiełłą a Witołdem uszczęśliwieniem Henryka i Ryngały. Potrzebna ku temu dyspensa od święceń duchownych miała przyjść później. W wiekach średnich dbano nadzwyczaj sumiennie o dyspensy, ledwie nie każdemu małżeństwu ówczesnemu dla jakichciś stopni powinowactwa duchownego potrzebne, lecz dbano dopiero po dopełnionym akcie małżeńskim. Co i w obecnym naśladowując wypadku, sprawiono przed wszystkim szumne gody weselne.

Odbyły się one „po książęcemu”, z zachowaniem wszelkich obrzędów i uroczystości zwyczajnych. Przez trzy tygodnie trwała ta weselna gościna Henryka w Ritterswerder. Pod koniec godów dowiedział się król Jagiełło o tajemnej zgodzie z Witołdem, a ożeniony poseł, nie zrzekając się swego biskupstwa, a przynajmniej dochodów płockich, pozostał z żoną w strojach rusko-litewskich, najprzód w Surażu podlaskim, potem zaś w Łucku.

Odtąd głównym zadaniem Witołda było pościągać z zakładu krzyżackiego resztę braci, krewnych, bojarów. Pod pozorem, jakoby ich zakładnictwo zdawało się całej Litwie Jagiełłowej niewolą, która odstęrcza krajowców od połączenia się z Witołdem i Zakonem, powiodło się nakłonić Krzyżaków do nadesłania mu książąt Hleba smoleńskiego, Iwana holszańskiego, Jerzego bełskiego, tudzież większej części bojarów. Pozostali tylko rodzony brat Witołdów, Wigund, i dwaj mali Witołdowice w ręku Krzyżaków, w Malborgu i Królewcu.

Dla tym pewniejszego uspienia baczości krzyżackiej podjął Witołd jeszcze dwie wycieczki zbrojne do Litwy, jedną pod Lidę, drugą już w połowie maja do Miednik. W obu dwóch uczestniczyły liczne rotty krzyżackie, stojące załogą w Ritterswerder i w Grodnie, jako też w innych nowo pobudowanych zameczkach. W nadziei dalszych wycieczek nadciągnęło niemało zagranicznych gości krzyżackich, których Witołd aż do obiecaney wyprawy musiał ugaszczać w swoim zamku. Przybywało też z Litwy coraz więcej stronników, poddających się ślepo rozkazom Witołdowym.

Tymczasem nadszedł i św. Jan. Zgromadzona około księcia Litwa i Żmudź otrzymała hasło gotowości do ważnych kroków. Nim się załoga krzyżacka i „goście” w Ritterswerder spospstrzegli, zabrano im wszystkie oręż. Rozbrojone Krzyżactwo musiało zdać się na łaskę. Ochotnikom zagranicznym pozwolił Witołd odejść bezpiecznie; ludzie krzyżaccy, zbrojni i kupcy, pozostali w niewoli. Potem wypróżniwszy z wszystkiego Ritterswerder kazał Witołd podpalić zamek, a sam czym prędzej ruszył pod Grodno.

Ostrzeżeni o zdradzie Niemcy grodzieńscy wyszli zbrojno na spotkanie księcia. Krótka walka podała zwycięzonych w moc Litwy. Oswobodzone Grodno przyjęło silną załogę Witołdową. Reszta podobnież opanowanych zameczków stała się pastwą płomieni. Te ognie świętojańskie oczyściły całe porzecze nadniemeńskie, całe Podlasie z ostatnich śladów krzyżackich. Dotrzymawszy tym przyrzeczenia udał się Witołd z całym domem wędrownym nazad do Litwy ku Wilnowi. Uwiadomiony z Polski starosta wileński Jaśko Oleśnicki przyjął go z czcią i radością w Krzywym Grodzie wileńskim. Za lada chwilę miał sam król polski przybyć do Litwy.

Jakoż nadbiegła wnet pogłoska, że Władysław Jagiełło wraz z królową Jadwigą są już w granicach Wielkiego Księstwa. Witołd z całą rodziną i drużyną pospieszył na spotkanie królestwa. W połowie lata 1392 zjechały się oba dwory przed Lidą, w Ostrowiu nad rzeką Dzitwą. Była to ogromna majątność skarbu książęcego, godna pomieścić tak świetne grono gości. Dziś mała wioska szlachecka, słynął Ostrow starożytny jako częsta siedziba wielkich książąt, obfitująca w wszelkie ku temu wygody i ozdoby. Na zrębie istniejących dotąd fundamentów i sklepień podziemnych wznosiły się niegdyś „pałace obszerne”, otoczone niezmiernymi ogrodami i sadami. Najpiękniejsza pora roku krasila je teraz bujnym w Litwie kwieciami i wonią.

I nie samej tylko przyrodzie śmiały się nieba w Ostrowiu. Jak okolica słońcem lipcowym, tak zgromadzone tam towarzystwo książęce jaśniało zadowoleniem radości. Zawiazujący się teraz węzeł braterstwa między Jagiełłą a Witołdem rozpoczął dla obudwóch książąt epokę pomyślności i sławy, stał się drugim połączeniem Korony z Litwą. Duszą tego nowego zjednoczenia, panią całej wiekopomnej uroczystości ostrowskiej była znowuz królowa polska Jadwiga. W pełnym kwiecie lat i piękności, otoczona już chwałą przywrócieli Rusi Czerwonej, mądra jednawczyni i pośredniczka w najzawilszych sprawach Korony, właściwa dziedziczka i pani Polski, zniewalała ona wszystkich swoją powagą, swoim urokiem i rozumem.

Od niej to bez wątpienia wyszła pierwsza pobudka do odzyskania Litwie szlachetnego wygnańca grodzieńskiego. Ku niej też zwraca on obecnie w Ostrowiu swój pierwszy hołd pojednawczy. Takimże hołdem porucza się Jadwidze także Witołdowa małżonka, księżna Anna. Obok Jadwigi, jako właściwej królowej Polski, występuje tu Jagiełło głównie jako „najwyższy zwierzchnik Litwy”. Od tego zaś wymagała chwila terazniejsza przed wszystkim umorzenia dawnej waśni między Witołdem a jego najistotniejszym przeciwnikiem Skirgiełłą, niedawnym wielkim księciem Litwy, którego niezasłużona dostojność wielkoksiążęca najboleśniej bodła Kiejstutowica. Za staraniem Jagiełły jedną się w tej porze obaj powaśnieni książęta. Mniej godny, acz drogi braterskiemu sercu Jagiełły ustępuje pierwszeństwa godniejszemu, acz mniej miłemu.

Dziki Skirgiełło poprzestał na wydzielonym mu księstwie kijowskim, a Litwę z Kiejstutowym niegdyś udziałem trockim i z godnością wielkoksiążęcą uznał Jagiełło słuszną własnością Witołdową. Witołd osiągnął požądane Wielkie Księstwo Litewskie z ojczystymi Troka-

mi, za co na rzecz Skirgiełły zrzekł on się wzajemnie swoich praw do niektórych zamków wołyńskich, mianowicie Krzemieńca z Stożkiem. Jak w ogólności między Koroną i królową polską a dotychczasowym przeciwnikiem jej połączenia się z Litwą, Witoldem, tak w szczególności między tymże Witoldem a jego dotychczasowym spółzawodnikiem Skirgiełłą stała teraz najściślejsza jedność, zgoda i spólność. Gdyby kiedykolwiek wyniknąć miały nowe niesnaski, przyrzekają i obowiązują się strony obiedwie zdać się bezwarunkowo na wyrok świątobliwej pośredniczki obecnego sojuszu, królowej polskiej Jadwigi.

Ku potwierdzeniu tego wszystkiego posłużyło pięć dokumentów, jedynych dla nas śladów pięknej gościny pojednawczej w Ostrowiu. Trzy ułożone zostały tamże natychmiast, w dzień św. Dominika, 4 sierpnia; dwa dalsze nieco później, 6 grudnia w Bełżcach. Z tamtych pierwszym, wydanym przez Witolda, pełnym uciechy z uśmierzenia krwawych od dawna niezgod, ślubuje on „pozostać wieczyście w związku z Królestwem Polskim i Koroną Polską i królową polską Jadwigą, nie znać nigdy żadnej innej zwierzchniczki i pani nad nią, lecz owszem przykładać się wszelkimi siłami do jej czci, pożytku, uwielmożenia i sławy, jako też bronić ją, zasłaniać i ostrzegać od wszelkich nieprzyjaciół i przeciwników”. Drugi zaręcza toż samo w imieniu księżnej Anny, małżonki Witoldowej. Trzecim obowiązuje się też księżna Anna czuć nad niezmiennym dochowaniem wierności i obietnic wielkiego księcia Witolda.

Z bełżeckich zaś zapisów jeden oświadcza z ramienia króla Jagiełły, iż książęcy bracia Skirgiełło i Witold zgasili w sercu swoim wszelką nieprzyjaźń dawną i przyrzekli sobie żyć nadal w zgodzie i miłości braterskiej. Drugim sam Witold wynurza to Skirgiełło, swojemu „spółtowarzyszowi odtąd i bratu”, upewnionemu teraz o jego wiernej pomocy przeciwko wszelkim nieprzyjaciółom z wyjątkiem Korony i królowej polskiej Jadwigi. Jadwiga najwyższą patronką, Jadwiga ostatnim celem pojednania w Ostrowiu.

Z Ostrowia ruszyło całe towarzystwo książąt do Wilna. Tam wileński biskup Andrzej uwieńczył Witolda mitrą wielkoksiążęcą. Odtąd przez lat blisko 40, aż po koniec życia pojednanych synów Olgierda i Kiejstuta nie zerwała się już stanowczo zgoda ostrowska. Po długich walkach z losem dobił się szlachetny wygnaniec pruski godnego siebie pola działania i zaszczytów. Jakoż wkrótce uczuła Litwa umiejętną rękę nowego władcy. Zaraz po nastąpieniu Witolda zaczęła ona ku radości Jagiełły wracać do sił i dostatków, które w zamieszkach lat ostatnich niezmiernie podupadły, a teraz w nie znaną dawniejszym i późniejszym czasem rozmogły się obfitość.

Doznali tego najjawniej i najniechętniej Krzyżacy. Nie mogąc zrzec się od razu dawnych planów zaborczych, tłukli oni jeszcze przez jakiś czas rogami pychy swojej o Litwę, nawet o bramy Witoldowej stolicy Wilna, lecz coraz nieszkodliwiej dla Litwy, coraz szkodliwiej dla siebie samych. Już to ciągła pomoc Polaków, już potężne rządy Kiejstutowica tak dalece znieudolniły oręż krzyżacki, że wybierając z dwojga złego woleli Krzyżacy zaniechać dalszych szturmów do Litwy niż terać siły na próżno.

W roku 1398 dojrzał nawet „wieczysty” pokój między Zakonem a Litwą. Wrócił on Witoldowi pozostałego w zakładzie malborskim brata. Zatrzymane w Królewcu dwoje dzieci Witolda otruł któryś z Krzyżaków. Bezdzielnemu po mieczu wielkiemu księżęciu Litwy pozostało być już tylko „ojcem ojczyźnie swojej”. Czczono go też powszechnie tym mianem, wysłużonym przezeń niespracowaną twórczością w wszystkich życia narodowego zawodach. Nieco później znajdzie się miejsce kilku bliższym w tej mierze słowom. Teraz po długim oddaleniu od ziem Polski właściwej, przypatrzwszy się mijającym przed nami widokom chrztu Litwy, odzyskania Rusi Czerwonej, waśni i zgody Witoldowej, odprowadzić nam króla Władysława nazad nad Wisłę.

Toć nawrócenie ojczyzny i wcielone ziemie halickie nie wyczerpały jeszcze jego koronacyjnych zobowiązań względem Korony. Oprócz naprawionego już uszczerbku Rusi, oprócz przyjętego w intyulację Jagiełłową Pomorza był jeszcze w samym wnętrzu Korony znaczny do wyrównania szczerb, szeroki kraj Opolczyka. Nadany terażniejszemu posiadaczowi sa-

mową ojca Jadwigi, chwał się ten kraj dotychczas między zupełną niezawisłością a niejakim związkiem z Koroną. Jagiełłową wierność przyrzeczeniom koronacyjnym położyła obecnie koniec tej niepewności. Obaczmy, jakim sposobem.

Lecz cóż się stało z nowożeńcem ritterswerderskim, z tajemnym skojarzycielem zgody z Witoldem? Wraca on razem z nami do Polski, ale bez żony, nieżywy, na wozie pogrzebowym. Poniewolna ofiara Bogu za zbrodnię ojca, padł Henryk także ofiarą posłannictwa swojego. Po godach weselnych osiadł książę z małżonką w niedalekim Surażu, może posagowym udziale żony. Rychły napad wojsk zakonnych na Suraż, zagroziwszy go ledwie uniknionym niebezpieczeństwem popadnięcia w ręce krzyżackie, wygnał Henryka stamtąd do Łucka. Była to siedziba bezpieczniejsza od wrogów pruskich, lecz nie dość bezpieczna od innych nieprzyjaciół.

A dziwne zawikłanie losów młodego Piasta otoczyło go ćmą przeciwników. Jego małżeństwo wbrew dostojności duchownej, jego oddalenie od biskupstwa, a ciągle pobieranie dochodów płockich, niepodobieństwo przyzwolenia kapituły płockiej na biskupa żonatego, a nieochybny gniew i odwet starszych książąt Mazowsza przeciwko kapitule w razie jej oporu Henrykowi zagmatwały cały jego stosunek z światem w trudny do rozdzierzgnięcia węzeł. Znalazła się ręka, która go wnet przecięła. Wieki średnie, jak tylokrotnie musieliśmy nadmienić, nie wahały się w postanowieniach, a tym mniej w środkach. Najłatwiej czyniła zadość trucizna. W kilka miesięcy po przybyciu do Łucka został nominat płocki (używając dawnego wyrażenia) „zastrzelony z polewki”.

Podejrzeń o to padło na małżonkę Ryngałę. Bądź jak bądź, w niespełna rok po ożenieniu, w zimie r. 1392 na 1393, odwieziono zwłoki Henryka sańmi do Płocka. Nie przyjęte pomiędzy biskupów, spoczęły one pomiędzy zwłokami przodków, w grobach książęcych. Owdowiałą Ryngałę pojął później wojewoda mołdawski. Wszakże i te nowe śluby nie miały, jak się zdaje, błogosławieństwa. Dochodzi nas bowiem nawiasowa wiadomość, że jeden z książąt mołdawskich odesłał do dom poślubioną sobie siostrę Witolda. Była to najprawdopodobniej nasza Ryngała.

W dalszych trzydziści lat, w roku 1421, uzyskała ona na starość od książąt mołdawskich Aleksandra i Ilii dożywotnie zapewnienie dochodów z miasteczek Seretu i Rotkowca, tudzież sumę 600 „dukatów, czyli czerwonych złotych węgierskich”. Co się z nią dalej stało, nie wiemy.

XIX. NADERSPAN

Targi Luksemburczyków z Zakonem o Nową Marchię. Wątpliwość granic polskich w tej stronie. Spór o Drezenko. Ofiarowanie Krzyżakom Dobrzyń i Kujaw przez Zygmunta. Opolczyk, czyli Naderspan głównym tego doradcą. Bliższy obraz Naderspana. Dyplomata w XIV wieku. Względy Stolicy Apostolskiej. Powszechnie w końcu zrażenie sobie umysłów. Niezmienny pociąg ku Zakonowi. Zastawienie mu ziemi dobrzyńskiej. Projekt rozbioru Polski. Upadek Naderspana. Żądanie hołdu i wypowiedzenie mu wojny przez Polaków. Zamach krzyżacki przeciwko ks. Januszowi Mazowieckiemu. Śmierć Wallenroda. Odstrychnięcie się sprzymierzeńców od Naderspana. Wyzucie go z wszelkich ziem przez Polaków. Wyprawa polska na Śląsk. Dziesięcioletnie oblężenie Bolesławca. Waśń Naderspana z Zakonem. Sprawa o Dobrzyń między Zakonem a Polską. Zjazd Jadwigi z Krzyżakami w Inowrocławiu. Śmierć Opolczyka. Wykupienie ziemi dobrzyńskiej przez Polaków. Drezenko zarzewiem przyszłych sporów z Zakonem.

Tej samej wiosny, kiedy wygnańcza rodzina Witołdowa przyjmowała w Ritterswerder tajnego posła polskiego, stanął w Malborku u wielkiego mistrza Krzyżaków Wallenroda nie mniej ważny, a również poufny poseł skądinąd. Przybywał on z Węgier, od króla Zygmunta Luksemburczyka, ustalonego już na starożytnym tronie Arpadów, a miał skłonić wielkiego mistrza do zakupienia pogranicznej prowincji Nowej Marchii, którą już poprzednikowi Wallenrodowemu, Czolnerowi, ofiarował podobnie na sprzedaż kto inny, tj. brat Zygmunta, Waclaw król rzymski, i Jan Gorlicki, margrabia Łużyc. Ci chcieli wówczas za Marchię dziesięć-kroć 100 000 florenów; terażniejszy poseł Zygmuntów żądał tylko połowy – 500 000. Wszakże i ta ostatnia cena zdawała się jeszcze wygórowaną Krzyżakom, gdyż właśnie przed kilku tygodniami zgłosili się owi pierwsi sprzedawcy, Waclaw i Jan, po raz wtóry, żądając tylko 300 000.

Samych panów pruskich, lubo z dawien dawna przyzwyczajonych do frymarków tego rodzaju, zdziwiła niepoczesna natrętność Luksemburczyków. I rzeczywiście przedstawia ona jeden z ciekawszych przykładów publicznej moralności średnich stuleci. Kupecząc krajem i ludem jak rzeczą martwą, zniżając szalbierskim targiem coraz bardziej cenę swego towaru, cisnąc się w zawody do owej „wieży złota”, którą słynni z swoich bogactw Krzyżacy mimowolnie pociągali ku sobie wszystkich łakomców onego czasu – narzucało im kilka różnych rąk jeden i ten sam towar z tak podejrzaną natarczywością, że mogła powstać wątpliwość, czy którakolwiek z nich ma jakie takie prawo do niego.

Ale gdzie interes tego nie żądał, tam Krzyżacy nie wglądali w cudze sumienia. Nie odrzucano więc ostatecznie ani Waclawowego, ani Zygmunutowego przedłożenia. Waclawowi i Janowi księżęciu na Gorlicach, rzeczywistemu panu Nowej Marchii, oświadczył Zakon gotowość do kupienia jej za 300 000 zł, byle nadesłano dokładny spis wszystkich intrat, czynszów i przywilejów tej ziemi, który jeszcze dotąd nie nadszedł. Zygmunt otrzymał odpowiedź, że Krzyżacy chętnie nabędą Nową Marchię, skoro król węgierski zechce ubezpieczyć ich od przyszłych nagabywań reszty spółwłaścicieli.

Zależy zaś opowiadaniu naszemu z tej przyczyny na obecnej sprawie krzyżackiej, ponieważ granice między Nową Marchią a Polską podlegały od dawna spornemu tłumaczeniu. Dotyczyło to mianowicie polskiej „Krainy”, tj. części powiatu nakielskiego poza Notecią, zawierającej starożytne włości Nałęczów, Wałcz, Człopa, Drezdenko itp. Skutkiem ciągłej kolonizacji teutońskiej przechodziły mnogie polskie sioła i zamki w tak zwanej Krainie na własność szlachty niemieckiej, a niedojrzałość ówczesnej organizacji politycznej dozwalała podobnym ziemiom granicznym odrywać się nader łatwo ze związku z dawną Koroną, poddawać się zwierzchnictwu książąt ościennych. Tylko właściwe dobra królewskie, zostające pod bezpośrednim nadzorem władzy królewskiej, mogły taką pograniczną prowincję utrzymać w niezaprzeczonej jedności z państwem. Jeśli nie było w niej dóbr królewskich, a ten albo ów majątek szlachecki stał się własnością cudzoziemczą, tedy lada niechęć nowego posiadacza ku narodowi, lada zmiana króla albo dynastii w państwie, lada zamieszka w kraju ułatwiały mu bezkarne uznanie się hołdownikiem któregośkolwiek z sąsiednich władców niemieckich.

Takim sposobem niejeden z polskich zamków Krainy hołdował dawniej przez jakiś czas książętom zagranicznym, najczęściej przyległym margrabiom brandenburskim, i mógł przeto stać się kiedyś przedmiotem ich uroszczeń. Groziło to osobliwie starożytnemu grodowi i okręgowi polskiemu Drezdenko nad Notecią. Dawny cel pożądlivości sąsiadów w r. 1251, opanowany przez księcia pomorskiego Barnima, około r. 1271 odzyskany przez książąt wielkopolskich, w r. 1317, w porze przedkoronacyjnych zamieszek w państwie Łokietka, owdądnięty znowuż przez margrabię brandenburskiego Waldemara, wrócił ten gród pograniczny za Kazimierza Wielkiego do stałego związku z Koroną. Wtedy roku 1365 czterej niemieccy posiadacze Drezdenka, panowie von der Ost, ślubując poddaństwo Kazimierzowi złożyli w wydanym na to dokumencie świadectwo, iż zamek i powiat drezdeński jest starożytną dziedziną polską i polskim jedynie królom ulegać winien.

Wtem zdarzyła się okoliczność, która niespodziewanie dała powód ciężkim zawikłaniom w przyszłości. Przed laty dziesięcią, tuż po śmierci króla Ludwika, gdy terażniejszy król Węgry a oraz brandenburski margrabia Zygmunt zjechał do Wielkopolski jako spodziewany następca tronu polskiego, pospieszyli panowie von der Ost złożyć mu hołd. Lecz mając do czynienia z Niemcem, z margrabią brandenburskim, woleli uderzyć mu czołem jako margrabi niż jako królowi polskiemu, a ówczesny rozterk w Koronie zasłonił to oczom ludzkim. Po upadku sprawy Zygmunta, podczas jego włóczęgi i przygód po obcych krajach, a całe wątpliwego stanu rzeczy w margrabstwie i w Nowej Marchii, pozostali Ostowie nadal przy państwie polskim, złożyli hołd Jagielle i zaprzysięgli mu wszelką wierność i pomoc.

Niechby jednakże zdarzyła się pokusa, niechby mianowicie Nowa Marchia przeszła w moc księcia warchoła zaborczego, a słuszną było lękać się straty Drezdenka. Spodziewane teraz zagarnięcie Nowej Marchii przez Krzyżaków zamieniało obawę sporów o Drezdenko w pewność nieuniknioną. Losy tej twierdzy podzielało wiele innych zamków polskiej Krainy. Dlatego w wysokim stopniu obchodził Koronę Polską obecny targ luksembursko-krzyżacki.

Jakoż aż nazbyt rychło okazało się, o ile sprzedaż Marchii miała głównie szkodę polską na oku. Skończywszy bowiem rzecz wstępną, wystąpił poseł węgierski z nowym, nierównie ważniejszym dla Polski przedłożeniem. „Każe mi też król jegomość oświadczyć wam, panie mistrzu – są własne słowa posła do Wallenroda – iż gotów jest sprzedać wam także ziemię dobrzyńską, jako też ziemię kujawską. Jeśli tedy macie ochotę kupić, to powiedzcie tylko, co dacie, a nikomu król nie życzy tak chętnie kupna tego jak wam.”

Nawet Krzyżakowi Wallenrodowi wydało się to przedłożenie nadmiar szalbierskim. Ziemia dobrzyńska i część Kujaw, o której mowa, unieważnionym później testamentem Kazimierza Wielkiego przeznaczone wnukowi szczecińskiemu, książęciu Kazimierzowi, obecnie w posiadaniu Władysława Opolczyka, zwanego u Krzyżaków Naderspanem, stanowiły jedną z rdzennych dzierżaw Korony Polskiej. Jakimże prawem śmie Zygmunt sprzedawać je teraz

Krzyżakom? „Ma zapewne król jegomość – odpowie Wallenrod wysłańcowi Zygmunutowemu – dostateczne upoważnienie do tego kroku. Nie uchylamy się przeto bynajmniej od jego chęci łaskawych. Dla większej przecież pewności prosi Zakon o wyświecenie praw królewskich do Dobrzynia i Kujaw.” Z tym wrócił poseł do Węgier.

Ku lepszemu zrozumieniu zagajonej tu sprawy dobrzyńskiej należy wiedzieć, iż Krzyżacy tymi czasy uczynili już pierwszy wyłom do zagarnięcia Dobrzynia, dawno upatrzonego przedmiotu pożądlivosti zakonnej. Teraźniejszy jego władzca, Naderspan, mimo swoją rządność mieszczańską zadłużony po uszy jak wszyscy książęta tamtocześni, zastawił Krzyżakom w roku przeszłym za 6632 złotych węgierskich jeden z dobrzyńskich zamków granicznych, Złotoryję nad Wisłą. Ponieważ to nastąpiło bez zezwolenia króla Jagiełły, najwyższego zwierzchnika ziemi dobrzyńskiej, przeto wkroczył do niej oddział wojska polskiego, aby w zakład wierności Naderspana zająć dwa zamki dobrzyńskie, Rypin i Bobrowniki. Pierwszy opanowano bez trudności, drugi stawiał opór naczelnikowi hufców polskich Krystynowi, czyli Krzonowi z Kozichłków.

W rozpoczętym stąd oblężeniu miało żołnierstwo polskie pokrzywdzić przejeżdżających kupców toruńskich. Pod pozorem obrony poddanych swoich zgromadzili poblizsi komturowie krzyżaccy przeważną siłę zbrojną i nadciągnęli z nią ku oblężonym Bobrownikom przeciw Polakom. Pan Krzon nie miał zlecenia wszczynać wojny z Krzyżactwem i ustąpił bez walki. Oswobodzony dowódca bobrownicki powiatał mile Krzyżaków i według uprzednich rozkazów Opolczyka, według jego tajemnego uprzednio porozumienia z Zakonem oddał im zamek, a sam wyruszył do swego pana w Węgrzech.

Takim podstępem posiadli Teutonowie dwie znamienite twierdze ziemi dobrzyńskiej i prócz tego cieszyli się jawną przychylnością jej władzcy. Owszem, teraźniejszy pobyt Naderspana na dworze węgierskim, tudzież jego porozumienie z Krzyżakami względem Bobrownik każą domyślać się, że cały projekt sprzedaży Dobrzynia i Nowej Marchii wypłynął z porady Opolczykowej.

Nastąpił wkrótce wypadek, który nie pozostawił żadnej wątpliwości w tym względzie. W pierwszych tygodniach lipca 1392, kiedy Jagiełło z Jadwigą udawali się na zjazd pojednania w Ostrowiu, przekradał się przez Polskę od południa na północ ku Toruniowi jakiś nie znany nikomu kupiec wędrowny. Chyłkiem, milczkiem, uboczem dążył on spiesznym krokiem do Prus i zmierzył tam prosto do stolicy krzyżackiej. W okazałych murach Malborga spadła z wędrowcy odzież uboga, a spod przebrania kupieckiego wystąpił sam „najjaśniejszy książę polski, wieluński, dobrzyński i kujawski, Naderspan”.

Hazardowny sposób przybycia świadczył o ważnym celu podróży. Było nim ostateczne załatwienie sprawy dobrzyńskiej. W zawiązanym o to rozgóworze między księciem a Wallenrodem dał się Krzyżak bez trudności przekonać, iż ziemia dobrzyńska jest wolną i niezawisłą od nikogo własnością Opolczyka, iż zmarły król Ludwik darował mu ją zupełną darowizną w zamian za Ruś Czerwoną i posiadłości dziedziczne w Węgrzech, że zatem chyba tylko król Zygmunt jako następca Ludwików, tylko małżonka Zygmunta Maria jako córka Ludwika byłiby dalszymi zwierzchnikami Dobrzynia. Zwierzchnicze domaganie się króla polskiego, tego odwiecznego dziedzica ziemi dobrzyńskiej, Jadwigi, tej właściwej po Ludwiku spadkobierczyni ziem polskich, są (w Malborgu) czczym uroszczeniem.

Wiedział wprawdzie i w Malborgu Naderspan, iż przedkilkunastoletni dokument króla Ludwika, przyznający mu darem ziemię i zamki Dobrzyń, Bydgoszcz, Gniewków, Inowłódz, Złotoryję i Szarlej, obowiązuje go wyraźnym zastrzeżeniem do „hołdu i przysięgi wierności królom polskim i Królestwu Polskiemu z ziem przyrzeczonych”. Lecz pergamin ten spoczywał u Opolczyka w głębokim ukryciu przed okiem ludzkim; nikt od dawna nie widział go i nie miał widzieć go nigdy, a moralne usposobienie czasu pozwalało księciu i dyplomacie XIV wieku utrzymywać kłam jawny.

Przypominał sobie wprawdzie Wallenrod, iż dopiero przed laty sześciami, w czasie koronacji Jagiełły i chwilowej wtedy przyjaźni Naderspana z królem Jagiełłą, a przeciwniej Naderspanowi ligi Zakonu z książętami Pomorza szczecińskiego, mniemanymi spadkobiercami Dobrzynia, sami Krzyżacy nie tylko nie wierzyli w samowładność posiadania ziemi dobrzyńskiej przez Opolczyka, lecz owszem zaprzeczali mu wszelkiego do niej prawa, nazywając go w owej lidze wzgardliwie „tym, który się tytułuje księciem dobrzyńskim”.

Wszakże od tych lat sześciu zmieniło się wiele rzeczy. Chwilowy stronnik Jagiełły wrócił do dawnej niechęci przeciwko memu, a odwrotnie ówczesni sprzymierzeńcy Zakonu, książęta pomorscy, kłoniли się dziś ku Jagielle. To przeistoczenie stosunków przewiergnęło także pojęcia Zakonu o słuszności. Co w zwolenniku Jagiełły było bezprawiem, to w jego wrogu było jawną sprawiedliwością; i przeciwnie, słuszność dawnych adwersarzów Jagiełłowych, książąt szczecińskich, stała się teraz czczym uroszczeniem. Pokrył więc Konrad Wallenrod niepamięcią dawne zarzuty przeciwko sprawiedliwemu dzierżeniu Dobrzynia przez Naderspana, a sam książę twierdził upornie, iż posiada ziemię dobrzyńską tytułem nieograniczonej własności, lubo mimo prośby i upomnienia Krzyżaków nie okazał nigdy autentyku Ludwikowego.

Natomiast miały zaspokoić Wallenroda dwa inne dokumenty. Jeden pochodził od małżonki Opolczykowej, księżny Ofki, czyli Zofii, której Naderspan dla wsunięcia jak najwięcej dokumentów i praw cudzych między Koronę Polską a siebie zapisał Dobrzyń w „oprawę”, a która zezwoliła istotnie na zbycie go Zakonowi. Drugi przysposobiła Krzyżakom kancelaria węgierska króla Zygmunta, pozwalając Opolczykowi tytułem urojonego zwierzchnictwa nad Dobrzyniem „dać go, darować, sprzedać, zastawić komukolwiek, a osobliwie braciom niemieckiego Zakonu Najświętszej Panny”.

O toż jedynie chodziło Wallenrodowi. Potrzebując koniecznie dokumentu nie dbali Krzyżacy zresztą o jego prawdę i słuszność. Jakikolwiek pergamin, czy to darowizna Litwy i Rusi przez cesarza, czy upoważnienie do nabycia Dobrzynia przez Zygmunta, wystarczał ku „udowodnieniu” krzyżackich praw przed wszystkimi, „którzy się znają na prawie”. Nie groziła więc z tej strony żadna przeszkoda sprawie dobrzyńskiej. Z tym wszystkim jawna nieprawość targu napawała zawsze pewną trwogą tajemną. Nie wahając się przeto podać ręki do frymarku niecnego podawali ją Krzyżacy nader ostrożnie.

Oświadczone Opolczykowi, iż Zakon przyjmie ziemię dobrzyńską tylko zastawem. Przy ustawicznych kłopotach pieniężnych Naderspana, nie pozwalających mu pomyśleć o wykupnie, przynosił zastaw wszelkie korzyści kupna, a przypuszczając możliwość zwrócenia komukolwiek Dobrzynia za zwrotem sumy wypożyczonej ochraniał pozory godziwości. W tej mierze Opolczyk jako sprzedawca ziemi, która nie było jego bezwarunkową własnością, i król Zygmunt jako upoważniciel tak podejrzanej sprzedaży znaleźli godnych siebie spółników w braci teutońskiej.

Zadając teraz kłamstwo własnym słowom niedawnego przymierza z Bogusławem szczecińskim, mieniając teraz słusznością, co przed laty sześciami nazywano bezprawiem, krzywdząc Polaków podstępny zaborem całej prowincji krzywdzili Teutoni samegoż jeszcze Opolczyka jak najniższą ceną nabytku. Cała sprawa Dobrzynia i Nowej Marchii zdała się arcydziełem przebiegłości Krzyżaków, a w końcu zamieniła się w przyczynę ich upadku, w ostateczną podniętę do rozstrzygnięcia tego wielkiego zadania narodowego, nad którym pracują dotąd Litwa i Polska, tj. chwilowego uwolnienia się spod przemocy teutonizmu. Gdy zaś Władysław Opolczyk jest głównym autorem sprawy dobrzyńskiej, przeto niech nam wolno będzie domieścić kilka ostatnich rysów do obrazu tej pamiętnej osobistości.

W naszym księciu z Opola przedstawia się nam przed wszystkim d y p l o m a t a XIV stulecia. Usposobiło go do tej roli wrodzone „zamiłowanie spokoju”, usposobiło znane nam upodobanie w tych stanach społeczeństwa, które spokojnymi parają się rzemiosłami. Stąd nieprzyjaciel awanturniczego rycerstwa, miłośnik mieszczaństwa i przemysłu, należał Nader-

span do rządu książąt wolnomyślniejszych, kierujących się nowszymi wyobrażeniami i sympatiami, nowszą dążnością do ustalenia światlejszego, rządniejszego pożycia.

Radzi byśmy też oddali hołd tym szacownym przymiotom stanowiącym wielkość kilku ówczesnych książąt, jak np. króla Ludwika w Węgrzech, acz nie w Polsce, cesarza Karola IV w Czechach, acz nie w Niemczech. Wszelako jak we wszystkim, tak i w zacnym poczcie pracowników „postępu” każdej epoki wielu powołanych, mało wybranych. Lubo więc Ludwik zaszczycał Opolczyka łaskami i zaufaniem, lubo cesarz Karol mienił go „swoim szwagrem kochanym”, przyniosły mu te nowoczesne zalety więcej trudów i cierni niż pożytku za życia, a chwały w potomności.

Niełatwo bowiem znaleźlibyśmy księżęcia, który by przy tak dwuznacznej sławie w czasach późniejszych usługiwał tak mozolnie najrozmaitszym sprawom czasu swojego. Były to prawie wyłącznie posługi dyplomatyczne, poselskie, rozjemcze, administracyjne. Jeszcze za Kazimierza Wielkiego, w roku 1366, a więc przed laty blisko trzydziestu, pełnił on obowiązki „prokuratora, aktora, faktora, negocjatora, posła i specjalnego syndyka” w układach o małżeństwo cesarzewica Waclawa z synowicą króla Ludwika, Elżbietą. Podobnymże pośrednictwem, spółporęczycielstwem, a na koniec spodziewanym zarządztwem pokładzin Wilhelma i Jadwigi w Krakowie miał Naderspan przyjść w pomoc rakuskiemu związkowi z domem andegaweńskim.

W wojnie między Ziemowitem jako pretendentem korony polskiej a Zygmuntem jako obrońcą domu Ludwikowego zdarza się Opolskiemu „miłośnikowi pokoju” zjednać rozejm kilkumiesięczny. Gdy po ustąpieniu matki Ludwikowej z Krakowa pozostała Polska bez rządcy, porucza mu król Ludwik gubernatorstwo nad Wisłą. Nawet ów Ludwików dar Dobrzynia i części Kujaw znaczył raczej poruczenie mu onych w zarząd dziedziczny z obowiązkiem uległości i pomocy feudalnej niż zupełną darowiznę w dzisiejszym rozumieniu.

Co wszystko jednakże okazywało się z kolei zadaniem nad siły Opolczyka. Za najsmutniejszy dowód jego umysłowej miernoty stało ustawiczne chybienie wszelkich zamysłów. Nic zgoła nie wiedzie się Naderspanowi. Poruczeni jego opiece oblubieńcy wracają do dom bez żony. Zlecone mu wicerejestwo Polski spełza na niczym. Chwalona mu rządność i przemysłność mieszczańska nie ochrania go od ciągłej próżni w skarbcu, ciągłej potrzeby długów. Dla utrzymanych dziedzicznym darem księstw polskich nie ma Opolczyk dziedzica i marnie traci je z czasem. Ziemi czerwonoruskiej musi on wyrzec się dobrowolnie, jako zbyt trudnego brzemienia.

Jeszczeż te rządy ruskie nastęrczały mu sposobność do najtrwalszej i najchlubniejszej, jaka pozostała po nim, pamiątki. Wspólne z królem Ludwikiem założenie na Rusi arcybiskupstwa i trzech biskupstw łacińskich, dokonane w duchu onego zachodnioeuropejskiego cywilizatorstwa, którego Władysław mniemał się zawsze szermierzem w tych stronach wschodnich, jakkolwiek niewielce pocieszyło Rusinów, zjednało mu przecież niepospolitą zasługę w Rzymie. Jakoż czym może, wywdzięcza mu się stolica rzymska. Zyskał na tym najwięcej bratanek księżęcia Jan, znany pod przydomkiem Kropidło, poświęcony stanowi duchownemu i już od roku 1382 biskup poznański.

Lubo przydomkiem od narzędzia kościelnego uczczony, był to młodzian płochy, światowy, niegodny wcale względów papieskich. Imionisko Kropidło dały mu nadzwyczajnie bujno utrefione kędziory, którymi młody wartogłów ustawicznie jak kropidłem potrząsał, a nieprzebrana mnogość dowcipnie opowiadanych facecyj i dykteryjek czyniła go duszą każdej biesiady. Więcej też o zabawę, o przysmaki stołowe, o krotofile niż o swoją trzodę poznańską dbający przesiadywał wesoły biskup ustawicznie po obcych dworach, na Szląsku, u Krzyżaków, którym zresztą nie samymi żartami nadslugiwał. Zniemczały bowiem jak wszyscy Opolczykowie, donosił im Kropidło, czyli niemieckim samychże Krzyżaków brzmieniem Grapidła, o wszystkich ważniejszych zdarzeniach w Polsce, mianowicie o każdym nieprzyjaznym Zakonowi słówku Jagiełły. Oprócz której to roli ostrzegacza Zakonu nie parał się

Jan Opolczyk żadnymi ważniejszymi sprawami, lecz rozrywkom i facecjom swoim oddany dopuszczał się często nazbyt gorszących żartów, abyśmy je opowiedzieć tu mogli.

Mimo to dzięki apostolskim zasługom Naderspana płynęły mu z niepowszednią hojnością łaski papieskie. W niedługim czasie miał wesoły biskup poznański stać się jednym z rzadkich przykładów biskupa, trzymającego zarazem dwa biskupstwa. Zaniósł się, owszem, na udzielenie mu głównej w Kościele polskim godności arcybiskupstwa gnieźnieńskiego po zmarłym tymi czasy Bodzancie. Jak ów z poślubiona sobie siostrą Witołdową w Suraziu posiadający nominat płocki Henryk, jak inny spółbratanek Opolczyków, a podobnie nigdy w swoim arcybiskupstwie nie mieszkający Henryk Lignicki, myślał i nasz spodziewany arcybiskup gnieźnieński facecjonować dalej na polskim chlebie po obcych stronach, nie troszcząc się wcale o sprawy Korony Polskiej, chyba dla tajnego ostrzegania o nich Krzyżaków. Nie dopuściła tego przecież też sama ręka, która już to nieco dawniej w stronach czerwonoruśkich, już to w zagajonym obecnie toku wypadków tak ciężko uczuć się dała jego stryjecznemu Naderspanowi, ręka króla polskiego Władysława Jagiełły. Wróćmyż do ostatnich rysów obrazu Naderspana.

Ten w sprzeczce uroszczeń a nieudolności moralnej z widoczną niełaską losów wykształcił w sobie na koniec najszpetniejszą złą wiarę. Tą jedyną bronią swego rozumu, prostym fałszem, chciał on teraz nakłonić Krzyżaków do nabycia Dobrzynia, jakoby bezwarunkowej jego własności. Podobnym fałszem przysłużył on się niegdyś sprawie ślubów rakuskich, zaprzysięgając pod koniec lipca r. 1385 połączyć za kilka tygodni Wilhelma z Jadwigą w stolicy polskiej, zamiast czego pod koniec grudnia w tym samym roku zaprzysięgł on Jagielle radosne przyjęcie i ślub w Krakowie. Tąż jawną nieuczciwością podał się Naderspan wreszcie w powszechną niechęć i poniewierkę u ludzi.

W domiar wszelkich niepomyślności otoczyła go wszechstronna nienawiść bliźnich. Gdy król Ludwik mianował go rządcą Polski, zawrzał cały naród wstrętem ku niemu i wolał mieć płochego, rozwiązłego Zawiszę wicerejem. Pobożny i zasłużony względem Kościoła, był on z powodu doradzonej niegdyś królowi Ludwikowi podwyżki podatków z dóbr kościelnych obrzydzeniem całego duchowieństwa i zostawał przez długi czas pod klątwą. Przed koronacją Jadwigi na elekcyjnym zjeździe w Sieradzu chciała szlachta targnąć się nań pięściami, „pojąć” znenawidzonego natręta, czemu jedynie umiarkowanie panów zabiegło. Z obawy tego powszechnego wstrętu ludzkiego musiał Naderspan w obecnej podróży do Malbarga skryć się pod kapiec kupiecką.

Wszystko zaś razem, i powszechny wstręt ludzki, i fałsz postępowania, i bezskuteczność wysień, nadają nader oplakaną fizjonomię temu księżecemu starcowi z Opoła, tej zdziczałej płoncy wielkiego drzewa Piastów. Wobec fortunnych możnowładzców krakowskich, pożywających teraz owoce swoich śmiałych a zrećnie przeprowadzonych zamiarów; wobec szczęśliwego Jagiełły, który zacnością charakteru usprawiedliwiał przychyłność niebios; wobec wielkiego Witołda, który wysileniem rozpaczy walczył z oporem losu i zwyciężył go wreszcie – jest to stary, przeniwierczy narodowi własnemu grzesznik, któremu Pan Bóg w niczym nie błogosławi.

Była przecież chwila, w której się zdało, że Opolczyk pomyślniejszych na starość dożyje dni. Po przejściu na stronę ślubów Jagiełły związały się przyjazne stosunki pomiędzy nim a Koroną. Jego córka Jadwiga, jedyne dziecko w domu, zaręczona została rodzonemu bratu Jagiełły, Aleksandrowi-Wilgundowi, najzdolniejszemu z braci królewskich, „istnemu Polakowi językiem, strojem i obyczajem”.

Tym sposobem otworzyła się dla wymaganego od Jagiełły przywrócenia Opolczykowych posiadłości Koronie i dla Opolczykowych życzeń utrzymania onych rodzinie pewna pojednawcza droga pośrednia. Stary książę byłby pod zwierzchnictwem Polski pozostał do śmierci w posiadaniu jednej części ziem swoich. Druga połowa, a po śmierci księcia prawdopodobnie i wszystka reszta byłaby przeszła posagiem na córkę i jej małżonka. Względy Polaków dla

rodziny Jagiełły, a zwłaszcza dla ulubionego Wigunda pozwalały żywić nadzieję, iż szeroka darowizna króla Ludwika ocaleje w Naderspanowym potomstwie po kądzieli.

Ale na próżno wyjaśnia się niebo nad ludźmi, którzy nawzajem nie wyjaśnią mu duszy swojej. W Opolczykowej zaś głowie snuły się ciągle czarne, nieprzyjemne zamysły. Dziwną pobłażliwością nie pamiętano mu wcale, iż podczas wyprawy Jadwigi w celu zajęcia Rusi Czerwonej wyszła odeń odezwa, upominająca Rusinów do oporu Jadwidze. Trwały bez przerwy koligackie związki z dworem krakowskim; Opolczyk bawił bez przeszkody w Krakowie; lada chwila oczekiwano dopełnienia ślubów Opolczanki z Wigundem.

Aż oto w połowie miesiąca maja roku 1389, prawie w tym samym czasie, kiedy Witold przed ustąpieniem do Prus chciał podstępem opanować zamek wileński, dowiaduje się Jagiełło w klasztorze mogińskim pod Krakowem o podobnymże zamachu Naderspana na stoleczny zamek w Krakowie. W niedzielę dnia 16 maja, gdy sam książę znajdował się w stolicy, zakradli się jego ludzie na zamek, chcąc go opanować zniemacka. Na szczęście baczny starosta krakowski, ów Toporczyk Sędziwoj, który już przed sześciu laty ochronił zamek krakowski od Węgrów królowej Elżbiety i ujętych przez nią stronników dworu, tudzież nie dowierzający Opolczykowi ziemianie małopolscy postrzegli zdradę.

Odkryto zaczajonych w zamku drabów Naderspanowych. Wszczął się niezmierny rozruch w Krakowie. Zamknięto bramy miejskie. Przytrzymano księżęcia w mieście. Dopiero pozostawivszy zakład stosowny, mógł on pod strażą udać się do króla w monasterze mogińskim, aby się usprawiedliwić z zamachu. Łaskawy Jagiełło przepuścił mu go płazem. Przyspieszono jedynie dopełnienie małżeństwa Opolczanki z Aleksandrem Wigundem.

W pół roku po spisku krakowskim, w rok przed wzmiankowanym powyżej wpuszczeniem Krzyżaków w zamki dobrzyńskie, a dwoma laty przed obecnym targiem z Krzyżakami o Dobrzyń zapewnił Naderspan swojej córce Jadwidze posagiem ziemię władysławską, tucznowską i bydgoską. Kilkunastą dniami później „darował” on zięciowi Wigundowi całą ziemię dobrzyńską. W kilka dalszych tygodni wydał książę nowe świadectwo, jako nie tylko posagiem, lecz nadto „darowizną” przekazuje on córce pomienione trzy ziemie. Coraz liczniejsze dokumenty przyjaźni miały zespolić Opolczyka z Koroną Polską.

Tymczasem dokumenty w jedną, a skłonności Naderspanowe w drugą ciągnęły stronę. Swój ze swoim, a Opolczyk najmilej przestawał z Krzyżakami. Jeśli komu, toć im, nie Wigundowi, lubo małżonkowi swej córki, pragnął on pozostawić Dobrzyń po śmierci. Możliwość zaciągnięcia nań długu osładzała to życzenie trudną do przewyciężenia pokusą. Zaczem w rok po ustąpieniu Dobrzynia zięciowi litewskiemu zastawił Naderspan, jakieśmy u wstępu nadmienili, dobrzyńską Złotoryję Krzyżakom i wszedł z nimi w tajne porozumienie względem reszty zamków prowincji.

Z tej zaś przyczyny, gdy Jagiełło bądź to jako najwyższy zwierzchnik Kujaw, bądź to w obronie Wigundowych praw do nich postanowił zająć niektóre zamki dobrzyńskie, opanowali Prusacy drugi gród, Bobrowniki. Pod tenże właśnie czas, w samą porę dla Opolczyka, umarł jego zięć, Wigund. Ta śmierć zerwała ostatnie związki z dworem krakowskim. Stary książę oddał się całą duszą Krzyżakom. Bawiąc u dworu węgierskiego skłonił on króla Zygmunta do przesłania Zakonowi owej pierwszej odezwy względem Nowej Marchii z Dobrzyniem, a po niedostatecznej odpowiedzi wielkiego mistrza przekradł się osobiście do stolicy krzyżackiej.

Panowie pruscy woleli posiąść Dobrzyń zastawem niżli kupnem. Naderspan rad był jakimkolwiek sposobem dostać pieniędzy za wątpliwą posiadłość. Stał tedy o św. Jakubie roku 1392 układ pożyczki, którym Opolczyk za 50 000 złotych węgierskich wwłaszczył Krzyżaków w dzierżawę wszystkiej ziemi dobrzyńskiej. Co targowi zbywało na słuszności, to miały zastąpić przemnogie dokumenty dłużnika, jego żony, jego upoważniacza Zygmunta, jego poddanych. Opolczyk zeznawał w nich swój dług, król Zygmunt pozwalał mu go zaciągnąć, księżna Opolczyna upewniała solennie, iż „śmiejącymi ustami, wesołym sercem, pożądlivym

naleganiem, z własnej woli, z własnej pobudki, z własnej chęci i z własnego umysłu” przyzwoliła na zastawienie Dobrzynia, swojej „oprawy”.

Szlachta ziem Opolczykowych zaręczała swoimi posiadłościami, iż księżna powyższe upewnienie złożyła „szczerze, dobrowolnie, bez przymusu”. Ku tym uroczystszej instalacji Krzyżaków w nowej dzierżawie udał się sam Naderspan z wielkim mistrzem Konradem do Dobrzynia, uwolnił ludność tameczną od wszelkich obowiązków poddańczych względem siebie i rozkazał mieszczanom w swojej obecności złożyć hołd Zakonowi. Dopiero po tym akcie zawiózł go Wallenrod do Torunia i pod koniec września roku 1392 wyliczył mu tam pieniądze. Gdy wszystko zdało się już ukończonym, zaprosił księżę Wallenroda na ustęp, aby mu jeszcze pewną bardzo ważną sprawę powierzyć.

Będąc sam na sam przedłożył Naderspan Wallenrodowi plan „zamierzający ni mniej, ni więcej, tylko detronizację króla polskiego i zupełny rozbiór królestwa”. W tej myśli rzecze Opolczyk do Krzyżaka: „Mój pan, król Zygmunt, pan margrabia morawski, księżę gorlicki Jan, księżę rakuski (Wilhelm) i ja uradziliśmy jednozgodnie wtargnąć zbrojnie do Polski, w czym i król rzymski Wacław chce nam dopomóc. Owoż wzywają was ci panowie, abyście także przyczynili się do tego ze swojej strony.”

Na co Wallenrod: „Nie wiemy zaprawdę, co wam na to odpowiedzieć w tej chwili.” A Opolczyk: „Słuszna namyśleć się przed czynem. Ale nie wiecie jeszcze, o co właściwie idzie. Uradziliśmy tedy, aby odtąd nie było wcale króla i królestwa polskiego, a to takim sposobem: Wszystek kraj na północ od Kalisza z Mazowszem ma należeć odtąd do Prus. Wszystko, co leży ku południowi od Kalisza z Krakowem, Sędziejem, Łęczycą, Rusią Czerwoną i Podgórzem, przypadnie królowi węgierskiemu. Zachodnią zaś stronę od Warty ku Wielkopolsce posiadają król rzymski Wacław i księżę gorlicki Jan.”

Ozwie się tedy Konrad Wallenrod: „I teraz jeszcze nie wiem, co wam właściwie odpowiedzieć. Mają wprawdzie Polacy dokumenty Zakonu, a my nawzajem polskie z zapewnieniem pokoju wieczystego; ale ileż to razy łamali nam Polacy ten pokój! Gdyby więc przyszło do tego, iżby Ojciec św. i król rzymski zapowiedzieli krzyż i miecz przeciw Polsce i gdyby nas wyraźnie zawezwano, natenczas byłoby to naszym obowiązkiem i powinnością naszą i w istocie dopomogliśmy według wszelkich sił naszych.”

Dalszemu żądaniu księcia, iżby kilku pełnomocników krzyżackich wysłano w tej sprawie do Zygmunta, odmówił Konrad posłuchu, obawiając się, aby Polacy nie schwytali ich w drodze, nie znaleźli przy nich listów krzyżackich, nie doszli planu całego. Tyle jednak przyrzekł Krzyżak Naderspanowi, a ten mógł to podać do wiadomości Zygmunta, iż skoro Zygmunt zechce najechać Polskę i czternastą dniami uprzedzi o tym mistrza wielkiego, nie omieszkają Krzyżacy wtargnąć także do Polski i połączą się z nim w Krakowie albo gdziekolwiek indziej. Co umówiwszy, wrócił Opolczyk w ostatnich dniach września do Węgier.

Powrót nad Dunaj potrzebował jeszcze staranniejszego przebrania niż wędrówka do Prus. Gdyż wiadomość o zastawieniu całej ziemi dobrzyńskiej sprawiła niezmierne oburzenie w Królestwie. Stany Królestwa, „prałaci, kasztelanowie, wojewodzi, rycerstwo i wszystka szlachta koronna” przesłali najprzód całemu Zakonowi, potem samemu wielkiemu mistrzowi dobitną protestację. Potępiano osobliwie krzyżacki rozkaz złożenia sobie hołdu przy objęciu Dobrzynia, co zakrawało na objęcie go w posiadanie wieczyste. Krzyżacy odpowiedzieli sucho, iż to nie dziedzictwo, lecz zastaw, który gotowi są oddać każdemu, ktokolwiek zwróci im sumę dłużną i okaże się właściwym panem Dobrzynia.

Tymczasem zaś upomniał Zakon pozostałą w Rypinie i gdzie indziej załogę polską, aby opuściła ziemię dobrzyńską, co też gwoli uniknieniu wszelkich pozorów zaczepki wojennej i złomania pokoju z Krzyżakami nastąpiło w istocie. W ogólności dowiedli Polacy w terażniejszych zajęciach z Krzyżactwem niezwykłego umiarkowania. Potrzeba ciągłego wspierania nie ubezpieczonej jeszcze Litwy, w której Witołd dopiero co objął rządy, zniewalała folgować

Zakonowi do czasu. Charakter narodowy, daleki późniejszemu junactwu, przeciwny wszelkiej hazardowości prób Bożych, tylko takim zamysłem przyznawał śmiałość, które nie urągały mierze jego sił rzeczywistych.

Znoszono więc cierpliwie złość ciężkiego sąsiada, Zakonu, w coraz nierozważniejszą wzbijanego tym butę, i mając kilku zarazem nieprzyjaciół podjęto naprzód sprawę z najbliższym, z wrogiem w własnym zanadrzu, z Naderspanem. Wszakże i z tym powodowano się właściwą onemu wiekowi oględnością. Powołując się na swój przy koronacji zaprzysiężony obowiązek przywrócenia uszczerbków państwa zaważwał Jagiełło starego księcia do zwrotu mniemanej darowizny króla Ludwika, z poufnym zapewne oznajmieniem, iż rezygnacją tą, mającą być jedynie głośnym uznaniem zwierzchnictwa Korony Polskiej, nie pozbawi się książę swoich ziem polskich, które Korona bez trudności pozostawi mu jeszcze po niedługi koniec żywota.

Władysław Opolczyk zbijał słuszność żądania, mieniać się bezwarunkowym właścicielem księstw swoich. Wyszło wtedy powtórne doń poselstwo i żądanie, aby książę bez uroczystego zwrotu dzierzonych krajów złożył przynajmniej hołd prostej uległości Królestwu. Zawzięty starzec, wraz z Krzyżakami omamiony pozorną powolnością Polaków, zaufany w swoich koneksjach z Zakonem, z Zygmuntem i tylu książętami zagranicznymi, przemyśliwający raczej o zupełnej zagładzie królestwa przodków swoich, nie widział i teraz potrzeby ustępować. Wysłannicy królewscy odnieśli hardą odpowiedź, iż król Jagiełło ani otrzyma hołdu od księcia, ani odziedziczy książęcych ziem, które równie wolno i niezawisłe przejdą na jego szląskich bratanków, jak on je sam posiadał. Owszem, ku tym głośniejszej rozszawie tego postanowienia kazał Naderspan u granic swych posiadłości sypać ogromne kopce „węgielne”, które by go rozgrodziły na zawsze z Koroną Polską. Nie pozostała więc inna droga załatwienia sporu nad wojnę.

Jakoż przyszło wkrótce do wojny. Ale i wojna wiodła się nie dość raźnie z początku. „Wcześniej niż o czymkolwiek zwycięstwie dowiadujemy się o zawieszeniu broni, zawartym między Opolczykiem a Jagiełłą już około św. Anny roku 1393. Starły się tymczasem obiedwie strony o pomoc zagraniczną. Opolczyk wyciągnął znowuż rękę do panów pruskich; Jagiełło zakrzętał się około swoich sąsiadów zachodnich i południowych, króla rzymskiego Wacława, margrabiego Prokopa, króla Zygmunta.

Zabiegi te przyniosły Opolczykowi nierównie mniejsze niż Jagielle korzyści. Jego krzyżacki przyjaciel, Konrad Wallenrod, już teraz nie żył. W samą rocznicę targu o Dobrzyń, w dzień św. Jakuba roku 1393, zabrała go śmierć gwałtowna. Ostatnimi zdarzeniami jego rządów były dwa akty obłudy i gwałtu względem Polski. Przypuszczając ciągłe, acz coraz bezskuteczniejsze szturmowanie do Litwy, spoglądając ku Węgrom, rychło li nadejście stamtąd odezwa króla Zygmunta do wspólnego najazdu Polski i połączenia się z nim „w Krakowie”, szalbierzył Wallenrod ciągłymi rokowaniami i zjazdami o dalszy pokój z Koroną. Jednocześnie zaś dopuściło się Krzyżactwo tak szalonej napaści względem jednego z książąt polskich, mazowieckiego Janusza, sprzymierzeńca Jagiełły, jakiej nie masz przykłady w dziejach.

Książę Janusz budował tymi czasy na własnym gruncie w pobliżu granic krzyżackich drewniany zamek nad Narwią, mający nazywać się Złotoryją. Ponieważ niespokojne sumienie Zakonu lękało się tej nowej Złotoryi jako niebezpiecznego kiedyś stanowiska w ręku Polaków, przeto zgromadzili trzej komturowie pobliscy znaczną siłę w sąsiedztwie i upatrzwszy chwilę, kiedy sam książę z garstką dworzan doglądał dzieła rozpoczętego, wpadli pod dowództwem grafa Kyburga, komtura z Balgi, na plac budowy.

Działo się to wśród zaprzysiężonego obustronnie pokoju, bez zaczepki ze strony polskiej, bez pogróżki z strony przeciwnej. Najezdni rycerze Najświętszej Panny rozegnali spokojnych robotników, wzięli w niewolę dworzan książęcych i porwawszy samegoż księcia, prawnuka fundatora całej ich egzystencji na ziemi pruskiej, Konrada Mazowieckiego, wsadzili go ku tym większej zniewadze boso na klacz, z związanymi nogami. Po czym zapalono budowę w

jego oczach i wraz z księciem Januszem, jeńcami i znalezionym naprędce łupem cofnięto się do krzyżackiego podówczas zamku Wizny. Dopiero tam ocknęła się w swoim szale zgraja zbójcka i zmiarkowała, że sama nie wie, co ma robić dalej z księżciem. Dlatego puszczonego bez żadnego uniewinnienia znowuż na wolność, zatrzymując jedynie zdobycz rycerską, zabrane księciu pieniądze i kosztowności.

I tym razem skończyło się ze strony Polaków na skardze u dworu papieskiego, o którą Wallenrod, jak nas jego przyjaciel i spółziomek upewnia, „wcale nie dbał”. I mógł on rzeczywiście nie dbać o nią tym bardziej, iż stojąca już nad nim śmierć ocaliła go od piorunu tej kary za wszystkie niegodziwości, która po latach kilkunastu uderzyła tak srodze w Zakon. Umarł Wallenrod śród okropnej burzy lipcowej, w nagłym przystępie „ognia bożego”, strawiony żarem gorączki. Wzajemna nienawiść duchowieństwa odmówiła mu ostatniej przysługi religijnej, a lekarz wzbronił mu napoju chłodzącego. Postrach całej ziemi krzyżackiej skończył się bez księdza, bez szklanki wody. Opowiadali sobie ludzie do późnych lat, że męczarnie okropne rzuciły go na ziemię pomiędzy leżące u łóżka psy, z którymi żarę się wyzionął ducha. Mniemano też w samym Zakonie, iż Pan Bóg skarał wielkiego mistrza Konrada, ponieważ zbyt chciwie dyszał wojną.

I zdało się w istocie, jakoby przebrana miarka bezprawia przywiodła Krzyżaków do opamiętania na chwilę. Obrany został następcą Wallenrodowi człowiek, którego jedyną zaletą było zamiłowanie spokoju. Do tego nowego mistrza wielkiego, do Konrada Jungingen, udał się teraz Opolczyk z prośbą o zapomogę pieniężną przez zupełne zakupienie Dobrzyń. Ale jeśli już Wallenrod lękał się kupna, tym mniej chciał przyzwolić na to Jungingen. Zaledwie tyle więc okroiło się Naderspanowi, iż w chęci ostatecznego utrudnienia wykupna ziemi dobrzyńskiej dopozyczono mu jeszcze 22 900 złotych węgierskich. Więcej nie zdołał wyprosić u Zakonu stary poufnik Wallenrodów. Skorzystawszy na nim, ile można było skorzystać, widząc gwiazdę Opolczykową coraz to bledszą, zaczął owszem Zakon okazywać mu coraz nieprzychylniejszą oziębłość.

Toż samo zdarzyło się Naderspanowi ze strony owych południowo-zachodnich sąsiadów Polski, Zygmunta, Waclawa i Prokopa, z którymi od niedawna knował zgubę Korony, a którzy teraz radzi przyjaźnią się z Jagiełłą. Zaszły bowiem ważne tymczasem okoliczności, zniewalające królów Węgier i Czech myśleć raczej o zachowaniu swych własnych koron niż o wydarciu jej Władysławowi Jagielle. Umarła królowa węgierska Maria, właściwa dziedziczka Węgier, i wybuchnęły zaburzenia w państwach Waclawa. Jedno i drugie zachwiało potężnie tronami obudwóch Luksemburczyków. Waclaw został w istocie wyzuty niebawem z korony rzymskiej, a Zygmunt musiał patrzeć z niespokojnością, jak siostra Marii, Jadwiga, przybierała tytuł „dziedziczki królestwa węgierskiego”, jak wasalowie węgierscy udawali się z tego powodu pod jej zwierzchnictwo, jak lada podnieta z Polski mogła zawichrzyć Węgry. Niebezpieczeństwo potężniejszych bratanków uskromiło mniej potężnego margrabię Moraw, Prokopa. Wszystkim zależało teraz na dobrym porozumieniu z Jagiełłą.

Jakoż z niczym nie zarumienioną naiwnością mataczów średniowiecznych zmienili wszyscy maskę. Zygmunt spieszył tymi czasy w odwiedziny do Polski na przyjazne z królestwem zjazdy, odpłacające się Luksemburczycy powolnym zaniechaniem praw do korony węgierskiej przez Jadwigę, a Polsce takimże zaniechaniem przyjaźni i planów Opolczykowych przez Zygmunta. Toż samo uczynił margrabia Prokop, widywany teraz w gościnie u dworu krakowskiego. Najszczęśliwszy, lecz oraz najdzikszy z bratanków Luksemburskich, król czeski Waclaw, posunął się najdalej. W pierwszej połowie roku 1395 stanęło wyraźne z nim przymierze, zapewniające Koronie Polskiej niepoślednią pomoc wojenną, bo 600 kopij i 600 kusz, tj. według ówczesnego komputu kilka tysięcy ludzi.

Przykład sąsiadów południowych wpłynął tym skuteczniej na potulniejsze od niejakiego czasu usposobienie sąsiada północnego, Zakonu. Nowy mistrz wielki, przyjaciel spokoju, Jungingen, stygnął coraz bardziej w zapędach wojennych względem Litwy i starał się różny-

mi sposoby uspić niechęć króla polskiego. Te wszystkie okoliczności uzbroiły Jagiełłę do tym silniejszego ciosu przeciwko Naderspanowi. Zawzięty starzec z Opolą, niedawno tak bogaty w koneksje i nadzieje, dziś opuszczony od wszystkich, znalazł się sam na sam z przemocą Jagiełłą. Dół, który on tak skrzętnie kopał królestwu przodków swoich, rozwarł się pod nim samym.

Wznowiona teraz wojna opolska różniła się od wszystkich wojen ówczesnych. Obca wszelkim pozorom próby Bożej, cechującym mniej więcej każdą wojnę, była ona podobniejszą do kary wymierzonej ręką sędzi na dawnym winowajcy. Rozważni Polacy XIV stulecia uderzali w wojnie z Opolczykiem na pewne. W tym celu nie lekceważąc wroga zgromadzono ogromne siły. Oprócz zwyczajnych hufców dworskich i pańskich, oprócz spodziewanych posiłków czeskich zawezwał król pomocy książąt mazowieckich, Janusza i Ziemowita, przywołał nadto Wołochów. Miasta królewskie, szczególnie Kraków, przysposobiły pieniądze i liczne działa burzące, a coraz groźniejszą przemoc pięści wsparło jeszcze fortelem.

Puszczono dokoła głos, że cała potęga wojenna spadnie tym razem na krzyżackie załogi w zamkach dobrzyńskich. Tylko pięciu najpoufniejszych rajców królewskich wiedziało o właściwym celu wyprawy. Były nim przyległe województwu krakowskiemu posiadłości Naderspanowe, ziemie wieluńska i ostrzeszowska, wielą warownych zamków obronne. Ku tym dłuższemu omyleniu baczności stojących tam załóg szląskich wyruszył król z całą wyprawą rzeczywiście drogą dobrzyńską. Niespodziewanie jednakże zmieniły wojska kierunek i dwoma różnymi taborami rozsypały się po ziemiach Opolczykowych. Jeden oddział pod dowództwem samego króla opasał najwarowniejszy z zamków, Olsztyn, na wysokiej sterczący skale. Drugi, znacznie tłumniejszy, pod sprawą pana wojewody Spytką z Melsztyna, miał zdobywać resztę zamków i miast, jako to Wieluń, Ostrzeszów, Bolesławiec, Krzepice itd.

Z wojskiem królewskim pod Olsztynem połączyli się natychmiast książęta mazowieccy na czele swoich proporców. Ani obronność Olsztyna, ani odwaga dowódców szląskich, Borzyszników, nie podolały siłom oblegających. Na trzeci dzień przypuszczono z rozkazu Jagiełły szturm, uwieńczony zdobyciem grodu. Borzysznicy zdali się na łaskę królewską i nie mieli powodu żałować tego. Wspaniały Jagiełło pochwalił ich wierność i męstwo i „charłakom, dla których (według kroniki) samo życie dostatecznym było już darem”, darował jeszcze kilka wsi ruskich w okolicy Tłumacza. Nie mniej pomyślnie wiodło się drugiemu wojsku pod wojewoda krakowskim Spytkiem. „Raczej goniąc od twierdzy do twierdzy niż postępując” zdobył Spytek niebawem wszystkie zamki i miasta z wyjątkiem jednego Bolesławca, który wciąż jeszcze oblegano.

Z równym zaś szczęściem w olsztyńskiej, jak i w wieluńskiej ziemi gromiąc nieprzyjaciela pod bronią ujmowano równą łaskawością rozbrojonego. Dowódca zamku w Wieluniu, Stańczyk z Rudy herbu Świnka, jeszcze po opanowaniu miasta bezużyteczne na zwycięzców miotający pociski, odniósł za karę tylko postrach toporu katowskiego, który mu już znad karku cofnęło przebaczenie królewskie. Tak fortunnym sposobem ukończono w siedmiu dobach całą wyprawę. Po zastawieniu ziemi dobrzyńskiej, po zagarnięciu przez Koronę Wielunia i Ostrzeszowa, po stracie posiadłości kujawskich, które tymiż czasami widzimy podobnie w ręku królewskim, pozostał Naderspanowi z szerokich dzierżaw polskich jedyny Bolesławiec, oblegany ciągle wojskami koronnymi.

I nie koniec jeszcze klęsce Opolczykowej. Chwilowy opór Bolesławca stał mu się przyczyną tym cięższego ucisku. Przebywał stary książę obecnie na Szląsku, w ostatniej reszcie posiadłości dziedzicznych, w Opolu nadodrzańskim. Podzielali z nim ojcowiznę opolską trzej synowcy, synowie zmarłego dawniej brata Bolesława, Bolko, Bernat i Jan Kropidło, znany nam pretendent do arcybiskupstwa gnieźnieńskiego. Wszyscy Opolczykowie mieli się za nieprzyjaciół Korony Polskiej, wrogiem im nie tylko wojną ze stryjem Naderspanem, lecz nadto prześladowaniem wspomnianego dawniej brata, Kropidły.

Gdy dwór rzymski po zamianowaniu go biskupem władysławskim przeznaczył mu w roku 1389 samowolnie arcybiskupstwo gnieźnieńskie nie zważając na przeciwnie życzenia kapituły i Jagiełły, król polski nie dopuścił Kropidły na stolicę arcybiskupią, zamkniętą mu zajazdem dóbr gnieźnieńskich przez wysłańców królewskich. Powiodło się, owszem, Jagielle uzyskać w Rzymie opróżnione przez Kropidle biskupstwo władysławskie dla księcia lignickiego Henryka, przeco synowiec Naderspanów ujrzał się niespodziewanie wyzutym z obudwóch katedr. W wszczętych o to między Opolczykami a Koroną Polską zatargach przyszło nawet do tego, iż niespokojny Kropidło popadł później w niewolę polską i kilkutygodniowe przebyć musiał więzienie.

Która to podwójna niedola stryja i brata pobudziła wszystkich Opolczyków do wspólnej teraz wojny z Jagiełłą. Posiłkując tedy starego Naderspana uczestniczyli oni w jego najazdach na przyległe dzierżawy polskie, plądrowali z nim przejezdnych kupców krakowskich i zwłaszcza zdobyciu Bolesławca stawili różne przeszkody, dostarczając mu wszelkich potrzeb żywności i uzbrojenia. Przy ich pomocy lekceważył warowny bagnami zamek wszelkie usiłowania Polaków, już w drugi rok oblegających go bezskutecznie. Na próżno stanęły dokoła szerokie baszty drewniane i biły z nich działa i bombardy w mury zamkowe. Jak zawsze, tak i wówczas nie znała sztuka wojenna trudniejszego zadania nad zdobycie mocnej warowni, a Bolesławiec miał złowrogą w tej mierze sławę.

Założony przed stukilkudziesięciu laty przez Bolesława Wstydliwego na grzęskim wybrzeżu Proсны, został on w pierwszych latach Kazimierzowskich siedliskiem rozbójniczej zgrai pogranicznych Szlązaków, postrachem całej okolicy, przedmiotem osobnych układów między królem czeskim a polskim, zakończonych wspólnym zburzeniem zamku. Odbudował go późniejszymi laty król Kazimierz tak mocno, iż teraz jak druga Troja mógł kilkuletniemu opierać się oblężeniu.

I byłoby ono jeszcze większych doświadczyło trudności, gdyby nie doraźne odcięcie mu pomocy bratanków Opolczykowych. Ich wojenny sojusz ze stryjem, ciągle z Opola łupieżę Naderspanowe w sąsiednich włościach polskich, popełniane przez niego gwałty przeciwko sąsiedniej szlachcie polskiej wywołały zamiar ukrócenia Naderspana w samym gnieździe rodzinnym, przytarcia całej nienawistnej spółki opolskiej. Przymierze Jagiełły z królem rzymskim Waclawem, najwyższym zwierzchnikiem książąt szląskich, pozwalało dokonać tego bez nadwężenia przyjaźni z Koroną Czeską. Taż sama przemoc, z jaką przygnębiono Naderspana w posiadłościach koronnych, miała służyć także przeciwko Opolczykom.

W rok po wyprawie olsztyńskiej wtargnęła Jagiełło na czele licznych chorągwi dworskich i pańskich w granice ziemi opolskiej. Naderspan uchylił się przed niebezpieczeństwem zdając obronę księstwa bratankom. Po opanowaniu całego kraju z zamkami Bytom, Strzelce i Domanice, będącymi własnością Naderspana, tudzież Moszny i Lublińca, zdobytych głównie przy pomocy pana wojewody krakowskiego Spytka z Melsztyna, obiegły wojska polskie stołeczne miasto Opole. Książęta Bolko i Bernat nie mieli nadziei przydłuższego oporu. Za pośrednictwem tedy książąt Waclawa biskupa wrocławskiego, Konrada oleśnickiego, Ludwika brzegskiego i Przemka opawskiego udano się do łaski królewskiej.

Jagiełło oświadczył się skłonnym do ustąpienia pod warunkami srogimi jedynie dla Naderspana i Bolesławca. Za przyjęciem onych przez książąt stanęła w obozie królewskim dnia 5 sierpnia 1396 ugoda, mocą której Jagiełło pozostawił książąt Bolka i Bernata przy Opolu, Bytomiu, Strzelcach i Domanicach, odjętych Naderspanowi; zamki zaś Mosznę i Lubliniec przyznał król wojewodzie krakowskiemu Spytkowi. Książęta nawzajem obowiązali się zaniechać dalszych najazdów w granice polskie, odwołać swoje żołnierstwo z Bolesławca i nie posiłkować go ani pieniędzmi, ani bronią, ani żywnością, wreszcie powstrzymać się od niepokojenia wojewody Spytka w udzielonych mu zamkach szląskich.

Takim sposobem stało się zadość wyprawie, zadość karze Naderspanowej. Wyzuwszy go z mniemanej darowizny króla Ludwika, wywłaszczywszy go na korzyść synowców z posiadło-

ści domowych odjęto mu wszelkie środki szkodenia. Rozbrojonemu pozwolono błąkać się bezwładnie po scenie dawnego panowania swojego, bywać u dworu w Krakowie. Książęta opolscy pozostali w ciągłej odtąd przyjaźni z Polską. Dawszy porękę za swego niespokojnego brata Kropidłę, wyjednali oni wreszcie i dla niego przebaczenie królewskie, pozwalające mu do osiągniętej diecezji kamińskiej przyłączyć także świeżo przez papieża po raz wtóry nadane mu biskupstwo władysławskie. Wróciły Opolczykom nawet Spytkowe zamki Moszna z Lublińcem, lecz nie inaczej jak tylko małżeństwem księcia Bernata na Falkobergu z córką wojewody Spytka – Jadwigą, wyposażoną przez króla nabytkiem niniejszej wojny opolskiej.

Zaczem szturmowano dalej do Bolesławca. A gdy oblężenie mimo wszelkich wysiłków nie wróżyło skutku natychmiast, przystąpiono do uzupełnienia zwycięskiej wojny Naderspanowej odzyskaniem ziemi dobrzyńskiej. Bywszy początkiem sporu Opolczyka z Koroną, poważniała go ona w końcu z samym Zakonem. W obecnym położeniu starego księcia nie było mowy o wykupie Dobrzynia. Brak pieniędzy i obawa zaboru przez Polaków zmierziły mu samą myśl o tym. Tymci gwałtowniej uparł się starzec sprzedać go Zakonowi.

Ale jak Naderspan od wykupu, tak Krzyżacy mieli podobnie wstręt od kupienia. Trzymając Dobrzyń od dawna już w swoim ręku nie potrzebowali oni kupować go na nowo. Wiedząc zaś, iż połączone z zakupem ogłoszenie się zupełnymi panami krainy zakupionej rozdrażniłoby zwycięskich teraz Polaków, mieli Niemcy obecnie o tyle mniejszą ku temu chęć, o ile terażniejsze usposobienie Zakonu, a osobliwie spokojnego mistrza Jungingen przemawiało za utrzymaniem chwilowej zgody z Polską, tj. za wszelkim szkodeniem jej pokątnie, bez żadnego wzajem niebezpieczeństwa od niej. Przeco ponowił Zakon stanowcze zaprzeczenie kupna Dobrzynia.

Rozjątrzony tym książę obruszył się przeciw Krzyżakom. Krzyżacy odpowiedzieli nie mniej obrażająco. I owo w ostateczne oszpecenie całej sprawy Opolczyka z Krzyżactwem wszczyła się szkaradny swar pomiędzy obudwoma szalbierskimi stronami, spiknionymi z początku w chęci pogńębienia Korony, a w końcu szarpiącymi się wzajem u jej podnóża.

„Daliście mi wyraźne przyrzeczenie – odzywa się stary książę do panów pruskich – że kupicie ziemię dobrzyńską, a teraz łomiecie słowo!” – „Nie daliśmy słowa – odpowiada mistrz wielki – wszelkie pisma w tej mierze były tylko nic nie znaczącymi przedmowy, bez pieczęci i bez waloru. Zresztą na toż mamy kupować Dobrzyń, aby sobie kupić za to wojnę z Koroną Polską? Na co nam wojny za pieniądze, kiedy mamy dość wojen bez pieniędzy!” – „To mi wypłaćcie czynsze, które mi się należą – nagabywa Naderspan dalej – wynagrodźcie mi koszt, które o Dobrzyń poniosłem.” – „Czynszów płacić nie będziem – odpierają dawni powiernicy książęcia – ponieważ mieliśmy niezmiernie wiele wydatków na utrzymanie ziemi dobrzyńskiej, a niepotrzebnie podjęte koszty niech książę sobie samemu przypisać raczy.”

Rozgniewany starzec nazwał to nieuczciwością. Krzyżacy przypomnieli mu w odpowiedź nie okazany potąd dokument darowizny króla Ludwika, główny dowód własności ziemi dobrzyńskiej, w niemałe przez to podanej podejrzenie. Toć Polacy, jak wiadomo, założyli protestacją przeciwko zastawieniu Dobrzynia. Jeśli Naderspan albo nie udowodni słuszności swojej, albo nie wykupi zastawu, będą Krzyżacy musieli traktować o jego Dobrzyń z kim innym, z Koroną Polską.

I rzeczywiście przyszło do tego. Polacy zażądali od Zakonu wydania zastawu Naderspana. Przeciwna odpowiedź Zakonu stała się powodem długich rokowań. Nie mogąc porozumieć się rozgoworem pisemnym, postanowiono osobisty zjazd wielkiego mistrza Jungingen z królem polskim. Atoli niezwyčajne rozdrażnienie Jagielly przeciw Krzyżakom obarczonym tyłą świeżych i dawnych win względem Polski, Litwy i samejże osoby królewskiej, gdzie tylko można, lżonej przez nich i potwarzanej kazało obawiać się, aby spodziewane wybiegi Zakonu przy rokowaniu nie przywiodły niecierpliwego króla do uderzenia w Krzyżaków raczej orężem niż argumentem.

Było zaś w radzie koronnej wiele głosów przeciwko wojnie niezwłocznej, poczytywanej po części za przedwczesną, po części też niezgodnej z zdaniem Jadwigi. Przychylna Krzyżakom jako przyjaciółom ojca zmarłego, przejęta pobożnym wstrętem ku wszelkiemu przelewowi krwi, starała się królowa polska o jak najdłuższe utrzymanie zgody z Zakonem. Życzenia powszechnie uwielbianej pani znachodziły łatwy odgłos pomiędzy wdzięcznymi dygnitarzami. Uradzono więc, iżby nie król, lecz Jadwiga udała się na zjazd zamierzony.

Odbył się on w dziesięć miesięcy po wyprawie opolskiej, około Zielonych Świąt roku 1397, w Inowrocławiu, pod szczęśliwą wróżbą wielu sprzyjających okoliczności. Względy córki Ludwika dla panów pruskich, ich wzajemna cześć dla niej, upomnienie się o Dobrzyń imieniem jedynej teraz córki i spadkobierczynie mniemanego donatora tej ziemi, a tym samym jej zwierzchniczki najniewątliwszej, wreszcie spokojne usposobienie mistrza Jungingen obudzały nadzieję w pomyślny skutek orędownictwa Jadwigi.

Ale nie wobec krzyżackiej to uporności zajaśniać zwycięsko urokowi naszej uwielbionej królowej. Szczęśliwa mistrzyni ostatnich narowów pogaństwa Jagiełłowego, pojednawczyni Witołda i Skirgiełły, poskromicielka najkrnąbrniejszych umysłów, przemawiała Jadwiga na próżno do Krzyżactwa w Inowrocławiu. Sama jej pobłażliwość zachęcała Krzyżaków do wypróbowania wprzód ostatecznej miary powolności strony przeciwnej, nim usłuchają własnych życzeń spokoju. Wielki mistrz zaczął przyznawać słuszność żądaniom Polski, oświadczył, iż Zakon nie rości sobie praw właścicielstwa ziemi dobrzyńskiej, będącej tylko zastawem, lecz żal rozstania się z owładniętym raz krajem umiał zmyślić łatwą zwróceniu go przeskodę.

„Książę opolski Władysław – była wymówka krzyżacka – ma zapewnienie Zakonu, że po zwrocie sumy wypożyczonej będzie Dobrzyń wydany mu natychmiast. Dopóki ten dokument trwa w jego ręku, nie wolno Zakonowi rozporządzać ziemią zastawną. Zaczem wszystko, co Krzyżacy mogą uczynić dla Jadwigi, ogranicza się chyba na upomnienie księcia opolskiego, aby jak najprędzej wykupił Dobrzyń.” Wiadome niepodobieństwo tego żądania zaprawiało wymówkę istnym szyderstwem. Zjazd inowrocławski spełził bezskutecznie.

Wtedy rozżalona Jadwiga ozwała się wieszczym duchem do Niemców: „Dopóki ja żyję, znosi Korona cierpliwie wasze bezprawia. Ale po mojej śmierci spadnie na was kara niebios za wszystkie krzywdy polskie. Nieochybna wojna przyniesie wam zagładę!” – „I tak się też stało” – dodaje opowiadający to później Krzyżak, współczesny, a może nawet naoczny świadek zjazdu w Inowrocławiu.

Dopiero nadejście czasu, który miał ziścić tę wróżbę, zbliżyło porę zwrotu Dobrzynia. Wymusił go na Krzyżakach zbieg wielu pomyślnych dla Polski zdarzeń, odejmujący Zakonowi możliwość dalszej odwłoki. W kilka lat po zjeździe inowrocławskim umarł niefortunny książę opolski. Jeszcze nawet wobec świątobliwej Jadwigi odwołując się na swój tajemniczy, nigdy nie okazany i nigdy też nie istniejący dokument zupełnej darowizny króla Ludwika zeszedł starzec z fałszem na ustach, a smutkiem w sercu ze świata.

Jedyną pociechą jego niedoli i opuszczenia w latach ostatnich był ciągły opór zamku bolesławskiego. Już w siódmy rok szturmowano do niego ze zbudowanych dokoła baszt, nie mogąc otworzyć sobie grodu. Trudność opanowania go szturmem zniewoliła doświadczyć ogłodzenia. W ciągu tej próby nastąpiła śmierć Naderspana, przyczyna zgaśnięcia ducha w założdź. Nie przeżył bowiem księcia żaden potomek męski, a wdowie, córkom i odleglejszym bratankom zabrakło niebawem środków do poszukiwania wątpliwych sched. Podała się więc twierdza bolesławiecka Polakom i pozostał im do wydobycia z rąk owdowiałej księżnej jedynie ów dokument zastawienia Dobrzynia Krzyżakom, bez którego oni nie chcieli zwrócić go Polsce.

Wykradł wdowie tę kartę jeden z bratanków szląskich i okupił sobie tym łaskę króla Jagiełły. Ośmieleni posiadaniem dokumentu Polacy natarli tym usilniej na Zakon, ofiarując mu zwrot całej wypożyczonej niegdyś Naderspanowi sumy. Poparły Koronę nieprzyjazne teraz

stosunki między Krzyżactwem a wielkim księciem Litwy Witołdem, grożące wspólnym powstaniem Polski i Litwy przeciwko Prusom. Dzięki skromniejszemu usposobieniu wielkiego mistrza Jungingen wziął rozsądek chwilową przewagę nad coraz otwartzą zuchwałością Zakonu. Ogół braci krzyżackiej zżymał się wprawdzie przeciwko odstąpieniu Dobrzynia, sztydzo nielitościwie z zbytniej potulności wielkiego mistrza, przymawiano mu, iż wart być raczej przeorem mnichów opasłych albo mniszka wstydlivą niż naczelnikiem Zakonu rycerskiego, malowano nań karykatury po ścianach, lecz rozsądny Jungingen postanowił uniknąć wojny z Polską.

Na uroczystym zjeździe z Polakami w Raciążu nad Wisłą (1404) obowiązał się Zakon wydać Koronie Dobrzyń i Złotoryją, skoro Polacy wypłacą mu 50 000 zł za pierwszy, a 2400 kóp groszy pragskich za drugą. Do zebrania tak wielkiej sumy nie było innej drogi nad powszechną składkę narodu, czyli podatek nadzwyczajny. Ponieważ zaś królewskie przywileje ostatnich lat, mianowicie przywilej króla Ludwika w Koszycach i Jagiełły przed koronacją, zrzekły się wszelkich podatków nad dwa grosze łanowe, przeto wypadło terażniejszemu poborowi zasięgnąć osobnego przyzwolenia ze strony szlachty. Rozkazał tedy król, aby się odbyły pojedyncze sejmiki w wszystkich ziemiach królewskich, na których by dano królowi wyraźne upoważnienie w tej mierze.

Stało się według życzeń królewskich i powszechnie uznanej potrzeby kraju. Wszystkie pojedyncze sejmiki zgodziły się na podatek i obrały pełnomocników mających zanieść królowi wolę narodu i ułożyć miarę poboru. Miejszem zgromadzenia naznaczył król wszystkim pełnomocnikom Nowe Miasto Korczyn nad Wisłą, terminem św. Marcin. Oprócz wysłanników szlacheckich, niosących przyzwolenie w imieniu tych, którzy sami przybyć nie mogli, zebrali się w Korczynie także prałaci i dostojnicy, czyli „panowie” świeccy, niosący przyzwolenie za siebie samych.

I owo po raz drugi w przeciągu zdarzeń powieści naszej odbył się wielki „sejm generalny”, złożony z duchowieństwa, „panów” i posłów ziemskich. Pierwszy raz w roku 1382 zgromadziła go w Wiślicy sprawa elekcji jednej z córek króla Ludwika, obecnie powtórzyła go sprawa pieniężna. Nie żałując groszów dla dobra powszechnego uchwalono jednomyślnie podatek 12 groszy (wliczając w to dwa zwyczajne grosze królewskie) od każdego osiadłego łanu w Koronie. Przy skutecznym w zimie poborze wpłynęło stąd około 100 000 grzywien. Gdy potrzeba właściwa nie przewyższała razem sumy 28 000, uskarbiła się znaczna nadliczka, przydatna bliskim potrzebom nadzwyczajnym. Zawarowaną sumę okupu odstawiono czym prędzej na nowy zjazd króla z wielkim mistrzem w Toruniu. O Świątkach w roku 1405 był już kwit na spłacone pieniądze i Dobrzyń z Złotoryją w ręku królewskim.

Chciano też na tym samym zjeździe toruńskim usunąć jeszcze niektóre inne powody nieporozumień. Krzyżacy zażądali od Jagiełły zaniechania tytułu „pan i dziedzic Pomorza”, Polacy pragnęli uspokoić się względem nie dość pewnych miedz Nowej Marchii, zakupionej tymczasem przez wielkiego mistrza Jungingen. Z różnych jednakże przyczyn, przed wszystkim zaś z nieprzejednanej w gruncie sprzeczności obudwóch stron, wrogich sobie z korzenia, nie odpowiedział skutek życzeniom. Mimo wszelkie pozory zgody chwilowej, mimo okazałe przyjęcie, jakim mistrz wielki po ukończonej sprawie dobrzyńskiej ugościł króla i Polaków w Toruniu pozostały głębokie zarody waśni.

Najniebezpieczniejszym zarzewiem gwałtownego wkrótce pożaru, ostatecznej katastrofy powieści naszej roztlewał coraz żywszy spór o wątpliwe granice Marchii, mianowicie o pograniczny zamek Drezdenko. Zaszczepiła go, jak wiemy, taż sama chwila i ręka, która najpierwej podsunęła Krzyżakom pokusę ziemi dobrzyńskiej, chwila owego toruńskiego projektu podziału Polski w roku 1392, a ręka onego złego ducha Polaków, króla Zygmunta, wiedziona nie mniej zawistnymi radami księcia z Opola. Pożądliwość krzyżacka nie oparła się wrogiej nęcie i zapragnęła w istocie naprzód Dobrzyń, potem i Nową Marchię.

Pierwsza z tych nierozważnych pastw, pastwa dobrzyńska, szczęśliwie dla Zakonu rozplynęła się w nicość; sprawa Nowej Marchii miała na nieszczęście dla niego pomyślniejszy chwilowo skutek, utajając w zanadrzu Zakonu iskrę nieszczęsną, która z czasem ogarnęła go ogniem dokoła. Owa mało znacząca sprzeczka o Drezdenko, o zwierzchnictwo nad jego posiadaczami, Ostami, o ich niepewną wierność i obustronne dokumenty rozdmuchała dziwnie prędko jedne z najsrozszych łun, jaką kiedykolwiek pałało państwo całe. Już w pięć lat po obecnej gościnie króla w Toruniu stał wszystek kraj zakonny w płomieniach, spłonęła na zgliszczu grunwaldzkim wszystka jego wielkość i chwała.

Ale dopóki żyje bogobojna królowa polska, nie lękać się ludziom tego krwawego dla wszystkich dnia. Jego bliskie już w każdym razie świtanie na widokregu jest, niestety, miarą jeszcze bliższego kresu życia Jadwigi. Opowiedziane tu przytarcie Naderspana wyprawą olsztyńską i opolską tylko trzema latami uprzedziło żałobę po niej. Owszem, nadmienione w końcu wykupno ziemi dobrzyńskiej odbyło się już nad jej grobem. Dlatego odroczyć nam do nieco późniejszej chwili sprawę Drezdenka i Grunwaldu, a zająć się ostatnimi rysami obrazu nieśmiertelnej córki Ludwika.

XX. ZEJŚCIE JADWIGI

Dnie smutku. Śmierć królowej Elżbiety. Żałoba po matce. Oszczerstwa Gniewosza z Dalewic. Sąd w Wiślicy. Lekkie ukaranie oszczercy. Pobłażliwość epoki. Zgoda małżonków królewskich. Pociąg Jadwigi ku pobożności. Spółczesne tego przykłady. Jubileusz roku 1390. Codzienne praktyki bogobojności. Zabytki pobożnych ofiar Jadwigi. Ukojenie. Weselsze odtąd pożycie. Przejazdki po kraju. Goście i festyny na zamku. Odwizyny króla Zygmunta. Facecje u stołu królewskiego. Kolej rocznych uroczystości. Błogi wpływ Jadwigi na wszystkich społecznych. Powszechna dla niej miłość i cześć. Jedyną chmurą bezdzietność. Dawne o tym wyobrażenia. Pokutnicze usposobienie ostatnich lat Jadwigi. Ascetyzm i świątobliwość. Wysłuchanie modłów. Brzemienność. Ostatnia choroba i śmierć Jadwigi. Rozporządzenia testamentowe.

Wyprowadziwszy królowę naszą przed laty dwunastu w koronacyjną podróż z Jagiełłą po Wielkopolsce nie widzieliśmy jej odtąd w murach królewskiego zamku w Krakowie. Zdarzone w tym przeciągu wypadki okazały nam Jadwigę opiekunką ludu w Poznaniu, przywróciicielką Rusi we Lwowie, pojednawczynią Witolda i Skirgiełły w Ostrowiu, orędowniczką z Krzyżakami w Inowrocławiu. Po wzmiance o tych postronnych aktach królewskich wróćmy znowuż do zamkowych komnat w Krakowie, w domowe progi codziennego życia Jadwigi. Widziały one ją nie mniej zbawienną i błogą narodowi jak owe strony dalsze, a widziały ją najpiękniejszą, bo z nie gasnącym nigdy na jej czole blaskiem dostojności królewskiej łączył się tam urok niewinnego cierpienia. Poznań, Lwów, Ostrów, Inowrocław znały ją łaskawą, gorliwą, mądrą; krakowskie progi domowe opowiedzą ją nam jeszcze nieszczęśliwą, żalobną, pocieszoną, światłą i świętą.

Zaledwie Jadwiga wróciła niegdyś do Krakowa z stron wielkopolskich, nadbiegły tam owe smutne wieści zza Karpat, wieści o porwaniu królowej Elżbiety i Marii przez powstańców węgierskich, które przyspieszyły wyprawę czerwonoruską. Gdy małżonka Jagiełłowa ciągnęła z wojskiem ku Rusi, rozniosła się wiadomość o zamordowaniu matki w więzieniu Nowigradzkim. Głoszone o tym szczegóły im mniej jednostajne i niewątpliwe, tym sroższe, podwajały okropność ciosu.

Opowiadano sobie, iż rokoszanie kroaccy zamierzali uwieźć obiedwie królowe do Neapolu i wydać je tam wdowie zamordowanego w Węgrzech Karola Małego. Ponieważ zaś tym sposobem królowa i korona węgierska przechodziły w władzę Karolowego syna Władysława, który zjednoczeniem podriatyckich Węgier z Neapolem mógł zachwiać adriatycką potęgę Wenecji, przeto postanowili Wenecjanie zniweczyć zamiar powstańców. Wypłynął tedy oddział floty weneckiej i zamknąwszy drogę do Neapolu obiegnął rokoszanie w Nowigradzie, wzywając ich do uwolnienia obu królowych. W tym samym celu i czasie wyruszył także dotychczasowy „opiekun Węgier”, Luksemburczyk Zygmunt, z oddziałem wojsk do Kroacji przeciw powstańczemu grodowi.

Zagrożeni z dwojej strony Kroaci zamiast uskromić się w zawziętości, tym zacieklej owszem srożeli. Aby dogodzić zemście i rzucić postrach na nieprzyjaciół, dopuścili się barbarzyńcy niesłychanego okrucieństwa. Zamordowano królowę Elżbietę w oczach córki i wywie-

szono trupa z murów twierdzy na widok oblegających, grożąc uczynić toż samo z królową Marią, jeśli nie odstąpią od oblężenia. Krew Elżbiety nie pozwalała wątpić o rzeczywistości pogroźki. Wenecjanie i Zygmunt cofnęli się. Zwłoki królowej Elżbiety pogrzebiono w połowie lutego roku 1387 w tej samej Jadrze, czyli Raguzie, gdzie Elżbieta roku 1383 tak uparczywie wzbraniała Polakom nadesłania Jadwigi, wchodząc w tajne porozumienie z Jaśkiem z Tarnowa i przytrzymując ofiarowanych w zakład za Jadwigę młodzieńców polskich.

Siostra Jadwigi pozostała nadal w ręku morderców. Jej oziębły małżonek nie spieszył ku pomocy, która zresztą może by tylko równie zgubną okazała się córce, jak poniekąd zgubiła matkę. Wolał Zygmunt własnej tymczasem dokonać koronacji i po czteroletnim gonieniu przygód w Polsce i Węgrzech, po czteroletnich odprawach i zniewagach, korzystając ze śmierci teści i z uwięzienia małżonki, przywdział rzeczywiście koronę węgierską dnia 31 marca 1387. Dopiero w trzecim miesiącu po tym wypadku dzięki nowej wyprawie weneckiej doczekała się królowa Maria uwolnienia z więzów rokoszan, aby przejść pod władzę poniewolnego małżonka Luksemburskiego.

Śmierć królowej Elżbiety przydziała kirem jej córkę polską. Obyczaj czasu przestrzegał surowo obowiązku oplakiwania zmarłych rodziców i rodziny, a początkowe przykrości związku z Jagiełłą tym więcej goryczy przydawały smutkowi. Do ciężkiej więc żałoby wróciła Jadwiga z Rusi Czerwonej w podwoje swego królewskiego zamku nad Wisłą.

Obchodząc zaś pośmiertną pamięć matki zamykała się każda księżna średnich wieków przynajmniej na sześć tygodni w sypialni i tam wśród czarno obitych ścian, w ściśle przepisany stroju żałobnym, bez pierścieni, klejnotów i rękawiczek spoczywała przez cały czas na łożu, które zamiast zwyczajnej jedwabnej i złotem przetykanej pościeli bieląo jedynie skromnym prześcieradłem płóciennym. Po kilkutygodniowej pokucie następowały inne mniej surowe pory żałoby, trwające razem przez kilkanaście miesięcy.

Podobnież długo i ściśle obchodzona żałoba naszej Jadwigi doznawała jeszcze pewnej małoznaczej na pozór, lecz przykrej z czasem niedogodności. Było to w porze najgłośniejszego lamentu Zakonu i Wilhelma na bezprawność zaślubin Jagiełłowych. Po wszystkich dworach europejskich krążyli wysłańcy krzyżacy i rakuscy, opowiadający dziwa o niewoli przymusowego małżeństwa królowej polskiej, o barbarzyństwie jej gwałtownika Jagiełły, o niezrównanych wdziękach Jadwigi. Rycerstwo wszystkich krajów europejskich, z obowiązku rozmiłowane w podróżach i przygodach po zagranicy, nie znało gorętszego życzenia, jak przekonać się naocznie o romantycznych scenach na dworze polskim. Mnodzy tedy wędrownicy rycerscy ciągnęli zewsząd ku stolicy nad Wisłą, ku grodowi królewskiemu na Smoczej Górze, w którym mieszkała i cierpiała piękna córka sławnego w całej Europie króla Ludwika.

Gościnność tamtoczesna nie dozwalała pod żadnym pozorem wzbraniać przystępu naprzykrzonym ciekawcom. Jak król Jagiełło po upadku Kiejstuta zżymał się przeciwko takiemuż natręctwu w Wilnie, a przecież kilkudniową gościnnością raczyć musiał natrętów, tak i po-grążonej teraz w żalu Jadwidze niepodobna było uniknąć oczu i czołobitności wielu niewczesnych odwiedzaczy. Niepokoili oni ją hołdami swymi zaraz po weselu z Jagiełłą, po rychłym powrocie z wyprawy czerwonoruskiej, jako też w czasie pobytu króla na wyprawie apostołskiej nad Niemnem, od jesieni roku 1386 do jesieni w roku następnym.

Wtem nagle w połowie tego czasu, wśród lipca roku 1387, zjawia się w Krakowie sam król Jagiełło. Jedyne ślad jego urzędowych wtedy czynności w stolicy polskiej okazuje go w przyjaznym porozumieniu z dawnym naczelnikiem stronnictwa rakuskiego, dawnym poufnikiem Wilhelma i Jadwigi, panem Gniewoszem z Dalewic. Dnia 26 lipca pozwala małżonek Jadwigi „swemu wiernemu i miłemu Gniewoszowi” sprzedać wieś Suche w ziemi krakowskiej za wysoką cenę 800 grzywien. Pan Gniewosz posiadał ciągle dawne zaufanie Jadwigi, nie odstępował jej nawet podczas wyprawy ruskiej, znał tedy wszystkie jej kroki i tajemnice. Upadek sprawy Wilhelma radził mu szukać teraz łaski króla Jagiełły, choćby zdradą przeciw-

ko swojej pani niewinnej. Podejrzliwy zaś Jagiełło z obawy odnowienia się dawnej skłonności Jadwigi ku Wilhelmowi pragnął tajemnych doniesień o jej poźyciu.

Takim sposobem zadzierzgnął się poufny między królem a Gniewoszem stosunek, który gwoli zachowania Gniewoszowi dalszego powiernictwa u Jadwigi miał pozostać sekretem przed całym dworem. Aby sobie tym większą zapewnić wagę, aby tym obfitsze myto donosicielstwa zagarnąć, nie wzdrygał się nikczemnik w braku rzeczywistych tajemnic do wyjawienia użyć najsromotniejszego oszczerstwa. Skłamał tedy przed królem, że pomiędzy gośćmi zagranicznymi, którzy w tych czasach nawiedzali zamek królewski, znajdował się także Wilhelm, że był przebrany za kupca, że królowa widywała się z nim.

Jagiełło przyjął z rozjątronym sercem te wieści i „nie umiąc ukryć niczego” dał niebawem uczuć nieszczęśliwej Jadwidze, że przenika jej wiarołomstwo. Owszem, spotykały ją wyraźne zapytania, jakie zmywy miała z Wilhelmem. Zapewnienia niewinności znalazły głuche przyjęcie. Miary tylu różnych jednocześnie udręczeń szesnastoletniej małżonki Jagiełłowej dopełniła obelga męża. Samo wreszcie rozwarte raz źródło niesnasek i umartwień pruło sobie coraz szersze łożysko. Niegodziwy zausznik z Dalewic, skłamawszy raz przed Jagiełłą, musiał dalej kłamać też przed Jadwigą. Dla uskarbienia sobie tym dłuższej uwagi i wdzięczności obu dwóch stron zaczął Gniewosz odgrywać u Jadwigi też samą rolę względem Jagiełły, jaką u niego odgrywał względem Jadwigi.

Do rzeczywistej przewiny fałszywych posądzeń Jagiełłowych zmyślił obłudnik jeszcze inne wykroczenia króla przeciw małżonce. Podniecane na obie strony zarzewie roztlewało coraz smutniejszą waśnią domową. Na próżno mądrość panów koronnych pracowała nad pojednaniem małżonków. Co prośby i przedstawienia przychylnie skleiły dnia jednego, to jakaś ręka wroga zniweczyła skrycie nazajutrz. Już nawet na czas przydłuższy ucichły były niesnaski, gdy po kilku miesiącach za niezmordowaną podżogą oszczerców nowe wyniknęły rozterki. Płynąca donosicielstwu nagroda faworów i pieniędzy nazbyt żywo nęciła zgraję łakomców, a szczególnie herszta z Dalewic, aby kiedykolwiek spoczęło podle rzemiosło.

Lżyli więc pokątnie i opływali w łaski oszczercy, a cały dwór frasował się z ich powodu. Panów dostojników koronnych niepokoiło grożące stąd rozchwianie się małżeństwa królewskiego i związku Korony z Litwą. Chciwy życzliwości ludzkiej Jagiełło bolał na mniemaną zdradę Jadwigi jako na krzywdę, którą on zdolen był uczuć głębiej niż wszelkie wdzięki korony. Im goręcej nawet serce królewskie pragnęło przywiązania małżonki, im zacniejsze w tej mierze ożywiały króla uczucia, tym dotkliwiej dręczyła go nieszczęsną podejrzliwość, tym boleśniej dręczył on nią Jadwigę. Osobliwym zrządzeniem niebios, zsyłających tyle razem nieszczęść Ludwikowemu dziecku w koronie, samo nawet rzeczywiste przywiązanie małżonka zaostrzało nowym kolcem cierniowy wieniec Jadwigi.

Toż nieskończenie więcej niż zafrasowani panowie koronni i Jagiełło cierpiała nieszczęśliwa Jadwiga. Za jej ofiarę, za jej niewinność odpłacano tak srogą niewdzięcznością. Uczucie doznanej niesprawiedliwości, oćmione kirem reszty nieszczęść i strat rodzinnych, zamaściło, wzburzyło piękną duszę. Serce przejęło się goryczą, wspaniały umysł zniewagą. Nastąpiła chwila krnąbrnego oporu losom. Jadwiga przecięła na jakiś czas wszelkie styczności z mężem. „Ilekróć Jagiełło zbliżył się do niej, ona z gniewem odwracała się odeń.”

Tylko bijący w oczy wzgląd, iż ona to właściwie jest panią i dziedziczką królestwa, jest źródłem terazniejszej pomyślności narodu, ochraniał ją od kary, jaką każdy z królewskich małżonków owego czasu byłby uskromił krnąbrność podobną. Jadwidze chyba w konfesjonale groziła kara. Gdy młodociana pani klęczała u spowiedzi, kapłan skarcił ją surowym napomnieniem do posłuszeństwa mężowi. Nie skruszonej jeszcze duszy zdało się to urągowskiem boleści. „Jadwiga wstała gniewnie od konfesjonału i nakazała milczenie spowiednikowi.” Było to snąc najwyższym przesileniem cierpienia.

W spokojniejszych jednak chwilach powiodło się radom koronnym zawiązać znowuż lepsze porozumienie pomiędzy małżonkami. Wyplłynęło podówczas na jaw, iż główną przyczyną

niesnasków są oszczerstwa pokątne. Aby więc nie dopuścić odrośnięcia chwastowi, postanowiła rada z korzeniem wyplenić zło. W tym celu zanieślono prośbę małżonkom, aby równie Jagiełło, jak i Jadwiga wyznali sobie nawzajem, kto właściwie rozsiewa kłótkę pomiędzy nimi. Oboje królestwo przychyliłi się do żądania. Wtedy ku niemałemu zdziwieniu dworu wyszło z ust króla i królowej jedno i toż samo nazwisko: Gniewosz z Dalewic.

Ta osobliwsza niespodzianka sprawiła bardzo pomyślne wrażenie. Oczywista bowiem bezzasadność dwustronnych zmyśleń przyczyniła się do tym rychlejszego zatarcia wszelkich niesnasek. Dzięki szczęśliwemu odkryciu zniknęły odtąd na zawsze nieporozumienia w stadle królewskim. Ciesząc się zaś z przywróconej w nim zgody nie unoszono się zbyt surowym zgorzzeniem nad szpetnością przewiny Gniewoszowej. Liczyła ona, niestety, do powszednich zjawisk epoki. Wobec takiej moralności publicznej, która dopiero za trzecim przekonaniem o robój wykluczała od zaszczytów i posług dworskich, czymże była prosta dwujęzyczność pana z Dalewic! Ominął go wprawdzie z jej przyczyny wieniec doskonałości rycerskiej, dbałej o nieposzlakowaność słowa i imienia, lecz te wymysły zagraniczne nie obowiązywały każdego, nie nęciły mianowicie podobnych Gniewoszowi zwolenników rubasznej staroświeczonej.

Mógł więc pan Gniewosz pozostać nadal w słońcu łaski królewskiej i byłby nawet uniknął wszelkiej zgoła odpowiedzialności, gdyby nie królowa Jadwiga. Ona to sama, ona jedna nie przestała na nie dość jasnym rozwiązaniu wypadku. O ile rzeczywiście i zupełnie niewinna, o ile swoim uczuciem moralnym wyższa nad ogół tamtoczesny, równa najidealniejszym wymaganiom epoki, o tyle usilniej pragnęła ona usunąć od siebie ostatni cień wątpliwości, p r z e k o n a ć swego oszczercę. Zaczem wniosła królowa wyraźną prośbę i nalegała na to, aby zarządzenia Gniewosza publicznym roztrząśnione zostały sądem. Król i panowie musieli przyzwolić na jawną „przę” z Gniewoszem.

Odbył się ten akt pamiętny według wszelkich przepisów ówczesnej procedury sądowej, wiślickim określonej statutem. Królowa Jadwiga używając prawa każdej zacnej szlachcianki za pozwała pana Gniewosza o potwarz czci niewieściej, przewidzianą osobnym paragrafem statutu. Wyznaczono obżałowanemu „rok” sądowy w Wiślicy. Zebrał się tam w oznaczonym terminie cały trybunał sędziów, podsędków i towarzyszącego zwyczajnie każdemu sądowi grona dostojników i panów, tak zwanych „asesorów i komorników sadowych”.

Sędziami i podsędkami małopolskimi byli tymi czasy w województwie krakowskim Drogosz z Chrobrza i Krzesław, w sędomierskiem Pełka i Prandota. Gdy i kasztelanowie najwyżsi nierzadko zastępowali sędziów ziemskich i uczestniczyli w ich sądach, przeto nie brakło sądowi wiślickiemu także owych małopolskich „panów”, Dobiesława z Krakowa, Krzesława z Sędomierza, Krystyna z Sądcza, w szczególności zaś wiślickiego Mikołaja, pana na Ossolinie.

Wiadomy paragraf statutu uchylał osobiste stawanie niewiast przed sądem, pozwalając im wybrać sobie pełnomocnego zastępcę. Królowa wybrała takim znanego kasztelana wojnickiego, starego pana Jaśka z Tęczyna. Zacny Toporczyk zasługiwał ze wszech miar na ten zaszczyt. Toć to on jeden podczas burzliwego sejmku elekcyjnego w Sieradzu utrzymał zachwianą sprawę Jadwigi i wiernie odtąd stał przy niej. Jego mądrość, wymowność, wiek stateczny i obyczaje cnotliwe otoczyły go czcią powszechną i zjednały mu szczególne przywiązanie młodej królowej.

Jakoż nielekkomyślnie podjął się „pan wojnicki” żadanego „rzecznictwa” w sądzie. Jadwiga musiała złożyć przed nim uroczystą przysięgę, jako rzeczywiście nie miała w życiu stosunku z nikim innym, jak tylko z królem Jagiełłą, małżonkiem swoim. „Upewnionemu i przekonanemu” w ten sposób wskazywał statut też samą drogę upewnienia i przekonania sędziów, preparcia oskarżyciela. Wypadło złożyć w imieniu królowej przysięgę niewinności i postawić pewną liczbę świadków zacnych i wiarogodnych, zwyczajnie sześciu, w najważniejszych sprawach dwunastu, którzy by przyświadczyli mu spółprzysięgą, tym głównym dowodem sądownictwa tamtoczesnego.

W obecnym razie ofiarowali ją przekonany już o niewinności małżonki król i najznakomitsi panowie dworu. Nadto przywiódł Jaśko przed trybunał drugie tyle „świadców” innego, zagranicznego prawa, dwunastu zbrojnych szlachty-rycerzy, którzy by obyczajem zachodnim, dowodem sądu Bożego, przepierali przeciwnika rycerskim z kolei pojedyńkiem. Wszystko, co żyło, na co tylko zdobyć się mogła sprawiedliwość ówczesna, stało w obronie sławy Jadwigi.

Naczelnicy zwycięskiej sprawie stary pan kasztelan Tęczyński stanął pełen otuchy z świadkami w „wieńcu sędziów zebranych”, w obliczu zapozwanego. Była to równie świetna dla starca chwila, jak ów pamiętny dzień 28 marca w roku 1383, kiedy na sejmie w farze sędziowskiej cały zbor elekcyjny uległ jego mądrej przemowie. Tym samym głosem potężnym zaskarżył on teraz przytomnego Gniewosza, „jako nikczemnym umysłem i kłamliwymi ustami zelżył przed królem jego czystość i niepokalaną niewinność jego małżonki. Skoro sędziowie zażądają, będą złożone dowody ku oczyszczeniu sławy królowej. On zaś, jej rzecznik, domaga się nawzajem, aby złośliwy donosiciel został zmuszony do odwołania”.

Pan Gniewosz upadł na duchu. Przeciwnictwo najwymowniejszego z panów ówczesnych, świadectwo samego króla i dostojników, groźne twarze dwunastu gotowych do pojedynku rycerzy otrętwiły mu język. Daremnie wzywali go sędziowie po kilkakroć do przemówienia. Drżące przestachem wargi, stłumiony ku ziemi wzrok odpowiadały niemą prośbą o łaskę. Nie mogąc nic innego wydobyć z pana Gniewosza przystąpił trybunał do wyroku. Uznano obżalowanego winnym potwarzy czci niewieściej. Pojęcia ówczesne nie czyniły w tej mierze różnicy między królową a szlachcianką. Taż sama kara, którą by poniósł był Gniewosz za nieuczciwe słowo przeciw matce pierwszego lepszego z szlachty krakowskiej, zdała się także obecnie dostateczną pokutą.

Była to kara przepisanej statutem główszczyzny 60 grzywien i rewokacji zakończonej formułą „zelałem jako pies”. Taż więc kara padła teraz byłemu przewodzczy stronnictwa rakuskiego. „Królowa Jadwiga została uznana i ogłoszona czystą, niewinną, wolną od wszelkich podejrzeń.” „Przepadły” zaś w sądzie Gniewosz musiał natychmiast zadość uczynić wyrokowi. Zgiął się „szkaradnik” (jak statut prawi) we dwoje, wlaź pod ławę sądową i ozwał się stamtąd w głos, że wszystko, co o królowej powiedział przed królem, było fałszem wierutnym. Po przepisanych statutem słowach: „skłamałem jako pies” – kazano mu naprawdę zaszczekać kilka razy. Lubo statut nie zawiera tego obostrzającego dodatku, zaszczekał Gniewosz spod ławy.

„Którym to tak surowym wyrokiem – kończy kronikarz – stało się gruntownie zadość cności i niewinności królowej, jako też zgodnemu odtąd królewskiemu stadłu pożyciu.” I byłoby można nazwać sąd wiślicki rzeczywiście surowym, gdyby ustanowiona nim kara, nie odejmująca zresztą ani wolności, ani majątku w ziemi, samym uszczerbkiem moralnym dostatecznie karciała winowajcę. Atoli sromotna pokuta pana Gniewosza nie pognębiała wówczas moralnie. Równie zacny i szanowny później jak przedtem, pozostał on nadal niepoświadczonym aspirantem do posług i zaszczytów publicznych, posłował w imieniu królewskim do hospodarów wołoskich, sam następnie sądził sprawę na Rusi.

Owszem, dopiero w kilka lat po psiej scenie w Wiślicy zaszczycił go wysoki urząd podkomorzego krakowskiego, pod którym on powszechnie znany jest w dziejach. W końcu spotkamy go między najznakomitszymi synami kraju, na polu chwały. Był więc terazniejszy wyrok wiślicki „tak surowym” jedynie w oczach ówczesnych, w oczach sprawiedliwości i honoru onej epoki, która od morderców wymagała tylko miernej kwoty grzywien główszczyzny, która dwakroć przekonanemu łupieżcy gościncowemu „czyniła rewerencje” u dworu, a staroświeckim szlachcom wielkopolskim kazała przestawać na basarunku ilością policzków wymierzonym.

I niezupełnie też słusznym mniemamy dalsze twierdzenie kronikarza, jakoby jedynie mądrym sędziom wiślickim przypisać należało, iż zgasły odtąd wszelkie niesnaski w stadle kró-

lewskim. Przynajmniej w równej mierze dzieliła tę zasługę samaż mądrość i dobrotliwość Jadwigi. Dość, że w istocie wróciło najlepsze pomiędzy małżonków porozumienie.

Przekonywają o tym wielorakie okoliczności. Zaraz jedna z pierwszych chwil pojednania obdarzyła Jagiełłę ważnym ze strony małżonki dokumentem. Aż potąd wisiała jego korona polska jedynie na pierścieniu ślubu z Jadwigą. Z jej śmiercią i pierścien, i korona traciły wagę. Wielce przeto pomyślnym dla Jagiełły był każdy akt Jadwigi, którym ona jako właściwa dziedziczka i pani Polski zapewniała mu tron po sobie. I takiegoż właśnie aktu pozostał ślad w tej porze. Dnia 3 grudnia r. 1387 wydała królowa pisemne oświadczenie, jako zaleciła rajcom, ławnikom i całej społeczności miasta Krakowa, aby zaprzysięgli Jagielle też samą co i Jadwidze wierność i posłuszeństwo w razie śmierci królowej uznali go swoim królem i panem.

Znana wdzięczność Jagiełły nie omieszkła wywzajemnić się małżonce zaszczytniejszą odtąd dla obojga ufnością. Przy zaufaniu, przy obopólnej szlachetności umysłu, przy łatwym do rozbudzenia sercu Jagiełły a młodzieńczości uczucia jego małżonki nietrudno było parze królewskiej o przywiązanie.

Jakoż przez cały dalszy przeciąg stosunku małżeńskiego jaśniała nieprzerwana nad nim pogoda. „Bez wszelkich już podszeptów zauszniczych – dodaje kronika – bez podejrzeń i udręczeń wzajemnych żyli oboje królestwo od tej pory w niezamąconej niczym zgodzie małżeńskiej, fortunni miłością i jednością.” Szczęśliwemu zaś Tęczyńskiemu, który swoją rycerską obroną królowej przed trybunałem wiślickim najbardziej przyczynił się do tej zgody małżeńskiej, odpłaciła się Wiślica niebawem coraz wyższymi dostojenstwami, mianowicie ostatnim z wszystkich, kasztelaństwem krakowskim.

Mimo czego wszystkiego niepodobna przecież przypuszczać, iżby tak srogie doświadczenia nie pozostawiły posępnego cienia w duszy Jadwigi. Wszystko, co było bliższe jej sercu, straciła; a ci, z którymi związał ją Bóg, poili ją goryczą. Pełna żalu samotność ogarnęła Jadwigę. Takie zaś położenie rozwijało w pobożnej od dawna duszy tym tęskniejszy pociąg ku niebu. Oddała mu się małżonka Jagiełłowa z całą siłą młodzieńczego natchnienia. Oddała mu się tym posłuszniej, im głębiej rozbudzały go w niej przeróżne okoliczności czasowe.

Pierwszą w tym względzie pobudką była samaż „błogosławiona krew”, która płynęła w żyłach Jadwigi. Miała ona w niebie kilku świętych z swojej rodziny, mianowicie świętego króla Francji Ludwika IX, zmarłego przed stu laty; tudzież drugiego świętego Ludwika, jego bratanka, biskupa tolozańskiego, jeszcze później zgasłego. Ciż święci przodkowie wołali wnukę do siebie, a przykład wielu świętych niewiast spółczesnych wskazywał ścieżkę. Epoka Jadwigi brzmiała jednocześnie chwałą kilku świętych naśladowczyń Chrystusa, nieobcych najważniejszym sprawom stulecia. Święta Katarzyna Sieńska zajmowała się gorliwie umorzeniem szymy dwóch papieżów w Rzymie i Awinionie, syłała w tej mierze upominalne listy do papieżów i królów, między innymi do węgierskiego króla Ludwika. Święta Brygita głosiła w kształcie objawień surowe wyroki przeciw Krzyżakom, a jej córka, św. Katarzyna Szwedka, św. pustelnica pruska Dorota dobrowolnym udręceniem żywota protestowała przeciwko zbytkom swoich wesołych spółczesniczek.

Samaż wreszcie pora sądu w Wiślicy dwójnasób zniewalała do pobożności. Była to właśnie pora trzeciego powszechnego jubileuszu. Obwołany po raz pierwszy przez papieża Bonifacego VIII w r. 1300, miał on z początku odbywać się co lat 100. Już atoli w połowie wieku zapragnęła ludzkość na nowo pociechy lata miłościwego, a papież Klemens VI zarządził, aby jubileusz powtarzał się co lat 50. Gdy na koniec i to zbyt dalekim zdało się kresem, skrócił papież Urban VI epokę miłościwą do lat 33, a jego następcą Bonifacy IX obwieścił nowy jubileusz na rok 1390. Szły zatem jak zwyczajnie tłumne do progów apostołskich pielgrzymki i ofiary pielgrzymów ze wszystkich krajów.

W razie obecnym oprócz napływu pobożnych gości do Rzymu sam jeszcze Rzym przybywał w wzajemną gościnę do wszystkich krajów. Uwzględniając bowiem teraźniejszą szymę

kościelną, pozbawiającą papieżów rzymskich posłuszeństwa wielu z antypapieżem awiniońskim związanych ludów, postanowił Bonifacy IX w wynagrodzenie mniejszej stąd liczby pielgrzymów i jałmużny rozesać po wszystkich podległych sobie krajach kwestarzy, którzy by wszędzie na miejscu sprzedawali odpust papieski. Przez to tysiące pobożnych, szczególnie książąt przeszkodzonych w osobistej drodze do Rzymu, mogły za złożeniem kwoty pieniężnej, odpowiedniej kosztom podróży, dostąpić łaski odpustu w domu. Zarazem polecono pielgrzymki i ofiary do pewnych słynniejszych kościołów w kraju, które za stosowne wywdzięczenie się otrzymały od papieżów takąż samą moc odpustową.

„Rozsyłał tym sposobem papież Bonifacy IX – dowiadujemy się z ust tamtoczesnego prałata i kronikarza polskiego – tyle z niesłychaną hojnością i rozrzutnością udzielonych różnym świątyniom indulgencji, iż – jak mówiono – nie tylko kościoły, lecz nawet stajnie pełne były odpustów.” – „Bo też sam Piotr św., gdyby żył jeszcze – opiewały kazania jubileuszowe – nie miałyby większej władzy odpuszczając grzechy, jak papież Bonifacy.” Przy pożądanej obudwom stronom zamianie grzechów w jałmużnę odpłacało się lato miłościwe nader hojnym plonem pieniężnym. „Nie tylko papież – dodaje nasz kanonik krakowski – lecz nawet poborcy papiescy zebrali niezmierne bogactwa w złocie, srebrze, rumakach i klejnotach.” Po kazaniach i ofiarach następowały obrachunki z poborcami jubileuszowymi, z których niejednym przez dni kilkanaście w domach bankierów włoskich odliczał podskarbnym papieskim pieniądze uzbierane.

Te wszystkie podniety zewnętrzne znachodziły zanadto powinowate usposobienie w samej Jadwidze, aby nie miały być wydać razem jedno z najjaśniejszych zjawisk pobożności ówczesnej. Rażąca odmienność powszechnego tła obyczajów, na którym świeciły takie pojedyncze postacie światła, tła grubą zmysłowością i rubaszością omroczonego, skupiała tym promienistszy w nich blask. Z czasem ten odmienny grunt obrazu całej epoki spłówił w pamięci ludzkiej, zniknął dla wiedzy powszechniej, a tylko owe wydatniejsze zjawiska pozostały pomnikiem siebie samych i swego czasu. Takim też pomnikowym wzorem bogobojności zaświeciła obecnie narodowi dwudziestoletnia małżonka Jagiełłowa, niedawna uczestniczka wesołych zabaw u franciszkanów, oblana teraz krwią matki i łzami własnych cierpień.

O ile zaś ulegalibyśmy tylko pewnej złudzie widoku oceniając ciemny ogół epoki według jej pojedynczych postaci jasnych, o tyleż w niezupełnie prawdziwych rysach przedstawiałyby się nam pobożność tych postaci, gdybyśmy ją sobie wyobrażali według pojęć i przykładów dzisiejszych. Religijność wieku Jadwigi miała w ogóle nieskończenie więcej codziennych, cogodzinnych obowiązków niż dziś. Nieskończenie obojętniejsza o swoją „użyteczność” dla bliźnich i dla świata czuła się ona niewymownie szczęśliwą w pełnieniu tysiąca drobnych, dziś całkiem zapomnianych zwyczajów i przepisów, oddziaływających jedynie na samą duszę pełniącą. Dzisiejsze modły, posty, spowiedzi stanowiły tylko małą częśćkę dewocji średnio-wiecznej. Każdy z wyszczególnionych tu aktów odprawiał się nierównie częściej, dłużej, surowiej.

Oprócz mnogich pacierzy zwyczajnych odśpiewywała dama pobożna codziennie swoje Godzinki, czytywała lub słuchała czytywane przed sobą pisma duchowne, trawiła wiele chwil w rozmyślaniu. Jadwiga kazała w tym celu przełożyć na język polski „księgi Starego i Nowego Zakonu, homilie czterech doktorów Kościoła, żywoty Ojców świętych, kazania o świętych Pańskich, medytacje i mowy św. Bernarda i Ambrożego, objawienia św. Brygity, tudzież niektóre inne” – i podobnie jak niedawno jej babka Elżbieta w onym testamentowym brewiarzu, z pilnością następnie rozczytywała się w nich.

Przynajmniej dwakroć w tygodniu bywał zachowywany post o chlebie i o wodzie, przynajmniej cztery razy do roku przyjmowano sakrament przenajświętszy, a przez cały adwent i post wielki umartwiała się Jadwiga włosienicą. Codzienne jałmużny ubogim i pielgrzymom, codzienne ofiary ołtarzowe, składane przez króla zazwyczaj w złocie, przez królową zaś w mniejszej kwocie pieniężnej, codzienne posyłki kosztownych darów do różnych świątyn kra-

jowych i zagranicznych – zasługi nader pospolite naówczas – zaledwie zwracały na się uwagę. Posyłała Jadwiga w ten sposób dziś nadzwyczajnie bogato perłami i drogimi kamieniami ozdobioną kapę i takież racjonal do katedry krakowskiej, nazajutrz równie kosztowny ornat do Częstochowy, dnia innego kosztowne aparaty kościelne do „Krwi Pańskiej” w Wilsnaku

Spomiędzy innych znamienitszych czynów pobożności Jadwigi w obecnym czasie utrwaliły się szczególnie w pamięci ludzkiej dwa nowo zbudowane ołtarze w katedrze na zamku krakowskim, fundacja kolegium psalterzystów przy tejże samej świątyni, wspólne z królem Jagiełłą założenie klasztoru benedyktynów słowiańskich w Krakowie na Kleparzu, o którym nieco więcej następnie, wreszcie obdarzenie kolegiaty sędomierskiej funduszem ziemskim na utrzymanie pewnej liczby sług kościelnych, starodawnych „świątników”. Niejedno z dalszych dzieł tego rzędu, zapomniane na ziemi, snąć już tylko w niebie liczy Jadwidze.

Zresztą każdy krok życia tamtoczesnego podawał sposobność do praktyki pewnego zwyczaju bogobojnego, utrzymywał w ciągłym ożywieniu duszę pobożną. Z lada powodu ślubowała matrona średniowieczna przez kilkanaście lub kilkadziesiąt piątków nie nosić bielizny pod sukniami z szorstkiej materii. Przy zasiadaniu do stołu odbywała się przed benedykcją biblijna ceremonia umywania rąk, często wodą różaną, mająca dać pobożne świadectwo, iż spółbiesiadnicy nie kryją żadnej względem siebie winy lub zdrady. Udając się na spoczynek skraplano siebie i łożę wodą święconą. Gdziekolwiek pobożna Jadwiga zwróciła oko, wszędzie spotykało ją godło zbawienia. Żegnano się krzyżem św. w znak zadziwienia, zakreślał go rycerz kopią albo mieczem w powietrzu przed turniejem lub bitwą, wisiał on na każdej piersi ludzkiej, błyszczał u czoła rumaków Jagiełłowych. Nawet na zachowanym po dziś dzień trzewiku Jadwigi dziwnego kształtu, materii karmazynowej, świeci krzyż z lamy złotej.

Gorąca pobożność koła każdą boleść. I zasmucone serce Jadwigi doznało z czasem ulgi, pociechy. Dochowały się szczęśliwym trafem ułamki zapisków rachunkowych dworu Jadwigi, przedstawiające niejako kilkunastomiesięczny diariusz jej przejazdów po kraju, jej pobytu w różnych stronach Królestwa. Gdybyśmy tylko tyle wiedzieli o życiu naszej królowej, ile ten szacowny pomnik nadmienia o nim, przyszłoby wyobrazić je sobie wcale pogodnym, towarzyskim, niepróżnym wdzięku, swobody i przyjemności.

Oto jeśli sprawy publiczne czym innym nie zaprzętnęły uwagi, odwiedza król i królowa dwoma osobnymi dworami jeden koronny zamek po drugim, gości z kolei w Nowym Mieście Korczynie, w Wiślicy, w Sędomierzu, w Stobnicy, w Radomiu itp. Dwór obojga królestwa roi się okazałym tłumem służby, panów i pań. Za królem, zmierzającym np. ku Mogile, a mającym zjechać się z królową w Nowym Korczynie krom zwykłej liczby rad koronnych, urzędników i służby dworskiej ciągną jeszcze nieraz dwa, czasem trzy tysiące jeźdźców zbrojnych. Jakże ciężko bywało spichrzom, piwnicom i oborom starościńskim albo duchownym, ilekroć cała nawałnica dworska spadła w przejeździe na nocleg lub popas do dóbr skarbowych, biskupich albo opackich!

Musiano zaś obficie nadstarzać gościom, jeśli nawet dobrotliwa Jadwiga miewała wielce za złe, skoro przyjęcie nie wypadło dość hojnie. Jednego razu wstąpiła ona do Jaksic, wsi biskupów krakowskich. Stary kanonik krakowski Sieciech z Chmielika, do którego to należało, nie postarał się o dostateczne ugoszczenie dworu. Co tak żywo obraziło Jadwigę, że gdy kapituła krakowska po śmierci biskupa Jana Radlicy jedno zgodnie obrała następcą tegoż Sieciecha, rozgniewana królowa wstawiła się u papieża Bonifacego, aby nie Sieciech, lecz jej kanclerz, Piotr Wysz, został biskupem. Papież spełnił prośbę Jadwigi, a starowina Sieciech stratą infuły przypłacił nie dość skrzętną gościnność. Dlatego dbano pilnie o zadośćuczynienie obowiązkowi „stacji królewskiej” i jakkolwiek tłumny nadjeżdżał dwór, znachodziło się wszystko dla wszystkich.

Dokoła królowej Jadwigi zamiast Jagiełłowego ludu zbrojnego dworował tym liczniejszy orszak księży, matron i panien. Na czele dworu męskiego przodkowało zwyczajnie kilku duchownych lub świeckich dostojników koronnych z liczną drużyną księży, kapelanów, spo-

wiedników, kleryków, pisarzy katedralnych itp. Między dworem duchownym i świeckim trzymał środek osobny kanclerz królowej, późniejszy biskup krakowski, Wysz, z przydanymi sobie do listów i nadań pisarzami. Właściwej służbie dworskiej przewodził osobny ochmistrz, czyli marszałek dworu królowej, Krystyn Ostrowski, mający na swoje rozkazy liczny orszak dworzan i pokojowców. Podskarbi królowej, Sulko lub Nawój, wioził kasę ze skarbcem sreber, podkoniuszy Sasin nadzorował osobno masztarnię i wozownię królowej, kuchmistrz rachował się z szafarzami i doglądał zapasów spiżarni i cukierni. Wszyscy ci urzędnicy byli znamienitymi panami, a podkoniuszego Sasina posadzili Krzyżacy przed kilku laty za stołem jednej ze swoich najslawniejszych uczt honorowych i zapisali go w rejestrze uczczonych w ten sposób paladynów jako „pana Sasina z Mazowsza, *von der Masov*”.

Nie mniej okazałym i licznym był dwór niewieści. Uświetniała go zwyczajnie obecność kilku w gościnie przy królowej bawiących książeń postronnych, z Mazowsza, Litwy lub Szląska. Już to same, już to z mężami swoimi towarzysząc Jadwidze miały one swój osobny dwór żeński, któremu atoli zaszczyt towarzyszenia królowej polskiej niewielką sprawiał pociechę. Panowała bowiem w innych fraucymerach książeńcych daleko większa swoboda obyczajów niż u dworu naszej królowej, przeco podróżując przez jakiś czas w jej pobliżu wypadało nastroić piosnkę bardzo posępną albo narazić się na cenzurę surowej ochmistrzyni nadwornej. Pełniła ten urząd nad matronami i pannami dworskimi pani Krystyna Biecka, wspomniana często w księgach rachunkowych dworu Jadwigi i niewielkich zapewne trudów doznająca w utrzymaniu pańien na wodzy przystojności, jeżeli wszystkie zasługiwały sobie na tak pochwalną wzmiankę Jadwigi, jaka o jednej aż dotąd na posagowym przechowała się pergaminie. „W nagrodę cnotliwych a nadobnych postępków i obyczajów, którymi Formoza de Wanszwoja, niegdyś panna dworska przy boku naszym, teraz zaś narzeczona Stanisława Gamrata wzbudzała zawsze upodobanie nasze” – mówi królowa w dokumencie z dnia 8 sierpnia r. 1396 – naznacza się jej darowizną posag w kwocie 150 kóp groszy pragskich, ubezpieczony we wsi królewskiej Trzcienca w powiecie bieckim, mającej pozostać tak długo w posiadaniu Formozy lub jej następców, aż póki rzeczona suma nie zostanie im wypłaconą ze skarbu królewskiego.

Mimo poważnych obyczajów nie brakło dworowi Jadwigi rześistej kapeli fletnistów i lutnistów, z którymi szli w zawody grajkowie każdego z książąt i możniejszych panów ówczesnych, a którzy jak niekiedy pełnili służbę posłów, tak też nie wahali się w razie potrzeby przypasać oręż na wojnę.

Czasem dowiadywała się królowa o bliskim przybyciu króla i z całym orszakiem swoim wyjeżdżała naprzeciw niemu. Natenczas łączyły się oba dwory, spędzały jakiś czas razem, wstępowały gościnnie do którego z najmożniejszych panów w pobliżu, a w końcu różnymi znowuż drogami wracały do stolicy. Tam jeszcze gwarniejsze i weselsze pożycie! Zjeżdża np. na zamek krakowski ulubiona siostra królewska, mazowiecka księżna Aleksandra Ziemowitowa, i staje w przyrządzonym umyślnie domu obok pałacu królewskiego. Królowa Jadwiga cieszy się jej kilkuletnim synkiem Siemiszkim, dla którego krawcy dworscy szyją pilnie sukienki, cizemki sukienne itp. Król Jagiełło raz po raz upominkami kosztownymi obdarza siostrę, kupuje dla niej kolczyki, kanaki, siodła, kubki złociste i nie zapomina nawet o jej pannach służebnych, nieco tańszymi udarowanych kolcami.

A księżne i panie litewskie kochały się namiętnie w darach podobnych, w wszelkich przyjemnościach światowych, w szumnej muzyce, w zbytkach strojów. W rok po scenie pojednania w Ostrowiu zjechała do Krakowa wielka księżna litewska, Anna Witołdowa. Ta słyneła szeroko z niezmiernie bogatej garderoby, o której zwiedzający Litwę „rycerze i giermkowie błędni mawiali, że u żadnej zagranicznej królowej albo księżny, ile ich było na świecie, nie widzieli tak wielkich dziwów stroju.” Przy szczęśliwej z podobnego rozgłosu Annie, przy również zamiłowanej w przepychu szat Aleksandrze Ziemowitowej jakże dziwnie odbijała pobożna skromność i prostota stroju Jadwigi!

Wraz z wymienionymi tu księżniczkami, wraz z ich mężami Witoldem i Ziemowitem, z mnogimi książętami bratniej Litwy i Rusi nadciągali także z różnych odleglejszych krajów dostojni goście na dwór krakowski. Dzień po dniu mijali się tam za dni Jadwigi książęta szląscy, morawscy, pomorscy, multauńscy itd. W pierwszych tygodniach roku 1395 zbliżyła się ku Sądczowi siostra Jadwigi, królowa węgierska Maria. Jej małżonek, Zygmunt, mimo wszelkich wrogich Polsce zamysłów niejednokrotnie przed biesiadą w zamku krakowskim umywał ręce z Jagiełłą.

Tuż w jego ślady wstępowali dzisiaj mnichowie w poselstwie od księcia Burgundii, jutro heroldowie z zamorskiej Anglii, w innej porze jakiś biskup francuski, powracający z Persji. Codziennie miewała królowa u siebie w odwidzinach gości d o m o w y c h , szlachtę krajową, „wiele zacnych panien i pań”, wytworne mieszczyki krakowskie. Nierzadko otaczała Jadwigę tak rojne towarzystwo niewieście, iż nawet biegli w rachmistrzostwie podskarbiowie królowej zapisywali w swoich rejestrach, jako np. we czwartek 5 marca 1394 spędziła królowa większą część dnia z „n i e z l i c z o n ą liczbą panien i pań”.

Odwidziny takie trwały niekiedy przez cały dzień, łączyły się z obiadem albo wieczerzą. Wtedy u stołów Jagiełły i Jadwigi zdarzało się dość często, że król i królowa jedli z postem, gościom zaś zastawiono „obficie” z mięsem. Lubo częstokroć same tylko panie bywały na obiedzie, wychodziło przecież na jedną taką ucztę po sto kilkadziesiąt par kurcząt. Do pieczy-stego służyły najrozmaitsze przysmaki, konfekty, sałaty, młody groszek w pierwszych dniach czerwca, ciasta ocukrowane i pozłoczone.

Bardzo dokładne opisy wielu obiadków i kolacyjek średniowiecznych przekonywają, że czasy Jadwigi, jak o tym już wspomniano, ledwie nie więcej od naszych znały się na gastronomii i dbały o nią. Prawie po każdej z książęcych spółbieszczek krakowskich pozostała pamięć pewnej ulubionej łakoci. Jadwiga jadała chętnie „kręczone” ciasto, czyli torty, wielka księżna Anna lubiła konfitury i powidełka, księżna Miklaszowa Raciborska smakowała najbardziej w miódki. Mniej wymyślne usta przestawały na piwku, plackach, obwarzankach, pirogach z serem, częstych stołu królewskiego specjałach.

Po uczcie i modlitwie dziękczynnej godziło się pójść w taniec. Jak przy obiedzie królowa nieraz pościła, a gościom dostarczano mięsiwa, tak i w powszechnym zwyczaju płaśów powodowała się dobrotliwa Jadwiga takąż samą pobłażliwością, z jaką jej również zacna babka Elżbieta tak często pozwalała płaśać w swej obecności, nie dzielając osobiście zabawy. Najpiękniejsza więc z tancerek siadywała w milczeniu na uboczu, a panie i panny dworskie wiodły rej z młodzieńcami.

Tak żywą kolej scen towarzyskości codziennej rozświecała tym żywszym blaskiem jedna i druga uroczystość nadzwyczajna, już to przypadkowo zdarzona, już periodycznie powracająca. Odbywały się na zamku krakowskim głośne zjazdy książęce, sprawiano chrzciny dzieciom książęcym, obchodzono solennie święta doroczne, nie brakło nawet turniejów. Zasnął nimi osobiście rok 1398, gdy niespodzianie zjawił się w Krakowie król Zygmunt z licznym dworem węgierskim, żadnymi poprzednio nie zawezwany zaprosinami.

Znaczyło to osobliwszą z jego strony uprzejmość, którą król Jagiełło również wylaną odwdzieczył gościnnością. Między innymi rozrywkami nastąpił wtedy wielki turniej rycerski. Gdyby tu mowa była o pożyciu któregośkolwiek z zagranicznych dworów ówczesnych, należałoby przypatrzeć się bliżej temu festynowi wojennemu jako najwspanialszej scenie w obyczajach całego rycerstwa za granicą. Ale w królestwie Jagiełłowym, na dworze krakowskim, w zwyczajach szlachty polskiej miała ona nader wyjątkowe, prawie żadne znaczenie.

Stosunkowa uboższosc kraju, nie sprzyjająca tym kosztownym igrzyskom; rzadkie w ogólności ślady zachodnioeuropejskiej szwalerii w Polsce, dostrzegane tylko w pożyciu najmniejszych panów zamkowych; sumienniejsze wreszcie posłuszeństwo przepisom kościelnym, walczącym od dawna surowymi zakazy przeciw zbytowym a wielokrotnie i morderczym zabawom turniejowym – nie dały turniejom upowszechnić się w Polsce. Częstsze u nas

później niż teraz za Jadwigi, znane niektórym panom chyba z podróży po krajach zagranicznych, nierzadko nawet praktykowane tam przez nich, uchodziły one w Polsce za wymysł cudzoziemczy, wcale niepotrzebny przy ciągłych harcach z Tatarstwem, a do niedawna i z Litwą. Przez całą epokę średniowieczną nie słychać o żadnym tego rodzaju igrzysku prywatnym na zamku któregoś z możnowładzców rycerskich. Nawet u dworu królewskiego odprawowano je tylko na cześć najznamienitszych książąt postronnych, bawionych sposobem zagranicznym.

Taką też zabawą uraczono obecnie króla Zygmunta. Dziecinnie próżny i płochy Luksemburczyk, skłonny w każdej chwili do popisów w roli rycerza błędnego, niezmiernie chciwy pochwał dla swej postaci i zręczności rycerskiej, sam występował w szrankach, w złocistej zbroi, w hełmie o fantastycznym ubraniu z piór, na bogato ustrojonym rumaku. Naprzeciw niemu stawał kwiat najpolerowniejszych rycerzy polskich, a każdy pragnął skruszyć z nim kopię, każdy nacierał nań z kolei. Król Zygmunt nie posiadał się z radości. Zapewne u żadnego z dworów zachodnioeuropejskich, oswojonych z wszelkim przepychem widowisk i bohaterstw turniejowych, nie wróżyło mu tyle tryumfów i pochwał co wobec mniej zepsutej w tym względzie publiczności gonitw krakowskich.

Po skończonych igrzyskach czekała gości suta uczta za stołem. Musiała ona zwyczajem Jagiellowym trwać długo. Gdy panie i młodzież dworska odeszły, rozpoczynała się w towarzystwie męskim coraz huczniejsza, rubaszniejsza wesołość. Zdarzało się to zwłaszcza pod obecność tak wesołego krotofilnika, jak np. ów niefortunny pretendent do arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, młody biskup Kropidło, bratanek Opolczyków, pojednany wreszcie z królem Jagiełłą. Jakże serdecznie ubawił się zawsze „Wielki Aleksander Litwy i Rusi”, jak Witołdowi z aluzją do jego imienia chrzestnego pochlebiano, ilekroć facecjonować począł u stołu kędzierzawy Grapidła, zwracając się conceptami swoimi najchętniej do Witołda, który też zwyczajną hojnością swoją odpłacał mu jego żarty. A jak rubasznym żartów pozwalał sobie duchowny krotofilnik z Opola! Gdybyśmy w jedną ramkę wmieścić chcieli różne wspomnienia przechowane przez kronikarzy o biesiadowych facecjach dowcipnego biskupa Kujaw, urósłby z nich następujący obraz wesołej uczyty w zamku krakowskim.

Oto oprócz mnogich gości podrzędnych siedzą przy stole królewskim na pierwszych miejscach Jagiełło, Witołd, Zygmunt, Kropidło. Ten ostatni opowiada właśnie ucieszne zdarzenie z czasu zatargów o arcybiskupstwo gnieźnieńskie. „Moje mnichy – rzecz biskup do książąt – waleczniejsze od waszych wojewodów! Aby tnie na rozkaz królewski wyrugować z arcybiskupstwa, zajechał mazowiecki wojewoda Abraham dobra kościoła gnieźnieńskiego. Był tam starostą moim pewien mnich cysterski z Pelplina, człek zuchwały jak rzadko. Wojewoda uprowadził mu jednego razu trzodę baranów z folwarku. Wkrótce potem zaczął się nań cysters z gromadą ludzi i po krótkiej walce wziął wojewodę w niewolę. Pojmany musiał przyrzec na uczciwość rycerską, iż mu zwróci barany. Tymczasem zamiast dotrzymać słowa zapozwał mnicha przed sąd, duchowny, iż wbrew habitowi czyni burdy po drogach. „Co mi habit! – zawołał cysters przed sądem i rzuci kaptur o ziemię. – Tu leży mnich, a tu stoję ja, szlachcic! Oddaj, wojewodo, barany albo po szlachecku powiem, żeś skłamał.” Wojewoda wyszedł ze wstydem, a cysters odbił niebawem trzodę i po wszystkich zamkach sąsiednich obwołał kłamcą Mazura. Czyż mnich nie waleczniejszy od wojewodów!”

„Od polskich, nie od moich!” – ozwie się król węgierski i wychylając kubek za kubkiem pocznie wychwalać pod niebiosa swoich urzędników, swoje rycerstwo, swoje wyprawy bohaterkie. Chępliwość szwagra Jagiellowego nie znała granic. Kropidło przysłuchiwał się długo w milczeniu, aż wreszcie, podpisawszy sobie, przerwie coraz rubaszniejszym przechwałkom. „Dość tego, mości królu! Ani ty, ani król jegomość Jagiełło nie osiągniecie sławy z waszego panowania. Jeden wielki książę Witołd godzien być królem! Jagiełło i ty nie warci jesteście berła. Tamten utonął cały w swoim myśliwstwie, a ty wyrzekłbyś się czci dla podwiki. Alboż nie wiadomo, co cię spotkało w Insbruku, na festynie książęcym, gdzie pewna córka

mieszczkańska przed wszystkimi gośćmi podniosła skargę na ciebie, a stara księżna insbrucka kazała ci stanąć pannie do oczu?... Dlatego nie chęć się cnotami królewskimi! Gdyby mi dano było siał królów, nie siałbym nigdy Zygmunta, nigdy Jagiełły, zawsze Witolda.”

Gwałtownie zarumieniony Zygmunt bał się odpowiedzieć cokolwiek, aby zuchwały a pijany krotofilnik jeszcze szerzej się nie rozgadał. Dobroduszny Jagiełło nie miał złości dla gorzkich przymówek w żarcie. Wychwalony zaś Witold tak wielce podobał sobie w pochlebstwie wesołego biskupa, że do wielu darów poprzednich dorzucił mu teraz dożywocie zamku i dóbr mielnickich. Za co bratanek Opolczyków nazajutrz po uczcie wyprawił poufny list do Krzyżaków, swoich tajemnych przyjaciół i łaskodawców, donosząc im o wszystkich mowach i planach, z jakimi Witold albo Jagiełło wynurzył się wczoraj przeciwko Zakonowi.

Zwyczajnie jednakże panowała u stołu godów królewskich, jakkolwiek długo trwających, wszelka przystojność i uroczystość. Sam król Jagiełło nie pijał (jak wiemy) żadnych trunków gorących, a lubo lekceważył świecidła stroju, dbał przecież o zachowanie powagi królewskiej zawsze i wszędzie. Pozostało w tej mierze ciekawe o nim podanie, powtarzane za dni jego prawnuka przez starych ludzi, „którzy też od swych starszych słuchaną rzecz młodszym opowiadali”. Ci zaś młodszy pozostawili to wnukom swoim, „iż czasu jednego z racz z Rakuz księżę gościem do króla Władysława było przyjechało. Był mu król rad; bywały krotofile na zamku w Krakowie uczciwe i królewskie. Na koniec księżę młode i nazbyt biesiadne prosił króla, aby król na dole w mieście pomógł biesiady jemu. A gdy już noc była, prosił, aby z nim szedł na dół, na towarzyską biesiadę, zawiesiwszy na zamku królestwo na kołku. Król tym poruszony, z ruska jemu tak odpowiedział: „*Kniaże wid, ja koły pietuch deń i noszcz pojet, wsiechda korol!* – Wiedz, księżę, czy kur dzień oznajmia czy noc, jam zawsze król!”

Mniej gwaru, a nierównie więcej znaczenia miały inne uroczystości dworskie, jak np. zapisane pod rokiem 1393 chrzciny „małej księżniczki”, córeczki jakiegoś nie znanego bliżej księcia. Cały dzień tego obrzędu spędziła królowa w towarzystwie wielu „książąt, gości, ziemian i mieszczan zaproszonych”. Wszyscy oni byliby o wiele weselsi i szczęśliwsi, gdyby to były chrzciny dziedzica i następcy Korony Polskiej, dotąd bezdzietnej i bezdziedzicznej. Już siedm lat małżeństwa królewskiego minęło, a żadnym jeszcze potomstwem nie ubezpieczył Pan Bóg przyszłych losów narodu. To jedno nieco posępny cieniem chmurzyło pogodę nad obojgiem królestwa i narodem. Niechby jednakże do tyła niebieskich darów pory obecnej przydał Bóg jeszcze błogosławieństwo potomka upragnionego, a nie byłoby fortunniejszego w owym wieku dworu i narodu nad polski.

W nadziei takiegoż prawdopodobnie rozjaśnienia się kiedyś obaw dzisiejszych, toczyło codzienne pożyte zamku królewskiego dalszą kolej swoich uroczystości i zabaw, dalszych nowin domowych i postronnych, spraw publicznych i obrzędów świątecznych. A gdy nadeszły święta Bożego Narodzenia, królowa spraszała wielu „prałatów, kanoników, wikariuszów, z niektórymi pany świeckimi” i w poważnym kole duchownym obchodziła solennie „Gody”, wilię dzisiejszą, wesołą porę kolęd i noworocznych darów dworowi. Za nadejściem dni mięsopustnych towarzyskość u dworu ożywiła się dwójnasób tłumną i ochoczą uciechą. W wielki tydzień król i królowa w osobnym stroju pokutnym suszyli o chlebie i o wodzie, przyjmowali Ciało i Krew Pańską, rozdawali jałmużny. W wielki czwartek król w ustronnej świetlicy dwunastu żebrakom umywał nogi i darzył ich postawem sukna, półsetkiem płótna i dwunastu groszami. Gdy zaś wielkanocna zajaśniała niedziela, czekało gości sute „święcone” u stołu królewskiego, mianowicie przeszło 1200 święconych i malowanych jaj.

W takiej kolei różnokształtnych i różnobarwnych chwil życia zdarzyła się też niejedna chwila wcale bezbarwna, pospolita, kapryśna. Natenczas wspaniała wnuka Kazimierza Wielkiego miewała przelotnie pozór zwykłej, zmiennej kobiety, która np. tu wydawała rozkaz, aby siodłano konie, ponieważ chce udać się wierzchem za królem – tu kazała smarować kolebki do podróży, ponieważ chce do innego wyjechać zamku – tu zaś odstępowała obu zamiarów, pozostawała w domu. Owszem, przy właściwej czasom owym gminności, nie przepuszczają-

cej najwytwórnieszym umysłem i najwyższym stopniom społecznym, zdarzało się niekiedy, że krawcy dworscy łatali starą odzież królowi, a królowa nie zapominała polecić, aby panu kanclerzowi Zaklice wydano polecenie „dawnej słoniny”.

Nie odejmowało to przecież wdzięku Jadwidze, a zapewne przydawało jej wiele miłości ludzkiej. Jakoż wszystkimi przywiedzionymi tu rysami charakteru i życia posiadała ona tyle współczucia i przywiązania u ludzi, ile jeno dać może świat. Powszechna zaś przychylność, powszechna cześć dla jej cnót, ufność w jej rozum, uczyniły ją wszechstronną mistrzynią ludzi i zdarzeń. Wszyscy korzyli się jej wpływowi, poddawali się jej wyrokom, szukali jej opieki.

Większa część pobożnych zwyczajów króla Jagiełły była jedynie owocem nauk Jadwigi. Podobną przewagą moralną działała ona także na królewskiego brata Skirgiełłę, chrześcijanina greckiego, znanego barbarzyńcą i rubasznikiem. Pozostałe ułamki rejestrów dworu Jadwigi, stanowiące niejako diariusz niektórych jej podróży, przedstawiają go nader często w poufnym towarzystwie z Jadwigą, w rozmowach z nią przy obiedzie, przy wieczerzy, w przejazdce. Któż wie, o ile do przypisywanych mu później zamysłów przyjęcia obrządku łacińskiego, udania się do Rzymu itp. przyczyniły się te poufne pogadanki z bratową polską?

I nie tylko takim wpływem na pojedyncze, osoby i charaktery dawała się uczuć krajowi zbawienność życia królowej. Owszem, błogie promienie jej serca i umysłu rozświecały dolę całych warstw społeczeństwa, budziły nowe, nie przeczuwane dotąd natchnienia w całym narodzie. Szczęśliwym darem niebios było to serce dość silną wsparte wolą, aby w najtrudniejszych okolicznościach wymusić uznanie i posłuszeństwo swoim dobroczynnym wzruszeniom. Przy znanej nam mocy charakteru Jadwigi zechcemyż mniemać, iż owe jej nieśmiertelne słowa o „wróconej biednym ludziom grabieży, ale łzach nie wróconych” przebrzmiały bezowocnie wśród pokolenia, aby jedynie na kartach dziejów wieńczyć pamięć Jadwigi? Święte poetom i dziejopisom czasów następnych, stały się one także dla plemienia społecznego źródłem nieprzebranej pociechy i jakby w dowód ich wpływu na złagodnienie obyczajów i stosunków ludzkich w tej porze znalazły dziwnie piękny odgłos w jednym z aktów sprawiedliwości ówczesnej. Małuczki on wprawdzie i bez znaczenia na pozór, ale godny zaiste wzbudzić mniemanie, iż nigdy zapewne tak mało w Polsce łez nie płynęło, jak za czasów Jadwigi.

Jest to akt sądownictwa tamtoczesnego w sprawie między szlachcicem a włościaninem. Ułożony z tak pobożną względnością dla strony uboższej, jakby sama Jadwiga zasiadała na sądach, daje on najzaszczytniejsze świadectwo o pomyślnej wówczas doli ludu naszego, bezprzykładną prawie na owe czasy otoczonego opieką. Właśnie w rok po owych słowach żalu Jadwigi nad pokrzywdzonym w pobliżu Gniezna ubóstwem, bawiło się dwoje chłopiąt na łanie między wsiami Suchą Rabą a Słomirogiem koło Staniątek. Jedno było dzieckiem szlacheckim, „urodzonym” w domu pana Bracicza, dziedzica wsi Suchej Raby; drugie synem kmiecia Klimunta z klasztornej wsi Słomiroga. Wśród zabawy pobili się towarzysze, przy czym syn chłopski wziął górę nad szlachcicem i poszturchał młodego dziedzica sąsiedniej wioski. W każdym innym kraju średnich stuleci byłby szlachetny ojciec panięcia pomścił się znanym prawem pięści na chłopie i zabiwszy przy lada sposobności Klimunta miałby chyba główszczyznę zapłacić do skarbu pana. W Polsce dziedzicowi na Suchej Rabie nie pozostał inny środek odwetu, jak wydać pozew kmieciowi czyniąc z nim jako z odpowiedzialnym za małoletniego syna zastępcą.

Wszczęła się tedy sprawa u sądu. Jakby o głowę lub o fortunę chodziło, stawały obie strony raz i drugi na walnych wiecach krakowskich, parli się ojcowie o większą liczbę szlacheckich lub chłopskich sińców na ciele synów. „Nareszcie po wielu różnych rokach sądowych” – opiewa umyślnie w tej sprawie sporządzony dokument sędziów i asesorów z dnia 10 września 1387, stanął przed trybunałem sławetny prokurator klasztoru w Staniątkach z oświadczeniem, iż wszyscy kmiecie klasztorni sądzą się prawem niemieckim, a ponieważ i rodzinna wieś

Klimunta Słomiróg jest wsią klasztorną, przeto u sądów magdeburskich należy zapoznać winowajcę. O czym z okazanego przekonawszy się przywileju, uznali sędziowie krakowscy niewłaściwość sądów ziemskich w tej sprawie i przed ławę magdeburską odesłali Bracicza z synem.

Nie znamy wprawdzie dalszych aktów tej sprawy, ale już i ten jedyny dokument wystarcza do okazania, jak troskliwa i potężna opieka praw czuwała za dni Jadwigi nad strzechami siół polskich. W tej mierze owe nieśmiertelne słowa Jadwigi o łzach ubóstwa pod Gnieznem w jesieni r. 1386 i ta sprawa sądowa o swawolę dwojga chłopiat pod Staniątkami w jesieni r. 1387 jakby dwa wtórzące sobie z dala głosy tej samej nuty poświadczają chwałę czasów Jadwigi i błogi jej wpływ na pokolenie ówczesne. A przeniknąwszy je promieniem swojej dobroci i ludzkości pragnęła Jadwiga przejąć też cały naród swoim światłem, swoim rozumem, swoją obyczajnością.

Nieprzepomnianym tego dowodem są jej starania o wznoszenie większych i liczniejszych niż dotąd zakładów naukowych, o rozwinięcie języka ojczystego przekładami ksiąg budujących, o fundacją nowego kolegium dla Litwy w Pradze, a wznowienie podupadłej Akademii w Krakowie. Twórczyni materialnej potęgi kraju, pojęła ona zupełną jej niedostateczność bez odpowiedniej miary potęgi umysłowej i – jak o tym następnie dokładniej nadmienimy – rozwarła narodowi drogę do skarbów wiedzy. Cała wielkość tej zasługi moralnej objawiła się dopiero po zejściu małżonki Jagiełłowej, lecz to nie przyniosło uszczerbku jej czci i rozslawie za życia. Już poprzednie zasługi Jadwigi były dość wielkie i dość uznane, aby ją powszechnym otoczyć uwielbieniem. Dawne i nowe ujęły jej na zawsze teraźniejszość i przyszłość.

Mało też który z żyjących kiedykolwiek monarchów był w tej mierze szczęśliwszym od Jadwigi. Od najniższego ubóstwa do najwyższych szczytów społeczeństwa ludzkiego, od pogrążonej w nędzy rodziny kmiecej, której ona osłodziła gorycz żywota, aż do głowy Kościoła katolickiego, któremu Jadwiga tak wielkimi zasłużyła się ofiarami – ubiegano się okazać jej cześć i miłość. Ubogi murarz przy budowie klasztoru karmelickiego na Piasku, wydzwigniony przez królowę z niedoli, wykował ślad jej stopy w kamieniu i wmurowawszy go w ścianę kościoła co dnia z wdzięcznością całował „stopkę Jadwigi” – a papież Bonifacy IX nadsyłał Jadwidze listy pochlebne, dające jej wcale niezwykajne dowody przychylności i poufnego porozumienia.

„Zdarza się nieraz, jak wiemy – opiewa list papieski z dnia 29 grudnia roku Pańskiego 1392 – iż gwoli usilnym naleganiom pewnych osób, którym godność królewska nie pozwala dać odpowiedzi odmownej, wstawiasz się, Wasza Królewska Miłość, do nas o promocję przeciw swoim własnym życzeniom, ileże wołałabyś komu innemu przychylić łaskę naszą. O czym nie wiedząc, postępujemy sobie nieraz inaczej, niżbyś Wasza Królewska Miłość pragnęła. Przeto chcemy mieć pewien szczególny od Ciebie znak, do którego byśmy się w takim razie zastosowali. Ilekroć zechcesz naprawdę, abyśmy komuś wyrządzili łaskę specjalną, tedy oznajm to poufnie pod onym znakiem, a spełnimy Twoje żądanie, jak do tego skłonni jesteśmy z całego serca.”

W trzy lata później otrzymała królowa również pamiętny dowód życzliwości Jagiełły i narodu. Dnia 25 stycznia 1396 ogłoszony został dokument zapewniający jej na wypadek śmierci króla Jagiełły dożywotnie posiadanie Kujaw i Rusi Czerwonej tytułem „wiana”. Drugie z tegoż samego dnia i roku nadanie królewskie przydawało temu roczny dochód 2000 grzywien, zabezpieczonych darem królewskim na żupach bocheńskich i wielickich. Było to dla Jadwigi hołdem słusznej wdzięczności; dla narodu zaś nawet ta słuszna wdzięczność nie obeszła się bez wzajemnego pożytku. Zapisując bowiem królowej odzyskaną od Węgier Ruś Czerwoną i odebrane Opolczykowi Kujawy, głoszone przezeń darowizną węgierską, ubezpieczano tym samym obydwie te prowincje od przyszłych nagabywań węgierskich, ileże stając się osobistą posiadłością Jadwigi, w każdym razie dziedziczki i spadkobierczyni węgierskiego króla Ludwika, pozostały one nadal w ręku węgiersko-królewskiej rodziny andegaweńskiej, poniekąd w ręku węgierskim.

A przecież mimo wszelkie oznaki czci, mimo coraz jaśniejszą nad krakowskim zamkiem pogodę czuła się Jadwiga nieszczęśliwą. Przy wszelkich cnotach ciążył na niej wyrok potępienia i sromu w oczach świata. Małżonka Jagiełłowa była ciągle bezdzietną. Dwunastoletnie już stadło małżeńskie żadnym potomstwem nie pobłogosławiło jeszcze pary królewskiej. Bezpłodność poczytywano w czasach powieści naszej za szczególny dowód gniewu bożego, za karę pewnej tajnej przewiny. Stąd jak niegdyś w Starym Zakonie, tak i wobec wyobraźni średniowiecznej każda małżonka bezpotomna uchodziła za jawnie potępioną grzesznicę, była przedmiotem wzgardy, często krwawych prześladowań ze strony męża.

Takim też losem ujrzała się zagrożoną Jadwiga. Sama religia nie od razu ulgę tu przynosiła. Ilekroć zwyczajem babki swojej, Elżbiety, usiadła młoda królowa wieczorem rozczytywać się w księgach Starego lub Nowego Zakonu, nasuwały się jej raz po raz groźne słowa Pisma św.: „Poniosą obie grzech swój, krom dziatki pomrą (*Mojż.* III. 20. 20.)... zamknął Pan żywot jej, frasowała jej ta, która jej zajrzała, i barzo ją nędziła, zamiatając jej tym oczy, że Pan zamknął żywot jej... a ona płakała, a nie jadła... i była gorzkiej myśli, modliła się do Pana, płacząc obficie (*Król.* I. 1. 5.).” Przy każdym z takich ustępów przypominała sobie Jadwiga „hańbę swej własnej bezdzietności” i była podobnie gorzkiej myśli i podobnie modliła się do Pana płacząc obficie.

Chyba to jedno mogło przynieść ulgę niejaką. Toż całą duszą zanurzyła się nieszczęśliwa w tym ostatnim zdroju pociechy. Im więcej dni mijało jej niepłodności, tym gorętszą stawała się jej pobożność. Dopiero w tej porze najgłębszego upokorzenia, w tej porze zwątpienia o sobie samej, udrećzania się gorzkim pytaniem: za jaką też winę zesłał Pan Bóg tę karę sromotną na nią? – osiągnęły duchowne ćwiczenia Jadwigi ów stopień ascetyzmu pokutniczego, który w końcu blaskiem świętości zaświecić miał oczom społecznym.

I jakby dla zerwania ostatnich węzłów między jej sercem a ziemią zabrało jej niebo ostatnią duszę pokrewną, starszą siostrę, królową Marią. Umarła ona w maju roku 1395, zaledwie 25 lat domierzywszy. Młodsza rokiem Jadwiga znalazła się w kwiecie wieku osieroconą ze wszystkich pociech świata. Po stracie ojca, matki, siostry, oblubieńca i towarzysza dzieciennych lat nie pozostał jej nikt, z kim by ją łączył urok miłych wspomnień domowych. Wśród przyjaznego, tłumnego dworu coraz zupełniejsza samotność ogarnęła serce zbolale, „za jedno wygnanie miała sobie nieszczęśliwa to życie”. Nie potrzebowała Jadwiga obyczajem tamtoczesnych pustelnic zamurowywać się w celi samotnej; sam Bóg skazał ją na żalobę, na bezwinną pokutę, na samotność po wszystkie czasy.

Jakoż wpośród zgłętku życia dworskiego przybrała młoda królowa obyczaje skruszonej pokutnicy, zmieniające w znacznej mierze dawniejszy obraz jej osoby i charakteru. Dawna uczestniczka tanecznych uczt franciszkańskich – złożyła szaty godowe, przywdziała odzież ubogą. Najslawniejsza niegdyś piękność swojego czasu – chodziła teraz z twarzą zakrytą, osłonięta kwefem zakonnym. Często przedtem spółtowarzyszka biesiad gościnnych – jadła teraz przez długie dni i miesiące sama jedna w swojej komnacie, według obyczaju żalobnie tamtoczesnych na ziemi lub na ławeczce niskiej przy łożu.

Nawet dawna żywość wzruszeń zewnętrznych innym w tej porze ustąpiła uczuciom. Ona – co przed laty nie wahała się porwać berdysz, aby rozbić furtę swego dziewiczego więzienia, teraz najświętobliwszej cierpliwości była przykładem. Ona, co dawniej z gniewu za złe przyjęcie we wsi biskupiej zdołała odsądzić od infuły sędziwego elekta kapituły krakowskiej, teraz „nie umiała się gniewać”. Ona, co w roku 1387 tak nagłym pochodem wiodła wojska na Ruś, teraz wzdrygała się wszelkiej myśli o wojnie, o bezbożnym przelewie krwi. Temu to bogobojnemu wstrętowi winni byli Krzyżacy tym pewniejszy za jej życia pokój z Koroną. Ta świętobliwa potulność wzmogła się z czasem do tego stopnia, że nawet wojna z pogaństwem stała się wstrętną Jadwidze. Gdy waleczny Witold ogłosił wielką wyprawę przeciw Ordzie tatarskiej, a liczne rycerstwo polskie spieszyło pod jego sztandar krzyżowy, lękliwa teraz Jadwiga w znacznej części odwiodła je od krucjaty.

Tylko owa anielska litość dla cierpień ludzkich, u której każda łza ludzka ważyła więcej niż całkowita naprawa szkody, która samaż łzą taką płakała, dla której cały naród od lat najpierwszych tak tkliwie rozmiłował się w swojej królowej – tylko ta litość nie zmieniła się w zmianie losów. Cierpiący, ubodzy, uciśnieni, pozostali jej ostatnimi przyjaciółmi. O nich jedynie myśląc, tylko w towarzystwie cnotliwych kapłanów spokojniejsza, żyła Jadwiga teraz samym bogobojnym ćwiczeniom i pokorna, zakapturzona, obyczajem świętych milcząca, klękiwała po całych dniach przed swoim krucyfiksem na zamku w modlitwie lub rozmyślaniu pobożnym. Ten sam opat żegański, który przed laty kilkunastu zapisał o Jadwidze w swojej kronice, że jeszcze niezamężna władza zawichrzonym Królestwem Polskim, dopisuje obecnie: „Teraźniejsza królowa polska, pełna dobrych uczynków, Bogu, nie światu służy, pokorę czyni, nie wie zgoła, co pycha, mistrzów i innych uczonych a pobożnych ludzi przywoływa z dalekich do siebie stron, pracując niepoślednio nad zbawieniem własnym i drugich.”

W bezpośrednim pobliżu Jadwigi panowało jeszcze wyższe wyobrażenie o zasługach jej pobożności. Zaczęto coraz powszechniej podziwiać w niej duszę wybraną, którą niebo po drodze cierpień i prób wiedzie do łaski szczególniejszej, tylko przyszłym świętym Pańskim dostępnej. Oznajmiały to różne znaki cudowne po części już teraz, po części dopiero później dostrzeżone i zrozumiane. Gdy Krzyżacy na zjeździe w Inowrocławiu odsłoniли całą srogość swojej nienawiści ku Polsce, pobożna królowa zagroziła im ciężką wojną po swojej śmierci, a niedaleka przyszłość przekonała o prawdziwie wieszczym duchu tych słów. Gdy Witold uzbrajał się do owej wielkiej wyprawy przeciwko Ordzie, Jadwiga zapowiedziała mu klęskę, co podobnie okazało się wnet prorocstwem. Gdy królowa jednego razu modliła się przed krucyfiksem na zamku, usłyszano, jak wizerunek Chrystusów przemówił do niej.

I zdarzył się wreszcie wypadek, który pozwolił mniemać, że już tu, na ziemi, miała paść nagroda cnotom i pokutnictwu Jadwigi. Po czternastu latach związku z Jagiełłą, w roku 1399, nadszedł szczęśliwy dzień, w którym mogła napisać królowi nieobecnemu: „Zdjął Pan Bóg ze mnie hańbę bezpotomności.” Małżonka Jagiełłowa doczekała się nadziei macierzyństwa.

Niezmierna radość ogarnęła cały naród, całą rodzinę królewską. Nastąpiły wielkie przygotowania ku uczczeniu przyszłego dziedzica Korony Polskiej. Uszczęśliwiony Jagiełło rozesał po wielu królach i książętach zaprosiny na świetny chrzest w Krakowie. Do papieża udał się w tym celu scholastyk krakowski i elekt poznański, Wojciech Jastrzębiec, prosząc go w imieniu królewskim o trzymanie do chrztu dziecięcia. Bonifacy IX odpowiedział listem łaskawym, przyjmującym zaprosiny królewskie i mianującym posła królewskiego Wojciecha swoim zastępcą przy ceremonii chrzestnej. Owszem, w dowód osobliwszych względów dla króla i królowej polecił Ojciec św., aby nowo narodzone dziecko oprócz właściwego miana chrzestnego otrzymało jeszcze imię papieskie Bonifacy lub Bonifacja.

Podobnie uprzejmie przyjęli także inni książęta zaprosiny krakowskie. Wielki książę litewski Witold i jego strojna małżonka Anna wybierali się osobiście na porę złogów królowej do Krakowa. Dla nowo narodzonego przybyła od nich w darze arcykosztowna kołyska, cała z srebra ulana. Na wiele dni przed spodziewanym rozwiązaniem upomniał nieobecny król Władysław Jadwigę, aby nie omieszkała przyozdobić wcześniej łożnicę, ustroić ją w bogate kobierce, zasłony i opięcia, przetkane złotem, drogimi kamieniami i perłami. Jadwiga odpowiedziała: „Okazałości światowej już dawna się odrzekłam. Pora macierzyństwa bywa częstokroć porą śmierci. Nie złota więc i klejnotów blaskiem znikomym, lecz cichą a ubogą pokorą powinnam przyjąć łaskę, którą Bóg mię nawiedza.”

Wzmianka Jadwigi o śmiertelnym niebezpieczeństwie tej pory była nowym prorocstwem. Tak gorąco od wszystkich oczekiwany płód przyszedł przedwcześnie na świat. Dnia 22 czerwca w niedzielę powiła królowa córkę, którą biskup krakowski Piotr ochrzcił natychmiast w katedrze zamkowej, dając jej imię Elżbieta Bonifacja. Już atoli w kilka tygodni, w sam dzień św. Małgorzaty, czyli dnia 13 lipca, umarło niedonoszone niemowlę.

Mało co więcej dni pozostało i matce. Choroba Jadwigi, poprzednimi cierpieniami znacznie już wycieńczonej, wzięła zatrważający obrót. Radość narodu zamieniła się w trwogę. Wszczęły się publiczne nabożeństwa na intencję wyzdrowienia królowej. „Modliliśmy się – mówi w kilka tygodni później jeden z najprzychylniejszych zamkowi krakowskiemu kapłanów – wylewaliśmy łzy, czyniliśmy procesje, składaliśmy wota – wszystko bez dzięki.”

Czwartego dnia po śmierci niemowlęcia, 17 lipca roku 1399, w piątek z południa, „o trzy-nastej godzinie”, przestała żyć Jadwiga. Samotna po koniec życia, jeszcze w ostatnich chwilach dotknięta stratą córki, nie miała konająca nawet króla Władysława przy swoim boku. Tylko panowie krakowscy, dla których szczęścia upłynął cały jej żywot, jak niegdyś zazdrośnie strzegli ukoronowanej dziewicy, tak i nad jej ostatnim czuwali tchnieniem.

Dla nich też, dla kraju, dla światła i niedoli, uderzyły ostatnie tętą jej serca. Gasnąc spokojnie w Bogu uczyniła Jadwiga świątobliwy testament, jedyny w swoim rodzaju, równie jak cały żywot gasnącej. Polecało to ostatnie rozporządzenie, aby wszystkie klejnoty, szaty, wszystkie gotowe pieniądze skarbu królowej, słowem, cały ruchomy przybór jej dworu, użyty został na wsparcie biednych i odnowienie Akademii Krakowskiej. Egzekutorami testamentu mianowała Jadwiga swoich najwierniejszych przyjaciół, biskupa krakowskiego Piotra Wysza i owego Jaśka z Tęczyna, który na sejmie sieradzkim i przed sądem wiślickim stawał tak żywo w jej obronie, najwyższego teraz dostojnika Korony, bo „pana krakowskiego”.

Przywołany listem Jagiełło przybył na gotowy już pogrzeb. Odprawiono go według ówczesnego zwyczaju po jakimś dopiero czasie, w blisko cztery tygodnie po śmierci, dnia 15 sierpnia. Nie było wtedy końca płaczom i narzekaniu. Duchowny piastunek Jadwigi, Stanisław ze Skarbimierza, jej kosztem niedawno promowany w Pradze, a obecnie mistrz sztuk wyzwolonych w Krakowie, pełen osobliwszej miłości i czci dla zgasłej, miał kazanie żałobne. Proste, serdeczne, rozumne, zachowało się ono po dziś dzień pierwszym wymowy polskiej pomnikiem.

Złożono zwłoki w kościele katedralnym na zamku, po lewej stronie ołtarza wielkiego, ku zakrystii. Po usłudze ostatniej wszyscy rozjechali się w smutku. Żałosny Jagiełło oddalił się na czas przy dłuższy na Ruś. U grobowca Jadwigi, jak u grobu jej dziada Kazimierza, pozostali tylko nieszczęśliwi, ubodzy. Płynęło ich coraz więcej ku stopom zmarłej, błagając jak i dawniej o pomoc. A nieśmiertelna koicielka łez ludzkich i zza grobu niosła pociechę. Ktokolwiek w frasunku czy w niemocy przyszedł szukać ulgi u trumny błogiej, wracał pokrzepiony na ciele i na duchu. Z każdym dniem wzmagała się zorza cudowności, otaczająca spoczynek wysłuchanej pokutnicy w koronie.

Jeszcze szerszym i trwalszym blaskiem zajaśniała narodowi jej puścizna testamentowa, wskrzeszona przez nią Akademia Krakowska. Niezwłoczne atoli urzeczywistnienie tegoż ostatniego z życzeń nieboszczki było nazbyt ważnym dla całego kraju wypadkiem, abyśmy je tu pobieżną minęli wzmianką. Z osobną więc, w połączeniu z innymi powinowatymi wypadkami pobliskiej pory, przypatrzmy się temu nad grobem Jadwigi wznoszącemu się światłu.

XXI. ŚWIATŁO

Wiek XIV pod względem oświaty za granicą i w Polsce. Podupadnięcie szkół po Tatarach. Akademia Kazimierza Wielkiego. Potrzeba wspólnych kolegiów. Podupadnięcie szkoły krakowskiej. Rzadka uprawa nauk i literatury w kraju. Częstsze przykłady uczonych Polaków za granicą. Nowo wszędzie rozbudzony popęd do nauk. Mnogość zakładanych jednocześnie akademii. Takież zapał do nauk w Polsce. Zwłaszcza w klasie możniejszej. Nawet w płci żeńskiej. Uczoność familii andegaweńskiej. Zasługi Jadwigi około oświaty narodowej. Założenie klasztoru benedyktynów słowiańskich. Znaczenie tej fundacji. Kolegium teologiczne dla Litwy i Polski w Pradze. Starania o nauki teologiczne w szkole Kazimierza Wielkiego. Zapis Jadwigi. Odnowienie Akademii Krakowskiej. Właściwie tylko fundacja kolegium Jagiellońskiego. Inauguracja. Kto w istocie założył Akademię? Zmiana czasów między Kazimierzem a Jagiełłą. Szkoła Jagiellońska głównie szkołą teologiczną. Samorodne krzewienie się nauki. Błogi wpływ światła. Przeszkoda coraz groźniejszych niebezpieczeństw od strony wschodniej. Druga szkoła narodu – Ukraina i Podole.

Mówiliśmy już o różnych życia tamtoczesnego zajęciach; widzieliśmy sceny obrad publicznych i uciech dworskich, nabożeństwa i wojny, kupiectwa i gospodarstwa; staraliśmy się poznać zwyczaje mieszkańców miast, siół, zaników, dworów i zagród – a nie było jeszcze wspomnienia o tym, co zwyczajnie poczytywane bywa za miarę światła w narodzie – o uczonych i uczoności. Pod tym względem gdyby oświata zamykać się miała w samej książce i szkole, godziłoby się ubolewać nad królestwem Jadwigi. Rzadziej bowiem niż mury i marmury w drewnianej Polsce Kazimierza Wielkiego świeciły w niej za Kazimierza i Jadwigi pomniki i przybytki nauki. Tymci liczniej i jaśniej świecą oczom naszym przyczyny, które tłumaczają i uniewinniają tę próżnię.

Wiek XIV, wiek najmętniejszej zamieszki żywiołów średniowiecznych, wiek srogich wszędzie wojen, szymy kościelnej, rozruchów miejskich, okropnych pokilkokrotnie morów, powszechnej na koniec swawoli i rozpusty był w ogólności czasem podupadnięcia oświaty naukowej, znacznie niższej wtedy niż w wieku przeszłym. W Polsce do podobnych przyczyn ogólnych przybywały jeszcze szczególne, ściśle miejscowe. Kiedy inne narody zachodniej Europy, o tyle wieków wcześniej ochrzczone, miały o tyleż wieków dłuższą do naukowego ukształcenia się porę, Polska liczyła dopiero trzy wieki chrześcijaństwa, trzy wieki powolnie rozkrzewiającej się z nim nauki, a jeszcze i z tych trzech wieków – jeden Tatarstwo całkowicie zmasało.

Na sto kilkadziesiąt lat przed Jadwigą, w latach 1241, 1260 i 1289, przeciągnęła całą Polskę straszna burza tatarska, przeciągnęła trzema ognistymi słupami, trzema płomiennymi szlakami spustoszenia, które sięgnęły aż po Kraków, wyludniły kraj cały, uprowadzały naraz, jak np. r. 1289, po 21 000 samych dziewcząt, obróciły wszystko, miasta, klasztory, sioła, w perzynę. Jeśli w dwóch chrześcijańskich wiekach przed Tatarami zaczęły przy każdej katedrze biskupiej nastawać tak zwane szkoły katedralne, czyli wyższe, przy wielu parafiach para-

fialne, po klasztorach szkoły klasztorne i biblioteki, tedy w wieku zagonów tatarskich upadły wszystkie szkoły kościelne, spłonęły księgozbiory, zabrakło wszelkich środków nauki, tak trudnych podówczas do zgromadzenia.

Po Tatarach trzeba było pomyśleć pierwiej o zaludnieniu siól, odbudowaniu miast, a szkoły i biblioteki musiały czekać starań późniejszych. Tylko bezpieczniejsza od Tatarów część Wielkopolski zachowała nieco oświaty szkolnej, lecz znane nam polityczne podupadnięcie, a moralne zniechęcenie tej części kraju nie sprzyjało wzrostowi życia umysłowego. Omroczyło się zatem wszędzie grubą nocą to życie, a gdy wreszcie przyszła pora nowej o nim pamięci, gdy zwłaszcza za Kazimierza Wielkiego wraz z innymi porządkami także i szkoły przy odbudowanych dźwignęły się kościołach, nie było dostatecznej rękojmi bezpieczeństwa na przyszłość.

Pracowała przecież niezmordowanie ręka nieśmiertelnego króla dla dobra kraju i wzniosła mu nawet przybytek najwyższych nauk w stolicy. Sześcią laty przed śmiercią, w dzień błogiej dla nauk wróżby, bo w uroczystość Zstąpienia Ducha Świętego na apostołów, wydał Kazimierz roku 1364 dokument założenia Akademii w Krakowie, mającej swymi kiedyś gmachami, swoją kiedyś mnogością nauczycieli i uczniów zaludnić puste podówczas miasto, dzisiejsze przedmieście Kazimierz. Tegoż samego dnia obowiązali się mieszczanie kazimierscy osobnym dokumentem do czuwania nad całością wszelkich swobód i praw udzielonych Akademii przez króla, a wprowadzających ją w styczności z mieszczanstwem i sądownictwem miejscowym.

W kilka miesięcy później, dnia 1 września 1364, potwierdził szkołę Kazimierzowską papież Urban V jako najwyższy zwierzchnik wszystkich zakładów duchownych, a tym samym konieczny upoważniel wszystkich akademii średniego wieku, instytutów całkowicie duchownych pod owe czasy. Stosownie do zwyczajnej przy takich nowych fundacjach i konfirmacjach praktyki, powtarzającej się np. rokiem później przy zatwierdzeniu głównej szkoły wiedeńskiej, w trzy lata później przy konfirmacji akademii pięciukościelskiej w Węgrzech, wykluczył papież z Akademii Krakowskiej nauki teologiczne, którymi ona dopiero później uzupełnić się miała.

Przestając tedy na zwyczajnych początkach otrzymał uniwersytet krakowski sześciu nauczycieli, tj. 3 profesorów prawa, 2 filozofii, 1 sztuk wyzwolonych. Podobnie jak cała społeczność uczniów szerokimi obdarzeni swobodami, mianowicie zwyczajnym wówczas sądownictwem własnym niższego rzędu, żyli księża-profesorowie z dochodów żup wielickich i zgodnie z trybem każdej nowej podówczas szkoły wykładali nauki w własnych mieszkaniach, zapewnionych im przez króla i mieszczan po pewnych stałych, raz na zawsze wytkniętych cenach.

Mimo lukę nauk teologicznych miała szkoła Kazimierzowska znaczenie istotnej akademii, tylko jeszcze młodej, nie ukończonej, której wraz z wydziałem teologicznym nie dostawało jeszcze niektórych innych umiejętności, mianowicie medycznych, w ogóle tego wszystkiego, w co każda na świecie akademia dopiero z czasem wzbogaca się i urasta. Bardziej jednakże niż teologii i medycyny potrzebował uniwersytet krakowski zrazu pewnego budynku, czyli kolegium, w którym by bądź to wszyscy nauczyciele z uczniami, bądź przynajmniej część onych mieli wspólne mieszkanie, wspólne miejsce odczytów i popisów akademicznych.

Dopóki taki zakład nie istniał, podlegała cała egzystencja Akademii tysiącnym niedogodnościom, narażającym ją nieraz na zupełną zagładę, podającym ją osobliwie w zgubne dla niej niebezpieczeństwo niemoralności, ileże odosobnione audytoria i mieszkania profesorów i tłumnie nagromadzonej młodzieży wiodły wówczas do niesłychanych scen rozpusty i zgorzienia. Z tej przyczyny musiano gdzieniegdzie, jak np. w Wiedniu i w Pradze, zakazywać wyraźnie, aby panowie akademiści nie mieszkali nigdy z osobna, a zakładanie chroniących od podobnej niemoralności kolegiów uchodziło za rzecz tak ważną, że dopiero ufundowaniem

takich zakładów poczytywano całe dzieło fundacji dokonany, dopiero od ufundowania takich kolegiów liczono niekiedy datę istniejących od dawna akademii.

Którymi to względami powodowany postanowił Kazimierz Wielki uzupełnić swoją Akademię zbudowaniem podobnego zakładu i obrawszy ku temu przestronne przedmieście Kazimierskie rozpoczął już budowę. Bliska atoli śmierć przerwała dzieło królewskie, a zamieszki nowych po Kazimierzu rządów, niedbałość króla Ludwika o wewnętrzny stan Polski, coraz gwałtowniejsze zaburzenia w czasie małoletności Jadwigi nie tylko zawiesiły wykonanie projektu Kazimierzowego, lecz owszem pedały w wątpliwość cały byt jego szkoły.

Przy nader szczupłej liczbie nauczycieli i uczniów, przy tak opieszalnych nadzorcach Akademii, jakim np. według dokumentu fundacji był z urzędu swego płochy biskup krakowski Zawisza, przy częstych wtedy po Małopolsce zagonach Litwy, Węgrów, Mazowszan nie mogła Akademia Krakowska ani zakwitnąć, ani rozgłosić się licznymi świadectwami swego kwitnienia. Wlokła ona wprawdzie swój nędzny żywot o niewielu profesorach i uczniach; pozostały niewątpliwie świadectwa jej promocji do roku 1373 i nieco później; wychodziły w roku 1397 rozporządzenia papieskie uzupełniające jej skład, ale na oświatę kraju nie wywarła szkoła krakowska znamienitszego w tak krótkim czasie wpływu.

Trwał więc dawny mrok umysłowy, nie rozjaśniony żadnymi imionami sławnymi, żadnymi zabytkami literatury. Oprócz kilku luźnych zapisków kalendarzowych, kilku urywków rocznikarskich, nie sięgających ponad poziom elementarnej nauki czytania i pisania z łacińskiego, nie znamy dziś w Małopolsce przez cały wiek XIV ani jednego pisarza imiennego. Owszem, na całą Polskę tegoż stulecia tylko jeden Wielkopolanin z rodu Nałęczów, były podkanclerzy Kazimierzowski Janko z Czarnkowa, znany w literaturze historycznej pod nazwą Archidiacona Gnieźnieńskiego, śmiertelny nieprzyjaciół „starszej królowej polskiej” Elżbiety, uczuł w sobie natchnienie do obszerniejszej pracy pisarskiej, uczuł je prawie tylko dlatego, aby w jaskrawym obrazie bezrządu po Kazimierzu Wielkim zbecześcić przed światem swoich nieprzyjaciół, Elżbietę, Zawiszę, Mikołaja.

Zresztą razi wszędzie jaskrawa nieumiejętność i niepiśmienność, odbijająca smutno od jakiej takiej uprawy nauk w krajach sąsiednich, zwłaszcza w szczęśliwych pod tym względem Czechach za Karola IV, a równa tylko podobnie ciemnocie ówczesnych Węgier. Wszelka uczość zawierała się w stanie duchownym, a i w tym stanie zdarzało się tu, ówdzie za dni Jadwigi, nawet w najoświecześniejszych stronach Europy, nawet obok głośnej już sławy uczonej Danta, Petrarcki i Boccaccia trudne do uwierzenia nieuctwo. Jeśli jeszcze w roku 1429 sobór duchowieństwa francuskiego w Paryżu zalecać musiał, aby tylko takim duchownym poruczano obowiązki kościelne, „którzy epistoły i ewangelie płynnie czytać potrafią”, jeśli w roku 1335 kanonicy zurychscy w liście do swego biskupa w Konstancjum przeproszać muszą, że niektórzy znakiem krzyża św. podpisują, „ponieważ nie wszyscy pisać umiemy”; jeśli nawet ów przychylny Jadwidze papież Bonifacy IX według pobłażliwej wzmianki owego czasu „umiał zapewne czytać, ale pisać nie umiał” – czegoż to nie można było obawiać się po uczo-nym stanie ubogiej Polski?

Gdy zaś w której z lepszych głów polskich obudziła się żądza wiedzy, ambicja naukowa, gdy chęć wyższej oświaty szkolnej zaprowadziła takiego ochotnika uczości do postronnych Niemiec, Francji lub Włoch, tedy w braku znakomitszych związków rodzinnych, które by nadziejami świetnej promocji powoływały wędrowce polskiego nazad do kraju, pozostawał on nieraz na zawsze za granicą, przyjaźniejsze tam dla swoich naukowych zamiłowań znajdując pole niż w opustoszałej ojczyźnie. Stąd wobec zupełnego braku uczo-nych w Polsce XIV stulecia uderza nas widok kilku Polaków, kilku wychowanków stolicy nadwiślańskiej, znanych podówczas z nauki i płodów piśmiennych za granicą.

W Wrocławiu pozostał z tego czasu po nie znanym w stronach ojczystych kanoniku krakowskim Janie Widwinie osobliwszy satyryczno-moralny poemat pod napisem Antigameras. Ułożył go autor po łacinie w ten sposób, iż każde dwa następujące po sobie wiersze kil-

kuzgłoskowe kończą się dwoma tymiż samymi słowami, różnego przecież znaczenia – co wprawdzie według dopisku poety przynosi trojaką czytelnikowi korzyść, bo naprzód buduje go morałami zbawiennymi, potem wdraża mu w pamięć różnicę dwuznaczników, po trzecie uczy iloczasu zgłosek, lecz powtarzając się przez wiele tysięcy wierszy nabawia w końcu istnego zawrotu głowy.

Nieco później chodził do szkół w Krakowie pewien młody góral ze Spiża, imieniem Marcin, który wyszedłszy następnie po wyższe nauki za granicę, podróżował po różnych stronach Niemiec i Włoch, wstąpił z czasem do klasztoru benedyktynów, został opatem w Wiedniu i napisał pamiętnik swojego życia i czasu, przystrojony w formę rozmowy między starcem a młodzieńcem, pełny wspomnień młodości i Krakowa. W czasie między kanonikiem Widwinem a tym opatem wiedeńskim profesorował z chwałą po zagranicznych akademiach w Pradze, Paryżu i Heidelbergu krakowianin Mateusz, liczony w Czechach do najwcześniejszych zwolenników reformy duchowieństwa, słynny niebawem równie świetną karierą, jak przed stukilkudziesięcią laty głośny za granicą arcybiskup Marcin Polak, gdyż zaszczycony z kolei biskupstwem wormackim, kanclerstwem państwa rzymskiego, w końcu nawet godnością kardynalską.

Ale chcąc dobić się fortuny za granicą, potrzeba było przewyciężyć tysiączne trudności i przeszkody, którym nie każdy śmiał stawić czoło. Sama podróż do cudzych krajów, jak to już papież Urban V w potwierdzeniu Akademii Kazimierzowskiej oznajmił, narażała na „różne niebezpieczeństwa żywota i zbawienia, dla których wielu ze szlachty polskiej, pielgrzymując gwoli naukom po zagranicy, popadło w zasadzki nieprzyjaciół, długą ponosiło niewolę, nawet nędzną ginęło śmiercią”. A jeszcze i tych niebezpieczeństw należało dokupywać się wielkim kosztem pieniędzy, jakiego wymagał przydłuższy pobyt w szkołach postronnych, zamkniętych z tej przyczyny uboższym. Nie każdego bowiem doznał tak cudownej pomocy niebios jak jeden z ówczesnych biskupów plockich, który będąc plebanem ubożuchnej parochii, spragnionym nauki a pozbawionym środków znalazł jednego razu na ołtarzu kościółka znaczną sumę zwykłej wtedy jałmużny ołtarzowej, udał się za nią w podróż, wyuczył się za granicą, został biskupem.

Bez tak cudownie ułatwionych studiów w obczyźnie, bez środków nauki w kraju, bez towarzystwa ludzi uczonych, bez wszelkich prawie ksiąg marniały najniepośledniejsze zdolności. Mimo wszechstronnych starań Kazimierza Wielkiego, mimo fundacją Akademii i zaczęta budowę gmachów akademicznych leżała oświata naukowa dawnym ugorem, a najznamienitsze stanu uczonego umysły stało chyba na tyle uczoności, iż jak ów biskup poznański Łodzia składali pobożne lub wesołe piosnki łacińskie do muzyki. Czasem wynikały stąd nierównie gorsze następstwa i działo się niejednokrotnie, iż najzdolniejsze głowy, jak ów chwalony z talentów następca Łodzi Mikołaj, nie widząc wokoło siebie pobudek do pracy umysłowej a gorącą miotane krwią chwytały się zajęć i rozrywek światowych, brnęły w najrubaszniejszą rozpustę. Gdy zaś takiemu duchownemu dostojnikowi przyszło okazać za granicą uszanowanie kraju swego dla nauk i dla ludzi uczonych, tedy dobywał on trzosa, spraszał całą Akademię Paryską do swego stołu i „sprawiał jej ucztę solenną na cześć Korony Polskiej”.

Wszakże im większe trudności broniły ludziom zerwania owocu wiedzy, tym pożądliej poglądali wszyscy ku niemu. Po chwilowym przyćmieniu wschodzącej zorzy nauk obudził się u wszystkich narodów XIV stulecia nowy zapal szukania światła, szerzenia światła. Ogarnął on wszystkie kraje, ogarnął rządy i ludy, władzę duchowną i władzę świecką. Monarchowie spółzawodniczyli z sobą zakładaniem uczonych szkół, zbieraniem rękopismów, budowaniem kolegiów; ludy dostarczały tysiący uczniów szkołom, liczącym wówczas, jak np. akademie w Paryżu, Oksfordzie, Pradze, po 5000, po 10000, owszem po 30000 studentów i profesorów.

Nie zapomnieć przy tym nieśmiertelnych zasług samegoż duchowieństwa, samejże władzy apostołskiej. Pochodnia wszelkiego światła w początkowej nocy średnich stuleci, nie trwożyła się stolica rzymska jego coraz szerszym rozświetem, lecz pod sterem mądrych papieży

przodkowała, owszem, powszechnemu dążeniu do oświaty. Prześladowano usterki w wierze, ale nie znamy papieża, który by jako najwyższy zwierzchnik wszelkiej podówczas uczoneści odmówił zatwierdzenia jakiegokolwiek z przedłożonych sobie projektów szkoły głównej, a niektórzy z nich, jak np. Urban V, utrzymywali po tysiąc uczniów ubogich kosztem swoim w różnych krajach i szkołach, inni zaś sami wielu nowym umiejętnościom, jak np. Klemens V nauce języków orientalnych, pierwsze otwierali przybytki.

A wespół z entuzjazmem rzetelnym przyczyniały się do rozpowszechnienia światła także mniej szlachetne pobudki, pracowała nad tym próżność światowa, niekiedy nawet prosta chęć zysków. Stało się istną modą u książąt zakładać akademie, popisywać się w Rzymie prośbami o konfirmację uniwersytetów, które lubo natychmiast potwierdzone przez papieżów, często nigdy wcale nie weszły w życie. Takim sposobem chwalono w Rzymie królowi Ludwikowi założenie nie znanej w Węgrzech po koniec XIV wieku akademii w Pięciukościolach, królowi Zygmuntovi fundację równie późnej wszechnicy w Budzie, Krzyżakom erekcją nie istniejącego nigdy uniwersytetu w Chełmnie, zatwierdzonych przez stolicę papieską w latach 1367, 1388, 1387.

Inni zaś książęta widząc, jak wielkimi korzyściami przymnożonej miastom ludności i intraty publicznej odpłacają się wszędzie nowo wzniesione akademie, widząc, jak np. ubogie przedtem miasteczka, Oksford, Piza i inne, od czasów nastania szkół w niezwyčajne wzrosły bogactwa, musieli wraz z założycielem uniwersytetu wiedeńskiego upewniać w dokumentach fundacji, że „nie z chciwości zysków ani dla przymnożenia sobie pieniędzy fundują szkołę, a o dochody z podatków i opłat od studentów, magistrów, doktorów, bakałarzów, tudzież ich sług i bedelów wcale nie dbają, przeco też czynią chętnie ofiary z tych dochodów, mając niepłonne przekonanie, iż co tym sposobem ubędzie skarbowi książęcemu, to z drugiej strony wynagrodzi się książęciu i miastu pożytkiem duchowym, owszem, wynagrodzi się jeszcze wielokrotnie innymi pożytkami materialnymi”.

Które to wszystkie pobudki napełniły wiek XIV nowymi akademiami, zapewniając mu w tej mierze pierwszeństwo przed każdą inną epoką w dziejach oświaty. Kiedy wszystkie kraje i stulecia średniej historii przestawały potąd na kilku, najwięcej 12 akademiach, mianowicie na trzech głównych w Bolonii, Paryżu i Oksfordzie – w wieku XIV podwaja się naraz ta liczba, wzrasta przeszło 24 uniwersytetów, nastają tuż po sobie roku 1348 wszechnica w Pradze, 1354 w Huesca, 1357 w Sienie, 1361 w Pawii, 1364 w Angers, tegoż roku w Krakowie, 1365 w Wiedniu, 1387 w Heidelbergu, 1388 w Kolonii, 1391 w Ferrarze, 1392 w Erfurcie itd.

Pomiędzy innymi narodami Europy nie ustępowali żadnemu w łaknieniu wiedzy Słowianie. Osobliwie Czesi zadziwiali namiętną uprawą nauk. Literatura czeska XIV wieku prześcignęła naraz wszystkie słowiańskie, wiele europejskich. Niedawna Akademia Pragska, przez długi czas jedyna akademia na całe Niemcy, wrzała mrówim rojem czeskich magistrów i studentów. Panował tak skrętny ruch naukowy w całym narodzie, iż w poufnych listach owego czasu, nie chcąc otwarcie wymieniać nazwiska kraju, zamiast „Czechy” mawiano „szkoła”, zamiast „Czesi” „studenci”. Ta gorąca żądza uczenia się rzuciła nawet pierwszą iskrę tego pożaru, który niebawem pochłonął akademię i naród.

Powszechną bowiem praktyką owej epoki została szkoła pragska dokumentem fundacji podzielona w cztery różne narody, a ponieważ jej założyciel, niemiecki i czeski król Karol IV, założył ją równie dla Niemców jak i dla Czechów, przeto ze względu na niezmierną wielkość ludności całych Niemiec nad czeską pozwolono Niemcom stanowić w Pradze dwa, owszem, trzy osobne narody akademiczne, tj. bawarski, saski i szląski, Czechów zaś ograniczono na jeden. Tymczasem mniej ciekawi podówczas Niemcy przybyli w niespodziewanie szczuplejszej garstce; ogół młodzieży wszystkich trzech narodów niemieckich, lubo razem do pięciu, a według przesadnych podań do trzydziestu tysięcy uczniów liczący, okazał się o wiele mniejszym od liczby uczniów jedyne go narodu czeskiego; a że według statutu każdy z narodów miewał osobny w obradach akademicznych głos, musieli kilkokrotnie liczniejsi Cze-

si o jednym głosie ulegać mniej licznym Niemcom o trzech. Wynikłe stąd pod naczelnictwem Husa i Hieronima zatargi między Niemcami a Czechami doprowadziły niebawem do zupełnego rozbicia Akademii, do okropnych wojen husyckich, do ostatecznej zagłady kraju.

Nim te smutne wypadki nastąpiły, uczęszczało do głównej szkoły pragskiej, w całym przeciągu między założeniem a odnowieniem Akademii w Krakowie, bardzo wielu Polaków. Przeszło stu znamy z akademicznych ksiąg po imieniu; razem z Polakami szląskimi mogło ich być do tysiąca. Nie wynika z tego bynajmniej, iżby w wzmiankowanym przeciągu czasu między 1364 a 1400 nie miała istnieć Akademia Krakowska, lubo niezupełna, bo bez nauk teologicznych, i mniej sławna od Pragskiej. Gdyż gwoli szkołom sławniejszym pomijano nierządkiem szkoły własnej ojczyzny, skąd i sami owi najżarliwsi obrońcy narodowości czeskiej, Jan Hus i jego towarzysz Hieronim, mając sławną już akademię w własnej Pradze pobierali nauki w sławniejszym jeszcze Oksfordzie, w dalekiej Anglii. Zresztą i po zasłynięciu odnowionej już Akademii Krakowskiej uczęszczali Polacy w znacznej liczbie do uniwersytetów zagranicznych, do Pragi, Wiednia i Lipska, stanowiąc tam osobne nawet narody lub oddziały w narodach. Zaczem nie o mniemanym nieistnieniu już podówczas Akademii Kazimierzowskiej, lecz o równym jak w Czechach popędzie Polaków do nauki wnosić stąd można.

Skutkiem tego powszechnego popędu do nabywania wiedzy, który zarazem był popędem do zaszczytów światowych, garnęli się młodzi owego czasu Polacy, skoro tylko fortuna dopisała, do którejkolwiek akademii czy szkoły, do Bolonii, Paryża, Pragi, Wiednia, Wrocławia, nawet do krzyżackiego Torunia. Garnęli się na wyścigi z mniej zdolnymi lub mniej możnymi, radzi byli posiąść wszystko światło dla siebie samych, posuwali się często do pozazdrosczenia go innym, co niejednym rysem sprzeczności nacechowało epokę terażniejszą. I tak np. w królach, jako też w dzieciach królewskich nie ceniono bynajmniej uczoności obawiając się, aby wyższość rozumu nie uczyniła króla przytrudnym do powodowania się życzeniem i zdaniem pospolitym, a dzieciom królewskim nie dała zbytnej przewagi nad mniej ukształconą działyw szlachecką. Nawet w wychowaniu kobiet – jak o tym pewien starożytny magister krakowski, a przyjaciel edukacji niewieściej wyraża się poufnie – „ustawili i pilno tego strzeegli mężowie, aby białęglowy pisma się nie uczyły i ksiąg żadnych, co się tyczy biegłości a wywyczenia rozumu, nie czytały, a to jedynie dlatego, iż oni chocia insze wymówki mają, wszakoż więcej to czynią z niejkiej z a z d r o ś c i”. Lecz dla siebie samej łaknęła szlachta z niewymownym zapałem wiedzy i nie zepsuta jeszcze długim piastowaniem przewagi w społeczeństwie, dopiero wysileniem wszechstronnej pracy dążąca do niej, starała się jak na polu bitwy, jak w zgromadzeniu sejmowym, tak i na ławach szkolnych odzierać prym w narodzie.

Wówczas lada ubogi chodaczek, mając wiele dzieci, a mało chleba, naśladował pana brata z Lubnicy, Dersława herbu Jastrzębiec, i wybrawszy najdowcipniejszego z synów prowadził go piechotą do pierwszej lepszej szkółki przy farze wiejskiej, mówiąc doń z panem Dersławem: „Oddaję cię nie w żaki, ale w biskupy; pamiętaj, abyś pod infulą nie zapomniał ubóstwa twoich rodziców i zbudował na tym miejscu kościół z gliny palonej” – a syn ubogiego szlachcica na zagrodzie, młody Wojciech Jastrzębiec, ten sam, który niedawno jako elekt kapituły poznańskiej jeździł do Rzymu prosić papieża Bonifacego IX w kumy do nowo narodzonej córki Jadwigi, zasiadł później w istocie na stolicy biskupiej, owszem, na arcybiskupstwie gnieźnieńskim.

Dzięki szlacheckiemu podówczas uszanowaniu dla nauk wydarzało się, że kiedy klasy uboższe w najrubaszniejszym pogrążone były nieuctwie, kiedy ustronniejsi plebani zaledwie czytać umieli, świeccy przeciwnie magnaci celowali nieraz nauką; a gdy król Kazimierz Wielki w roku 1368 kazał ułożyć statut żupniczy dla Wieliczki, dokonali tego wraz z późniejszym biskupem Zawiszą i arcybiskupem Bodzantą najmożniejsi panowie i „rycerze bronni”, Jaśko z Melsztyna kasztelan krakowski, Dymitr z Goraja skarbnik koronny, Świętosław podskarbi; spisał zaś statuta własną ręką „pan Dymitr, notariusz i podskarbi ówczesny”.

Jak jeszcze długo później, tak mianowicie za dni Jadwigi ceniono sobie fortunę głównie jako środek do nabycia niedostępnej ubóstwu nauki i wyższości moralnej. Nie inną też bronią, nie przemocą fizyczną, nie dumą i junactwem późniejszym dobiła się szlachta XIV wieku swojej jedynowładzy w narodzie. Zuchwałością żołnierską, lekceważeniem książki i szkoły utracono tę władzę – zyskano ją terazniejszym pojęciem wszechzbawienności światła, terazniejszym popędem naukowym...

Wzbudzała, owszem, ta chciwość wiedzy takie w ówczesnej Polsce zjawiska, jakich nie widzimy gdzie indziej. Pragnienie nauki nie tylko męską zapalało ambicją, lecz niepokoiło nawet płęć białą. Mało co po odnowieniu głównej szkoły Kazimierzowskiej przysłuchiwał się w niej odczytom akademicznym pewien młody kandydat bakalarstwa, który jednego razu okazał się – dziewczyną. Przywdzianie stroju męskiego przez niewiastę uchodziło za srogą zbrodnię, która tymiż właśnie czasami zgubiła na stosie płomiennym sławną Dziewicę Orleańską. Naszą dziewczynę krakowską zaprowadzono natychmiast przed trybunał duchowny, gdzie przede wszystkim spotkało ją zapytanie, dlaczego męski przywdziała strój. – „Z miłości do nauk” – odpowiedziała winowajczyni, a przesłuchiwane z kolei świadki, jej spółuczniowie, nie mogli nic zdrożnego powiedzieć o niej. Złagodnieli więc sędziowie duchowni i na jej własne żądanie oddali ją do klasztoru. Tam ona została nauczycielką mniszek, a nawet ksienią i „zapewne żyje jeszcze dotychczas – kończy ów niegdyś w Krakowie wychowujący się góral ze Spiża, później wiedeński opat Marcin – gdyż miałem niedawno wiadomość o niej”.

A jak ta ciekawa nauki krakowianka, tak i koronowana spóltowarzyska jej płci, nasza królowa Jadwiga, podzielała w zupełności powszechną wówczas żądę kształcenia się, cześć dla oświaty. Jedna z najdawniejszych książek o wychowaniu domowym, jaką znają języki nowoczesne, owa wzmiankowana dawniej nauka pewnego francuskiego ojca dla córek, praca czasów króla Ludwika, oznajmia czytelnikowi u wstępu, iż jest tylko naśladowaniem innej książki podobnej, którą niedawno jedna z żyjących monarchiń kazała napisać dla swoich córek. Owoż mniemają uczeni współrodacy króla Ludwika, iż dla nikogo innego, jak tylko dla naszej Jadwigi i jej siostry, Marii, ułożony został wspomniany model księgi edukacyjnej.

W takim razie ujrzelibyśmy Jadwigę przedmiotem nader starannego, naukowego wychowania, które mogło zaliczyć ją do najuczestniejszych kobiet owego czasu. Wszakże i bez tego są dostateczne ślady jej wczesnego wdrożenia w nauki poważniejsze, wpojenia jej szacunku dla uczoneści. Cała rodzina andegaweńska słynęła z poloru i oświaty. Pradziada Roberta neapolitańskiego mienią listy papieskie najmędrszym z monarchów tamtoczesnych, babka Elżbieta czytywała codziennie na brewiarzu, ojciec Ludwik zakładał akademie i był chwalony z mądrości. Rodzona siostra, Maria, ceniła sobie wysoce uczonych i poetów, sama Jadwiga nie pragnęła niczego tak gorąco, jak chwały Bożej, a ówczesna chwała Boża – to sama przez się chwała światła, uprawa nauk.

Nie było bowiem poważniejszej modlitwy nad modlitwę na książce, wyższego zbudowania umysłu nad rozczytywanie się w pismach duchownych, większych zasług względem religii nad powiększanie liczby sług Bożych – wynikłe zaś stąd rozkazy układania książek do nabożeństwa w zrozumiałej dla wszystkich mowie, przekłady ksiąg duchownych na język gminny, fundacje kolegów teologicznych, głównych podówczas zakładów naukowych – to wszystko samo przez się uprawiało język ojczysty, wzbogacało literaturę narodową, rozprzestrzeniało oświatę szkolną, wszechstronne szerzyło światło.

Do czego zaś i powszechna dążność epoki, i wychowanie pierwotne, i głośno odzywające się potrzeby kraju usposabiały Jadwigę, temu ona czynami całego życia odpowiedziała według sił swoich. Do różnych pomniejszych ofiar i fundacyj duchownych, do niezrównanej w dziejach zasługi pozyskania całej Litwy oświacie chrześcijańskiej, do wspomnianych dawniej starań o przełożenie całej kolekcji pism duchownych na język polski, których pozostałe po dziś dzień szczątki należą do najpierwszych zabytków mowy i literatury ojczystej – przybyły fundacje

trzech wielkich zakładów naukowych, trzech wielkich ognisk światła, miłości i pojednania dla trzech wielkich działów szerokiego teraz państwa polskiego, dla Rusi, Litwy i Polski.

Niebawem po przywróceniu ziem czerwonoruskich Koronie, dnia 28 lipca 1390, ułożony został dokument zaprowadzenia w Polsce zakonu benedyktynów słowiańskich. Był to ostatni szczątek starodawnego obrządku słowiańsko-katolickiego, w którym wszystkie prawie narody zachodniej Słowiańszczyzny przyjęły były w IX wieku wiarę Chrystusa, a który w dwa wieki później musiał u tych wszystkich narodów ustąpić obrządkowi rzymskiemu. Jednoznaczny z obrządkiem rzymskim co do uznania władzy papieskiej i powszechności Kościoła łacińskiego, zlewał on na plemiona słowiańskie to rzadkie błogosławieństwo, „tylko trzem zresztą narodom i językom, tj. greczyźnie, łacinie i hebrajszczyźnie udzielone, iż w swoim własnym narzeczu mogły odprawiać wszystkie sprawy kościelne, wszelkie nabożeństwo dzienne i nocne, nawet tajemnicę mszy świętej”.

Po obaleniu obrządku słowiańskiego przechowały się tylko w niektórych ustronniejszych kończynach zachodniej Europy, mianowicie w Dalmacji, Bośni i Serbii, nader szczupłe po nim okruchy, w szczególności resztki zakonu benedyktynów słowiańskich, łączących w sobie regułę św. Bazylego z regułą św. Benedykta. Otóż gdy w połowie XIV wieku ozwały się w chrześcijaństwie zachodnim coraz głośniejsze nadzieje unii Kościoła orientального z okcydentalnym, gdy gwoli temu życzeniu zachodniemu zwolniła na Zachodzie dawna surowość względem obrządku słowiańskiego, zdali się ci utajeni nad Sawą i Driną benedyktyni słowiańscy nader pomyślnym narzędziem do szerzenia unii pomiędzy Słowianami chrześcijaństwa wschodniego.

Chwycił się tej myśli osobliwie ojciec teraźniejszego króla Węgier Zygmunta, król czeski i cesarz rzymski Karol IV, gorliwy popieracz spojenia obudwóch cerkwi. Zawiązawszy w tym celu wielce przyjazne stosunki z królem serbskim Duszanem, bliskim opanowania przed Turkami całego cesarstwa bizantyńskiego, przywołał cesarz za pozwoleniem papieża Klemensa VI licznych z Bośni, Dalmacji i Kroacji benedyktynów słowiańskich i osadził ich od roku 1347 w bogato uposażonym klasztorze Emaus w Pradze. Ale zacna myśl Karola Luksemburczyka nie znalazła naśladowców ani w Ludwiku, królu węgierskim, ani w księciu Władysławie Opolskim, władcach mnogiej ludności greckosłowiańskiej pod Koroną Węgierską i w ziemiach czerwonoruskich, nawracanej przez nich w surowym duchu cywilizatorstwa europejskiego, bez względu na obyczaj i przywiązanie krajowców, środkami przemocy i edyktów.

Za toż przemówił pomysł Karolów tym silniej do wyrozumiałej a litościwej duszy Jadwigi, przemówił do również pobłażliwego Jagiełły. Zwłaszczaż-bo Jadwidze przypominali się benedyktyni słowiańscy niejednym zapewne wrażeniem dzieciennych lat. Matka Jadwigi, Elżbieta, urodzona Bośniaczka, przeciwna Ludwikowemu cywilizatorstwu i współczuciu dla teutonizmu, miała w mowie, w zwyczaju i wyobrażeniach wiele wspólnego z tymi czerńcami bośniackimi. Jakoby też macierzyńskim powodowana wspomnieniem, przyłgnęła Jadwiga gorąco do projektu misji benedyktynów słowiańskich w Rusi Czerwonej, a duchowne i nieduchowne głosy dzisiejsze uznają mądrość tego pomysłu.

Uprojektowawszy zaś fundację słowiańską w stolicy polskiej postanowili oboje królestwo nadać jej ile możności wielkie rozmiary i znaczenie. Zamierzono zbudować na przedmieściu Kleparskim, w pobliżu rzeki Rudawy, obszerny kościół i klasztor pod wezwaniem Św. Krzyża, z trzydziestą zakonnikami i odpowiednią liczbą służby kościelnej, z bogatym uposażeniem, z środkami wysyłania z siebie dalszych osad klasztornych.

W rychłym wykonaniu projektu przywołano na początek kilku benedyktynów z Pragi i zajęto się budową gmachów potrzebnych. Wzniósł się najprzód drewniany dom z ogrodem dla zakonników zaopatrzonych tymczasowie intratą 20 grzywien z cła krakowskiego. Następnie cała przestrzeń fundacji obwiedziona została murem i zaczęły wzrastać ściany kościoła. Przednia część świątyni, chór i zakrystia stanęły wkrótce pod dachem; reszcie kościoła kopano fundamenta. Nie czekając zupełnego ukończenia budowy, rozpoczęło się nabożeństwo w

świeżym chórze kościelnym. Już „za dnia białego i zmroku, podczas jutrzni, mszy św. i nie-sporów, brzmiała nowa świątynia – opowiada kronika – nieustanną chwałą Bożą w ubłogo-sławionej mowie słowiańskiej”.

Tymczasem pracowała Jadwiga nad drugim dziełem pobożności i światła, nad zakładem naukowym dla Litwy. „Wiele nocy bezsennych strawiłam rozmyślając – mówi ona sama w wynikłym stąd dokumencie – jak by rozsiać promienie wiadomości i cnoty w plemienu nowo ochrzczonym, jak by światłem uczynków katolickich oświecić wyżyny narodu litewskiego, użyźnić winnicę Pańską, a wypleć kąkol.” Chodziło głównie o przysposobienie Litwie gorliwych a obeznanym z ludem i miejscowością duchownych. Potrzebne było ku temu założenie kolegium duchownego, w którym by uboga młodzież litewska miała naukę i utrzymanie. Niemożność wykształcenia jej w Akademii Krakowskiej, pozbawionej nauk teologicznych, zniewała do szukania innego uniwersytetu. Nasuwała się wprawdzie myśl uzupełnienia szkoły krakowskiej uproszonym od papieża wydziałem teologicznym, lecz uzupełnienie takowe, wymagające starań w Rzymie, nowej dotacji Akademii, sprowadzenia teologów z szkół zagranicznych, kosztowało wiele czasu, a Litwa żądała spiesznej pomocy.

Umyśliła tedy Jadwiga założyć kolegium podobne przy sławnej już szkole pragskiej. Przyjazny Polsce monarcha czeski Wacław, bliskimi stosunkami przyjaźni związany wtedy z dworem krakowskim, wydał 20 lipca roku 1397 zupełne w tej mierze zezwolenie. Jego własny kanclerz nadworny, Jan Szczekna zakonu cysterskiego, później nadworny kapelan królowej Jadwigi, tudzież dwaj obywatele stolicy czeskiej, bogaty kupiec Krzyż i mieszczanin Niepro, podjęli się urzeczywistnienia fundacji. Zlecone im przez Jadwigę pełnomocnictwo z dnia 10 grudnia roku 1397 dostarczało funduszu dwóchset szerokich groszy pragskich, z których by zakupiony został, dom na kolegium, i utrzymywało się w nim dwunastu ubogich młodzieńców litewskich, tudzież i n n y c h , poświęcających się nauce teologii w uniwersytecie, nadzorowanych przez osobnego mistrza sztuk wyzwolonych pod przełożnictwem proboszcza miejscowego.

Po kilku latach przyszła fundacja pod pomienionymi warunkami do skutku. Około roku 1411 kupili czescy pełnomocnicy Jadwigi w starej Pradze dom murowany, nazywający się niegdyś Jeruzalem, odtąd zaś „domem, czyli kolegium królowej”, a mieszczący niebawem 12 alumnów, czyli tak zwanych „wychowanków królowej”, pod zwierzchnictwem kapłana przy pobliskim kościele betlejemskim. Stało się to jednakże dopiero po śmierci fundatorki, która nawet tyle pociechy nie miała w życiu, iżby patrzyła na owoce światłych prac swoich. Monasterowi słowiańskiemu brakowało za jej życia większej połowy murów, kosztów i trudów, a o kolegium pragskie trwały jeszcze układy.

Ta powolność epoki, tylko w niektórych wypadkach ustępująca pośpiechowi niecierpliwemu, nakazywała zająć się tym wcześniej trzecim dziełem zasługi około światła, zasługą podniesienia nauki w samej że Polsce, odnowieniem Akademii Krakowskiej. Już równocześnie z zachodami około seminarium pragskiego zgłosili się oboje królestwo w Rzymie z prośbą o uzupełnienie uniwersytetu wydziałem teologicznym. Opiewał list królewski (jak o tym z papieskiej dowiadujemy się odpowiedzi), iż w Krakowie z dawien dawna „była i jest Akademia”, a lubo może brakowało jej wszelkich warunków bytu, nie mamy prawa zadawać fałszu słowom Jadwigi i Jagiełły.

Uwierzył im też papież Bonifacy IX i pod dniem 11 stycznia roku 1397 odpowiedział królestwu bullą przychylną się do ich życzeń. „Gdy według doniesienia przereczonych króla i królowej, Władysława i Jadwigi – czytamy w piśmie papieskim – była i jest w Krakowie z zarządzenia Stolicy Apostolskiej szkoła główna do nauk prawnych, tudzież do wszelkich innych dozwolonych umiejętności z wyjątkiem teologii, przeto zgodnie z przedłożoną nam prośbą stanowimy i zarządzamy, aby odtąd na wieczne czasy była tam i być mogła również do nauk teologicznych także szkoła powszechna.”

Wszakże uzyskane tak pozwolenie Ojca św. nie kładło końca sprawie. Nastąpiła teraz potrzeba wyposażenia uzupełnionej Akademii funduszem na utrzymanie profesorów teologicznych, tj. dwakroć tylu profesorów co dawniej – potrzeba sprowadzenia ich z zagranicy. Pozostawało osobliwie postarać się o ów gmach wspólnego mieszkania nauczycieli, wspólnych odczytów i obrzędów akademicznych, bez którego nie mogła obejść się i zakwitnąć żadna wszechnica, któremu Kazimierz Wielki rzucił już fundamenta, o którym jednakże zapomniano po jego śmierci.

Potrójna chwała wyjednanego konsensu papieskiego, nowej dotacji Akademii i obmyślenia gmachu kolegijskiego dorównywała zapewne chwale pierwszego założenia uniwersytetu, lecz nie gasiła jej całkowicie. Jeśli wielkość rozpoczętego dzieła, długoletnich wymagająca trudów, nie dozwoliła Kazimierzowi Wielkiemu dokonać ostatecznie fundacji, toć i główna promotorka zamierzonego teraz wznowienia Akademii, Jadwiga, nie doczekała się podobnie końca dzieła swemu. Mimo konfirmacją papieską nie wchodziła Akademia w życie z braku pieniędzy i profesorów, szukanych nie bez trudności po szkołach zagranicznych.

Dopiero zdarzona tymczasem śmierć królowej Jadwigi przyspieszyła spełnienie rzeczy. Ostatnie bowiem rozporządzenie jej woli przeznaczyło większą część pozostałych po niej klejnotów na koszt odnowienia szkoły krakowskiej. Ze sprzedaży jej bogatych „szat, ubiorów, pereł, sreber i wszystkich, jakie tylko miała, aparatów królewskich” wpłynęła znaczna suma, która w trzech różnych porach przyniosła najwালniejsze wsparcie nowemu zakładowi. Miał on zawierać odtąd dwa główne wydziały nauk, tj. wydział teologiczny i prawny, do których doliczały się dwa podrzędniejsze, dawny wydział filozoficzny i nie uorganizowany jeszcze medyczny.

Owóż obadwa fakultety węgielne, i teologia i prawo, dźwignęły się prawie wyłącznie pośmiertnym dobrodziejstwem Jadwigi. Z najpierwszej jego raty pieniężnej kupiono w mieście Krakowie przy ulicy Św. Anny, czyli wówczas „Żydowskiej”, od mieszczanina Gersdorfa kamienicę obszerną, należącą niegdyś Stefanowi Pęcherzowi, a teraz na kolegium dla wydziału teologicznego i kilku artystów przeznaczoną. Druga rata przysporzyła temuż kolegium roczną intratę z nowego szybu solnego w Bochni, którą w roku 1405 egzekutor testamentu królowej, „pan krakowski” Jaśko z Tęczyna, zakupił od Mikołaja Bochnera, żupnika, za 700 grzywien groszy szerokich. Za trzecią ratę nabyto w tymże samym czasie od kanonika krakowskiego Jana z Rzeszowa drugą „wielką” kamienicę w ulicy grodzkiej, należącą niegdyś wojewodzie kaliskiemu Sędziwojowi z Szubina, a teraz w drugie zamienioną kolegium, w kolegium wydziału prawniczego.

W chwili opowiadanego tu odnowienia szkoły krakowskiej zwracała się wszelka uwaga ku nowym, uzupełniającym ją naukom teologicznym. Mając już papieski dla nich konsens, mając przeznaczoną na kolegium kamienicę Pęcherza, chodziło jeszcze o fundusz na utrzymanie profesorów w tymże mieszkaniu kolegijskim, tudzież o sprowadzenie samych nauczycieli. Pierwszemu zaradził jako tako król Władysław Jagiełło przeznaczając profesorom teologicznym pensję stu grzywien z dochodów cła krakowskiego. Drudzy, nauczyciele, przybyli najliczniej z wszechnicy pragskiej, która np. między innymi dostarczyła szkole krakowskiej uczonego Hieronima z Pragi i Jana przydomkiem Szczekną, niegdyś kanclerza cesarskiego, później kapelana Jadwigi, w końcu profesora teologii w Krakowie. Liczbę przybyszów nauczycielskich powiększyło kilku profesorów dawniejszych, pomiędzy którymi świecił osobliwie były profesor prawa w szkole Kazimierzowskiej, a terażniejszy biskup krakowski, Piotr Wysz, nawet i nadal nie gardzący wyjątkowo obowiązkiem nauczycielskim.

Skoro zaś stało się zadość wszystkim potrzebom, wypadło jedynie uroczystym obrzędem poświęcić nową fundację. Nastąpiło to w drugiej połowie lipca roku 1400, w samą rocznicę żałobnych obrzędów po Jadwidze. Dnia 22 lipca, we czwartek, w dzień św. Magdaleny odbyła się pobożna uroczystość otwarcia nowo ufundowanej Akademii, czyli według wyrażenia się najstarszej wiadomości w samychże aktach akademicznych „ustanowione zostało przez

najjaśniejszego króla polskiego Władysława kolegium społeczeństwa profesorów szkoły krakowskiej”. W sobotę, dnia 24, za rektoratu ulubieńca zmarłej królowej, Stanisława ze Skarbimierza, doktora dekretów, najpierwszego rektora Akademii Krakowskiej, otwarto pergaminową księgę wpisów, czyli matrykulę academiczną, przez długie odtąd pokolenia utrzymywaną.

Na pierwszej karcie pod napisem: „Oto są intytułowani” – po wymienieniu dnia, roku i rektora stały imiona następujące: „Najjaśniejszy książę i pan, pan Władysław, z Bożej łaski król polski, fundator tej zacnej Akademii i jej uposażyciel najłaskawszy. Najprzewielebniejszy w Chrystusie ojciec i pan, pan Piotr, z Bożej łaski biskup krakowski, doktor obojga praw, jeneralny kanclerz szkoły krakowskiej. Przewielebny w Chrystusie ojciec i pan, pan Mikołaj, z Bożej łaski biskup władysławski, magister sztuk wyzwolonych. Wielmożny pan Jan z Tęczyna, kasztelan krakowski, egzekutor testamentu ostatniej woli świętej pamięci pani Jadwigi, królowej polskiej, węgierskiej, dalmackiej i kroackiej, która pierwotnie zarządziła kupno domu dla społeczeństwa nauczycieli szkoły krakowskiej, wielki dobra powszechnego zelator i uniwersytetu dobrodziej. Waleczny i szlachetny mąż, pan Klemens, podkanclerzy Korony Polskiej, promotor uniwersytetu.”

Po tych pięciu imionach wpisało się tegoż samego dnia na dalszych kartach księgi 12 prałatów i kanoników, 28 różnych proboszczów, wreszcie 205 uczniów, będących zapewne raczej spuścizną po dawnej Akademii Kazimierzowskiej niż wcale świeżą kolonią nową, jeszcze nie znaną. Trzeciego dnia, w poniedziałek 26 lipca, zakończyła się cała uroczystość inauguracyjna trzema pamiętnymi aktami, z których każdy wymagałby osobnego opisu.

Naprzód ułożony został dokument nowej fundacji, zamykający w sobie całą prawie istotę dokumentu pierwszej fundacji za Kazimierza, ze wszystkimi zlanymi wówczas na szkołę prawami i swobodami. Wystawiony teraz jednakże wyłącznie w imieniu Władysława, bez najmniejszej wzmianki o Kazimierzu, a nawet o Jadwidze, zajął on się głównie nowo ufundowanym kolegium teologicznym, z odpowiednimi temu morałami treści duchownej. Przyłożyli rękę do tego dokumentu jako świadkowie: trzech biskupi, krakowski, władysławski i poznański, Piotr, Mikołaj i Wojciech; kasztelan krakowski Jaśko, sześciu wojewodów, jak to: sędomierski Jaśko z Tarnowa, łęczycki Jan Ligeza, sieradzki Jakub z Koniecpola, kaliski Sędziwoj, gniewkowski Maciej i brzeski Krzesław; wreszcie kasztelanowie Krystyn sędomierski, Krystyn sandecki, Piotr Kmita lubelski i Imran zawichostski. Wystawili zaś dokument ręką swoją biskup Mikołaj i podkanclerzy Klemens, a pisał go notariusz królewski Mikołaj z Sędomierza, kanonik krakowski i sędomierski.

Następnie w obecności króla i tychże panów koronnych w nowo utworzonym kolegium, nazwanym odtąd Władysławskim, a później Jagiellońskim, wygłosił rektor Stanisław Skarbimierz mowę academiczną rozwodzącą się nad pożytkiem wszech nauk razem i każdej po osobnie, pełną orientalnego przepychu słów i obrazów, godną odczytania w oryginale łacińskim i nowoczesnym przekładzie polskim. Na koniec biskup krakowski Piotr, dawny nauczyciel prawa w Krakowie, zajął znowuż katedrę profesorską i otworzył kurs nauk prelekcją z prawa kanonicznego.

Takim sposobem dzięki zamierzonym wówczas staraniom nieśmiertelnej Jadwigi doszło zacne dzieło Kazimierza Wielkiego po 36 latach niedojrzałości do pożądanego wreszcie uzupełnienia. Pozostało mu wprawdzie i teraz nader wiele niedostatków i życzeń, brakowało mu np. całego jeszcze wydziału medycznego; sam Władysław Jagiełło w późniejszych dopiero latach położył swoją hojnością główne około niego zasługi. Teraz w roku 1400 cały nowo ufundowany uniwersytet krakowski, cała ta „perła umiejętności, ta przyszła wydawczyni mężów dojrzałością rady słynących, ozdobą cnót uwieńczonych, a w przeróżnej nauce biegłych, to wylewne źródło wiedzy, z którego pełni mogliby czerpać wszyscy chcący się wyzwolonymi napoić naukami” – miało zaledwie taką objętość moralną i materialną, jaką za naszych czasów miewa lada ustronne seminarium duchowne. Wszakże najwłaściwszą każdemu wy-

padkowi historycznemu miarą jest miara jego własnego czasu, a za czasów Jadwigi i Jagiełły weszła z Akademią Krakowską wszystkim stronom „Polski, Litwy, Rusi i Wołoszczyzny” gwiazda nie znanego tu nigdy światła, nie znanej tu od stworzenia mądrości szkolnej.

Z wszystkich zaś oznak przyszłego zasłynięcia szkoły krakowskiej uderza teraz najbardziej ta, którą ona podzielała z wielą przyszłych wielkości, tj. niezupełnie jasna oczom ludzkim pewność początków. Jak o sławę urodzenia Homera kilka walczyło miast, tak i zaszczyt założenia Akademii Krakowskiej bywa kilku różnym przyznawany książętom. Z dawien dawna słyna u uczonych twórcą Akademii w Krakowie Kazimierz Wielki. Niektórzy z dzisiejszych uczonych mienią jej założycielem Władysława Jagiełłę. Inni jeszcze są zdania, iż powszechna szkoła krakowska powinna by nazywać się właściwie „akademią pięknej Jadwigi”.

Co do ścisłości historycznej, ta bez wahania oświadcza się za Kazimierzem. Wobec historii ma wszechnica krakowska wielu łaskodawców, uposażycieli, restauratorów, lecz tylko jednego głównego założyciela, Kazimierza Wielkiego. Wydane i uzyskane przezeń od papieża dokumenty fundacji, kilkuletnie promocje akademickie przed Jagiełłą, słowa bulli papieskiej z roku 1397, powtarzające poprzednią wiadomość w dokumentach Jadwigi i Jagiełły, „że w Krakowie była i jest szkoła powszechna” – nareszcie względ na stopniowe dopiero rozwijanie się i wzrastanie wszystkich akademii ówczesnych, podobnie jak Kazimierzowska niezupełnych z początku, z czasem dopiero uzupełnianych, a zawsze od pierwszego założenia wiek swój liczących – to wszystko chroni Kazimierza w historii od utraty palmy założycielstwa.

Wspiera ją, owszem, jeszcze jedna ważna, prawie rozstrzygająca okoliczność. Żaden z tamtoczesnych uniwersytetów nie mógł istnieć bez confirmacji papieskiej, a tej Akademia Jagiełły nigdy nie otrzymała. Uproszony dla niej konsens papieża Bonifacego IX, wspomniany w dokumencie odnowienia przez Władysława Jagiełłę, pozwalał tylko na otwarcie wzbronionych dotąd nauk teologicznych przy istniejącej już Akademii. Jeśli zatem słynęła w Krakowie prawna, upoważniona przez władzę, potwierdzona przez papieża szkoła powszechna, tedy była to tylko Akademia Kazimierza Wielkiego i Urbana V z roku 1364. Nie potwierdzony przez papieżów w powszechności swojej uniwersytet Jagiełłów byłby nie mógł istnieć w wieku XIV i XV.

A przecież nie wadzi to przyjacielom Jagiełły przyznawać mu sławę fundacji. Ponieważ założone przezeń kolegium teologiczne otrzymało nazwę Władysławskiego, później Jagiełłońskiego, a nazwa ta przeszła z czasem na całą Akademię, przeto zamiast zwyczajnym sposobem dbać o wykazanie jak najdawniejszego istnienia głównej szkoły swojego kraju, ujmują jej ci stronnicy Jagiełłowi kilkadziesiąt najpamiętniejszych lat bytu, ciągną wbrew dowodom za szczęśliwym Jagiełłą. Ciągną oni jedynie za ową gwiazdą fortuny Jagiełłowej, która z tyłu cudzych zasług i nadziei uplotła wieniec błogosławieństwa ulubieńcowi swojemu. Kto inny po śmierci ojca był godnym tronu Litwy, a on go zajął; kto inny dobijał się korony polskiej, a on ją przywdział; kto inny kochał i poślubił Jadwigę, a on ją posiadał – kto inny też założył Akademię Krakowską, a w jego imieniu najwięcej ona sobie upodobała.

Lubo więc Jagiełło tylko teologicznym powiększył ją wydziałem, lubo owszem zdarzają się poszlaki, że już przed otworzeniem tegoż wydziału w r. 1400, tj. zaraz po owym pozwoleniu papieskim z r. 1397, wykładana bywała teologia w Akademii Krakowskiej, lubo sam Jagiełło później wyznawał, że Kazimierz Wielki położył pierwsze podwaliny szkole krakowskiej – uwiedziony przecież swoją znaną nam żądzą chluby przed światem zamilczą małżonek Jadwigi w głównym dokumencie nowej fundacji wszystkie cudze prace poprzednie, nie wspomina ani słowem o Kazimierzcu, zataja nawet walną zasługę starań i funduszków Jadwigi, sobie samemu przywłaszczając chwałę całego dzieła.

I jeśli nie było w tym słuszności, był przecież pewien ważny powód do tego. Między dawną bowiem szkołą Kazimierza Wielkiego a odnowioną później Akademią Jagiełły, pominąwszy nawet względ niezupełności w roku 1364, a uzupełnienia w roku 1400, zaszła z postępem czasu niezmiernie wielka różnica. Szkoła Kazimierza Wielkiego założona w tym samym celu,

do którego dążył sławny statut Kazimierzów w Wiślicy, tj. do wyklarowania w narodzie pojęć sprawiedliwości i prawa, do uporządkowania zawichrzonych stosunków właścicielstwa i sądownictwa, do ujęcia małego a ubogiemu narodowi plagi trybunałów drapieżnych, miała przed wszystkim naukę prawa na oku.

Za Władysława Jagiełły, przeciwnie, powiodło się temu małowemu narodowi przyswoić sobie rozległe kraje Litwy, Rusi i Wołoszczyzny; Kazimierzowska szkoła dla Polski stała się zarazem szkołą dla „ziem ruskich, litewskich i wołoskich”, przeznaczoną nieść, co komu najpierw było potrzeba; a w oczach katolickiej Polski brakowało tym ziemiom, potrzebowały te ziemie najpierwszych zasad religii. Tej to potrzebie poświęca Jagiełło główną uwagę, poświęca wszystkie przedwstępne rozumowania swojego dokumentu z roku 1400 i teźże potrzebie miała przed wszystkim innym czynić zadość szkoła Jagiełły.

Stąd chociaż prawoznawcze intencje Kazimierza Wielkiego nie stały się już zbyt zbytecznymi, chociaż zamierzona przezeń reforma stosunków społecznych nie przyszła wcale do skutku, musiały te partykularne teraz cele ustąpić wyższym, dawne ustawodawcze przekształcenie narodu musiało ustąpić odrodzeniu religijnemu, świecka oświata małej Polski – duchownej oświacie szerokich krain wschodnich. Wraz z założonym w Pradze seminarium litewskim, wraz z krakowską fundacją benedyktynów słowiańskich przyjęła nowa wszechnica Jagiellońska za główne zadanie swoje: rozszerzać łacińską wiarę po Wschodzie, dostarczać najzdolniejszych pracowników temu szerzeniu.

Takie zaś poniewolne, zbiegiem wypadków spowodowane zakierowanie szkoły, odpowiadając w istocie głównym wymaganiom historii, prowadziło za sobą koniecznym rezultatem niektóre mniej pożądane, owszem, nader szkodliwe, lecz na wszelki przypadek podrzędne niedogodności już to w wewnętrznym składzie uniwersytetu, już to (co więcej) w jego wpływie na oświatę krajową. Pod pierwszym względem stanowczą przewagę nauk i profesorów teologicznych zagarnęła dla siebie wszystkie siły, zaszczyty i korzyści akademickie z nie-małym uszczerbkiem reszty wydziałów.

Tylko teologowie mieli dostateczne uposażenie, tylko w wydziale teologicznym panował żywszy ruch naukowy. Przeciwnie, górujący niegdyś wydział prawny podupadł; tak prawnicy, jako też dalsze wydziały filozofii i medycyny dostąpiły dopiero nieco później swoich własnych kolegiów; wszystkie te podrzędne teraz wydziały świeckie odniosły bardzo szczupłe, i to po większej części z jałmużny swoich własnych profesorów złożone uposażenie; nad wszystkimi wydziałami i profesorami świeckimi zaciężyła niska strzecha ubóstwa.

Co do wpływu na oświatę krajową, ten z powodu skupienia się wszelkich środków i zdolności w jednym wydziale teologicznym stał się niezmiernie jednostronnym. „Akademia Krakowska – skarżą się dziś uczeni – dbała raczej o królestwo niebieskie niż dobro kraju.” – „Założona przez Kazimierza Wielkiego dla narodu, dla kształcenia sędziów, stała się szkołą hierarchii i księży tylko wychowywała.”

Jakkolwiek słuszne w pewnym stopniu są te zarzuty, zwłaszcza wobec potrzeb dzisiejszych, jakkolwiek ogólna oświata kraju niemałego rzeczywiście doznała stąd uszczerbku, jest przecież wiele niewyrozumiałości w skargach podobnych. Uczeni mają słuszność żądać od akademii wzoru doskonałości wszechstronnej, lecz naród, lecz ten albo ów okres dziejowy tworzą sobie takie przed wszystkim szkoły, jakie odpowiadają najlepiej ich koniecznym potrzebom, a narodowi i okresowi, który sobie przyswoił owe szerokie obszary wschodnie, nie znające (jakeśmy to widzieli w przykładzie Litwy pogańskiej) najpierwszych zasad życia społeczeńskiego, potrzebniejsi byli ze wszechmiar nauczyciele katechizmu niż filozofii.

Katechetów więc, kaznodziejów, słynnych na cały XV i XVI wiek teologów tworzył sobie do woli nowy uniwersytet Jagiełłów i w wieku, kiedy wszystkie uniwersytety były mniej więcej szkołami duchownymi, kiedy sama władza kościelna naprzód sankcjonowała byt akademii, a następnie kierowała ich wzrostem, kiedy żadna zwierzchność świecka nie czuwała

nad stanem szkół, rozwinął się w zakład całkowicie duchowny, duchownym najjaśniej przyświecał światłem.

Wszelako boska natura prawdy ma to do siebie, iż przy którymkolwiek świetle szczerze a pracowicie szukana uwidomia się szukającym coraz różnokszałtniej, szerzej, wszechstronniej. Chociaż okoliczności czasowe zamieniły krakowskie siedlisko nauk w szkołę duchowną, chociaż wszystkie łaski światowe płynęły głównie dla teologii, sama przecież nauka rozprze-strzeniała swój gmach, sama własnymi siłami, pszczołą pracowitością przybudowywała coraz liczniejsze i rozmaitsze komórki swemu ulowi. Sami profesorowie krakowscy przysporzyli później funduszków Akademii, pozakładali nowe katedry nauczycielskie, pozaprowadzali nowe kolegia dla profesorów i bursy dla studentów, uzupełnili według możliwości początkową jednostronność swego przybytku.

Dzięki tej wewnętrznej żywotności drzewa naukowego, które samo przez się tyle różnych konarów i odrośli wydać z siebie umiało, a którego rozpostarcie się w ten sposób stanowi jedną z najpiękniejszych zalet Akademii Krakowskiej, stała się szkoła Kazimierza Wielkiego i Władysława Jagiełły w istocie na jakiś czas „perłą wszystkich umiejętności”, głośnym za granicą klejnotem kraju swojego. Jej to zapewne wpływowi przypisać mamy, iż najuczeńsi z cudzoziemców XV stulecia, iż uczeni Włosi, jak np. sławny Eneaszy Sylwiusz Piccolomini, porównywając Niemców i Polaków onej epoki widzieli w Polakach nierównie większą uczoność i ogładę.

Uczeni zaś Niemcy ówczesni, w znacznej liczbie uczniowie uniwersytetu krakowskiego, mówiąc o stolicy polskiej za Jagiellonów wyrażali się: „Niedaleko wiślanej bramy jest w Krakowie ogromny kościół Św. Anny, a przy tym kościele wielka i sławna Akademia, której chlubą są mężowie uczeni i głośnego imienia, w której wykłada się wiele wyzwolonych nauk, retoryka, poetyka, filozofia i fizyka. Najlepiej tam atoli zakwitła astronomia. W całych Niemczech nie masz sławniejszej nauki astronomii.” Też nauki astronomiczne wydały Kopernika, praojca całej przemożnej dziś nauk przyrodzonych dziedziny, nieśmiertelnego objawiciela cudownej harmonii niebios.

Ale w tych samych latach, kiedy Kopernik na ławkach szkoły krakowskiej płonął pierwszym natchnieniem swoich *Obrotów ciał niebieskich*, spłonęła na drugim końcu Polski pierwsza luna wcale innego światła – zaiskrzyło się niebo pierwszymi ogniami kilkuwiekowych odtąd pożóg tureckich. W tym samym czasie, kiedy u zachodnich bram Polski, spod sklepień tyłu wówczas uczniami i mistrzami słynnej Akademii Kazimierzowskiej nad górną Wisłą, znad gwiazdami Kopernikowej u brzegów dolnej Wisły rozwijać się poczęła nieskończenie świetnej wróżby oświata naukowa – spiętrzyło się u wschodnich kresów Polski, u dwóch przeciwnych zakątków Czarnego Morza dwójnasób groźniejsze niż dotąd brzemię pogańskie.

Usadowiła się wtedy na gruzach chrześcijańskiego Konstantynopola straszna potęga otomańska i ustaliło się w Krymie z rozbicia ogromnej niegdyś rzeszy kapczackiej osobne państwo tatarskie. Lata młodości Kopernikowej widziały połączenie się tych obudwóch potęg barbarzyńskich w jedno olbrzymie przymierze, jedną śmiertelną burzę ku zniszczeniu wszelkiej swobody i oświaty w krajach ościennych – a gdy Akademia Krakowska pod koniec XV wieku nęciła właśnie najpiękniejszymi odczytami o Astronomii i sztukach wyzwolonych, rozgrasowało się Tatarstwo srożej niż kiedykolwiek na Rusi i po raz pierwszy siola halickie zadrzały na widok Turków.

Wówczas zamiast na zachód do Krakowa przyszło młodzi polskiej spieszyć ku wschodowi nad Dniestr, nad Dniepr, w Dzikie Pola. Odtąd częściej niż w salach Akademii Krakowskiej odbywały się tam mordercze popisy z tatarskim i tureckim pogaństwem, podobne owym teraz za szkolnych lat Kopernika pod Kopystrzyniem, Wiśniowcem lub w lasach Olbrachtowych na Bukowinie. Z uszczerbkiem powagi mistrzów krakowskich zakorzeniło się w narodzie wyobrażenie o nierównie większej zasłudze dotrzymania czoła murzom i baszom bisurmańskim – nad powagę uczoności akademickiej wzięła górę chwała zawodu rycerskiego. W krwawej

służbie bronięcia granic własnej ojczyzny i sąsiednich narodów zabrakło możliwości i zapału do rozniecania dalej tego światła wiedzy uczonej, które niedawno tak wróźniebnie zajaśniało nad Polską od Krakowa, a do którego rycerzom i chodaczkom XIV i XV stulecia tak szlachetnie rosła ambicja. Opróżniały się więc coraz bardziej ławy szkoły Kazimierzowskiej – a tymczasem rycerska praca na Wschodzie nie wzmagala się przez to w większą chwałę i dzielność.

Bo jak we wszystkim, tak i w rozdzieleniu pracy ludzkiej między szablę a książkę tylko słuszna miara wieńczy na koniec wawrzynem jedną i drugą. Im więcej możliwych imion koronnych świeciło w księdze akademickich promocyj najwyższej szkoły krajowej, tym więcej mądrych hetmanów wiodło następnie do zwycięstwa u granic kraju, tym bezpieczniejsze były progi ojczyste. Ostygnięcie zapału do walki z ciemnotą orężem ducha ostudziło także powszechny zapał do walki z dziczą wschodnią żelazem. Nieszczęsne pod każdym względem sąsiedztwo z barbarzyństwem mahometańskim w Krymie i za Dunajem, ciężkie stąd posłannictwo ustawicznych zapasów z wrogiem przemocnym zagroziło na koniec upadnięciem na siłach w obudwóch zawodach pracy, w pracy nad oświatą ojczyzny w stronie zachodniej i nad obroną jej granic u szlaków wschodnich.

Zrządzenie Opatrzności postawiło naród nad przepaścią tych wschodnich wybrzeży barbarzyństwa i kazało mu z ofiarą swego spokoju, swojego światła, swojej rządności pasować się ustawicznie z bijącą weń z tej strony burzą bałwanów, a zasłoniony jego orężem świat zechce może zdziwić się później, że mu ramię omdlało w tych zapasach, że tak mało uczynił dla oświaty, że w ciągłej wrzawie tatarskiej u progów i w samych wnętrzach ojczyzny nie zdołał utrzymać w niej ładu i porządku należytego... Zamiast jego wschodnich wybrzeży barbarzyństwa, które zwłaszcza od owej za czasów Kopernika zawiązanej nad Czarnym Morzem spółki Ordy z Osmaństwem były mu skalą ponawiającego się ciągle rozbicia, niechby mu dane było owo zachodnioeuropejskie wybrzeże mórz spokojnych, owo atlantyckie wybrzeże bezpieczeństwa, odgrodzenia od wszelkich najść barbarzyńskich, zachęty do handlu i przemysłu, skąd mianowicie w latach młodości Kopernikowej otworzyła się ludom zachodnim droga zamożności i wiedzy najrozleglejszej – a przygotowana teraz przez Jadwigę i Jagiełłę zorza oświaty polskiej byłaby zaprawdę nierównie szerszym błysnęła kołem.

Nim też wzięły górę niebezpieczeństwa późniejsze, wiodło się najpomyślniej sprawie oświaty. Najsrozsza następność późniejszego nieprzyjaciół wschodnich nacisku, późniejsza zobojętniałość narodu dla postępów w oświacie nie istniała jeszcze obecnie. W miejscu późniejszej przewagi zamięłowań i środków rycerskich nad zamięłowaniem i środkami umysłowymi panowała jeszcze mądra równowaga jednych i drugich, dążono zarówno do oświecenia, jak i umężnienia narodu, kochano się zarówno w książce, jak w szabli.

Owszem, jedną i drugą poczytywano tylko za dwie wzajemnie uzupełniające się połowy wychowania narodowego, które dopiero wtedy mniemano całkowitym, gdy naukę na ławkach szkolnych uzupełniła nauka w namiocie obozowym. Porównywając wychowanie szkolne z rycerskim upatrywano w obudwóch jedną i też samą naturę, a pewien mistrz edukacji publicznej za Jagiellonów prawi wyraźnie: „Szkoły wiele są podobne żołnierstwu, około którego się na Podolu albo na Ukrainie parają zawołani ludzie, aby tam nie inaczej, by na jakim żołnierstwie albo Podolu młodzież pierwszego ćwiczenia nabywała.”

Miał więc naród i nawiedzał równocześnie dwie główne szkoły. Jedną była wtedy Akademia przy kościele Św. Anny w Krakowie, drugą Ukraina z Podolem. W tamtej na księgach uczoneści łacińskiej oświecał się umysł, w tej ustawiczną walką z barbarzyństwem sąsiednim hartował się i uświęcał charakter. W tamtej poznanie prawdy miało prowadzić do rozbudzenia w końcu ducha miłości, w tej duch miłości objawiał się żywym czynem pomocy, niesionej ciągłą ofiarą życia krajowi i ludzkości.

I jakoby też dla tym wyraźniejszego uwydatnienia istotnej pokrewności tych obudwóch źródeł oświaty narodowej rozstawiają się obadwa w jednym i tymże samym czasie. Ten sam

rok śmierci Jadwigi, któremu Akademia Krakowska winna jest zarządzenie swojej nowej fundacji, przedstawia Ukrainę i Podole widownią jednej z największych i najwcześniejszych walk, jakie stoczone były ku odparciu grozy i niewoli tatarskiej od tych wschodnich stron Polski.

Stacza ją nasz wielki Witołd na czele ogromnej krucjaty litewsko-polskiej poza wschodnią granicą Polski i Litwy, na nieszczęśliwym wybrzeżu Worskli. Opisawszy tedy wzejście światła z ksiąg uczości szkolnej mówić nam o świetle z ofiernej krwi, przelanej w pełnieniu obowiązku wielkiego.

XXII. WOJNA WSCHODNIA

Ogólny widok na wzajemną pomoc Polaków Litwie nad Worskłą, Litwy Polakom pod Grunwaldem. Stan Litwy od r. 1392. Mnogość książąt i udziałów książęcych. Sprawy krzyżackie. Pokój. Poświęcenie Żmudzi nowemu stanowi rzeczy. Zamyśły wschodnie. Rozpostarcie się granic litewskich w dziedzinie wschodnio-ruskie. Uległość Wielkiego Księstwa Moskwy. Brzemie Tatarów nad wschodnią Rusią. Podupadnięcie ducha. Znośniejsze zwierzchnictwo Litwy niż Ordy. Zwrot ambicji Witoldowej ku sprawom z Ordą. Tatarskie państwo Kapczaku. Car Tochtamysz. Zamieszki w Ordzie. Ustąpienie Tochtamysza przed Edygą i Timur Kutłukiem do Litwy. Pierwsza wyprawa Witolda przeciw Tatarom. Układy z Tochtamyszem. Chrześcijańska barwa nowej wojny Witolda z Mongołami. Krucjata wschodnia z r. 1399. Udział Polaków. Obóz pod Kijowem. Pochód. Worskła. Rozgovor z Timur Kutłukiem. Nadciągnięcie Edyki. Klęska wojsk chrześcijańskich. Pogoń Tatarów. Witold z Polakami u Tawania nad Dnieprem. Sprawy tatarskie w czasach późniejszych. Sława imienia Witoldowego na Wschodzie. Pomoc Polakom.

Wychodząc teraz z cieśni szkoły na otwarte pole wypadków postrzegamy przed sobą jeden z najwspanialszych widokręgów dziejowych, jakich zaprzagnąć może fantazja.

Granicami tego wielkiego widowiska: szeroka przestrzeń świata od Bałtyku do Czarnomorza i szczupła przestrzeń czasu od roku 1399 do 1410. Na tym obszarze ziemi i w tym przeciągu lat żyją obok siebie w świeżo zawartym braterstwie i zjednoczeniu dwa wcale różne narody, Polska i Litwa. Tamta – chrześcijańska i katolicka, ta – do niedawna pogańska i szmatycka. Tamta – uorganizowana na wzór Zachodu, pełna szlacheckiej swobody i ambicji, ta – przypomina rządy Orientu, bliska orientalnemu samowładztwu i orientalnej niewoli; tamta – krzepka duchem, który nawet bez wodza da sobie rady, lecz ścieśniona i uszczerbiona w granicach, chroma odpadłym Szląskiem i oderwanym Pomorzem, ta – w szerokich rozpostarta granicach, panuje ziemiom wołyńskim, podolskim, ukraińskim, lecz bez jędrności i ducha, których braku sam jeniusz wielkich wodzów nie wynagradza jej dostatecznie.

Związały się przecież te obadwa różne narody najściślejszym sojuszem, gdyż mimo tak uderzające sprzeczności mają oba pewną wielką pomiędzy sobą spójność – spójność tych samych nieprzyjaciół, nieprzyjaciół podwójnych, nieprzyjaciół śmiertelnych. Z północy, od Bałtyku, przygniata im karki teutonizm w postaci Zakonu niemieckiego, który pochłonawszy Pomorze, pobratnie Litwie Prusy i Żmudź sfolgował teraz na chwilę w drapieżności, aby po nader krótkim spoczynku tym gwałtowniej ponowić swoje zamachy. Z południa, od Czarnomorza troczy im nogi Orda, pustoszy im ziemie Tatarstwo grasujące przemocnie po Podolu, Rusi i Małopolsce, aż poza Wisłę.

Naprzeciw temuż podwójnemu zbratawszy się wrogowi podejmują oba narody w rzadkim zespoleniu chęci i sił dwie ogromne wyprawy, naprzód przeciw Tatarstwu w r. 1399, później przeciw Krzyżakom w r. 1410; pierwsza pod przewodnictwem Litwy przy współdziałaniu Polaków; drugą pod naczelnictwem Polski przy współdziałaniu Litwy; jedną i drugą stanowiącego wpływu na losy obudwóch sprzymierzonych narodów. Przychodzi nam teraz opi-

sać z kolei obydwie wyprawy wspólne, przy czym obeznamy się z dalszymi rysami, z dalszymi szczegółami niezwykajnie wspaniałego widoku, jaki przedstawia każda z osobna.

W szczególności wyprawa pierwsza, tatarska, zadziwia jedyną w swoim rodzaju śmiałością i rozległością planu. Ma ona na celu obalenie potęgi Ordy, a potęga ta ciąży zarówno na przysłości Litwy i Polski, jak jeszcze bezpośrednio na teraźniejszości księstw wschodnioruskich, mianowicie Wielkiego Księstwa Moskwy, danniczego Mongołom. Stąd zamierzone uwolnienie Litwy od niebezpieczeństwa tatarskiego uwolniłoby zarazem i Ruś Wschodnią od ciężącego na niej jarzma pohańców; a gdy w podobnym razie wyjarzmione krainy ruskie musiałyby nieuchronnie ulec wpływowi swego wyjarzmiiciela, zatem ujęcie Litwie plagi tatarskiej doprowadziłoby w koniecznym rezultacie do rozszerzenia się władzy Litwy nad wschodnimi księstwami ruskimi.

Był tego dobrze świadom bohater obecnej wojny wschodniej, wielki książę litewski Witołd i, jak to niebawem obaczymy, przybierał w istocie postać przyszłego oswobodziciela całej wschodniochrześcijańskiej Słowiańszczyzny, przyszłego władcy Moskwy. Takim sposobem też mało cenna dzisiaj wyprawa Witołdowa przeciw Tatarstwu z r. 1399, piękna samym widokiem braterskiego spółdziału Korony, przedstawia się jeszcze wielkim czynem pomocy niesionej całemu chrześcijaństwu wschodniemu, wielkim zamiarem podwojenia dotychczasowej potęgi Litwy i Polski.

Wszystko zaś razem, i owo przyłożenie się Polaków do pierwszego z dwóch wzajemnie ułatwianych sobie dzieł wielkich, i to wygórowanie litewskoksiążęcych zamysłów religijnej i politycznej ambicji, przypadło obecnie za głośnego już po świecie rozślawienia się rządów wielkiego księcia litewskiego Witołda, któregośmy przed laty siedmiu tak dziwnym sposobem widzieli odzyskanego ojczyźnie. Mając tedy opowiedzieć teraz jedno z głównych jego wysiłków, acz nie uwieńczone fortuną, spojrzymy na chwilę poza siebie i zgodnie z przyrzeczeniem przy opisie Witołdowego wstąpienia na tron litewski rzućmy bogdaj przelotnym wzrokiem na niezmiernie pole jego twórczej dotychczas działalności – działalności skierowanej głównie ku stronom wojny obecnej, ku Wschodowi.

Litwa Witołdowa niepodobna jest do Litwy w żadnym innym okresie dziejów. „Z Witołdem – mawiano nad jego grobem – wzniosła się i upadła wielkość Litwy.” Czym niegdyś obadwaj najślawniejsi bohaterowie litewscy, Olgierd i Kiejstut, pospołu byli ojczyźnie, tym w jednej osobie stał się dla niej obecnie Witołd. O tamtych słyszeliśmy, iż podczas gdy jeden, Kiejstut, głównie od strony krzyżackiej ku północy zasłaniał Litwę, drugi, Olgierd, rozszerzał jej władzę ku wschodowi i południowi, ponad dalszymi księstwami ruskimi i w przedczarnomorskich stepach Tatarów.

Toż samo za obudwóch czynił teraz sam jeden Witołd. Mając potężną podporę w Polsce, mógł on szczęśliwiej od Kiejstuta stawić zwycięskie czoło Krzyżakom, umiał śladem Olgierda rozpościerać granice Litwy na Wschód, dobijać się o panowanie nad istotnymi władcami tej części świata, nad Ordą. Jednocześnie wypadło poskramiać ciągłą niesformość mnogich książąt podrzędnych, dzierżących odleglejsze ziemie litewskie, a skłonnych co chwila do próby wyłomania się na udzielność.

Zwłaszcza pierwsze lata wielkoksiążęcych rządów Witołda doznały ciężkich przeszkód i zawichrzeń od tych niesformnych hołdowników. Było ich według zwyczajnego trybu ówczesnej sztuki rządzenia tylu, ile osobnych prowincyj szerokiej Litwy. Tylko mała Litwa właściwa, księstwa wileńskie i trockie z Grodnem zostawały pod bezpośrednim zarządem Witołda; kilkokrotnie większa część państwa aż poza Kijów, Siewierszczyznę i Smoleńsk ulegała Witołdowi z początku jedynie jako szereg hołdownych księstw.

Otaczały ową małą Litwę właściwą kilkokrotnym w ten sposób pasem księstwa: krewskie, nowogrodzkie, wołyńskie, podolskie, kijowskie, siewierskie, mścislawskie, smoleńskie, witebskie, połockie – podzielone niekiedy, jak np. wołyńskie i podolskie, w kilka dalszych, pomniejszych. Jak nad całą Litwą w ogóle, tak i nad wszystką rzeszą tych księstw drobniejszych

miął zwierzchniczą władzę naprzód wielki książę litewski Witold, potem „najwyższy książę Litwy” i król polski – Jagiełło. Świadczą o tym ostatnim liczne zapisy dokumentowe, wydawane przez wszystkich książąt hołdownych, zawierające zwyczajnie uroczystą obietnicę wierności i uległości Koronie Polskiej.

Siedzieli zaś tymi czasy na owych drobnych księstwach, jak i przed laty dziesięcią, kiedy przy opisie Litwy w chwili apostołstwa Jagiełłowego wzmiankowaliśmy o mnogości takich współksiążąt, gęsto rozrodzeni bracia i bratankowie Jagiełły i Witolda, wcale różni teraz od owych przed lat dziesiątkiem. Oprócz wielu mniej znanych lub zapomnianych kniaziowali obecnie między innymi – w Nowogródku Dymitr Korybut, w Krewie do niedawna Aleksander Wigund, w różnych księstwach wołyńskich, jak mianowicie w Włodzimierzu, Krzemieńcu, Ratnie, Zasławiu, były wielki książę Skirgiełło i kilku dalszych spółplemienników Lubartowiców, na Podolu Teodor Koriatowicz, w Kijowie Włodzimierz Olgierdowicz, w Mścislawiu Szymon Langwenijewicz, w Smoleńsku Hleb Światosławów, w Witebsku Świdrygiełło, w Połocku niegdyś brat jego, Andrzej.

Porównajmy poczet niniejszy z owym dawniejszym, a przekonamy się, jak dalece niestabilnymi bywały losy wszystkich księstw mniejszych. Jakoż co chwila zachodziła pewna nowa w nich zmiana, co chwila buntował się któryś z książąt, wyganiał go z księstwa Witold, upokarzał się i powracał nazad wygnaniec, podnosił znowuż rokosz, obejmował jego opróżnioną ziemię sam wielki książę, wcielając ją bezpośrednio do swego państwa. Któż powtórzy szczegółowo wszystkie koleje tych wszechstronnych, raz po raz wznawiających się sporów!

Oto np. roku 1392 zaczyna wicherzyć w Nowogródku Dymitr Korybut i wzięty w niewolę przez Witolda zostaje odesłany do Polski, skąd łaska Jagiełły osadza go w roku następnym na Nowogrodzie siewierskim, aż i stamtąd wkrótce dla nowego buntu wygnany przestaje w końcu na szczupłej prywatnej posiadłości w ziemi wołyńskiej. Oto w roku 1393 sprawa w Witebsku podobną zamieszkuje Świdrygiełło, ukaraną podobnymże wygnaniem, wiodącym go do Krzyżaków, z którymi on spodziewa się wzbudzić niebawem nowe w Litwie rozruchy. W roku 1395 buntuje się w Kijowie brat królewski Włodzimierz i traci za karę swoje księstwo, zajęte w połowie przez Witolda, w połowie zaś przez Skirgiełłę.

Tegoż samego lata podnosi rokosz i upada. W ten sam sposób Teodor Koriatowicz podolski, wprowadzony przez Witolda jeńcem z opanowanego Kamieńca, podczas gdy jego ziemia podolska przechodzi w jednej części pod władzę Witoldową, w drugiej króla Jagiełły, później także Witolda. Jednocześnie dzieje się toż samo z Witoldowym szwagrem, Hlebem Światosławowiczem, w księstwie smoleńskim, zamienionym przezeń poniewolnie za miasteczko Połonne, gdzie Hleb po różnych kolejach życia, po jęctwie u Witolda, po zakładowej z nim gościnie u Niemców pruskich, po niedługim panowaniu w Smoleńsku poprzestać musi na losie książęcości prywatnej.

Wiele podobnych wypadków w innych księstwach pomniejszych uniknęło na zawsze wzmianki w kromkach i wiadomości dzisiejszej. Tymci jawniej upamiętnił się w dziejach ogólny rezultat podobnych zajść, tj. powszechne w końcu uszczuplenie liczby i władzy drobnych, hołdownych księstw, powszechne wzmoczenie się potęgi wielkksiążęcej. Prawie wszystkie udziały lenne zostały bądź to bezpotomnym zgonem hołdowników, bądź też zawojowaniem wcielone z czasem do Litwy. P i e r w s z ą z tych dróg, tj. osieroceniem po dawniejszych książętach, zwały się z państwem Witolda np. księstwa: Krewa, opróżnione śmiercią owego spolszczonego brata Jagiełły, byłego wielkiego księcia Aleksandra Wigunda, i Kijów, opuszczony przez drugiego brata, Skirgiełłę, zmarłego niebawem po zajęciu wespół z Witoldem dawnej dzielnicy Włodzimierzowej, a zmarłego, jak lubił żyć, z bankietowym kielichem w ręku.

Ciężki w Kijowie Rusinom jak niegdyś w Wilnie Litwie, zamierzał Skirgiełło przyjąć kiedyś obrządek rzymski, udać się osobiście do Rzymu, a tymczasem biesiadował po pijanemu w swojej stolicy naddnieprzańskiej. Ugościł go tam jednego razu pewien czerniec imieniem

Foma, srodze nieprzyjazny wzmiankowanym właśnie zamysłem. Według zwyczaju musiał każdy z spółbiesiadników, aby nie otruć księcia w kielichu, sam pierwszej napić się z niego. Uczynił toż i Foma, lecz przypijając w ręce Skirgiełły wtrząsł do kielicha trucizny z pierścienia o sztucznie otwierającym się schowku. Wielki książę Skirgiełło po dniach kilku już nie żył.

Drugą drogą, tj, zawojowaniem, wgarnął Witold w swoje bezpośrednie granice księstwa: Połock od czasu dawniejszego, Witebsk roku 1393 wyrugowaniem Świdrygiełły, Nowogródek tegoż samego roku po wygnanym Dymitrze Korybucie, Siewierz w roku następnym przez wyparcie tegoż samego Korybuta, Kamieniec Podolski roku 1395 po Fedorze Koriatowiczu, Smoleńsk w latach 1395 i 1404 po wydaleniu Hleba Światosławowicza i po groźnym przytarcu rokoszu późniejszego.

Tenże sam los wcielenia padł zapewne niektórym innym księstwom hołdownym, jak np. pińskiemu i zasławskiemu, w których naprzód dają się widzieć ślady jakichś książąt osobnych, w Pińsku około roku 1396 ślady Zygmunta Kiejstutowica Starodubowskiego, w Zasławiu Hlebowego brata Jerzego Światosławowicza, potem bierze górę bezpośrednia władza wielkiego księcia Witolda. Gdzie zaś szczęśliwszy bieg okoliczności pozwolił któremu z książąt podrzędnych utrzymać się wyjątkowo przy władzy, tam prowadzi on poniewolnie tak pokątny odtąd i cichy żywot, jakim np. zamarli dla historii potomkowie Szymona Langwienowicza w Mścisławiu, dzierzonym przez nich bez wszelkiego rozgłosu w dziejach aż do połowy XVI stulecia.

O niektóre wreszcie dzielnice, mianowicie o bezpośrednie panowanie w zamożnych księstwach wołyńskich, trwały ciągle spory z Koroną Polską, które jednakże nie nadweryły potęgi Wielkiego Księstwa. Jak bowiem cały prąd dziejów w północno-wschodnich stronach Europy parł z dawien dawna od zachodu ku wschodowi, jak mianowicie Polska głównie dlatego tak uporczywie dobijała się ziem i przyszłości na wschodzie, iż u granic zachodnich inne narody wciskały się w jej biodra – tak i Wielkie Księstwo Witolda było zniewolone dopuścić, aby w jego stronach zachodnich rozpościerało się coraz szerzej zwierzchnictwo Korony Polskiej, sama zaś Litwa za to zaborami swymi posuwała się coraz dalej na wschód.

Ku temuż więc coraz dalszemu wschodowi zwracały się główne zamiary Litwy, a na wschodzie świeciła przed wszystkim Moskwa. Ona też stała się Witoldowi tą gwiazdą biegunową, którą oręż jego kierował się na drodze swoich podbojów zadnieprowych. Lecz aby ramię Witoldowe tym swobodniej działać mogło ku wschodowi i południowi, potrzeba było ubezpieczyć się poniekąd z strony przeciwnej, od północy krzyżackiej. To odsłania nam całkiem nową sferę spraw Witoldowych.

Z Krzyżakami miał wielki nasz Kiejstutowic od czasu powrotu z ziemi pruskiej nierównie mniej do czynienia niż z przeciwnikami innymi. Jego zwycięskie walki z anarchiczną zgromadzeniem książąt hołdownych, jego usiłowania ku rozszerzeniu granic na wschodzie, przerosły nieskończenie sławę zapaśnictwa z Zakonem. Uderzył wprawdzie w późniejszej dobie wielkoksiążęcych rządów Witolda najgłośniejszy grom sporów z teutonizmem zakonnym, równie pożądany Litwie jak Polsce, lecz główna pobudka do tego czynu wyszła skądinąd, nie z Litwy.

Zwłaszcza w pierwszej połowie rządów wielkiego księcia Witolda myślano częściej o pokoju z Zakonem niżli o wojnie. Boć też zaledwie kilka minęło lat, jak podczas onego pobytu Witolda w ziemi pruskiej przypuszczali Krzyżacy najstraszniejsze z swoich szturmów do Litwy, tak szczęśliwie jednak za pomocą Polski odparte. Okazało się wtedy Krzyżakom, iż nad połączonymi siłami Polski i Litwy niesnadne im zwycięstwo; do zupełnego zaś wygładzenia wzajem Zakonu czuł sprzymierzeniec i hołdownik przemożnej Polski, Witold, jak o tym nawiasowo była już wzmianka i jak o tym przyjdzie wspomnieć jeszcze obszerniej, pewien wstręt polityczny.

Sfolgowała tedy obustronnie zaciętość wojny ograniczającej się podówczas na jedyną większą wyprawę w roku 1394, w samych początkach panowania Witolda, kiedy jeszcze

wrzała w Krzyżakach świeża żądza zemsty za jego zdradzieckie pojednanie się z królem Władysławem Jagiełłą. Zresztą nie znając żadnych innych walniejszych wypraw zna ten przeciąg czasu same rokowania o pokój, powtarzające się w latach 1395, 1396, 1398, 1403, 1404. W roku 1398, a jeszcze głośniejsz w roku 1404 przyszedł do skutku traktat „wieczystej” zgody z Zakonem. Główny warunek tego pokoju, zawartego poprzednio z osobna na wyspie Salin, następnie zaś w spółce z Polską w Raciążu, a dbałego przed wszystkim o wytknięcie ścisłych granic między Prusami krzyżackimi a Litwą, zajmował się losem litewskiej prowincji Żmudzi.

Najzawziętsza obrończyni pogaństwa, ostatnia twierdza Kiejstuta w ostatnim boju o Znicz, przedstawiała Żmudź tymi czasy dziwnie tragiczne widowisko, niejednokrotnie powtarzające się w dziejach. Kiedykolwiek bowiem zwycięskie chrześcijaństwo doprowadziło pewien naród pogański do tego kresu, iż sami książęta krajowi musieli przyjąć wiarę Chrystusa, zatknąć chorągiew krzyża, zamienić się w gorliwych apostołów nowej nauki, znalazła się zwyczajnie pewna część narodu, która uporczywiej od własnych książąt broniła dawnej wiary i stanęła przeto opornie przeciw najwyższej władzy krajowej.

Wówczas sami książęta chrześcijańscy, poczytywani dziś za głównych dobroczyńców narodu, widzieli się w konieczności zwalczać zbyt zapamiętałych obrońców starodawnej narodowości, oddawać ich nieraz na pastwę nieprzyjaciół zagranicznych i zezwolić raczej na doszczętną onych zagładę, niż łagodnością niewczesną narażać swoje nowe społeczeństwo na ciągłą przez nich zamieszkę. Takim sposobem wywiązała się np. owa krwawa nieprzyjaźń między Bolesławem Chrobrym a polskimi pobratymcami nad Elbą, pogańskimi plemionami lutyckimi, w której Chrobry nieraz tak groźnie musiał postąpić z Słowianami nadelbiańskimi, oni zaś woleli z własnymi ujarzmiczicielami, Niemcami, bratać się przeciw Chrobremu, niż dla uniknięcia jarzma ze strony Niemców pogodzić się z prześladowcą starodawnej narodowości i wiary.

Toż samo powtórzyło się teraz w stosunku Witołda do Żmudzinów. Witołd uznawał konieczność przyjęcia krzyża, widział potrzebę nowej organizacji narodu na podstawie chrześcijaństwa, a Żmudzini grozili ciągłą zamieszka nowemu dziełu. Chęć ocalenia całości zmuszała do poświęcenia mniejszości. Traktatem na wyspie Salin w roku 1398 została Żmudź ustąpioną Krzyżakom. Krzyżacy zabrali się natychmiast do zbrojnego owładnięcia krainy. Sam Witołd przystawił znaczne posiłki, z którymi Niemcy zmusili Żmudzinów do uległości. Zbudowano kilka zamków warownych; osiedli w nich urzędnicy zakonni; przybyli księża chrześcijańscy, wzięto zakład przeszło stu pięćdziesięciu jeńców, po większej części dzieci najmożniejszych obywateli.

Przygnębieni Żmudzini woleli starolitewskim zwyczajem opuścić w całe ojczyznę i przesiedlić się w znacznej liczbie do Prus, gdzie jako w kraju dawniejszej, a tym samym zwolniającej już władzy zakonnej mniej bolesna poniekąd gniotła niewola. Druga struga wychodźstwa płynęła w ziemie litewskie, pod panowanie Witołda, który rad jakimkolwiek przybyszom do ziemi pustej, a nie lękającym się rozprószonej po kraju garstek ludności żmudzkiej, wabił ją z cicha do siebie. Gdy Krzyżacy zaczęli sporzyć o to z Witołdem, gdy niebawem stosunki między Zakonem a Litwą przybrały postać złowrogą, odesłał wielki książę swoich osadników żmudzkich nazad na Żmudź, gdzie oni tym nieprzyjaźniejszego Zakonowi roznieśli ducha.

W zimie roku 1401 wybuchło powszechne powstanie ludu, w którym zamki krzyżackie zburzono, załogi w pień wycięto, przedniejszych rycerzy i urzędników zakonnych w niewolę wzięto. Jedną część jeńców odesłali rokoszanie Witołdowi do Litwy, drugą stracili sami w domu, może przez zamrożenie. Przechował się bowiem od tego czasu zwyczaj nazywania mrozów po żmudzku „rycerzami”, a chcąc powiedzieć: „dziś wielki mróz”, albo „było tyle a tyle mrozów”, mówią Żmudzini do tej pory: „zginął jeden z rycerzy”, albo: „zginęło tylu a tylu Niemców”. W dobrym roku lubią Żmudzini naliczyć 40 mrozów na pamiątkę straconych wówczas czterdziestu „białych płaszczów”.

Biedni zakładnicy źmudzcy w ziemi krzyżackiej, owi synowie poniewolnie nawróconych rodziców, wieszali się na wrotach więzień swoich już to lękając się mściwego odwetu Krzyżaków, już to chcąc tym sposobem uwolnić swoich rokoszujących ojców i braci od potrzeby oszczędzania jeńców krzyżackich, spodziewających się wymiany za zakładników. Wszakże ani zapamiętałość ludzka, ani mrozy północne nie zdołały ochronić Żmudzi od przeznaczenia. Powtórny traktat z roku 1404 poddał nieszczęśliwą ziemię po raz drugi Krzyżakom. W nowych usiłowaniach Zakonu ku ujarzmieniu krnąbrnego ludu wspomógł Witołd panów pruskich po raz wtóry niespodziewanie wielką siłą orężną. Przygnębiona powtórnie Żmudź upadła do nóg Krzyżakom – gotowa do nowego co chwila buntu. Pozostało tak aż do owej katastrofy wojennej, w której ostatecznie rozstrzygnął się los Zakonu, a zarazem i Żmudzi.

Aż do owej chwili miała Litwa w ogólności spokój z Zakonem. Panujący teraz wielki mistrz Konrad Jungingen nie znał miary grzesznościom względem Witołda. Gdy wielka księżna Anna „Witołdzina”, jak ją krzyżackie nazywają kroniki, zjechała do ziemi pruskiej dla odbycia pielgrzymki po cudownych miejscach tamecznych, ugoszczono ją z niesłychaną okazałością, obsypano darami i zaszczytami, usadowiono nawet u krzyżackiego „stołu honorowego” jako najzaciejszą damę chrześcijaństwa. Wielkiemu księciu Witołdowi przypochlebiali się nadsyłki różnych upominków krzyżackich, złocistych szyszaków i pancerzy, dziwnie wyczynionych sokołów, przepysznych łuków itp.

Do miast Nowogrodu i Pskowa, o którą to ostatnią gminę handlową sami Krzyżacy przed niedawnym czasem pokuszać się zamierzali, szły teraz upomnienia Zakonu, aby mieszczanie uznali zwierzchnictwo Witołdowe. „Ty, panie i dobrodzieju nasz – pisują obecnie Krzyżacy do Witołda – jesteś po Bogu najpotężniejszą podporą naszą. Tobie ufamy i ulegamy chętniej niż któremukolwiek innemu monarsze świata.” „Wielcy mistrzowie – nadmieniamy dzisiejszy historyk Zakonu – prawie aż zanadto korzyli się podówczas przed Witołdem.” Uspokojony z północnej strony Witołd mógł tym śmieiej puścić wodze zamysłem wschodnim i południowym.

Jakoż pomknęły się one daleko poza dzisiejsze wyobrażenia o wschodnich państwach Witołdowego granicach. Każdy rok nowy powiększał je przyrostem nowych krain za Dnieprem, przyłączanych do Litwy bądź to podbojem, bądź dobrowolnym hołdem ich władców. Zagarnął Witołd w ten sposób od północy ku południowi Wielkie Łuki, Rzew, Bielów, Karaczów, Odojew, Msceńsk, z wszystką ziemią aż poza Kursk.

Dopomagała mu w tym osobiście ciężka niedola, w jakiej się znajdowały teraz wszystkie wschodnioruskie księstwa Rurykowiczów. Nad wszystkimi, mianowicie nad głównym Księstwem Moskiewskim, ciążyło panowanie Tatarów, wiodące je wraz do upadku. Każdy zaś z hołdownych Litwie kniaziów, łącząc się z tak wielkim ciałem społecznym, jakim była Litwa ówczesna, stając pod obroną potężnego monarchy, unikał tym samym albo gniojącej go już niewoli, albo niebezpieczeństwa doznania onej niebawem. Zaczem którąkolwiek bronią, orężem li albo łaską torował sobie Witołd drogę na Wschód, w każdym razie otwierała mu się ona bez trudu. Owszem, same kroniki Moskwy poświadczają, iż „wszyscy książęta pograniczni przystąpili dobrowolnie ku Witołdowi i poddali mu się z ojczyznami swoimi aż ku północy”.

Obszerne te nabytki nadały państwu Witołdowemu nieskończenie większą od późniejszej Litwy rozległość. Pograniczny później Kijów, dumny teraz z przywróconej siedziby najwyższego metropolity cerkwi ruskiej, wspomnianego już raz Cypriana, bawiącego za sprawą Witołda przez długi czas w Kijowie, leżał w pośrodku ziem uznających dokoła panowanie wielkiego księcia Litwy. Graniczny później Dniepr płynął teraz pośrodkiem jego krajów. Jeśli ku zachodowi od Dniepru jechałeś przez dni dwa na ścieżkami ziemiami Witołdowymi, tedy po wschodniej stronie Dniepru można było gdzieś jechać nimi ku Moskwie przez dni piętnaście. W tej rozległości od Pskowa aż po Mołdawię, od Bugu aż do Oki było państwo Witołdowe przynajmniej dwakroć tak wielkim jak cała Polska, choćby nawet z Wołyniem.

Nie mniejszą też przewagę terytorialną miała Litwa nad swoim wschodnim sąsiadem, Wielkim Księstwem Moskiewskim. Sięgając swoją wschodnią granicą aż po miasta Możajsk, Borowsk, Aleksyn, sięgało gospodarstwo Witołdowe pod same bramy Moskwy, oddalone od wschodnich kończyn Litwy o kilka tylko mil, o jeden tylko dzień drogi. Przy takim zaś ogromie ciała swojego nie mogło Wielkie Księstwo Litewskie nie wywierać przemożnego wpływu na dalsze nawet państwa pomniejsze, zwłaszcza na skołatane tatarskimi burzami kniazistwa wschodnioruskie. Wszyscy też książęta tej dalszej Rusi czuli nad sobą cień skrzydeł Witołdowych. Jedni, jak np. książęta twerscy, śmierzyli sobie Witołda ścisłymi stosunkami przyjaźni, węzłami pokrewieństwa. Innym, jak np. kniaziom rezańskim, przypominał się Witołd raz po raz, skoro mu tylko ubliżyli w czymkolwiek, srogimi zagonami w ich ziemie.

Tymci bardziej zależało mu na zapewnieniu sobie podobnegoż wpływu nad Moskwą i jej wielkim księżciem Wasilem Dmitriewiczem. A będąc, jak wiemy, zięciem Witołda, siedząc na stolicy zagrożonej zowąd jarzmem tatarskim, stąd zaś granicznymi słupami Litwy nie miał młody Wasil wiele środków do oparcia się przemożnemu teściowi. Toż jak w każdej spółce potężniejszego ze słabszym, tak i w stosunku Witołda z Wasilem padały Wasilowi pośledniejsze ze wszech miar losy. Potężniejszy Witołd, o tyle rozleglejszymi od Wasilowych władnawszy ziemiami, panował jeszcze ziemiom piękniejszym. Gdy bowiem cała Ruś południowa, najludniejsza i najmożniejsza część Rusi wschodniej, uległa berłu Witołdowemu, Wasilowi pozostała tylko północ uboga. Z tejeż właśnie przyczyny dobijał się Witołd mniej usilnie o dzierżawy północne, np. o zwierzchnictwo nad Nowogrodem Wielkim, pozwalał niekiedy dobijać się o nie wielkiemu księciu Moskwy, a sam wyteżał wszystkie siły ku południowi, zamyślał wziąć górę nad samą Moskwą.

I powiodło mu się to w pełnej mierze. Niedawna stolica moskiewska, pani tak głośniejszej w świecie przyszłości, korzyła się teraz bez szemrania tronowi Witołdowemu. Harda pogroźka Witołdowego stryja Olgierda, rzucona przed trzydziestu laty Wasilowemu ojcu Dmitrowi: „Pamiętaj, wielki książę Dymitrze, że wielki książę litewski Olgierd skruszył kopię o mury Moskwy” – dojrzała teraz w owoc ostatecznej goryczy dla syna Dmitrowego, tryumfu dla synowca Olgierdowego. Dziś nie potrzeba już było kruszyć kopii o Moskwę, gdyż sam wielki książę moskiewski bez wojny uprzedzał wszelkie życzenia Witołdowe.

Ilekoć zaniosło się na burzę ze strony Litwy, zawsze Wasil albo sam udawał się do nieprzyjacielskiego obozu, do litewskiego teraz Smoleńska, albo wyprawiał tam swoją żonę, Witołdównę Zofią z bojarstwem, aby uprzejmymi słowy przejednać dumnego ojca. Gdy któryś z przyległych Moskwie kniazów, jak np. rezański Oleg, do zaczepnych przeciw Litwie zrywał się kroków, natychmiast wielki książę moskiewski hamował go upomnieniem: „jak nierozmyślną jest rzeczą drażnić silnego”. Chociaż wygnany przez Witołda książę smoleński, Hlebów brat, Jerzy Światosławowicz, łudził Wasila zapewnieniem, iż Smoleńszczanie z chęcią otworzą wrota Moskwie, byle garść ludu zbrojnego zbliżyła się ku miastu, nie śmiał zięć Witołdów pokuszać się o zdobycz, która by obudziła gniew teścia.

Skoro Witołd zażądał, ciągnęły posiłki moskiewskie pod sztandarem litewskim i wraz z Litwą i Polską dobywały grodów krzyżackich. Nawet w przedjutrzu śmierci, w testamentowym rozporządzeniu tronem i losami rodziny oddaje Wasil pokłon teściowi, prosząc go o opiekę nad dziećmi. Potęga Witołdowa tak przemocnie ogarnęła wszystkie stosunki, a położenie Moskwy było tak oplakane, że nie rozkazy Witołda, lecz same okoliczności zmuszały Wasila do tego przedśmiertnego pokłonu. Zaczem nie Witołd to ubiegał się o opiekę nad Wasilowym potomstwem, lecz sam Wasil obawiał się, przeciwnie, aby teść potężny nie usunął ręki znad Moskwy, stolicy wnuków swoich.

„Przyrzekł mi na Boga i imię swoje – odzywa się umierający Wasil o wielkim księżciu Litwy – pieczołowacie się losem rodziny mojej; zatem przekazuję mu (najstarszego) syna mojego, kniazia Wasila, i żonę moją, i resztę dzieci, i młodszych braci moich, kniazia Andrzeja Dmitriewicza,

kniazia Piotra Dmitriewicza, kniazia Konstantyna Dmitriewicza, kniazia Semena Wołodymirowicza, kniazia Jarosława Wołodymirowicza, jako też braci ich, gdyby oni pomarli...

Witołd zamyślał uczynić więcej, niż sam wielki książę Wasili mógł zapragnąć. Przytoczone tu słowa testamentowe tęsknią przed wszystkim do opieki Witołda wobec ciężącej nad Moskwą tyranii chanów tatarskich. Tatarzy to byli głównie powodem, iż Witołd tak snadnie rozpościerał swoje zabory w granicach Rusi wschodniej. Oni też mimowolnie pobudzali umierającego księcia do życzenia sobie pomocy litewskiej dla pozostałej rodziny, Witołda zaś do coraz śmielszych zamysłów względem Moskwy. Z tej przyczyny należałoby tu przypatrzeć się bliżej stanowi, w jaki całą Ruś wschodnią wprawiło panowanie Mongołów. Gdzież atoli czas i miejsce do opisu podobnej treści i rozciągłości!

Widzielibyśmy w takim opisie wielkich książąt ruskich osadzanych i strącanych samowolą tatarską – synów książęcych, a niekiedy i samych książąt w zakładniczej lub wojennej niewoli na dworze chanów – ziemie książęce opustoszone haraczem książąt i bezpośrednio przez Tatarów wybieranymi podatki – cały kraj (według skargi dzisiejszych dziejopisarzy) „podobniejszym do puszczy leśnej niż społeczeństwa ludzkiego, napełnionym najdzikszyimi gwałtami przemocy, rabunkami swoich i cudzych, bez prawa, bezpieczeństwa, spokoju wewnątrz i zewnątrz”. – „Wszelka myśl o wolności państwa – zdaniem tegoczesnych dziejopisarzy rosyjskich – była czymś urojeniem”, z którym w drugiej połowie XIV stulecia, tj. właśnie w czasach zaślubin Jadwigi z Władysławem Jagiełłą, „wypadło pożegnać się na zawsze”.

Nie mogąc całkowitego kreślić obrazu przestaniemy na okazaniu w jedynej scenie dziejowej, jak głęboko tymi czasy podupadła Ruś wschodnia moralnie i politycznie. Jest to scena uroczystego sądu w stołecznym namiocie chańskim między synem a bratem tegoż samego zięcia Witołdowego Wasila Dmitriewicza, który owym testamentem całą swoją rodzinę porucił opiece możnego władcy Litwy. Dopóki ten władca żył, trwała Moskwa w spokojnym posłuszeństwie Witołdowemu wnukowi Wasilowi. Wszakże już w rok po śmierci Witołda powstał nań stryj Jerzy Dmitriewicz, mieniając się bliższym tronu i grożąc mu wojną domową. Nie pozostało nic innego, jak zdać się na zwierzchni wyrok Ordy, gdzie teraz panował chan Mohamed.

Upadli tedy obaj przeciwnicy moskiewscy, stryj z synowcem, przed obliczem „wielkiego cara” Kapczaku i jeśli wywodzić swoje prawa. Jerzy powoływał się na starodawny obyczaj następowania brata po bracie, Wasili na nową ustawę ojca, rozporządzającą tronem według starszeństwa synów. Gdy chan zdawał się niezdecydowanym z początku, wystąpił orędownik Wasila, moskiewski bojar Jan mówiąc: „Najwyższy carze! Błagam cię, abyś rnnie, pokornemu poddanemu twojemu, pozwolił mówić w obronie księcia mojego. Jerzy szuka wielkiego księstwa na fundamencie starożytnych praw ruskich; monarcha nasz szuka go w twojej łasce, wiedząc że wielkie księstwo jest twym ułusem i oddasz je, komu ci się podoba. Jeden żąda, drugi błaga. Co znaczą kroniki i stare przywileje, gdzie wszystko od woli władcy zawisło! Czyż nie ta wola utwierdziła testament Wasila Dmitriewicza, który Księstwo Moskiewskie oddał synowi?” Chan Mohamed ogłosił wielkim księciem Wasila, a Jerzemu rozkazał konia prowadzić pod nim.

Nie potrzebujemy dodawać, że wybierając między jedną a drugą niedogodnością, mniej niegodną Moskwy chrześcijańskiej było ulegać chrześcijańskiemu dziadowi Witołdowi niż chanom mahometańskim. Jakoż dopóki życia i rządów Witołdowych, dopóty uciekała się Moskwa dobrowolnie pod zwierzchność Litwy. Wielcy książęta moskiewscy zaniechawszy sromotnych podróży na dwór chanów kapczackich udawali się tym chętniej na dwór teścia albo dziada Witołda, do Smoleńska lub Trok. Dopiero śmierć Witołdowa, dopiero kilkoletnie po niej zamieszki w Litwie wznowiły przewagę Ordy nad Moskwą.

W takim stanie rzeczy zupełne owładnięcie Moskwy przez Litwę, zupełne wcielenie jej do państwa Witołdowego zdawało się raczej dziełem oswobodzenia niż jarzma. Szczęśliwe dla Witołda zespolenie się widoków ambicji politycznej z pobudkami religijnymi przejęło go tym

gorętszą chęcią dokonania czynu zasługi. Wyzwolenie Rusi wschodniej przez zlanie onej z Litwą stało się jeszcze przed onym testamentem Wasila, w terażniejszym właśnie momencie powieści naszej, najświetniejszym planem wielkości Witołdowej. Do tego zaś potrzeba było zmierzyć się z dotychczasową zwierzchniczką Moskwy, Ordą; potrzeba było zmusić Ordę do zrzeczenia się Rusi. Zuchwały umysł monarchy litewskiego nie uląkł się walki z Tatarstwem – fortuna niespodziewanym sposobem nastęrczała mu pomoc w osobie samegoż chana Tatarów Tochtamysza – i oto nowa scena dziejów Witołda, scena dyplomatycznych i wojennych zajęć z Mongołami, może najwspanialsza karta historii Witołdowej.

Tylko junackie rycerstwo zachodniej Europy marzyło, iż dość jest w kilkadziesiąt tysięcy kopij uderzyć pod chorągwią krzyżową na pohańców, aby wszystkie ułusy tatarskie upadły czołem przed chrześcijaństwem. Bliższy sąsiad Tatarów, Witołd, znał dokładniej ich siły. Dla niego byli Tatarzy owocześni tą straszną szerokowładną potęgą, która w rzeczywistości tak śmiertelnie przygniatała wszystkich sąsiadów. Siedziba późniejszych pustoszyieli Polski, Półwyspa Krymska, stanowiła tylko maluczką częśćkę ich państwa terażniejszego. Zwało się ono, jak wiadomo, państwem kapczackim, inaczej „Złotą Ordą”, a będąc jednym z czterech wielkich państw, czyli ułusów, w które rozpadła się niegdyś powszechna monarchia mongolska za Dżengischana, obejmowało ziemie Wielkiej Bułgarii, Astrachanu, Kazaniu, porzeccze Wołgi i Donu, wybrzeża azowskie i czarnomorskie, osiedlone przez mnogie hordy pomniejsze.

Prócz tego należały do Kapczaku wszystkie wschodniej Rusi kniaziostwa, mianowicie Wielkie Księstwo Moskiewskie, opłacające się Tatarom haraczem i służebnością. Każda z pomniejszych hord miała osobnego książećcia, czyli chana, a hołdowni książećta ruscy uchodzili za chanów chrześcijańskich, pośledniejszych o tyle od tatarskich, że należeli do rzędu książećt podbitych. Wszyscy zaś chrześcijańscy i niechrześcijańscy chanowie słuchali rozkazów jednego chana wielkiego, zwyczajnie potomka rodziny Dżengischanowej, czyli tak zwanej „Białej Ordy”.

Ten przebywał w stołecznym mieście Seraju, rozbudowanym wspaniale na kwiecistej dolinie astrachańskiej, rozległymi po dziś dzień zasianej ruinami. Odbierając tam pokłony hołdowników, dumny płynącą w sobie krwią Dżengischanowica Batego, nazwany od tej dynastii „Białym”, od swego państwa zaś „Złotym”, bogaty nadpływającymi zewsząd skarbami haraczów, opłat kupieckich, niedalekich kopalń aitajskich i dochodów z niezmiernie szerokiego handlu niewolnikami otaczał się chan kapczacki, czyli zawolgski, urokiem nie spętanej niczym wszechwładzy, jaśniał orientalnym przepychem, któremu wszędzie potrzeba było polysku złota. Toż „złotej” panując Ordzie, siedział on pod „złotym” namiotem, na tronie „złotym”, pieczętował się „złotą” pieczęcią, składał akta rządowe w tak zwanym „złotym” rejestrze, uszczęśliwiał obecnych swoim „złotym obliczem”, miał nawet umysł „złoty”.

Na wschód od jego granic kaspjskich, nad Jeziorem Aralskim, leżało drugie, mniejsze państwo tatarskie, tak zwane Sina Orda. Jeszcze dalej ku wschodowi, na nieprzejrzanych płaszczyznach środkowej Azji aż po granice chińskie rozciągały się dalsze rzesze mongolskie, rozłamki onej powszechnej niegdyś monarchii Dżengischanowej. Związek z tyła jednoplemiennymi państwami pierwszego rzędu pokrzepiał żywotną siłę każdego z państw pomniejszych. Zaledwie bowiem jedno lub drugie zaczęło chylić się do upadku, już w trzecim albo w czwartym powstawał potężny władzca, który bądź to wszystkie państwa pomniejsze łączył znowu w jedną wielką monarchię, bądź przynajmniej do silniejszego odzycia pobudzał je swoim duchem.

Jakoż właśnie w porze obecnej wznosił się na tronie jednego z dalszych mongolskich państw, w Dżagataju, przesławny Tymur Chromy, czyli Tamerlan, trzeci po Attyli Dżengischanie „zdobywca świata”, „pan czasów”, monarcha 27 koron zawojowanych, władzca wszystkiego obszaru ziemi od Chin aż do Rusi moskiewskiej, od Syberii aż do Egiptu i Indii, burzyciel Bagdatu, Ispahanu, Delhi, Aleppu, Damaszk i wszystkich prawie głośniejszych

miast azyjskich, ryczałtowy tępiciel rodu ludzkiego, skazywanego przezeń tysiącami na wycięcie orężem, odarcie z skóry, zamurowywanie żywcem w wysokich wieżach, na dostarczanie czaszek do budowania piramid niebotycznych – przy tym czciciel uczonych i kapłanów, modlący się zwyczajnie na klęczkach przed każdą bitwą.

Za jego pomocą oświadczył niedawno Siną Ordę Dżengischanów potomek Tochtamysz, uznany odtąd – według orientalnego trybu mówienia – „synem”, tj. sprzymierzeńcem i hołdownikiem Tamerlanowym. Mało co później, sześć lat przed chrztem Jagiełły w Krakowie, również za wpływem „ojca”, czyli zwierzchnika Tymura, poszczęściło się Tochtamyszowi wziąć górę nad panem Złotej Ordy, Mamajem, i osiąść także państwo Kapczaku. Dokonane w ten sposób połączenie Sinej i Złotej Ordy podniosło Tochtamysza do rzędu najpotężniejszych monarchów. „Złoty” wnuk Dżengischanów, „syn” Tamerlanów, władał obecnie szerokim państwem, które swoją rozległością od Krymu aż do Aralu dorównywało rozległości wszystkich krajów europejskich od Karpat aż do atlantyckich wybrzeży.

Tak szerokie granice władzy wespół z osobistymi zaletami Tochtamysza wślawiły go jako jednego z czterech najznamienitszych monarchów Złotej Ordy, „czterech kolosów mongolskiego państwa Kapczaku”, a było ich z kolei do pięćdziesięciu. Na wszystkie też strony, po wszystkich życia publicznego dziedzinach rozpościerał się blask rządów Tochtamyszowych. Jedenaście mennic złota biło bez ustanku pieniądze w jego państwach. Z rzeczpospolitą wenecką i genueską, posiadającymi znaczne składy kupieckie na brzegach krymskich, zawarty został korzystny traktat handlowy. Z zburzonego przez Złotą Ordę Iranu uprowadzał Tochtamysz sławnych poetów perskich, mianowicie Kemela z Chodżendu, aby opiewali chwałę jego pałaców i namiotów w gazelach, które po dziś dzień promienia się obrazami pięknego seraju astrachańskiego. Do króla polskiego Jagiełły szły kilkokrotnie poselstwa, upominające do wzajemnej pomocy przeciwko wszelkim nieprzyjaciołom, tudzież do spokojnego załatwienia niektórych zająć pogranicznych, spowodowanych zetknięciem południowych kończyn Podola z czarnomorskimi koczowiskami Tatarów.

Najgłębiej atoli wyryło się panowanie Tochtamysza w pamięci księstw wschodnioruskich i wielkoksiążęcej Moskwy. Tam monarcha „wielkiego carstwa” (jak Tochtamysz sam siebie nazywa w jerłyku do Jagiełły) występował w postaci nowego Batu, narzucając książętom cięższe niż kiedykolwiek jarzmo. Nie dość skore posłuszeństwo wielkiego księcia Dmitra Iwanowicza zaprowadziło Tochtamysza pod mury Moskwy, która opuszczona od swego władcy, zdobyta przez Tatarów, zalana ogniem i krwią mieszkańców legła w gruzach zupełnego zniszczenia. Gdy po odejściu nieprzyjaciół powrócił wielki książę do miasta i kazał wywieźć trupy pomiędzy zgliszczów, pogrzebano 24 000 ciał, nie licząc w to niezmiernej ilości zamordowanych w ucieczce, utopionych, spalonych.

I nie skończyło się na spustoszeniu Moskwy i prawie wszystkich miast wschodnioruskich, nie wyjąwszy nawet stolic sprzymierzeńców tatarskich, jak np. książęcia rezańskiego. Pozostał przymus płacenia Tatarom większych niż dotychczas haraczów, dostawiania liczniejszych zakładników. Z wszystkich prawie księstw wschodnioruskich, mianowicie z Moskwy, Tweru, Suzdału, Rezania, Mżgorodu, bawili na dworze Tochtamyszowym synowie i wnukowie książęcy w rękojmię niewoli ojców i dziadów.

Które to wszystkie rozliczne pomyślności wzbudziły Tochtamysza w niezwykłą dumę, większą na koniec od samej wielkości szczęścia. Będąc zawsze „synem” Tymura, trzęsącego tymczasem Azją, umyślił „wielki car” Białej Ordy wyzwolić się z swego synowstwa, stać się równym Tamerlanowi. Skoro o tym straszny usłyszał „ojciec”, spadły na Tochtamysza wszystkie gromy chromego zdobywcy świata, „Żelaznej Nogi”, jak mu ów Jagiele przesłany jerłyk Tochtamyszów urąga. Wybuchły trzy wielkie wojny między Tochtamyszem a Tamerlanem, trzy wielkie wyprawy Tamerlanowe w ziemie Kapczaku, a każda zakończyła się podbiciem Tochtamysza. Podniósł się on wprawdzie z upadku pierwszego i drugiego, objął znów stolicę po odejściu Tymura, lecz ponawiane raz po raz ciosy wyczerpały nareszcie siły.

Po ostatnim zawojowaniu Tochtamysza osadził Tymur na tronie Złotej Ordy innego Dżengischanowica, Kojridżaka, syna Urusa, poprzednika Tochtamyszowego nad Białą Ordą. Oprócz tego jednego wroga otoczył Tochtamysza jeszcze drugi i trzeci. W teraźniejszej bowiem zamieszce rządów Kapczaku podarzało się nawet niższym od Kojridżaka książętom dostąpić wpływu i władzy w Ordzie, wziąć owszem górę nad samym tronem. Takim nie utytułowanym wszechwładczą w Ordzie, przenoszącym rzeczywistość panowania nad próżną chlubę tytułu, zasłynął ostatnimi czasy stary emir Edyga, dowolny odtąd przez lat dwadzieścia rozrządca tronem kapczackim.

Ten po rychłym ustąpieniu Kojridżaka ogłosił chanem Złotej Ordy Tymur-Kutłuka, poczytywanego bądź to za zwierzchnika, bądź też za współrządcę Edygi. Utwierdzenie się berła kapczackiego w ręku obudwóch nowych władców odjęło Tochtamyszowi wszelką nadzieję odzyskania tronu o własnych siłach. Dumny wygnaniec nie zdołał zrzec się myśli o białym carstwie, zachował jeszcze zawsze garstkę wiernych poddanych, gotowych założyć gdziekolwiek tatarski na stepie kosz, lecz aby za ich pomocą osiąść znowuż na Złotej Ordzie, potrzeba było koniecznie wsparcia skądinąd. Gdy na wschodzie wielka nieprzyjaźń Tamerlanowa zagradzała wszelkie ścieżki ratunku, należało szukać go na zachodzie, a tam najbliższym władcą potężnym sąsiedował z Tochtamyszem wielki książę litewski Witołd. U Witołda więc postanowił dawny „syn” Tamerlanów żądać pomocy i zebrawszy się z całym dworem, haremem, dwoma synami, skarbcem, dobytkiem i resztką wiernych mu tłumów zbrojnych, razem w kilka tysięcy ludu zjechał około roku 1398 do Kijowa.

Ucieczka Tochtamysza w ziemie litewskie nie była wówczas tym drobnym, ledwie zapamiętanym zdarzeniem, do jakiego odległość czasów umniejszała ją dla nas. Czytając pobieżną o niej wzmiankę w książkach dzisiejszych, jakże byśmy potrafili zrobić sobie wyobrażenie o wspaniałym widoku, który przedstawiała ludna gościna dworu „złotego cara” w Kijowie! Pyszny takim przybyszem Witołd postrzegł w nim zesłane przez Opatrzność narzędzie do ułatwienia owych polityczno-religijnych zamiarów względem księstw wschodnioruskich, o których poprzednio zrobiono wzmiankę. Gdyby nie Tochtamysz, gdyby nie srogie za Tochtamysza zamieszki w Ordzie, niesnadno by targnąć się było Witołdowi na ogrom „carstwa wielkiego”. Przy zdarzonej zaś przez Tochtamysza zachęcie do korzystania z rozterek nie omieszkał wielki książę litewski użyć tej broni, zmniejszającej o połowę siły Tatarstwa, przysparzającej drugie tyle sił Litwie.

Zaledwie też nadeszły wieści o domowych zaburzeniach w Kapczaku, a sprawy z Krzyżakami dozwoliły spoczynku, został oręż Witołdów obrócony przeciw pogaństwu. Jeszcze przed Tochtamyszowym (jak się zdaje) przybyciem przedsięwziął wielki książę około roku 1397 z posiłkami rycerstwa polskiego, ruskiego i krzyżackiego wielką wyprawę nad Don, w sam głąb Tatarstwa. Szczęśliwa i nieszczęśliwa o tyle, że nie przywiodła do stanowczego zwarcia się z wrogiem, a tym samym ani do przegranej, ani do zwycięstwa walnego, zajęła się wyprawa z roku 1397 naprzód czterotygodniową budową zamku kamiennego nad Dnieprem, zwanego grodem Św. Jana, a następnie podała w ręce litewskie całą hordę ludności tatarskiej znad Azowa. Jedna część jeńców azowskich poszła darem królowi Władysławowi Jagielle do Polski, gdzie przyjęcie chrześcijaństwa i osiedlenie na roli zmieszało ją zupełnie z resztą ludności; drugą połowę osadził Witołd w różnych stronach litewskich nie broniąc jej wiary i obyczaju przodków, co przez długie lata wyróżniało ją od reszty ludu.

Nieskończenie większym teraz korzyściom otwierała drogę Tochtamyszowa ucieczka do Kijowa. Za przywrócenie wygnańca na tron kapczacki godziło się zobowiązać go do równie ważnej odsluży względem Litwy. Zrzeczenie się zwierzchnictwa nad księstwami ruskimi, przyznanie onego Witołdowi nie zdawało się zbyt drogim mytem za wsparcie, które wracało koroną tułaczowi. W tej nadziei przyjął wielki książę litewski z otwartymi ramionami Tochtamysza, przyrzekając mu pomoc co rychłą. Na chwilowe mieszkanie i utrzymanie białego cara z całym dworem i ludem wyznaczono książęce miasta Kijów i Lidę. Skoro przyjdą do skutku

wielkie przygotowania wojenne, miała nastąpić, ogromna wyprawa przeciw teraźniejszym władzcom Kapczaku, w oczach ludów chrześcijańskich przeciw nieprzyjaciołom chrześcijaństwa, widzącego teraz spólnika w Tochtamyszu.

Wielkość poruszonych w tym celu środków nie dopuszczała wątpliwości o pomyślnym skutku wyprawy. Tymczasem przystąpiono do uregulowania przyszłych stosunków między Witołdem a „Wielkim carem” jako między dawcą a dłużnikiem pomocy. Stanął zupełny traktat podziału ziem, którymi spodziewano się rozrządzać dowolnie po zwycięstwie, tj. podziału całej ogromnej rzeszy kapczackiej. Tochtamyszowi przyrzekł Witołd panowanie na Złotej Ordzie, Kazaniu, Azowie, Krymie i hordzie zajaickiej; Witołdowi odstąpił Tochtamysz nawzajem zwierzchnictwo nad księstwami ruskimi, mianowicie nad Wielkim Księstwem Moskiewskim. „Ja ciebie posadzę na Złotej Ordzie – mówi Witołd do Tochtamysza w kronikach ruskich – a ty mnie posadzisz na wielkim księstwie na Moskwie.”

Takim sposobem i ambicja Witołdowa stawała u mety projektowanego zaboru wschodniej Rusi, i chrześcijaństwo cieszyło się z wydarcia wielu książąt z jarzma niewiernych. W jakiej mierze te obiedwie podniety, polityczna i religijna, mieszały się z sobą w duszy Witołda, tylko Bogu wiadomo – w oczach zaś świata przybrały tatarskie wyprawy Witołda stanowczo barwę religijności, otoczyły się chwałą prawdziwych krucjat.

Jedynie dla tego – prawi bliskoczesna kronika polska podniósł Witołd oręż przeciw Tatarstwu, „aby się okazać monarchą katolickim”. I jeśli nie własna religijność, tedy samo usposobienie czasu mogło natchnąć go tak pobożnym zamiarem. Lata Witołdowych wojen z Tatarstwem były właśnie chwilą nowego rozbudzenia się starodawnej ochoty krucjatowej. W miarę postępów islamu na gruzach cesarstwa bizantyńskiego wzmagala się w zachodnioeuropejskim rycerstwie chęć podania ręki chrześcijaństwu carogrodzkiemu. W roku 1389, podczas ostatniego pobytu Witołda u Krzyżaków, upadło państwo serbskie na poboju kosowskim pod ciosami Osmanów, a w kilka lat później, tuż przed opowiadanymi tu wypadkami, zdarzyła się owa głośna, francusko-węgierska krucjata przeciwko Bajazetowi, podjęta przez kwiat rycerstwa francuskiego pod księciem burgundzkim Janem i przez Węgrów pod królem Zygmuntem Luksemburczykiem.

Zakończona krwawą klęską pod Nikopolem kosztowała ona także wiele krwi polskiej. Los poległych w niej braci dawał powód do mnogich w Polsce rozmów i pogłosek o przygodach nieszczęśliwej wyprawy. Opowiadano sobie np. o Świętosławie herbu Łada z ziemi sieradzkiej, jak cudownym sposobem w pełnej zbroi przepłynął Dunaj, nie dopuszczony przez niemieckich współtowarzyszów broni do łódki, w której sam król Zygmunt ze swoimi Niemcami uciekał na Czarne Morze. Kasztelan wyszogrodzki Sasin z synem Kolandem bohaterską zginęli śmiercią. Panowie Ścibor z Ściborzyc herbu Ostoja i Tomasz Kalski Rózyć uszli z życiem w kupie niedobitków orszaku Zygmunтового. Z dwóch naczelników całej wyprawy jeden, książę burgundzki Jan, musiał pogańskie dźwigać okowy – drugi, król Zygmunt, zbiegł szczęśliwie do Carogrodu, skąd dopiero po całorocznym tułactwie na morzach i wyspach greckich przekradł się w końcu do Węgier.

Pod świeżym jeszcze wrażeniem nikopolskiej porażki podjął Witołd swoją pierwszą wyprawę przeciw Ordzie. Jej pomyślny skutek zdawał się wróżyć, że nad Wołgą lub Donem wróci chrześcijaństwu ten lustr oręża, który zgasł nad Dunajem. Jakoż w całego chrześcijaństwa imieniu podnosząc sztandar powołał władzcę Litwy wszystkie sąsiednie państwa chrześcijańskie do współdziałania. Wysły takie zaprosiny wojenne w zimie z roku 1398 na rok 1399 do Polski, do książąt wschodniej Rusi, do Krzyżaków, do rycerstwa wszystkich krajów pobliskich. Do królowej polskiej Jadwigi miał Witołd pisać: „Upewniłem na zawsze spokojność Litwy od Krzyżaków, muszę uwolnić resztę chrześcijan od ucisku innego rodzaju ciemiężycieli. Bóg dobrej sprawie pomoże.”

Dla porozumienia się z moskiewskim zięciem Wasilem odbył się w Smoleńsku osobisty zjazd między Witołdem a wielką księżną moskiewską i przydaną jej radą bojarów, na którym

postanowiono, aby wielki książę Wasil podczas wyprawy Witołdowej w strony nadczarnomorskie uderzył całą siłą na kazańskie strony Tatarstwa. Jeszcze większe nadzieje pomocy uśmiechały się Witołdowi i Tochtamyszowi ze strony Polski. Za staraniem króla Jagiełły, już owym dawniej wspomnianym jerłykiem Tochtamyszowym zawezwanego do wzajemnej pomocy przeciw wszystkim nieprzyjaciołom, przygotowywała się tam osobna wyprawa krzyżowa, mająca wspólnie działać z Witołdem i Tochtamyszem, a uświęcona błogosławieństwem samej Stolicy Apostolskiej.

Wyprawił Jagiełło w tym celu umyślnego do Rzymu orędownika, ks. Wojciecha Jastrzębca, elekta kapituły gnieźnieńskiej, prosząc papieża Bonifacego IX o pozwolenie krzyża Polakom. Dnia 4 maja roku 1399 wydał Ojciec św. bullę obszerną, udzielającą projektowanej wyprawie tatarskiej wszelkich środków pomocy i łask duchownych, jakie służą katolickim wyprawom do Ziemi Świętej. Zaczem zgodnie z danym w tej bulli zaleceniem papieskim duchowieństwu polskiemu, a zwłaszcza krakowskiemu biskupowi Piotrowi Wyszowi, papieskiemu pełnomocnikowi w tej sprawie – zabrzmiały wszystkie kościoły polskie co niedzieli i święta głosem kazań krzyżowych, przyrzekających odpust wojownikom za wiarę, wzywających do spiesznego pochodu na wojnę świętą za Dniepr.

Porą wyruszenia wyprawy oznajmiono wszędzie lato roku 1399, miejscem powszechnego zebrania nadciągających zewsząd posiłków Kijów, dotychczasową stolicę Tochtamysza. Tamże na wiele tygodni przed terminem wyruszenia z końcem miesiąca maja udał się Witołd dla podjęcia ostatnich przygotowań wojennych, ugoszczenia zgromadzających się gości rycerskich. Bywszy niegdyś za pogańskich jeszcze czasów wraz z walecznym ojcem Kiejstutem niejednokrotnie celem podobnych krucjat chrześcijańskich, naśladował Witołd obecnie ten sam tryb uzbrajania się, też same zwyczaje gościnności rycerskiej, jakich wtedy używano przeciw niemu samemu.

Jak niegdyś wyprawy krzyżackie przeciw Litwie, tak i obecna wyprawa Witołda przeciw Ordzie zbroiła się w niezmierną ilość „artylerii” dawnej i nowej, osobliwie w największy z spodziewanych postrachów Ordy, mnóstwo dział, puszek, puszczeli, samostrzałów. Jak przez Krzyżaków przed wyprawami do Litwy, tak teraz przez Witołda przed wyprawą tatarską zastawiony został pod Kijowem wielki „stół honorowy”, u którego zasiadali z kolei najznakomitsi przybyszowie rycerscy. Przybywało zaś przez cały czerwiec nieskąpo rycerstwa ze wszystkich krajów. Krzyżacy nadesłali poczet kilkuset zbrojnych, pomiędzy którymi do 100 kopij rycerskich pod dowództwem komtura ragnickiego, Markwarda Salcbach.

Z Polski nadciągnęło 400 kopij prowadzonych przez Sędziwoja Ostoroga, Jana Głowacza wojewodę mazowieckiego, Abrahama Sochę wojewodę płockiego, Pilika warszawskiego, Warsza z Michowa, Pawła Szczukowskiego Gryfitę, Janusza z Dąbrowy herbu Wadwicz, Tomasza Wierzyńka herbu Łagoda, Piotra z Miłostawia Doliwy itd. Wybierało się wprawdzie nierównie więcej rycerstwa z Polski, lecz przeciwnie rady świątobliwej królowej Jadwigi, niezgodnej tym razem z zamysłami Jagiełły i Witołda, odwiodły je od przedsięwzięcia.

Czy to w mniemaniu, iż wyprawa Witołdowa nadużywa krzyża ku zamiarom światowym, czy z pobożnego wstrętu ku wszelkiej wojnie, cechującego ostatnie lata Jadwigi, a powiększonego zapewne wieściami o strasznym nieszczęściu nikopolskim, oświadczyła się Jadwiga z wyraźną niechęcią przeciw Witołdowej krucjacie w spółce z chanem niewiernym. Owszem, odradzając Polakom wszelkie w niej uczestnictwo przepowiadała królowa ten sam nieszczęsny koniec wyprawie, jaki padł nikopolskiej. To umniejszyło liczbę ochotników wojennych z Polski i tylko najśmielsi junakowie rycerscy, najzuchwalsi z ówczesnych „raków” polskich pospieszili pod Kijów.

Oprócz wyżej wyszczególnionych znachodził się pomiędzy nimi także pewien dawny znajomy powieści naszej, wiedziony atoli raczej uczuciem obowiązku niż zuchwałości rycerskiej. Był to wojewoda krakowski Spytko, jeden z głównych sprawców koronacji Jadwigi i Jagiełły, zbierający teraz szczęśliwe tego owoce. Książęcy pan szerokich posiadłości na Rusi,

wystawionej na ciągle zagony Ordy, od niedawna obdarzony znaczną częścią ziemi podolskiej, miał on najbliższy interes w obecnej wojnie z pogaństwem. Podole doznawało bowiem najsroższych klęsk od Tatarów, a zamierzona teraz krucjata pozwalała spodziewać się znacznej ulgi w tej mierze, znacznego podniesienia się wartości całego kraju.

Przeto bez względu na przestrogi królowej Polski, acz i bez zwykłej podówczas buty rycerskiej poczytał sobie pan Spytko za obowiązek stanąć pod sztandarem wielkiego księcia Litwy i otoczony wspianiałym dworem swoich marszałków, notariuszów, cześników, skarbników, dworzan przybył z znacznym pocztem rycerskim do obozu w Kijowie. Wszechstronnym gościom wojennym odpowiadały tam godnie siły domowe. Wszyscy podrzędni książęta Litwy i Rusi, bratankowie i hołdownicy Witołda, przyprowadzili hufce obowiązkowe. Nigdy też nie okazała się tak widocznie niezmierna rojność tych wnuków i prawnuków jednego praojca Gedymina, jak obecnie w obozie pod Kijowem. Gdyby nie szczupłość sił każdego pojedynczego książątka, nie stałoby było miejsca dla tylu różnych wodzów i wojsk.

Wymienieni w kromkach litewsko-książęcy uczestnicy krucjaty Witołdowej, owi np. Andrzej Olgierdowic, niegdyś książę połocki, Dymitr Korybut brański, Michał Jawnutowic podbereski, Jan Borysowicz kijowski, Jan i Andrzej Korybutowice, Hleb i Symon Koriatowicze, Teodor i Dymitr Patrykiewicz, Jan Juriewicz Bielski, Michał i Dymitr Daniłowicze wołyńscy, Hleb Rurykowic niegdyś smoleński – są tylko małą częścią ryczałtowej liczby obecnych. Była ona razem tak wielką, że lubo nie wszyscy książęta znaleźli śmierć w wyprawie, zginęło przecież przeszło się d m d z i e s i ę c i u książąt na wojnie.

Do tak wielu chorągwi różnych panów chrześcijańskich należy wreszcie przydać buńczuki samegoż Tochtamysza. Tatarskim bowiem obyczajem otaczało każdego z królów kapczackich, nawet po wygnaniu z królestwa, mniejsze lub większe „wojsko”, tj. mniejsza lub większa horda niewolników, czym się działo, iż ten lub ów wygnany mocarz kapczacki mógł przy śmierci zostawiać każdemu z synów po jednym wojsku, niekiedy dwudziestu synom 20 osobnych „wojsk”. Stąd i tułacz Tochtamysz zachował jeszcze armię podobną, która teraz powiększyła zastępy Witołdowe.

Widząc się w tak niezwyklej podówczas sile zbrojnej powzięli krzyżowcy najlepsze o sobie rozumienie. W najpewniejszej też myśli tryumfu opuszczono w lipcu obozowisko kijowskie, aby z całym ogromem „artylerii”, z całym taborem grubo okutych a łańcuchami sprzęganych teleg, z nieprzejrzany szeregim podwód z żywnością wyruszyć w pole na zawojowanie „złotego cara” Tymur-Kutłuka i Ordy. Ochoczo podjęty pochód przewycięzał z łatwością przeszkody drogi, rozległość miejsc. W krótkim czasie przebyto cztery znaczniejsze rzeki; posunięto się o 50 mil od Kijowa, w wschodnio-południowym kierunku.

Pod tę porę nadbiegł z stron tatarskich poseł Tymur-Kutłuka, niosący pobudkę do tym większego rozdrażnienia wojsk chrześcijańskich. „Wydaj mi zbiegłego Tochtamysza – kazał car biały oznajmić przez posła Witołdowi. – Wydaj mi Tochtamysza, a co przy nim, to wszystko twoje.” – Obrażony Witołd odprawił posła słowem pogardy: „Tochtamysza nie wydam, a z Kutłukiem sam się obaczę.” Nastąpiło to prędzej, niż pono mniemali chrześcijanie.

Okolo 12 sierpnia stanęły wojska Witołdowe nad rzeczką Worskłą, za którą nieprzejrzany stepem rozciągały się „dzikie pola tatarskie”. Tam u granic swojego państwa czekał już Tymur-Kutłuk z Tatarstwem. Niezmierna szybkość ruchów wojennych należała do głównych fortelów broni tatarskiej, górującej tym zwyczajnie nad chrześcijańską. Drugim była przebiegłość orientalna, skora osobliwie korzystać z zarozumiałości szwalerii chrześcijańskiej. Przygotowująca się teraz walka między wojskami Witołda a Tymura wystawiła na widoku te obadwa fortele.

Starając się o wczesne zabezpieczenie nieprzyjaciołom nie zdążył Tymur połączyć się z drugą połową swoich wojsk, nadciągającą pod wszechwładnym w Ordzie Edygą. Spotkawszy się obecnie z chrześcijaństwem, należało tak długo zwlekać walkę, aż póki nie przybędzie Edyga.

W tej myśli zagaił Tymur najpierwej rozmowę z wielkim księciem litewskim i rzekł do niego: „Po co wystąpiłeś zbrojnie przeciwko mnie? Jam nigdy nie napastował cię wojną!”

Dumny Witold miał odpowiedzieć sposobem orientalnym: „Bóg dał mi panowanie nad światem! Bądź moim synem i hołdownikiem albo pójdziesz w niewolę.” Musiało także paść jakieś słówko na korzyść Tochtamysza. Zatrwożony na pozór Kutluk zdawał się przyjmować twarde warunki, zezwalając na hołdownictwo, nawet na coroczną daninę. Tylko o trzecim warunku, o żądane wytlaczanie imienia i piętna Witoldowego na monetach kapczackich – jedna z najpierwszych prerogatyw majestatu na Wschodzie – trwał jeszcze spór.

„Daj mi trzy dni do namysłu” – ozwie się Tatarzyn do Witolda i wysłał mnóstwo bydła, wołów, owiec, zwierzyny do obozu chrześcijańskiego, aby obawa niedostatku żywności nie przynagliła do walki. Witold pozwolił zwłoki żądanej, a rycerstwo krzyżowe biesiadowało tymczasem w swoim telegami i łańcuchami obwarowanym taborze. Dzięki podstępnyemu darem samegoż nieprzyjaciela brzmiała w nim tym głośniejsza radość z nieochybnego zwycięstwa, używano z tym większą swobodą chwilowego wczasu pod bogatymi namioty, w kosztownych strojach, u stołów świecących mnóstwem złotych i srebrnych naczyń.

Orda Tymur-Kutluka leżała u brodu Worskli. Wojska Witoldowe chciały dopiero wtedy uderzyć na nieprzyjaciół, gdy oni ruszą się z miejsca. Ale car biały uporczywie trzymał się rzeki, która wkrótce stała się zgoła niepodobną do przebycia dla chrześcijan. W umówionej bowiem porze trzydniowej nadciągnął Edyga z drugą połową Tatarstwa, z najbitniejszym żołnictwem Ordy. Osiągniętą tym przewagą Tatarów nad chrześcijaństwem powiększył jeszcze pewien dalszy fortel mongolski.

Obadwa wojska pogańskie tak cicho połączyły się z sobą, że rycerstwo chrześcijańskie nie wiedziało zgoła o niebezpiecznym wzroście potęgi nieprzyjacielskiej. Byli krzyżowcy zawsze najlepszej myśli, pełni zapału do uderzenia na pogan. Gdy atoli po bezskutecznym upływie trzech dni namysłu nadeszła chwila walki, przekonano się o niepodobieństwie przejścia przez rzekę. Ruszył się tedy obóz chrześcijański z dotychczasowego stanowiska i postąpił dalej wzdłuż brzegów Worskli.

Posunęło się za nim po tamtej stronie rzeki Tatarstwo pod Edygą, poczytywane przez chrześcijan za armię Tymur-Kutluka. O trzy mile drogi, po zatrzymaniu się krzyżowców w dogodnym dla siebie obozowisku, znalazły się oba wojska nieprzyjacielskie jak dawniej po obudwóch brzegach Worskli naprzeciw sobie. Nim jeszcze chrześcijanie należyty założyć mogli obóz, zanosło się na walkę z nowych stanowisk między niezupełnie znanymi sobie siłami nieprzyjacielskimi.

Przed rozpoczęciem boju zażądał wódz tatarski rozmowy z wodzem chrześcijańskim. Podjechali obaj naczelnicy ku brzegom i przez rzekę wszczęli rozmowę. Witold ujrzał z zaskazaniem nowego wodza, Edygę. Również nowy a niespodziewany obrót wzięła terazniejsza rozmowa przeciwników. Nie Witold już nad Tatem, lecz Tatar nad Witoldem domagał się teraz zwierzchnictwa. Hardy przemocą swoją Edyga ozwał się z orientalną poważnością a przebiegle do monarchy chrześcijańskiego: „Wielki książę litewski! Car Tymur-Kutluk chciał słusznie uznać się synem twoim, boś ty starszy od niego. Wszak ode mnie, starca, tyś młodszy. Być mi więc ojcem tobie, a tobie synem moim i płacić mi dań coroczną, i wytłaczać znamię moje na pieniądzech litewskich.”

Oburzony Witold zerwał rozmowę, aby dać znak do boju. Powstrzymał go jeszcze na chwilę nowy uczestnik rozmowy, pan wojewoda krakowski Spytka, widzący jaśniej niż kto inny niebezpieczeństwo chwili i skłoniony tym do pośrednictwa. Jego rozum, jego wielkie znaczenie w Polsce, jego książęca fortuna jednały mu ważny głos u Witolda, a panowanie w ziemi podolskiej przyuczyło go traktatów z pogranicznym Tatarstwem, może z samym Edygą.

Z wszelką też względnością przyjął Edyga rozjemstwo Spytka utwierdzając go w szczerzej chęci pokoju. Sama zresztą jawna przemoc nieprzyjaciela, której stary wódz tatarski nie tał już przed Spytkiem, a z którą cała armia chrześcijańska nie mogła iść w porównanie, nakazy-

wała rozwałę. Ponieważ atoli świadomy wyższości swojej Edyga nader uciążliwe stawił żądania, przeto nie było wielkiej nadziei zgaszenia wojny. „Bądź jak bądź – rzecz księżę tatarski z przychylnością do Spytka – nie radzę ci mieszać się do bitwy, jeśli ją stoczyć zechcecie. Trzymaj się na uboczu albo weź ten kapelus, znak opieki mojej nad tobą, i noś go w bitwie, a nie tknie cię oręż tatarski.”

Spytko przyjął upominek Edygi, poczytywany w tych wschodnich stronach, nawet w granicach państwa Witołdowego, za święte dla poddanych godło łaski i opieki monarszej i pośpieszył z orędownictwem do swoich. Przyjęła go w obozie chrześcijańskim wielka rada wojenna, złożona z najprzedniejszych rycerzy polskich, litewskich, krzyżackich i ruskich. Za przedłożeniem żądań Edygi rozległ się powszechny okrzyk zniewagi. Nad samą szlachetną pobudkę honoru obrażonego działała na zgromadzenie ówczesna zarozumiałość rycerska.

Jedną z głównych cech upadającej szwalerii europejskiej było zbytne zaufanie w swoje siły, zbytne lekceważenie wszelkiego nieprzyjaciela, zwłaszcza nieszlachty. Ono to ma na sumieniu owe sromotne klęski szwalerii XIV stulecia, trudne zresztą do pogodzenia z rzeczywistą walecznością rycerską, a ponoszone przez kwiat rycerstwa średniowiecznego pod Courtray przeciw wżgardzonemu mieszczaństwu flandryjskiemu, pod Sempach – przeciw chłopom szwajcarskim, pod Nikopolis – przeciw Turkom. Gdy przed bitwą pod tym ostatnim miastem opisywano potęgę nieprzyjaciół, uderzyli panowie rycerze w kopie wołając: „Gdyby niebo runęło na nas, zatrzymalibyśmy je naszymi chorągiewkami.”

Taki też duch zaślepił terazniejszą radę wojenną nad rzeką Worską. Przedstawienia Spytka z Melsztyna zostały z pogardą odrzucone. Pomiedzy różnymi przeciw niemu głosami ubodła go najwięcej przymówka jednego z rycerzy polskich, pana Pawła Szczukowskiego, Gryfity. „Jeśli ci żal pięknej żony i wielkich bogactw – ozwie się doń z żółcią chudopacholski obrońca równości starszłacheckiej – to przynajmniej nie psuj serca do boju innym, którym śmierć obojętna.”

Pan Spytka odpowiedział: „Zrobiłem wszystko, co mogłem, aby wina beżużytecznie przełanej krwi nie spadła na moją głowę. Teraz życzę wam jedynie równej dzielności w szermowaniu orężem na pobojowisku, jak tu w szermowaniu językiem. Między tobą zaś – rzecz możny Leliwita do Szczukowskiego – między tobą a mną, niech Bóg sędzią dziś będzie! Pokładam w Nim nadzieję, iż zanim słońce zajdzie, ja chwalebnią śmiercią polegę, ty haniebnie ucieczesz.” Za chwilę dano hasło do bitwy.

Było to dnia 12 sierpnia roku 1399, we wtorek, znacznie już ku wieczorowi. Tylko dwie godzin brakowało do zachodu, pozostawało do bitwy. Prędsi we wszystkim Tatarowie przeprawili się przez rzekę, nim chrześcijaństwo jeszcze należycie obwarować zdołało obóz. Nim też jeszcze sprawione zostały szyki krzyżowe, pohańcy wstępny bojem zaczęli bitwę. Wiodła się ona dość szczęśliwie z początku chrześcijanom. Jak w każdej stanowczej rozprawie między rycerstwem zachodnioeuropejskim a nieprzyjacielem innego stanu lub innej wiary, jak w szczególności pod Nikopolem, tak i obecnie nad Worską wzięła z razu górę niezrównana natarczywość rycerska.

Liczne pusżki i samostrzały artylerii litewskiej nie uczyniły wprawdzie spodziewanego skutku w szerokim polu przeciwko ruchliwemu Tatarstwu, lecz dobór rycerstwa różnych narodów szedł w zawody cudami waleczności. Wszędzie obecny wzrok wielkiego księcia Witołda, otoczonego przyboczną strażą polską pod przewodnictwem Nałęczów Sędziwoj a Ostrorogskiego i Dobrogosta z Szamotuł, ożywiał rycerstwo nadzieją honorowych oznak wojennych, jakie najzawołani rycerze polscy otrzymywali zwyczajnie od Witołda po większych bitwach.

Mniemano się już w posiadaniu zwycięstwa, gdy wtem z ubocza wzniosła się ogromna chmura kurzu i okazało się za nią nowe wojsko tatarskie – Tymur-Kutłuk z drugą połową Ordy. Po odstąpieniu chrześcijan od brodu przebył on rzekę i stanąwszy w najważniejszym momencie

na polu bitwy otoczył rycerstwo Witołdowe zwyczajnym tatarskiej taktyce półkregiem, czyli tańcem. Wszczęła się wielka zamieszka, równie sroga dla chrześcijan, jak i pogaństwa.

Powiększyły ją niezmiernie tumany prochu, zasłaniające wszelki widok pobojuwiska. W jednej chwili znaleźli się rycerze chrześcijańscy bez koni, do których fortelna Orda wymierzyła najpierwsze strzały. Nim się zwycięskie zrazu chrześcijaństwo spostrzegło, przechyliła się krwawa szala zwycięstwa na stronę Tatar. Poznali się na tym najpierwej tatarscy współtowarzysze wojsk Witołdowych, pułki Tochtamyszowe.

Nie czekając ostatecznej rozsyпки zbiegł Tochtamysz jeszcze przed końcem walki z pobojuwiska. A ten sam w ucieczce co i w pogoni upatrywał uciekający Tatarzyn nawet w klęsce obecnej okazję do swojej najulubieńszej praktyki, do porywania jasyru. Pierchnawszy przed zwycięzcami wsteczną drogą ku Litwie rozstawił Tochtamysz sieci na własnych sprzymierzeńców uciekających, nachwytał niezmiernie wielu niedobitków litewskich, splądrował i wypleniał krainę okoliczną.

Za zbiegłym carem rozsypała się i reszta wojsk Witołdowych. Sam Witołd został przemocą uprowadzony przez swoich. Z nim razem ocaleli ucieczką rodzony brat króla Władysława Jagiełły Świdrygiełło, polscy towarzysze Witołda, Sędziwoj z Ostroroga i Dobrogost z Szamotuł. Tegoż samego środka ratunku kazał Witołd chwycić się także walczącemu jeszcze wojewodzie krakowskiemu Spytkowi. „Nie splamisz się ucieczką – krzyknie nań zwyciężony bohater Litwy – lecz zasłużysz, owszem, na chwałę, gdy się przyczynisz do zasłonięcia osoby mojej.”

Pan Spytko nie miał uszu dla takich słów. Ani też dał się skłonić do przywdziania daru Edygi, owego ochrończego kapelusza chańskiego. Owszem, jak przystało wzorowi szwalerii chrześcijańskiej, natarł z orężem w rękę na pogan i zniknął w gęstwie nieprzyjacielskiej. Nikt nie widział go ginącego, skąd urosła na długie czasy wątpliwość, czy znalazł śmierć lub niewolę.

Dokoła swego pana poległ wszystkim prawie dwór Spytków, mianowicie marszałek Bernat, cześnik Mikołaj, notariusz Prokop, podskarbi Przeclaw, dworzanie Dobrogost, Szczepiecki, Frycz, Jan Oderski i „mnodzy inni”. Tylko jeden z skarbników, Paweł Kościan z Sędziszowa Jastrzębiec, uniósł życie i, jak mówiono, znaczną część skarbów, prawdopodobnie źródło wielu zakupionych później dóbr ziemskich. Jeszcze większą od Kościana niesławą okrył się niedawny przeciwnik Spytków, waleczny szermierz językiem, Paweł Szczukowski, jeden z pierwszych zbiegów z pobojuwiska.

Najliczniejsza atoli część rycerstwa chrześcijańskiego dała mężnie gardło na placu. „Oto imiona ubitych kniaziów litewskich – kończy żałobnie kronika ruska – kniaź wielki Andrzej Olgierdowicz połocki, kniaź wielki Dmitr Olgierdowicz brański, dwurodny brat ich kniaź Michał Jawnutijewicz, wnuk Gedyminów; kniaź Iwan Borysowicz kijowski, kniaź Hleb Swiatosławowicz smoleński, kniaź Lew Koriatowicz, Michał Wasilewicz i brat jego kniaź Semen Wasilewicz, kniaź Michał Podbereski i brat jego kniaź Aleksander, kniaź Dymitr Daniłowicz wołyński, kniaź Fiedor Patrykiewicz ryłski, kniaź Andrzej Drucki, kniaź Tułuntowicz, kniaź Spytko krakowski, Iwan Juriewicz Bielski, kniaź Dymitr Koriatowicz, kniaź Jamont, namiestnik smoleński – wszystkich kniaziów imiennych sławnych siedmdziesięciu i czterech, a innych wojewodów i bojarów wielkich, i chrześcijan, i Litwy, i Rusi, i Lachów, i Niemców jak mnogie mnóstwo poległo, któż zliczyć zdoła!”

Do tego spisu ofiar rusko-litewskich dodaje kronika krzyżacka dziewięciu braci zakonnych, poległych ze swymi pocztami rycerskimi, żałując osobliwie dwóch pobożnych rycerzy, pana Hanusza i pana Tomasza Surwiłłów, braci, owych niegdyś zdrajców litewskich, którzy przeszedłszy spod chorągwi ojczystej na stronę wrogów krzyżackich służywali im za przewodników wojennych po własnym kraju.

Do ofiar Litwy, Rusi, Krzyżaków, dolicza kronika polska bohaterów koronnych, pomiędzy którymi najprzedniejsi opórcz Spytka polegli: wojewoda mazowiecki Jan z Lazenic Nałęcz,

Warsz z Michowa Rawicz, Socha płocki wojewoda, Pilik z Mazowsza, Jan z Dąbrowy Wadwicz, Tomasz Wierzynek Łagoda, Piotr z Miłostawia herbu Doliwa; Zuczka zaś z Wajszyna Prawdzic i Rafał z Tarnowa, syn wojewody sędomierskiego Jaśka, w niewolę w z i ę c i .

„Wzięty też został cały obóz chrześcijański i wszystkie w nim telegi okowane z łańcuchy żelaznymi, i wszystkie działa, i puszki, i piszczele, i samostrzały, i bogactwa mnogie a wielkie, i naczynia złote a srebrne.” Jak przed trzema laty przed Nikopolem, pozostała z ogromnej armii krzyżowej, z oczekiwanych po niej rezultatów ogromnych tylko garstka uciekających stepem rozbitków.

Zwycięskie Tatarstwo puściło się w pogoń za resztą wojsk chrześcijańskich, w dalszy pochód ku granicom litewskim. Nie mając jednak zwyczaju ciągnąć w większej sile tą samą drogą, rozdzieliły się obiedwie armie tatarskie i teraz w dwa osobne zagony. Tymur-Kutłuk ze swymi podążył stroną północną, szlakiem wołyńskim, ku stolicy kijowskiej. Edyga z większą połową wojsk skierował się ku południowi, w celu najechnia południa, południowym szlakiem wołoskim. Przeszkadzał wprawdzie postępowi obudwóch armii tatarskich Dniepr, ta główna obrona granic chrześcijańskich od Tatar, dla której oni wyprawiali się na Polskę zazwyczaj w zimie, po zamarznętym Dnieprze. Teraźniejsza atoli bezbronność Litwy budziła w Tymur-Kutłuku nadzieję, iż bez trudności wymoże sobie przejście przez Dniepr północny; Edyga zaś obiecywał sobie równie łatwą drogę przez południowy, koło brodu i wyspy Tawań, gdzie rzeka tylko 300 kroków szeroka.

Tymczasem w groźnym to właśnie położeniu okazywała się najjaśniejsza wielkość Witołda. Jak nigdy, tak i teraz nie tracąc ducha, trafiając bystrym okiem od razu w miejsce największego niebezpieczeństwa, pojął zwyciężony bohater, iż główne niebezpieczeństwo grozi Litwie i Polsce od walecznego Edygi. Zaczem Cudniejszą i warowniejszą stroną Kijowa od pomocy, wystawioną na zamach mniej silnego i mniej zdolnego nieprzyjaciela pozostawił on własnej przeciw Kutłukowi obronie, a sam z resztą rycerstwa pospieszył ku południowym wybrzeżom Dniepru, do brodu tawańskiego, o dwa dni drogi od ujścia rzeki. Na szczęście przybyła mu tam świeża pomoc rycerstwa z tej samej strony, skąd Litwa całą połowę swojej tegorocznej siły i potęgi czerpała, tj. z Polski.

Trwające wciąż nad Wisłą kazania i uzbrojenia krzyżowe nadsyłały tatarskiej wojnie na Wschodzie coraz nowych ochotników rycerskich, którym wieść o klęsce nad Worskłą nakażywała tym spieszniejszą nieść pomoc. Rozkaz Witołdów powołał te posiłki polskie nad dolny Dniepr ku Tawani i owo prędkiej, niż można było tuszyć, znalazła się znowuż jaka taka siła pod sztandarem wielkoksiążęcym. Osadziwszy się na niezmiernie obronnym stanowisku tawańskim odzyskał waleczny Kiejstutowic dawną hardość umysłu, podniesioną coraz pomyślniejszymi wieściami z Polski.

Nakazując bowiem jak najusilniejszą obronę Dniepru przyrzekał król Jagiełło nadesłać jeszcze większe posiłki, gotował się w razie potrzeby wyruszyć osobiście, z całą potęgą polską. „Nie ma tego potrzeby – przechwalał się teraz Witołd. – Gdyby nie tylko Edyga, lecz sam Tarnierlan z wszystkimi wojskami Wschodu pokusił się o przeprawę przez Dniepr, byłbym w stanie zatrzymać go u Tawani.” Owszem, samo rycerstwo Witołdowe pragnęło teraz nadejścia wojsk Edygi, tą samą co i nad Worskłą uniesione znów zuchwałością.

Ale rozsądniejszy od niego Edyga nie chciał wątpliwej próbować walki. Widząc przeprawę przez Dniepr mocno bronioną, przeszło Tatarstwo mimo Tawani i wtargnęło do pobliskiego Krymu. Toż samo nastąpiło po opuszczeniu spustoszonej już Tauryki, przy powtórny przechodzie Ordy koło brodów tawańskich. Gdy rycerstwo Witołdowe ciągle zalegało przeprawę, zaniechał Edyga wszelkiej dalszej wojny w tych stronach i syt sławy i łupów krymskich wrócił nazad za Don, w głąb monarchii kapczackiej.

W tej porze Tymur-Kutłuk posunął się aż pod Kijów i wymógł na mieście okup niewielki, od mieszczan 500 rubli, a od klasztoru peczerskiego osobno 30 rubli. Pojedyncze oddziały tatarskie miały wprawdzie przejść Dniepr i pustoszyć kraj aż po Łuck, lecz były zanadto sła-

be, aby przedsięwziąć coś stanowczego. Cofnął je więc Tymur-Kutłuk zza Dniepru i nie kusząc się o zdobycie Kijowa zwinął obóz do powrotu za Edyga w ziemie kapczackie, gdzie go niebawem śmierć zaskoczyła. Nim jesień przyszła, minęło zupełnie tegoroczne niebezpieczeństwo tatarskie.

Chciano je przecież i dalszym ująć czasom. Nie ustawała tedy Polska i Litwa w staraniach o ubezpieczenie granic od Tatar, o uzyskanie uległości carstwa złotego. Władysław Jagiełło otrzymał niebawem nową koncesję papieską na rzecz wojen z pogaństwem. Listem papieża Bonifacego IX do biskupów archidiecezji gnieźnieńskiej, wydanym w pięć miesięcy po klęsce Witołdowej nad Worskłą, przyznana została królowi polskiemu jednoroczna dziesięcina od wszystkich dochodów kościelnych w całym Królestwie Polskim „ku zagładzie Tatarstwa”.

Dzięki zjednoczonym usiłowaniom Jagiełły i Witołda uniknęła Polska i Litwa w istocie dalszych zamachów Ordy. Niewyczerpany w wynachodzeniu środków zaradczych Witołd mógł, owszem, ponowić z czasem swoje dawne zamiary wywalczenia sobie wpływu i przewagi w państwie kapczackim. Posłużyły mu do tego ciągle zamieszki w Ordzie, ciągle stosunki z rodziną Tochtamyszową. Po klęsce nad Worskłą, chcąc korzystać z śmierci Tymur-Kutłuka, powrócił Tochtamysz znowuż w stepy tatarskie. Nie zaprowadziło go to jednak do celu, gdyż zamiast berła spodziewanego znalazł on tam jedynie potrzebę dalszej walki, a narreszcie śmierć na pobojuwisku. Dopiero jego synowie i wnukowie odnieśli korzyść z ojcowskich i własnych związków z Witołdem.

Panowali z nich w różnych czasach na złotym tronie najprzód Dżellaledin, czyli sułtan Saledyn, wspierany przez Witołda i wywzajemniający się Litwie i Polsce stateczną pomocą we wszystkich wojnach; następnie Betsabula, uzbrojony przez Witołda przeciw wrogiemu Litwie następcy Saledyna, Keremberdzie, nie dość jednak szczęśliwy w przedsięwzięciu; wreszcie Jeremferden, podobnie przeciw temuż samemu Keremberdzie podniesiony przez Litwę, a fortunniejszy od swego brata, gdyż niebawem zwycięzca i nawet zabójca Keremberdy.

Sam terażniejszy pogromca Litwy nad Worskłą, Edyga, ciągle jeszcze obok synów Tochtamyszowych panujący w pewnej części Kapczaku, szukał w późniejszych latach przyjaźni Witołdowej, odzywając się doń przez uroczystą ambasadę z darami: „Dożyliśmy, jasny królu, wieczornych życia naszego lat. Godzi się resztę dni naszych spędzić w pokoju. Krew, którąśmy w wojnach z sobą przelali, niech wsiąknie w ziemię. Słowa złorzeczeń i zniewagi, któreśmy wzajemnie miotali przeciw sobie, niech przebrzmia z wiatrem. Zawziętość gniewu naszego niech spłonie w ogniu. Pożogi zaś wojen naszych niech na przyszłość woda zaleje.”

Stolica litewska nawykała do widowisk intronizacji carów kapczackich, jako to Betsabuli w roku 1418, Jeremferdena nieco później, Dewlet Hadzi Gereja w roku 1428, przyodziejanych przez Witołda w Wilnie lub Trokach purpurową szubą o złotym hafcie i chańską koroną z pereł. Carowie i carzykowie tatarscy bywali powszednimi gośćmi w obozach Witołdowych, u stołu biesiad wielkoksiążęcych. Czapka Witołda, szczęśliwsza od owej przez Edygę Spytkowi darowanej, miała najgłębsze uszanowanie w stepie czarnomorskim u łotrzyków tatarskich, oszczędzających przystrojonego nią wędrownika. Imię Witołda, podziwiane w sąsiednich krajach Zachodu, było również głośnie w stronach kapczackich.

Takim sposobem ofierna krew znad Worskli niezupełnie bez skutku upłynęła. Zakreślony terażniejszej krucjacie plan owdzięcia Kapczaku, oswobodzenia Rusi wschodniej od jarzma tatarskiego, pozostał wprawdzie w całości nie osiągnięty, lecz częściowo pozwoliła mu Opatrzność dopiąć życzeń niektórych. Wielu z Tymur-Kutłukowych następców uznawało się sprzymierzeńcami, nawet istnymi hołdownikami Witołda, a powiększone tym rozslabienie potęgi carstwa złotego, coraz srozsze odtąd zamieszki w Ordzie przyczyniły się po kilkudziesięciu latach do łatwiejszego wyzwolenia Moskwy spod Mongołów o własnych siłach.

Jakoż i terażniejszy udział wielkiego księcia Wasila w wyprawie Tochtamyszowej był szczęśliwszym od Witołdowej walki nad brzegiem Worskli. Znaczne wojsko moskiewskie wtargnęło w wskazaną orężowi swemu ziemię kazańską, zdobyło trzy główne miasta, uniosło

wielkie korzyści. Dla Witolda miała klęska nad Worskłą chyba tę korzyść, jakiej według popularnej powieści zapragnął jeden z wnuków i następców Jagiełły w wojnie z Wołoszą. Jak tegoż późniejszego króla polskiego posądzano, iż jedynie w tym celu podjął nader niepomyślną wyprawę, aby wygubił w niej szlachtę niesforną, tak też wielka liczba poległych nad Worskłą kniazów litewskich uwolniła Witolda rzeczywiście od wielu kłopotów z ich przyczyny, usunęła wiele przeszkód samowładnym i spokojniejszym odtąd rządóm Wielkiego Księstwa.

W tym względzie nawet główna teraźniejszej wojny ofiara, zniknięcie wojewody krakowskiego i władcy zachodniej części Podola, pana, czyli według kroniki ruskiej „kniazia” z Melsztyna, wynagrodziło się Witoldowi niemałą z czasem korzyścią. Mówimy „zniknięcie” Spytka, ponieważ – jak o tym nadmieniono – nie było dostatecznej pewności, czy zginął w bitwie, czy tylko popadł w niewolę. Owszem, przez długie lata spodziewano się jego powrotu z ziemi tatarskiej i niemałe zapewne czyniono o to starania. Tymczasem pozostała po nim młoda małżonka Elżbieta z trojgiem dzieci, tj. z córką Elżbietą, poślubioną już księżęciu niemodlińskiemu Bernardowi, tudzież z dwoma synkami Janem i Spytkiem, niezdolnymi dać należytej obrony ojczystemu Podolu.

Potwierdził im przeto Jagiełło posiadanie majątności dziedzicznych, pozwolił pani Spytkowej trzymać dalej ziemię samborską, wieluńską itd., a za Podole spłacił król rodzinie 5000 kóp groszy szerokich, zaliczone niegdyś przez pana Spytka przy objęciu Podola. Wykupioną zaś ziemię nadał monarcha swemu rodzonemu bratu Świdrygielle, który jednak niedługo pozostał w jej dzierżeniu. Wichrzyciel przez całe życie, wszczął on niebawem nowe z Jagiełłą i Witoldem zatargi, zakończone odjęciem mu Podola. W końcu stanęło na tym, iż wielki książę litewski wrócił królowi polskiemu 20 000 kóp groszy polskich, otrzymane niegdyś za ustąpienie zachodniej części Podola panu Spytкови i objął ziemię na siebie.

Połączone w ten sposób wschodnie i zachodnie Podole zakwitnęło pod panowaniem Witolda spokojniejszym i pomyślniejszym niż kiedykolwiek bytem. Jak już za pana Spytka, słynnego z budowania twierdz w ziemiach ruskich, tak jeszcze bardziej za wielkiego księcia Witolda napełniła się „Ruś dolna” licznymi warowniami, budowanymi ogromnym nakładem kosztów i pracy, niekiedy przez 12 000 spędzonych zewsząd robotników, przy pomocy kilku tysięcy koni i wozów. Osobliwie tawański bród na Dnieprze zamienił się w ważne stanowisko obronne, w bogatą komorę celną, warowną bramę między Zachodem a Wschodem. Raz po raz przechodziły tamtędy tłumne karawany kupieckie z Polski i Rusi ku Czarnomorzu, ciągnęły karawany nazad ku Polsce, wracali z jasyru tatarskiego więźniowie oswobodzeni, wrócił np. między innymi wzięty nad Worskłą wojewodzie krakowski, Rafał z Tarnowa.

Tylko głównego bohatera znad Worskli, pana wojewody Spytka, na próżno wyglądano zza Dniepru. Rok po roku upływał, a o nim zawsze też sama panowała niepewność. Niezmierny jednakże rozgłos jego bohaterstwa na poboju tatarskim nie dawał mu zgasnąć w pamięci ludzkiej. Już trzy dziesiątki lat minęły; już owa kochana żona Elżbieta, zaślubiona powtórnym małżeństwem księżęciu munsterberskiemu Janowi, zapomniała o pierwszym mężu; już nawet ten drugi mąż Elżbiety zeszedł ze świata, a pamięć publiczna ciągle marzyła o panu Spytku jako żyjącym w niewoli gdzieś pogańskiej.

Jeszcze w roku 1431 w publicznych układach o Podole po śmierci wielkiego księcia Witolda zastrzegano wyraźnie, co się stać ma z Podolem, „gdyby wojewoda Spytko powrócił z ziemi tatarskiej”. Nareszcie i pamięć publiczna ściemniała w ciągu pokoleń, a księga dziejów ojczystych szczyli się po dziś dzień imieniem pana Spytka jako jednym z najświetniejszych świadectw owej pomocy, jakiej bądź te w obecnej wojnie wschodniej, bądź w każdym innym razie doznawała Litwa tymi czasy od Polski.

Teraz spojrzeć nam w stronę przeciwną, na ową „wielką wojnę” zachodnią, wojnę z teutonizmem krzyżackim, w której Polacy odnoszą wzajem pomoc od Litwy, dla której spólnego wywalczenia połączyły się właściwie oba narody, a która z tego względu jest niejako ostatnim rezultatem zdarzeń całej powieści naszej.

XXIII. „WIELKA WOJNA”

Dawne powody. Spór o Drezenko. Umiarkowanie wielkiego mistrza Konrada. Nastąpienie Ulryka. Coraz wojenniejsze usposobienie Zakonu. Coraz nieprzyjaźniejsze kroki między Krzyżakami a Polską. Wybuch wojny roku 1409. Zabór Dobrzynia przez Zakon. Rozejm i przygotowania do nowej wojny. W Polsce: poselstwa i fortele. W państwie krzyżackim: świecka rycerskość Zakonu; nadmiar zuchwalstwa; tajne niechęci. Szkodliwy wpływ Zygmunta. Powtórny wybuch wojny. Nie dość pomyślny Polsce. Spotkanie się pod Grunwaldem. Opis miejscowości. Umiejętne korzystanie z niej przez Polaków. Zaślepienie Krzyżactwa. Długa zwłoka z obojej strony. Szyk armii polskiej. Mądrze obmyślany plan bitwy. Wyzwanie krzyżackie przez heroldów. Pierwsza bitwa. Druga bitwa. Niebezpieczeństwo króla. Trzecia bitwa. Zupełna klęska Krzyżaków. Śmierć wielkiego mistrza z urzędnikami Zakonu. Rozbicie obozu. Widok pobojuwiska po bitwie. Czynności po zwycięstwie. Pochód. Oblężenie Malborka. Ocalenie Zakonu. Tym straszniejszy upadek później. Polska i Litwa po zwycięstwie grunwaldzkim.

Obecna walka z Krzyżactwem obchodziła tak blisko oba pobratane narody, iż pomagając w niej jeden drugiemu pomagał każdemu swojej własnej potrzebie. Lubo więc Polacy w całej wojnie niezaprzeczenie naczelną trzymali miejsce, zdało się wątpliwą niekiedy rzeczą, czy Polska Litwie, czy Litwa Polsce pomaga. Nie brak nawet twierdzeń wyraźnych, że jedynie dla Litwy podnieśli teraz oręż Polacy. Na wszelki wypadek przekonujemy się stąd o tym niewątpliwiejszej wielkości wojny. Im trudniej bowiem do rozróżnienia wikła się w niej obopólny interes, obopólna pomoc zjednoczonych narodów, tym różnorodniejsze, tym rozliczniejsze wynikną z niej rezultaty, tym większą zmianę sprawi ona w losach przeciwników walczących.

Jakoż nie inaczej, jak tylko „wielką” wojną, wielką bitwą, wielką potrzebą, bez żadnego zresztą przy datku miejsca lub czasu zwano ją u nas przez długie lata, zwali ją samiz zwycięzcy, zwali ją synowie i wnukowie zwycięzców. Biorąc, owszem, na uwagę bezprzykładny podówczas ogrom użytych ku wojnie środków, uwzględniając wcale odmienny charakter obudwóch nieprzyjacielskich obozów, tu obozu Niemców, Nadreńczyków, Francuzów, Anglików, Szkotów itp., jednym słowem rycerstwa z całej zachodniej połowy świata – tam obozu Polski, Litwy, Rusi, Tatarów, Wołochów, Besarabów, Ormian itp., jakoby zastępów całej wschodniej połowy, przywiązywano do tej „wielkiej” wojny już wówczas znaczenie starcia się z sobą dwóch wcale odmiennych kończyn ludzkości europejskiej, miano ją za walkę między Zachodem a Wschodem, między Teutonizmem a Słowiańszczyzną.

Gdzie zaś tak wielkie zastępy wyruszają naprzeciw sobie do boju, tam bez wątpienia równie dawne, równie nieprzejednane przyczyny ostrzą miecz przeciwnikom. Znamy je z całego ciągu powieści naszej. W pierwszych jej chwilach wznosił się Zakon niemiecki do zenitu swojej chwały i potęgi za wielkiego mistrza Winryka, a wynikłe stąd niebezpieczeństwo dla Polski i Litwy zjednoczyło oba zagrożone narody. Zespolona Polska i Litwa okazała się zdolną dotrzymać placu teutonizmowi, przychodziła do coraz śmielszej świadomości sił swoich, a przykry tego widok, a gorzkie dla Krzyżactwa uznanie, że wszystkie dotychczasowe wysiłenia Zakonu jedynie ku temu posłużyły, aby sobie samemu przemocnego stworzyć nieprzyja

ciela, jątrzyły Krzyżaków coraz jadowitszą, coraz zapamiętalszą nienawiścią ku temuż nieprzyjacielowi. Przy wzmagającej się z dniem każdym potędze i śmiałości po stronie pokrzywdzonej, przy również wzbierającej złości po stronie pokrzywdzicieli – na cóż więcej jeszcze powodów. Bez wszelkich też dalszych szczegółów mogliśmy wyruszyć już wprost pod Grunwald.

Ale w grze losów ludzkich każda pojedyncza chwila ma swoje prawa, każda może nadać wypadkom pewną barwę odmienną, poszczególną. Pod wpływem takich przyczyn chwilowych przybrała nasza „wielka” wojna pewien właściwy sobie, indywidualny charakter, biegła tak często zmieniającą się kolejną zdarzeń, przedstawiła w końcu tak niespodziewanie wspaniałe widowisko, że przestając na owych przyczynach ogólnikowych pozbawilibyśmy się najpiękniejszych rysów obrazu.

Owoż z bliższa na rzeczy patrząc przypominamy sobie naprzód przedkoronacyjne zobowiązanie się Jagiełły do przywrócenia dawnych uszczerbków państwa. Dobra wiara zacnego króla nie znała nic świętszego nad obietnicę. Całe jego panowanie dotychczasowe było szeregiem pełnionych zobowiązań. Przyjąwszy chrześcijaństwo, ochrzciwszy Litwę przywrócił on wraz z Jadwigą ziemie czerwonoruskie, przywrócił Opolczykowe niegdyś prowincje, starał się nawet przywrócić starodawne dzierżawy szląskie. Odbył się tym końcem w Wrocławiu (roku 1404) osobisty zjazd Jagiełły z terazniejszym panem Szląska, czeskim królem Wacławem, skłonny w istocie do ustąpienia Polsce ziem nadodrzańskich. Niedojście nadziei wrocławskich przypisuje kronika jedynie oporowi rady królewskiej, nie chcącej przystać na warunkowane przez Wacława dostarczanie pewnej siły zbrojnej z księstw ustąpionych.

Do późniejszej więc pory odraczając sprawę o Szląsk myślał Jagiełło dalej o przywróceniu Pomorza krzyżackiego. Równie wierni zaś charakterowi swemu Krzyżacy – płynęli dalej niepohamowanym prądem swego żywota, żywota grabieży i ucisku. Stąd Jagiełło i panowie koronni stawali coraz śmielej w obronie swoich od tak dawna gwałconych praw, a Krzyżactwo objęło tymczasem Nową Marchię, garnęło z Nową Marchią niektóre pograniczne powiaty polskie, mianowicie owo fatalne dla Zakonu D r e z d e n k o , umiało sobie przyswoić niedogodną chrześcijańskiej Litwie Żmudź. Następca przesławnego mistrza Winryka, umiarkowany Konrad Jungingen, pragnął wprawdzie zachować spokój z Koroną, zdobył się na determinację odprzedania Polsce ziemi dobrzyńskiej, wykrztusił tym dla miłości pokoju ofiarę większą, lecz nie umiał zdobyć się już na mniejszą, nie zdołał zrzec się Drezdenka.

I byłoby to zapewne nie ocaliło losów Krzyżactwa, gdyż spotężona raz Polska i Litwa, występując coraz zaczepliej, byłaby prawdopodobnie z dalszymi ozwała się pretensjami. Jakoż w tym właśnie leży główna tragiczność zdarzeń, że powzięta raz przez Zakon fałszywa, przepaścista droga żywota prowadzi go wśród samej pomyślności pozornej w upadek nieochybny, porywa go jeśli nie tą, tedy ową ścieżką w przepaść konieczną, a różnica tej albo owej ścieżki, tej albo owej przyczyny ostatecznej stanowi tylko o takiej lub innej barwie, o takim lub innym kształcie ostatecznej katastrofy.

Wskazawszy zaś upadkowi Krzyżaków ścieżkę Drezdenka chciał los niejako pokazać, jak olbrzymie następstwa mogą z drobnych na pozór urosnąć przyczyn, jak w danym raz kierunku jeden krok nierozważny domierza zguby, jedna kropla zbyteczna rozlewa kielich, jeden powiew wietrzyka zabija skłonnego do nagłej śmierci obżerec. Potrafiło krajozercze Krzyżactwo pochłonać bezkarnie wielkie Pomorze, Żmudź, Nową Marchię, a udławiło się małym Drezdenkiem.

Kilką tygodniami przed ostatecznym nabyciem Nowej Marchii przez Zakon złożył terazniejszy posiadacz Drezdenka, Ulryk von der Ost, osobnym dokumentem z dnia 25 maja roku 1402, hołd posłuszeństwa dawnej przodków swoich zwierzchnicze, Koronie Polskiej, w szczególności Władysławowi Jagielle, przydając zapewnienie, iż w razie śmierci bezdzietnej przekaze swoją pograniczną twierdzę królowi. W trzy lata później, tuż po wykupieniu Dobrzynia przez Polaków, udał się Ulryk osobiście do Polski i bawiąc pod koniec czerwca roku

1405 na dworze polskim w Łędzie zobowiązał się tam do bezzwłocznej zamiany Drezdenka za inne posiadłości w głębi Królestwa.

Wszakże nie upłynęło więcej nad trzy miesiące, a sprawa pogranicznej warowni nad Notecią wzięła w cale przeciwny obrót. O świętym Michale tegoż samego roku zwabili Krzyżacy Ulryka do swojego Malborga i „za poradą przyjaciół” przywiedli go tam do ugody, mocą której Drezdenko przeszło w tymczasowe posiadanie Krzyżaków, a po roku miało zupełnie zakupione być przez nich. Jak już nieraz bywało, jak zwłaszcza w początkach obecnej wojny zdarzyło się kilkokrotnie, srodze Zakon zdrwił z Korony. Im niezręczniejszą atoli okazywała się dyplomacja koronna wobec Krzyżaków, tym głębiej czuła Polska każdą wyrządzoną sobie teraz zniewagę. „Chyba nie byłbym królem polskim – zawołał oburzony Jagiełło – gdyby Krzyżacy nie musieli wrócić Drezdenka!”

Od dnia do dnia wzmagało się rozjątrzenie przeciwnych stron, rosła obopólna zuchwałość, mnożyły się zarzuty. W kilka miesięcy po ubieżeniu Drezdenka przez Krzyżaków przypomnieli Polacy Zakonowi, iż według dawnych umów służy Koronie prawo do połowy granicznej rzeki Drwęcy i do pewnego na pruskiej stronie dworzyska, przynależącego polskiemu młynowi Lubicz. Krzyżacy odpowiedzieli tak dumnym listem, „jakiego jeszcze żaden król polski nie otrzymał od panów pruskich”, a w którym między innymi powiedziano było szydersko, iżby król „swoją przyrodzoną mądrością oświecić raczył bracią zakonną”, jak ona chronić się ma obrazy granic polskich. Panowie polscy wytłumaczyli Jagielle pismo krzyżackie umyślnie w sposób najuszczępliwszy; wyszło z tego powodu nadzwyczaj surowe upomnienie króla do śmiertelnie chorego mistrza Konrada, a Krzyżacy uczynili w tej dobie krok, który prawie nieodzownie zadecydował wojnę z Koroną.

Był tym krokiem wybór następcy po zmarłym wielkim mistrzu Konradzie, wybór jego rodzonego brata Ulryka, znanego z porywczosci rycerskiej i nieprzyjaźni ku Polsce. Za rządów umiarkowanego Konrada tlała już iskra wojny między przeciwnymi stronami, lecz tlała jeszcze na dnie ogniska, w popiele. Równie jak szlachta polska, tak i ogół Krzyżactwa dyszał wojną; osobliwie w murach Zakonu przemawiała powszechna za nią opinia; szydzono tam z powolności Konrada Jungingena – lecz tak Władysław Jagiełło, jak i wielki mistrz Konrad śmierzili ile możności niechęć wzajemną.

Nie mógł wprowadzić Konrad zaprzeczyć się swojej żyłki krzyżackiej, wiodącej go do pożądania Marchii, Żmudzi, Drezdenka – lecz jakkolwiek junakowie krzyżacy nazywali go tchórzem, jakkolwiek przekupieni trefnisie żarty z niego stroili, lubo go „po ścianach malowano”, on po koniec życia starał się nie dopuścić wybuchu wojny. Owszem, będąc już na skoni, zalecał utrzymanie spokoju, a w szczególności odradzał, aby nie obierano po nim brata Ulryka, po którym można było spodziewać się nieuchronnego szczęku oręża.

Tymczasem wezbrany prąd nienawiści krzyżackiej wzgardził wszelkimi przestrogią rozsądku, a mając po śmierci Konrada według zwyczaju obierać najprzód chwilowego zastępcę, potem rzeczywistego mistrza wielkiego, obrano pierwszym komtura Wernera Tettingena, jeszcze sroższego niż Ulryk zapamiętałca i wroga Polski, drugim tegoż właśnie Ulryka. Z Ulrykowym zaś wyborem nastąpiła Zakonowi niechybna pora wojny i zaszła oraz ważna zmiana w całym postępowaniu Krzyżaków, nadająca wcale niespodziewaną barwę wypadkom.

Nowy mistrz krzyżacki Ulryk Jungingen, człek w pełni wieku, śmiały, porywczy, rycerski, nie wdał się ani w brata Konrada, ani w któregośkolwiek z dawniejszych mistrzów Zakonu. Jeśli każdy z mistrzów poprzednich bywał zwyczajnie jedną stroną serca rycerzem, drugą mnichem pokornym, terazniejszy mistrz Ulryk, serdeczny niegdyś przyjaciel i towarzysz dzielnego Wallenroda, postąpił sobie jak ów cysterski podstarość Kropidły, tj. rzucił o ziemię kaptur, a wystąpił w pełnej, błyszczącej zbroi rycerstwa.

Toż wszystkie rysy zaletne i niezaletne, jakie charakteryzowały szwalerię tamtoczesną, odbijają się wiernie w Ulryku. Szczerze pobożny, jak na rycerza przystało, nawet aż do zbytku ufający relikwiom, otwarty i prawdomówny, jak podobnie przepisywały przykazania ry-

cerskie, okazywał on nadto tyle obcej zwyczajnemu Krzyżactwu hojności i rozrzutności, tyle miłosierdzia dla wdów i sierot, tyle pieczy o klasztory i sługi Boże, tyle współczucia dla ubóstwa – „jak żaden z jego poprzedników na tronie wielkich mistrzów”, czyli jak na Rusi mawiano „wielkich książąt niemieckich”. Stosując się dalej do obowiązku wesołości rycerskiej lubił Ulryk wszelkie krotofile światowe, miewał w swoim orszaku huczną na każde zawołanie kapełę, wyprawiał później w obozie ucieszne pąsy z zaproszonymi z okolicy damami, uderzał chętnie w puchary i w hazardowną grę kostek, do czego gotowe zawsze jechały za nim warcabnice i beczki z winem.

Czym jednakże światowa kawalerskość Ulryka najbardziej raziła oczy ludzkie, to konieczną w ówczesnym rycerzu zarozumiałością, butą, lekceważeniem nieprzyjaciela, które następnie wielce dopomogło Polakom. Powszechna skaza upadającej szwalerii XIV stulecia, wytknięta już przyczyna jej sromotnych niepowodzeń w wojnie z mieszczaństwem flandryjskim, z chłopstwem szwajcarskim, z Turkami pod Nikopolis, stanowiła ta gorzko przez Jagiełłę uczuta i wypominana „pompa” krzyżacka główną teraz słabą stronę w obliczu Polski.

Zresztą miało Krzyżactwo w swoim obecnym przeobrażeniu za Ulryka nierównie wspanialszy i piękniejszy, bo mniej obłudny, bo otwarcie wojenniejszy niż kiedykolwiek pozór, a było zawsze nieskończenie przemyślniejszy i obrotniejszą niż Polska, wsparta jedynie słuszością swojej sprawy i spółką z szerokim tłumem ludów sąsiednich. Jak każdy rycerz zachodni przyznawał sobie niezmierną wyższość nad mieszczańcem, chłopem lub Turkiem, tak też zachodniorycerskie Krzyżactwo Ulrykowe poczytywało się za coś nieskończenie lepszego od słowiańskiej, gminnej, kożuchem tchnącej Polski, Litwy i Rusi. Którym to uczuciem wyższości podniesiony, wziął Zakon w początkowym ciągu wypadków istotną górą nad Polską, wprowadził ją wcale niekorzystne położenie u wstępu wojny.

Owszem, od razu tak górnym i bystrym wzrokiem mierząc nieprzyjaciela, dowiodło Krzyżactwo swojej względnej wyższości po pierwsze tym, iż wobec niepodobnej prawie do odroczenia katastrofy wojennej wzięło w niej bez wahania rolę pomyślniejszą, zaczepną. Podczas gdy dobroduszna Polska i Litwa do ostatniej chwili nie mogły wyrzec się myśli, iż Zakon wreszcie poda rękę do zgody i dobrowolnie uczyni zadość żądaniom przeciwników, hardy teutonizm pruski zmierzał wszystkimi krokami coraz raźniej ku wojnie.

Zaledwie dowiedziano się w Polsce o śmierci spokojnego Konrada Jungingena, nakazał król Jagiełło żałobne po nim nabożeństwo w całym Królestwie, został owszem sprowadzony do Poznania kapłan osobny dla odprawiania codziennie mszy żałobnej za duszę mistrza zmarłego – Krzyżactwo zaś jak już rozgościło się w staropolskim Dreddenku, tak jeszcze drugą staropolską warownią nad Notecią, zastawioną Johannitom Santok, z podwojną Polski i Johannitów szkodą wcale bezprawnym posiadał teraz najazdem. Skoro pod koniec czerwca roku 1407 przyszedł do skutku wybór wielkiego mistrza Ulryka, stanęło w Malborku uroczyste poselstwo króla z powinszowaniem nowego dostojęstwa mistrzowi – a Ulryk wyjechał umyślnie ze stolicy i dał posłom polskim czekać długo na siebie, aby już to króla obrazić, już to sprawioną tym przewłoką w ceremoniach dyplomatycznych uzyskać więcej czasu do przygotowań wojennych.

Jednocześnie zapadło w Zakonie postanowienie, aby w wszelkiej korespondencji dyplomatycznej między Krzyżakami a Polską używać odtąd języka niemieckiego, ze wzdargą właściwszej Polakom łaciny. Zanim znaczniejsze nastąpić miały zatargi, zanim czynione tymczasem przygotowania wojenne osiągnęły miarę potrzebną, chodziło o rozwiązanie pewnej arcyważnej na przyszłość wątpliwości. Należało upewnić się, czy wielki książę litewski Witold, tylokrotnie dawniej poróżniony z Jagiełłą, nie dałby się i teraz oderwać od związku z Polską, pozyskać Zakonowi.

Głaskano go w tym celu od niejakiego czasu niesłychanymi pochlebstwami, pojono go słodkimi teraz oświadczeniami, że „po Panu Bogu nie masz dla Zakonu dobrodzieja i ojca nad Witolda”. Teraz – „co Witold rozkaże, to Zakonowi świętym” – wskutek czego przysługiwa-

no mu się zbrojnymi posiłkami w wojnach wschodnich i przyprowadzono w istocie do tak przyjaznych jak nigdy stosunków z Litwą. Dla zbadania usposobień Witolda wobec terazniejszej waśni krzyżacko-polskiej zjechał się wielki mistrz Ulryk wśród ciągłych przygotowań wojennych, w pierwszych dniach roku 1408, w pogranicznym miasteczku Kownie osobiście z królem Jagiełłą i Witoldem i zaprosił Witolda do rozjemstwa w nieporozumieniach z Koroną, mianowicie do polubownego rozśądzenia sprawy Drezdenka.

Witold przyjął wezwanie i mądry piętnastoletnim doświadczeniem korzyści sojuszu z Polską, przeczuwając, na co się teraz zanosi, stanął wiernie przy Polsce – przysądził Drezdenko Polakom. Nieustraszony tym Ulryk podjął rękawicę Witolda i przyspieszając wszechstronne zbrojenie się Zakonu zerwał stanowczo z Polską, zakupił w lecie nieszczęsne Drezdenko na wieczystą własność Zakonu, zabrał w jesieni dwadzieścia statków polskich, wiozących zboże Litwie.

W odpowiedź na to zabłysnęła pierwsza iskra nieprzyjaźni w obozie przeciwników, wybuchło w zimie z roku 1408 na 1409 podniecone przez Witolda powstanie w krzyżackiej Żmudzi. Skoro bowiem wypadki stanowczo w którąkolwiek przechyliły się stronę, nie było niecierpliwszego do czynu nad Witolda, a biedna Żmudź, już to poświęcona przezeń dla uporu w pogaństwie, już to znowuż łatwie buntowana przeciwko Niemcom służyła za gotową w każdej chwili podnieć wojny.

Zaczem nastąpiła z wiosną roku 1409 zupełne wyrugowanie Krzyżactwa z powstańczej Żmudzi, odnowił się jej dawny sojusz z Litwą, a Witold groził Krzyżakom, iż „skoro żytko dojrzeje, wyruszy z Żmudzinami na Prusy i ogniem i mieczem nagoni Niemców na morze, aby tam potonęli”. Cała atmosfera tak obficie od dawna przesiąkła wojną, że rycerska ochota wielkiego mistrza Ulryka spotkała się nadspodziewanie prędko z chęcią wzajemną, może nawet prędzej, niż sama chciała.

W tej chwili rozstrzygnięcia, przynaglając resztę przygotowań wojennych, wbrew samowolnemu zerwaniu z Polską przez zakupienie Drezdenka, zwróciła się skrzętna polityka krzyżacka ku Polsce z pewnym nader ważnym pytaniem. W razie pomyślnej odpowiedzi mogło ono coraz bliższą wojnę z połączonymi siłami Litwy i Polski ograniczyć na wojnę z samą Litwą, po czym dopiero przyszłaby z czasem kolej na wojnę z samą Koroną. Zapytał tedy Ulryk w czerwcu roku 1409 króla Jagiełłę, czy Polska w wywiązującej się teraz wojnie między Zakonem a Witoldem chce posiłkować Witolda.

Król Władysław po kilkutygodniowym namyśle dał odpowiedź umiarkowaną, mającą nadzieję odwiedzenia Krzyżaków od obopólnie zabójczej wojny, skłonienia ich samą groźbą do powolności żądaniom polskim. Oświadczyło poselstwo królewskie pod naczelnictwem arcybiskupa Mikołaja z Kurowa, że król Polski będzie wspierał swego brata i hołdownika Witolda; gdyby przecież Zakon przystał na zgodę polubowną, chętnie by Władysław postarał się o słuszne warunki pojednania.

„Jeśli tak – odrzeczcie wielki mistrz Ulryk – tedy lepiej od razu najechać Litwę!” – „Strzeż się! – przerwie arcybiskup Mikołaj. – Skoro tylko najedziesz Litwę, król Władysław całą mocą wtargnie do Prus.” – „Dzięki za tę otwartość! – ozwie się gotów na wszystko Ulryk. – W takim razie wolę chwycić wroga za łeb niż za nogi; wolę najechać kraj ludny i uprawny niż pusty, Polskę niż Litwę.” Te słowa zakończyły porę pogroźek i nienawiści, otwarły szranki „wielkiej” wojnie między Polską i Litwą a Zakonem i „całymi prawie Niemcami”.

W kilkanaście dni po rozmowie z arcybiskupem, dnia 6 sierpnia roku 1409, przesłał Ulryk królowi Władysławowi Jagielle po rycersku wypowiedzenie wojny, która sama przez się wszczęła się już z Witoldem. A biorąc w wszystkim korzystną dla Zakonu inicjatywę, prześcigając nią samegoż niecierpliwego Witolda, wtargnęło Krzyżactwo natychmiast w ziemię dobrzyńską, zdobyło twierdzę Dobrzyń, zajęło Rypin i Lipno, obiegło Bobrowniki. Nim się Polacy ocknęli, znalazła się jedna z najpiękniejszych ziem polskich w rękę krzyżackim. Uboża pogańska Żmudź była nader niedostateczna za to nagrodą. Początek „wielkiej” wojny przyniósł wcale niepomyślną wróżbę Polakom.

Pozostała im smutna wymówka, że nieprzyjaciel zaskoczył ich nie dość przygotowanych. Rycerstwo krzyżackie miało słuszność przyznawać sobie wyższość nad Polską. W ciągu oblężenia zamku bobrownickiego przybył do obozu Krzyżaków arcybiskup Mikołaj z kilku panami, żądając zawieszenia oręża. Nie umiano się wprawdzie zgodzić tym razem na warunki rozejmu, lecz Krzyżacy nie byli mu przeciwni.

Na wszelki wypadek musiałaby ziemia dobrzyńska pozostać na jakiś czas przy Zakonie, a wzięwszy raz w posiadanie cokolwiek nie myślało Krzyżactwo o rychłym zwrocie zdobyczy. Za poprzednią zaś obawę śmiertelnej wojny z Polską i Litwą – uwolnić się teraz od tej obawy i posiadać nadto ziemię dobrzyńską albo w razie najgorszym ograniczyć odtąd usiłowania Polaków na odzyskiwanie Dobrzynia było wcale korzystnym dankiem zaczepnej rycerskości Ulryka.

Zaczem toczono dalej łatwą wojnę w Dobrzyniu, zdobyto Bobrowniki, zburzono Złotoryję i oczekiwano dalszych żądań rozejmu. Mając teraz, owszem, mniej powodów do życzenia sobie dalszej wojny niż Polska przekupili panowie pruscy sumą 60 000 złotych rzymskiego i czeskiego króla Wacława, aby wystąpił z pośrednictwem między Zakonem a Polską. Tymczasem król Jagiełło zbierał dopiero wojska, ciągnął z wolna ku Wiśle, a od zawezwanego do połączenia z królem Witołda przyszła niepomyślna odpowiedź, iż mimo najlepszej chęci nie może uczynić tego przed zimą.

Nie poczytano tedy za złe losowi, gdy z końcem września stanęło w obozie polskim pod Bydgoszczą, w obliczu pobliskiej armii Krzyżaków, poselstwo czeskie pod przewodnictwem książąt Oleśnickich, ojca i syna, zapraszające do zgody. Po kilkudniowych umowach dopisał w istocie za pośrednictwem pełnomocników czeskich dziewięćmiesięczny rozejm, aż do 24 czerwca 1410, pozostawiający ziemię dobrzyńską w ręku Krzyżaków, a zawieszający prawdopodobnie także litewsko-krzyżacką wojnę. Oprócz tego obowiązały się obiedwie strony zdać się w ciągu rozejmu na polubowny wyrok króla Wacława, którym by chwilowa przerwa wojny w stały zamieniła się spokój.

Wszystka szlachta polska podniosła jednogłośnie krzyk oburzenia, oskarżając zasiadających w radzie królewskiej sprawców tego rozejmu o przekupienie złotem krzyżackim. Czy zresztą kraj zgadzał się na rozejm pod Bydgoszczą, czy nie, trudno było wróżyć sobie pod tymi warunkami spokój r z e t e l n y. Oczekiwany wyrok króla Wacława (ogłoszono go posłom krzyżackim i polskim w Pradze około połowy lutego w roku 1410) okazał się dziełem przekupionej spółki z Zakonem. Kierując się jedynie uroszczeniami teutonizmu przyznał on Drezdenko, Santok, Żmudź Zakonowi, a ziemia dobrzyńska miała być objętą i dzierżoną dopóty przez komisarzy czeskich, dopóki Korona nie zabezpieczy Żmudzi Krzyżakom.

Co więcej, osobne zastrzeżenia wyroku zawarowały, iżby król Jagiełło zaniechał odtąd tytułu „pan i dziedzic Pomorza”; po śmierci zaś Jagiełły będą Polacy musieli zaniechać dalszej intronizacji książąt litewskich, tj. zaniechać dalszej jedności z Litwą, a wybierać sobie królów tylko z książąt zachodnich. W domiar samowolności darował czeski Luksemburczyk Krzyżakom znaczny kawał pogranicznej ziemi litewskiej, tak zwaną ziemię sudawską, jakoby dawną własność swoich przodków, nabytą w wyprawach pruskich.

Zamiast słusznej wyrozumiałości dla coraz głośniejszej w Polsce potrzeby powściągnięcia buty i przemocy Krzyżactwa spotkali się Polacy w Pradze z coraz zuchwalszymi pretensjami teutońskiego Zachodu. Wyprężona w tych czasach struna nieprzyjaźni między Europą germańską a słowiańską, taż sama struna, która mało co później w strasznych wojnach husyckich tak okropnie pękła nad Elbą, równie złowrogim chrzęstem zadrgała teraz nad Wisłą. Posłowie polscy w Pradze zaprotestowali przeciw wyrokowi Wacława, a Polska postanowiła korzystać z pięćmiesięcznego jeszcze rozejmu, aby lepiej niż w roku przeszłym wystąpić do wielkiej wojny.

Głównym wodzem na wojnie, a doradcą przed wojną stał Polakom wielki książę litewski Witołd. Odwidził go król Jagiełło umyślnie pod zimą w Brześciu Litewskim, gdzie za sprawą Witołda ułożono całkowity plan wyprawy wojennej w lecie. Gościł tam podówczas przy Wi-

tołdzie car Złotej Ordy, Tochtamyszów potomek, Dżellaledyn, czyli Saladyn, którego przy-
ciągnięto także do spółki. Postanowiwszy wyprowadzić wszelkie siły zbrojne Polski, sprzy-
mierzonych książąt mazowieckich Janusza i Ziemowita, wiernie z Koroną trzymającej Litwy i
Rusi zapewnili sobie sprzymierzeńcy tym sposobem jeszcze 30 000 żołnierza tatarskiego.
Równocześnie odnowiono związki z Wołoszą, powiększające armię sprzymierzoną posiłkami
Wołochów, Besarabów i Ormian.

Podczas gdy ta daleka pomoc niezbyt rychło zapewne zbroiła się i nadciągała, działy się
podobneż zabiegi u dworów książąt poblizszych, mianowicie w Węgrzech i w Niemczech.
Lubo ci książęta zachodni prawie bez wyjątku trzymali z teutonizmem krzyżackim, tyle prze-
cież okroiło się Polsce, iż jeden z trzech książąt pomorskich na Szczecinie, Wolgąście i Słu-
piu, Bogusław VIII Słupski, ociągnął się z przystawieniem pomocy Zakonowi, gotów był po
zwycięstwie podać rękę Polakom. Ponieważ atoli sąsiednie ziemie czeskie obfitowały w wa-
łęsające się bez zatrudnienia zgraje żołdactwa, przeto równie Zakon, jak i Korona mogły za
pieniądze mieć ich oręż i krew.

Sprzeciwiało się to wprawdzie wyobrażeniom Polaków, nie oswojonych dotąd z wojną
orężem najemnym, lecz głos terażniejszego marszałka koronnego, Zbigniewa z Brzezia, po-
jednał ich z użyciem broni płatnej. Po różnych o niej zdaniach w radzie królewskiej ozwał się
pan marszałek: „Co do mnie, nie znam lepszego żołnierza nad zacieźnego. Jeśli bowiem zwy-
cięży, zapłaci go kraj zwyciężony; jeśli zaś da się pobić, nikt go nie płaci.” Czym skłoniona
rada królewska zaciągnęła w stronach niemieckich znaczną siłę orężną i już na kilka tygodni
przed rozpoczęciem kroków nieprzyjacielskich stało w Polsce przeszło 10 000 koni i ludu
cudzoziemczego, w największej części Czechów.

Z żołnierstwem zagranicznym powołano także z Węgier i Czech wszystką u dworów za-
granicznych służącą szlachtę polską, która z swoich dóbr w Polsce winna była zbrojną służbę
krajowi. Nie chcąc w razie przeciwnym utracić posiadłości dziedzicznych wracało obecnie to
wędrowne rycerstwo co prędzej do ojczyzny, wrócili w szczególności z Węgier waleczni ry-
cerze Zawisza Czarny z Garbowa, jego rodzony brat Jan Farurej, Tomasz Kalski klejnotu Ró-
ży, Wojciech Malski Nałęcz, Dobiesław Puchała Wieniawita, Skarbek z Gór Habdank i różni
inni. Jeszcze dalej niż odezwy do rycerstwa najemniczego i Polaków za granicą bawiących
rozchodziły się pisma dyplomatyczne, polskie manifesty przeciw Krzyżakom, roznoszone
przez posłów królewskich po wszystkich dworach europejskich, zanesione nawet aż za mo-
rze do Anglii. Domagały się one u monarchów zagranicznych głównie powstrzymania
szlachty krajowej od służby pod sztandarami Zakonu, lecz domagały się tego na próżno.

Wszyscy bowiem monarchowie Zachodu stali otwarcie po stronie Zakonu niemieckiego,
czuli się obowiązany do ułatwiania mu wszelkiej pomocy. Wynurzył się z tym najgłośniej
król angielski Henryk IV Lancaster, wielki przyjaciel Krzyżactwa, owszem, spowinowacony
z nim osobistą niegdyś służbą krzyżową w Litwie, pod Wilnem, w czasie onego sławnego
oblężenia roku 1390. Słuchając teraz przemowy posła polskiego, który mu cztery ogiery
przyproceedził w darze od króla Władysława Jagiełły, zapytał Henryk o przyczynę zbuntowa-
nia się Żmudzi przeciw Krzyżakom. Poseł polski wspomniął między innymi, że Krzyżacy
bezczęścili niewiasty żmudzkie. „Mój bracie! – ozwie, się na to z śmiechem król Anglii –
mam ci i ja kraj niemający, ale cóż by się z nim było stało od dawna, gdybym go miał być po-
stradać za każdy żart moich rycerzów z czyjaś tam żoną!”

Więcej zapewne pomocy przynieśli Polsce wysłańcy innego rządu, posłowie z torbą na
plecach a kijem żebraczym w ręku, włączący się po Prusiech w stroju dziadowskim. Nie za-
niedbując bowiem żadnego środka oświecenia się o stanie rzeczy w obozie nieprzyjacielskim
korzystał Jagiełło także z powszechnego wówczas zwyczaju zwiadów szpiegowskich. Za na-
rządzie ku temu nastęrczali się własni poddani wielkich mistrzów, przychylni dawnym
wspomnieniom polskim starcy krajowi, prawdziwi lub udani żebracy, gęślarze, pielgrzymi
odpustowi, w każdym razie z całej duszy nienawidzący Krzyżaków. Śpiewając owe staropol-

skie pieśni o mordach krzyżackich przy opanowaniu Pomorza, o skargach przeciw Kazimierzowi Wielkiemu za ustąpienie ziemi pomorskiej Niemcom mieli oni w swoich wędrówkach po kraju znaczyć sobie położenie i liczbę załóg krzyżackich, siłę przybywających na Pomorze wojsk zagranicznych i uwiadamiać o wszystkim dalszych poufników króla polskiego w Prusiech.

Aby jednak to szpiegostwo nie służyło również Krzyżakom przeciw Polsce, starano się o jak najściślejszą tajemnicę przygotowań i zamysłów wojennych. Jak niegdyś w pomyślnej wojnie z Naderspanem Opolskim, tak i teraz przypuszczano nader niewiele, a według kroniki nawet tylko jednego z panów koronnych, podkanclerzego koronnego Mikołaja Trąbę, do sekretu walnej narady wojennej w Brześciu Litewskim. Również sekretnie odbyła się później na wiosnę druga walna rada wojenna, pod przewodnictwem wielkiego księcia Witolda w Nowym Sączu. W jak największej skrytości pracowano przez całą zimę w różnych miejscach nad nie widzianym potąd mostem promowym, po którym by wojska polskie przeszły nagle Wisłę z nastaniem wojny.

Przez całą zimę odbywał Jagiełło głośno wielkie polowania w różnych stronach Polski i Litwy, w Puszczy Białowieskiej, w lesistych okolicach sandomierskich, w borach ratneńskich, a z cicha solono i chowano ubitą zwierzynę żubrów i łosiów w ogromne beczki, które potem płynęły Wisłą na skład do Płocka jako arcyprzydatny zapas żywności na przyszłą wojnę. Czasami też rozsiano umyślnie wieść fałszywą. Mieszała stąd Krzyżaków najbałamutniejsza rozliczność pogłosek o przygotowaniach i przyszłych ruchach wojska polskiego. Z polskiej zaś strony wiedziano przez owych żebraków szpiegujących o wszystkim, co się działo w Zakonie. Obchodząc wszystkie zamki krzyżackie, podsłuchując wszystkie rozmowy znosili ci „ostrzegacze” (jak ich wówczas mieniono) swoje wiadomości do pewnego proboszcza w Prusiech; ten podawał je dalej biskupowi kujawskiemu Janowi, a od tego szły one wprost do Jagiełły.

I nie potrzeba było zbyt przemyślnych fortelów, aby zbadać tymi czasy Krzyżaków. Teżniejszy szal junactwa rycerskiego w Zakonie gardził wszelkimi środkami przezorności. Teraz skutkiem najwyższego zaślepienia Krzyżactwa nienawiścią, gorącą żądzą wojny, odpowiednią temu zuchwałością rycerską – skutkiem istnej kary niebios za dawne grzechy zdradzieckiej potulności – owi niegdyś arcymistrzowie obłudy i podstępów, owi niby pobożni, pokorni zakonnicy rozkapturzyli się w porywczym, płochym, wesołym kawalerów rycerskich. Gdy w początku obecnej wojny miano szturmować do Złotoryi, sprowadzili Krzyżacy z pobliskiego Torunia liczne towarzystwo miejskich panien i pań i sprawili sobie z nimi huczny bankiet w obliczu twierdzy.

Wtedy z jednej strony na wzgórzu „białe płaszcze” zakonne „przy szumnym odgłosie trąb, luteń, fletów, piszczałek, cymbałów, dzwonek i innych instrumentów muzycznych wesoło płały z paniami i pannami”, a żołdactwo zakonne zdobyło w ich oczach Złotoryję i zburzyło ją z gruntu. Zręczne i szczęśliwe rozpoczęcie wojny jeszcze bardziej rozochociło, rozzuchwaliło Krzyżaków. Zakupiona stronniczość polubownego sędzi Wacława, także względy jego brata Zygmunta, jawne dowody przyjaźni wszystkich książąt Zachodu podwajały otuchę. Świadomość własnych sił, mianowicie nagromadzonych z dawna skarbów pieniężnych, którymi Zakon tak hojnie teraz szafował, a za które miał on po swojej woli wojska zaciężne, wyroki polubowne, dyplomacją, przymierza – wzbijała w pychę rogatą.

Polegano zresztą na opiece jakichś niezwykajnie cudotwórczych relikwiów, zabezpieczających bracie zakonną od wszelkiego szwanku oręża. Liczono w końcu na stopy owej brzęczącej po skarbcach krzyżackich gotowizny, która w początkach wojny rzeczywiście wszechstronnie pomocną się okazała. „Mam ja całą wieżę złota – przechwalał się płochy Ulryk – którą zawojuję dziesięć takich królestw jak Polska.”

Jakoż o niczym innym, jak tylko o zawojowaniu całej Korony, skoro według obostronnych przewidywań wznowi się wojna o św. Janie, była mowa w Zakonie. Co tym niewątpliwiej do

skutku chcąc przyprowadzić, podejmowano odpowiednie przygotowania do walki. Jeszcze przed sprzedajnym sądem Wacława zakupił sobie Zakon podobnież pomoc Zygmunta, ofiarując mu 40 000 złotych węgierskich, o których własny sekretarz Zygmuntów opowiada w swym pamiętniku, że je własnoręcznie „liczyć pomagał”. Stało za nie w ostatnich dniach roku 1409 zaczepne i odporne przymierze między Zakonem a Węgrami, obowiązujące Zygmunta do wypowiedzenia wojny Jagielle, jak tylko Polska zacznie wojnę z Krzyżactwem. Najęto, dalej, w tenże sam sposób posiłki książąt pomorskich, w szczególności Swantebora z Szczecina, który własnego syna Kazimierza zbroił Krzyżakom; zapewniono sobie pomoc biskupów z Inflant, Kurlandii, Rewlu i wyspy Oesel; zaciągnięto liczne żołdactwo w Niemczech.

Ze wszystkich krajów zachodnich, znad Renu, z Francji, z Szwajcarii przybywały hufce gości rycerskich, uzbrojone i wojujące o własnym koszcie. Witał je niezmiernie żywy w całym Zakonie zapal do wojny, niezmiernie żywy w całym kraju ruch przygotowań wojennych. Od wielu miesięcy powołane było pospolite ruszenie wszystkich zbrojnych sił kraju. Wszystkie granice były gęsto osadzone wojskami. Stołeczna twierdza Zakonu, Malborg, została zaopatrzona na długie czasy w składy żywności i rynsztunku. Krzyżackie kuźnie wojenne, krzyżackie ludwisarnie w Malborgu, w Gdańsku, dniem i nocą kuły oręż, lały armaty, wierciły strzały ogniste.

Ludwisarnia malborska ułała tymi czasy olbrzymie działo, „jakiego nie widziano dotąd w żadnym kraju niemieckim, ani w Polsce, ani w ziemi węgierskiej”. Po licznych warsztatach krawieckich wyszywano chorągwie i chorągiewki, czyli ówczesnym wyrazem „płachty” i płachetki wojenne, różnej wielkości i materii, jedwabne ze złotym haftem, płócienne z malowanymi znakami, prawie wszystkie o dużym krzyżu zakonnym. Wchodząc w najdrobniejsze szczegóły warowności zamurowano na wypadek oblężenia większą część okien w twierdzach, urządzano do obrony wszystkie zakąty zamków, nawet schody najskrytsze.

Ale tym przygotowaniom zewnętrznym nie odpowiadało należyte przysposobienie ducha. Chcąc w tej mierze przy coraz bliższym kresie rozejmu, przy coraz bliższym wybuchu wojny obeznać się z usposobieniem przeciwnych stron, postrzegamy osobliwszą różnicę w obozach nieprzyjacielskich. W Polsce uderza pewna nieśmiałość, pewna powściągliwość moralna, nie dowierzająca własnej potędze, prawie nazbyt wysoko ceniąca potęgę przeciwnika. Stąd jakkolwiek gorąco pragnęła Korona poniżenia Zakonu, naprawy uszczerbków swoich, chętnie by przecież przystali byli Polacy na dopięcie tego celu drogą pokoju, choćby z mniej świetnym skutkiem.

Zezwoliwszy w październiku na wcale niechlubny rozejm, nie wzgardzili oni następnie propozycją przedłużenia go jeszcze o dni czternaście. Aż do ostatniej chwili dwukrotnego zawieszenia broni, owszem aż do ostatniej chwili przed rozstrzygnięciem losów na polu bitwy, oczekuje Polska głosu pokoju. Tuż przed ostatecznym wybuchem wojny otrzymał Zakon przyjazne pismo z podarkami od siostry króla Jagielle, mazowieckiej księżny Aleksandry Ziemowitowej, upraszające o przedłożenie słusznych warunków zgody. Wielkość coraz bliższej katastrofy wojennej przenika pobożnym strachem Jagielle, skłania go do skruchy religijnej, do uświęcenia się zasługami bogobojności.

Kilką tygodniami przed odnowieniem wojny zakłada król klasztor premonstratensów w Sądczu, pielgrzymuje do owej starożytnej świątyni na Łysej Górze, która już za dni pogaństwa, gdy on najpierwej z dziczą litewską rozpuszczał zagony po Małopolsce, a potem z Litwy do Krakowa ciągnął po chrzest, koronę i Jadwigę, tak wielkie sprawiła na nim wrażenie. Stanąwszy teraz około połowy czerwca w miasteczku Słupi pod górą świętokrzyską udał się Jagiełło ze wschodem słońca pieszo do świątyni u szczytu i przez cały dzień na klęczkach w modlitwie tam pogrążony poruczał swoją sprawę cudownej obronie Krzyża świętego.

Jakże przeciwnym usposobieniem grzeszyli teraz ci, którzy przecież mieli nazwę od tegoż krzyża! Wspomniona kilkokrotnie zarożumiałość i hardość terażniejszego Krzyżactwa

wzmogła się z wojną w bezprzykładną pychę światową, obrażającą przyjaciół i nieprzyjaciół. Mimo rzeczywistych popędów pobożności, mimo zawieszonoego na piersiach relikwiarza zapomniał wielki mistrz Ulryk o przyzwoitej Zakonowi pokorze, dbając jedynie o jak najświetniejszą okazałość przyborów i zwyczajów rycerskich, honorowych. Przy napływie kwiatu młodzieży szlacheckiej ze wszystkich krajów popisywali się teraz Krzyżacy praktyką najbłyszczotniejszych wymysłów i zwyczajów dawnej szwalerii.

Naśladując starożytny zwyczaj ślubów rycerskich zobowiązał się np. tucholski komtur Henryk ślubem solennym do noszenia przed sobą tak długo dwóch gołych mieczów, aż dopóki w polskiej nie umoczy ich krwi. Użycie jednego z takich staroświeckich, lecz mało komu już znanych obyczajów, mianowicie obrzędu wyzwania przeciwnika do boju dwoma nagimi orężami, dało nawet powód do głośnego po wszystkich krajach gorszenia się zuchwalstwem Niemców pruskich.

W skażonym zaś duchu terażniejszej szwalerii należało przed wszystkim pogardzić wrogiem. Do czego z dziwnym stosując się zaślepieniem lekceważyło Krzyżactwo wszelkie wiadomości i ostrzeżenia o siłach nieprzyjaciela. Dowiedziawszy się przypadkowo o nagromadzonych w Polsce posiłkach zagranicznych donosi o tym pewien urzędnik Zakonu wielkiemu mistrzowi Ulrykowi, lecz dodaje wzgardliwie, iż nie ma co wierzyć temu. Gdy wielkiemu mistrzowi przedstawiano mnogość nadciągających Polsce posiłków Witołdowych, zawołał Ulryk z urąganiem: „To motłoch! Tam więcej łyżek niż broni!” Słyszając o budowie wielkiego w Polsce ruchomego mostu przez Wisłę drwił Ulryk z obecnych właśnie Polaków: „Cóż tam za most budujecie w powietrzu! Obaczymy, kto po nim przejdzie!”

A nie widząc miecza nad karkiem, nie widziano podobnież przepaści pod nogami. Tymczasem długie lata ucisku podkopały Zakon powszechną nieżyczliwością własnego kraju, otoczyły go niechęcią własnych poddanych, gotową korzystać z chwili niebezpieczeństwa, aby zdradzić swoich ciemiężców. Jakoż nad wszelkie inne wyrzekania przeciw nieprawości Krzyżactwa świadczy o niej ta bezprzykładna (jak sami Krzyżacy wyznają) gotowość do zdrady i wiarołomstwa, z jaką wszystkie bez wyjątku stany ludności pruskiej opuściły niebawem Zakon tonący, a która już i teraz podmulała mu brzegi.

Owa ochoczość dziadów pruskich do szpiegowania na rzecz Polaków, owa gotowość księży pruskich do przesyłania nowin Polakom była tylko jednym z wielu innych objawów powszechnego ducha odstępstwa. Za nastaniem wojny obaczym ten sam pochop do zdrady w ziemiaństwie pruskim, wojującym poniewolnie pod sztandarami Zakonu. „Wielce mi żal – pisze przed wojną pewien poufnik do wielkiego mistrza Ulryka – że macie tyle niewiernego narodu w swoim kraju, a nie poznajecie się na jego niewierności...”

Sami wreszcie Krzyżacy umotali sobie pewne dalsze, nadliczbowe sidło upadku. NadstaWił je niechęć ów szwagier Jagiełłów, Zygmunt, którego od początku powieści naszej spotykaliśmy tylokrotnie w drodze wypadków, a zawsze w nader podejrzanej postaci. Niebezpieczniejszy swoją przyjaźnią niż nieprzyjaźnią, miał on ten los nieszczęśliwy, iż nad kimkolwiek rozpostarła się jego ręka obronna, ten pewnie zginął. W czasie zamieszek po śmierci króla Ludwika bronił Zygmunt w Polsce następstwa swojej małżonki Marii, a sprawa Marii upadła; w czasie zaburzeń domowych w Węgrzech pospieszył Zygmunt ku wyzwoleniu uwięzionej przez rokoszan starszej królowej Elżbiety, a rokoszanie zamordowali Elżbietę; zwyciężonym później powstańcom węgierskim zaprzysięga Zygmunt przebaczenie i łaskę, a kaźden z nich ginie za jego sprawą; sławnemu Husowi daje Zygmunt na piśmie zapewnienie „swobodnego pobytu w mieście Konstancjum i również wolnego stamtąd p o w r o t u”, a Hus na stosie płonie w Konstancjum.

Ale nie masz nigdy tak dwuznacznego obrońcy, który by nie znalazł jeszcze dwuznaczniejszej od siebie sprawy, uciekającej się pod jego skrzydła. Podobnież i Krzyżacy w obecnej chwili, zakupując sobie sprzymierzeńców i polubowników dokoła, uciekli się także do sprzedajności Zygmunta. Zawarty z nim traktat zaczepny i obronny, o którym było wyżej, obowią-

zywał go do wspólnego z Krzyżactwem wystąpienia przeciwko Polsce. Wszakże pominąwszy dawne traktaty z Polską, zabezpieczające ją na kilka jeszcze lat dalszych od wszelkiej wojny z Zygmuntem, nie miał on wcale chęci dotrzymać słowa i pomocy Krzyżakom, pragnął w gruncie przygaśnięcia sporu Zakonu z Polską.

Stąd gdy Władysław Jagiełło nie wiedząc o świeżym traktacie Zygmunta z Krzyżakami, a zawsze do pokoju gotowy, zgłosił się w tej mierze do szwagra węgierskiego, pochwyił Zygmunt następczą się sposobność do rozbrojenia przeciwnych stron, jał się usilnie pośrednictwa między Zakonem a Polską. Po bezskutecznym zjeździe wielkiego księcia Witołda z Zygmuntem około połowy kwietnia w Kezmarku przyrzekł król węgierski zjechać przed końcem rozejmu osobiście na miejsce sporu, do krzyżackiego Torunia i otrzymał już dnia 27 kwietnia zwyczajny w takim razie glejt bezpieczeństwa do przejazdu przez Polskę. To niezmiernie zaszkodziło Krzyżakom; owszem (jak oni sami skarżyli się następnie) ostatecznie zgubiło Zakon.

Uwikłani bowiem przez Zygmunta w nadzieję przydłuższego ociążenia się wojny, ociążnęli się panowie pruscy z najęciem gromadzących się zewsząd ku pobojuwisku hufców żołdactwa zagranicznego, przeco te zarówno Polsce, jak i Krzyżactwu służyć gotowe zgraje zaciągnęły się powszechnie na rychlej ofiarowany żołd polski. Zygmunt zaś po swojemu nie dotrzymał bynajmniej słowa, nie przybył do Torunia. Rozejm świętojański nie przedłużył się do spodziewanej z początku odległości, a gdy w pierwszej połowie lipca wybuchła wojna, ujrzeli Krzyżacy też samą niepoślednią siłę zbrojną naprzeciw sobie, którą bez Zygmunta byliby mieli po swojej stronie.

Zamiast Zygmunta przybyli tylko jego posłowie, palatyn węgierski Mikołaj Gara i Ścibor z Ściborzyc wojewoda siedmiogrodzki, jeden z głównych poufników Zygmuntowych, Polak herbu Ostoja. Zagajone przez nich układy nie wydały żadnego skutku. Panowie pruscy spostrzegli za późno szkodliwość zbytniego zaufania konszaktom Luksemburczyka, zbytniej pewności siebie samych i swego szczęścia i zaczęli tym skwapliwiej rozbijać się za żołdactwem zaciężnym. Podobnież i w Polsce nie było jeszcze końca przygotowaniom wojennym, mianowicie oczekiwano jeszcze nadciągnięcia Witołda z Litwą, Rusią i Ordą przez Mazowsze od Narwi, oczekiwano przybycia reszty posiłków ruskich ze Lwowa, Podola i Wołoszy.

Częścią więc dla uzupełnienia wyprawy zbrojnej, częścią dla niejakich jeszcze pozorów gotowości do zgody przedłużono rozejm świętojański o dni czternaście do 8 lipca wieczorem. Tymczasem postępowały wojska polskie coraz bliżej ku granicom krzyżackim, aby natychmiast po upłynieniu rozejmu stanąć na ziemi nieprzyjacielskiej. Już w pierwszej połowie maja pożegnawszy stolicę, poruczoną pod niebytność królewską namiestniczemu rządowi arcybiskupa Mikołaja z Kurowa – zatrzymał się król następnie przez dłuższy czas w Korczynie, odprawił w połowie czerwca owo nabożeństwo w klasztorze świętokrzyskim, a w dzień przedłużenia rozejmu o św. Janie znajdował się jeszcze w Wolborzu, w głębi Królestwa.

Stamtąd spodziewali się Krzyżacy pochodu króla z wojskiem ku tym samym zachodnio-północnym okolicom Bydgoszczy, gdzie w roku przeszłym stały wojska królewskie i dospiał rozejm. Ku tej więc stronie zwracając głównie uwagę założył wielki mistrz Ulryk ogromny obóz po lewym brzegu Wisły pod Świeciem, dokąd wszelkimi drogami nadciągały wojska krzyżackie. Zebrała się tam z braci zakonnej, z posiłków inflantskich, z wojsk krajowych, z żołnierstwa zaciężnego, z gości rycerskich nie zapamiętana w Prusiech potęga zbrojna, złożona z blisko stu tysięcy wojownika, wyglądająca z otuchą armii królewskiej.

Król Władysław jednak, zamiast wyruszyć ku północno-zachodniej stronie, pomknął się w kierunku północno-wschodnim, naprzeciw przybywającemu od wschodu Witołdowi. W dniach 30 czerwca tudzież 1 i 2 lipca przeprawiły się wojska polskie z wszelkimi przyborami wojennymi po owym przez całą zimę budowanym moście na łodziach pod Czerwieńskim, z lewego na prawe wybrzeże Wisły. Tamże nadciągnęły do obozu królewskiego z prawej strony

posiłki mazowieckich książąt Janusza i Ziemowita, połączyły się wreszcie z Polakami wojska litewskie pod Witołdem i tatarskie pod chanem Saladynem.

Z wszystkich zgromadzonych w ten sposób oddziałów urosła bezprzykładnie wielka, czyli – jak Krzyżacy później mówili – „niewysłowienie ogromna” armia polska, pełna najrozmaitszych narodów, języków i trybów wojowania, zapewne dwójnasób liczniejsza od wojsk krzyżackich i tym jeszcze górująca nad nimi, iż Krzyżacy mieli ją za nierównie szczuplejszą i mniej udatną, niż ona była w istocie. Z tąż nawałnicą zbrojną wyruszył król niezwłocznie prostą drogą na północ, ku granicom pruskim w okolicach Lautenburga. Ogólnym planem wyprawy był pochód ku stolicy krzyżackiej, Malborgowi, do której chcąc bliższym dostać się traktem wypadało przejść rzekę Drwęcę.

Co łatwo zmiarkowawszy, opuścili Krzyżacy swoje stanowisko po lewym brzegu Wisły u Świecia i pomknęli się co prędzej w kierunku poprzecznym ku granicom polskim nad Drwęcą, aby wzbronili przejścia Polakom. Ponieważ celowi temu odpowiadała przed wszystkim artyleria potężna, przeto ściągnął wielki mistrz Ulryk jak najrychlej z Malborga i innych twierdz pobliskich wielką liczbę puszek i dział, którymi wojska krzyżackie wzięły stanowczą przewagę nad polskimi. Zarazem obwarowano Drwęcę gęstym rzędem ostrokołów, zasiek, wilczych dołów itd.

Owoż gdy tak obadwa wojska nieprzyjacielskie jeszcze w granicach własnego kraju zmierzają naprzeciw sobie, gdy zwłaszcza Jagiełło miał jeszcze trzy dni drogi do granicy krzyżackiej, stanęli u niego w obozie pod Jeżowem, dnia 5 lipca w sobotę, posłowie węgierscy Gara i Ścibor, próbując ostatniego pośrednictwa pokoju. Łagodny i umiarkowany zawsze Jagiełło zażądał po dawnemu tylko zwrotu ziemi dobrzyńskiej i Żmudzi, lecz zażądał w postawie zbrojnej, nie przerywając działań wojennych. Posłowie węgierscy udali się w najlepszej myśli do obozu wielkiego mistrza, stojącego nad Drwęcą pod Kurzętnikiem, i długo, bezskutecznie radzili z nim o pokoju.

Jagiełło tymczasem w pierwszej dobie po upływie rozejmu, dnia 9 lipca we środę, przeszedł granicę, dążąc podobnież ku Drwęcy u Kurzętnika. Zanim jeszcze panowie pruscy oznajmili posłom węgierskim wyrok ostatni, rozniosła się w obozie krzyżackim wiadomość o pierwszych nieprzyjacielskich krokach z strony Polaków, zajaśniały pierwsze łuny pożarów. Hardemu usposobieniu terażniejszego Krzyżactwa wydało się to zniewagą do niezniesienia. Na toż rozzuchwalony od dawna Zakon miał tak wojennie odgrażać się przeciw Polsce, aby teraz złożył oręż spokojnie, gdy nieprzyjaciel kraj mu pustoszy!

Zaczem „Wojny, wojny!” zażądało jednogłośnie rycerstwo zakonne w burzliwej radzie ostatniej, a parlamentarz Jagiełłów, Korcbog, wyprawiony do posłów węgierskich po odpowiedź na rozmowę w Jeżowie, wrócił z niczym do króla. Wtem doszła Krzyżaków wieść, że Polacy cofają się sprzed Drwęcy, pozostawiając w pośpiechu sprzęty i amunicję po drodze. Była to wieść prawdziwa, spowodowana przeświadczeniem się wojsk polskich o niezmiernie trudnej przeprawie przez rzekę Drwęcę. Postanowił w takim razie Jagiełło dążyć pod Malborg drogą nieco dalszą, lecz bezpieczniejszą, powyżej źródeł Drwęcy. W tym celu zwrócono się sprzed Kurzętnika w strony przeciwną, na wschód, ku Działdowowi, aby stamtąd wyruszyć znowuż naprzód, w stronę północną.

Dziwne zaślepienie Krzyżaków mniemało widzieć w tym istny odwrót, spowodowany małodusznością. Ogarnęła stąd wielka radość rycerstwo pruskie, powiększona pewnym dalszym następstwem położenia terażniejszego. W dniach 12 i 13 lipca, stosownie do traktatu między Zakonem a Zygmuntem obowiązującego Koronę Węgierską do podniesienia oręża przeciw Polakom, skoro król polski wtargnie z wojskiem do Prus, nastąpiło w obozie polskim wypowiedzenie wojny Jagielle z strony Zygmunta. W tak pomyślnym składzie okoliczności należało Krzyżakom korzystać z pory zabiegając śmiało drogę wojsku polskiemu.

Jakoż uczynił to z wielką skwapliwością mistrz Ulryk i między 13 a 14 lipca posunął się coraz dalej na wschód, ku wsiołom Lobawie i Fragenowu, w poprzek zamierzonemu pochodo-

wi Polaków. W tym samym czasie wyruszył Jagiełło z Działdowa w swój pochód ku północy, pod miasteczko Gilgenburg, czyli Dąbrowno, które dnia 14 w nocy zdobyto i zburzono. Nazajutrz, dnia 15 lipca we wtorek, wskutek coraz dalszego posuwania się nieprzyjaciół w obranym raz kierunku, Krzyżactwa spod Lobawy i Fragenowa ku wschodowi, Polaków zaś spod Dąbrowna ku północy, miały obiedwie armie ogromne zetknąć się niespodzianie w okolicy wsi Grunwaldu i Tannenberga.

Noc z dnia 14 na 15 lipca była nadzwyczajnie wietrzna, burzliwa. Gdy nazajutrz król Władysław Jagiełło w obozie pod Dąbrownem chciał o świcie wysłuchać mszy św. przed pochodem, nie zdołano dla wichru rozpiąć żadną miarą namiotu, pod którym zwyczajnie odprawiało się nabożeństwo. Uprosił tedy wielki książę Witold króla Jagiełłę, aby do nieco późniejszej chwili odłożył modły, a tymczasem wyruszył w drogę. Tym sposobem postąpiła armia królewska o dwie mile na północ i znalazła się przed południem w pobliżu wsi Logdau i Faulen, czyli Ulnowo, z ubocza od Grunwaldu i Tannenberga, leżących o pół mili na lewo ku zachodowi.

Okolica, przez którą odbył się właśnie pochód, porastała gęsto lasami i gajami. Stanęli Polacy na samej krawędzi tegoż lesistego obszaru, u brzegu szeroko przed nimi rozwartej przestrzeni polnej. Rozciągała się ona cokolwiek z ukosa ku zachodowi, na rozległość milową, coraz podniosłej ku zachodnio-północnym krańcom. W pośrodku jej amfiteatralnego wzniesienia, o pół mili od siebie leżały ubogie sioła Grunwald i Tannenberg, tamto niżej na lewo, to nieco wyżej ku prawej stronie. U stóp Grunwaldu, czyli właściwie Grünfeldu, tj. Zielonej Wsi, ku stanowisku polskiemu zieleniały bujne łąki i niwy; od Tannenberga, przeciwnie, szarzał w tym samym kierunku naprzód znaczny spłacheć ugoru, dalej zaś całkiem dziki, zamarty step. Tylko w połowie odległości między taborom polskim a Tannenbergiem zieleniała kępa sześciu ogromnych dębów.

W obliczu takiegoż przed sobą widokregu zajęli Polacy i Litwini niskie, lesiste podnóże okolicy, oblane z lewej strony kończyną długiego jeziora dąbrowskiego, z prawej jeziorem Lubeń. Myślano atoli zabawić niedługo w tym stanowisku, mianowicie przez krótki tylko czas nabożeństwa i wypoczynku. Gwoli temuż rozpięto na wzgórku nad jeziorem lubeńskim namiot kapliczny, a żołnierstwo rozłożyło się wzdłuż brzegów lasu i w lesie. Nad wojskiem polskim miał od niedawna komendę miecznik krakowski Zyndram z Maszkowic, szlachcic z ziemi sanockiej, według wyrażenia się kronik „tegoż samego herbu co słońce”, przed dwudziestą laty starosta Kamieńca Litewskiego, „człek animuszu wielkiego, a prawie hetmańskiego, chociaż osoby nie wysokiej, lecz zsiadłej”. Wojskom litewskim przewodził sam wielki książę Witold, znany wojownik, dbały teraz osobliwie o jak najsroższą karność dzicy litewskiej, niejednokrotnie tymi czasy karanej przezeń rozkazem powieszenia się własnoręcznie.

Gdy wojska krzątały się około założenia taboru, a bogoboyny Jagiełło udaje się do kaplicy, nadbiega pewien szlachcic chełmski, Hanko Ostojczyk, donosząc królowi o dostrzeżeniu jednej chorągwi nieprzyjacielskiej w stronie Grunwaldu. Tuż za nim przyspieszył drugi, trzeci i czwarty z wiadomością o coraz większej sile krzyżackiej, o całym wojsku pruskim. Powzięcie decyzji w takim razie należało do ustanowionej niedawno najwyższej rady wojennej, składającej się z ośmiu dostojników koronnych, którymi byli mianowicie terażniejszy „pan krakowski” Krystyn z Ostrowa, wojewoda krakowski Jaśko Tarnowski, Sędziwoj z Ostroroga wojewoda poznański, Mikołaj z Michałowa wojewoda sędmierski, Mikołaj Trąba proboszcz u Św. Floriana i podkanclerzy koronny, Zbigniew z Brzezia marszałek królestwa, Piotr Szafraniec podkomorzy krakowski i młody książę mazowiecki Aleksander Ziemowitowic.

Ci doradcy wojenni, wraz z dowódcami Witoldem i Zyndramem, nie zatrwożyli się bynajmniej bliskością nieprzyjaciela. Położenie wojsk polskich i litewskich było wcale dogodne. Stojąc po większej części pod zasłoną lasów i gajów nie mogły one z łatwością opadnięte być przez Krzyżactwo, a miały wszelką wolność wystąpienia, kiedy zechcą, do walki. Na wypa-

dek zawiązania się bitwy w parowach leśnych znana bieglność Litwy, Rusi i Wołoszy w podobnym rodzaju wojny, a powszechna w tej mierze niewprawność rycerstwa niemieckiego wróżyła niewątpliwą korzyść stronie królewskiej.

Co więcej, rozłożone po wyżynie wojska nieprzyjacielskie jak same pomimowolnie stanęły na widoku, tak nie mogły nawzajem zmiarkować liczby wojsk polskich, w znacznej części lasem zakrytych. Zaczem postanowili doradcy i wodzowie polscy nie występować zaczepnie, lecz zachować się tylko w gotowości na wszystko, przedsiębiorąc zwyczajnie przed każdą bitwą przyrządzenia wojenne. Pobożny zaś król Władysław udał się spokojnie do kaplicy i słuchając tamże d w ó c h mszy w długie pograżył się modlitwy. Może też jeszcze tymczasem – mniemała osobliwsza dobroduszość królewska – uznają Krzyżacy słuszność wymagań polskich i bez rozlewu krwi uczynią zadość sprawiedliwości.

W ciągu nabożeństwa Jagiełłowego i podejmowanych wszędzie przygotowań wojennych kto inny miasto króla zajął pierwsze miejsce na scenie zdarzeń. Był nim wielki Kiejstutowic Witołd, główny dnia grunwaldzkiego bohater. Równie niecierpliwy i nagły, jak król polski ociągający się i powolny, rzucił się wielki książę czym prędzej do rozstawiania walnych oddziałów armii, do szykowania pojedynczych chorągwi, do wydawania rozkazów w razie bitwy.

Przy powszechnym rozpodzieleniu wojsk osadzili się Polacy na skrzydle lewym, ku Grunwaldowi; Litwini na prawym, od Tannenberga, Nad lewym skrzydłem polskim, zawierającym także zaciężne rotty niemieckie i chorągwie niektórych prowincji ruskich, mianowicie Rusi Czerwonej i Podola liczonych do Korony, miał najwyższe dowództwo rycerski miecznik krakowski Zyndram. Skrzydłu, czyli „rogowi” litewskiemu, obejmującemu zbrojne siły Litwy, tudzież reszty ziem ruskich i Tatarstwa pod Saladyne, przewodził osobiście wielki książę litewski.

Obiedwie połowy armii składały się z pomniejszych zastępów, czyli chorągwi złożonych zwyczajnie ze stu, najwięcej dwóchset rycerzy konnych i pewnej liczby pieszaków. Każda chorągiew dzieliła się następnie w kilka coraz szczuplejszych pocztów, a kilka chorągwi razem, zwłaszcza w wojsku litewskim, szykowało się „starodawnym zwyczajem” w klin. U węższego przodu, czyli „przedszpicy”, takiego klinu stał doborny poczet najzawołniejszych rycerzy, ochotników, zwanych rycerstwem „przedchorągiewnym”, ile że dopiero za nimi nieśli chorążowie chorągwie. Każdy „znak” słucał nadto rozkazów osobnego dowódcy, a w wojsku litewskim bywał on tak ustawiany, iż szpica i ściany oboczne jeżyły się żołnierstwem w należytych rynsztunku i na dzielniejszych koniach, środek zaś nadziewano zgrają pośledniej uzbrojoną.

O ile z lesistym położeniem miejsca zgadzało się, stanęły wszystkie chorągwie obudwóch skrzydeł po części na widoku, po części też w zaroślach według zwyczajnego podania w t r z e c h niezmiernie rozciągniętych rzędach, inaczej „hufach”. Pierwszy z tych hufów zwał się powszechnie „czelnym”, następny „walnym”. Uformowały się z nich dwie „ulice” wojskowe, po których od jednego końca skrzydeł po drugi przebiegał główny szykownik bitwy, Witołd. Uderzona jego marsowym widokiem imaginacja narodu przypominała sobie przez długie lata tę wielką chwilę, śpiewając o synu Kiejstutowym w starej pieśni rycerskiej: „Idzie Witołd przez ulicę; Przed nim niosą dwie szablce” – godło najwyższej władzy wojennej.

Cała lustrowana przezeń linia bojowa rozciągała się tymi trzema hufami, a dwoma ulicami w szerokość małej mili. Liczono w skrzydle i wojsku polskim chorągwi 50, w skrzydle i wojsku litewskim 40. W wojsku polskim powiewały na chorągwiach znamiona różnego kształtu, różnej barwy i różnych właścicieli. Były tam chorągwie, czyli znaki nadworne, ziemskie, pańskie i zagraniczne. Najpierwsze miejsce, nawet przed dwoma znakami nadwornymi, trzymała chorągiew „ziemi” krakowskiej, o białym orle w koronie. Prowadził ją osobiście miecznik krakowski i hetman wojska polskiego, Zyndram, a przed sztandarem w ręku Marcisza z Wrocimowic herbu Półkoza stali w poczcie „przedchorągiewnym” najzawołniejsi rycerze kra-

ju: Zawisza Czarny Sulimczyk, Florian z Korytnicy Jelitczyk, Domarat z Kobylan Grzymalita, Skarbek z Gór Habdank, Paweł Złodziej z Biskupic herbu Niesobia, Jan Warszawski Nałęcz, Stanisław z Charbinowic Sulimczyk i Jaksza z Targowiska Lis.

Drugie i trzecie miejsce zajmowały znaki nadworne, jeden o podwójnym krzyżu litewskim – drugi, złożony z dworzan, o Pogoni litewskiej. Pod czwartą chorągwią z wizerunkiem św. Jerzego, zwyczajnego patrona wszystkich ochotników rycerskich, stało rycerstwo zagraniczne, po większej części z Moraw i Czech, składające oprócz tego całą chorągiew czterdziestą dziewiątą i niektórym innym jeszcze chorągwiom poprzydzielane garstkami. Szesnaście chorągwi o herbach ziemskich składało się z pospolitego ruszenia szlachty ziem różnych, pomiędzy którymi widziałeś cztery ruskie, mianowicie ziemię przemyską o jednym znaku, lwowską o jednym, halicką o jednym i podolską o trzech. Pod chorągwiami dwudziestą pierwszą, drugą i trzecią znajdowały się posiłki mazowieckie, książąt Janusza i Ziemowita. Dwie chorągwie następne należały arcybiskupowi gnieźnieńskiemu Mikołajowi z Kurowa i biskupowi poznańskiemu Wojciechowi herbu Jastrzębiec.

Byli to jedyni duchowni panowie polscy, którzy przykazaną statutem pomocą zbrojną przyłożyli się do wojny terażniejszej. Bądź to na samych pieniężnych poprzestając posiłkach, bądź też z obawy mściwego pustoszenia kościelnych dóbr przez Krzyżaków od wszelkiej wstrzymując się pomocy, dali oni wyprzedzić się w tej mierze mniej licznym biskupom nieprzyjacielskim, z których wszyscy dostawili po jednej chorągwi wojskom krzyżackim. Po biskupie płockim Jakubie pozostał tylko pokorny list do wielkiego mistrza Ulryka, „czciela sprawiedliwości”, z prośbą o niedozwolenie rabunku w „mnogich” włościach biskupich. Krotofilny zaś biskup kujawski, Jan Kropidło, zbył króla polskiego nadesłaniem prorocstwa, które dowodziło z Apokalipsy św. Jana, iż Polacy odniosą tryumf.

Największą atoli potęgą zbrojną wsparli Koronę najmożniejsi panowie świeccy. Podczas gdy z pospolitego ruszenia wszystkiej szlachty ziem polskich stanęło tylko 17 proporców, dwudziestu dwóch panów magnatów koronnych uzbroiło swoim kosztem 22 chorągwi. Nie doczekali się tego zaszczytu owi panowie krakowscy z Melsztyna, z Szubina, z Kurozwęk, z Goraja itd., których u wstępu i w połowie powieści naszej widzieliśmy tak gorliwie pracujących nad obecną pomyślnością Królestwa, po większej części już w grobie. Za niektórych przecież nadciągnęły pod Grunwald chorągwie synów i wnuków, jak np. dwudziesta siódma wojewody krakowskiego Jana z Tarnowa; trzydziesta trzecia kasztelana wojnickiego Andrzeja z Tęczyna; trzydziesta dziewiąta Spytka jarosławskiego, Leliwy.

Zresztą świeciły teraz po największej części chorągwie nowych ulubieńców fortuny, nowych Korony dzisiejszej dygnitarzy, jak np. dwudziesta szósta „pana krakowskiego” Krystyna, dwudziesta ósma wojewody poznańskiego Sędziwoja Ostroroga, dwudziesta dziewiąta wojewody sędmierskiego Mikołaja z Michałowa, trzydziesta czwarta Zbigniewa z Brzezia marszałka, czterdziesta druga Krystyna z Kozichgłów kasztelana sandeckiego itd. Wiele chorągwi przystawili magnaci skromnego potąd imienia w dziejach, lecz tym głośniejsi w wiekach następnych, jak np. trzydziestą wojewoda sieradzki Jakub na Koniecpolu, trzydziestą drugą – wojewoda łęczycki Jan Ligeza z Bobrku, trzydziestą ósmą – Dobiesław Oleśnicki, czterdziestą piątą – Mikołaj Kmita, czterdziestą siódmą Zaklika itd. Kilka znaków zawdzięczała Korona takim imionom pańskim, które ani przeszłością, ani przyszłością nie utrwalone zajaśniały tylko blaskiem chwili przelotnej, jak np. trzydziestą pierwszą, nadesłaną przez jakiegoś magnata „z Obichowa” i czterdziestą przez pana Marcina z Sławska.

Pod dwoma osobnymi chorągwiami skupili się sami „stryjcowie” dwóch starodawnych rodów herbowych, pod czterdziestą szóstą szlachetni bracia Gryfici, prowadzeni przez Zygmunta z Bobowy, podsędka krakowskiego, pod czterdziestą ósmą bracia herbu i zawołania Koźlerogi. Ostatnią wreszcie chorągiew polską i wyprawił dawny powiernik Wilhelmów i Jagiełłów, a oszczerca Jadwigi, pan Gniewosz z Dalewic, teraz podstoli krakowski. Stała jego

rota u szarego końca chorągwi polskich, jakoby wzgardzona przez rycerstwo krajowe, okryta wyłącznie żołdactwem cudzoziemczym, najętym za nie dość zacie nabyty grosz.

Od następnego po niej znaku pięćdziesiątego pierwszego zaczynało się prawe skrzydło litewskie. Tam nad rotami nierównie rzadszymi i gorzej uzbrojonymi powiewało 40 chorągwi o jednym i tymże samym herbie, tj. o Pogoni litewskiej, różniące się tylko różnymi barwy pola. Z tej czterdziestki – ośmnaście stanęło pospolitym uzbrojeniem bojarstwa różnych ziem litewskich i ruskich, mianowicie trockiej, wileńskiej, grodzieńskiej, kowieńskiej, lidzkiej itp. Reszta składała się z hufców książąt hołdownych i posiłków tatarskich. Dodać jeszcze należy pewną ilość artylerii ówczesnej, która wszakże jak już w wzmiance poprzedniej okazała się nam znacznie późniejszą od pruskiej, tak też uszła w całe uwagi kronik.

Co do ogólnej liczby wojsk polskich i litewskich, tę można oznaczyć najlepiej według liczby chorągwi sposobem następującym. Każda chorągiew ówczesna zawierała najwięcej 200 kopij, czyli jeźdźców rycerskich, i czterekroć tylu pieszaków z łukiem lub kuszą, razem 200 koni, a około 1000 ludzi. Powszechnie atoli szła na jedną chorągiew zaledwie połowa tej ilości. Choćbyśmy więc przyjęli największą pełń chorągwi, nie doliczylibyśmy się pod wszystkimi polskimi i litewskimi znakami więcej nad 90 000 ludzi, a z dodatkiem reszty przyborów i tłumów obozowych więcej nad 100 000.

Jakoż sama lesistość miejsca, zajętego przez wojska polsko-litewskie, nie dozwalała rozwinąć znaczniejszych sił, zwłaszcza w p o ś r o d k u borów i gajów. Gdyż, jak powiedziano, armia Jagiełły i Witolda stała po największej części w ukryciu lasów, niewidoma Krzyżakom, a tylko mały jej oddział, głównie z Litwy i Tatarów złożony, świecił oczom wojsk pruskich i zdawał się całą armią. Toż i owe trzy hufy, czyli rzędy bojowe, uformowane przez wszystkie chorągwie polsko-litewskie, a tworzące ową podwójną „ulicę” Witołdową, dopiero po wystąpieniu wszystkich znaków z obrębu przestrzeni leśnej odsłoniły się w całej okazałości.

Teraz z mniejszą rozkoszą oka, a większym pożytkiem rzeczywistym działały się wszystkie przygotowania wojenne w skromnej omroczy i cieśni lasów, lecz działały się nie mniej sierzdście i żywo. Wszelkie uczucia przychylności, jakie w głównym sprawcy tych przygotowań, w Witołdzie, postrzegano niekiedy dla Zakonu, zostały teraz przygłuszone szczękiem oręża, rozbudzonymi wspomnieniami dawnych uraz i krzywd. Pomiedzy rycerstwem krzyżackim miał Witołd wielu osobistych nieprzyjaciół, śmiertelnymi względem niego obarczonych winami. Jeden z Krzyżaków, niejaki Sonnenberg, rodem z Rakuz, otruł mu dwóch w zakładzie w Królewcu pozostawionych synów w wieku dzieciennym; drugi, komtur brandenburski Markward Salcbach, nazwał go niegdyś zdrajcą i matkę sromotnymi słowy mu zelżył.

Wszyscy w ogólności Krzyżacy swoją butą rycerską, swoją jawną teraz pogardą dla Korony i Litwy obrażali śmiertelnie naszych książąt. Tylko pobożna powściągliwość króla Jagiełły mogła w obecnej chwili oddawać się nabożeństwu; Witołd i rycerstwo polsko-litewskie wrzało niecierpliwym żądaniem bitwy. Pobożny zaś Jagiełło w istocie ciągle jeszcze modlił się w kaplicy nad jeziorem, a wszystkie wyprawione doń posyłki z prośbą o wydanie hasła do boju przynosiły zawsze ten sam rozkaz czekania. Już południe mijało, a wojska polskie stały wciąż w tej samej gnuśnej na pozór nieruchomości.

Zwłoka ta przyniosła niemałą korzyść sprawie królewskiej. Podniosła bowiem do najwyższego stopnia zaślepienie Krzyżaków co do łatwości zwycięstwa nad Polakami. Zagrzani już tą nadzieją od chwili cofnięcia się króla sprzed Drwęcy rzucili się byli Krzyżacy czym prędzej w poprzek dalszej drogi wojsk polskich i znaleźli się dzisiaj niespodzianie w obliczu nieprzyjaciela. Aby się z nim nie rozminąć, dążył wielki mistrz Ulryk z tak niecierpliwym pośpiechem na spotkanie Polaków, iż wielka część armii pruskiej ubiegła dnia dzisiejszego trzy „niemieckie mile” od rana i była bardzo znużona. Lekceważąc od dawna potęgę nieprzyjacielską, nie mając dokładniejszych o niej doniesień ujrzeli Krzyżacy teraz niewielkie wojsko pod lasem i popadli w śmiertelny dla siebie błąd, iż widzą całą armię.

Widziano ją prócz tego w pozycji niekorzystnej, w nizinie, w cieśni, podczas gdy wojska pruskie, rozłożone na wzgórzach od Grunwaldu do Tannenberg, zajęły szeroką, roztworzystą wyżynę, miały wyborne miejsce do uderzenia „z góry”. Nad to wszystko stała ta nieliczna, źle umieszczona, cofająca się armia przez kilka godzin nieczynnie wobec szykujących się nieprzyjaciół. Wielki mistrz Ulryk zajął wygodnie stanowisko dowolne, ściągnął co rychlej resztę ku Grunwaldowi nadchodzących chorągwi, zatoczył działa, poczynił wszelkie przygotowania do bitwy, a wojsko królewskie nie śmiało mu w niczym przeszkodzić, zachowało się nieruchomo. Przy terażniejszej zarozumiałości Krzyżactwa niepodobna mu było oprzeć się myśli, że armia zakonna ścisnęła Polaków w trudnej do działania pozycji.

Wzbudzona tym uciecha podwoiła niewątpliwą pewność zwycięstwa. Niepoślednia też potęga rzeczywista, niepoślednie siły orężne czekały rozkazów wielkiego mistrza. W kilku uszykowanych do boju rzędach, czyli hufach krzyżackich liczono przeszło 50 różnych chorągwi, z których niejedna, jak np. oleśnicka ze Szląska i szczecińska z nadodrzańskiego Pomorza, wcale niezwykłym wówczas przykładem liczyła po 600 kopij rycerskich i z czterokroć tyleż knechtów. Wszystkie chorągwie razem – według obliczenia samych Krzyżaków, starających się później okazać swoje siły nader szczupłymi – dostarczały Polakom 83 000 przeciwników.

Była to niezmierna na owe czasy liczba, jakiej żadne z najślawniejszych zwycięstw tamto-wiekowych, wywalczanych zwyczajnie trzecią częścią tej siły, nie miało na swe rozkazy. W tak niezwykajnie ogromnej armii współubiegało się z sobą najzawołansze rycerstwo wszystkich krajów zachodnich. Z rycerzami niższego rzędu, acz głośniejszą sławą szli w zawody możni książęta panujący, jak np. młody książę na Oleśnicy Konrad, młody książę szczeciński Kazimierz, szczęśliwi nadzieją uczestniczenia w chwale dnia tego. Zebrana z tylu różnych oddziałów armia, tłumna osobliwie żołnierstwem różnych ziem pruskich, nie rażąca bynajmniej jednostajnością habitów mniszych odznaczała się, owszem, najprstrzejszą różnaitością kolorów i narodów, przedstawiała w małym obrazie cały Zachód europejski.

Krzążające się pomiędzy rotami „białe płaszcze” krzyżackie, właściwi bracia zakonnicy odgrywali tylko rolę dowódców i gospodarzy. Było ich jak w całych Prusiech, tak i na poboju-wisku grunwaldzkim najwięcej do 700. Świecące na ich białej odzieży czarne krzyże Zakonu, liczne krzyże różnego kształtu na rozwiniętych chorągwiach nadawały całemu wojsku tym słuszniej cechę armii krzyżowej, iż znaczna część wojsk przeciwnych składała się z prawdziwych lub mniemanych „niewiernych”, z Tatarstwa i „kacerstwa”. Ów naczelnny wódz armii polskiej, wielki książę litewski Witold, któremu przed laty jedenastu samiz Krzyżacy jako wodzowi wielkiej chrześcijańskiej krucjaty przeciw Tatarom nadesłali pomoc zbrojną nad Worskłę, uchodził dziś za wodza armii pogańskiej, owszem, za „poganina” w własnej osobie.

Jakoż nie inaczej, jak tylko do boju krzyżowego, do walki z niewiernymi, pod opieką owych cudotwórczych relikwiiw stawało teraz Krzyżactwo pod Grunwaldem. W takim zaś religijnym podniesieniu umysłów, acz wcale dziwną przewrotnością ducha wzbudzonym, nie brakło Krzyżactwu dnia dzisiejszego rysów prawdziwej heroiczności. Grzeszyła wprawdzie zarozumiałość rycerska ślepym lekceważeniem nieprzyjaciela, grzeszyła terażniejsza kawalerskość Zakonu zbyt światową ochotą do stroju, płasów, bankietów, gwoli którym np. i teraz pod Grunwald towarzyszyły rycerstwu przemnogie beczki z winem. Lecz żywo zarazem rozplamieniona rycerskość skora była do cudów odwagi w czasie bitwy i do wzgardy śmierci po bitwie, a iluzja religijności dbała o jak najjaśniejszą czystość, niepodstępność, niefortelność oczekiwanej z pewnością palmy zwycięstwa.

Tuż przed zaczęciem bitwy opuścił jeden z zaciągnionych przez Jagiełłę oddziałów czeskich armię polsko-litewską i przeszedł do obozu Krzyżaków. Dowodzący nim rycerz „z Trocznowa” stanął przed wielkim mistrzem Ulrykiem, ofiarując pomoc 300 orężów. Rycerski Ulryk odpowiedział mu hardo: „Jam nie Chrystus; nie potrzebuję Judasza!” Wzgardzony zmiennik wrócił nazad do obozu polskiego. Goręcej niż zdrajców podobnych pragnęli teraz

Krzyżacy wystąpienia armii polskiej na równinę do boju. Bez takiego bowiem wyjścia Polaków spod lasu nie było podobieństwa do bitwy, której rycerskość zachodnia nie lubiła i nie umiała staczać w miejscach nierównych lub zarosłych. Ponieważ bowiem główna broń rycerstwa europejskiego, kopia rycerska, mogła działać głównie w polu otwartym, przeto wprawiała się i zasmakowała szwaleria przed wszystkim w boju na równinie, na koniu.

Stało się to tak powszechną właściwością rycerstwa wszystkich krajów, że ilekroć nieprzyjaciele stanu nierycerskiego do innej włożyli broni, bądź to np. chłopci szwajcarscy, bądź też chłopci fryzyjscy, bądź wreszcie Wołochowie późniejsi wywabili szwalerię niemiecką do boju w parowach górskich pod Sempach, albo szwalerię Holandii na bagniska fryzyjskie, lub późniejszą szlachtę polską w podcięte lasy na Bukowinie, zawsze rycerstwo śmiertelną ponosi klęskę. Stąd do nieudolności ręki w podobnym rodzaju wojny utrwała się jeszcze w głowach rycerskich powszechna opinia o niezaszczytności walki pokątnej, o jedynej chlubie boju w otwartym polu. Taka też nieudolność i opinia, pomimo wszelką ochotę do najprędszego starcia się z Polakami, wstrzymywała wojska krzyżackie od wstępnego uderzenia na leśne stanowiska polsko-litewskie.

Tymczasem obok niecierpliwości wojennej dały się uczuć jeszcze różne inne niedogodne następstwa przydłuższej zwłoki. Upał południa lipcowego doskwierał bardziej na wzgórzach otworzystych niż na nizinie pod lasem. Unuzenie z kilkumilowej drogi wzmagало się pod ciężarem zbroi żelaznej, dźwiganej ciągle od kilku godzin. Nie mając zaś sposobności do bitwy nie mogła armia krzyżacka użyć także spoczynku, gdyż lada chwila należało spodziewać się szturm Polaków. W tak przykrym położeniu zgromadziło się najprzedniejsze rycerstwo krzyżackie pod przewodnictwem wielkiego marszałka zakonu Fryderyka Wallenroda, rodzonnego brata Konradowego, na walną naradę nad pytaniem, jak by położyć koniec tej zwłoce.

Wtedy kilku najdoświadczeńszych rycerzy, obeznanych z dawnymi zwyczajami wojennymi, mianowicie kilku biegłych w procederze wojny heroldów, ozwało się przed zgromadzeniem, iż w razie przydłuższego niewystępowania jednej z armii nieprzyjacielskich unuzającego stronę przeciwną bywało i jest w zwyczaju przesłać dwa nagie miecze jako godło natychmiastnego wyzwania w szranki, po którym nie godziło się zwlekać. Podobała się ta rada zgromadzeniu i postanowiono wyprawić natychmiast dwóch heroldów z mieczami. W terażniejszym rycersko-kawalerskim uniesieniu Krzyżactwa stanęła nawet uchwała, iżby wojska krzyżackie ustąpiły ściśnionym wojskom polskim cokolwiek miejsca do posunięcia się naprzód, o czyni heroldowie donieść mieli nieprzyjaciołom.

Przeznaczyl brat Konrada Wallenroda do tej posełki dwóch najprzedniejszych w armii pruskiej heroldów, tj. herolda króla węgierskiego Zygmunta, teraz także nieprzyjaciela Polaków, imieniem Ramryka, z heroldem księcia szczecińskiego Kazimierza. Według zwyczajnego stroju heroldów miał kaźden z nich wyhaftowaną na piersiach dużą tarczę herbową z herbem pana swojego, Ramryk czarnego orła w złotym polu, herb Niemiec; herold Kazimierzów czerwonego gryfa w białym polu, klejnot Pomorza. Obaj wzięli po jednym nagim mieczu i udali się ku stanowiskom polskim pod lasem.

Władysław Jagiełło modlił się jeszcze w kaplicy. Oznajmiono przybycie dwóch heroldów z armii wielkiego mistrza. Pobożny monarcha Polski mniemał, iż wysłańcy krzyżacy niosą warunki zgody. Dla uroczystego wysłuchania onych stanęli u boku królewskiego wielki książę litewski Witold, podkanclerzy koronny Mikołaj Trąba, pan Jan Mążyk z Dąbrowy, późniejszy wojewoda lwowski, Zbigniew z Oleśnicy, młody sekretarz królewski, i kilku innych panów. Znajdowała się też przy Jagielle część przybocznej straży królewskiej pod przełożeniem młodego księcia mazowieckiego, Aleksandra. Opodal stali trzej giermkowie królewscy, Zbigniew Czajka z Nowego Dworu z kopią królewską, Mikołaj Morawczyk z proporczykiem, Daniłko Rusinek z łukiem i sajdakiem królewskim.

Wprowadzeni heroldowie nie umieli innego języka prócz niemieckiego. Pan Jan Mążyk z Dąbrowy podjął się być tłumaczem. Przełożone przezeń oświadczenie heroldów opiewało

dosłownie: „Przynosimy w imieniu wielkiego mistrza, wielkiego marszałka i całej braci Zakonu tobie, królu, i tobie, książę Witołdzie, te oto dwa miecze nagie, w pomoc i zachętę do boju, który dziś stoczyć macie. I pozwalają wam oraz ciż panowie zakonnicy wybrać sobie miejsce do bitwy, w którejkolwiek stronie zechcecie. Dlatego nie trwońcie czasu, nie kryjcie się w mroku leśnym, nie chowajcie się małodusznie, nie strońcie od walki, której uniknąć nie możecie.” W czasie tej mowy postrzegli Polacy jakiś ruch w armii pruskiej na wzgórzach i ujrzeli zdziwieni, że wojska krzyżackie w istocie cofnęły się o „niemałą” odległość wstecz, robiąc miejsce wojskom królewskim.

Król Władysław Jagiełło upadł żałośnie w swoich nadziejach zgody i pojednania. Łzy mu zabłyśły w oczach, gdy usłyszał harde słowa heroldów „podniecające do rozlewu krwi ludzkiej”. Pocieszając się atoli nieomylną nigdy mądrością pokory chrześcijańskiej odpowiedział król łagodnie za siebie i za Witołda: „Pomocy nie szukamy u nikogo innego, jak tylko u Pana Boga. W Jego też imieniu przyjmujemy te miecze i chcemy niezwłocznie rozprawić się z wami walką orężną. Lecz miejsca bitwy oznaczyć nie możemy, gdyż Bóg jedynie zna i wytycza plac boju. On go wam i nam już oznaczył.” Po czym wziął król oba miecze z ręki heroldów i oddał je panom za sobą. Chowano je przez długie lata w królewskim skarbcu w Krakowie; śpiewano o nich przez długie lata w pieśni. Heroldowie zostali poruczeni straży Dziwo-sza Marzackiego herbu Jelita. Wojskom zaś nakazano mieć się do bitwy za pierwszym odgłosem trąb.

Nastąpiły ostatnie rozporządzenia, ostatnie hasła. Armia królewska miała uderzać nie razem, lecz pojedynczymi oddziałami, czyli hufami, naprzód Litwini, Ruś i Tatarzy na prawym skrzydle; następnie chorągwie polskie na lewym, w końcu rotę zaciężną, czyli tak zwani „goście”. Znaczna siła każdego z tych trzech działów sprawiła, że kolejne występowanie coraz nowych hufców do coraz nowej walki wydawało Krzyżakom właściwie kilka bitew jedną po drugiej. Przy płochym uprzedzeniu Krzyżactwa o niewielkiej liczbie wojska polskiego, wprowadzającym je w zgubne mniemanie, że każdy z nowo pojawiających się hufów polskich jest już całą armią królewską, groziło to ostateczną zagładą wojskom zakonnym.

Brali się przecież Polacy z niezmierną ostrożnością do dzieła i byli już na wiele mil rozstawione „żartkie rumaki”, które by w razie niebezpieczeństwa uniosły króla z pobojowiska. Na czas bitwy otoczono osobę królewską poczem 60 kopij rycerskich, w którym wraz z litewskimi synowcami Jagiełły, Zygmuntem Korybutem i księżciem Fieduszką, tudzież z mazowieckim siostrzeńcem, Aleksandrem, znajdowali się: podkanclerzy Mikołaj, młody sekretarz Zbigniew, pan Jan Mążyk z Dąbrowy, czeski baron Żoława, drugi Czech Sokół, Bieniasz Wierusz, ochmistrz dworzan królewskich, Piotr Mediolański i inni. Z adną strażą przyboczną nie osłonięty Witołd przebiegał wciąż szeregi, zmieniając raz po raz konia, przyspieszając wykonanie ostatnich zleceń, zachęcając do męstwa.

Nie ustępował mu w tym i Władysław Jagiełło, sławiony z umiejętności dodawania zachęty, nieomylnie zawsze skutecznej. Coraz wojenniejszym ożywiając się duchem, coraz niecierpliwie swoim grubym głosem rozsyłając rozkazy przyodziął się Jagiełło od stóp do głowy w zbroję świecąca i wyjechał na jeden z najwyższych wzgórków, skąd można było zmierzyć okiem siłę nieprzyjacielską. Po częściowym postąpieniu prawej ściany litewskiej ku przodowi pobojowiska umniejszyła się rozległość między obudwoma wojskami. Tylko owa dolina o zielonej kępie sześciu dębów z ubocza rozdzielała armie przeciwne. Na dębach pomiędzy rozłożystymi konary usadowiła się zgraja nie należących do walki widzów, krzyżackich czy polskich ciurów, ciekawych widoku bitwy.

Za powrotem króla ze wzgórzka spotkała go drużyna innych śmiałków, proszących o pasowanie rycerskie. Dopełniwszy tego obrzędu, przemówił król do rycerstwa krótko, lecz jędrnie. Po czym książę podkanclerzy Mikołaj wysłuchał go po raz drugi spowiedzi i przyprowadzono mu innego wierzchowca, z „tysiąca wybranego”, cisawej maści, z małą łysinką na czole. Na tym udał się król z swoją strażą na wyznaczone przez radę wojenną stanowisko, przy lewym

skrzydle polskim, z ubocza od zgiełku bitwy. Było już około trzeciej godziny z południa; lekki wiatr od lasu powiał kurzem w oczy Krzyżakom. W tej chwili zagrały trąby i cała linia bojowa zabrzmiała pieśnią *Bogarodzica!* Prawe skrzydło litewskie ruszyło na spotkanie nieprzyjaciela.

Niemcy uderzyli z niezmierną gwałtownością. Pęd z góry potroił siłę natarcia. Zagrział zarazem ogień rozstawionych po wzgórzach dział. Na wiele mil miał się rozlec odgłos pierwszego szturm. Niemcy runęli od razu całym ogromem swojego wojska, z wyjątkiem kilkuset znaków odwodu. Głośna w średniowiecznych dziejach „furia teutońska” spadła niepowstrzymaną burzą na Litwę.

Wstępne uderzenie było jak zwyczajnie na kopie. Po zwarciu się szeregów pokruszyły się kopie, umilkł huk dział. Wszczęły się zapasy w bezpośrednim pobliżu, krzyżackim mieczem, litewskim oszczepem, tatarską szablą. W coraz ciasniejszym zwarciu natarły na się topory, czyli berdysze, straszna broń owych czasów. Gorzej uzbrojona tłuszcza godziła w siebie maczugą, pałą okutą.

Przez całą godzinę mocowały się szyki w ten sposób. Przez całą godzinę nie ustępował jeden drugiemu. Wreszcie zachwiała się rozkołatana ściana litewska. Parta coraz sroższym naciskiem Niemców cofnęła się Litwa i Ruś z Tatarstwem cokolwiek w bok, na prawo, ku jeziorowi lubeńskiemu. Tam zatrzymano się jeszcze i jeszcze wznowił się opór. Rychło atoli przedarli Niemcy na wskroś linię litewską, rozerwaną w dwie ustępujące połowy. Nierównie licniejsza połowa prawa, w najznacniejszej części z Litwy i Tatarstwa złożona, pierzchnęła w stronę jeziora.

Uradowani zwycięstwem Niemcy puścili się w pogoń zapamiętale. Nastąpiła sroga rzeź w uciekających. Niektóre oddziały litewskie tak dziki ogarnął popłoch, iż nie oglądając się poza siebie miały przez wiele uciekać dni, dostać się aż do Litwy, rozsiewając tam wieść o przegranej. Innym oddziałom, zwłaszcza tatarskim, straszniejszym (jak wiadomo) w odwrocie niż w zaczepce, przyniosła ucieczka nie tyle szkody i sromu. Unosząc na swoich karkach nieprzyjaciela, nużąc go pogonią i łupieżą, były one gotowe zwrócić się lada chwila do boju, tym groźniejszego wtedy wrogowi.

Również niezupełnie bez nadziei walczył tymczasem lewy odłam rozgromionej linii litewskiej. Stały tam pułki ruskie, mianowicie trzy bohaterskie rotę Smoleńszczyzan. Odcięte przez zwycięskich Niemców od reszty wojsk litewskich, zdzierzyło rycerstwo ruskie na siebie ogromną przemoc nieprzyjaciela i lubo prawie w pień wycięte pod jednym znakiem przedarło się na koniec ku stojącemu opodal skrzydłu Polaków.

Zachowywało się też lewe skrzydło polskie dotychczas bez czynnego udziału w bitwie, mając wystąpić później. Teraźniejsze połączenie się z nim Rusi walczącej – pociągnęło je w bój. Waleczny Witold nie zdoławszy utrzymać sprawy w skrzydle litewskim, zawezwał Polaków co prędzej na plac bitwy. Upojeni tryumfem Niemcy mniemali się pogromcami całej armii koronnej, a tu po pierwszej bitwie litewskiej, stoczonej na pochyłości wzgórzów, przyszło staczać drugą bitwę, w nizinie pod lasem, z Polakami.

Ogromne tumany kurzu wzniosły się po uciekającej Litwie i Ordzie. Ciągły od lasu wiatr miótł je w oczy Krzyżakom. Wreszcie puścił się drobny deszczyk i oczyścił powietrze. W blasku nowej wkrótce pogody rozwinęła się nad uderzającym wojskiem polskim wielka chorągiew państwa z białym orłem w koronie. Król Władysław Jagiełło stał na wzgórzu z ubocza, niecierpliwie przypatrując się bitwie. Zachęceni jego okiem i rozkazami Zyndramowie, Zawisze, Nałęcz, Habdanki, Sulimczykowie, Jelici itd., najwaleczniejsi z rycerzów „wschodnich”, uderzyli z niepoślednią od teutońskiej natarczywością.

Ale rozgorzałe szczęśliwym bojem Krzyżactwo nie znało już żadnej tamy. Pod ciężkim szturm Niemców zachwiała się ława polska, upadła wielka chorągiew państwa. Wszczęła się zacięta walka o sztandar. Rozgorzała w najwyższym stopniu wściekłość dwóch nieprzyjaciół odwiecznych, zwartych teraz śmiertelnym bojem o godło poświęcenia dla jednych, nie-

nawiści dla drugich. W obopólnym sił wyteżeniu chwiały się z osobliwszą zmiennością szale. Już szczęśliwie z rąk krzyżackich wydarta, podniosła się znowuż wielka chorągiew o białym orle. Już nową otuchą zagrzane rycerstwo polskie coraz pomyślniej parło nieprzyjaciela. Wtem okazują się na pobjowisku dawne pułki krzyżackie, wracające wesoło z pogoni za Litwą i Tatarami. Widząc swoich w opale rzucają zdobyte na Litwie łupy i niosą nową zamieszkę w szeregi polskie.

Jednocześnie zagroziła naszym jeszcze sroższa burza skądinąd. Wysunął się z ostatniej linii krzyżackiej zastęp szesnastu odwodowych chorągwi, głównie chełmińskich, przeznaczonych zadać ostatni cios Polakom. Stał na ich czele sam wielki mistrz Ulryk Jungingen, zamierzając uderzyć z boku. Najwyższe niebezpieczeństwo zawisło nad armią i sprawą polską. Pędząca pod wielkim mistrzem chmura krzyżacka zagroziła swoim prądem samegoż króla Jagiełłę. Stał on tuż obok drogi, którą Ulryk chciał oskrzydlić Polaków. Coraz bliższy zastęp chełmiński mógł łatwiej otrzeć się o ustronny hufiec królewski.

W tym niebezpiecznym położeniu wyprawił król sekretarza Zbigniewa do najbliższej chorągwi polskiej, po zasłonę czym pędzą. Wszakże zawezwany o to Nałęcz Kiełbasa ofuknął młodego Zbiszka, wskazując na cwałujące w tę stronę Chełmińczyki. Ustąpić przed nimi nazyłoby podać się w pozór i tysięczne niebezpieczeństwa ucieczki. Musiano więc na tym jedynym środku ostrożności poprzestać, iż zwinięto co rychlej rozpostarty nad orszakem królewskim mały proporzec, który znamieniem swoim zdradzić mógł Krzyżakom osobę króla polskiego.

Król Władysław tymczasem napierał się niecierpliwie w zgiełk bitwy, potrzebniejszy tam z jakimkolwiek posiłkiem zbrojnym niż tu na celu jawnej przemocy nieprzyjacielskiej. Już nawet spał konia ostrogami, rwąc się koniecznie w bój, w pomoc swoim. Czecha Żoławę, który konia królewskiego chwycił za cugle, uderzył Jagiełło kopią, aby go puścił. Usilnymi przecież prośbami i zakłęciami zdołano zatrzymać go na miejscu.

W tej właśnie chwili cwałujący pod wielkim mistrzem Chełmianie przelatywali z daleka mimo stanowisko królewskie w pędzie ku flance naszej. Na widok małej garstki Polaków na uboczu wyskoczył jakiś rycerz spod chorągwi chełmińskiej i w chęci popisu rycerskiego puścił się ku niej z kopią złożoną. Siedział hardo na gniadym koniu w pełnej zbroi, w białym na niej kaftanie, czyli „jace” niemieckiej, o szerokim pasie złocistym. Cały zastęp chełmiński wlepił ciekawie oczy w junaka. Dyppold Kiekierzyc von Dieber (takie było miano rycerza), Niemiec z Luzacji, ochotnik w wojsku krzyżackim, nie wiedząc, z kim harcu szuka, tylko bogatą zbroją królewską uderzony wymierzył kopię przeciw królowi.

Król nawzajem po rycersku złożył się kopią, a młody sekretarz Zbizek pchnął Niemca ułomkiem, czyli „koczaniem” kopii tak silnie w bok, że Dyppold spadł. Na ziemi ugodziła go kopia królewska w obnażone z przyłbicy czoło i dobiła go straż. Co widząc, porwało się rycerstwo chełmińskie pomścić śmierć towarzysza. Lecz dowódzca krzyżacki, sam wielki mistrz Ulryk Jungingen, zaskoczył mu gniewnie drogę chcąc przeszkodzić harcom beużytecznym. Nie luźny hufiec na stronie, lecz chwiejąca się już ława wojska polskiego była stosownym celem ataku.

Sam Ulryk tedy kopią i krzykiem „*Herum! Herum!*” powstrzymał swoich od natarcia na króla i pognął natomiast z chorągwiami w tłum bitwy. Z głowy szczęśliwie ocalonego króla stoczyło się niebezpieczeństwo na jego coraz bardziej ścisłaną armię. Znalazła się ona teraz w ostatniej cieśni. Z przodu parło zwycięskie czoło nieprzyjacielskie, z prawa gniotły powracające z litewskiej pogoni pułki, z lewa uderzał sam mistrz wielki z cale świeżym rycerstwem.

Zaatakowana przez wielkiego mistrza część armii polskiej straciła na chwilę ducha. Tłumaczono się później, iż uderzające hufce chełmińskie miały podobieństwo do wojsk litewskich, jakoby powracających z początkowej rozsypki. Dlatego ociągnęła się kolumna polska z należytych przyjęciem, podobna tym w oczach krzyżackich do wojska mającego się

poddać. Uszczęśliwieni tym Niemcy, równie szczęśliwi na innych punktach mniemali się po raz drugi panami bitwy. Wzdłuż całej linii bojowej zagrzmiała zwycięska pieśń Krzyżactwa: „*Christ ist erstanden!* Cieszymy się, bracia, w Bogu, że przytarł poganom rogu! Chrystus zmartwychwstał!”

Wtedy wystąpił z lasu ostatni huf królewski. Składały go w znacznej części rotę zaciężne, „goście” rycerscy. Uchodziły one w oczach rycerstwa polskiego za tłum pośledniejszy, „lud tańszy”. Dzięki jednak rozumowi wojennej rady polskiej, z której natchnienia toczono bitwę nie po krzyżacku całym od razu wojskiem, lecz pojedynczymi oddziałami, stał się obcy żołnierz nader zbawienną pomocą w niebezpieczeństwie. Uderzyły nowe hufce polskie na Krzyżaków z ukosa. Niespodziewane natarcie świeżego nieprzyjaciela zbiło panów pruskich z przedwczesnej pychy tryumfu. Dwakroć zwycięscy Niemcy ujrzeni przed sobą potrzebę stoczenia trzeciej bitwy.

Widok pożądanego wsparcia, ciężkiej kluby Krzyżactwa, podwoił ducha w walczących dotąd Polakach. Owa zaatakowana przez Chełmińczyków kolumna polska uderzyła wreszcie na zastęp wielkiego mistrza. Wzbudził ją ku temu osobliwie rycerski czyn sławnego harcerza koronnego, Dobka z Oleśnicy klejnotu Dębno. W chwili zawahania się kolumny wyskoczył Dobek z szeregów polskich i sam jeden z kopią złożoną rozpędził się ku wielkiemu mistrzowi na czele znaków.

Zawiązał się harc rycerski między mistrzem Ulrykiem a zuchwałym szermierzem polskim. Uniknął Ulryk kopii Dobkowej, lecz nacierając wzajem na Lacha, zraniwszy mu rumaka, zagnał się zbyt daleko ku hufcom polskim. Rycerstwo polskie rzuciło się w pomoc Dobkowi, a za cofającym się wielkim mistrzem runęła cała ława polska na Chełmian.

Wszczął się ostatni „śmiertelny” zapas nowo pokrzepionych Polaków z nieunużonym jeszcze wojskiem chełmińskim. Posiłkowany jednoczesną walką na innych punktach, mianowicie flankowym atakiem zaciężnych znaków polskich, brał on coraz pomyślniejszy dla króla obrót. Uzupełnił do reszty zmianę losów od dawna spodziewany powrót Litwy i Tatarstwa na pole boju. Podczas gdy na lewym skrzydle dogrzewały Niemcom rotę zaciężne, pojawiła się na prawym znaczna część zbiegłej Litwy i Ordy, równie łatwo powracającej do walki, jak pierzchającej.

Nadeszła chwila stanowcza, w której wszystkie oddziały armii polskiej walczyły z potęgą nieprzyjacielską. Liczbowa przewaga królewskich wojsk, zręczne wyprowadzanie coraz nowych zastępów na plac boju, wreszcie leśne korzyści położenia niweczyły wszelką „furię teutońską”. Odwodowe chorągwie polskie z lewego flanku, Litwini i Tatarzy z prawego parli oba narożniki krzyżackie przemocnie ku środkowi. Bądź to poniewolnie ustępując w tę matnię, bądź też zwyczajem niemieckim umyślnie w potężną kłębiąc się kupę, ścisnęło się całe wojsko krzyżackie wokoło chełmińskiego zastępu pod wielkim mistrzem, w pośrodku między Grunwaldem a Tannenbergiem.

Już prawie z okola w szerokie ramiona armii polskiej objęci, padali Niemcy niezmiernie gęstym trupem. A przemyślnością najbardziej nadrabiając, nie tracili nasi żadnego ciosu na próżno. Polska i Litwa godziła przed wszystkim w białe płaszcze zakonne, po których upadku musiała sama przez się upaść też bitwa; Tatarstwo swoją znał Worskli znaną nam sztuką ubijało głównie konie rycerstwu. W powiększającym się z każdą chwilą nacisku obudwóch skrzydeł polskich, w zwężającej się z każdą chwilą cieśni teutońskiej zniknęła Krzyżactwu wszelka nadzieja zwycięstwa.

Natenczas podniósł się przeciw niemu jeszcze jeden wróg nowy – zdrada. Uderzyło w Zakon odstępstwo własnych poddanych, własnego rycerstwa krajowego. Uciemnione od dawna przez wielkich mistrzów, nieskore dać za nich gardło, ujrzało teraz ziemiaństwo pruskie możliwość pomszczenia się na swoich ciemiężcach, na swoich „krzyżownikach”. Nie czekając tedy zapadnięcia ostatniej klamki ratunku poobalała sama szlachta pruska, zwłaszcza chełmińska, resztę powiewających jeszcze sztandarów krzyżackich i albo złożyła broń, albo pierzchnęła.

Przerzedzona kupa Krzyżactwa musiała w tym ściślejszy zwinąć się kłęb. Okrażająca go tęcza wojsk polskich i litewskich w tym ciasniejsze garnęła Niemców objęcia. Przed ostatecznym zawarciem się „saku” wkoło Krzyżactwa radzono wielkiemu mistrzowi ustąpić ze szczątkiem niedobitków. Ale rycerski mistrz Ulryk, strącony dziś dwukrotnie z szczytu zwycięstwa, wściekły tryumfem wzgardzonej przez siebie „tłuszczy”, tknięty w samo serce odstępstwem swoich, za wszystkie poprzedników występki ukarany dzisiejszym dniem, nie widział już zbawienia dla siebie i dla Zakonu. „Nie daj Boże! – zawołał po rycersku – abym ujechał z pola, na którym tyłu padło walecznych!”

Mało co później dosięgnął go miecz nieprzyjacielski w pobliżu wsi Tannenberga. W tym samym czasie poległ wielki marszałek zakonu Wallenrod pod Grunwaldem. Wraz z nimi padła prawie wszystka bracia zakonna. Z siedmiuset „białych płaszczów” ocalało tylko piętnastu. Od chwili zdrady Chełmian wszystko prawie wojsko krzyżackie już to zaścieliło trupem pobojuwisko, już to zwyczajem wieku przylękło, prosząc o łaskę. Zaledwie garstka rozbitków, rzucając broń i chorągwie, zdołała umknąć drogą ku taborowi wielkiego mistrza, aby ją wskazać swoim pogromcom.

Po skończonym już dziele na polu bitwy rozbiegły się wojska zwycięskie w pogoń po okolicy. O pół mili na zachód od Grunwaldu popadł im w ręce cały tabor krzyżacki. Oprócz schronionych tam niedobitków znaleziono w nim „wiele tysięcy” wozów z zapasami wszelkich potrzeb wojennych. Zdziwiły osobliwie wozy z mnóstwem pochodni smolnych i żagwi do wzniecania pożarów. Nie brakło nawet wozów z łańcuchami i pęty na przyszłych jeńców polskich. Przydały się one teraz na pojmanyh panów zakonnych.

Do przyszłej uczty zwycięstwa nad Polakami stały w krzyżackich namiotach i na wozach krzyżackich ogromne beczki z winem, z których teraz chłodzili się Polacy. Aby wojska zwycięskie nie upoiły się nim, kazał król Jagiełło co prędzej pozbijać obręcze z beczek i wytoczyć wino na ziemię. Spływając ze wzgórzów ku łąkom wsi Grunwaldu zmieszało się wino z płynącą tamtędy posoką ludzi i koni. Więzy spodziewanej niewoli wojsk królewskich zacieżyły teraz na samychże Krzyżakach, a wino spodziewanej radości Niemców płynęło wspólnie z ich krwią.

Tymczasem słońce zniżało się na niebie. Cała „wielka wojna” grunwaldzka nie trwała dłużej nad trzy do czterech godzin. Przed nieco chmurnym zachodem słońca wyjechał król Jagiełło na jeden z najwyższych wzgórków pobojuwiska. Spotkał go tam główny sprawca tryumfu, Witołd. Przez wszystkie czasy walki uganiał się on między szeregami polskimi, wskazując każdemu kolej i drogę uderzenia, kierując wszystkimi ruchami bitwy. Toż i król Władysław Jagiełło nie był dzisiaj beczynnym. Witołd zajeździł kilka koni, a Władysław zachrypł od wydawania rozkazów. Teraz, powitawszy się wzajem, przypatrywali się obaj długo całemu polu zwycięstwa, polu krwawo rozstrzygniętego „sądu Bożego”.

Świejące na nim w południowych godzinach szyki krzyżackie leżały teraz zżętym na niewie kłosem. Zgraje ciurów polskich zbierały łupy z poległych, rozeznawały ciała przedniejszych nieprzyjaciół. Po wszystkich krańcach pobojuwiska ścigano resztki rozbitków, przetrząsano zakąty lasy, zdarzały się dziwne zajścia. Tam w jednym lasku znaleziono siedm w ziemię zatkniętych sztandarów nieprzyjacielskich, które natychmiast przyniesiono królowi. Ówdzie zdradliwy połysk słońca na zbrojach uciekającej lasem garstki niemieckiej odkrył ją oczom pogoni polskiej, która pędząc za nią wpadła na jakieś trzęsawiska, lecz dopadłszy wreszcie Krzyżaków musiała zostawić wszystkich przy życiu. Gdzie indziej, pod wsią Wielgniewem, dognano i ubito owego komtura tucholskiego Henryka, co to ślubem rycerskim kazał nosić przed sobą dwa gołe miecze, aby je w polskiej zrumienił jusze.

Dla powściągnięcia bezużytecznej srogości zalecił król wstrzymać się już od wszelkiego przelewu krwi. Niezmierną też liczbę nieprzyjaciół wzięto żywcem w pogoń. Jeszcze większa popadła w niewolę podczas bitwy. Znaleźli się w tej liczbie obaj posiłkujący panów pruskich książęta, Kazimierz szczeciński i Konrad oleśnicki, tamten wzięty przez Skarbka z Gór,

ten przez jednego z rycerzy czeskich. Takiegoż losu doznał naczelnik rycerskich „gości” Zakonu, Jerzy Gersdorf, pojmany z czterdziestu towarzyszami przez Przedpełka Kopidłowskiego Dryję.

Gdy nieco później nastąpiło okazywanie jeńców przed królem i zaczęto rozdzielać onych według narodów, utworzyło się dwadzieścia dwa różnonarodowych oddziałów, a sześciu notariuszów królewskich spisywało imiona. Największej części pozwolił ludzki Jagiełło wrócić natychmiast na słowo do dom. Resztę, mianowicie braci zakonnych, porosyła do różnych zamków królewskich, jako do Łęczycy, Sieradza, Tęczyna, Lublina, Sędomierza, Lwowa, Przemyśla. Pozostało nawet podanie, iż wielu z jeńców osiadło na ziemi polskiej, zaludniło w szczególności okolice Podgórze krakowskiego.

Nie byli to przecież właściwi bracia zakonni, którzy zamiast trybem tych jeńców uprawiać ziemię polską stali się, owszem, tym wścieklejszymi odtąd nieprzyjaciółmi wszelkiej przyjaznej spółki z narodem. Dzień dzisiejszy rozjuszył ich w istnych bohaterów nienawiści, gotowych raczej zginąć w kajdanach niż zaprzeczyć się swojej złości, swojej groźby i nadziei odwetu. Pomiedzy innymi jeńcami postrzegł wielki książę litewski także onych dwóch wrogów osobistych, Markwarda Salzbacha, potwarcę matki, i Szomberga, zabójcę dzieci. „*Bis du hi Markward! Tuś, Markwardzie!*” – zawołał Witold nie myśląc zresztą o zemście i już nawet przebaczywszy mu w duchu. „Jam tu dzisiaj – odrzekł hardy komtur z pogroźką – a ciebie jutro ten sam los czeka gdzie indziej!”

Tym samym co Markward duchem wrzało wszystko niedobite Krzyżactwo. Cały Zakon runął dziś na zawsze pod mieczem kary, a mało co później, dysząc resztkami życia, marzą niedobite szczenięta hydry krzyżackiej o zupełnym wytepieniu narodu zwycięskiego, o chwili, „kiedy to stary obyczaj polski i złość polska zostaną tak gruntownie wyrwane z ziemi z korzeniem, iżby już nigdy zazielenić się więcej nie mogły”. Zawiodły te marzenia o bliskim wytepieniu narodu i zawiodła pogroźka Markwardowa względem Witolda; nieugięty zaś Markward z Szombergiem przyplacili gardłem zuchwalstwo.

Nie mniej zuchwali i rozjątrzeni spółtowarzysze obudwóch straconych jeńców szli z równą pogardą na pewną śmierć w czasie samejże walki. Pod niektórymi chorągwiami dało rycerstwo pruskie raczej wyciąć się w pień niż skłonić się do ustąpienia. Stąd liczba poległych w bitwie była jeszcze większą niż liczba jeńców. Oprócz wielkiego mistrza i wielkiego marszałka leżeli na pobojowisku wielki komtur, wielki szatny, wielki skarbnik Zakonu, tudzież kilkudziesięciu komturów z pośledniejszymi urzędnikami Zakonu. Razem dochodziła ilość trupów krzyżackich według najumiarkowańszego szacunku do ośmnaście tysięcy, według innych zaś obliczeń do pięćdziesięciu.

Żywcem miano wziąć około 40 000. Chorągwi zdobyto 51, tj. wszystkie, ile ich było. Z wyjątkiem kilku zwiastunów klęski zbiegłych do krzyżackiej twierdzy i stolicy Malborga, aby tam ostatnich czekać wyroków, nic zgoła nie pozostało po całym ogromie wyprowadzonej pod Grunwald potęgi pruskiej. „Jeden dzień grunwaldzki – biadają dziejopisowie krzyżacy – zniszczył wszystką chwałę i potęgę Zakonu.” – „Był to dzień – skarżą się oni dalej – jego najwyższej sławy rycerskiej i męstwa bohaterskiego, lecz oraz ostatni dzień pomyślności i szczęścia. Od jutra miały się zacząć dni jego niedoli, jego hańby, jego upadku po wszystkie czasy.”

Leżała teraz cała ta niedola rozpostarta na szerokim polu pobojowiska, przed okiem przypatrującego mu się króla Jagiełły. Leżał przed nim widok tak stanowczego, tak bezprzykładnego w dziejach tryumfu, jakim może żadnemu z zwycięzców nie dano było nasycić wzroku i dumy. I znowuż szczęśliwy syn Olgierdów okazuje się ubłogosławionym pewną niezwykłą łaską przeznaczeń, które do tyłu różnych wieńców dorzuciły mu także wieniec bezprzykładnej chwały wojennej

Nie kosztowała ona prócz tego żadnej prawie straty we własnym ludzie. Tylko rozgromiona z początku Litwa i Orda doznały uszczerbku w ludziach. „*N a s z y c h* – pisze król Włady-

sław tegoż samego dnia spod Grunwaldu do jednego z biskupów polskich – bardzo mało zginęło; ze znaczniejszych zaś nikt.” Jakoż samo obojętne dla Jagiełły oko dziejopisarza, któremu winniśmy obszerny, acz surowy opis jego charakteru i czynów, a który zwyczajnie nie zwraca uwagi na tę osobliwszą fortunność życia Jagiełłowego, czuje się tym razem uderzone jego szczególną łaską u Boga.

„Za zrządzeniem fortuny – prawi zdziwiony dniem grunwaldzkim kronikarz – nie śmiał nieprzyjaciół rozpocząć bitwy pierwej, aż póki wszystkie szyki królewskie w należyтым stanie stanęły porządku. Toż i przed bitwą, i podczas bitwy, i po bitwie sprzyjało wszystko królowi, sprzyjał mu nawet wiatr, niosący kurzawę w oczy nieprzyjacielskie. Przeto nie bez słuszności można zastosować do niego słowa poety:

O Ulubięcze Bogów! Tobie na zawołanie
Stawa niebo do boju i spieszą wiatry w zawody
Dać w żagle twoje!”

Po obejrzeniu poboju wyszły rozkazy dalszego ścigania niedobitków. Rozciągnęła się pogoń na cztery mile dokoła. Sam król wyruszył za pierzchającymi resztkami Niemców i posunął się o dwie mile od poboju. Postępując z tym samym dalej pośpiechem można było już trzeciego lub czwartego dnia stanąć w stolicy pruskiej, w Malborgu. W średnich atoli wiekach im świetniejszym miało być jakie zwycięstwo, tym dłużej powinien był zwycięzca pozostać na polu walki. Okazywał on przez to gotowość do powtórzenia boju z każdym nowym nieprzyjacielem, do utwierdzenia swojej sprawiedliwości powtórным sądem Bożym.

Stąd główny zwycięzca turniejowy, jak np. dzisiejszy bohater Dobek z Oleśnicy przed sześcią laty w Toruniu, pozostawał zwyczajnie do północy i później w szrankach, czuwał sam jeden po ciemku do dnia białego popisując się gotowością do nowej, acz wcale nieprawdopodobnej już walki. W zbytecznym uwzględnieniu tego rycerskiego ceremoniału postanowiła polska rada wojenna, aby król przez całe trzy doby pozostał na placu chwały. Powrócił więc Jagiełło z dwumilowej pogoni nazad na miejsce bitwy i aż do dnia trzeciego zatrzymał się w okolicy poboju.

W tym czasie zajęto się z niezwykłą ludzkością pielęgnowaniem rannych bez różnicy narodu, grzebaniem ciał poległych obojej strony, zaopatrzeniem jeńców w odzież i żywność na drogę do domu lub do Polski. Odszukane nazajutrz zwłoki wielkiego mistrza i głównych urzędników Zakonu kazał król na bogato ustrojonym wozie żałobnym odstawić uczciwie do Malborga. Pośledniejsze ciała pruskie i polskie pogrzebiono na cmentarzu kościoła tannenbergskiego. Odbędzie się w obliczu całej armii polskiej wielkie nabożeństwo żałobne i dziękczynne, przyozdobione widokiem mnogich sztandarów nieprzyjacielskich. Poustawiane dokoła kaplicy obozowej, wydawały one razem głośny szelest w powiewie wiatru.

Po nabożeństwie nastąpiła uczta wspaniała, przy której oprócz króla i głównych książąt i wodzów polskich zasiedli także obaj książęta w niewolę wzięci, Konrad i Kazimierz niebawem wolno puszczeni. Podczas uczty otrzymał król osobliwsze podziękowanie za zwycięstwo wczorajsze. Wystąpił z koła biesiadników najstarszy z książąt Mazowsza, Janusz na Czersku i Warszawie, tak sromotnie przed laty kilku skrzywdzony przez Krzyżaków. Teraz z całym rycerstwem swoim rzucił się na kolana przed Władysławem Jagiełłą wołając w głos: „Tobie, Panie Boże w niebiesiech, mścicielu krzywd, i tobie, najjaśniejszy królu Polski Władysławie, bądź wieczna wdzięczność i cześć, żeście nas uwolnili od nieprzyjaciół krzyżackich, którzy z winy praszczura mego tak długo ciężyli na nas, a teraz tak świetnie pogromieni zostali, za co ja i wszyscy potomkowie moi chcemy wiecznie błogosławić i służyć koronie twojej!”

Ze strony starodawnego rodu Piastów, pozbawionego przez Jagiełłę widoków tronu polskiego, było to najokazalszym uznaniem zbawienności wypadków, które Koronę Polską z upośledzeniem dawnego szczepu królów rzuciły w objęcia wcale obcej dynastii, wcale nowe-

go porządku rzeczy. A również jak na potomków dawnej rodziny Piastów, tak i na wiele innych spraw i stosunków narodowych wywarł dzień grunwaldzki niezmiernie ważne, długotrwałe wrażenie. Obaczmy to bliżej w obrazie dalszego wiekopomnego wypadku, którym zamkniemy opowiadanie nasze.

Tymczasem wypadło rozgłosić powszedy wiadomość o „wielkiej wojnie” grunwaldzkiej. W braku późniejszych „relacji” drukowanych, w braku dzisiejszego rozgłosu dziennikarskiego, a przy równie żywej potrzebie wygłaszania czynów swoich przed światem służył temu celowi jedyny środek pisemnej korespondencji. Mnodzy też pisarze i „kancelarzyści” królewscy zasiedli teraz do pisania i rozsyłania na wszystkie strony listów z doniesieniami o dniu wczorajszym. Rozeszły się takie doniesienia do królowej, do arcybiskupa Mikołaja z Kurowa, do panów strzegących zamku w Krakowie, do magistratu miasta Krakowa, do Akademii Krakowskiej.

Odebrali jeszcze pisma podobne biskup poznański Wojciech, wszyscy zapewne królowie zagraniczni, niektóre z znaczniejszych miast zagranicznych, jak np. Frankfurt nad Menem, nawet pojedynczy panowie zagraniczni, jak np. czeski baron Henryk de Rosis. Jednocześnie ułożono i rozesłano odezwy do wszystkich miast krzyżackich, upominające do poddania się królowi zwycięskiemu, przyrzekające łaskę królewską. W tropy za nimi wyruszył wreszcie i król Władysław Jagiełło we czwartek dnia 17 lipca ku stolicy Malborskiej.

Wszystkie zamki i miasta pruskie spieszyły z poddaniem się Polakom. W przeciągu dni kilkunastu znalazły się całe Prusy z wyjątkiem, stołecznego Malbarga w ręku Jagiełły. Stołeczna atoli twierdza pod naczelnictwem niezłomnego komtura z Świecia, Henryka Plauen, ogłoszonego wkrótce wielkim mistrzem Zakonu, nadstawiła czoła królowi i oblegającym ją wojskom polskim. Skoro zaś przyszło do kończenia wojny przydłuższym obleganiem, musiała wojna zakończyć się niezupełnie po myśli oblegających.

Pomyślna walka oblężnicza jest dopiero nowszych wieków owocem. Za czasów oblężenia Malbarga, nie znających ani takiej organizacji wojska, która by zdołała utrzymać je długo na jednym miejscu, ani takiej ekonomii publicznej, która by umiała przez czas dłuższy zaopatrywać je w żywność i żołąd, ani wreszcie dostatecznej wytrwałości do znoszenia trudów jesiennych i zimowych kaźden warowniejszy z natury gród broniony uporczywiej był grodem niezdobytym.

Do tych przeszkód ogólnych przybyła w razie obecnym pewna nader ważna przeszkoda poszczególna. W ciągu oblężenia powiodło się Krzyżakom, mianowicie przyspieszającym w pomoc dostojnikom inflanckim, zobojetnić Witołda względem zupełnego wytepienia Zakonu, owszem, przedstawić mu takowe niebezpiecznym dla samej Litwy. Z dawien dawna przychylny w pewnej mierze Krzyżactwu, dał on nazbyt snadnie ucha podszeptom, iż tak niezwyčajnie szczęśliwa Polska – opanowawszy ziemię krzyżacką, stawszy się przeto również ciężką Litwie z północy, jak już ciężyla nad nią z zachodu i południa – weźmie zbyt stanowczą górę nad Litwą, zamieni ją w swoją poddaną, pozbawi Witołda korony wielkoksiążęcej.

Obudziła się stąd w Witołdzie chęć utrzymania równowagi między Polską a Litwą. Opanowany tą myślą „nie dał teraz skłonić się do wytepienia Zakonu”. W kilka tygodni po rozpoczęciu oblężenia ustąpili srodze przeredzeni Litwini spod Malbarga. Za ich przykładem poszli także obaj książęta mazowieccy. Tymczasem węgierski sprzymierzeniec Krzyżaków, Zygmunt, wyprawił rzeczywiście oddział wojsk przez Karpaty do Polski, który pustoszył ziemię krakowską. Mimo najusilniejszych chęci króla Jagiełły, mimo serdecznego żalu sprzyjających mu miast i wszystkiej ludności kraju musieli Polacy ustąpić spod stolicy zakonnej.

Z niedobytym Malborgiem utrzymały się także resztki niedogębnego Zakonu, utrzymał się do czasu pozór jego panowania nad Wisłą. Zawartym wkrótce pokojem toruńskim (1 lutego 1411) uzyskała Polska i Litwa jedynie ziemię dobrzyńską, żmudzka i sto tysięcy groszy okupu.

Ale to wszystko nie ocaliło Krzyżactwa. Dzień grunwaldzki nie pozbył swojej chwały zwycięskiej. Zadany wtedy cios pozostał zawsze śmiertelnym. Odwłoka ostatecznego upadku spowodowała tylko mniej okazały w końcu upadek, odjęła mu niezasłużoną świetność wojenną. Byłby Zakon zginął nad zasługę wspaniale, gdyby mu dano było zginąć od miecza. Zaczyna śmierć na pobojowisku rycerskim zdała się dziejom zbyt zaszczytną dla teutonizmu pruskiego. Nieubłagana mścicielka wszelkich jawnych i tajnych win, kazała historia ginać Krzyżactwu śmiercią potworną, śmiercią najsromotniejszą, bo nienawiścią i zdradą własnego ludu.

Jakoż ten bezprzykładnie szpetny rodzaj upadku miał objawić najgłośniejszą całą występność braci teutońskich, niemoralność całego ich panowania, fałszywość owej faryzejskiej spowiedzi, którą niegdyś brat poległego teraz mistrza Ulryka, wielki mistrz Konrad, chwalił się z grzechów swoich przed Bogiem. Toć przypominamy sobie owe pyszno-obłudne słowa krzyżackie, przytoczone w początkach powieści naszej: „My – szanowaliśmy zawsze prawo i sprawiedliwość; czciliśmy słusność i równość; my – nie gnębimy nikogo, nie nakładamy zbyt ciężarów, nie pożądamy cudzej własności; wszystkie nasze miasta i gminy żyją według przepisów dobrej policji; prałaci, szlachta i lud prosty mają spokój i sprawiedliwość; wszyscy przy łasce Bożej pożywają owoce panującej u nas słusności, równości, sprawiedliwości!”

Nie więcej jak lat cztery upłynęło od tych obłudnych słów, a już w tak krótkim przeciągu czasu dało im niebo straszną odpowiedź. Już w cztery lata ziściła się owa groźba prorocza, którą z widzeń św. Brygity przeciwstawiliśmy niegdyś spowiedniej pysze wielkiego mistrza Konrada. Już w tych niewielu latach nadszedł według przepowiedni pobożnej „czas, że wylomane zostały zęby wilkom krzyżackim i została ucięta im ręka prawa, i prawa noga im ochromiała, aby żyli i uznali występki swoje”. I jakże to wówczas owi „prałaci, szlachta, lud prosty, miasta i gminy” przyświadczyli prawdzie świętokradzkiego samochwalstwa Zakonu?

Oto wszystko wyrzekło się Krzyżaków. Wszystko rzuciło się z radością w objęcia ich wrogów i pogromców, Polaków, błogosławiąc krwawemu dniu, który wszystkim rozwiązał usta i serca, pozwolił okazać nienawiść ciemierzcom swoim, przychylności ich pogromcom. Mielibyśmy nieskończenie wiele do opowiadania o tej drugiej, pogrunwaldzkiej klęsce Krzyżactwa, nierównie sroższej od pierwszej, bo niczym nie upiększonej, niczym nie zatartej klęsce m o r a l n e j . Ze względu jednak na coraz węższe już krańce powieści naszej, jako też ze względu na okoliczność, że główne zjawiska tej ruiny teutońskiej dopiero w nieco późniejszych latach występują na widok, niech nas zastąpi w tej mierze krótka, lecz nader treściwa wzmianka społecznego chwalcę i kronikarza Krzyżaków, niejako z własnych ust Zakonu pochodząca.

„Wielki lament – pisze zboląły ziomek i rówieśnik owego obłudnego mistrza Konrada – przyszedł po tannenberskiej bitwie na Zakon. Wszystkie bowiem szlachta i gmin i wszystkie miasta pruskie wdarły się do zamków zakonnych i poddały je królowi polskiemu, i zaprzysięgły mu wszelkie poddaństwo i wierność wszelką... A jak ciż szlachta i gmin, i mieszczenie powstali na panów swoich, tak też sprzeniewierzyli im się biskupi, prałaci, zakonnicy, zakonnice, ludzie wszelkiego stanu, którzy wszyscy przeszli na stronę króla polskiego i wzięli go sobie za pana. I stała się tak wielka zdrada w państwie zakonnym i tak nagła zmiana serc w całych Prusiech, jakiej nie było jeszcze przykładowo w żadnym kraju...” Po niedługim czasie zagnieżdżyła się zdrada, zagnieżdżyły się wszelkie plagi niezgody, nienawiści, zamieszki w samymże łonie Krzyżactwa. Ów chwilowy zbawca Zakonu, wielki mistrz Henryk Plauen, został już we trzy lata po katastrofie grunwaldzkiej ze sromem zepchnięty z godności wielkomistrzowskiej. W domiar wszelkiej klęski i hańby teutonizmu musiał złożony mistrz Plauen według samegoż wyrażenia się dzisiejszych c h w a l c ó w Zakonu uznać, iż „zbestwiona horda krzyżacka niegodna była istnienia i że lud pruski poczyta sobie za szczęście uwolnić się spod ich władzy”.

Zniewoliło to niedawnego zbawcę, a teraz zdrajcę Zakonu, do zawiązania tajnych porozumień z królem Jagiełłą w celu poddania mu całej ziemi krzyżackiej. Spełził wprawdzie na niczym wcześniej odkryty zamysł Plauena, ale co nie przyszło do skutku niebawem po Grunwaldzie za pomocą mistrza Plauena, tego w mało co dłuższym przeciągu czasu sam lud pruski dokonał. W 44 lat po wielkim dniu grunwaldzkim najpiękniejsza część państwa pruskiego, staropolskie Pomorze, otrząsało się z jarzma Krzyżaków i połączyło się z Polską. Ochromiony tym Zakon utracił według owej przepowiedni istotnie „rękę prawą i nogę prawą” – lecz nie uznał występków swoich. Owszem, aż do schyłku dni również fałszem i zdradą tchnące, skończyło Krzyżactwo niemieckie zupełnym odstępstwem od wiary, której miało być tarczą – odszczepieństwem od Kościoła, z którego wzięło początek – przyjęciem sekty wittemberskiej, zlutrzaniem.

Reszta krajów zakonnych przeszła wtedy pod hołdownictwo Korony Polskiej. Dzięki zwycięstwu grunwaldzkemu upadło na kilka wieków niebezpieczeństwo wielkiego państwa teutońskiego nad Bałtykiem. Cała Słowiańszczyzna nadbałtycka odetchnęła swobodniej. Dzień „wielkiej bitwy” został podniesiony do rzędu świąt narodowych. Zdobyte pod Grunwaldem chorągwie powiewały przez dwieście lat w stołecznej katedrze polskiej. Niejedną świątynię wiejską ozdobiły trofeje „wielkiej potrzeby”, a starożytny kościół Piotra Dunina w Kijach szczyił się ornatem z białą arrasowej delii rycerskiej, w której poległ wielki mistrz Ulryk.

Na ścianach zamku krakowskiego świecił przechodniom wiersz łaciński na cześć tryumfu grunwaldzkiego. Jaki taki miłośnik chwały ojczystej czytał go wierszem własnego pióra, w języku obcym i polskim. Przez długie lata brzmiały o nim pieśni w narodzie. Na poboju grunwaldzkim stanęła wielka kaplica z gronem sześciu kapłanów do odprawiania nabożeństwa żałobnego. Z właściwą onym wiekom obojętnością o ścisłość prawdy historycznej umieszczono na niej napis: „Pamięci stu tysięcy poległych”.

Ale najwspanialszym pomnikiem chwały grunwaldzkiej mniemamy wielką uroczystość nowo utwierdzonej unii obudwóch ludów zwycięskich, która już we trzy lata po wielkiej bitwie odbyła się w nadbużańskim Horodle. Tamże i nam po kilka bliższych zwrócić się rysów.

XXIV. HORODŁO

Nienawiści i unie ludów. Ścieśnienie związku między Polską a Litwą w roku 1401. Propagacyjna dążność szlachectwa średniowiecznego. Rada króla Zygmunta. Przykład „debarbaryzacji” Irlandii z roku 1395. Różnica między szlachectwem zagranicznym a polskim. Polska wspólność herbowa. Zgromadzenie w Horodle. Dokument panów polskich. Dwa dalsze dokumenty ze strony panów litewskich i Jagiełły z Witoldem. Nieobecność Rusi. Nawrócenie Żmudzi. Nadzieje połączenia obrządków. Niebezpieczeństwo wzajemnego wpływu Litwy na Polskę. Wielkość próby zjednoczenia Korony z Litwą. Mroczenie się widokregu przyszłości. Tymczasem zgoda i sława.

Musieliśmy w ciągu powieści naszej mówić tak wiele o głębokiej nieprzyjaźni między teutonizmem a słowiańszczyzną, iż mogłoby się zdawać, jakoby podobne nienawiści okazywały się odwieczną, nieśmiertelną koniecznością historii. Tymczasem są one tylko przemijającym zjawiskiem czasu i za jedną z głównych właśnie zalet liczymy opisanemu tu ustępowi dziejów krajowych, iż przedstawivszy tyle scen i rysów wrogiego antagonizmu narodów kończy wspaniałą sceną o s t a t e c z n e g o zjednoczenia dwóch wrogich niegdyś ludów, Polski i Litwy.

Już oba te ludy od lat 27 żyją w braterskiej ze sobą spółce, niedawno powtórnie zatwierdzonej. Gdy po zgonie pierwszej twórczyni związku, świętobliwej Jadwigi, zaszła wątpliwość, azali król Jagiełło utrzyma się nadal przy tronie polskim, i gdy on rzeczywiście pozostał przy nim, ścieśniono pierwszą unię nowymi w roku 1401 paktami przysięgami. Zobowiązały się wówczas Polska i Litwa, tamta imieniem swoich najprzedniejszych panów koronnych, ta imieniem wielkiego księcia Witolda z wielą bojarów i głównych książąt hołdownych do wzajemnej względem siebie wierności, warując mianowicie, aby Litwa po śmierci wielkiego księcia Witolda należała ciągle do Polski, Polska zaś po śmierci Jagiełłowej nie obierała sobie króla bez Litwy.

Był to jedyny w dziejach przykład dobrowolnego zjednoczenia się nieprzyjaznych przez wieki ludów, któremu historia jeszcze ściślejzego miała udzielić spoju. Szczęśliwe spółdziałanie różnych pobudek zamieniło tę bezprzykładną unię n a r o d ó w w tym bliższą unię r o - d z i n i ludzi. Przyczyniło się ku temu przed wszystkim nabyte pod Grunwaldem przeświadczenie o zbawienności sojuszu Polski z Litwą wobec teutońskiego Krzyżactwa. Wynikłemu stąd popędowi do coraz bliższej spójni chodziło o najdokładniejsze zrównanie stanów i obyczajów Polski z obyczajami i społeczeństwem litewskim, mianowicie szlachty polskiej z bojarstwem Litwy. Po fortunnym zaś nawróceniu kraju na chrześcijaństwo łacińskie nie znała szlachecko-rycerska Polska średnich stuleci skuteczniejszego i konieczniejszego ku temu środka nad udzielenie bojarstwu litewskiemu dostojności szlachectwa.

Kierowała się Polska w tej mierze powszechnym natchnieniem katolickiego Zachodu, któremu właściwa ówczesnemu stanowi rycerskiemu ochota do upowszechniania swoich obyczajów i trybu życia posłużyła za nader silną dźwignię oświaty, uobyczajenia i uszlachetnienia ludzkości. Jak bowiem samo chrześcijaństwo dąży ostatecznie do pobratania wszystkich

narodów za pomocą jednej wspólnej nauki miłości i moralności; jak mianowicie zachodni katolicyzm usilnie popiera tę dążność uniwersalną, tak i wspomniany tu pochop rycerskiego szlachectwa średniowiecznej Europy do rozprzestrzeniania wszędzie swoich szlacheckich obyczajów, swoich wyobrażeń i zasad obalał ciasne szranki odrębnych narodowości, spajał wiele narodów, a przynajmniej najmożliwsze klasy wielu narodów jednym wspólnym trybem myślenia i pożycia; wyróżniał w wielu odrębnych narodach główne warstwy społeczne i tworzył z nich jakoby jeden powszechny naród szlachecki.

A równie jak użyteczną w końcu i dobroczynną, tak oraz niezmiernie żywą i przedsiębiorczą była ta dążność szerzenia szlacheckości przez szlachtę i widząc ją nawet nie bez znacznego wpływu na naszą sławną unię w Horodle nie możemy nie zwrócić uwagi na powinowactwo między rolą odegraną tam przez rycerski stan polski, a podobną dążnością wszystkiego szlachectwa zachodniej Europy. Owszem, godzi się naszemu Horodłu tym słuszniej takie po jaśnienie światłem współczesnych dziejów sąsiednich, iż z tej to właśnie strony sąsiedniej, zza granicy, otrzymała wiekopomna scena w Horodle swoją ostateczną podniętę.

Pozostała ciekawa wiadomość, iż do wielkiej uroczystości unobilitowania bojarstwa Litwy nad Bugiem przyłożyła się osobliwie rada węgierskiego, a teraz już i rzymskiego króla Zygmunta, znanego bałwochwalcy wszelkich form, ceremonij, przyborów i błyskotek szwalerii europejskiej. Nieprzyjaciel unii polsko-litewskiej, dopóki ona zdawała się nietrudną do rozrwania, gotów był Zygmunt przeciwnie wesprzeć ją radą swoją, byle tym rycersko-szlacheckie obyczaje Zachodu otworzyły sobie drogę do dzikiej Litwy. W takiej to myśli rozszerzenia onych innym trybem gdzie indziej ustanowił nasz Luksemburczyk osobny order rycerski, czyli tak zwaną wówczas „liberią”, z wyobrażeniem smoka, ale żadnej tam chwały nie odniósł z dzieła swojego. Krajowcy i cudzoziemcy wzgardzili ofiarowanym sobie od Zygmunta smokiem niemieckim, a piękna myśl poszukiwanego w takich stowarzyszeniach średniowiecznych braterstwa chyba na innej ziemi pełniejszym dojrzeć miała owocem.

Opowiada tedy najpoważniejszy z dziejopisów polskich tej pory, iż gdy król Jagiełło w kilkanaście miesięcy po wojnie grunwaldzkiej odwiedził króla Zygmunta w Węgrzech i za daną sobie w zastaw ziemię spiską wyliczył mu tam 37 000 kóp groszy pragskich, Zygmunt Luksemburczyk po zagarnięciu pieniędzy doradził królowi polskiemu podjąć w Litwie także samo dzieło cywilizatorstwa na krój zachodni, jakiego niedawno dokonał w równie nieoświeconej Irlandii angielski król Ryszard II, małżonek rodzonej siostry Zygmunta, a tym samym przez dalsze rozramienienie koligacji wraz z Zygmuntem szwagier Jagiełłów. Gwoli temu powinowactwu osób i niejakiemu podobieństwu wypadków niech nam wolno będzie wspomnieć kilku słowy o tej bliskoczesnej unii irlandzkiej.

Owoż mało co przed śmiercią królowej Jadwigi, około 1395, wyprawił się sławny tragicznym zgonem król Anglii Ryszard II za morze do dawnej, lecz niesfornej i mimo chrześcijaństwa barbarzyńskiej jeszcze prowincji berła angielskiego – Irlandii. Zhołdowawszy sobie tam przed niedawnym czasem kilku książąt krajowych postanowiono uobyczaić ich teraz na wzór szwalerii europejskiej. Tym końcem sprowadzono Irlandczyków do stolicy Dublina i rozpoczęto z nimi głośną w owych czasach pracę edukacji szlacheckiej, pod przewodnictwem znamenitego rycerza angielskiego Henryka de Castide, który z urzędu miał okrzezać z barbarzyństwa – czyli jego własnym wyrazem mówiąc – „debarbaryzować książąt irlandzkich”.

Najpotrzebniejszą ku temu rzeczą było, zdaniem Henryka, pasowanie rycerskie, przed którym jednak należało oczyścić przyszyłych rycerzów z wielu „narowów i nieprzystojności prostaczych”. Aby wymiarkować dokładnie te narowy, pozwolił im cywilizator angielski żyć przez dni kilka dawnym obyczajem ojcystym i dopiero potem wziął się do dzieła. Zganiono tedy Irlandczykom najpierwej dawne wspólne obiady i biesiady, przy których książęta jedli i pili z jednej misy ze swymi dworzany i śpiewakami, i rozsadzono wszystkich u trzech różnej godności stołów, przy jednym książąt, przy drugim śpiewaków i lutnistów, przy trzecim dworzan.

Zasmuconych rozbratem biesiadników odstąpiła wszelka ochota do jedzenia i picia, lecz mistrz cywilizacji rycerskiej oświadczył, iż zwyczaj przeciwny trąci gburowstwem, przeco wypadło zastosować się do przepisu. Następnie zdjęto z Irlandczyków dawny strój narodowy, nie znajdujący wcale bielizny, i przyodziano ich w zwykłą odzież rycerską, wielce niewygodną z początku. Jeszcze niewygodniejszymi były siodła rycerskie z strzemionami, rzecz wcale nowa w Irlandii, w której przecież, gwoździ sławnej szwalerii, przyszło zasmakować chcąc nie chcąc. Dopiero po takich przygotowaniach pomniejszych, po długim, acz bezskutecznym wyprasaniu się książąt nastąpiło pasowanie rycerskie, stawiające ich na równi z szlachtą angielską.

W podobny sposób doradził Ryszardów szwagier, Zygmunt, porównać szlachtę litewską ze szlachtą polską. Ponieważ bieg wypadków nie sprzeciwiał się radzie, owszem, sam przez się przynaglał do zupełnego porównania złączonych, a tak różnych narodów, przeto zgodzili się na to obadwa ludy. Starsza w cywilizacji Polska miała młodszą w tym względzie Litwie udzielić swoich zaszczytów cywilizacyjnych.

Treścią tych zaszczytów było w zachodniej Europie szlachectwo. Niezupełnie wszelako jednogodne z szlachectwem polskim, znało ono za granicą dwa różne stopnie, tj. szlachectwo rodowe, familijne, i szlachectwo rycerskie, indywidualnie uzyskiwane – tamto pospolitsze, to wyższe. W szlachectwie pierwszym, rodowym, rozróżniano następnie poszczególne klasy hrabiów, baronów itd.; pasowany zaś rycerz przewyższał swoją godnością w s z y s t k i e klasy szlachectwa rodowego, przewyższał niejako samą godność królewską, zbliżał się do kapłańskiej.

Szlachectwo polskie obchodziło się bez tej kilkorakiej różnicy. Dla niego wystarczała zasada rodowości, szlachetność familijna. Zanosilo się wprawdzie dawniejszymi czasy tu ówdzie szczególnie w Małopolsce, na taką podwójną różność szlachectwa, tj. na prawne rozgatunkowanie szlachty rodowej w kilka różnej godności stanów i na obyczajową różnicę między zwyczajną szlachtą rodową a z cudzoziemską ubarwioną szlachtą rycerską, lecz po części sam duch narodu, po części też wypadki historyczne zatarły ze szczeniem tę różnicę. Już około czasów Kazimierza Wielkiego oparła się starodawna równość szlachecka cudzoziemczemu wyróżnianiu kilku różnocennych stanów szlacheckich, a zdarzone później połączenie Polski z Litwą i Rusią – uzupełniło dzieło równości.

Wobec świeżo ochrzczonej, a zgoła nieszlacheckiej Litwy i Rusi zniknęły wszelkie subtelności przedziałów szlachectwa zagranicznego. Teraz jeśli przyszło czynić jaką różnicę, tedy nasuwała się przed wszystkim wielka różnica między nieszlacheckim wcale bojarstwem Litwy i Rusi a „szlachetnymi” w każdym razie panami Polski, bądź to już niższej lub wyższej szlachetności. Wzięła zatem stanowczą w Polsce przewagę jednostajność szlachectwa, nie znająca żadnej prawnej różnicy stanów, nie przypuszczająca wyższości szlachectwa rycerskiego, czyli „pasowanego”, ucieniowana jedynie różną kwalifikacją do służb publicznych. Stąd gdy przyszło Polakom udzielić Litwie swoich zaszczytów cywilizacyjnych, nie miała Polska nic więcej do udzielenia bojarstwu litewskiemu nad szlachectwo rodowe. Zamiast, jak Ryszard Irlandczyków, udarować Litwę dostojnością r y c e r s k ą niosła jej szlachta koronna tylko klejnot herbowy.

Za to jednak towarzyszyła klejnotowi szlachectwa polskiego pewna nie znana gdzie indziej właściwość wysokiego znaczenia, nader zbawiennego wpływu na moralność samejże szlachty, tj. staropolska wspólność herbowa. Za granicą każda rodzina miała swoje szlachectwo, czyli swój herb szlachecki, tylko dla siebie samej. Przez to każda z rodzin stanowiła pewną zamkniętą w sobie, odrębną dla siebie całość; skąd następnie całe szlachectwo cudzoziemskie kruszyło się w tysiące drobnych całości, a wszystek stan szlachecki żył w rozdrobnieniu na tysiące maluczkich rodzin, żył w cieśni małodusznych kółek domowych.

W Polsce, przeciwnie, bywał każdy herb pojedynczy wspólną własnością wielu przeróżnych rodzin, wszystkie jednoherbowe domy mimo niezmierną w tym względzie klęskę ostatnich lat poczytywały się za jedną wielką społeczność familijną, przynajmniej moralnymi jesz-

cze węzłami spojona z sobą. Wszystko szlachectwo krajowe skupiało się w nieliczne, ale szerokie i potężne rody, czyli „narody” jednoherbowe, a cały naród szlachecki żył w niezmiernie szerokich kołach, szerokimi piersiami, rozległym na świat spojrzeniem.

Płynęło też dalej wielce pamiętnym następstwem z tej spólności herbowej, iż nadawanie komuś szlachectwa działo się w Polsce nie jak za granicą udzielaniem nowego herbu przez króla, lecz przyjęciem nieszlachcica przez któregoś z panów herbowych do pewnego dawniejszego już herbu, do pewnej dawnej społeczności jednoherbowej, a tym samym do jej dawnych związków i stosunków rodzinnych. Dzięki temu znachodził każdy nowy herbownik od razu dom i rodzinę w narodzie; akt próżnej chluby stawał się żywotnym aktem miłości; wszystką szlachtę krajową jednoczyło uczucie wzajemnego przywiązania bratniego. Co gdzie indziej służyło jedynie celom i próżnościom światowym, z tym u szlachty polskiej łączyły się uczucia religijne, pobudzające do ćwiczeń życia prawdziwie chrześcijańskiego, rozwijające ducha wzajemnej miłości i pomocy.

Owoż udzielając Litwie swoich zaszczytów zachodnioeuropejskich, udzieliła ich szlachta polska właściwym sobie sposobem, przyjęła bojarstwo litewskie do swoich własnych herbów, rodzin i stosunków rodzinnych. Tym uszlachetnienie Litwy w Horodle stało się czymś wielce różnym od owej uroczystości „debarbaryzowania” książąt irlandzkich. Tym sławna unia horodelska okazała się dziełem prawdziwie chrześcijańskim, zamieniła się w jeden z najwcześniejszych i najwspanialszych przykładów owego bratania się wrogich przez długie lata narodów, do którego historia i chrześcijaństwo prowadzą ostatecznie cały ród ludzki.

Gdy pod jesień roku 1413 zawezwano oba narody na zjazd pojednawczy w Horodle nadbużańskim, panował właśnie srogi pomorek w Polsce. Kto mógł, ujeżdżał w strony zdrowsze, w okolice odludniejsze, lesistsze. Niezmiernie wielka liczba szlachty polskiej nadciągnęła z królem Władysławem Jagiełłą ku leśnemu miejscu pojednania nad Bugiem. Również licznie zjechało bojarstwo litewskie z wielkim księciem Witoldem z przeciwnej strony Bugu, od Litwy. Owszem, zjechali prawie wszyscy rodowici Litwini wyższego rzędu, acz nie wszystka zjechała Litwa.

Wszystka bowiem Litwa składała się, jak wiadomo, do połowy z ludności ruskiej, która po największej części nie uczestniczyła w udzielonym Litwie chrzcie katolickim, a akt nobilitacji Litwy w Horodle był jedynie uzupełnieniem katolicyzmu na Litwie, uzupełnieniem „wiary i swobód katolickich”. Przed dwudziestu sześciu laty otrzymała Litwa pogańska na korzyść duszy – łacińską wiarę zbawienia, na korzyść zaś doczesności – naprzód własność majątków, następnie wolność związków rodzinnych, wreszcie wyzwolenie z służebnictwa osobistego. Teraz przybywał ostatni z zaszczytów katolickich, klejnot szlachecki.

Jako wyłączna właściwość zachodnioeuropejskiego świata i obrządku były te wszystkie swobody i zaszczyty tylko katolikom bezpośrednio przystępne; lecz ponieważ sam katolicyzm jak najchętniej otwierał wszystkim ramiona, przeto nie były one nikomu niedostępne pośrednio. Żądać zaś od unii katolickiej w Horodle, aby ona także niekatolickie przyjęła była żywioły, jest to względnie do czasu, w którym wszystkie swobody i zaszczyty świeckie płynęły jedynie z chrześcijaństwa katolickiego – żądać sprzeczności z rzeczą. Dlatego jakiegokolwiek wyższej jeszcze doskonałości dostąpić mogło nasze dzieło horodelskie w czasach późniejszych, na teraz było ono w miarę możności najzupełniejszym.

I owoż jak w początkach powieści naszej, przed niespełna laty czterdziestu, patrzyliśmy na pamiętny zjazd narodowy w Koszycach r. 1374, tak obecnie, u schyłku tej powieści, poświęćmy jeszcze chwilę uwagi również znamienitemu zjazdowi w Horodle roku 1413. Oprócz niezmiernie licznej szlachty podrzędnej zgromadził on ledwie nie wszystkich duchownych i świeckich panów Wielkiej i Małej Polski. Zebrało się w Horodle dwóch arcybiskupów, siedmiu biskupów, ośmiu wojewodów, dwudziestu czterech kasztelanów, dziesięciu sędziów i innych urzędników koronnych. Lubo w tak niezwykajnie dostojnym gronie nie umiemy wskazać nikogo, co by z pewnością znajdował się także w Koszycach, niejedyn przecież z obecnych w Horodle starców musiał przypominać sobie naocznie ów sławny zjazd węgierski.

Obejmując pamięcią najprzód ówczesny list swobód Ludwikowych, następnie dwa przedkoronacyjne listy przyrzeczeń i swobód Władysława Jagiełły, dalej, list tegoż króla nadający chrześciane swobody Litwie, wreszcie niedawno wspomniane listy unii z roku 1401, ileż bezprzykładnie ważnych zmian narodowych obejmował taki świadek czasów Ludwikowych szczupłą miarą lat niespełna czterdziestu! Teraźniejszy zjazd narodów w Horodle nie ustępował ważnością żadnemu z owych przytoczonych tu wspomnień.

Jako pierwsze wspólne zebranie obu zbratanych ludów otrzymał on nową nazwę: sejm walny, czyli „sejm wielki”. Obradowali zebrani panowie Polski i Litwy w salach zamku królewskiego w Horodle, gdzie jeszcze w sto kilkadziesiąt lat później widać było na ścianach poważne malowidła, przedstawiające króla Władysława Jagiełłę, wielkiego księcia Witołda, tudzież zasiadających kołem biskupów, wojewodów, kasztelanów, sędziów i resztę panów koronnych i litewskich.

Przypomniawszy wszystkie główne warunki zjednoczenia Polski i Litwy przystąpiono do głównego przedmiotu, tj. do unobilitowania panów litewskich. Wielki książę Witołd oznaczył tym końcem 47 najprzedniejszych bojarów jako najgodniejszych szlachectwa, a tyluż różnoklejnotnych panów koronnych przyjęło ich do tyluż herbów polskich. Otrzymał w ten sposób pan Moniwid, nowo kreowany wojewoda wileński, herb Leliwę; Jawnis, nowy wojewoda trocki – Zadotę, Mingała, kasztelan wileński – Rawę, Sungała, kasztelan trocki – herb Lisów, Niemir – Jastrzębców, Hostyk – Trąby, Butrym – Topór itp.

Młoda szlachta litewska przyjęła swój nowy zaszczyt z tym samym uczuciem obojętności, z którym wszystkie świeżo „debarbaryzowane” narody wstępują w koło dawniejszej cywilizacji. Jakkolwiek wielkie i widoczne korzyści mogą płynąć z pewnej nowej przemiany społeczeństwa, pewnej nowej oświaty, zawsze dawny tryb życia, dawniejsze nawyki, dawne obyczaje ojczyste miłszymi bywają sercu, nie dają porzucić się bez żalu. Jak samo chrześcijaństwo wszędzie tylko z największą trudnością, tylko po długiej walce z wstrętem swoich nowych wyznawców rozkrzewiało się na świeżym karczowisku pogaństwa, tak i przyjętym przez Litwę zaszczytom katolickim, lubo nie na samo szlachectwo ograniczonym, lubo nader wielkiego zresztą znaczenia w życiu, bardzo chłodnie przecież i leniwo otwierały się serca.

Innym wcale uczuciem tchnęła szlachta koronna, udzielając Litwie swoich zaszczytów. Ona знаła już wysoką materialną i moralną wartość swojego daru; ona tym chętniej dzieliła się z Litwą szlachectwem swoim, im jawniejsze były korzyści ścisłego obudwóch ludów sojuszu; w niej radość owych chrześcijańsko-rycerskich propagatorów swojego trybu życia podwajała się radością z uzyskanych własnemu narodowi korzyści. Podali więc panowie polscy swój dar braterstwa z tak serdeczną miłością, z tak głęboką świadomością moralnego znaczenia chwili, jakiej byśmy zaledwie spodziewali się po Horodle. Przekonywa o tym dokument, którym szlachta koronna poświadczła ustąpienie Litwie swoich klejnotów, a który w głównej części opiewa, jak następuje:

„W imię Pańskie, amen. Ku wieczystej pamięci. Nie doznać nikomu łaski zbawienia, kogo nie wesprze mi ł o ś ć. Gdyż ona jedna nie działa marnie, lecz sama sobą świecąc kładzie koniec niezgodom, uśmierza swary, ukróca nienawiści, łagodzi waśnie, użycza wszystkim pokojowi, skupia, co się rozpiezchło, podźwiga, co upadło, wygładza rzeczy szorstkie, prostuje krzywe, wszystkim pomaga, nikogo nie obraża, kocha każdego, a ktokolwiek schroni się pod jej skrzydła, ten znajdzie bezpieczeństwo i nie ułęknie się gróźb niczyich. Miłość to tworzy prawa, włada państwami, urządza miasta, wiedzie stany Rzeczypospolitej ku najlepszemu końcowi, udoskonala wszystkie cnoty cnotliwych, a kto nią wzgardzi, ten wszelkiego dobra pozbędzie. Dlatego my, prałaci, rycerstwo i szlachta Korony Polskiej, chcąc pod tarczą miłości spocząć i pobożnym dysząc ku niej uczuciem zespoliliśmy i zjednoczyliśmy, i dokumentem niniejszym zespolamy i jednoczymy nasze domy, pokolenia, rody, herby i klejnoty herbowe z wszystką szlachtą i bojarstwem litewskich ziem, mianowicie zaś z tymi, którym najjaśniejszy książę i pan, Władysław, z Bożej łaski król polski, tudzież oświecony książę i pan, Aleksan-

der, rzeczony Witołd, wielki książę litewski, nadali na prośby nasze i mocą dokumentów za-
twierdzili łaski swobód, wolności i przywilejów. Zespoliliśmy – mówimy – i zjednoczyli, aby
na wieczne odtąd czasy mogli używać naszych herbów i klejnotów i godeł naszych, któreśmy
odziedziczyli po ojcach i przodkach naszych, a którymi oni cieszyć się mają w znak prawdzi-
wej miłości, jak gdyby takowe po swoich własnych przodkach otrzymali dziedzictwem. Nie-
chaj więc zjednoczą się z nami miłością i braterstwem i staną się nam równymi, jak już sama
wspólność wiary, praw i przywilejów porównała ich z nami. I przyrzekamy im słowem czci i
przysięgi nie opuścić ich w żadnych przeciwnościach i niebezpieczeństwach, lecz owszem
stawać im ku pomocy w każdej potrzebie, udzielać im rady przeciw wszelkim zamachom
nieprzyjacielskim i pracować usilnie u panów naszych Władysława i Aleksandra Witołda, aby
coraz szerzej rozwierali dla nich rękę swojej szczerobliwości, aby ich coraz hojniejszymi
darzyli swobodami, aby nigdy nie przestawali przymnażać im łask i pożytków. Co też i prze-
rzeczeni panowie litewskich ziem obowiązali się słowem i przysięgą czynić dla nas nawza-
jem...”

Panowie litewscy złożyli ze swojej strony poświadczenie przyjęcia zaszczytów polskich, w
znacznie chłodniejszych atoli słowach. Władysław Jagiełło i Witołd wydali dokument trzeci,
uzupełniający dzieło unii potwierdzeniem nobilitacji litewskiej, powtórzeniem wszystkich
dawniejszych warunków zjednoczenia Litwy z Koroną, przydaniem niektórych nowych.

W tym celu wyrzeczono jeszcze raz wieczyste połączenie obu narodów, uznano prawo-
mocność wszelkich fundacyj katolickich, przypomniano wszystkie udzielone Litwie z chrze-
ścijaństwem swobody, mianowicie prawo własności dziedzicznej, wolność związków rodzin-
nych i dziedzicznego wyposażania córek i wdów, wreszcie wyzwolenie z służebnictwa osobi-
stego, wyjąwszy służbę wojenną i pomoc w budowaniu zamków warownych.

Za to obowiązuje się szlachta litewska do wierności Jagielle, do jedności z Koroną Polską,
do posłuszeństwa Władysławowi i Witołdowi po koniec życia. W razie śmierci Witołda nie
będą panowie litewscy obierać sobie wielkiego księcia bez przyzwolena króla i narodu pol-
skiego, a Polacy nawzajem nie obiorą sobie króla po Władysławie Jagielle, nie porozumia-
wszy się z Litwą.

Dla takiego wzajemnego porozumienia się będą obadwa narody zjeżdżać się na wspólne
sejmy w Lublinie lub Parczewie, albo gdziekolwiek indziej, ilekroć zajdzie potrzeba. Ku tym
zupełniejszemu porównaniu Litwy z Koroną zaprowadzają obaj sprzymierzeni książęta też
same rządy w Litwie co i w Koronie, tj. stanowią dwa województwa i tyleż kasztelanij litew-
skich w Wilnie i w Trokach.

Wszelkie wymienione tu swobody i przywileje „katolickie” będą służyły jedynie wyznaw-
com obrządku katolickiego, udostojnionym herbami szlachty polskiej. Wszystkie trzy doku-
menty horodelskie mają datę 2 października, ostatniej, jak się zdaje, mety wiekopomnego
„sejmu walnego”, czyli – jak on sam z europejska nazywa się w dokumencie łacińskim –
„parlamentu” nad Bugiem.

Zamiast tej nazwy europejskiej potrzebniejszą była Horodłu, potrzebniejszą całemu pań-
stwu Jagiełłowemu obecność Rusi greckiej. Jakoż czuli obaj zjednoczeni w Horodle monar-
chowie tę nieodzowną potrzebę, lecz nie pojmując innego przyswojenia sobie ludności ru-
skiej, jak tylko za pośrednictwem wiary łacińskiej uznali najpierwszym ku temu krokiem –
nawrócenie Rusi na obrządek zachodni.

I rozpoczęły się w istocie długoletnie odtąd komunikacje i zabiegi w tym względzie mię-
dzy Rzymem a naszymi książętami i Rusią. Powszechny tymi czasy ruch w chrześcijaństwie
zachodnim, obudzony rozpoczętym właśnie soborem konstancjeńskim, zamierzający przy-
prowadzić do skutku arcyżądany reformacją Kościoła zachodniego podniecał w najwyż-
szym stopniu apostołskie usiłowania i ambicje monarchów horodelskich. Szczęśliwy we
wszystkich przedsięwzięciach, a łakomy sławy europejskiej Jagiełło nie widział wyższego
celu fortunie i chwale swojej nad podobneż przychylenie Rzymowi całej Rusi, jak już przy-

chylił Litwę. Karcony niekiedy przezwiskiem „fautora syzmatyków”, podejrzrywany o skłonności husyckie, z urodzenia pobłażliwy i umiarkowany, gotów on był teraz dla okazania swojej żarliwości w sprawach Kościoła zachodniego dopuścić się istnych gwałtów względem obrządku swojej ruskiej matki Julianny. Jedyńeż w chęci takich popisów przed światem zagranicznym działały się teraz niekiedy kroki nie znanej dotąd samowolności, które za bardzo szkodliwy przykład posłużyć mogły czasom następnym.

Właśnie w pobliskiej sejmowi horodelskiemu porze przejeżdżał Jagiełło przez miasto Przemyśl mając w towarzystwie swoim kilku dostojnych cudzoziemców, mianowicie arcybiskupa z Strygonia, Jana, i Krzyżaka Michała Kuchelmeister, przyszłego mistrza Zakonu. Mogli oni rozgłosić szeroko chwałę apostołstwa Jagiełłowego, gdyby teraz na ziemi ruskiej spełniony został w ich oczach jakiś czyn uderzającej opieki nad Kościołem łacińskim, uderzającego pogńębienia starodawnej wiary krajowej. Dał się uwieść tej pokusie Jagiełło i dla zyskania pokłasku cudzoziemców rozkazał, aby uboga dotąd katedra rzymska w Przemyślu zajęła miejsce okazalszej cerkwi stołecznej ruskiej. Wyrzucono więc duchowieństwo greckie z dotychczasowej głównej świątyni w zamku, która dla naocznego przekonania uradowanych gości zachodnich poświęconą została natychmiast na katedrę łacińską. W zapale rugowania ołtarzów ruskich nie przebaczone żadnemu z zakatów cerkwi, narażając się na słuszną niechęć krajowców, której żadne pochwały zagraniczne nie wynagrodziły chwalonym.

Nawet niezmiernie obojętniejszy w tej mierze Witold uległ obecnie powszechnemu prądowi religijnemu, powszechnemu prądowi katolicyzmu rzymskiego. Za wspólnym staraniem Jagiełły i Witolda nastąpiło w kilka miesięcy po sejmie horodelskim, w zimie z roku 1413 na 1414, nawrócenie pogańskiej dotąd Żmudzi na chrześcijaństwo łacińskie, utwierdzone założeniem osobnego tamże biskupstwa, ufundowaniem potrzebnej liczby kościołów itd.

Gdy łagodne środki apostołstwa Jagiełłowego nie dość szczęśliwy na Żmudzi przyniosły skutek, gdy zbuntowani wkrótce Żmudzini wygnali biskupa i kapłanów łacińskich, kazał surowy Witold ściąć sześćdziesięciu Żmudzinów, „aby bezbożność żmudzka nie zdała się jego winą”. Srodze przyciśnione pogaństwo musiało zaprzec się Znicza, a stołeczna niegdyś ziemia pogańska, najuporczywsza obrończyni Perkuna, Żmudź, przepelniona odtąd chrześcijańskimi świątyniami, kapliczkami i figurami, zamieniła się z czasem w „krajnę krzyżów przydrożnych”.

W tej samej porze wyprawił Witold na sobór konstancjeński całe grono biskupów i księży greckich w celu przyjęcia unii łacińskiej. Władysław zaś Jagiełło pisał jednocześnie zgromadzonym w Konstancjum dostojnikom kościelnym, iż „gdyby nie wielorakie zawichrzenia wojenne, byłby już dawno wszystkie narody ruskie przywiódł do posłuszeństwa świętemu Kościołowi rzymskiemu”. W coraz wspanialszym rozpostarciu się łacińskooobrządkowych zamysłów donosili już obadwaj monarchowie horodelscy ojcom soboru konstancjeńskiego, iż jeden z nich, Jagiełło, spodziewa się niebawem złączyć samychże Greków bizanckich, a drugi, Witold, ochrzcić na łacińską wiarę – Tatarów.

Owszem, marzono wcale o wspólnym przez Polskę, Danią, Węgry i Moskwę wydarciu Ziemi Św. niewiernym i połączeniu jej z chrześcijaństwem zachodnim. Polityczne i religijne połączenie Polski z Litwą otworzyło widok podobnemuż pojednaniu najdalszych kończyn świata.

Ale Opatrzność inaczej zakierowała wypadki. Zamierzona w Konstancjum reforma duchowieństwa rzymskiego niezupełnie przyszła do skutku. Wysłani tam przez Witolda biskupowie wschodniolitewscy oświadczyli na koniec, iż wolą zostać przy swoim dawnym obrządku. Nieszczęśliwa nauka Husa przejęła zachodnie chrześcijaństwo tym większą niechęcią ku wszystkim innowiernym plemionom, na tym dłuższy ciąg wieków utrudniła dzieło jedności chrześcijańskiej. Odsloniony ochrzczeniem Litwy widokrag zespolenia ludów i wiar – grubymi omroczył się chmurami.

W zamięcie powaśnionych umysłów nie ustała wprawdzie wrodzona chrześcijaństwu dążność jednania, lecz roznamietnione wypadkami głowy i serca popadły w pokusę i niebezpieczeństwo użycia materialnych środków do dzieła, które tylko moralną urasta siłą. Grzeszna zapamiętałość takiego targnięcia się orężem śmiertelnym przeciw nieśmiertelnemu duchowi zagroziła ciężką karą zapamiętaniu. Pod tym względem przyszło dziełu braterstwa Polski z Litwą obawiać się jeszcze niejednej chmury, niejednej próby w czasach następnych.

W ogólności połączenie tak przeciwnie ucharakteryzowanych stron świata nie mogło obejść się bez wzajemnego oddziaływania jednej na drugą. Jak z europejska ucywilizowana Polska niosła w pewnej mierze zachodnią, chrześcijańską oświatę Litwie, tak nawzajem z orientalna żyjąca Litwa niosła Polsce resztki swego barbarzyństwa orientalnego, niosła swoje niechrześcijańskie zwyczaje i narowy. Pomiedzy tymi nie przypominamyż sobie z obrazu pogaństwa litewskiego mnogich rysów społecznej i moralnej niedoli, które przy dłuższej z sobą spółce obudwóch połączonych narodów nie mogły pozostać bez pewnego wpływu na bratnią Polskę.

Zatrwał w tej mierze przed wszystkim przykład owej srogiej z dawien dawna niewoli nad całą Litwą, gnębiącej w tym samym stopniu możniejszych i ubogich, a od czasów połączenia się Polski z Litwą jedynie możniejszym umniejszonej, ludowi zaś równie ciężkiej nadal jak dawniej. Nie mniejszą obawę wzbudzać mogła owa panująca w Litwie mnogość podrzędnych, a zawsze monarchicznie panujących u siebie rodzin książęcych, zniżonych z czasem do poziomu zwyczajnej szlachty polskiej, a dających tej szlachcie ponętny przykład ambicji możnowładczej. Również gorszącym wzorem groziła z Litwy obyczajom i życiu codziennemu owa starolitewska zmysłowość, zamięłowana w pogańskim niegdyś zbytku biesiad, guseł, zabobonów itp.

W koniecznym odtąd przez długie lata ścieraniu się polskich żywiołów oświaty zachodniej z litewskimi żywiołami oświaty wschodniej jakże zgodzi się duch zachodnich „wolności katolickich” z ową orientalno-litewską niewolą ludu, gotową odebrać sobie życie na rozkaz księcia? Jakże polskie zamięłowanie w gminowładnej równości i braterskości szlacheckiej potrafi dotrzymać kroku litewskiemu możnowładztwu dumnych rodzin książęcych, zniewolonych do pozornej równi z tłumem szlacheckim, a w rzeczy przyuczających go służalstwa i obyczajów niewoli? Jakże w ogóle przy ogromnej większości coraz bardziej z litewska niewolonego ludu utrzyma się polska swoboda coraz zuchwalszej mniejszości panów i szlachty? Jak przy niedość stanowczo przeprowadzonym dziele pojednania religijnego ostoć się zachodnia wiara panów obok wschodniej wiary poddanych? Przez samo serce państwa Jagiellońskiego szła niegdyś granica Orientu i Okcydentu – dzieje tegoż państwa podjęły się próby spóśredniczenia tych tak przeciwnych krańców. Od tej wielkiej, lecz niebezpiecznej próby nie zakrwaWiż się serce samemu państwu?

W horodelskich jednakże czasach było ono jeszcze zdrowe i całe. Horodelskie czasy (według samychże ruskich zeznań) „kwitnęły pomyślnością i szczęściem”, ponieważ rozpoczynszy już w istocie ową próbę zuchwałą prowadziły ją w duchu umiarkowania i miłości. Wtedy nie roznamietniona jeszcze chęć jednoczenia nie sprawiała tym większej sprzeczni i godzono się chętnie na jedność, gdy już i przedtem panowała zgoda wzajemna.

Pod jej skrzydłem biskup zachodni przestawał przyjaźnić z biskupem wschodnim i nawet niechrześcijaninowi nie wzbraniał chrześcijanin sąsiedztwa spokojnego. Obaj monarchowie horodelscy szczylic się tytułem „wikariuszów stolicy rzymskiej”, a osiedlone w Litwie Tatarstwo mahometańskie, później srodze prześladowane, teraz w pokoju i bezpieczeństwie żyjące, chwaliło sobie rządy Witołda jako lata błogosławieństwa.

Względem rodowitych Litwinów, jako do bezwarunkowego posłuszeństwa niewoli zobowiązanych książętom swoim, pozwalali sobie ciż książęta środków przymusu przy apostołstwie, lecz względem Rusi „nie godziło się jeszcze używać materialnego oręża do nawracania na wiarę, do której jedynie łaska prowadzi”. Późniejsza zaciekleść umysłów, roszcząca sobie pretensję do większej od samegoż Ojca św. świętości i gorliwości, nieposłuszna samemuż

Rzymowi, gdy Rzym np. prosił o braterstwo dla zjednoczonego już duchowieństwa ruskiego, zachowywała się teraz w granicach chrześcijańskiego umiarkowania, starodawnej niewybredności.

A w zgodzie umysłów, wyznań i ludów nie było także niezgody między berłami monarchów zjednoczonych. Nawet owe tak wielce osławione właśnie między Władysławem Jagiełłą a Witoldem w latach nieco późniejszych, owe koronacyjne zamiary Witoldowe nie miały wcale tak wielkiej wagi, jaka im przyznawana bywa niekiedy. Były to zwyczajne wówczas zamiary uświetnienia się blaskiem królewskim, nie przynoszącym Witoldowi żadnego w rzeczywistości przyrostu władzy i nie pociągającym za sobą potrzeby zerwania unii z Koroną.

Wskutek tylokrotnie bowiem ponawianych układów, a jeszcze bardziej wskutek obopólnych korzyści zjednoczenia musiałaby być uzyskana przez Witolda korona pozostać nadal w takiejże samej zawisłości od Polski, jaką tylu innych królów ówczesnych ulegało swoim zwierzchnikom. Według pojęć ówczesnych poczytywali tacy zwierzchnicy królewskie udostojnienie swoich hołdowników raczej za własny zaszczyt niż ublżenie, widzieli w nim nie tyle uszczerbek władzy, ile raczej podwyższenie własnej dostojności zwierzchniczej, a może nawet rzeczywiste ukrzepienie monarchicznej powagi swojej.

Stąd jak np. królowie niemieccy przyznali godność królewską hołdownym książętom czeskim, jak nasz własny król Ludwik pozwolił swemu krewniakowi Twartkowi przybrać w roku 1366 berło królewskie w Bośni, a nie utracił przez to zwierzchności nad tą Bośnią, tak i Władysław Jagiełło nie tylko nie wzbraniał Witoldowi korony, lecz sam owszem od dawna ułatwiał mu jej osiągnięcie.

Czy to zresztą przy Witoldowych zamysłach koronacyjnych, czy bez nich, panowała zwyczajnie najprzykładniejsza zgoda pomiędzy naszymi wnukami Gedymina. Witold uznawał chętnie zwierzchnictwo brata, powtarzał wielokrotnie, iż nie może stanowić nic bez Jagiełły, a za granicą, nawet u świadomych właściwego stanu rzeczy w Polsce Krzyżaków, poczytywano Witolda jedynie za „wielkiego urzędnika Jagiełły”.

Mocni tą braterską jednością byli obaj bądź to wobec państw zagranicznych, bądź w własnych państwach zarówno potężni i szanowani. Władysław Jagiełło działał i słygał głównie ku zachodowi, Witold ku stronom wschodu. Tamtemu różne obce narody kłoniły się dobrowolnie do kolan, niosły berła swoje Węgry i Czechy, o tym, o szerokiej na wszystkich świat potędze Witoldowej, krążyły w Litwie prawdziwie orientalnie przesadne wieści.

Przypominając sobie późniejszy pobyt cesarza Zygmunta w rusko-litewskim Łucku prawi współczesny kronikarz ruski: „Przyjechawszy do swego grodu łuckiego, posłał wielki książę Witowt posły swoje do króla węgierskiego, który się nazywa cesarzem rzymskim, i rozkazał mu stawić się w Litwie. A król węgierski bez wszelkiej zwłoki przyspieszył z królową swoją do Łucka i cześć wielką, i dary wielkie złożył co prędzej Witowtowi... Jakże nie zdumieć się dziwem wielkim nad wielkością hospodara Witowta, któremu wszystkie kraje od wschodu po zachód słońca spieszą uderzać czołem, który nad wszystką ziemią jest carem!”

„Wszystkie ziemie ówczesne – czytamy w innej kronice ruskiej – kwitnęły dostatkami i obfitością wszech darów Bożych i kwitnęły sławą po świecie” – a ludzie byli godnymi tego błogosławieństwa, bo jeszcze nie nadużywali łask losu. Lubo aż nazbyt może skorzy do wyprowadzania na widok, czym owe czasy w porównaniu z naszymi odślaniały swoją niższość moralną, mieliśmy już wielokrotnie pociechę mówić o tym rozsądnym umiarkowaniu pokolenia tamtoczesnego, malować piękność i zacność charakterów ówczesnych bądź to w pojedynczych bohaterach powieści naszej, bądź w całych stanach społecznych. Teraz, ku uzupełnieniu rysów podobnych opowiemy na zakończenie wypadek, który wprawdzie zdarzył się nieco wcześniej, bo tuż po zgonie wiekopomnej Jadwigi, którym jednakże chcieliśmy się pożegnać z czytelnikami.

Są to powtórne zaślubiny Jagiełły z wnuczką Kazimierza Wielkiego, Annę Cyllejką, zwaną w zapiskach tamtoczesnych „orlątkiem, które do rodzinnych wróciło stron”.

XXV. POWRÓT ORLĘCIA

Zamek cyllejski. Rodzina grafa Hermana II. Sierotka Anna. Przybycie posłów polskich. Sprowadzenie Anny do Polski. Zabiegi przeciwników. Odroczenie małżeństwa. Zaślubiny i koronacja Anny w Krakowie. Potomstwo Jagiellońskie. Powrót klejnotów koronnych. „Błogosławiona” pamięć Jadwigi. Zamyśl starań o kanonizację. Żal Wilhelma a Władysława. Pierścień ślubny.

Daleko poza górami polskimi i Dunajem węgierskim, między starożytną Panonią a pobrzeżem weneckim sływał w drugiej połowie XIV wieku mały kraik udzielny. Było nim niedawno utworzone, ale znane już w dziejach hrabstwo cyllejskie, zawisłe od cesarstwa rzymskiego. W pośrodku kilkunastomilowej przestrzeni leżało małe miastko stołeczne, starożytna Cylleja, nieuboga w kamienne zabytki czasów klasycznych.

Opodal od miasta wznosiła się góra niewielka, na której sterczał możny zamek feudalny, siedziba grafów cyllejskich. Nosili oni właściwie niemieckie miano de Sonneck albo Sanneck, a panując słowiańskim po największej części poddanym, bogacąc się głównie wysługami u dworów węgierskiego i rakuskiego osławili się z czasem jakąś szczególną występnością, przechodzącą w spadku z ojca na syna. Przed laty dwudziestu kilku, w pierwszych chwilach naszej powieści, słyszeliśmy o zaślubieniu pozostałej po Kazimierzu Wielkim sieroty Anny za sprawą jej opiekuna, Ludwika, z cyllejskim grafem Wilhelmem.

Panowało wówczas na hrabstwie Cylli dwóch grafów, stary stryj Herman I i synowiec Wilhelm, małżonek królowny polskiej, odsądzonej od tronu. W przeciągu lat kilkunastu umarł najprzód stryj Herman, zostawiając kilkoro dzieci, mianowicie syna Hermana. Nieco później zeszedł ze świata Wilhelm, odumierając tylko wdowę i jedną córkę, podobnież Annę. Przypadło więc zwierzchnictwo nad całym rodem Hermanowi II, a owdowiała hrabina Wilhelмова wyszła powtórny małżeństwem za jakiegoś hrabiego Dek. Jej córka Anna, wnuczka Kazimierza Wielkiego, nie udała się z matką w dom nowego ojczyma, lecz jako współdziedziczka cyllejska bawiła przy swoim opiece Hermanie II.

Mieszkał ten Herman II około czasów śmierci Jadwigi w wzmiankowanym powyżej zamku feudalnym na górze nad Cylleją, ku któremu teraz cała Polska zwróciła oczy na chwilę. W takim zaś stanie rzeczy nieobojętna dla nas dowiedzieć się nieco więcej o zamieszkującym go kole rodzinnym. Owoż pan zamku i głowa rodu, graf Herman II, nader częsty gość w Węgrzech, słynie jako poufnik i prawa ręka króla Zygmunta, bliskiego mu nawet powinowactwem. Matka bowiem hrabi Hermana i matka Zygmuntovej małżonki Marii, nasza niegdyś Elżbieta, obie bośniackiego Stefana córki, były rodzonymi siostrami.

Używał stąd Herman II niekiedy tytułu „dziedzic Bośni”, bywał banem Kroacji i Sławonii, a miał za sobą niejaką hrabiankę Schaumburg, która licznym potomstwem zaludniła mu zamek. Rosło tam sześcioro dzieci obojej płci, trzech synów i trzy córki. Wszystko sześcioro potrzebowało dostojnego kiedyś uposażenia, a szczupłe hrabstwo cyllejskie niezupełnie czyniło zadość życzeniom. Znana jednak zapobiegliwość ojca rodziny krzątała się, jak mogła, aby połatać fortunę i nie całkiem chybiła celu.

Z synów tylko jeden pozostał w końcu przy życiu i dziedzictwie. Był to ów przydomkiem „łożobójca” napiętnowany później morderca własnej żony, o którym niegdyś słyszeliśmy obszerniej. Z córek zaś jedna poszła za Henryka, księcia Gorycji, druga za palatyna węgierskiego, Mikołaja Garę (młodsze), a trzecia, osławiona rozpustnym życiem Barbara, dostąpiła nawet ręki króla i cesarza Zygmunta, owdowiałego po pierwszej małżonce, Marii.

Przy tylu własnych dzieciach nie pozostało opiekunowi wiele serca dla sierotki brata Wilhelma. Chowala się Anna w zwyczajnym zaniedbaniu sierocym, w poniewierce pokątnej, zdana jedynie na wolę Opatrzności. Od rodu spadkobierczyni zbrodniarstwem zatwardziałego nie uśmiechały się jej uczucia przyjaźni i miłosierdzia. Wszystkie też okoliczności złożyły się jednoznacznie na udrczenie biednej wnuczki Kazimierza Wielkiego. Wziął jej Pan Bóg koronę przodków, zabrał jej ojca, rozłączył ją z matką, a nie dał jej nawet zwykłej kraszy dziewczęcej, ujmującej oczy i serca ludzkie.

Nie miała uboga żadnej z powszednich pociech nieszczęścia, i chyba tę jedną smutną ulgę dały jej losy, iż nie znała położenia swojego. Wszystko, co jej mogło przypominać dawne pochodzenie królewskie, mogło wywyższać ją nad resztę rodziny opiekuńczej, było starannie usunięte. Zapomniana sierotka hrabskiego zamku na górze nad Cylleją nie marzyła o żadnym królestwie nad górami, nie umiała nawet języka matki, zapomnianego owszem przez samą matkę.

Otóż u stóp tego zamku stanęła teraz pod koniec roku 1400 drużyna przybyszów zagranicznych. Po zwykłych u bramy zwiadach okazało się, iż byli to możni panowie polscy w poselstwie od samegoż króla polskiego. Otworzono więc bramę gościom dalekim, w których liczbie najprzedniejszymi byli: Iwan z Obichowa, kasztelan szremski Wieniawczyk, Hinczko z Rogowa herbu Działosza i Jan z Ostrowca Topór.

Wypocząwszy nieco z podróży zgłosili się posłowie z prośbą o pokazanie im córki zmarłego grafa Wilhelma i polskiej niegdyś królowej Anny. Gdy się zadość stało życzeniom, uderzyli Polacy czołem sierotce, składając jej u nóg koronę. Poselstwo to było tak niespodziewanym, że i powołana do korony sierota, i jej opiekun Herman zaledwie zrozumieć je zdołali. Natenczas panowie polscy donieśli o zgonie znanej w cyllejskim zamku córki króla Ludwika, świętej królowej polskiej Jadwigi, i szczeropolskim uczuciem, acz niemieckimi słowami ozwali się do zgromadzonej rodziny:

„Król jegomość Władysław posiadał koronę polską jedynie prawem małżeństwa. Z bezdzietną śmiercią małżonki kończyły się jego rządy. Sam też Władysław uznał słuszność opuszczenia tronu polskiego i zabierał się wrócić nazad do Litwy. Mieliśmy atoli mądrego i łaskawego w nim pana, a sprawiedliwość nakazywała wynagrodzić pewną krzywdę przeszłości. Podczas gdy naród używał dobrodziejstw panowania Jadwigi i jej małżonka, dzieci innego dobrodzieja Korony, wiekopomnego króla Kazimierza, tułały się po obczyźnie, odsądzone od berła przodków. Umyśliliśmy tedy wrócić je ziemi ojczystej i podaliśmy radę królowi, którą już świętobliwa królowa Jadwiga zaleciła mu na skonaniu. Król Władysław usłuchał życzeń narodu i oto przybyliśmy w jego imieniu zaprosić cię, wnuko Kazimierza Wielkiego, w małżeństwo królowi Władysławowi, na tron dziada twojego.”

Sierotka cyllejska stała się królową jednego z największych wówczas państw Europy. Dla opiekuna i całego domu cyllejskiego był to zaszczyt wysokiej ceny. Przyjęto więc z wdzięcznością ofiarę posłów polskich i przystąpiono niezwłocznie do wyprawy weselnej. W krótkim czasie znalazła się sieroca wnuczka Piastów otoczona orszakiem posłów koronnych i siedmiu przydanych im panów cyllejskich w drodze do nie znanej ziemi rodzinnej.

Dnia 16 lipca roku Pańskiego 1401 odbył się uroczysty wjazd do Krakowa. Cała stolica polska wyszła naprzeciw powracającej wnuce Piastów, z krzyżami i relikwiami wszystkich kościołów, z chorągwiami wszystkich stanów i cechów miejskich, z okrzykami radości dziwnie uszczęśliwionego narodu, z samym wreszcie królem wpośrodku książąt i panów. I tegoż samego zapewne dnia nakreśliła ręka pobożna w jednym z tamtoczesnych kalendarzów krakowskich:

„Stanąła tedy księżniczka szczęśliwie w mieście krakowskim i lubo przed niejakiem czasem uleciało orlątko nasze w strony dalekie, teraz jednak za miłościwym zrządzeniem niebios wróciło jakby cudem do Polski i zbiegł się koniec z początkiem i cofnęło się Z do A i została przereczona dziewica Anna wraz z swoimi kosztownymi skrzydłdy orlimi umieszczona w przynależnym gnieździe królewskim, w zamku krakowskim.”

Ale nie masz obrazu zdarzeń ludzkich bez cienia. I szlachetne uczczenie zgasłej Jadwigi osadzeniem na jej miejscu drogiej narodowi sierotki nie uniknęło podstępnych knowań zawiści czyhającej na zniweczenie zacnego dzieła. Wylęła się ta zawiść w sercu człowieka, po którym zapewne nie spodziewalibyśmy się podobnego wynurzenia żalu nad świeżym grobem Jadwigi, bo w sercu jej młodzieńczego niegdyś oblubieńca, Wilhelma.

Zaledwie przebrzmiały pienia żałobnych po Jadwidze obrzędów, zaledwie sześć tygodni minęło od jej pogrzebu, stanął u Krzyżaków w Malborgu pewien sekretny list znad Dunaju, z Niemiec rakuskich. Pisał go do wielkiego mistrza Konrada Jungingena rakuski książę Wilhelm zasięgając rady Krzyżaka, jakim sposobem dałaby śmierć Jadwigi obrócić się w pożytek Wilhelmowi. „Toć Wilhelm jako poślubiony niegdyś małżonek właściwej dziedziczki tronu, Jadwigi, ma teraz nierównie bliższe prawo do Polski niż Jagiełło, który oprócz tego jest, słyżę, chory i ma wielu przeciwników w królestwie, wielce pono zaburzonym w tej chwili.”

„Miłośnik spokoju”, Konrad, ucieszył się tym listem, lecz nie chciał łowić ryb przed niewodem. Wierny tedy nie usypiającej nigdy dwujęzyczności krzyżackiej, dał w pierwszych dniach października roku 1399 p o d ó j n ą odpowiedź Wilhelmowi, jedną jawną, kłamliwą, do przejścia w drodze przez Polskę przeznaczoną; drugą tajną, prawdziwą, podaną za pośrednictwem krzyżackiego komtura w Wiedniu. W pierwszej przybrał mistrz wielki minę pokornej niewinności i odpowiedział książęciu, iż nie wie, czy król Władysław chory, iż zaburzenia w królestwie nie mają żadnej wagi, pochodząc od ludzi nic nie znaczących itp.

„Co zaś do rady żądanej – są własne słowa Konrada – tej waszemu dostojenstwu nie umiemy udzielić; gdyż jesteśmy tu wszyscy prostaczkami nieuczonymi, którzy musieliby nieskończenie więcej posiadać rozumu i znajomości świata, gdyby się mieszać mieli w tak wysokie a pańskie sprawy.” W drugim zaś liście doradził Krzyżak istotnie Wilhelmowi, aby ponawiając dawne skargi na Jagiełłę w Stolicy Apostolskiej, u cesarza i wszystkich książąt niemieckich starał się przed wszystkim o przeszkodzenie projektowanemu małżeństwu Jagiełły z wnuczką Kazimierzowską Anną, którym „przywłaszczyciel” korony polskiej utwierdziłby się jeszcze mocniej w posiadaniu królestwa Wilhelmowego.

Nie potrafił wprawdzie przeszkodzić Wilhelm, aby zażądana w małżeństwo Anna nie zjechała do Polski, lecz tuż po jej powitaniu w Krakowie zaszły istotnie jakieś przeszkody ostatecznemu związkowi. Nie znając bliżej prawdziwego stanu zdarzenia doczytujemy się w kronikach jedynie kilku odnoszących się do niego okoliczności, może tylko próżnych pogłosek. Opowiadano sobie tedy w Krakowie, jakoby król Władysław znalazł Annę nie dosyć urodziwą i wielce utyskiwał na wyprawionych w poselstwie panów koronnych, że ją przywieźli do Polski.

Nie obeszło się w takim razie zapewne bez szkodliwego wpływu zauszników królewskich, którzy mocni swoją wiadomą władzą nad dobrotliwym Jagiełłą, a przekupieni mytem rakuskim podbechtywali króla przeciw zaślubieniu sierotki. Nastąpiło też w istocie odroczenie małżeństwa do przeszło siedmiu miesięcy, w którym to czasie miała Anna uczyć się języka krajowego. Wszakże już w połowie tej pory przyszło do skutku stanowcze upewnienie zaślubin.

Około Wszystkich Świętych roku 1401 zjechali się w Bieczu najprzedniejsi panowie koronni, mianowicie biskupowie krakowski i władysławski, Piotr i Mikołaj, kasztelan krakowski Jaśko z Tęczyna, wojewoda sędmierski Jaśko z Tarnowa, kasztelan lubelski Piotr Kmita z Wiśnicza, kasztelan wojnicki Mikołaj Michałowski, podkanclerzy koronny Klemens z Moskorzowa, wreszcie chorąży krakowski Żegota. Ci pospołu z towarzyszącymi Annie panami

cyllejskimi Szenkiem, Koszakiem, Pukserem, Pernerem, Lendekerem, Szasem i Mikołajem Volkerem ułożyli nieodwołalną umowę ślubną, podpisaną przez nich dnia 4 listopada 1401.

Osobliwszym zbiegiem wypadków powtórzył się teraz względem Jagiełły ten sam w pewnym stopniu przymus do zawarcia ślubów małżeńskich, który przed laty szesnastu na korzyść Władysława Jagiełły groził Jadwidze. Jak wówczas atoli, tak i teraz był on o wiele większym w wyobraźni i pogłoskach gminnych niż w rzeczy, a dnia 29 stycznia roku 1402, w niedzielę, odbyły się na koniec uroczyste zaślubiny w Krakowie. W tydzień później została sierotka cyllejska wśród niezwykajnie okazałych festynów dworskich ukoronowana królową polską.

Odprawił tę ceremonię ów staruszek Dobrogost z Nowego Dworu, niegdyś gorliwy Nałęcz, teraz arcybiskup gnieźnieński, o którego przed laty dwudziestu rozgorzał tak żywo spór między królem Ludwikiem a Nałęczami wielkopolskimi, a który obecnym ukoronowaniem wnuki drogich Nałęczom Piastów zakończył z pociechą zawód kapłański. Znajdowała się na koronacji córki samaż matka nowej królowej polskiej, wywieziona niegdyś do Węgier Kazimierzówna Anna, terazniejsza hrabina Dek, zaproszona przez króla Władysława Jagiełłę i z niezmierną radością przyjęta przez cały naród.

Podobnież i opiekun młodej królowej Anny, graf Herman II, jako też jego synowie bywali później często w odwiedzinach w Krakowie, łaskawie zawsze i hojnie ugoszczeni. Owszem, córka grafa Hermana a małżonka króla i cesarza Zygmunta, osławiona Barbara, otrzymała po śmierci męża, tylokrotnie śmiertelnego wroga Jagiełły, bogate uposażenie w Królestwie Polskim. Wdowa nieprzyjaciela Jagiełłowego, żyła z dobrodziejstw Jagiellonów, a gdy tymiż właśnie czasami zbuntowani panowie węgierscy ofiarowali Jagielle odjętą Zygmunтови koronę, on surowo skarcił rokoszan i zalecił im wierność strąconemu monarsze.

Królowa Anna piastowała koronę przez lat czternaście. Pozostała po niej tylko córka Jadwiga, w dziewictwie zmarła. Owdowiały po raz drugi Jagiełło pojął jeszcze trzecią i czwartą żonę. Trzecią była owa bogata Toporczanka Elżbieta z Pilczy, po dwakroć pierwszej zamężna; czwartą księżniczka ruska, Zofia. Dopiero od tej ostatniej doczekała się Polska przyszłych dziedziców tronu, Władysława i Kazimierza, młodzieńczego bohatera spod Warny i sędziwego ojca czterech ukoronowanych z kolei królów, a jednego świętego.

Za czasów pierwszej po Jadwidze królowej polskiej, Anny Cyllejki, wraz z wróconym Polsce sierocym potomstwem Piastów wróciły także starożytne klejnoty koronne, złota korona Bolesława Chrobrego, sławny miecz Szczerbiec, jabłko i berło królewskie, wywiezione przez Ludwika niegdyś do Węgier. Tak cokolwiek wówczas rozpoczęło się było na niekorzyść narodu, to za łaskawym zrządzeniem niebios, wskutek przybyłego Polsce z Jadwigą błogosławieństwa rozwiązywało się teraz po największej części z nadspodziewaną korzyścią kraju.

Wiekopomna sprawczyni tej pomyślności żyła tymczasem w coraz wdzięczniejszej chwale u narodu swojego, w coraz głośniejszej czci u pobożnych. Działy się wielokrotnie cuda u jej grobu w katedrze i nie brakło mu gorliwych a świątłych stróżów, którzy je starannie opisywali. W roku 1419 zostały „zaprzysiężone dwa zeznania na cuda błogosławionej Jadwigi, pierwsze zeznanie Jana, dziedzica Bejsc, drugie Jana Kobylińskiego: jako za przyczyną sługi Pańskiej, Jadwigi, powstali cudownie z długiej choroby”.

W kilka następnych lat, roku 1426, znany nam niegdyś syn chodackowego szlachcica spod Bąszowy, Dersława, Wojciech Jastrzębiec, teraz już arcybiskup gnieźnieński, odbywszy wizytę kościoła katedralnego w Krakowie, zlecił owemu walecznemu sekretarzowi Jagiełły pod Grunwaldem, Zbyszkowi z Oleśnicy, teraz krakowskiemu już biskupowi, „aby zrobił roztrząśnienie (examen) życia i cudów błogosławionej Jadwigi, córki polskiego i węgierskiego króla Ludwika, żony Władysława Jagiełły, królowej polskiej, pogrzebionej na zamku... w celu kanonizacji.”

Przez cały też wiek następny spodziewano się takiego uświęcenia pamięci i zwłok Jadwigi. „Bo jakże wielu znakami – pisze w kilkadziesiąt lat później główny kronikarz owych czasów – objawiła się świętość tej bogobojnej niewiasty i objawia się do dzisiejszego dnia, i mimo

zozębnięcia miłości w wielu sercach objawiać się jeszcze będzie w wiekach następnych! Za jej przyczynieniem i zasługami zmartwychwstają umarli, pozbywają kalectwa chromi, odzyskują wzrok ślepi, przemawiają niemowy, wyzwoleni bywają opętani, dostępują zdrowia i pociech niemocni, różnymi dolegliwościami utraپieni, różnymi przyciśnięci smutkami.”

Jeszcze w sto kilkadziesiąt lat po jej zgonie mówi inny dziejopis: „Zwłoki jej poczytane są za święte, i wsławiły się cudami, co z wielu rozmaitych ślubów przy grobie jej zawieszonych widzieć można.” Późniejszych czasów pisarze nazywali ją z prosta „świętą”. Ale spodziewana kanonizacja nigdy w istocie nie nastąpiła.

Przy tak gorącym uwielbieniu Jadwigi przez cały naród należała się jej tym wdzięczniejsza pamięć od osób, którym dano było zostawać niegdyś w jej bezpośrednim pobliżu. Z tych najściślejzymi węzły skojarzyły z nią losy osobliwie dwóch ludzi całkiem odmiennego oblicza, nierównych lat, różnej przeszłości – Wilhelma i Jagiełłę. Jeden był młodzieńcem i chrześcijaninem, drugi człowiekiem w wieku podeszłym i bałwochwalcą. Tamten świecił lustrem najsubtelniejszej ogłady i wytworności światowej, ten raził szorstkością barbarzyństwa, dziwactwem wielu niezrozumiałych nikomu przesądów i zabobonów. Jakże różnie objawiającej się czci musiała doznać od nich pamięć Jadwigi!

Zaiste, różnie oplakiwali ją obaj. Młodzieniec i chrześcijanin lżył ją poziomymi słowami, których nie śmieliśmy powtórzyć za nim w całości, a na wieść o jej śmierci schylił się nie z żalu nad jej grobem, lecz po wypadające z ręki skostniałej berło. Podeszły zaś nowochrześcjaniec zrzekał się tronu bez niej i przez wszystkie lata następne w najtkliwszej zachował ją pamięci. Żyje, owszem, ta pamięć i w naszych jeszcze oczach, żyje w odprawianych po dziś dzień mszach, ustanowionych przez króla za duszę świątobliwej małżonki po różnych kosciołach kraju.

Nawet na łożu śmiertelnym otaczały go jeszcze wspomnienia błogiej Jadwigi i dopiero rozstając się ze światem zdjął on z palca obrączkę ślubną, która przed pięćdziesięciu właśnie latami połączyła go z nią. „Oto najkosztowniejszy klejnot życia mojego – rzecz gasnący starzec do najulubieńskiego z dworaków. – Weź go i zanieś krakowskiemu biskupowi Zbigniewowi...”

Nieoceniona pamiątka narodowa przeszła w ręce kapłana, niegdyś obrońcy króla w bitwie krzyżackiej, potem gorliwego przez całe życie obrońcy spraw Kościoła. Jakież dalsze losy tego pierścienia, który połączył Litwę z Koroną?...

Korekta: Waldemar Mówiński